Nemezis

Isaac Asimov

SHOUT
SHARE
IT

- Isaac Asimov
- NOTA AUTORA
- PROLOG
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9
- Rozdział 10
- Rozdział 11
- Rozdział 12
- Rozdział 13
- Rozdział 14
- Rozdział 15
- Rozdział 16
- Rozdział 17
- Rozdział 18
- Rozdział 19
- Rozdział 20
- Rozdział 21
- Rozdział 22
- Rozdział 23
- Rozdział 24
- Rozdział 25
- Rozdział 26
- Rozdział 27
- Rozdział 28
- Rozdział 29
- Rozdział 30
- Rozdział 31
- Rozdział 32
- Rozdział 33
- Rozdział 34
- Rozdział 35
- Rozdział 36
- EPILOG

Isaac Asimov

Nemezis

NOTA AUTORA

Książka ta nie jest częścią Fundacji ani serii poświęconej Robotom. Nie należy także do cyklu Cesarstwo. Jest oddzielną całością. Pomyślałem, że powinienem poinformować o tym Czytelników, by uniknąć nieporozumień. Oczywiście nie jest wykluczone, że kiedyś napiszę powieść łączącą tę książkę z innymi, z drugiej strony jednak nie ma pewności, czy tak się stanie. Jak długo można katować własny umysł wymyślając koleje przyszłej historii?

Kolejna sprawa. Dawno temu postanowiłem przestrzegać jednej podstawowej zasady pisarskiej: być przejrzystym. Porzuciłem wszelką myśl o pisaniu poetyckim, symbolicznym czy eksperymentalnym, a także o wszystkich innych formach pisarskich, które być może zapewniłyby mi (zakładając, że byłbym wystarczająco dobry) Nagrodę Pulitzera. Zależy mi tylko na przejrzystości, dzięki której nawiązuję bardzo ciepłe stosunki z Czytelnikami.

A krytycy? Cóż, niech mówią, co im się podoba.

Z przykrością muszę jednak stwierdzić, że moje książki piszą się same. Ze zdumieniem odkryłem kiedyś, że powieść, którą macie Państwo przed sobą, napisała się dwutorowo: jeden ciąg wypadków dzieje się w narracyjnej teraźniejszości, drugi odbywa się w przeszłości, ale stale dogania teraźniejszość. Z pewnością nie nastręczy to kłopotów w czytaniu, ale ponieważ jesteśmy przyjaciółmi, wolałem Państwa uprzedzić.

PROLOG

Siedział samotny, odgrodzony od świata.

Gdzieś tam były gwiazdy i ta jedna, wokół której krążyło kilka planet. Widział ją oczyma duszy; widział ją znacznie lepiej niż w rzeczywistości za matowymi teraz oknami.

Niewielka, różowoczerwona gwiazda, koloru krwi i zagłady, nosząca także odpowiednie miano.

Nemezis!

Nemezis, uosobienie zemsty bogów.

Przypomniał sobie opowieść zasłyszaną w dzieciństwie; legendę, mit, baśń o ziemskim potopie, który zgładził grzeszną, zdegenerowaną ludzkość, ocalając jedną rodzinę, od której wszystko zaczęło się na nowo.

Tym razem nie było potopu. Tylko Nemezis.

Ludzkość ponownie uległa degeneracji i zemsta Nemezis będzie odpowiednią karą. Żaden potop. Nic tak trywialnego jak potop.

Czy ktoś ocaleje…? A jeśli nawet, to dokąd pójdzie?

Dlaczego nie czuł litości? Ludzkość nie może istnieć tak jak do tej pory. Jej grzechy prowadziły ją ku zagładzie. Czy powinien odczuwać litość, jeśli powolna, pełna cierpień śmierć zostanie zastąpiona przez inną, znacznie szybszą?

A oto planeta krążąca wokół Nemezis. Obok niej satelita. I Rotor okrążający Księżyc.

Podczas potopu uratowała się jedna rodzina, która zbudowała arkę. W zasadzie nie wiedział, czym była arka, wyobrażał jednak sobie, że była czymś podobnym do Rotora. Rotor także uratuje fragment ludzkości, od którego wszystko zacznie się na nowo w innym, lepszym świecie.

Stary świat? Niech zajmie się nim Nemezis!

I znowu ją zobaczył. Czerwonego karła nieugięcie prącego do przodu. Karzeł nie musiał obawiać się niczego.

Podobnie jak jego planety. A Ziemia? No, cóż…

Ziemio! Nemezis zdąża ku tobie!

Dyszy żądzą Zemsty!

Rozdział 1
MARLENA

Marlena po raz ostatni widziała Układ Słoneczny, gdy miała nieco ponad roczek. Oczywiście niczego nie pamiętała. Co prawda wiele czytała na temat Układu, mimo to nigdy nie czuła się z nim związana, nie była jego częścią. Przez całe swoje piętnastoletnie życie znała tylko Rotora. Zawsze wydawało jej się, że jest olbrzymi. Miał przecież średnicę ośmiu kilometrów. Gdy skończyła dziesięć lat, zaczęła co jakiś czas — najczęściej raz na miesiąc, jeśli tylko była wolna — spacerować wokół Rotora, tak dla rozrywki. Specjalnie wybierała okolice o małym ciążeniu, mogła wtedy trochę się poślizgać. To dopiero było śmieszne! Ślizgała się i spacerowała, a Rotor ciągnął się bez końca razem z domami, parkami, farmami, no i przede wszystkim z ludźmi.

Spacer zabierał jej cały dzień, ale matka nie protestowała. Zawsze mówiła, że Rotor jest absolutnie bezpieczny.

„Nie tak jak Ziemia" — dodawała, ale nie wyjaśniała, co miała na myśli. Na pytanie, dlaczego Ziemia nie jest bezpieczna, odpowiadała ciągle: „nieważne".

Marlena nie przepadała za ludźmi. Mówiono, że według nowego spisu na Rotorze mieszka ich sześćdziesiąt tysięcy. Za dużo. Strasznie dużo. Każdy z nich nosił maskę. Marlena nienawidziła masek, ponieważ wiedziała, że ludzie w środku są inni. Nie mówiła o tym nikomu. Kiedyś, gdy była młodsza, usiłowała powiedzieć o tym matce, ale ona bardzo się gniewała i zabroniła jej powtarzać takie bzdury.

Dorastając, coraz wyraźniej widziała fałsz na ludzkich twarzach, przestała się jednak tym martwić. Nauczyła się traktować to jako coś normalnego, coraz częściej też wolała być sama z własnymi myślami.

Ostatnio zastanawiała się nad Erytro — planetą, wokół której krążyli przez całe jej życie. Nie miała pojęcia, skąd biorą się te myśli. Wślizgiwała się na pokład obserwacyjny o przeróżnych porach i wpatrywała się w glob zgłodniałym wzrokiem, który wyrażał chęć bycia tam, właśnie na Erytro.

Matka, która wreszcie straciła cierpliwość, pytała ją, po co ktoś taki jak ona miałby polecieć na pustą, martwą planetę, ale Marlena nie znała odpowiedzi. Nie miała pojęcia, po co.

„Po prostu chcę", mówiła.

Teraz także stała samotna na pokładzie obserwacyjnym i przyglądała się Erytro. Rotorianie rzadko tutaj zaglądali. Widzieli

planetę tyle razy i z jakiegoś powodu absolutnie nie podzielali zainteresowania Marleny.

A oto i Erytro, częściowo oświetlona, częściowo zaś pokryta cieniem. W mrokach pamięci Marlena odnajdywała obraz siebie samej trzymanej na rękach, podczas gdy planeta stawała się coraz większa w oczach tych, którzy obserwowali ją z pokładu zbliżającego się Rotora.

Czy mogło tak być naprawdę? Miała wtedy prawie cztery lata, a więc nie było to wykluczone.

Obecnie na wspomnienie to — rzeczywiste czy nie — nakładały się inne myśli. Marlena po raz pierwszy zdała sobie sprawę z rozmiarów planety. Średnica Erytro wynosiła ponad dwanaście tysięcy kilometrów! Czym było osiem w porównaniu z dwunastoma tysiącami! Nie pojmowała tego. Na ekranie wszystko wydawało się mniejsze i Marlena nie potrafiła wyobrazić sobie siebie stojącej na Erytro, gdzie pole widzenia obejmowało setki, jeśli nie tysiące kilometrów. Bardzo chciała tam być. Ogromnie.

Orinel nie interesował się Erytro, co odrobinę ją rozczarowało. Mówił, że myśli nad innymi sprawami, na przykład jak przygotować się do studiów. Miał siedemnaście lat i pół. Marlena dopiero co skończyła piętnaście. To żadna różnica — myślała buntowniczo — ponieważ dziewczynki rozwijają się szybciej niż chłopcy. A przynajmniej powinny. Spojrzała na siebie i ze zwykłą w takich razach konsternacją i rozczarowaniem doszła do wniosku, że w dalszym ciągu wyglądała jak dziecko, małe i pyzate.

Ponownie spojrzała na Erytro, dużą i piękną, pokrytą delikatną czerwienią na oświetlonej stronie. Erytro była wystarczająco duża, by być planetą; w rzeczywistości — o czym Marlena wiedziała — był to księżyc okrążający Megasa, który (będąc jeszcze większy niż Erytro) był prawdziwą planetą. Mimo to wszyscy mówili o Erytro „planeta" Megas, Erytro, a także Rotor, okrążały gwiazdę, Nemezis.

— Marlena!

Usłyszała za sobą głos i wiedziała, że był to Orinel. Ostatnio stała się bardzo małomówna w jego obecności z powodu, który ją zawstydzał. Uwielbiała sposób, w jaki wymawiał jej imię. Robił to wyjątkowo poprawnie: trzy sylaby Mar-len-na, i trylujące „r". Na samą myśl o tym wzbierało w niej ciepło.

Odwróciła się i wymamrotała „Cześć", usiłując nie zarumienić się.

Uśmiechnął się do niej.

— Ciągle patrzysz na Erytro, prawda? — Nie odpowiedziała na to. Było to oczywiste. Wszyscy wiedzieli, co czuje do Erytro.

— Skąd się tu wziąłeś? (Powiedz mi, że mnie szukałeś — pomyślała.)

— Przysłała mnie twoja matka — powiedział. (No tak.)

— Po co?

— Powiedziała, że jesteś w złym humorze i że za każdym razem, kiedy rozczulasz się nad sobą, przychodzisz tutaj, i że mam cię stąd zabrać, ponieważ, jak powiedziała, będziesz jeszcze bardziej zrzędliwa, jeśli tu zostaniesz. Co ci jest?

— Nic. A jeśli coś, to mam ku temu powody.

— Jakie powody? Przestań się wygłupiać, nie jesteś już dzieckiem. Chyba umiesz powiedzieć, o co ci chodzi.

Marlena uniosła brwi.

— Tak, umiem. A jeśli chodzi o powody, to chciałabym wybrać się w podróż.

Orinel roześmiał się.

— Przecież podróżowałaś. Przebyłaś więcej niż dwa lata świetlne. Nikt w całej historii Układu Słonecznego nie przebył więcej niż ułamek tej trasy. Oprócz nas. Nie powinnaś narzekać. Jesteś Marlena Insygną Fisher. Galaktyczną podróżniczką.

Marlena wstrzymała chichot. Insygną to było panieńskie nazwisko jej matki i za każdym razem gdy Orinel wypowiadał je w całości, prawą ręką oddawał wojskowy salut i robił przy tym minę. Prawdę mówiąc od dawna przestał błaznować.

Być może dlatego, że zbliżał się do dorosłości i ćwiczył godną postawę.

— Nie pamiętam tej podróży — powiedziała. — Wiesz przecież, że nie mogę jej pamiętać, a to znaczy, że nie ma ona dla mnie żadnej wartości. Jesteśmy tutaj, dwa lata świetlne od Układu Słonecznego i nigdy nie wrócimy.

— Skąd wiesz?

— Nie wygłupiaj się, czy słyszałeś, żeby ktokolwiek wspominał o powrocie?

— No cóż… Nawet, jeśli nie wrócimy, kogo to obchodzi? Ziemia jest strasznie zatłoczona, cały Układ Słoneczny jest pełen ludzi i przez to coraz bardziej zużyty. Tutaj jest lepiej, jesteśmy władcami własnego poznania.

— Nieprawda. Poznajemy Erytro, ale nie jesteśmy jej władcami.

— A właśnie, że tak. Mamy wspaniałą Kopułę pracującą nad Erytro. Wiesz przecież…

— Ale nie dla nas. Dla jakichś naukowców. Mówię o nas. Nam nie pozwala się lecieć tam.

— Wszystko wymaga czasu — powiedział wesoło Orinel.

— No tak. I polecę na Erytro, kiedy dorosnę albo będę zbliżała się do śmierci.

— Nie będzie tak źle. W każdym razie chodźmy stąd. Musisz pokazać się światu i uszczęśliwić matkę. Muszę już iść, mam masę roboty. Doloret…

Marlena poczuła nagły szum w uszach i nie dosłyszała reszty

wypowiedzi. Wystarczyło jej jednak to imię… Marlena nienawidziła Doloret, która była wysoka i próżna.

A zresztą nie ma się czym przejmować. I tak nie powie Orinelowi, żeby przestał interesować się tą dziewczyną. Patrząc na niego dokładnie wiedziała, co czuje. Przysłano go tu po nią i biedny Orinel marnował swój czas. Tak właśnie myślał i bardzo spieszyło mu się do tej, tej Doloret. (Wolałaby tego nie wiedzieć. Czasami żałowała, że odczytuje ludzkie twarze.)

Nagle przyszło jej do głowy, żeby go zranić, żeby powiedzieć coś, co sprawi mu ból. Nie mogła kłamać; chciałaby powiedzieć mu prawdę.

— Nigdy nie wrócimy do Układu Słonecznego i ja wiem dlaczego.

— Tak? Dlaczego?

Martena zawahała się i w rezultacie nie powiedziała nic.

— Tajemnica? — dodał Orinel.

Złapał ją. Nie powinna była tego mówić.

— Nie powiem ci — wymamrotała. — Nie wolno mi tego wiedzieć. Ale przecież chciała powiedzieć mu o tym.

Chciała, żeby wszyscy cierpieli.

— No, powiedz wreszcie. Jesteśmy przyjaciółmi, czyż nie tak?

— Doprawdy? — zapytała. — W porządku, słuchaj: nigdy nie wrócimy, bo Ziemia zostanie zniszczona.

Nie zareagował tak, jak oczekiwała. Wybuchnął głośnym chichotem. Śmiał się przez jakiś czas, a Martena wpatrywała się w niego pytająco.

— Gdzie to usłyszałaś? — powiedział po chwili. — Oglądałaś horrory?

— Nie!

— Po co więc mówisz takie bzdury?

— Ponieważ wiem. Wiem i mogę o tym mówić. Odgaduję prawdę z tego, o czym rozmawiają ludzie, a raczej z tego, o czym nie rozmawiają. Widzę, co robią wtedy, gdy myślą, że nikt nie widzi. Umiem także zadawać prawidłowe pytania komputerowi.

— Na przykład jakie?

— Nie powiem ci.

— A może raczej wyobrażasz coś sobie, tak troszeczkę, ociupinkę? — powiedział Orinel pokazując palcami o jaką część ilości mu chodzi.

— Nie! Ziemia nie zostanie zniszczona od razu, może nawet nie za tysiące lat, ale na pewno ulegnie zagładzie — kiwnęła głową na potwierdzenie własnych słów. — Nic nie jest w stanie temu zapobiec.

Odwróciła się i odeszła. Była zła na Orinela za podawanie w wątpliwość jej prawdomówności. Nie, on nie wątpił, było to coś znacznie gorszego. Myślał, że oszalała. Tak wygląda prawda. Powiedziała za dużo i nic przez to nie zyskała. Wszystko obracało się

przeciwko niej.

Orinel spoglądał na nią. Śmiech zamarł na jego chłopięco przystojnej twarzy. Niepewność zmarszczyła mu skórę pomiędzy brwiami.

Eugenia Insygna dobiegła wieku średniego podczas podróży na Nemezis i długiego pobytu na Rotorze. Przez te wszystkie lata często mówiła sobie: „To dla życia, dla życia naszych dzieci w nieodgadnionej przyszłości". Ciążyła jej ta świadomość. Dlaczego? Wiedziała przecież o nieuniknionych konsekwencjach opuszczenia Układu Słonecznego. Wszyscy na Rotorze — sami ochotnicy — mieli tę świadomość. Ci, którzy wystraszyli się wiecznej rozłąki, opuścili Rotora przed odlotem. A pomiędzy nimi był…

Nie dokończyła tej myśli. Zbyt często ją nawiedzała i nigdy nie próbowała jej dokończyć.

Mieszkali na Rotorze, ale czy Rotor był „domem"? Był domem Marleny, która nie znała innych miejsc. A dla niej? Dla Eugenii? Dla niej domem była Ziemia i Księżyc, i Słońce, i Mars, i wszystkie światy, które towarzyszyły ludzkości od zarania dziejów. Towarzyszyły życiu, odkąd tylko istniało życie. Rotor nie był „domem", nawet teraz.

Pierwsze dwadzieścia osiem lat życia spędziła w Układzie Słonecznym, studiowała nawet na Ziemi pomiędzy dwudziestym pierwszym a dwudziestym trzecim rokiem życia.

Myśl o Ziemi nie dawała jej spokoju. Co prawda nie podobało jej się tam, nie podobały jej się tłumy, słaba organizacja, połączenie anarchii w sprawach wielkiej wagi z oddziaływaniem rządu w sprawach nieważnych. Nie podobała jej się zła pogoda, zryta ziemia, nadmiar wód. Wróciła na Rotora przepełniona ulgą i przywiozła ze sobą męża, któremu chciała sprzedać swój mały, kochany obracający się świat. Chciała, by wygodne uporządkowanie tego świata miało dla niego takie samo znaczenie jak dla niej, urodzonej tutaj. On jednak zwracał uwagę tylko na brak przestrzeni. „Po sześciu miesiącach nie ma dokąd pójść" — mówił.

Jego zainteresowanie dla niej nie trwało o wiele dłużej. No cóż…

Jakoś to będzie. Ona co prawda nie potrafi korzystać z dobrodziejstw Rotora: Eugenia Insygna była zagubiona pomiędzy światami. Ale dzieci… Eugenia urodziła się na Rotorze i mogła żyć bez Ziemi. Marlena także urodziła się tutaj, no prawie, i mogła żyć bez Układu Słonecznego, w którym została poczęta. Jej dzieci przyjdą na świat w innym świecie. Nie będą zaprzątały sobie głowy jakimś Układem i Ziemią. Układ Słoneczny i Ziemia staną się dla nich mitem. Erytro będzie światem nowego życia. Miała taką nadzieję. Marlena czuła ten dziwny związek z Erytro. Trwało to, co prawda, dopiero od kilku miesięcy i mogło przejść jej równie szybko, jak się pojawiło.

W sumie, narzekanie byłoby szczytem niewdzięczności. Czy ktoś

mógłby wyobrazić sobie nadający się do zniszczenia świat na orbicie Nemezis? Warunki umożliwiające zamieszkanie jakiegoś świata są trudne do przewidzenia. A teraz spróbujmy obliczyć prawdopodobieństwo wystąpienia takich warunków, dorzućmy do tego relatywną bliskość Nemezis w stosunku do Układu Słonecznego.

1 wyjdzie na to, że zdarzył się cud, który nie miał prawa nastąpić.

Eugenia zaczęła przeglądać raporty dostarczone przez komputer oczekujący z cierpliwością właściwą jego rasie. Zanim jednak na dobre zabrała się do pracy, włączył się jej odbiornik i z głośnika wielkości guzika umieszczonego na jej lewym ramieniu popłynął miękki głos:

— Orinel Pampas pragnie zobaczyć się z tobą. Nie jest umówiony.

Insygna skrzywiła się, a potem przypomniała sobie, że wysłała go po Marlenę.

— Wpuść go — powiedziała.

Rzuciła szybkie spojrzenie do lustra. Wyglądała nieźle. Nie dałaby sobie czterdziestu dwóch lat. Ciekawe, czy inni myślą tak samo? Martwiła się własnym wyglądem z powodu wizyty siedemnastoletniego chłopca? Jednak Eugenia Insygna pamiętała spojrzenia rzucane przez Marlenę na tego chłopca i wiedziała, co one oznaczały. Insygna zdawała sobie sprawę, że Orinel, przywiązujący tak dużą wagę do własnego wyglądu, nie interesuje się Marleną — która nie wyzbyła się jeszcze dziecięcej okrągłości — a w każdym razie nie tak, jak życzyłaby sobie tego Marlena. Mimo tego, jeśli Marlena przeżyje rozczarowanie, niech przynajmniej ma świadomość, że jej matka robiła co mogła, by oczarować tego chłopca.

Chociaż i tak będzie miała do mnie pretensje, pomyślała obserwując wchodzącego Orinela. Na jego twarzy gościł uśmiech, oznaczający młodzieńcze skrępowanie.

— I cóż, Orinel — powiedziała — znalazłeś Marlenę?

— Tak, pszepani. Tam gdzie spodziewała się pani ją znaleźć. Powiedziałem jej, że życzy pani sobie, aby opuściła to miejsce.

— I jak się miewa?

— Gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, pani doktor, nie umiałbym odpowiedzieć, czy jest to depresja, czy coś innego. W każdym razie przychodzą jej do głowy ciekawe pomysły. Nie wiem, czy powinienem o tym mówić?

— Ja również nie lubię wysyłać szpiegów, ale bardzo martwię się Marleną, tym bardziej, że przychodzą jej do głowy różne rzeczy. Chciałabym usłyszeć, na co wpadła tym razem.

Orinel pokręcił głową.

— Dobrze, ale proszę jej nie mówić, że wspominałem o tym. To co powiedziała to istne szaleństwo. Twierdzi, że Ziemia zostanie zniszczona.

Czekał na śmiech Insygny.

I nie doczekał się. Zamiast śmiechu usłyszał krzyk:

— Co? Dlaczego tak powiedziała?

— Nie mam pojęcia, pani doktor. Marleną jest bardzo rozumna, ale czasami wpadają jej do głowy śmieszne rzeczy. Może chciała mnie nabrać…

— Z pewnością — przerwała mu Insygna. — Ona ma nieco dziwne poczucie humoru. Słuchaj, nie chcę, abyś mówił o tym komukolwiek. Chciałabym uniknąć plotek. Rozumiesz?

— Tak, pszepani.

— Mówię poważnie: ani słowa! Orinel kiwnął głową.

— Dziękuję za informację, Orinel. Dobrze, że mi powiedziałeś. Porozmawiam z Marleną i dowiem się, co ją martwi. I nie powiem jej o naszej rozmowie.

— Dziękuję — powiedział Orinel. — Ale mam jeszcze jedną sprawę, pszepani.

— O co chodzi?

— Czy Ziemia będzie zniszczona?

Insygna spojrzała na niego i powiedziała z wymuszonym śmiechem:

— Oczywiście, że nie! Możesz odejść. Spojrzała za oddalającym się chłopcem i bardzo żałowała, że nie zdobyła się na przekonujące zaprzeczenie.

Janus Pitt wyglądał imponująco — co znacznie pomogło mu w dojściu do rangi komisarza na Rotorze. We wczesnym okresie powstawania Osiedli istniało duże zapotrzebowanie na ludzi o przeciętnym wzroście — tłumaczono to mniejszymi wymaganiami co do kubatury pomieszczeń i środków do życia per capita, W końcu jednak zrezygnowano z jakichkolwiek zastrzeżeń co do wzrostu mieszkańców Osiedli, mimo to w genach przekazywano sobie to wstępne ograniczenie i ludzie mieszkający na Rotorze byli o jeden do dwóch centymetrów niżsi niż późniejsi osadnicy.

Pitt był wysoki. Miał stalowosiwe włosy, długą twarz i głębokie niebieskie oczy. Pomimo pięćdziesięciu sześciu lat był w doskonałej formie.

Spojrzał na wchodzącą Eugenię Insygnę i uśmiechnął się. W środku jednak poczuł ukłucie niepokoju, który zawsze towarzyszył ich spotkaniom. Eugenię otaczała aura kłopotów, a nawet zmartwień. Zawsze były jakieś Powody (przez duże P), z którymi trudno było sobie poradzić.

— Dziękuję, że zechciałeś mnie przyjąć, Janus — powiedziała. — Bez uprzedzenia.

Pitt zaparkował komputer i rozsiadł się wygodniej na krześle, celowo udając absolutny spokój.

— Moja droga — powiedział — między nami nie ma żadnych

formalności. Przebyliśmy razem długą drogę.

— Tak. wiele razem przeżyliśmy — dodała Insygna.

— Zgadza się. Jak tam twoja córka?

— Właśnie w jej sprawie przyszłam do ciebie. Czy jesteśmy zabezpieczeni?

Pitt uniósł brwi.

— Chcesz się zabezpieczyć. Po co, przed kim? Pytanie Insygny obudziło w nim smutną świadomość sytuacji Rotora. Byli sami we wszechświecie. Układ Słoneczny znajdował się w odległości dwóch lat świetlnych. W pobliżu nie było żadnych światów, w których mogłaby istnieć inteligencja, a przynajmniej w zasięgu setek, a może miliardów tysięcy kilometrów. Rotorianie mogli czuć się osamotnieni, a nawet niepewni jutra. nie groziła im jednak żadna zewnętrzna interwencja. Prawie żadna — pomyślał Pitt.

— Wiesz, po co trzeba się zabezpieczać. Sam przecież zawsze nalegałeś na przestrzeganie tajemnic.

Pitt uruchomił zabezpieczenie i powiedział:

— Czy znowu chcesz rozmawiać o tym samym? Proszę, Eugenio… Wszystko już dawno ustaliliśmy. Ustaliliśmy to czternaście lat temu, gdy opuszczaliśmy Układ. Wiem, że od czasu do czasu dumasz nad tym wszystkim…

— Dumam? Dlaczego nie? To moja gwiazda! — wskazała ręką Nemezis. — I moja odpowiedzialność.

Pitt zacisnął szczęki. Znowu to samo — pomyślał.

— Jesteśmy zabezpieczeni. Co cię martwi?

— Marlena. Moja córka. Dowiedziała się.

— O czym?

— O Nemezis i Układzie Słonecznym.

— Skąd mogła się dowiedzieć? Chyba że ty jej powiedziałaś? Insygna bezradnie rozłożyła ręce.

— Oczywiście, że nie, nie musiałam nawet. Nie wiem jak to się dzieje, ale Martena wie wszystko, widzi wszystko i słyszy wszystko. Z drobiazgów, które zaobserwuje, tworzy własny obraz. Zawsze to robiła, jednak od roku znacznie się to nasiliło.

— W takim razie zgaduje i niekiedy ma rację. Powiedz jej, że tym razem się myli i dopilnuj, żeby nie rozpowiadała o tym.

— Kiedy ona powiedziała już pewnemu młodemu człowiekowi, który doniósł mi o tym. Stąd wiem. Orinel Pampas, przyjaciel rodziny.

— Ach tak, zdaje się, że go znam. Powiedz mu po prostu, żeby nie zwracał uwagi na bajeczki wymyślone przez małą dziewczynkę.

— Ona nie jest małą dziewczynką. Ma już piętnaście lat.

— Dla niego jest małą dziewczynką, zapewniam cię. Powiedziałem, że znam tego młodego człowieka. Odnoszę wrażenie, że stara się być dorosły i jeśli dobrze pamiętam, w jego wieku

pogardza się piętnastoletnimi dziewczynkami, tym bardziej, gdy są…

— Rozumiem — powiedziała gorzko Insygna. — Tym bardziej, gdy są niskie, pyzate i płaskie. Kogo obchodzi inteligencja?

— Mnie i ciebie, z pewnością. Orinela nie. Zresztą, jeśli zajdzie potrzeba, porozmawiam z nim. Ty natomiast rozmówisz się z Marleną. Powiedz jej, że to, co sobie ubzdurała, jest śmieszne i nieprawdziwe, i że nie wolno jej rozsiewać niepokojących bajek.

— Ale jeśli to jest prawda?

— To nie należy do sprawy. Słuchaj, Eugenio, ty i ja od lat ukrywamy tę ewentualność i byłoby lepiej, gdyby udało nam się ukrywać dalej. Jeśli wiadomość o tym rozejdzie się wśród ludzi, zostanie przesadzona i wzbudzi niepotrzebne sentymenty, zupełnie niepotrzebne. Oderwie nas od pracy, którą wykonujemy od momentu opuszczenia Układu Słonecznego i którą będziemy wykonywać jeszcze przez wiele pokoleń.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Czy naprawdę nic już nie łączy cię z Układem Słonecznym i Ziemią? Przecież tam powstaliśmy…

— Zrozum, Eugenio, że targają mną różne uczucia, ale nie mogę pozwolić, by to, co czuję, wpływało na to, co robię. Opuściliśmy Układ Słoneczny, ponieważ doszliśmy do wniosku, że nadszedł czas, by ludzkość podbiła gwiazdy. Jestem pewny, że za naszym przykładem pójdą inni — a być może już to zrobili. Sprawiliśmy, że ludzkość stała się czymś wyjątkowym w całej galaktyce i nie wolno nam myśleć jedynie o pojedynczych układach planetarnych. Musimy dokończyć to, co zaczęliśmy.

Spoglądali na siebie przez chwilę. Pierwsza odezwała się Eugenia i w jej głosie dało się wyczuć cichą rozpacz:

— Znowu mnie przegadałeś… Robisz to od tak wielu lat…

— Tak, i w przyszłym roku będę musiał robić to ponownie i za dwa lata także. Ty się nie zmienisz, Eugenio, i zaczyna mnie to męczyć. Zawsze sądziłem, że pierwsza rozmowa powinna ci wystarczyć.

Odwrócił się z powrotem do komputera.

Rozdział 2
NEMEZIS

Po raz pierwszy przeglądał ją szesnaście lat temu, w roku 2220. Był to niezwykły rok. wtedy bowiem otworzyły się przed nimi wrota Galaktyki.

Włosy Janusa Pitta były jeszcze ciemnobrązowe, a on sam nie zajmował stanowiska komisarza Rotora — chociaż mówiono o nim jako o przyszłym kandydacie. Kierował wtedy Wydziałem Badań i Handlu. Sonda Dalekiego Zasięgu należała do zakresu jego kompetencji, sam zresztą był po części odpowiedzialny za jej powstanie. Sonda była pierwszym obiektem materialnym, który poruszał się w przestrzeni kosmicznej za pomocą napędu z hiperwspomaganiem.

Wedle ich najlepszej wiedzy. Rotor był jedynym ośrodkiem, któremu udało się rozwinąć technologię hiperwspomagania. Pitt bardzo nalegał na utrzymanie tajemnicy.

Na spotkaniu Rady powiedział:

— Układ Słoneczny jest zatłoczony. Istnieje zbyt dużo Osiedli, zbyt dużo jak na nasz Układ. Jedynym wolnym miejscem jest pas asteroidów, ale i tam wkrótce zamieszkają ludzie. Co więcej, każde Osiedle posiada swoją własną równowagę ekologiczną i pod tym względem nasze drogi rozchodzą się. Handel zamiera na skutek obaw przed przeniesieniem obcych pasożytów czy patogenów.

— Jedynym rozwiązaniem, panowie radni, jest opuszczenie Układu Słonecznego, bez fanfar i bez ostrzeżenia. Znajdźmy sobie nowy dom, zbudujmy nowy świat, stwórzmy nową ludzkość, nowe społeczeństwo i nowy sposób życia. Oczywiście wszystko to. o czym mówię, byłoby niemożliwe bez hiperwspomagania, które na szczęście posiadamy. Inne Osiedla już wkrótce mogą także rozwinąć tę technologię i prawdopodobnie również zdecydują się na odlot. Układ Słoneczny stanie się mleczem, który wyda} nasiona; nasiona podróżujące w kosmosie.

— Jeśli wyruszymy pierwsi, być może uda nam się znaleźć nowy świat, zanim pojawią się inni. Do tego czasu zdołamy mocno stanąć na nogach i gdy inni podążą naszym śladem, będziemy wystarczająco silni, by odesłać ich w inne miejsce. Galaktyka jest olbrzymia i starczy w niej miejsca dla każdego.

Były oczywiście sprzeciwy, niekiedy bardzo gwałtowne. Niektórzy przeciwstawiali się ze strachu; ze strachu przed nieznanym. Inni ze względu na sentymenty — uczucia, które wiązały ich z miejscem

przyjścia na świat. Jeszcze inni przeciwstawiali się z powodu własnych przekonań, często bardzo idealistycznych, które nakazywały im dzielenie się wiedzą z ludźmi.

Pitt nie obawiał się, że może przegrać. Miał w zapasie ostateczny atut, który dostarczyła mu Eugenia Insygna. Miał szczęście, że przyszła z nim właśnie do niego. Była wtedy jeszcze młoda — miała dwadzieścia sześć lat — wyszła za mąż, ale nie myślała o dziecku. Przyszła bardzo podniecona, zaczerwieniona i obładowana wydrukami komputerowymi. Jej wejście początkowo wzburzyło Pitta. Był przecież sekretarzem Wydziału, a ona — no cóż, była nikim, chociaż był to ostatni moment jej pozostawania w cieniu.

Pitt nie wiedział jeszcze wtedy o tym i bardzo zdenerwowało go jej wtargnięcie. Skurczył się w sobie, widząc podniecenie Eugenii. Nie miał zamiaru wysłuchiwać niekończących się rewelacji na temat jakiegoś drobiazgu, który właśnie udało jej się obliczyć na komputerze, i w dodatku udawać zainteresowanie. Powinna była najpierw skontaktować się z jednym z jego asystentów i przedstawić mu streszczenie wniosków, do jakich doszła. Z nagłą desperacją Pitt postanowił, że powie jej tak: „Widzę, pani doktor, że zamierza pani przedstawić ml jakieś dane. Z przyjemnością zapoznam się z nimi w odpowiednim czasie. Proszę zostawić je w sekretariacie". I rzeczywiście tak uczynił, wskazując drzwi z nadzieją, że odwróci się i wyjdzie. (Później zastanawiał się niekiedy, co by się stało, gdyby rzeczywiście wyszła — i myśl ta napawała go strachem).

— Nie, nie, panie sekretarzu — odpowiedziała. — Muszę porozmawiać z panem i z nikim innym.

Glos trząsł się jej, gdy to mówiła, tak jak gdyby podniecenie odbierało jej siły.

— Dokonałam największego odkrycia od… od… — nie zdołała dokończyć. — Po prostu największego!

Pitt spojrzał z powątpiewaniem na wydruki, które trzymała w ręku. Papiery drgały — podobnie jak ciało Insygny — Pitt jednak nie znajdował w sobie zrozumienia dla stanu młodej odkrywczym. Ci wąscy specjaliści zawsze przekonani, że jakiś mikropostęp w ich mikrodziedzinie jest w stanie poruszyć gwiazdy.

— Dobrze — powiedział z rezygnacją w głosie. — Czy mogłaby pani wyjaśnić w prostych słowach, o co chodzi?

— Czy jesteśmy zabezpieczeni, proszę pana?

— Po co mamy się zabezpieczać?

— Nie chcę, by ktokolwiek usłyszał to, co mam do powiedzenia, zanim się upewnię… upewnię…, muszę jeszcze wszystko sprawdzić i przetestować, dopiero wtedy pozbędę się wątpliwości, ą zresztą już w tej chwili nie mam cienia wątpliwości. Mówię od rzeczy, prawda?

— Zgadza się — powiedział chłodno, przełączając wyłącznik

tarczy. — Jesteśmy zabezpieczeni. Słucham?

— Mam to wszystko tutaj. Pokażę panu…

— Nie. Proszę mi powiedzieć. Własnymi słowami. Krótko. Wzięła głęboki oddech.

— Panie sekretarzu, odkryłam najbliższą gwiazdę. Jej oczy rozszerzyły się. Oddychała gwałtownie.

— Najbliższą gwiazdą jest Alfa Centaur! — powiedział. — Fakt ten znany jest już od stuleci.

— To jest najbliższa gwiazda, którą znamy, co nie znaczy, że nie ma innej, którą możemy poznać. Odkryłam bliższą gwiazdę. Słońce ma towarzysza, czy jest pan w stanie w to uwierzyć?

Pitt rozważał jej słowa. Była wystarczająco młoda, wystarczająco entuzjastyczna, wystarczająco niedoświadczona, by wybuchać za każdym razem, gdy coś jej się powiedzie — jakże to typowe.

— Jest pani pewna? — zapytał.

— Jestem. Naprawdę. Pozwoli pan, że pokażę dane. To najbardziej niezwykła rzecz, jaka zdarzyła się w astronomii od…

— Jeśli w ogóle się zdarzyła. I proszę nie pokazywać mi tych obliczeń, przejrzę je później. Niech pani posłucha; jeśli istnieje gwiazda bliższa niż Alfa Centauri, dlaczego nie odkryto jej wcześniej? Dlaczego zostawiono ją dla pani, pani doktor? — zdawał sobie sprawę, że mówi sarkastycznie, ale ona nie zwracała na to uwagi. Była za bardzo podniecona.

— Jest pewien powód. Gwiazda jest przesłonięta chmurą, czarną chmurą pyłu, która znajduje się pomiędzy nami a nią. Gdyby nie chmura, gwiazda miałaby ósmą wielkość i z pewnością widzielibyśmy ją. Chmura pochłania jej światło i sprawia, że gwiazda widoczna jest jako ciało dziewiętnastej wielkości, ledwo dostrzegalne pośród milionów słabych gwiazd. Nie mogliśmy zwrócić na nią uwagi: nikt jej się nie przyglądał. Na ziemskim niebie znajduje się daleko na południu, tak, że większość teleskopów pochodzących z okresu przed powstaniem Osiedli nie mogłaby nawet zostać skierowana na tę gwiazdę.

— Jak więc pani ją dostrzegła?

— Dzięki Sondzie Dalekiego Zasięgu. Widzi pan, Sąsiednia Gwiazda i Słońce zmieniają relatywnie swoje położenie wobec siebie. Zakładam, że Gwiazda i Słońce obracają się wokół wspólnego środka grawitacji. Robią to bardzo wolno, raz na kilka milionów lat. Przed wiekami pozycja Gwiazdy mogła być taka, że z łatwością można ją było dostrzec w pełnej jasności na krawędzi chmury — do tego jednak potrzeba teleskopu, a teleskop wynaleziono dopiero sześćset lat temu, nie mówiąc już o tym, że miejsca, z których widoczna jest Gwiazda, były wtedy białymi plamami na mapie świata. Za kilka stuleci Gwiazda ponownie ukaże się z drugiej strony chmury, ale wcale nie

trzeba czekać długo. Dzięki Sondzie widzimy ją teraz.

Htt poczuł wzbierające podniecenie. Zalewała go delikatna fala ciepła.

— Czy to oznacza — powiedział — że Sonda zrobiła zdjęcia tej części nieba, w której znajduje się Gwiazda, i że była wystarczająco daleko w przestrzeni, by chmura nie stanowiła przeszkody w ujrzeniu pełnej jasności Gwiazdy?

— Dokładnie tak. Dostrzegaliśmy gwiazdę ósmej wielkości, tam gdzie nie powinno być żadnej gwiazdy. Spektrum wykazywało, że jest to czerwony karzeł. Gwiazdy tego rodzaju widoczne są z niewielkiej odległości, a więc nasza Gwiazda nie mogła być daleko.

— Zgoda, ale dlaczego bliżej niż Alfa Centauri?

— Zbadałam oczywiście tę część nieba, w której znajduje się Gwiazda, tutaj, na Rotorze. Nie dostrzegłam żadnej gwiazdy ósmej wielkości. Zauważyłam jednak gwiazdę dziewiętnastej wielkości, której z kolei nie było na zdjęciu przysłanym przez Sondę. Założyłam, że gwiazda ósmej wielkości i gwiazda dziewiętnastej wielkości są jednym i tym samym ciałem, pomimo przesunięcia w przestrzeni. Na obydwu zdjęciach porównawczych gwiazda jest w nieco innym miejscu, co wynika z przesunięcia paralaktycznego.

— Tak, rozumiem. Bliskie obiekty wydają się relatywnie zmieniać swoje położenie w stosunku do odległego tła, gdy obserwuje się je z różnych punktów.

— To prawda, jednak gwiazdy są tak odległe, że nawet gdyby Sondzie udało się przebyć duży ułamek roku świetlnego, zmiana pozycji nie spowodowałaby przesunięcia dalekich gwiazd, natomiast przesunęłyby się gwiazdy bliskie. Sąsiednia Gwiazda przesunęła się najbardziej, to znaczy w porównaniu z innymi. Sprawdziłam różne pozycje Sondy na niebie podczas podróży w przestrzeń. Obejrzałam trzy fotografie zrobione wtedy, gdy Sonda przebywała w zwykłej przestrzeni. Sąsiednia Gwiazda stawała się coraz jaśniejsza, co spowodowane było ruchem Sondy w kierunku krawędzi chmury. Z przesunięcia paralaktycznego wynika, że Sąsiednia Gwiazda znajduje się w odległości nieco większej od dwóch lat świetlnych. Jest to połowa dystansu, jaki dzieli nas od Alfa Centauri.

Pitt spojrzał na nią w zamyśleniu. Zapadła długa cisza, podczas której Insygna poczuła się bardzo niepewnie.

— Panie sekretarzu — powiedziała w końcu — czy chce pan teraz przejrzeć dane?

— Nie — odpowiedział. — Wystarczy mi to, co usłyszałem. Muszę teraz zadać pani kilka pytań. Jeśli dobrze zrozumiałem treść pani wywodu, istnieją bardzo niewielkie szansę, że ktoś zacznie obecnie badać gwiazdę dziewiętnastej wielkości i obliczy jej paralaksę, a co za tym idzie odległość, jaka nas od niej dzieli?

— Szansę te są niemal równe zeru.

— Czy w takim razie jest jeszcze jakiś inny sposób, by dostrzec, że nieważna gwiazda jest w rzeczywistości gwiazdą najbliższą?

— Nasza gwiazda ma prawdopodobnie dosyć dużą szybkość właściwą, to znaczy jak na gwiazdę. Chodzi o to, że jeśli obserwuje się ją w sposób ciągły, jej ruch na niebie będzie przebiegał mniej więcej po linii prostej.

— Czy w takim razie ktoś może ją dostrzec?

— Nie jest to wykluczone, ponieważ nie wszystkie gwiazdy mają dużą szybkość właściwą, nawet te bliskie.

Gwiazdy poruszają się w trzech wymiarach, my natomiast obserwujemy ich ruch w projekcji dwuwymiarowej. Mogę to wyjaśnić…

— Nie trzeba, wierzę w to, co pani mówi. Jak duża jest szybkość własna naszej gwiazdy?

— Obliczenie jej zabierze trochę czasu. Mam kilka starych zdjęć tej części nieba i na ich podstawie da się, być może, ocenić wielkość, o której mówimy. Wymaga to jednak dużo pracy.

— Czy sądzi pani, że wspomniana przed chwilą wielkość rzuci się w oczy astronomom, jeśli przez przypadek zauważą gwiazdę?

— Nie, nie sądzę.

— W takim razie jest wielce prawdopodobne, że my na Rotorze jesteśmy jedynymi ludźmi, którzy wiedzą o Sąsiedniej Gwieździe, ponieważ to my właśnie wysłaliśmy Sondę Dalekiego Zasięgu. To jest pani dziedzina, pani doktor. Czy zgadza się pani ze stwierdzeniem, że jesteśmy jedynymi, którzy wysłali Sondę?

— Sonda nie jest całkowicie tajnym projektem, panie sekretarzu. Zgodziliśmy się na udział badań eksperymentalnych z innych Osiedli, a także dyskutowaliśmy na temat tej części projektu ze wszystkimi, nawet z Ziemią, która obecnie nie interesuje się za bardzo astronomią.

— Tak, Ziemianie zostawiają to Osiedlom, co jest bardzo rozsądne. Pytam jednak o to, czy inne Osiedla wysłały Sondę Dalekiego Zasięgu, o której nic nie wiemy?

— Bardzo wątpię, panie sekretarzu. Potrzebowaliby do tego hiperwspomagania, a wiemy, że technologia ta objęta jest u nas całkowitą tajemnicą. Gdyby posiadali ten rodzaj napędu, z pewnością wiedzielibyśmy o tym. Musieliby prowadzić badania w przestrzeni, a to nie uszłoby naszej uwagi.

— Zgodnie z Konwencją o Powszechnej Dostępności Nauki, wszystkie dane zdobyte przez Sondę muszą być opublikowane.ogólnie. Czy znaczy to, że poinformowała już pani… — Insygna przerwała mu natychmiast.

— Oczywiście, że nie. Zanim opublikuję cokolwiek, muszę jeszcze dużo się dowiedzieć. To, o czym mówimy, jest tylko wstępnym

rezultatem badań powierzonym panu w zaufaniu.

— Jednak nie jest pani jedynym astronomem pracującym nad danymi z Sondy. Przypuszczam, że pokazała pani wyniki badań innym?

Insygna zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. A następnie zaczęła mówić i w jej głosie dało się wyczuć napięcie.

— Nie, nie zrobiłam tego. Sama prowadziłam obserwacje. Sama wyciągałam wnioski. Sama odkryłam znaczenie wyników. Sama. I chcę mieć pewność, że sama odbiorę zaszczyty z tych faktów płynące. Jest tylko jedna gwiazda najbliższa Słońcu i chcę figurować w annałach jako jej odkrywczyni.

— A co stanie się, jeśli ktoś odkryje gwiazdę jeszcze bliższą? -Pitt po raz pierwszy pozwolił sobie na mały żart.

— Niemożliwe, wiedzielibyśmy o niej wcześniej. Podobnie byłoby z moją gwiazdą, gdyby nie owa niezwykła mała chmurka. Inna, bliższa gwiazda po prostu nie istnieje.

— A więc nasza dyskusja sprowadza się do stwierdzenia, że pani i ja jesteśmy jedynymi osobami, które wiedzą o Sąsiedniej Gwieździe. Czyż nie tak? Nikt inny nie wie o niej?

— Zgadza się. Jak na razie wiemy o niej tylko my dwoje.

— Co to znaczy „na razie”? Cała rzecz musi pozostać w tajemnicy do momentu, kiedy będę gotów wyjawić ją kilku wybranym osobom.

— Ale Konwencja… Konwencja o Powszechnej Dostępności Nauki…

— Musi zostać zignorowana. Zawsze istnieją wyjątki od reguł. Pani odkrycie wiąże się z bezpieczeństwem Osiedla. A jeśli mówimy o bezpieczeństwie, to trudno wymagać od nas ogłaszania odkrycia. Podobnie uczyniliśmy w przypadku hiperwspomagania, nieprawdaż?

— Ale przecież istnienie Sąsiedniej Gwiazdy nie ma nic wspólnego z bezpieczeństwem Osiedla?

— Przeciwnie, pani doktor. Ma, i to wiele. Być może nie zdaje sobie pani z tego sprawy, ale odkryła pani coś, co może całkowicie zmienić losy rodzaju ludzkiego.

, Stała osłupiała, wpatrując się w niego.

— Proszę usiąść. Pani i ja jesteśmy konspiratorami i powinniśmy zachować się po przyjacielsku w stosunku do siebie. Od tego momentu jesteś dla mnie Eugenią, a ja dla ciebie Janusem, oczywiście wtedy, gdy będziemy sami. — Insygna postanowiła sprzeciwić się.

— Nie sądzę, aby było to właściwe.

— Będzie właściwe, Eugenio. Nie można uprawiać konspiracji zachowując zbędne formalności.

— Lecz ja nie chcę konspirować z kimkolwiek przeciwko czemukolwiek, i to wszystko. I nie widzę potrzeby zachowania w tajemnicy faktu istnienia Sąsiedniej Gwiazdy.

— Obawiasz się o zaszczyty…

Insygna zawahała się przez moment, a potem odpowiedziała:

— Możesz się założyć o swój ostatni procesor komputerowy, że tak. Chcę zaszczytów, Janus.

— Zapomnij przez chwilę — powiedział — o istnieniu Sąsiedniej Gwiazdy. Wiesz, że od jakiegoś czasu toczą się boje o to, by Rotor opuścił Układ Słoneczny. Jakie jest twoje zdanie na ten temat? Czy chciałabyś odlecieć stąd?

Wzruszyła ramionami.

— Nie jestem pewna. Sądzę, że przyjemnie byłoby zobaczyć z bliska jakiś obiekt astronomiczny, z drugiej strony jednak to trochę przerażające…

— Myślisz o opuszczeniu domu…?

— Tak.

— Ale my przecież nie opuścimy domu. To jest nasz dom: Rotor. Jego ramię zatoczyło duży łuk.

— Dom poleci z nami.

— Nawet jeśli tak będzie, panie sek…, Janus, Rotor to nie wszystko. Mamy sąsiadów, inne Osiedla, Ziemię, cały Układ Słoneczny.

— Bardzo zatłoczone sąsiedztwo. W końcu ktoś będzie musiał stąd odlecieć, czy tego chcemy, czy nie. Kiedyś na Ziemi również były takie czasy, że niektórzy musieli wędrować przez góry i przepływać oceany. Dwieście lat temu mieszkańcy Ziemi opuścili swoją planetę po to, by zakładać Osiedla. To, co chcemy zrobić, jest kolejnym krokiem w odwiecznej wędrówce.

— Rozumiem, ale są ludzie, którzy nigdy nie wędrowali. Są ludzie, którzy nigdy nie opuszczali Ziemi i wreszcie są również tacy, którzy nigdy nie wyjechali ze swojego małego skrawka lądu.

— I ty chcesz być jedną z nich?

— Sądzę, że mój mąż. Krile, życzy sobie tego. Ma swoje odrębne zdanie na temat twoich poglądów, Janus.

— No cóż, na Rotorze panuje swoboda myśli i wypowiedzi, twój mąż może więc nie zgadzać się ze mną, jeśli ma na to ochotę. Chciałem jednak zapytać cię o coś innego… Gdy ludzie, na Rotorze albo gdziekolwiek indziej, mówią o opuszczaniu Układu Słonecznego, jak myślisz, dokąd chcą polecieć?

— Oczywiście na Alfę Centauri. Wszyscy wierzą, że jest to najbliższa gwiazda. Lecz nawet za pomocą hiperwspomagania nie można rozwinąć prędkości znacznie przekraczającej szybkość światła, co sprawia, że podróż na Alfę zajęłaby około czterech lat. Inne gwiazdy są tak daleko, że nie ma nawet co myśleć o podróży, cztery lata to wystarczająco długo.

— Przypuśćmy jednak, że istniałby sposób na szybsze

podróżowanie, a co za tym idzie, możliwa byłaby wyprawa znacznie dalej niż Alfa Centauri. Jaką gwiazdę wybrałabyś wtedy?

Insygna zamyśliła się, a potem szybko odpowiedziała:

— Sądzę, że także Alfa Centauri. Jest to w dalszym ciągu sąsiedztwo. Gwiazdy w nocy wyglądałyby niemal tak samo. Myślę, że czulibyśmy się dobrze. Bylibyśmy ciągle blisko domu, gdyby przyszła nam ochota powrócić. Poza tym. Alfa Centauri A — największa z trójgwiazdowego systemu Alfa Centauri — jest praktycznie bliźniakiem Słońca.

Alfa Centauri B jest mniejsza, lecz nie za mała. Nawet jeśli pominie się Alfę Centauri C, która jest czerwonym karłem, mamy dwie gwiazdy w cenie jednej, jeśli można tak powiedzieć, a także dwa układy planetarne.

— Przypuśćmy w takim razie, że jedno z Osiedli wyruszyło na Alfę Centauri, znalazło tam znośne warunki do życia, osiedliło się na dobre i zaczęło budować nowy świat. W Układzie Słonecznym rozeszła się wieść o powodzeniu wyprawy. Gdzie w takim razie skierują się następne Osiedla w momencie, gdy podejmą decyzję o odlocie?

— Oczywiście na Alfę Centauri — powiedziała Insygna bez zastanowienia.

— Tak więc rodzaj ludzki będzie kierował się ku znanym już miejscom i jeśli powiedzie się jednemu Osiedlu, wkrótce pojawią się następne, aż nowy świat stanie się tak ciasny jak stary i wszędzie będzie mnóstwo ludzi z mnóstwem odrębnych kultur l systemów ekologicznych.

— I wtedy przyjdzie czas. by wyruszyć ku kolejnym gwiazdom.

— Lecz powodzenie w jednym miejscu, Eugenio, zawsze przyciągnie innych. Przyjazna gwiazda, dobra planeta ściągnie prawdziwe hordy…

— Tak przypuszczam.

— Ale jeśli polecimy na gwiazdę, która znajduje się w odległości niewiele większej niż dwa lata świetlne — co jest polową dystansu do Alfy Centaur! — o której nikt nie wie oprócz nas, istnieją duże szansę, że zostawią nas w spokoju.

— Zgadza się. Nikt nie poleci za nami, dopóki nie odkryją Sąsiedniej Gwiazdy.

— A to może zabrać im dużo czasu, przez który wszyscy będą lecieli na Alfę Centauri lub w jakieś inne miejsce.

Nigdy nie domyślą się, że jesteśmy na czerwonym karle tuż pod ich nosem, a nawet, jeśli zauważą tę gwiazdę, zrezygnują z niej i potraktują ją jako nie nadającą się do zamieszkania. Nikt nigdy nie wpadnie na pomyśl, że ludzie od dawna mieszkają na Sąsiedniej Gwieździe.

Insygna spojrzała niepewnie na Pitta.

— Ale jakie to ma znaczenie? Przypuśćmy, że rzeczywiście polecimy na Sąsiednią Gwiazdę i nikt się o tym nie dowie. Co na tym zyskamy?

— Zyskamy świat, który będziemy mogli zasiedlić. Nadającą się do zamieszkania planetę…

— Niemożliwe. Nie w pobliżu czerwonego karła.

— W takim razie możemy wykorzystać w dowolny sposób wszystkie zasoby naturalne istniejące w tym systemie po to, by zbudować większą liczbę Osiedli.

— Chodzi ci o to, że będzie więcej miejsca dla nas.

— Tak. Znacznie więcej niż w przypadku wspólnego zasiedlenia.

— Będziemy mieli trochę więcej czasu, Janus. W końcu i tak zapełnimy całą przestrzeń na Sąsiedniej Gwieździe — nawet, jeśli będziemy sami. Być może zajmie nam to pięćset lat zamiast dwustu. Co za różnica?

— Bardzo istotna różnica, Eugenio. Gdyby pozwolić Osiedlom na dowolny sposób kolonizacji przestrzeni, wkrótce powstaną tysiące różnych kultur niosących ze sobą wszystkie nieszczęścia i tragedie godnej pożałowania historii planety Ziemi.

Mając wystarczająco dużo czasu zbudujemy system Osiedli o podobnej kulturze i ekologii. Znajdziemy się w znacznie lepszej sytuacji, bez niepotrzebnego chaosu i anarchii.

— Bez zróżnicowania, bez życia, bez sensu.

— Niezupełnie. Zróżnicujemy się — tego jestem pewny. Nasze Osiedla będą całkiem inne, mimo to wszystkie będą miały wspólne korzenie. Będą to znacznie lepsze Osiedla od tych, które mamy obecnie. I nawet, jeśli się mylę, z pewnością zdajesz sobie sprawę, że jest to ten rodzaj eksperymentu, który należy sprawdzić. Dlaczego nie mielibyśmy poświęcić jednej gwiazdy na nasz przemyślany rozwój? Sprawdźmy, jak to wygląda. Weźmy jedną gwiazdę, jednego niechcianego czerwonego karła, którym do tej pory nikt się nie interesował, i zobaczmy, czy uda nam się zbudować nowe, być może lepsze społeczeństwo.

— Zobaczymy, co uda się nam zdziałać — kontynuował Pitt — w sytuacji, gdy nie trzeba będzie marnować naszej energii i zasobów na niwelowanie bezsensownych różnic kulturowych i zwalczanie obcych dewiacji biologicznych ciągle atakujących nasz ekosystem.

Insygna poczuła, że argumenty Pitta trafiają jej do przekonania. Nawet, jeśli nie uda im się, ludzkość nauczy się czegoś dzięki ich porażce. A jeśli się uda?

Potrząsnęła głową.

— To są mrzonki. Ktoś w końcu odkryje Sąsiednią Gwiazdę niezależnie ode mnie, bez względu na to, czy zachowamy tajemnicę, czy nie.

— Musisz jednak przyznać, Eugenio, że zawdzięczasz swoje odkrycie przypadkowi. Bądźmy szczerzy: udało ci się zauważyć tę gwiazdę, udało ci się porównać to, co zauważyłeś, z inną mapą nieba. Równie dobrze mogłaś niczego nie dostrzec. Podobnie zresztą jak inni w zbliżonych okolicznościach.

Insygna nie odpowiedziała, jednak wyraz, jaki pojawił się na jej twarzy, zadowolił Pitta.

Jego głos stał się teraz bardziej miękki, niemal hipnotyczny.

— Potrzeba nam stu lat. Jeśli dostaniemy tylko sto lat na zbudowanie nowego społeczeństwa, staniemy się wystarczająco duzi, silni, by bronić się przed innymi i sprawić, by zostawiono nas w spokoju. Po tym czasie nie będziemy już zmuszeni do ukrywania miejsca naszego pobytu.

I znów nie usłyszał odpowiedzi Insygny.

— Przekonałem cię? — zapytał.

Potrząsnęła głową, jak gdyby budząc się ze snu.

— Niezupełnie.

— Przemyśl więc to wszystko. Ja ze swej strony proszę cię o jedną przysługę: myśląc o tym nie mów nikomu o Sąsiedniej Gwieździe i przyślij mi wszystkie dane związane z tą sprawą na przechowanie. Nie zniszczę ich. Obiecuję. Będą nam potrzebne, jeśli chcemy polecieć na tę gwiazdę. Czy zgodzisz się przynajmniej na to, Eugenio?

— Tak — odpowiedziała słabym głosem, który wkrótce nabrał jednak mocy. — Mam jednak warunek: musisz pozwolić mi na nazwanie gwiazdy. Dam jej imię i wtedy będzie moja.

Pitt uśmiechnął się.

— Jak chcesz ją nazwać? Gwiazdą Insygny? Gwiazdą Eugenii?

— Nie, aż taka głupia nie jestem. Chcę nazwać ją Nemezis.

— Nemezis? N-E-M-E-Z-I-S?

— Tak.

— Ale dlaczego?

— Pod koniec dwudziestego wieku toczyła się krótka dyskusja nad ewentualnością istnienia Sąsiedniej Gwiazdy w pobliżu Słońca. Rozważania zakończyły się fiaskiem. Nie znaleziono żadnej Sąsiedniej Gwiazdy, jednak w artykułach na ten temat nazywano ją „Nemezis". Chciałabym uhonorować tych, którzy byli przede mną.

— Nemezis? Zdaje się, że była to jakaś grecka bogini? I chyba niezbyt miła?

— Uosobienie zemsty bogów, sprawiedliwej zapłaty i kary. Funkcjonuje w języku jako dosyć kwieciste określenie. Komputer nazwał je „archaicznym", gdy sprawdzałam.

— Ale dlaczego w dawnych czasach chciano nazwać ją Nemezis?

— Prawdopodobnie ze względu na chmurę kometową. Nemezis

okrążając Słońce przechodzi przez chmurę, co wywołuje kosmiczne katastrofy, które niszczyły część życia na Ziemi, co dwadzieścia sześć milionów lat.

Pitt wyglądał na zaskoczonego.

— Naprawdę?

— Nie, niezupełnie. Była to jedynie sugestia, która nie przetrwała. Niemniej jednak chcę, aby gwiazda nazywała się Nemezis. Chcę, żeby wiedziano, że to ja tak ją nazwałam.

— Obiecuję ci to, Eugenio. Jest to twoje odkrycie i nikt nie ma zamiaru kwestionować tego faktu. Gdy reszta ludzkości odkryje w końcu system Nemezis — czy dobrze go nazywam? — dowie się, komu należy się pierwszeństwo i dlaczego. Twoja gwiazda, twoja Nemezis, będzie drugim Słońcem oświetlającym drogę ludzkiej cywilizacji. I pierwszym Słońcem, które oświetli cywilizację powstałą poza Ziemią.

Pitt przyglądał się wychodzącej Insygnie i poczuł się bardzo pewnie. Miał ją w garści. Zgoda na nazwanie przez nią gwiazdy była doskonałym posunięciem. Teraz z pewnością zapragnie polecieć na swoją gwiazdę. Zapragnie zbudować nową, logiczną i uporządkowaną cywilizację wokół swojej gwiazdy; cywilizację, która da początek nowej Galaktyce.

Nagle, w momencie gdy zaczął delektować się wspaniałymi widokami na przyszłość, poczuł delikatne ukłucie przerażenia, którego źródła nie potrafił określić.

Dlaczego Nemezis? Dlaczego nazwala gwiazdę imieniem boskiej zemsty?

Pomyślał, że to zły znak.

Rozdział 3
MATKA

Nadeszła pora obiadu i Insygnę ogarnął jeden z tych dziwnych nastrojów, podczas których obawiała się własnej córki.

Ostatnio zdarzało się to coraz częściej l nie wiedziała, dlaczego. Być może wynikało to z coraz dłuższych okresów milczenia Marleny, jej zaniknięcia w sobie, jej wewnętrznego dialogu z myślami, których nie da się wypowiedzieć. Czasami strach Insygny mieszał się z poczuciem winy; winy z powodu braku matczynej cierpliwości do córki; winy z powodu jej przesadnej troski o fizyczne niedoskonałości dziecka. Marlena z pewnością nie odziedziczyła po matce nieco konwencjonalnej urody, ani tym bardziej zupełnie niekonwencjonalnego wdzięku ojca.

Marlena była niska i… toporna. Tak, to było jedyne słowo, które pasowało do biednej Marleny.

Biednej, oczywiście. Zawsze używała tego przymiotnika myśląc o córce i często musiała powstrzymywać się, by nie wypowiedzieć go na głos.

Niska. Toporna. Tęga, ale nie gruba — taka była Marlena. Nawet odrobiny wdzięku. Ciemnobrązowe, długie, proste włosy. Perkaty nos, opuszczone kąciki ust. mała broda, i ta jej ciągła pasywność i spojrzenie na siebie. Pozostawały oczywiście oczy, ogromne, połyskujące ciemnym blaskiem, okolone dokładnym łukiem brwi, z długimi rzęsami, które wyglądały niemal jak sztuczne. Jednak oczy to nie wszystko i pomimo swojej fascynującej urody nie mogą zastąpić całej reszty.

Gdy Marlena skończyła pięć lat, Insygna zrozumiała, że córka nigdy nie podbije serca mężczyzny wyłącznie za pomocą ciała. Z każdym mijającym rokiem stawało się to coraz bardziej oczywiste.

Przed okresem dojrzewania Marlena przyjaźniła się z Orinelem, którego zafascynowała swoją nad wiek rozwiniętą inteligencją i bijącym od niej zrozumieniem. W obecności chłopca stawała się nieśmiała, lecz zadowolona, tak jak gdyby zdawała sobie sprawę z niejasnych, obezwładniających uczuć związanych z płcią przeciwną.

W ostatnim okresie Marlena wyklarowała sobie pojęcie „chłopca” — a przynajmniej tak wydawało się Insygnie. Pomogło jej w tym ciągłe pożeranie książek i oglądanie filmów — niektóre z nich znacznie przerastały jej zdolności poznawcze. Jednak Orinel także wydoroślał, hormony żywiej krążyły w jego ciele i przestały

wystarczać mu dziecięce żarty i docinki.

Tego wieczoru przy obiedzie Insygna zapytała:

— Kochanie, jak spędziłaś dzień?

— Spokojnie. Orinel przyszedł mnie szukać i chyba zameldował ci, gdzie byłam. Przykro mi, że musisz mnie ścigać. Insygna westchnęła.

— Ależ Marleno, czasami wydaje mi się, że jesteś nieszczęśliwa, i nic nie poradzę na to, że martwię się tobą. Zbyt często przebywasz sama.

— Lubię być sama.

— Nie widać tego po tobie. Nie jesteś szczęśliwa będąc sama. Wielu ludzi chciałoby okazać ci swoją przyjaźń i byłoby ci lepiej, gdybyś im na to pozwoliła. Orinel jest jednym z nich.

— Był. Teraz jest zajęty innymi ludźmi. Dzisiaj było to szczególnie widoczne. Wściekłam się. Wyobraź sobie, jak bardzo wił się w mojej obecności myśląc o Doloret.

— Nie możesz go obwiniać — powiedziała Insygna. — Doloret jest w jego wieku.

— Fizycznie — dodała Marlena. — Poza tym to oślica.

— W jego wieku strona fizyczna bardzo się liczy.

— Widać to po nim. On także powoli staje się osłem. Im więcej umizguje się do Doloret, tym bardziej pusta jest jego głowa. Wiem o tym.

— On wydorośleje, Marleno, i kiedy będzie odrobinę starszy, zrozumie, co jest naprawdę ważne w życiu. Ty także wydoroślejesz…

Marlena rzuciła zagadkowe spojrzenie na Insygnę, a potem powiedziała:

— Przestań, mamo. Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Nie wierzysz w to nawet odrobinę.

Insygna zaczerwieniła się. Przyszło jej do głowy, że Marlena nie zgaduje — ona wie. Ale jak? Starała się mówić niezwykle szczerze, starała się czuć szczerą. Marlena przejrzała jej grę bez wysiłku. I to nie po raz pierwszy. Czyżby rozważała każde załamanie głosu, każdy moment niepewności, każde słowo i dowiadywała się w ten sposób o tym, co pragnęło się przed nią ukryć? Insygna bała się spostrzegawczości Marleny. Nikt nie chce być przezroczysty, wystawiony na wrogie spojrzenia innych.

Skąd, na przykład, Marlena wie o zagładzie Ziemi? Wyczuła to w jej głosie? Należy porozmawiać o tej sprawie. Insygna nagle-poczuła się zmęczona. Jeśli nie można przechytrzyć Marleny, po co w ogóle próbować?

— No cóż — zaczęła. — Przejdźmy do rzeczy, kochanie. Powiedz mi, czego naprawdę chcesz?

— Widzę, że rzeczywiście chcesz wiedzieć, więc ci powiem: chcę

stąd uciec.

— Uciec? — Insygna nie mogła zrozumieć najprostszych słów wypowiedzianych przez córkę. — Dokąd chcesz uciec?

— Rotor to nie wszystko, mamo.

— Oczywiście, że nie. Ale jest wszystkim, co mamy w promieniu dwóch lat świetlnych.

— Nie, nie jest tak jak mówisz. Mniej niż dwa tysiące kilometrów stąd jest Erytro.

— Erytro się nie liczy. Nie można tam mieszkać.

— Ale tam mieszkają ludzie.

— Tak, w Kopule. Grupa naukowców i inżynierów, którzy prowadzą badania naukowe. Kopuła jest znacznie mniejsza niż Rotor. Jeśli jest ci za ciasno tutaj, to jak będziesz się czuła tam?

— Poza Kopułą jest cały świat, mamo. Któregoś dnia ludzie zamieszkają na tym świecie.

— Być może. Nie jest to takie pewne.

— Ja wiem, że tak będzie.

— Nawet, jeśli tak będzie, zajmie to wieki.

— Ale kiedyś trzeba zacząć. Chciałabym być jedną z tych, którzy to zrobią.

— Nie bądź śmieszna, Marleno. Masz tutaj wygodny dom. Kiedy to się zaczęło?

Martena zacisnęła usta.

— Nie jestem pewna — odpowiedziała. — Kilka miesięcy temu, ale jest coraz gorzej. Nie mogę wytrzymać na Rotorze.

Insygna spojrzała na Marlenę z niezadowoleniem. Czuje, że straciła Orinela — pomyślała. Ma złamane serce na zawsze. Odejdzie i ukarze go. Wybrała zesłanie na pustynnym świecie, a on jeszcze pożałuje… Tak, to było możliwe. Insygna przypomniała sobie swoje piętnaście lat. W tym wieku serca są tak kruche, że łamią się przy najlżejszym dotyku. Na szczęście czas leczy rany — w co oczywiście nie jest w stanie uwierzyć żaden nastolatek. Piętnaście lat! To później, później niż…

Nie ma sensu o tym myśleć!

— Dlaczego tak bardzo pociąga cię Erytro, Marleno? — zapytała.

— Nie wiem. To duży świat. To chyba naturalne, że pragnie się dużego świata — zawahała się przez moment, po czym dodała trzy ostatnie słowa, które wypowiedziała przełykając — takiego jak Ziemia.

— Jak Ziemia! — Insygna nie mogła powstrzymać gniewu. -Nigdy nie byłaś na Ziemi! I nie masz najmniejszego pojęcia, jak tam jest!

— Wiele widziałam, mamo. W bibliotekach jest pełno filmów o Ziemi.

(Tak, to prawda. Jednak od jakiegoś czasu Pitt był zdania, że

należy je zakwestionować lub zniszczyć. Twierdził, że zerwanie z Układem Słonecznym oznacza właśnie zerwanie. Nie można popierać sztucznie wywołanego romantyzmu i sentymentów do Ziemi. Insygna mocno oponowała, teraz jednak zrozumiała, że Pitt miał rację).

— Marleno — powiedziała — nie możesz sugerować się filmami. Filmy idealizują rzeczywistość. Poza tym w większości mówią o przeszłości, kiedy życie na Ziemi wyglądało znacznie lepiej, lecz nawet wtedy nie było takie, jak pokazują to filmy.

— Nawet wtedy?

— Tak, nawet wtedy. Chcesz wiedzieć, jak wygląda Ziemia? Jest rynsztokiem, w którym trudno żyć. Dlatego właśnie ludzie opuścili ją po to, by założyć Osiedla. Uciekli od wielkiego, okropnego świata do małych, cywilizowanych Osiedli. I jakoś nikt nie chce wracać.

— Ale na Ziemi zostały miliardy ludzi.

— Dlatego właśnie Ziemia jest rynsztokiem. Ci, którzy tam mieszkają, korzystają z pierwszej sposobności, by uciec. Dlatego zbudowano tyle Osiedli i również dlatego są one tak zatłoczone. Z te-i powodu także my opuściliśmy Układ

Słoneczny i przylecieliśmy tutaj, kochanie.

— Ojciec był Ziemianinem — powiedziała Marlena niskim głosem. — Nie opuścił Ziemi, chociaż mógł.

— Nie, nie opuścił. Został — odpowiedziała z niezadowoleniem, starając się panować nad głosem.

— Dlaczego, mamo?

— Przestań, Marleno. Rozmawiałyśmy o tym. Wielu ludzi zostało w domu. Nie chcieli porzucać znajomych miejsc. Niemal każda rodzina na Rotorze zostawiała kogoś na Ziemi. Wiesz o tym bardzo dobrze. Czy chcesz powrócić na Ziemię? O to ci chodzi?

— Nie, zupełnie nie o to, mamo.

— Nawet gdybyś chciała wrócić na Ziemię, jest to niemożliwe. jesteśmy oddaleni od niej o dwa lata świetlne — chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

— Oczywiście, że tak. Ja chciałam jedynie pokazać ci, że mamy drugą Ziemię tuż obok. Erytro. Tam chcę pojechać, pragnę pojechać.

Insygna nie mogła się pohamować. Ku własnemu przerażeniu słyszała wypowiadane przez siebie słowa:

— Chcesz opuścić mnie, tak jak zrobił to twój ojciec. — Marlena cofnęła się, lecz po chwili oprzytomniała.

— Czy naprawdę sądzisz, że on cię opuścił? Być może stałoby się inaczej, gdybyś ty była inna — resztę wypowiedziała tak cicho, jak gdyby oznajmiała o zakończonym posiłku. — To ty go wypędziłaś, mamo.

Rozdział 4
OJCIEC

To dziwne, a raczej głupie, że po czternastu latach ciągle jeszcze raniły ją nieznośnie myśli o mężu.Krile miał 180 centymetrów wzrostu. Przeciętna na Rotorze wynosiła dla mężczyzn nieco mniej niż 170 centymetrów. Sam wzrost (podobnie jak w przypadku Janusa Pitta) sprawiał, że Krile otoczony był aurą siły i przywództwa. Dopiero znacznie później Insygna z niechęcią zdała sobie sprawę, że na sile męża nie można polegać.

Jego twarz wyrażała dumę i nieprzystępność. Miał duży nos, wystające kości policzkowe i mocną szczękę — w całości jego twarz wyglądała dziko i nosiła wyraz niezaspokojenia. Wszystko wokół niego promieniowało silną męskością. Gdy spotkała go po raz pierwszy, czuła w powietrzu ten zapach; zapach, który natychmiast ją zafascynował.

W tym czasie Insygna pisała dyplom z astronomii. Właśnie dobiegał końca jej pobyt na Ziemi i nie mogła doczekać się powrotu na Rotora, gdzie zamierzała ubiegać się o pracę przy Sondzie Dalekiego Zasięgu. Marzyła o odkryciach, które staną się możliwe dzięki Sondzie (nie przypuszczając nawet, że sama będzie odpowiedzialna za największe).

I wtedy spotkała Krile. Ku własnemu zdumieniu stwierdziła nagle, że zakochała się do szaleństwa w Ziemianinie — Ziemianinie! Z dnia na dzień porzuciła marzenia o Sondzie i była gotowa pozostać na Ziemi tylko po to, by być z nim.

Ciągle pamiętała zaskoczenie, z jakim spojrzał na nią, gdy obwieściła mu swoje postanowienie.

— Chcesz zostać tutaj ze mną? — powiedział. — Nie, to raczej ja pojadę z tobą na Rotora.

Nie marzyła nawet o tym, że on zechce porzucić swój świat po to, by być z nią.

Jakim sposobem Krile załatwił sobie pozwolenie na przyjazd a Rotora, Insygna nie dowiedziała się nigdy. Przepisy imigracyjne były przecież bardzo surowe. W momencie gdy jakiekolwiek Osiedle dorobiło się własnej populacji, zakazywano przyjazdów w celu zostania, po pierwsze dlatego, że liczba mieszkańców nie mogła przekraczać pewnej, wyraźnie określonej granicy, wyznaczającej liczbę ludzi, którym Osiedle mogło zapewnić wygodne życie; a po drugie, że każde Osiedle nieustannie starało się utrzymać równowagę

ekologiczną. Ludzie przyjeżdżający z Ziemi w interesach — a także mieszkańcy innych Osiedli przechodzili po przylocie szczegółową dekontaminację. Przez cały czas pobytu byli w pewnym sensie odizolowani i zmuszano ich o powrotu, gdy tylko to było możliwe.

Lecz oto pojawił się Krile z Ziemi. Później uskarżał się jej na długie tygodnie oczekiwania, które były częścią procesu dekontaminacji, a ona w skrytości ducha cieszyła się jego wolą wytrwania. Widać było, jak bardzo jej pragnie, jeśli zdecydował się a ten krok.

Jednak z czasem zdarzały się okresy, gdy Krile wydawał się odległy i niedostępny dla niej. Insygna zastanawiała się wtedy, czy rzeczywiście była jedynym powodem, dla którego zdecydował się na pokonanie wszystkich przeszkód w drodze na Rotora. Może nie chodziło o nią, tylko o potrzebę ucieczki z Ziemi? Może popełnił zbrodnię? Może ścigał go śmiertelny wróg? Uciekł od kobiety, która go znudziła? Nigdy nie odważyła się zapytać.

A on nigdy niczego nie wyjaśnił.

Gdy wpuszczono go na Rotora, pozostawało pytanie, jak długo pozwolą mu zostać. Było dalece nieprawdopodobne, że Biuro Imigracyjne wyda specjalne zezwolenie na naturalizację i pełne obywatelstwo.

Wszystko, co odpychało Rotorian od Krile Fishera, stanowiło dodatkowy powód fascynacji dla Insygny. Stwierdziła, że podziwia go już za sam fakt, iż urodził się na Ziemi i był po prostu inny. prawdziwi Rotorianie pogardzali nim jako obcym — bez względu a to, czy miał obywatelstwo, czy nie — lecz dla niej nawet ten fakt stanowił źródło erotycznego podniecenia. Postanowiła walczyć o niego i wygrać, wbrew temu, co sądził świat.

Gdy próbował znaleźć jakąś pracę, która dałaby mu utrzymanie i pozwoliła na zajęcie pozycji w nowym społeczeństwie, to właśnie ona powiedziała mu, że jeśli poślubi kobietę z Rotora — Rotoriankę od trzech pokoleń — będzie to mocnym argumentem na jego korzyść w przypadku ubiegania się o obywatelstwo.

Krile wydawał się zaskoczony, tak jak gdyby nigdy o tym nie myślał, lecz jej propozycja wyraźnie go zadowoliła. Insygna była rozczarowana. Wolałaby wziąć ślub z powodu miłości, a nie obywatelstwa, lecz później powiedziała sobie: no cóż, miłość wymaga poświęceń…

I po typowym dla Rotora długim okresie narzeczeńskim pobrali się.

Życie toczyło się normalnie. Krile nie był zmysłowym kochankiem, ale przecież wiedziała o tym wcześniej. Jego miłość była jak gdyby odległa, lecz okazjonalne pieszczoty i ciepło dawały jej niemal całkowite szczęście. Nigdy nie był okrutny czy nieuprzejmy i to

przecież on poświęcił dla niej swój świat i zdecydował się na wszystkie niedogodności tylko po to, by być z nią. Wszystko to przemawiało na jego korzyść, przynajmniej w oczach Insygny.

Lecz nawet, gdy otrzymał już obywatelstwo, wkrótce po ich ślubie, czuła, że jest wewnętrznie skłócony. Nie winiła go za to. Był obywatelem, jednak nie urodził się na Rotorze, co automatycznie wykluczało go z wielu interesujących dziedzin życia. Insygna nie miała pojęcia, jakie wykształcenie odebrał, sam zresztą nigdy o tym nie mówił. Nie mówił jak osoba wykształcona pobieżnie, a nawet gdyby był samoukiem, nie musiał się tego wstydzić.

Insygna wiedziała, że mieszkańcy Ziemi nie traktują wyższego wykształcenia jako rzeczy zrozumiałej sama przez się, tak jak miało to miejsce w Osiedlach.

Martwiła ją ta myśl. Nie przeszkadzało jej, że Krile Fisher był Ziemianinem i jako taka musiał spotykać jej przyjaciół i współpracowników. Nie wiedziała jednak, czy życzyłaby sobie, żeby jej przyjaciele i współpracownicy spotykali niewykształconego Ziemianina. Nikt jednak nie wytknął mu tego, a Krile ze swej strony cierpliwie wysłuchiwał jej opowieści o pracy nad Sondą. Oczywiście nigdy nie sprawdziła jego wiedzy technicznej wdając się w dyskusje o szczegółach. Niekiedy jednak Krile sam zadawał pytania i komentował pewne detale — co sprawiało jej radość, ponieważ przekonywała siebie, że są to inteligentne pytania i komentarze.

Fisher dostał pracę na farmie, poważna pracę, która wymagała pewnej odpowiedzialności, nie było to jednak nic, co umieszczałoby go na górze drabiny społecznej. Nie narzekał, nie robił żadnych uwag — musiała mu to przyznać — lecz sam fakt, że nigdy nie mówił o pracy wystarczał, by poznać, że nie jest z niej zadowolony. Krile nigdy nie był zadowolony.

Z czasem Insygna nauczyła się, by nie witać go radosnym krzykiem „Krile, jak było dzisiaj w pracy?”.

Na początku zdarzyło jej się kilka razy zadać to pytanie, na co usłyszała zdawkowe „niespecjalnie” — i to wszystko, jeśli pominąć gniewny wzrok.

Wreszcie zaczęła obawiać się rozmów nawet o sprawach biurowych czy drobnych potyczkach w pracy. Nie chciała, żeby porównywanie ich zajęć sprawiało mu przykrość.

Zdawała sobie sprawę, że jej obawy nie maja żadnego uzasadnienia — był to raczej jej problem niż jego. Fisher nie okazywał zniecierpliwienia, gdy okoliczności zmuszały ja do dyskusji nad jej praca. Czasami pytał nawet, z cieniem zainteresowania o hiperwspomaganie, lecz Insygna wiedziała bardzo niewiele, prawie nic na ten temat.

Interesował się polityka na Rotorze i jak każdy Ziemianin nie

potrafił zrozumieć niewielkiej skali jej zainteresowań. Zmuszała się, by nie krytykować jego zapatrywań.

W końcu zapadła pomiędzy nimi cisza, przerywana jedynie obojętnymi rozmowami na temat obejrzanych filmów, spotkań towarzyskich i drobnych życiowych spraw.

Nie, nie byli nieszczęśliwi. Znaleźli stabilizację, a przecież są w życiu gorsze rzeczy niż stabilizacja. Ich współżycie miało swoje dobre strony. Praca nad ściśle tajnym projektem wymagała zachowania tajemnicy przed absolutnie wszystkimi, któż jednak jest w stanie powstrzymać się przed rozmową na tematy służbowe z mężem czy żoną? Insygna była w stanie to zrobić, poza tym nie kusiło jej aż tak bardzo — jej praca nie wymagała tajemnic.

Gdy doszło do odkrycia Sąsiedniej Gwiazdy i zatajenia tego faktu przed opinią publiczną, jej sytuacja okazała się zbawienna. Przecież naturalną koleją rzeczy powinna podzielić się z mężem wiadomością o wielkim odkryciu, które zapisze jej imię na wieki w annałach astronomicznych. Mogła powiedzieć mu o tym, zanim zwróciła się do Pitta. Mogła przecież wpaść do domu któregoś dnia krzycząc od progu: „Zgadnij, zgadnij, co się stało! Nigdy nie zgadniesz…”

Nie zrobiła tego jednak. Nie przyszło jej do głowy, że Fisher może podzielić jej radość. Z innymi rozmawiał o ich pracy: rozmawiał z farmerami, nawet z robotnikami w warsztatach… Ale nie z nią.

Nic jej więc nie kosztowało zatajenie przed nim wiadomości o Nemezis. Nigdy nie poruszyła tej sprawy, sprawa ta nie istniała, nie było jej aż do tego potwornego dnia, gdy ich małżeństwo dobiegło końca. Kiedy całym sercem opowiedziała się po stronie Pitta.

Początkowo przerażała ją myśl o zatajeniu istnienia Sąsiedniej Gwiazdy. Czuła głęboki niepokój perspektywą opuszczenia Układu Słonecznego i udania się w miejsce, o którym nic nie było wiadomo oprócz jego lokalizacji.

Zdawała sobie sprawę, jak bardzo nieetyczne, a nawet niemoralne jest budowanie skrycie nowej cywilizacji; cywilizacji, która wykluczała udział całej ludzkości.

Poddała się w kwestii bezpieczeństwa Osiedla, zamierzała jednak prywatnie walczyć z Pittem, zgłaszać obiekcje.

Powtarzała je wielokrotnie w samotności: jej argumenty były bezbłędne, nie do odrzucenia — lecz jakoś nigdy nie mogła zdobyć się na przedstawienie ich Pittowi. Zawsze przejmował inicjatywę. Kiedyś na początku powiedział jej:

— Pamiętaj Eugenio, że odkryłaś Sąsiednią Gwiazdę niemal przypadkowo i w związku z tym ktoś z twoich współpracowników także może to zrobić.

— To nie jest… — zaczęła.

— Nie, Eugenio, nie będziemy polegać na

nieprawdopodobieństwach. My chcemy mieć pewność. Przypilnujesz, aby nikt nie spoglądał w interesującym nas kierunku, aby nikomu nie zachciało się zaglądać w wydruki komputerowe opisujące umiejscowienie Nemezis.

— Ale jak ja mogę to zrobić?

— Bardzo łatwo. Rozmawiałem z komisarzem i od tej chwili jesteś całkowicie odpowiedzialna za badania związane z Sondą.

— Ale to oznacza przesunięcie mnie na stanowisko zajmowane przez…

— Tak. To oznacza zwiększoną odpowiedzialność, zwiększone prace i wyższą pozycję społeczną. Czy masz coś przeciwko temu?

— Nie, absolutnie nie — odpowiedziała, a jej serce zaczęło żywiej bić.

— Jestem pewny, że poradzisz sobie na stanowisku naczelnego astronoma, jednak twoim głównym zadaniem będzie dopilnowanie, aby pracowano pilnie i sumiennie nad wszystkim, co nie dotyczy Nemezis.

— Nie możesz jednak trzymać tego w sekrecie przez wieczność.

— Nie mam najmniejszego zamiaru. Gdy tylko wyruszymy w drogę, wszyscy dowiedzą się, dokąd lecimy. Do tego momentu o istnieniu Nemezis dowie się bardzo niewielu i to możliwie najpóźniej jak tylko się da.

Insygna zauważyła ze wstydem, że jej awans ostudził chęć zgłaszania obiekcji. Przy innej okazji Pitt powiedział:

— A co z twoim mężem?

— Co z moim mężem? — Insygna natychmiast przyjęła pozycję defensywną.

— Słyszałem, że jest Ziemianinem. — Zacisnęła wargi.

— Pochodzi z Ziemi, ale posiada nasze obywatelstwo. — Rozumiem. Zakładam, że nie powiedziałaś mu niczego o Nemezis.

— Absolutnie niczego.

— Czy ten twój mąż mówił ci kiedykolwiek, dlaczego opuścił Ziemię i tak bardzo starał się, by zostać obywatelem Rotora?

— Nie, nigdy go o to nie pytałam. t — Ale czy nie zastanawiałaś się nad tym?; Insygna zawahała się, a potem odpowiedziała zgodnie z prawdą:

. — Tak, czasami…

Pitt uśmiechnął się.

— Chyba powinienem ci powiedzieć. I zrobił to krok po kroku. Nigdy natrętnie, nigdy na siłę, sączył kropla po kropli to, co chciał powiedzieć podczas ich kolejnych rozmów. Rozbił jej intelektualną skorupę. A przecież tak łatwo było żyć na Rotorze i nie dostrzegać tego, co dzieje się wokół.

Lecz dzięki Pittowi, dzięki temu co jej powiedział, filmom, które

wskazał, zdała sobie sprawę, jak wygląda życie miliardów ludzi na Ziemi, czym jest endemiczny głód i przemoc, narkotyki i wyobcowanie. Zaczęła rozumieć, że ucieczka jest jedynym ratunkiem przed tą piekielną otchłanią rozpaczy. Przestała dziwić ją decyzja Krile Fishera, zastanawiała się jedynie, dlaczego tak niewielu Ziemian idzie za jego przykładem.

Życie w Osiedlach nie wyglądało lepiej. Osiedla izolowały się od siebie, ograniczały swobodny przepływ ludności z jednego miejsca do drugiego. Żadne z nich nie życzyło sobie mikroskopijnej flory i fauny innych. Powoli zamierał handel, który prowadzono za pomocą automatycznych pojazdów z dokładnie wysterylizowanymi ładunkami.

Osiedla kłóciły się i wzrastała pomiędzy nimi wzajemna nienawiść. Dotyczyło to także Osad wokół Marsa.

Jedynie w pasie asteroidów rodziło się nieskrępowanie nowe osadnictwo, lecz nawet tam wzrastała podejrzliwość do wszystkich wewnętrznych Osiedli. Insygna zaczęła zgadzać się z Pittem, czuła, jak powiększa się jej entuzjazm do projektu ucieczki ze świata nieznośnej rozpaczy i rozpoczęcia nowego życia tam, gdzie nie posiano jeszcze ziaren cierpienia. Nowy początek, nowe możliwości.

A potem stwierdziła, że spodziewa się dziecka i jej entuzjazm zaczął się zmniejszać. Ryzykowanie życiem własnym i Krile wydawało się łatwe. Jednak dziecko, niemowlę…

Pitt był nieporuszony. Pogratulował jej.

— Urodzi się tutaj, a ty będziesz miała niewiele czasu, aby przyzwyczaić się do nowej sytuacji. Dziecko będzie miało przynajmniej półtora roku, zanim odlecimy. Do tego czasu przekonasz się, że los uśmiechnął się do ciebie nie każąc ci czekać dłużej. Dziecko nie będzie miało wspomnień ze zrujnowanej planety, nie dowie się o rozpaczliwie podzielonej ludzkości. Pozna nowy świat, świat kultury i zrozumienia pomiędzy jego mieszkańcami. Szczęśliwe dziecko! Mój syn i córka są już dorośli, już naznaczeni…

I znów zgodziła się z Pittem. Gdy na świat przyszła Martena, Insygna nie mogła doczekać się odlotu, zaczęła obawiać się, że zanim wyruszą, dziecko zostanie naznaczone pomyłką, jaką okazał się pełen ludzi Układ Słoneczny. Wtedy była już po stronie Pitta.

Martena zafascynowała Fishera — co sprawiło wielką ulgę Insygnie. Nie spodziewała się, że Krile okaże się dobrym ojcem. Jednak Fisher krzątał się wokół Marteny i wziął na siebie ojcowski obowiązek wychowania dziecka. Widać było. że sprawia mu to radość. Gdy zbliżała się pierwsza rocznica przyjścia Marleny na świat, w Układzie Słonecznym rozeszła się plotka, że Rotor ma zamiar uciec. Spowodowało to niemal ogólnosystemowy kryzys, a Pitt który wyraźnie zabiegał o stanowisko komisarza — wydawał się zadowolony.

— No cóż, co mogą zrobić? — mówił. — Nie ma sposobu na to, żeby nas zatrzymać, a wszystkie te oskarżenia o nielojalności razem z ich systemowym szowinizmem przeszkodzą jedynie ich badaniom nad hiperwspomaganiem, co w efekcie obróci się na naszą korzyść.

— Ale skąd się dowiedzieli, Janus? — pytała Insygna.

— Ja sam dopilnowałem tego — uśmiechnął się. — W tym momencie nie mam nic przeciwko temu, aby zdali sobie sprawę z faktu naszego odlotu. Wszystko jest w porządku, dopóki nie wiedzą, dokąd lecimy. Pozą tym nie mogliśmy dłużej ukrywać naszych zamiarów. Musimy przeprowadzić referendum, jak wiesz, gdy o naszych planach dowiedzą się Rotorianie, nie mą sensu dalsze utrzymywanie tajemnicy.

— Referendum?

— Dlaczego nie? Przemyśl to. Nie możemy wyruszyć w drogę z Osiedlem pełnych ludzi zbyt bojaźliwych i stęsknionych za domem w pobliżu Słońca. Skazywalibyśmy się na porażkę. Potrzebni nam są ludzie chętni, entuzjastyczni…

Miał całkowitą rację. Wkrótce rozpoczęła się kampania o poparcie projektu opuszczenia Układu Słonecznego. Wcześniejszy przeciek pomógł wytłumić głosy opozycji zewnętrznej, jak i tej na Rotorze. Niektórzy Rotorianie popierali projekt, niektórzy bali się. Fisher groźnie marszczył czoło i któregoś dnia powiedział:

— To jest szaleństwo.

— To jest nieuniknione — odpowiedziała Insygna starając się zachować obiektywizm.

— Dlaczego? Nie ma powodu, żeby rozpoczynać wędrówkę pośród gwiazd. Dokąd pójdziemy? Tam nic nie ma.

— Tam są miliardy gwiazd.

— A ile planet? Nie znamy żadnej nadającej się do zamieszkania planety, gdziekolwiek, i bardzo mało innych planet. Nasz Układ jest jedynym domem, jaki mamy.

— Poszukiwania leżą w naturze człowieka — była to jedna z ulubionych fraz Pitta.

— To są romantyczne bzdury. Jak komuś mogło przyjść do głowy, że ludzie będą głosować za tym, by odłączyć się od reszty ludzkości i przepaść gdzieś w przestrzeń?

— Według mnie, Krile — powiedziała — opinia na Rotorze przychyla się właśnie do tego.

— To tylko propaganda Rady. Sądzisz, że ludzie będą głosowali za tym, żeby zostawić Ziemię? Zostawić Słońce?

Nigdy! Jeśli do tego dojdzie, wracam na Ziemię.

Poczuła skurcz w sercu.

— O nie — powiedziała. — Chcesz wrócić do samumów, śnieżyc, tajfunów, czy jakkolwiek je nazywacie? Chcesz wrócić do pokrytej

lodem ziemi, lejącej się z nieba wody i gwiżdżącego, wiejącego powietrza?

Podniósł brwi.

— Nie jest tak źle. Od czasu do czasu zdarzają się burze, ale są łatwe do przewidzenia. W rzeczy samej są nawet interesujące, jeśli nie przybierają zbyt gwałtownej postaci. To wszystko jest naprawdę fascynujące: trochę zimna, trochę ciepła, trochę parowania. Na tym polega zróżnicowanie. Dzięki temu żyjesz. A pomyśl tylko, ile jest odmian kuchni.

— Kuchni? Jak możesz tak mówić? Większość ludzi na Ziemi głoduje. Ciągle organizujemy pomoc żywnościową dla Ziemi…

— Niektórzy ludzie są głodni, ale to nie jest powszechne.

— Nie możesz oczekiwać, że Marlena będzie żyła w takich warunkach.

— Miliardy dzieci żyją.

— Moje nie będzie jednym z nich — powiedziała z oburzeniem. Wszystkie swoje nadzieje przeniosła teraz na Marlenę. Dziewczynka rozpoczynała dziesiąty miesiąc życia, miała dwa zęby u góry, dwa na dole, potrafiła podnosić się opierając ręce o szczebelki kojca i spoglądała na świat tymi pełnymi zadumy, inteligentnymi oczyma.

Fisher uwielbiał swoją niezbyt ładną córkę. Uwielbiał ją coraz bardziej. Gdy brał ją w ramiona, przyglądał się jej i podziwiał jej oczy. Koncentrował się na nich i oczy Marleny rekompensowały mu wszystkie inne braki dziecka.

Z pewnością nie wróci na Ziemię, jeśli będzie oznaczało to zostawienie na zawsze Marleny. Insygna nie wierzyła, że wybrałby ją — kobietę, którą kochał i poślubił — gdyby doszło do powzięcia decyzji powrotu na Ziemię, lecz Marlena z pewnością była w stanie go zatrzymać.

Z pewnością?

Następnego dnia po referendum Eugenia Insygna natknęła się na Fishera pobielałego ze wściekłości.

— Sfałszowano wyniki — wykrztusił.

— Cii! Obudzisz dziecko — powiedziała. Wykrzywił się i wstrzymał na chwilę oddech. Insygna odprężyła się i zaczęła cicho mówić:

— Nie ma cienia wątpliwości, że ludzie chcą lecieć.

— Czy ty głosowałaś za odlotem?

Zastanowiła się. Nie było sensu uspokajać go za pomocą kłamstw. Znał przecież jej zdanie na ten temat.

— Tak — powiedziała. — Przypuszczam, że Pitt ci kazał.

Zaskoczył ją.

— Nie! Umiem sama podejmować decyzje.

— Ale ty i on… — nie dokończył.

Poczuła, że krew uderza jej do głowy. — Co masz na myśli? — zapytała gniewnie. Czyżby zamierzał oskarżać ją o zdradę?

— Ten, ten polityk! Chce zostać komisarzem za wszelką cenę. Wszyscy o tym wiedzą. A ty masz zamiar wspinać się razem z nim. Lojalność polityczna to nie byle co, nieprawdaż?

— Nie byle co? Ja nie zabiegam o zaszczyty, jestem astronomem, a nie politykiem.

— Dano ci awans, czyż nie tak? Przepchnięto cię ponad głową starszego, bardziej doświadczonego człowieka.

— Dzięki mojej pracy, jak mi się wydaje. Jak miała się bronić, jeśli nie może powiedzieć mu prawdy?

— Z pewnością ci się wydaje. Za wszystkim stoi Pitt. Insygna wzięła głęboki oddech.

— Dokąd prowadzi ta rozmowa?

— Posłuchaj! — mówił teraz cicho, jak zresztą przez cały czas odkąd przypomniała mu o śpiącej Martenie. — Nie mogę uwierzyć, że całe Osiedle chce zaryzykować podróż za pomocą hiperwspomagania. Skąd wiesz, co może się stać? Skąd wiesz, że wszystko będzie działać? Wszyscy możemy zginąć.

— Sonda działa normalnie.

— Czy było coś żywego na pokładzie Sondy? Jeśli nie, to skąd możesz wiedzieć, jak zareagują żywe organizmy, gdy podda się je hiperwspomaganiu? Co wiesz o hiperwspomaganiu?

— Nic.

— A dlaczego? Pracujesz w samym laboratorium. Nie zajmujesz się uprawą roli tak jak ja.

(Jest zazdrosny — pomyślała Insygna.) Głośno powiedziała:

— Mówiąc o laboratorium sugerujesz, że wszyscy jesteśmy zamknięci w jednym pomieszczeniu. Ja, jak wiesz, zajmuję się astronomią i nie mam nic wspólnego z hiperwspomaganiem.

— Chcesz powiedzieć, że Pitt nigdy ci o nim nie mówił?

— O hiperwspomaganiu? On sam nie ma o nim pojęcia.

— To znaczy, że nikt o nim nic nie wie?

— Oczywiście, że nie. Wiedzą o nim hiperspecjaliści. Przestań Krile. Ci. którzy powinni wiedzieć, wiedzą. Inni nie.

— A więc jest to sekret dla wszystkich poza garstką specjalistów.

— Dokładnie.

— No więc nikt nie wie, czy hiperwspomaganie jest bezpieczne. Oprócz hiperspecjalistów. A niby skąd oni wiedzą?

— Przypuszczam, że przeprowadzili eksperymenty.

— Przypuszczasz?

— Mam po temu wszelkie powody. Zapewniają nas, że jest to bezpieczne.

— I nigdy nie kłamią, jak sądzę.

— Oni też polecą. Poza tym jestem pewna, że prowadzili eksperymenty.

Spojrzał na nią zmrużywszy oczy.

— Teraz jesteś pewna. Sonda była twoim dzieckiem. Czy na okładzie były żywe organizmy?

— Nie pracowałam nad tym zagadnieniem. Zajmuję się jedynie obserwacjami astronomicznymi.

— Nie odpowiedziałaś na moje pytanie o żywe organizmy. Insygna straciła cierpliwość.

— Słuchaj, dość już mam tych pytań, poza tym dziecko śpi niespokojnie. Sama szukam odpowiedzi na parę pytań, na przykład, co masz zamiar zrobić? Czy lecisz z nami?

— Nie muszę na to odpowiadać. Warunki referendum były tale, że ci, którzy powiedzieli „nie", nie lecą.

— Wiem o tym, ale pytam czy ty chcesz lecieć z nami? Nie chcesz chyba rozbijać rodziny.

Mówiąc to próbowała się uśmiechnąć, ale nie wyglądało to byt przekonująco.

— Nie chcę także opuszczać Układu Słonecznego — powiedział powoli Fisher z ponurym wyrazem twarzy.

— W takim razie opuścisz mnie? I Marlenę?

— Dlaczego miałbym opuszczać Marlenę? Nawet jeśli chcesz ryzykować własnym życiem, czy musisz ryzykować życiem dziecka?

— Jeśli ja polecę. Martena poleci także — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Wybij to sobie z głowy, Krile. Dokąd chcesz ją zabrać? Do jakiejś na wpół wykończonej Osady?

— Oczywiście, że nie. Pochodzę z Ziemi i mogę tam wrócić, jeśli zechcę.

— Wrócić na umierającą planetę? Wspaniale!

— Zapewniam cię, że pozostało jej jeszcze kilka lat życia.

— Dlaczego więc ją opuściłeś?

' — Myślałem, że polepszę sobie warunki życia. Nie wiedziałem, że przyjazd na Rotora oznacza bilet donikąd.

— Nie, nie donikąd! — Insygna nie potrafiła już dłużej powstrzymać wybuchu, nie mogła już dłużej znosić tych tortur.

— Gdybyś wiedział dokąd lecimy, na pewno wolałbyś zostać!

— Dlaczego? Dokąd leci Rotor?

— Do gwiazd…

— Ku zagładzie!

Spoglądali na siebie. Marlena obudziła się i otworzywszy oczy zaczęła cicho gaworzyć. Fisher spojrzał na dziecko i zaczął mówić o pół tonu ciszej:

— Eugenio, wcale nie musimy się rozstawać. Nie chcę zostawiać Marleny ani ciebie. Pojedźcie ze mną.

— Na Ziemię?

— Tak. Dlaczego nie. Mam tam przyjaciół. Nawet teraz. Ty jako moja żona i Marlena jako moje dziecko nie będziecie miały kłopotów z wyjazdem. Ziemia nie przejmuje się tak bardzo równowagą ekologiczną. Zamieszkamy na olbrzymiej planecie, zamiast na małej, cuchnącej bańce gdzieś w kosmosie.

— Tak, na olbrzymiej bani, cuchnącej pod niebiosa. Nie, dziękuję.

— Pozwól mi więc zabrać Marlenę. Jeśli ty uwierzyłaś, że warto podejmować taką podróż, ponieważ jako astronom chcesz badać kosmos, to twoja sprawa, ale dziecko powinno pozostać w Układzie Słonecznym, gdzie będzie bezpieczne.

— Bezpieczne na Ziemi? Nie bądź śmieszny! Czy tylko o to ci chodzi? Chcesz odebrać mi moje dziecko?

— Nasze dziecko.

— Moje dziecko. Odejdź, chcę, żebyś odszedł, ale nie waż się tknąć mojego dziecka. Mówisz, że znam Pitta i to jest prawda. Oznacza to, że mogę załatwić, że wyślą cię na asteroidy czy tego chcesz czy nie, a potem możesz sobie wracać na swoją gnijącą Ziemię. A teraz wynoś się z mojego mieszkania i znajdź sobie jakieś miejsce do spania, dopóki cię nie odeślą. Daj mi znać, gdzie jesteś, to prześlę ci twoje rzeczy. I nie myśl, że będziesz mógł tu wrócić. To miejsce będzie strzeżone.

W chwili, gdy to mówiła — z sercem przepełnionym goryczą — rzeczywiście wierzyła we własne słowa. Mogła przecież prosić go, kusić pochlebstwami, błagać, a nawet kłócić się, ale nie zrobiła tego. Odwróciła się do niego plecami i kazała mu odejść.

I Fisher rzeczywiście odszedł, a ona naprawdę przesłała mu jego rzeczy. I w końcu odmówił zgody na odlot na Rotorze. I odesłano go z powrotem. I mogła tylko przypuszczać, że wrócił na Ziemię.

Odszedł na zawsze, od niej i od Marleny.

Kazała mu odejść i odszedł na zawsze.

Rozdział 5
DAR

Insygna siedziała zaskoczona własnymi słowami. Nigdy jeszcze ile opowiadała nikomu tej historii, chociaż niemal codziennie od czternastu lat przeżywa ją na nowo. Nigdy nie marzyła nawet, że będzie ją mogła opowiedzieć — wydawało się jej, że zabierze ją ze tobą do grobu.

Historia ta nie przynosiła jej ujmy — była po prostu bardzo osobista.

I oto opowiedziała ją — w całości i bez wstydu — dorastającej córce; komuś, kogo aż do chwili, gdy zaczęła mówić, traktowała jak dziecko — jak dziwnie bezradne dziecko.

I teraz dziecko to spoglądało na nią poważnie swoimi ciemnymi oczyma — bez zmrużenia powieki, jakoś tak po dorosłemu i wreszcie powiedziało:

— A więc to ty sprawiłaś, że odszedł, czyż nie tak?

— Tak, w pewnym sensie. Byłam wściekła, a on chciał mi zabrać ciebie. Na Ziemię! — Przerwała, a potem zapytała niezobowiązująco:

— Rozumiesz?

— Czy ty potrzebujesz mnie aż tak bardzo? — zapytała Marlena.

— Oczywiście! — odpowiedziała z oburzeniem Insygna, a potem pod spokojnym spojrzeniem tych oczu przestała myśleć o rzeczach niepojętych. Czy naprawdę potrzebowała Marleny?

— Oczywiście — powtórzyła cicho. — Jakże mogłoby być inaczej? — Marlena potrząsnęła głową i na jej twarzy zagościł przez chwilę ponury cień.

— Myślę, że nie byłam czarującym dzieckiem. Może on mnie potrzebował. Czy cierpiałaś, dlatego, że potrzebował mnie bardziej niż ciebie? Czy zatrzymałaś mnie tylko dlatego, że on mnie chciał?

— To co mówisz jest potworne. Wcale tak nie było… — odpowiedziała Insygna, niezbyt pewna, czy wierzy we własne słowa. Poruszanie tego tematu w rozmowie z Marleną było bardzo niewygodne. Marlena coraz częściej wgryzała się w ten swój okropny sposób w interesujące ją kwestie. Insygna zauważyła to już wcześniej, lecz wyjątkowy upór Marleny w drążeniu pewnych tematów przypisywała okazjonalnym zbiegom okoliczności w życiu nieszczęśliwego dziecka. Teraz jednak zdarzało się to coraz częściej, a Marlena celowo jątrzyła rany.

— Marleno — powiedziała po chwili — dlaczego myślisz, że

kazałam odejść twojemu ojcu? Nigdy tego nie powiedziałam, co więcej, nigdy nie dałam ci powodu, aby tak myśleć.

— Tak naprawdę nie wiem, skąd wiem o różnych rzeczach, mamo. Czasami wspominasz ojca w mojej obecności lub w obecności kogoś innego i za każdym razem brzmi to tak, jak gdybyś czegoś żałowała, jak gdybyś chciała czemuś zadośćuczynić.

— Naprawdę? Ja tego nie czuję.

— Tak. Za każdym razem jest to dla mnie coraz bardziej jasne. To jak mówisz, jak patrzysz…

Insygna przyglądała się z napięciem córce, a potem powiedziała nagle:

— To co myślę?

Marlena podskoczyła i zachichotała po dziecinnemu. Nie lubiła się śmiać i chichot był wszystkim, co miała do zaprezentowania w tej dziedzinie, przynajmniej na co dzień.

— Teraz? — zapytała. — To jest łatwe. Myślisz, że ja wiem, co myślisz, ale nie masz racji. Nie czytam w umysłach. Zgaduję tylko ze słów, dźwięków, wyrażeń, ruchów. Ludzie nie potrafią ukryć tego, co myślą, a ja obserwuję ich od tak dawna…

— Dlaczego? Chodzi mi o to, dlaczego czujesz potrzebę obserwowania ludzi?

— Ponieważ gdy byłam dzieckiem wszyscy mnie okłamywali. Mówili, że jestem słodka, albo mówili to tobie, kiedy wiedzieli, że słucham. A na ich twarzach widniało czarno na białym, że wcale tak nie myślą. Nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Na początku nie wierzyłam, że to jest możliwe, a potem powiedziałam sobie: „Wydaje mi się, że wygodniej jest im udawać, że mówią prawdę".

Martena przerwała i ni stąd, ni zowąd zapytała matkę:

— Dlaczego nie powiedziałaś ojcu, dokąd lecimy?

— Nie mogłam. To nie był mój sekret.

— A może gdybyś powiedziała mu, zdecydowałby się na pozostanie z nami.

Insygna potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie zostałby. Chciał wrócić na Ziemię.

— Gdybyś mu powiedziała, mamo, komisarz Pitt nie pozwoliłby mu odejść, prawda? Ojciec wiedziałby za dużo.

— Pitt nie był wtedy komisarzem — odpowiedziała Insygna, nie zwracając uwagi, że mówi nie na temat. A potem dodała gwałtownie:

— Nie chciałabym, żeby został na takich warunkach. A ty co byś zrobiła na moim miejscu?

— Nie wiem. Nie wiem, jaki by był, gdyby został.

— Lecz ja wiem — Insygna znowu poczuła, że płonie. Wróciła myślami do tej ostatniej rozmowy i do swojego dzikiego krzyku, którym nakazywała Fisherowi, że ma się wynosić. Nie, to nie był błąd.

Nie chciałaby go jako więźnia zmuszonego do pozostania na Rotorze. Nie kochała go aż tak bardzo. A jeśli już o to chodzi, to nie życzyła mu aż tak źle.

Szybko zmieniła temat, nie chcąc, by wyraz jej twarzy zdradził, o czym myślała.

— Przestraszyłaś Orinela dziś po południu. Dlaczego powiedziałaś mu, że Ziemia zostanie zniszczona? Przyszedł z tym do mnie i wydawał się bardzo przejęty.

— Wystarczyło mu powiedzieć, że jestem dzieckiem i że nikt nie słucha tego, co mówią dzieci. Z miejsca by ci uwierzył.

Insygna pominęła milczeniem tę uwagę Marteny. A może najlepiej w ogóle nic nie mówić, by uniknąć mówienia prawdy.

— Czy naprawdę myślisz, że Ziemia zostanie zniszczona?

— Tak. Rozmawiasz czasami o Ziemi. Mówisz: „biedna Ziemia". Zawsze mówisz: „biedna Ziemia".

Insygna poczuła, że się czerwieni. Czy rzeczywiście wyraża się ten sposób o Ziemi?

— A dlaczego nie mam tak mówić? — zapytała. — Ziemia jest przeludniona, wyniszczona, pełna nienawiści, głodu i nieszczęść. Współczuję jej: biedna Ziemia.

— Nie, mamo, teraz mówisz to inaczej. Normalnie brzmi to tak… tak… — Dłoń Marteny zawisła w powietrzu szukając czegoś i w końcu nie znajdując.

— Tak, Marleno?

— Mam to wszystko w głowie, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów.

— Spróbuj. Powinnam wiedzieć.

— Sposób, w jaki to mówisz… Wydaje mi się, że czujesz się winna, tak jak gdybyś ponosiła za to odpowiedzialność.

— Dlaczego? Co ja takiego zrobiłam?

— Słyszałam to tylko raz. gdy byłaś na tarasie widokowym. Patrzyłaś na Nemezis i wtedy wydawało mi się, że Nemezis ma z tym jakiś związek. Zapytałam komputera, co znaczy Nemezis i uzyskałam odpowiedź. To jest coś, co bezustannie niszczy, coś co domaga się zemsty.

— Ależ nazwano ją Nemezis z zupełnie innych powodów! — krzyknęła Insygna.

— Ty ją tak nazwałaś — powiedziała Marlena cicho i nieugięcie. To oczywiście nie było już tajemnicą, odkąd tylko opuścili Układ Słoneczny. Ogłoszono, że Insygna jest odkrywczynią gwiazdy i jednocześnie jej matką chrzestną.

— I właśnie dlatego, że ja ją tak nazwałam, wiem, że powody, dla których wybrano to imię, były zupełnie inne.

— Dlaczego więc czujesz się winna, mamo? (Cisza — jeśli chcesz

uniknąć mówienia prawdy…) W końcu jednak Insygna odezwała się:

— W jaki sposób Ziemia ma zostać zniszczona?

— Nie wiem, ale myślę, że ty wiesz, mamo.

— Nie rozumiemy się, Marleno, i dajmy temu spokój na razie. Chciałabym jednak, żebyś zrozumiała, że nie powinnaś z nikim poruszać tych tematów. Chodzi mi o ojca i o te bzdurne przypuszczenia dotyczące Ziemi.

— Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz, ale to nie są bzdury.

— A ja mówię ci, że są. Nonsensowne bzdury! — Marlena kiwnęła głową.

— Wyjdę trochę popatrzeć — powiedziała obojętnie. — A potem pójdę do łóżka.

— Zgoda — powiedziała Insygna za wychodzącą córką.

Winna — pomyślała. Czuję się winna. Widać to na mojej twarzy jak jasny makijaż. Każdy, kto na mnie patrzy, może to dostrzec. Nie, nie każdy. Tylko Marlena. Marlena ma specjalny dar. Martena musi coś mieć, aby zrekompensować sobie swoje wszystkie braki. Inteligencja to nie wszystko. Nie może zastąpić wielu innych rzeczy, Marlena posiadała więc ten dar odczytywania wyrażeń, intonacji i innych normalnie niezauważalnych ruchów i reakcji cielesnych. Żaden sekret nie był bezpieczny.

Jak dawno odkryła w sobie tę niebezpieczną cechę? Od jak dawna wiedziała o niej? Czy to coś nasiliło się z wiekiem? Dlaczego mówi o tym teraz? Dlaczego dopiero teraz odkryła karty i używa swojej broni przeciwko matce? Czy dlatego, że Orinel odrzucił ją ostatecznie i nieodwołalnie zgodnie z tym, co w nim ujrzała? Czy dlatego uderza na ślepo?

Winna — pomyślała Insygna. Dlaczego nie ma się czuć winna? To ja ponoszę odpowiedzialność. Powinnam była wiedzieć od samego początku, odkąd tylko ją odkryłam, ale nie chciałam wiedzieć.

Rozdział 6
ZBLIŻENIE

Kiedy dowiedziała się po raz pierwszy? Wtedy, gdy nazwała gwiazdę Nemezis? Czyżby przeczuwała jej znaczenie? Czyżby podświadomie wiedziała, co kryje w sobie imię? Gdy po raz pierwszy ujrzała gwiazdę, liczyło się tylko odkrycie. W jej głowie nie było miejsca na nic innego, oprócz myśli o nieśmiertelności. To była jej gwiazda — Gwiazda Insygny. Właśnie tak chciała ją nazwać. Jakże wspaniale brzmiało, mimo że w końcu niechętnie przystała na inne imię w geście udawanej skromności. Gdyby wtedy zdecydowała się nadać jej własne imię, nie mogłaby teraz spojrzeć sobie w oczy.

Tuż po odkryciu nadszedł szok związany z obowiązkiem zachowania tajemnicy wymyślonym przez Pitta, a później zaczęły się gwałtowne przygotowania do Odjazdu (Czy tak właśnie nazwą to przyszli historycy? Odjazd? Z dużej litery?).

Przez następne dwa lata po Odjeździe, statek podróżował w kosmosie wchodząc i wychodząc z hiperprzestrzeni, a ona zajęta była niekończącymi się obliczeniami do hiperwspomagania, które bezustannie korelowano z danymi astronomicznymi, co musiała nadzorować. Sama gęstość i skład materii międzygwiezdnej…

Przez cztery lata nie miała czasu, by zająć się dokładniej Nemezis. Ani razu nie uderzyło jej to, co teraz wydaje się oczywiste.

Czy to możliwe? A może po prostu odwracała się od tego, czego nie chciała dostrzec? Może celowo szukała ucieczki w zatajeniach, pośpiechu i wreszcie podnieceniu obecnym przez wszystkie lata podróży? Lecz wreszcie nadszedł czas, gdy po raz ostatni wyszli z hiperprzestrzeni, gdy zaczął się miesięczny okres hamowania poprzez pierwsze atomy wodoru pochodzące z Nemezis, które uderzali z taką siłą, że pękały rozbite na miliony kosmicznych cząstek.

Żaden zwykły pojazd kosmiczny nie przetrwałby takiej próby, Lecz Rotor wyposażono w grubą, okalającą warstwę gruntu na zewnątrz; gruntu, który dodatkowo utwardzono na czas podróży który pochłaniał rozbite cząstki.

Jeden z hiperspecjalistów zapewniał ją, że wkrótce nadejdą czasy, gdy wejście i wyjście z hiperprzestrzeni odbywać się będzie przy normalnej szybkości.

— Gdy ma się już hiperprzestrzeń — mówił — nie trzeba dokonywać żadnych przełomów myślowych. Reszta to prosta robota inżynieryjna.

Być może! Jednak pozostali hiperspecjaliści nie traktowali tego byt poważnie.

Gdy wreszcie zrozumiała prawdę, Insygna pośpiesznie udała się do Pitta. Podczas ostatniego roku nie miał dla niej zbyt wiele czasu — co było całkiem zrozumiałe. Gdy znikło początkowe podekscytowanie podróżą, na Rotorze zaczęło narastać napięcie — Ludzie zdali sobie sprawę, że za kilka miesięcy znajdą się w pobliżu innej gwiazdy. Stanęli przed problemem przetrwania nie wiadomo jak długo w pobliżu dziwnego, czerwonego karła, bez gwarancji na istnienie rozsądnej ilości materiału planetarnego mogącego posłużyć jako rodło zapasów, nie wspominając już o znalezieniu nadającej się do zamieszkania planety.

Janus Pitt nie przypominał już młodzieńca, chociaż jego włosy ile zaczęły jeszcze siwieć, a twarz pozbawiona była zmarszczek. minęły cztery lata, odkąd przyszła do niego po raz pierwszy z wiadomością o istnieniu Nemezis. W oczach Pitta dostrzegła udrękę, ego spojrzenie świadczyło, że opuściła go radość, a pozostały jedynie troski wystawione teraz na widok publiczny.

Pitt był już komisarzem-elektem. Być może przygniatała go odpowiedzialność związana ze stanowiskiem, kto wie? Insygna nie miała pojęcia, czym jest prawdziwa władza — tym bardziej nie dawała sobie sprawy z towarzyszącej jej odpowiedzialności — lecz coś podpowiadało jej, że smak władzy bywa niekiedy gorzki.

Pitt uśmiechnął się do niej zdawkowo. Zmuszeni byli trzymać się razem wtedy, gdy dzielili we dwójkę sekret, do którego później także dopuszczono nielicznych. Umieli kiedyś rozmawiać ze sobą bez skrępowania — nie mogli tego robić z nikim innym. Gdy tajemnica została ujawniona, tuż po Odjeździe, ich drogi rozeszły się.

— Janus — zaczęła — jest pewna rzecz, która nie daje mi spokoju, i z którą musiałam przyjść do ciebie. Chodzi o Nemezis.

— Czy zaszło coś nowego? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nie ma jej tam, gdzie według ciebie powinna być?

Widziałem ją, jest w odległości szesnastu miliardów kilometrów, wszyscy widzieli.

— Tak, wiem. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam ją, oddaloną o dwa lata świetlne, przyjęłam, że Nemezis jest gwiazdą towarzyszącą, to znaczy, że ona i Słońce okrążają wspólny środek grawitacji. Coś, co było tak blisko Słońca, chcąc nie chcąc, musiałoby zachowywać się w ten sposób. Nie wiem, jak to powiedzieć?

— W porządku. Jestem przygotowany na najgorsze.

— Pomimo swojej bliskości w stosunku do Słońca, Nemezis jest w dalszym ciągu za daleko jak na gwiazdę towarzyszącą. Oddziaływanie grawitacyjne pomiędzy Słońcem i Nemezis jest wyjątkowo słabe, tak słabe, że perturbacje grawitacyjne pobliskich gwiazd mogą

zdestabilizować orbitę Nemezis.

— Ale ona tam jest.

— Tak, pomiędzy nami i Alfa Centauri.

— Co ma do tego Alfa Centaur!?

— Chodzi o to, że odległość Nemezis w stosunku do Alfa Centauri jest tylko niewiele większa niż do Słońca. Wygląda na to, że Nemezis równie dobrze może być gwiazdą towarzyszącą Alfa Centauri, lub — co jeszcze bardziej prawdopodobne — bez względu na przynależność do systemu, obecność Alfy destabilizuje Nemezis, jeśli już tego nie zrobiła.

Pitt popatrzył w zamyśleniu na Insygnę i zaczął bębnić palcami po oparciu fotela.

— Jak długo trwa obrót Nemezis wokół Słońca, zakładając, że jest to gwiazda towarzysząca Słońcu?

— Nie wiem. Muszę opracować jej orbitę. Powinnam była zrobić to przed Odjazdem, ale było tyle innych rzeczy, teraz też zresztą… to nie jest wytłumaczenie.

— Spróbuj zgadnąć.

— Jeśli jest to orbita kołowa — powiedziała — to Nemezis potrzebuje nieco ponad pięćdziesiąt milionów lat na okrążenie Słońca, a raczej środka grawitacji systemu, ponieważ Słońce robi dokładnie to samo. Linia prosta łącząca obydwa poruszające się ciała zawsze przechodzi przez ich wspólny środek ciążenia. Z drugiej strony, jeśli Nemezis porusza się po orbicie eliptycznej i obecnie znajduje się w jej najdalszym punkcie — co wydaje się absolutnie konieczne, jeśli bowiem oddali się jeszcze bardziej przestanie być towarzyszką Słońca — to interesujący nas okres

może wynosić jedynie dwadzieścia pięć milionów lat.

— To znaczy, że gdy Nemezis znajdowała się w takiej pozycji po raz ostatni — chodzi mi o jej położenie pomiędzy Alfa Centauri a Słońcem — Alfa Centauri była w zupełnie innym miejscu niż jest teraz. Dwadzieścia pięć do pięćdziesięciu milionów lat musiało wpłynąć na usytuowanie Alfa Centauri, czyż nie tak? Pytanie, jak bardzo? Byłby to spory ułamek roku świetlnego.

— Czy to oznacza, że Słońce i Alfa Centaur! walczą o Nemezis nie po raz pierwszy? Że do tej pory nic nie zakłócało jej obrotu?

— Absolutnie nie, Janus. Nawet jeśli pominiemy Alfa Centauri, są jeszcze inne gwiazdy. Teraz jest to akurat Alfa, innym razem mogły to być bardziej odległe gwiazdy, które zakłócały orbitę w jakimś innym punkcie.

Chodzi o to, że orbita jest po prostu niestabilna.

| — No więc co robi Nemezis w naszym sąsiedztwie, jeśli nie orbituje wokół Słońca?

— Właśnie — powiedziała Insygna.

— Co znaczy „właśnie”?

— Gdyby Nemezis orbitowała wokół Słońca, poruszałaby się szybkością relatywną wynoszącą od osiemdziesięciu do stu merów na sekundę, w zależności od masy własnej. To jest bardzo niewielka prędkość jak na gwiazdę i w związku z tym Nemezis sprawiałaby wrażenie pozostawania w tym samym miejscu przez bardzo długi okres. Pozostawałaby bardzo długo za chmurą, szczególnie jeśli przyjmiemy, że chmura porusza się w tym samym kierunku w stosunku do Słońca. Nic dziwnego, że nikt do tej pory nie zauważył Nemezis — jest to niezwykle trudne przy tej prędkości i dodatkowym zaciemnieniu. Jednakże… — przerwała.

Pitt, który nawet nie udawał zainteresowania, westchnął i powiedział:

— Czy mogłabyś się streszczać?

— Tak. No cóż. jeżeli Nemezis nie orbituje wokół Słońca, to znaczy, że jej ruch jest niezależny i w związku z tym jej prędkość w stosunku do Słońca wzrasta do stu kilometrów na sekundę. czyli jest tysiąc razy większa niż szybkość orbitalna. Nemezis przypadkowo znalazła się w naszym sąsiedztwie, lecz leci dalej, minie Słońce i nigdy nie wróci.

W dalszym ciągu przesłonięta jest chmurą i raczej nie zmienia pozycji.

— Dlaczego?

— Istnieje tylko jedno wytłumaczenie, dlaczego ciało poruszające się z dużą szybkością nie wydaje się zmieniać swojej pozycji na niebie.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że wibruje w tę i z powrotem. Insygna zacisnęła wargi.

— To nie czas na żarty, Janus. To wcale nie jest śmieszne. Nemezis porusza się prawdopodobnie prosto w kierunku Słońca. Nie zmienia kierunku ani w prawo, ani w lewo, leci prosto na nas. To znaczy prosto na Układ Słoneczny.

Pitt spojrzał na nią kompletnie zaskoczony.

— Czy są na to jakieś dowody?

— Jeszcze nie. Nie było potrzeby badania spektrum Nemezis do tej pory. Dopiero gdy określiłam paralaksę, analiza spektralna zaczęła mieć sens, ja jednak odłożyłam to na później. Jeśli pamiętasz, zrobiłeś mnie kierownikiem projektu pracującego nad Sondą i nakazałeś odwracanie uwagi wszystkich od Nemezis. Nie mogłam wtedy przeprowadzić dokładnej analizy spektralnej i od Odjazdu… no cóż, nie zrobiłam tego. Teraz jednak zbadam tę sprawę, możesz być pewny.

— Pozwól, że zadam ci pytanie. Czy gdyby Nemezis poruszała się w odwrotnym kierunku, nie ku, lecz od Słońca, to wrażenie bezruchu nie byłoby takie samo? W tej chwili istnieje pięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że leci ku Słońcu, prawda?

— Odpowie na to analiza spektralna. Przesunięcie ku czerwieni linii spektrum będzie oznaczało oddalanie się, przesunięcie ku fioletom zbliżanie.

— Ale teraz jest już za późno! Analiza spektralna zawsze pokaże ci zbliżenie, ponieważ my przez cały czas zbliżamy się do Nemezis.

— Zgadza się, dlatego też nie będę analizowała spektrum Nemezis, tylko Słońca. Jeśli Nemezis zbliża się do Słońca, to Słońce będzie bliższe Nemezis, jeśli odliczy się nasz ruch. Poza tym, lecimy coraz wolniej i za miesiąc nasz ruch będzie można całkowicie pominąć w analizie spektralnej. — Pitt pogrążył się w myślach. Trwał tak przez około pół minuty, wpatrując się w nienagannie czystą powierzchnię biurka. Uderzał delikatnie dłonią w terminal komputera. A potem, nie podnosząc głowy, powiedział:

— Nie. Tych badań nie należy przeprowadzać. Nie chcę, Insygno żebyś zaprzątała sobie głowę tą sprawą. Ten problem nie istnieje, zapomnij o nim.

Ruchem ręki nakazał jej odejść.

Oddech Insygny z trudem wydobywał się z jej zaciśniętej krtani. Wreszcie odezwała się cichym, lecz szorstkim głosem:

— Jak śmiesz, Janus? Jak śmiesz?

— Jak śmiem co? — oburzył się.

— Jak śmiesz nakazywać mi wyjść stąd, tak jak gdybym była zwykłą programistką twojego komputera? Gdybym nie odkryła Nemezis nie bylibyśmy tutaj. Ty nie byłbyś komisarzem-elektem. Nemezis jest moja. Mam do niej prawo!

— Nemezis nie należy do ciebie; należy do Rotora. Odejdź więc proszę i pozwól mi zająć się bieżącymi sprawami.

— Janus — powiedziała podnosząc głos — jeszcze raz powtarzam, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Nemezis zmierza kierunku naszego Układu Słonecznego.

— A ja powtarzam ci, że istnieje pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że jest tak, jak mówisz. A nawet jeśli Nemezis rzeczywiście zmierza ku Układowi Słonecznemu — już nie „naszemu”, lecz ich Układowi Słonecznemu — to nie wmówisz mi, że uderzy prosto w Słońce. Nigdy w to nie uwierzę. Podczas całej swojej historii, trwającej już od pięciu miliardów lat. Słońce nigdy te zderzyło się z inną gwiazdą, nigdy nawet nie znalazło się w jej pobliżu. Prawdopodobieństwo kolizji gwiazd, nawet w zatłoczonych częściach Galaktyki, jest żadne. Być może nie jestem astronomem, ale tyle przynajmniej wiem.

— Prawdopodobieństwo nigdy nie jest pewnością, Janus. Dopuszczalne jest, chociaż mało prawdopodobne, że Nemezis zderzy się ze Słońcem. I to wystarczy. Problem polega na tym, że fatalne w skutkach — szczególnie na Ziemi — może być nawet zbliżenie, a

niekoniecznie kolizja.

— Co masz na myśli mówiąc o zbliżeniu?

— Nie mogę podać ci teraz dokładnych danych. Wymaga to wielu obliczeń.

— W porządku. Sugerujesz więc, abyśmy zadali sobie trud niezbędnych obserwacji i obliczeń i jeśli stwierdzimy, że istnieje zagrożenie dla Układu Słonecznego, to wtedy co? Mamy ostrzec Układ Słoneczny?

— Oczywiście. Nie mamy wyboru.

— A w jaki sposób chcesz ich ostrzec? Nie mamy środków do hiperkomunikacji, a nawet gdybyśmy mieli, oni nie potrafiliby odebrać hiperkomunikatów. Gdybyśmy zdecydowali się przesłać wiadomość za pomocą światła, mikrofal, modulowanych neutrin, jej podróż na Ziemię trwałaby ponad dwa lata, zakładając zresztą, że dysponowalibyśmy wystarczająco silnym promieniem o dużym skupieniu. A nawet wtedy, skąd mielibyśmy pewność, że odebrali naszą wiadomość? Gdyby chcieli i mogli nam odpowiedzieć, trwałoby to kolejne dwa lata. A jaki byłby ostateczny rezultat naszego ostrzeżenia? Musielibyśmy powiedzieć im, gdzie jest Nemezis, zresztą sami zauważyliby, skąd pochodzi informacja. Cala nasza tajemnica, cały nasz plan stworzenia jednorodnej cywilizacji wokół Nemezis — cywilizacji wolnej od obcych wpływów — przestanie mieć jakikolwiek sens.

— Bez względu na koszty, Janus, nie wolno nam ich nie ostrzec.

— O co ci chodzi? Nawet jeśli Nemezis zbliża się do Słońca, ile czasu jej to zajmie?

— Może znaleźć się w pobliżu Słońca za pięć tysięcy lat. Pitt rozsiadł się wygodniej w fotelu i spojrzał na Insygnę z udawanym rozbawieniem.

— Pięć tysięcy lat! Tylko pięć tysięcy lat? Posłuchaj, Eugenio, dwieście pięćdziesiąt lat temu pierwszy Ziemianin stanął na Księżycu. Minęło raptem dwa i pół wieku l oto my zmierzamy ku najbliższej gwieździe. Gdzie w takim razie będziemy za kolejne pięćdziesiąt lat? Na której gwieździe? A za pięć tysięcy lat, pięćdziesiąt wieków, cała Galaktyka będzie nasza, jeśli przyjąć, że jesteśmy jedyną inteligentną formą życia. Sięgnijmy po inne Galaktyki. Za pięć tysięcy lat technologia umożliwi nam — w przypadku rzeczywistego zagrożenia Układu Słonecznego — przeniesienie wszystkich Osiedli i całej populacji planetarnej w głęboką przestrzeń i na inne gwiazdy. Insygna potrząsnęła głową.

— Niech ci się nie zdaje, Janus, że postęp technologu oznacza możliwość opuszczenia Układu Słonecznego na skinienie ręki. Transport miliardów ludzi bez chaosu i bez olbrzymich strat wymaga długich przygotowań. Jeśli grozi im śmiertelne niebezpiezzeństwo za

pięć tysięcy lat, powinni wiedzieć o nim już teraz. już teraz muszą zacząć przygotowania.

— Masz dobre serce, Eugenio — powiedział Pitt. — Pójdźmy więc na kompromis. Przypuśćmy, że damy sobie sto lat, przez które osiedlimy się tutaj, pomnożymy nasze siły, zbudujemy zespół osiedli wystarczająco potężnych i stabilnych, by były bezpieczne. I wtedy zbadamy, dokąd leci Nemezis i jeśli okaże się to konieczne, prześlemy ostrzeżenie Układowi Słonecznemu. W dalszym ciągu będą mieli prawie pięć tysięcy lat na przygotowania. Jeden wiek w niczym nie zaszkodzi ani nie pomoże.

Insygna westchnęła.

— Czy tak wygląda twoja wizja przyszłości? Ludzkość skacząca gwiazdy na gwiazdę? Każda grupka podporządkowująca sobie tę czy inną gwiazdę? Ciągła nienawiść, podejrzenia, konflikty tale jak na Ziemi przez tysiące lat, przeniesione do Galaktyki na kolejne tysiące?

— Eugenio, nie mam żadnej wizji. Ludzkość zrobi to, co zechce. będzie skakać, tak jak mówisz, lub ustanowi Cesarstwo Galaktyczne czy coś jeszcze innego. Nie mogę dyktować ludzkości, co ma robić i nie mam zamiaru jej kształtować. Jeśli chodzi o mnie, nam tylko to Osiedle, którym się zajmuję i tylko jeden wiek na osiedlenie się wokół Nemezis. Później ty i ja spoczniemy bezpiecznie w grobie i nasi następcy zajmą się problemem ostrzeżenia Układu Słonecznego — jeśli zajdzie taka potrzeba. Staram się myśleć rozsądnie, Eugenio, a nie kierować emocjami. Ty także jesteś rozsądna. Przemyśl to.

Tak też zrobiła. Siedziała naprzeciw Pitta, wpatrując się w niego ponuro. Czekał na to, co powie, z przesadną cierpliwością.

— Dobrze — powiedziała w końcu. — Rozumiem, o co chodzi. Zajmę się jednak analizą ruchu Nemezis w stosunku do Słońca. Być może cała rzecz okaże się niewypałem.

— Nie — Pitt podniósł karcąco palec. — Przypomnij sobie to, co powiedziałem wcześniej. Nie będziemy prowadzić tych obserwacji. Jeśli okaże się, że Układowi Słonecznemu nie grozi niebezpieczeństwo. nic dzięki temu nie zyskamy. Zrobimy tak, jak powiedziałem: przeznaczymy stulecie na umocnienie cywilizacji Rotora. Pomyśl, gdyby okazało się, że istnieje niebezpieczeństwo, twoje sumienie nie dałoby ci spokoju, zżerałaby cię obawa, strach i poczucie winy. Gdyby rozeszło się na Rotorze, pomyśl, jak osłabiłoby morale mieszkańców, z których wielu jest równie sentymentalnych jak ty. Wiele moglibyśmy stracić. Czy rozumiesz to, co mówię?

Milczała. On natomiast powiedział:

— Dobrze, widzę, że rozumiesz. — I znów machnął ręką nakazując jej odejść.

Tym razem wyszła. Pitt spoglądając za nią pomyślał: „jej już nic nie jest w stanie pomóc”.

Rozdział 7
ZNISZCZENIE

Martena spoglądała poważnie na matkę. Starała się zachować normalnie, jednak w środku czuła radość i pomieszanie. Matka w końcu zdecydowała się opowiedzieć jej o zdarzeniach związanych z ojcem i komisarzem Pittem. Potraktowała ją jak dorosłą.

— Na twoim miejscu — powiedziała Marlena — sprawdziłabym ruch Nemezis bez względu na to. co mówił komisarz Pitt. Z tego, co powiedziałaś, wynika, że nie zdecydowałaś się na podjęcie ryzyka. Stąd twoje poczucie winy.

— Nie mogę się pogodzić z myślą — odpowiedziała Insygna — że noszę poczucie winy wypisane na czole.

— Nikt nie potrafi ukryć własnych uczuć — dodała Marlena. — Jeśli dokładnie przyjrzysz się ludziom, z łatwością stwierdzisz, co czują.

Jednak inni tego nie robią. Przekonała się o tym bardzo powoli i nie bez trudności. Ludzie po prostu nie patrzą, nie czują — nic ich to nie obchodzi. Nie przyglądają się twarzom, ciałom, nie wsłuchują w dźwięki, nie obserwują postaw i nieuchwytnych nerwowych nawyków.

— Nie powinnaś tego robić, Marleno — powiedziała Insygna, tak jak gdyby myślała o tym samym. Objęła córkę, chcąc zapewnić ją, że to, co mówi, nie jest wyrzutem. — Ludzie denerwują się, gdy wpatrujesz się z całej siły w ich twarze tymi swoimi wielkimi, ciemnymi oczami. Musisz uszanować ich prawo prywatności.

— Tak, mamo — odpowiedziała Marlena, konstatując jednocześnie bez wysiłku, że matka usiłuje bronić siebie. Insygna denerwowała się, rozważając przez cały czas, ile z tego, co myśli, udaje się jej ukryć. A potem Marlena zapytała:

— Jak to możliwe, że pomimo swojego poczucia winy w stosunku do Układu Słonecznego, nie zrobiłaś niczego?

— Istnieje wiele przyczyn, Molly.

(Tylko nie „Moll” — pomyślała Marlena z przejęciem. Marlena! Marlena! Marlena! Trzy sylaby. Akcent na drugą. Dorosła Marlena!)

— Na przykład jakie? — zapytała posępnie. (Czy matka naprawdę nie wyczuwa tej fali wrogości, która zalewa ją za każdym razem, gdy używa zdrobnienia? Przecież widać to na jej skrzywionej twarzy, w jej rozpalonych oczach, zaciśniętych wargach. Dlaczego ludzie nie patrzą? Dlaczego nie chcą widzieć?)

— Po pierwsze, Marleno, to, co mówi Janus Pitt, brzmi bardzo przekonująco. Jego propozycje mogą wyglądać dziwnie, można nie zgadzać się z nimi, jednak Pitt zawsze potrafi udowodnić ci swoje racje.

— Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, mamo, to znaczy, że jest on bardzo niebezpieczny.

Insygna oderwała się od własnych myśli i spojrzała zaintrygowana na córkę.

— Dlaczego tak mówisz?

— Każdy punkt widzenia ma swoje racje. Jeśli ktoś potrafi szybko je przedstawić i w dodatku robi to przekonująco, to często zdarza się, że przyjmuje się racje takiej osoby za dobrą monetę bez względu na ich słuszność, a to może być bardzo niebezpieczne.

— Janus Pitt rzeczywiście potrafi to robić. Przyznaję, że zaskakuje mnie twoje zrozumienie.

(Ponieważ mam tylko piętnaście lat — pomyślała Marlena — a ty przyzwyczaiłaś się traktować mnie jak dziecko).

Głośno natomiast powiedziała:

— Wiele się można nauczyć obserwując ludzi.

— Tak, ale pamiętaj, co ci powiedziałam. Musisz kontrolować swoje obserwacje. (Nigdy).

— Tak więc pan Pitt przekonał cię.

— Przekonał mnie, że nic się nie stanie, jeśli trochę poczekamy.

— A ty nawet z ciekawości nie chciałaś przekonać się, w którą stronę zmierzą Nemezis? To nieprawdopodobne.

— Byłam ciekawa, ale to nie jest takie łatwe, jak ci się wydaje. Obserwatorium jest ciągle zajęte. Trzeba czekać w kolejce na dostęp do instrumentów. Nawet jako naczelny astronom nie mogę swobodnie używać sprzętu. Poza tym, używając instrumentów nie możesz trzymać w tajemnicy tego, co robisz. Wszyscy wiemy, co dzieje się ze sprzętem i dlaczego. Nie było żadnej szansy na szczegółową analizę spektrum Nemezis i Słońca — analizę za pomocą obliczeń komputerowych — bez powiadamiania innych o tym, co robię. Podejrzewam także, że Pitt nakazał kilku osobom w obserwatorium, aby mnie pilnowały. Wiedziałby o każdym moim posunięciu.

— Nie mógłby ci przecież nic zrobić, prawda?

— Nie mógłby zastrzelić mnie za zdradę — jeśli o to ci chodzi. Zresztą nie przyszłoby mu to do głowy. Mógłby jednak zwolnić mnie ze stanowiska w obserwatorium i skierować do pracy na farmach. A tego nie chciałam. Wkrótce po rozmowie z Pittem odkryliśmy, że Nemezis ma planetę lub gwiazdę towarzyszącą. Do dziś nie wiemy, jak ją nazwać. Odległość między nimi wynosi jedynie cztery miliony kilometrów, jednak ciało towarzyszące nie emituje żadnego widzialnego światła.

— Mówisz o Megasie, prawda?

— Tak. „Melas” to stare słowo — oznacza „duży” i rzeczywiście Megas jest bardzo duży jak na planetę. Jest znacznie większy niż największa planeta Układu Słonecznego, Jowisz. Z drugiej strony jest bardzo mały jak na gwiazdę. Niektórzy twierdzą, że Megas jest czerwonym karłem. — Przerwała i spojrzała na córkę jak gdyby badając jej zdolności poznawcze. — Czy wiesz, co to jest czerwony karzeł, Molly?

— Nazywam się Marlena, mamo. — Insygna zaczerwieniła się.

— Tak, przepraszam, że czasami zapominam się. Nic na to nie poradzę: kiedyś miałam słodką, małą dziewczynkę, która nazywała się Molly.

— Wiem. Następnym razem, kiedy będę miała sześć lat, będziesz mogła mówić do mnie Molly. Insygna uśmiechnęła się.

— Czy wiesz co to jest czerwony karzeł, Marleno?

— Tak, wiem, mamo. Czerwony karzeł jest niewielkim ciałem przypominającym gwiazdę. Posiada zbyt małą masę, a co za tym idzie temperaturę i ciśnienie, by rozpoczęła się fuzja wodorowa w jego wnętrzu. Jego masa wystarcza jednak do podtrzymywania reakcji drugorzędnych, podczas których wydziela się ciepło.

— To prawda. Całkiem nieźle. Megas znajduje się na granicy. Jest bardzo ciepłą planetą albo ciemnym czerwonym karłem. Nie emituje widzialnego światła, lecz zamiast tego wysyła silne wiązki podczerwieni. Nie przypomina niczego, co badaliśmy do tej pory. Megas był pierwszym ekstrasolamym ciałem planetarnym, to znaczy pierwszą planetą poza Układem Słonecznym, jaką udało nam się zbadać szczegółowo. Całe obserwatorium było tym zajęte. Nie było szansy na zbadanie ruchu Nemezis, nawet przy najlepszych chęciach, a ja — prawdę powiedziawszy — całkowicie o tym zapomniałam. Interesowałam się Megasem tak jak wszyscy inni, rozumiesz?

— Ehe — odpowiedziała Martena.

— Okazało się, że jest to jedyne duże ciało planetarne okrążające Nemezis. Było to i tak wystarczająco dużo.

Megas jest pięciokrotnie większy niż…

— Wiem, mamo. Jest pięciokrotnie większy niż Jowisz i trzydzieści razy mniejszy niż Nemezis. Komputer nauczył mnie tego dawno temu.

— Oczywiście, kochanie. Nie nadaje się do zamieszkania, podobnie zresztą jak Jowisz. A może nawet w większym stopniu. Na początku byliśmy trochę rozczarowani, chociaż nikt naprawdę nie oczekiwał, że znajdziemy nadającą się do zamieszkania planetę w pobliżu czerwonego karła. Jakakolwiek planeta w pobliżu gwiazdy takiej jak Nemezis i w dodatku posiadająca płynną wodę zwrócona byłaby jedną stroną w kierunku gwiazdy, na skutek płynów wodnych.

— I tak właśnie dzieje się z Megasem, prawda? Chodzi mi o to, że zwrócony jest do Nemezis ciągle tą samą stroną.

— Tak. Oznacza to, że Megas posiada ciepłą i zimną stronę. Ciepła strona jest rzeczywiście niezwykle gorąca — gdyby nie to, że cyrkulacja gęstej atmosfery równoważy temperatury obydwu stron, ciepła część Megasa rozgrzana byłaby do czerwoności. Z podobnej przyczyny, a także ze względu na ciepło własne Megasa, zimna strona także jest dosyć ciepła. Wiele rzeczy związanych z Megasem ma absolutnie wyjątkowy charakter dla badań astronomicznych. Później okazało się, że Megas ma satelitę lub — jeśli potraktować go jako małe słońce — planetę, Erytro.

— Wokół której kręci się Rotor. Wiem. Ale minęło przecież jedenaście lat od odkrycia Megasa i Erytro i przez cały ten czas [ie udało ci się zbadać spektrum Nemezis i Słońca? Nie zrobiłaś żadnych obliczeń?

— No cóż…

— Wiem, że zrobiłaś — powiedziała szybko Marlena.

— Poznajesz po moim wyglądzie?

— Poznaję po wszystkim.

— Jesteś bardzo niewygodnym partnerem do rozmowy, Marleno. Tak, zrobiłam parę obliczeń.

— I co?

— Zmierza w kierunku Układu Słonecznego.

Zapadła cisza, a potem Marlena zapytała cichym głosem:

— Czy nastąpi zderzenie?

— Nie. Tak przynajmniej wynika z moich obliczeń. Jestem niemal pewna, że Nemezis nie zderzy się ze Słońcem ani z Ziemią, ii z żadnym innym dużym ciałem w Układzie Słonecznym. Problem polega na tym, że Nemezis wcale nie musi zderzyć się z czymkolwiek — sama obecność wystarczy, by zniszczyć Ziemię.

Dla Marteny było całkiem jasne, że matka nie chce rozmawiać i zniszczeniu Ziemi. Jakaś wewnętrzna sprzeczność powstrzymywała ją przed mówieniem. Gdyby Marlena przestała nalegać, matka. przestałaby mówić. Cały jej wygląd — to, że odsunęła się od Marleny, jak gdyby chciała wyjść, sposób, w jaki oblizywała wargi, świadczący o tym, że nie jest zadowolona z własnych słów — poprzedzał przypuszczenie Marteny. Chciała jednak, żeby matka mówiła dalej. Musiała wiedzieć więcej.

— Jeśli Nemezis nie zderzy się z Układem Słonecznym — powiedziała spokojnie — w jaki sposób zniszczy Ziemię?

— Pozwól, że ci wyjaśnię. Ziemia obraca się wokół Słońca tak jak Rotor wokół Erytro. Gdyby w Układzie Słonecznym była tylko Ziemia i Słońce, Ziemia poruszałaby się po tej samej drodze niemal w nieskończoność. Powiedziałam „niemal”, ponieważ podczas obrotu

Ziemi fale grawitacyjne zmniejszają ziemski moment pędu, co powoduje ciągłe, lecz bardzo powolne zbliżanie się Ziemi do Słońca. Możemy to zresztą pominąć. Istnieją bowiem inne, bardziej skomplikowane czynniki, ponieważ Ziemia nie jest sama. Księżyc, Mars, Wenus, Jowisz, każde ciało w sąsiedztwie Ziemi wywiera na nią swój wpływ. Przyciąganie planet jest niewielkie w porównaniu z przyciąganiem słonecznym, tak więc Ziemia nie zmienia raczej swojej orbity. Jednakże te mniejsze przyciągania, zmieniające często kierunki i natężenia ze względu na poruszanie się obiektów, które ją wywołują, powodują drobne zmiany w orbicie ziemskiej. Ziemia porusza się w przód i w tył, nachylenie osi zmienia się co jakiś czas, ruch ma charakter mimośrodkowy i tak dalej. Można udowodnić — i zostało to udowodnione — że wszystkie te drobne zmiany mają charakter cykliczny. Nie nasilają się w jednym kierunku, lecz powstają i cofają się, i tak bez przerwy. Sprowadza się to do tego, że Ziemia poruszając się wokół Słońca trzęsie się na swojej orbicie na dziesiątki sposobów. Wszystkie ciała w Układzie Słonecznym robią dokładnie to samo. To, że Ziemia trzęsie się nieznacznie, nie przeszkadza w istnieniu życia. W najgorszym wypadku powodowało to zlodowacenia i podnoszenie się poziomu wód, jednak życie przetrwało wszystko przez ponad trzy miliardy lat.

Przypuśćmy teraz, że Nemezis zbliża się do Układu Słonecznego na odległość nie mniejszą niż jeden miesiąc świetlny. Jest to mniej niż trylion kilometrów. Podczas mijania układu — a samo mijanie zajmie kilka ładnych lat — Nemezis wzbudzi siły grawitacyjne systemu. Zwiększy się i nasili ruch, o którym mówiłam, trzęsienie, jednak później Nemezis oddali się i wszystko wróci do normy.

— Twój pogląd, mamo — powiedziała Martena — świadczy o tym, że wszystko to będzie wyglądało znacznie gorzej od tego, co przed chwilą usłyszałam. Jaki będzie efekt tego dodatkowego trzęsienia, jeśli przyjąć, że później wszystko wróci do normy?

— No cóż, powstaje pytanie czy wszystko wróci do normy w tym samym miejscu? Na tym polega problem. Jeśli Ziemia zmieni swoją pozycję — przybliży lub oddali od Słońca, zacznie poruszać się po orbicie ekscentrycznej, nachyli lub odchyli oś — jak wpłynie to na ziemski klimat? — Nawet niewielka zmiana może wywołać tragiczne dla życia skutki.

— Czy można je przewidzieć?

— Nie. Rotor nie jest dobrym miejscem do prowadzenia takich badań. Rotor także się trzęsie, i to nawet bardzo. Obserwacje, a następnie dokładne wyliczenie rzeczywistej drogi Nemezis zajęłoby wiele czasu i wysiłku, a poza tym i tak nie mielibyśmy pewności Póki Nemezis nie zbliży się do Układu Słonecznego, a wtedy nie już nie będzie wśród żywych.

— To znaczy, że nie możesz przewidzieć, w jakiej odległości Nemezis minie Układ Słoneczny?

— Jest to prawie niemożliwe do obliczenia. Należałoby wziąć uwagę pole grawitacyjne każdej gwiazdy w promieniu kilkudziesięciu lat świetlnych. Najmniejszy błąd może urosnąć do takiej dewiacji podczas dwóch lat świetlnych, że coś, co obliczyło jako niemal zderzenie, okaże się przelotem w odległości miliardów kilometrów i odwrotnie.

— Komisarz Pitt powiedział, że wszyscy zdołają opuścić Układ Słoneczny zanim nadleci Nemezis, czy to prawda?

— Być może. Skąd mamy wiedzieć, co stanie się za pięć tysięcy? Jakie procesy historyczne będą miały miejsce i w jaki sposób wpłyną na całą sprawę? Możemy mieć jedynie nadzieję, że wszystkim uda się uciec w bezpieczne miejsce.

— Nawet, jeśli nie zostaną ostrzeżeni? — powiedziała Marlena. Potem przyszło jej do głowy, żeby pochwalić się znajomością astronomicznych truizmów: — No tak, przecież sami w końcu odnajdą Nemezis. Będą musieli. Nemezis będzie coraz bliżej i wszystko stanie się jasne, gdy obliczą jej drogę, a zrobią to znacznie dokładniej wtedy, gdy zmniejszy się ich wzajemna odległość.

— Zabierze im to trochę czasu potrzebnego na przygotowanie ucieczki, jeśli taka okaże się konieczna. — Marlena spoglądała na swoje stopy.

— Mamo — powiedziała — nie złość się na mnie, ale wydaje mi się że ty nie byłabyś zadowolona nawet wtedy, gdyby wszystkim udało się bezpiecznie uciec z Układu Słonecznego. Jest jeszcze oś, co cię martwi. Powiedz mi, proszę.

— Nie podoba mi się pomysł opuszczenia Ziemi — powiedziała Insygna. — Nawet, jeśli wszystko przebiegnie bardzo spokojnie, z dużym wyprzedzeniem i bez żadnych ofiar, nie podoba mi się Nie chcę, żeby porzucili Ziemię.

— A jeśli to będzie konieczne?

— To tak się stanie. Muszę ugiąć się przed koniecznością, ale to wcale nie znaczy, że musi mi się ona podobać.

— Czujesz się związana z Ziemią? Studiowałaś tam, prawda?

— Robiłam tam pracę dyplomową z astronomii. Nie lubiłam Ziemi, ale to nie ma żadnego znaczenia. Tam przecież narodziła się rasa ludzka. Rozumiesz, o co mi chodzi, Marleno? Nawet, jeśli mam mieszane uczucia, co do Ziemi ze względu na mój pobyt, to jest to świat, na którym powstawało życie przez miliony lat. Dla mnie nie jest to tylko świat, lecz idea, abstrakcja. Chcę, żeby istniała przez to, co stało się w przeszłości. Nie wiem, czy wyrażam się jasno…

— Ojciec był Ziemianinem — powiedziała Marlena. Insygna zacisnęła wargi.

— Tak. Był.

— I wrócił na Ziemię.

— Tak przynajmniej mówią dokumenty. Sądzę, że wrócił.

— Czyli ja także jestem w połowie Ziemianką, prawda? — Insygna wzruszyła ramionami.

— Wszyscy jesteśmy Ziemianami, Marleno. Moi prapradziadkowie mieszkali na Ziemi przez całe życie. Moja prababka urodziła się na Ziemi. Wszyscy bez wyjątku pochodzimy od Ziemian. Dotyczy to nie tylko ludzi. Każda drobina życia w każdym Osiedlu, od wirusa do drzewa, pochodzi z Ziemi.

— Ale tylko ludzie o tym wiedzą — powiedziała Marlena — i tylko do nich tęsknimy. Myślisz czasami o ojcu, nawet teraz?

Marlena rzuciła szybko spojrzenie na matkę i skrzywiła się.

— To nie mój interes — właśnie to chcesz mi powiedzieć.

— Tak właśnie wydawało mi się przed chwilą, ale nie muszę kierować się własnymi wrażeniami. Jesteś przecież jego córką. Tak, czasami zdarza mi się myśleć o nim.

Kolejne wzruszenie ramion.

— A czy ty także o nim myślisz, Marleno?

— W zasadzie nie mam o czym myśleć. Nie pamiętam go. Nigdy nie widziałam żadnych hologramów ani niczego…

— Tak, nie było sensu… — głos Insygny załamał się.

— Kiedy byłam mniejsza, często zastanawiałam się, dlaczego niektórzy ojcowie zostali z dziećmi po Odjeździe, a niektórzy nie. Wydawało mi się, że ci, którzy odeszli, nie lubili swoich dzieci, i że ojciec także mnie nie lubił.

Insygna spojrzała na córkę.

— Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

— To była moja osobista myśl, moja własność. Kiedy podrosłam, zrozumiałam, że wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane.

— Nie powinnaś była tak myśleć. To nieprawda… Mogłabym ci wytłumaczyć, gdybym wiedziała…

— Wiem, że nie lubisz rozmawiać o tamtych czasach, mamo.

— Ale spróbowałabym, wiedząc o czym myślisz. Gdybym umiała czytać z twojej twarzy tak jak ty potrafisz z mojej… On cię naprawdę kochał. Zabrałby cię ze sobą, gdybym mu na to pozwoliła. To a wina, że ty i ojciec żyjecie oddzielnie…

— Jego także. Mógł zostać z nami.

— Tak, mógł. Teraz, po upływie lat widzę i rozumiem znacznie lepiej, na czym polegał jego problem. To on przecież musiałby opuścić swój dom. Mój dom leciał ze mną. Jesteśmy dwa lata świetlne od Ziemi, a ja ciągle jestem w domu, tu gdzie się urodziłam. Twój ojciec był inny. Urodził się na Ziemi, a nie na Rotorze i nie mógł pogodzić się z myślą, że opuści ją na zawsze. Myślę o tym od czasu do czasu.

Nie podoba mi się pomysł opuszczenia Ziemi przez Ziemian. Kilka miliardów ludzi będzie żyło ze złamanymi sercami.

Przez chwilę zapadła między nimi cisza, a potem Marlena powiedziała:

— Ciekawa jestem, co robi teraz ojciec na Ziemi?

— Nie wiem, skąd miałabym wiedzieć? Dwadzieścia trylionów kilometrów to bardzo, bardzo daleko, a czternaście lat to bardzo, bardzo długo.

— Czy myślisz, że jeszcze żyje?

— Nie wiem — odpowiedziała Insygna. — Niektórzy ludzie żyją bardzo krótko na Ziemi.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie mówi do siebie i dodała:

— Jestem pewna, że żyje, Marleno. Gdy wyjeżdżał, cieszył się doskonałym zdrowiem, a ma przecież niecałe pięćdziesiąt lat. Tęsknisz za nim? — jej głos brzmiał trochę miękko. Marlena potrząsnęła głową.

— Nie można tęsknić za czymś, czego nigdy się nie miało. Lecz ty miałaś go, mamo — pomyślała — i ty na pewno tęsknisz.

Rozdział 8
AGENT

To dziwne, lecz Krile Fisher musiał na nowo przyzwyczajać się do Ziemi. Nie zdawał sobie sprawy, że przez cztery lata pobytu na Rotorze nasiąknął atmosferą Osiedla w tak znacznym stopniu. Był to najdłuższy okres, przez jaki przebywał poza Ziemią, mimo to nie powinien był odzwyczaić się od życia na macierzystej planecie.

Odzwyczaił się przede wszystkim od ziemskiej skali — odległy horyzont kończył się ostro, opierając się o sklepienie niebieskie, podczas gdy na Rotorze zawsze spowijała go mgła. Poza tym tłumy, niezmienne przyciąganie, atmosfera dzikości i samowoli, skoki temperatury i przyroda, nad którą nikt nie panował.

Czuł to wszystko niejako podświadomie. Nie musiał wychodzić z domu, by cieszyć się tym, co było na zewnątrz. Zewsząd ogarniała go wszechobecna dzikość, a może po prostu jego pokój był zbyt mały. zbyt zatłoczony, by odizolować go od napływu dźwięków i wrażeń wtłaczanych przez rozkładający się, pełen ludzi świąt.

Dziwne, że tak bardzo tęsknił za Ziemią przez te wszystkie lata na Rotorze, a teraz — kiedy znowu był u siebie — czuł to samo w stosunku do Rotora. Czyżby miał spędzić resztę życia na rozpaczy, że nie jest tam, gdzie chciałby być?

Zapaliła się lampka sygnalizacyjna i zaraz potem usłyszał brzęczyk. Lampka mrugała — na Ziemi wszystko zdawało się mrugać, podczas gdy na Rotorze wszystko było stale l niemal agresywnie perfekcyjne.

— Wejść — powiedział cicho, lecz na tyle głośno, by uruchomić mechanizm otwierający zamek.

Do pokoju wszedł Garand Wyler (Fisher spodziewał się tego) rozbawieniem spojrzał na gospodarza.

— Chyba nie ruszyłeś się na krok z domu, odkąd byłem tu po ostatni, Krile?

— Byłem tu i tam. Jadłem. Siedziałem trochę w łazience.

— Dobrze, to znaczy, że żyjesz, chociaż nie wyglądasz na ta-go — uśmiechnął się szeroko.

Miał gładką, brązową skórę, ciemne oczy, białe zęby i gęste Błyszczące włosy.

— Rozpamiętujesz pobyt na Rotorze?

— Myślę o nim od czasu do czasu.

— Zawsze chciałem cię o to zapytać, ale nigdy nie było czasu:

Spotkałeś Królewnę Śnieżkę, ale bez siedmiu krasnoludków, prawda?

— Tak, same Królewny Śnieżki — odpowiedział. — Nie widziałem jednej osoby o czarnej skórze.

— W takim razie krzyżyk na drogę. Wiesz, że odlecieli? Fisher poczuł, jak napinają się jego mięśnie, zerwał się niemal równe nogi, w końcu jednak opanował się.

— Wspominali o tym — powiedział kiwając głową.

— To znaczy, że mówili poważnie. A teraz odpłynęli. Obserwowaliśmy ich tak długo, jak tylko się dało.

Podsłuchiwaliśmy ich przekazy radiowe. A w końcu nabrali szybkości dzięki temu swojemu hiperwspomaganiu i po jednej sekundzie — a słyszeliśmy to wtedy bardzo dokładnie — zniknęli. Wszystko się skończyło.

— Znaleźliście ich, gdy wrócili do normalnej przestrzeni?

— Tak, parokrotnie. Za każdym razem słabiej. Poruszali się z szybkością światła na pełnej mocy, minęły trzy sekundy i znów szli do hiperprzestrzeni, a potem znów się pojawili, ale byli zbyt daleko, by można ich było złapać.

— Ich wybór — powiedział Fisher z goryczą w głosie. — Wykopali malkontentów takich jak ja.

— Szkoda, że tego nie widziałeś. Powinieneś to sobie pooglądać. Bardzo interesujący spektakl. Wiesz, że niektórzy twardogłowi utrzymywali do samego końca, że hiperwspomaganie to oszustwo, że jakiegoś powodu starają się nas nabrać…

— Rotor miał Sondę Dalekiego Zasięgu. Nie mogliby wysłać jej daleko bez hiperwspomagania.

— Oszustwo! Tak mówili twardogłowi.

— Sonda nie była oszustwem.

— Tak, teraz wszyscy to wiedzą. Wszyscy. Rotor zniknął z instrumentów i nie może być żadnego innego wyjaśnienia. Każde Osiedle to widziało. Żadnej pomyłki. W tej samej sekundzie zniknął ze wszystkich instrumentów. Najgorsze jest to, że nie wiadomo, dokąd poleciał.

— Alfa Centauri, jak przypuszczam. Gdzie jeszcze mogliby polecieć?

— Biuro myśli, że to może być coś innego i że ty możesz to wiedzieć.

Fisher wyglądał na poirytowanego.

— Wyciągnęli ze mnie wszystko podczas lotu na Księżyc i z Księżyca na Ziemię. Powiedziałem im o wszystkim.

— Jasne. Wiemy o tym. Ale tutaj nie chodzi o to, co ty wiesz, że wiesz. Chcą, żebym porozmawiał z tobą jak przyjaciel z przyjacielem i przekonał się, o czym nie wiesz, że wiesz. Może pojawić się coś, o czym nie myślałeś. Byłeś tam przez cztery lata, ożeniłeś się, miałeś

dziecko. Nie mogłeś przeoczyć wszystkiego.

— Mogłem. Gdyby powstało najmniejsze podejrzenie, że czegoś szukam, wykopaliby mnie. Już samo to, że pochodziłem z Ziemi, sprawiało, że byłem podejrzany. Gdybym się nie ożenił — nie dał im tego dowodu, że chcę zostać Rotorianinem — wykopaliby mnie tak czy inaczej. Lecz pomimo ślubu nie pozwolili mi zbliżyć się do niczego istotnego czy żywotnego.

Fisher spoglądał gdzieś w bok.

— I udało się. Moja żona była tylko astronomem. Nie miałem wyboru, wiesz przecież. Nie mogłem dać ogłoszenia matrymonialnego w holowizji, że poszukuję młodej damy, która przy okazji jest hiperspecjalistką. Gdybym spotkał taką kobietę, zrobiłbym wszystko, żeby ją poderwać, nawet gdyby wyglądała jak hiena. Ale nie spotkałem ani razu przez te wszystkie lata. Technologia jest dla nich tak żywotną sprawą, że prawdopodobnie trzymają wszystkich ważnych ludzi w izolacji. Myślę, że noszą maski w laboratoriach i używają pseudonimów. Cztery lata i nic, nawet najdrobniejszej wskazówki. A wiedziałem, że oznacza to koniec mojej współpracy z Biurem.

Odwrócił się do Garanda i jego głos nabrał gwałtowności.

— Było tak źle, że zacząłem zachowywać się jak prostak. Czułem-, że przegrywam.

Wyler siedział po drugiej stronie stołu w zagraconym pokoju Krilera. Kiwał się na tylnych nogach krzesła, trzymając się stołu w obawie przed upadkiem.

— Krile — powiedział — Biuro nie może sobie pozwolić na delikatność. Nie jest jednak absolutnie pozbawione uczuć. Nie lubią stosować takich metod, ale muszą. Ja też nie lubię takiej roboty, muszę. Żałujemy, że nie powiodło ci się i że wróciłeś z niczym. Gdyby Rotor nie odleciał, być może zgodzilibyśmy się, że nic się stało. Jednak oni odlecieli. Mieli hiperwspomaganie, a ty nic przywiozłeś.

— Wiem.

— Nie znaczy to, że chcemy cię wyrzucić czy pozbyć się ciebie. Mamy nadzieję, że okażesz się jeszcze przydatny. Muszę się upewnić że twoje niepowodzenie było niezawinione.

— Co to znaczy?

— Muszę im powiedzieć, że twoja klęska nie wynika z twojej osobistej słabości. Miałeś przecież żonę na Rotorze. Czy była ładna? Lubiłeś ją?

— Tak naprawdę pytasz mnie o to, czy z miłości do Rotorianki nie chronię Rotora i nie pomagam im w zatajeniu ich spraw — krzyknął Fisher.

— No cóż — powiedział nieporuszony Wyler — czy to prawda?

— Jak możesz zadawać takie pytanie! Gdybym zdecydował się

współpracę z Rotorem, odleciałbym z nimi. Nie zostałby po mnie ślad l nigdy byście mnie nie znaleźli. Ale nie zrobiłem tego. Opuściłem Rotora i wróciłem na Ziemię, chociaż spodziewałem się, że moja wpadka zniszczy mi karierę.

— Doceniamy twoją lojalność.

— Jestem bardziej lojalny niż myślicie.

— Wiemy, że prawdopodobnie kochałeś swoją żonę i że ze ze względu na swoją służbę musiałeś ją opuścić. Zaliczymy ci to na korzyść, jeśli będziemy mieli pewność…

— Nie chodzi o żonę. O córkę.

Wyler przyjrzał się uważnie Fisherowi.

— Wiemy, że masz roczne dziecko, Krile. Jednak w tych warunkach mogłeś zastanowić się czy powierzać losowi istnienie tego zakładnika.

— Zgadzam się. Ale nie mogłem zachować się jak dobrze naoliwiony robot. Czasami coś dzieje się wbrew twojej woli. I gdy urodziło się dziecko i miałem ją przez rok…

— To całkowicie zrozumiałe, ale to był tylko rok. Bardzo niewiele, naprawdę, na powstanie rzeczywistych związków… Fisher skrzywił się.

— Być może uważasz, że jest to zrozumiałe, ale nic nie rozumiesz.

— No więc wyjaśnij mi. Spróbuję zrozumieć.

— Widzisz, ja miałem siostrę. — Wyler kiwnął głową.

— Wspomina o tym twoja kartoteka komputerowa. Miała zdaje się na imię Rosa?

— Rosanna. Zginęła podczas zamieszek w San Francisco osiem lat temu. Miała siedemnaście lat.

— Przykro mi.

— Nie brała udziału w zamieszkach. Była jedną z osób postronnych, które często padają ofiarą podczas takich wydarzeń. Znacznie częściej niż bojówkarze czy policjanci. Ale przynajmniej odnaleziono jej ciało i miałem co kremować.

Wyler milczał zakłopotany.

— Miała tylko siedemnaście lat — powiedział w końcu Fisher. — Nasi rodzice zmarli…

Fisher poruszył ręką pokazując, że nie zamierza o tym rozmawiać.

— Miała wtedy cztery lata, ja czternaście. Pracowałem po szkole, dbałem o to, by miała co jeść, w co się ubrać i czuła się dobrze, mimo że sam często byłem głodny… Nauczyłem się programowania komputerów i jakoś wiązaliśmy koniec z końcem, no i później skończyła siedemnaście lat, była taka bezbronna, nie wiedziała nawet o co chodzi w tych rozruchach, i rozdeptali ją…

— Rozumiem teraz, dlaczego zgłosiłeś się jako ochotnik na Rotora — powiedział Wyler.

— Tak. Przez kilka lat byłem po prostu nieprzytomny. Wstąpiłem do Biura, by zająć się czymś, a także dlatego, że praca tam wiąże się z ryzykiem. Przez jakiś czas szukałem śmierci, chciałem jednak zrobić coś pożytecznego po drodze. Kiedy powstał problem umieszczenia agenta na Rotorze, zgłosiłem się na ochotnika. Chciałem opuścić Ziemię.

— A teraz wróciłeś. Żałujesz tego?

— Trochę tak. Chociaż dusiłem się na Rotorze. Pomimo tych wszystkich okropieństw, na Ziemi jest przynajmniej dużo miejsca. Szkoda, że nie znałeś Rosanny, Garand. Nie masz pojęcia, jak wyglądała. Nie była ładna, ale te oczy… — spojrzenie Fishera świadczyło o tym, że myśli o przeszłości. Fałda pomiędzy brwiami nadawała jego twarzy wyraz skupienia. — Piękne oczy i jednocześnie straszne. Nigdy nie mogłem patrzeć w nie bez strachu. Spoglądały w głąb ciebie, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

— Prawdę mówiąc nie — odpowiedział Wyler.

Fisher nie zwrócił na to uwagi.

— Ona zawsze wiedziała, kiedy kłamałeś albo skrywałeś prawdę. Nie można było niczego przemilczeć, ona i tak domyślała się, o co chodzi.

— Chyba nie chcesz powiedzieć ml. że miała zdolności telepatyczne?

— Co? O nie. Tłumaczyła to w ten sposób, że czyta z wyglądu i słucha intonacji. Mówiła, że nikt nie potrafi ukryć tego, co myśli. Możesz się śmiać do upadłego, i tak widać, że przeżywasz tragedię. Żaden uśmiech nie pokryje zgorzknienia. Próbowała mi to wyjaśnić, ale ja nigdy nie pojąłem do końca, na czym to polega. Ona była niezwykła, Garand. Byłem nią zafascynowany. Garand. No a później urodziła się moja córka. Marlena.

— Tak?

— Ona ma takie same oczy.

— Twoja córka ma oczy twojej siostry?

— To nie stało się od razu, ale ja widziałem, jak zmieniają się te oczy. Kiedy miała sześć miesięcy, bałem się jej spojrzenia.

— Twoja żona także się bała?

— Nigdy tego nie widziałem, ale ona nie miała takiej siostry jak Rosanna. Marlena prawie nie płakała. Była spokojna. Rosanna jako dziecko też taka była. Wiedziałem, że Marlena nie wyrośnie na piękność. Czułem się tak jak. gdyby Rosanna wróciła. Widzisz więc że nie było mi łatwo…

— Wrócić na Ziemię?

— Tak, i zostawić je same. Straciłem Rosannę po raz drugi. Wiem, że nigdy jej już nie zobaczę. Nigdy!

— Dlaczego więc zdecydowałeś się na powrót?

— Lojalność! Obowiązek! Ale jeśli chcesz znać prawdę, niewiele brakowało, abym tam został. Byłem rozdarty. Rozdarty na dwie części. Niemal rozpaczliwie chciałem zostać z Rosanną, Marleną. Widzisz, mylę ich imona… Insygna, moja żona, powiedziała kiedyś coś dziwnego — była wtedy załamana — „Gdybyś wiedział, dokąd lecimy, nie zostawiłbyś nas". Wtedy nie chciałem ich zostawiać. Prosiłem ją, żeby wróciła ze mną na Ziemię. Odmówiła. Poprosiłem więc, żeby pozwoliła mi zabrać Ro…, Marlenę. Także odmówiła. A później, kiedy już w zasadzie postanowiłem zostać, ona wściekła się i kazała mi się wynosić. No i wyniosłem się.

Wyler spoglądał w zamyśleniu na Fishera.

— „Gdybyś wiedział, dokąd lecimy, nie zostawiłbyś nas". Czy tak właśnie powiedziała?

— Tak, takie były jej słowa. A kiedy zapytałem, dlaczego i dokąd leci Rotor, odpowiedziała „ku gwiazdom".

— To może być to. Krile. Wiedziałeś, że mają zamiar odlecieć gdzieś do gwiazd, ale ona powiedziała „gdybyś wiedział, dokąd lecimy…" Było coś, czego nie mogłeś wiedzieć. Czego nie mogłeś wiedzieć. Krile?

— O czym ty mówisz? Jak można wiedzieć to, o czym się nie wie?

Wyler wzruszył ramionami.

— Poinformowałeś o tym Biuro? Fisher zastanawiał się.

— Chyba nie. Nie myślałem o tym aż do teraz, kiedy zacząłem opowiadać ci o tym, że niemal zostałem na Rotorze — zamknął oczy, a potem powiedział bardzo wolno: — Nie, mówię o tym po raz pierwszy. Po raz pierwszy myślę o tym.

— Doskonale. A skoro o tym myślisz — dokąd poleciał Rotor? Słyszałeś jakieś dyskusje na ten temat? Plotki? Strzały w ciemno?

— Zakładano, że będzie to Alfa Centaur!. Cóż innego mogłoby to być? Najbliższa gwiazda…

— Twoja żona była astronomem. Jakie było jej zdanie na ten temat?

— Nic nie mówiła. Nigdy nie rozmawiała o tym ze mną.

— Rotor wysłał Sondę Dalekiego Zasięgu.

— Wiem.

— Twoja żona pracowała przy tym jako astronom.

— To prawda, ale nigdy nie dyskutowaliśmy o tym. Cieszyłem de zresztą z tego. Moja misja mogła wyjść na jaw, mogli mnie zaaresztować i stracić, z tego co wiem, gdyby okazało się, że przejawiałem niezdrowe zainteresowania…

— Jako astronom powinna znać cel wyprawy Rotora. Sama powiedziała przecież „gdybyś wiedział…" Rozumiesz? Ona wiedziała i gdybyś ty wiedział także, to…

Fisher nie wydawał się przekonany.

— Ale nie powiedziała mi w końcu tego, co wiedziała. O czym więc mówimy?

— Jesteś pewny? Żadnych przypadkowych uwag, których znaczenia nie mogłeś docenić w tym czasie? Przecież nie jesteś astronomem i nie musiałeś wszystkiego rozumieć. Czy pamiętasz cokolwiek, co wprawiło cię w zdumienie albo tylko zastanowiło?

— Nic takiego sobie nie przypominam.

— Pomyśl. Możliwe, że Sonda zlokalizowała system planetarny wokół jednego ze słońc Alfa Centauri lub wokół obu na raz?

— Nie umiem ci odpowiedzieć.

— Jakieś planety wokół innych gwiazd? Fisher wzruszył ramionami.

— Pomyśl! — nalegał Wyler. — Czy istnieje jakiś powód, dla którego to, co powiedziała, mogło mieć mniej więcej taki sens: „Myślisz, że lecimy na Alfa Centauri, ale wokół niej są planety i właśnie ku nim zmierzamy". Albo taki: „Myślisz, że lecimy na Alfa Centauri, lecz my zmierzamy ku innej gwieździe, wokół której la pewno są planety". Pomyśl, czy było coś takiego?

— Nie umiem ci odpowiedzieć.

Duże wargi Garanda Wylera zmieniły się na chwilę w cienką linię. Po chwili Wyler powiedział:

— Coś ci powiem, stary druhu. Teraz zdarzą się trzy rzeczy. Po pierwsze, będziesz musiał przejść kolejne przesłuchanie. Po drugie, podejrzewam, że będziemy musieli nakłonić Osiedle Ceres, żeby pozwoliło nam skorzystać ze swojego teleskopu asteroidalnego, za pomocą którego zbadamy każdą gwiazdę w odległości kilku lat świetlnych od Układu Słonecznego. I po trzecie, kopniemy naszych hiperspecjalistów w…. żeby żywiej zabrali się do roboty. Będziesz miał okazję sprawdzić, czy nie mówię prawdy.

Rozdział 9
ERYTRO

Zdarzały się takie okresy, co prawda rzadko, coraz rzadziej wraz z upływem lat (a może tak mu się wydawało), gdy Janus Pitt znajdował czas na wygodne rozparcie się w fotelu i odpoczynek. W takiej chwili nie musiał wydawać rozkazów, rozpatrywać napływających informacji, podejmować szybkich decyzji, odwiedzać farm, udawać się na inspekcję fabryk, penetrować nowych regionów przestrzeni, spotykać się z nikim, słuchać nikogo, nikogo ganić czy też podtrzymywać na duchu…

I zawsze, gdy nadchodził taki okres, Pitt pozwalał sobie na największy, a jednocześnie najmniej wyczerpujący luksus, jakim było użalanie się nad sobą. Nie chodziło mu o to, że chciałby mieć coś, czego nie miał. Przez całe swoje dorosłe życie marzył, żeby zostać komisarzem, ponieważ był przekonany, że nikt inny nie potrafi rządzić Rotorem lepiej od niego. Teraz, gdy był już komisarzem, również tak myślał.

Lecz dlaczego pośród idiotów zamieszkujących Rotora nie znajdzie się żaden o tak dalekosiężnym spojrzeniu jak on? Minęło już czternaście lat od Odlotu i nikt jakoś nie dostrzegał podstawowej konieczności, chociaż wyjaśniał ją wiele razy.

Któregoś dnia w Układzie Słonecznym — i to raczej szybciej niż później — ktoś wreszcie opracuje technologię hiperwspomagania, tak jak uczynili to wcześniej hiperspecjaliści na Rotorze. Być może nowa technologia okaże się nawet lepszą. Któregoś dnia setki i tysiące Osiedli, miliony i miliardy ludzi wyruszą, by skolonizować Galaktykę.

Nadejdą ciężkie czasy.

Tak, Galaktyka jest ogromna. Ile razy już to słyszał? Istnieją też inne Galaktyki. Jednak ludzkość nie będzie podążać we wszystkich kierunkach. Zawsze, zawsze znajdą się takie systemy gwiezdne, które z tej czy innej przyczyny okażą się lepsze od innych. I o nie właśnie będzie toczyła się walka. Gdyby istniało tylko dziesięć systemów gwiezdnych i dziesięć kolonizujących grup, wszystkie one skupią się na jednej gwieździe i tylko jednej.

Prędzej czy później odkryją Nemezis i zdecydują się na jej kolonizację. Jak wtedy przetrwa Rotor? Rotor musi mieć bardzo dużo czasu, by stworzyć silną cywilizację, objąć nią inne światy. Mając wystarczająco dużo czasu, będą mogli wziąć w posiadanie grupę gwiazd. Jeśli nie, wystarczy im Nemezis, która musi się stać

niezdobyta.

Pitt nie marzył o kosmicznych podbojach, w ogóle nie marzył o podbojach. Chciał jedynie mieć swoją wyspę spokoju i bezpieczeństwa w chwili, gdy Galaktyka stanie w płomieniach, i wszystko ogarnie chaos wywołany przez sprzeczne ambicje.

Był niestety jedyną osobą, która zdawała sobie z tego sprawę. Sam dźwigał to brzemię. Być może dane mu będzie przeżyć kolejne ćwierćwiecze i zachować władzę komisarza lub doświadczonego polityka, obdarzonego decydującym głosem. Jednak w końcu umrze — i kto podejmie ciężar jego dalekosiężnych zamiarów?

Poczuł ogarniającą go litość dla samego siebie. Pracował już od tylu lat, będzie pracował w dalszym ciągu — i nikt, doprawdy nikt nie potrafił tego docenić. I wszystko w końcu zostanie zaprzepaszczone. Ideę pochłonie ocean przeciętności, który bezustannie podmywa stopy tym, którzy śmiało patrzą w przyszłość.

Minęło czternaście lat od Odlotu i ani przez chwilę nie dane mu było nacieszyć się sukcesem. Co noc kładł się spać z obawą, te zostanie obudzony przed świtem wiadomością o przybyciu innego Osiedla, które odkryło Nemezis.

Mijały dni i przez cały czas jakaś ukryta część jego umysłu wchłonięta była nasłuchiwaniem, czy przypadkiem nie zostały wypowiedziane najgroźniejsze ze słów: inne Osiedla.

Czternaście lat i ciągle nie byli bezpieczni. Powstało jedno nowe Osiedle — Nowy Rotor. Mieszkali na nim ludzie, lecz wszędzie żuło się tymczasowość. Wszędzie pachniało farbą, jak mówi stare przysłowie. Budowano także trzy nowe Osiedla.

Wkrótce — być może za dziesięć lat — zwiększy się liczba powstających Osiedli i wszystkie one usłyszą najstarsze z przykazań: Rozradzajcie się i rozmnażajcie!

Prokreacja w przestrzeni kosmicznej zawsze podlegała najściślejszej kontroli — nie brano przykładu z Ziemi, każde Osiedle bowiem miało niewielką i nie dającą się przekroczyć pojemność. Niezmienne prawa arytmetyki walczyły z trudnymi do opanowania siłami instynktu, jednak niezmienność zwyciężyła. Lecz wraz ze zwiększającą się liczbą Osiedli, zwiększy się również zapotrzebowanie na ludzi — zwiększy w znacznym stopniu — można więc będzie dać upust potrzebie prokreacji.

Czasowo, oczywiście. Bez względu na liczbę istniejących Osiedli, można je bez wysiłku zapełnić dowolną populacją, która z łatwością zdołałaby podwoić się co trzydzieści pięć lat lub nawet prędzej. A kiedy nadejdzie dzień, gdy liczba formujących się Osiedli przekroczy punkt infeksji i zacznie się zmniejszać, może okazać się, że zamknięcie dżina w butelce jest znacznie trudniejsze niż wypuszczenie go.

Lecz kto będzie w stanie to przewidzieć, przygotować się do tego,

gdy zabraknie Pitta?

No i jeszcze Erytro. Planeta, wokół której krążył Rotor tworząc skomplikowany układ z olbrzymim Megasem i gniewną Nemezis. Erytro! Znak zapytania od samego początku.

Pitt dobrze pamiętał pierwsze dni ich pobytu w Systemie Nemezis. Krok po kroku odkrywali wewnętrzną strukturę rodziny Nemezis, podczas gdy Rotor zbliżał się do czerwonego karła.

Megas został odkryty w odległości czterech milionów kilometrów od Nemezis — była to jedna piętnasta odległości Merkurego od Słońca. Megas otrzymywał podobną ilość energii co Ziemia od swojego Słońca, lecz mniej było tu widzialnego światła, a więcej podczerwieni.

Megas nie nadawał się do zasiedlenia — widać to było na pierwszy rzut oka. Był gazowym gigantem, odwróconym jedną stroną w kierunku Nemezis. Jego obrót wokół gwiazdy jak i wokół osi trwał dwadzieścia dni.

Wieczna noc panująca na jednej połowie Megasa chłodziła go w nieznacznym stopniu. Wieczny dzień goszczący na drugiej połowie był nieznośnie gorący. Megas mimo tego posiadał atmosferę, a wynikało to z faktu, że jego masa była większa, a promień mniejszy niż odpowiednie wartości Jowisza. Ciążenie na powierzchni było piętnaście razy większe niż na Jowiszu i czterdzieści razy większe niż na Ziemi.

I była to jedyna planeta wokół Nemezis.

Lecz wkrótce potem, gdy Rotor zbliżył się do Megasa i widziano go w całej okazałości, sytuacja ponownie się zmieniła.

Pierwsza pojawiła się z wiadomością Eugenia Insygna. Nie oznaczało to, że sama dokonała odkrycia. Wszyscy widzieli komputerowo powiększoną fotografię, którą przyniesiono do niej, jako że pełniła funkcję naczelnego astronoma. I to właśnie ona — z wiecznym podnieceniem — dostarczyła zdjęcie Pittowi w jego biurze komisarza.

Zaczęła mówić bardzo zrozumiale, starając się panować nad drżącym z emocji głosem.

— Megas ma satelitę — powiedziała. Pitt uniósł lekko brwi i powiedział:

— Czyż nie oczekiwaliśmy tego? Gazowe giganty w Układzie Słonecznym mają po kilkanaście satelitów.

— Oczywiście, Janus. Ale to nie jest zwykły satelita. Jest duży. Pitt starał się zachować powściągliwość.

— Jowisz ma cztery duże satelity.

— Ale ten jest naprawdę duży. Jest niemal tych samych rozmiarów i masy co Ziemia.

— Rozumiem. Brzmi to interesująco.

— To coś znacznie więcej. O wiele więcej, Janus. Gdyby ten satelita obracał się bezpośrednio wokół Nemezis, ruchy pływów sprawiłyby, że tylko jedna strona satelity zwrócona byłaby do Nemezis. W takiej sytuacji nie nadawałby się do zamieszkania. Ten jednak zwrócony jest w kierunku Megasa — znacznie chłodniejszego niż Nemezis. Co więcej jego orbita jest mocno odchylona od równika Megasa. Oznacza to, że na niebie satelity Megas widoczny jest tylko na jednej półkuli. Porusza się z północy na południe w cyklu trwającym około jednego dnia, podczas gdy Nemezis porusza się przez całe niebo, wschodzi i zachodzi, i to nów w ciągu jednego dnia. Jedna półkula ma dwanaście godzin ciemności i dwanaście godzin dnia. Druga półkula tak samo, lecz podczas dnia widać na niej zaciemnienie Nemezis, trwające do pół godziny za każdym razem. Ewentualne ochłodzenia podczas zaciemnień nadrabia Megas swoim ciepłem. Podczas zaciemnień na półkuli, o której mowa, ciemności rozprasza odbite światło Megasa.

— Czyli satelita ma bardzo ciekawe niebo. Jakże to fascynujące dla astronomów.

— Janus, to nie jest zabawka dla astronomów. Jest to bardzo możliwe, że satelita posiada zrównoważoną temperaturę w skali odpowiedniej dla ludzi. To może być nadający się do zamieszkania świat.

Pitt uśmiechnął się.

— To także brzmi interesująco. Ale podejrzewam, że nie ma tam odpowiedniego dla nas światła, czyż nie tak?

Insygna kiwnęła głową.

— To prawda. Czerwone słońce i ciemne niebo, ponieważ nie ma tam rozproszonych krótkich fal świetlnych. Krajobraz będzie czerwony.

— W takim razie, ponieważ to ty nazwałaś Nemezis, a jeden z twoich ludzi dał nazwę Megasowi, rezerwuję sobie przywilej wyboru nazwy dla satelity. Nazwę go „Erytro" — co. jeśli dobrze pamiętam, jest greckim słowem oznaczającym „czerwony”.

Dobre wiadomości nadchodziły jeszcze przez jakiś czas. Zlokalizowano pas asteroidów pokaźnych rozmiarów za orbitami systemu Megasa-Erytro. Asteroidy były idealnym źródłem surowców potrzebnych do budowy nowych Osiedli.

Gdy zbliżali się do Erytro, warunki jej zasiedlenia wydawały się coraz bardziej korzystne. Na planecie odkryli lądy i morza. Ze wstępnych badań pokrywy chmur nad morzami, przeprowadzonych w świetle widzialnym i w podczerwieni, wynikało, że oceany Erytro są płytsze od ziemskich. Na lądzie nie było wiele naprawdę wysokich gór.

Insygna — po kolejnych obliczeniach — utrzymywała, że klimat

planety jest absolutnie odpowiedni dla ludzi. Gdy zbliżali się na odległość, z której możliwe było badanie atmosfery Erytro za pomocą precyzyjnych urządzeń spektroskopowych, Insygna powiedziała Pittowi:

— Atmosfera planety jest nieco bardziej gęsta niż na Ziemi i zawiera wolny tlen — 16 procent — plus 5 procent argonu, reszta to azot. Musi być także dwutlenek węgla w niewielkich ilościach, chociaż jeszcze go nie odkryliśmy.

Najważniejsze jest to, że na Erytro można oddychać.

— Brzmi to coraz lepiej — powiedział Pitt. — Kto by się tego spodziewał, gdy po raz pierwszy przyszłaś do mnie z informacją o Nemezis…

— Lepiej dla biologów. Dla Rotora niezbyt dobrze. Wolny tlen w atmosferze wskazuje na obecność życia.

— Życia? — zapytał Pitt ogłuszony taką możliwością.

— Życia — odpowiedziała Insygna, czerpiąc oczywistą przyjemność z zaskoczenia Pitta. — A jeśli jest tam życie, to może być również inteligencja, a to nie wyklucza istnienia wyższej cywilizacji.

Dla Pitta nastał koszmarny okres. Miał kolejny powód do zmartwień.

Oprócz Ziemian, którzy przewyższali ich liczebnie i być może technologicznie, bał się teraz nieznanego. Istniała możliwość, że zbliżają się do zaawansowanej technicznie cywilizacji, a ta — Jeśli naruszą jej spokój — zniszczy ich niczym natrętnego komara, który ginie od jednego ruchu ręką.

Byli coraz bliżej Nemezis, gdy Pitt zwrócił się do Insygny z zakłopotaną miną:

— Czy wolny tlen rzeczywiście oznacza istnienie życia?

— To jest termodynamiczna konieczność, Janus. Na planecie podobnej do Ziemi — a o ile wiemy, Erytro jest taką planetą — wolny tlen nie powinien w ogóle istnieć. Na takiej samej zasadzie mógłbyś zawiesić w powietrzu kamień w polu grawitacyjnym ciała podobnego do Ziemi. Jest to niewykonalne. Tlen — jeśli występuje atmosferze — łączy się natychmiast z innymi pierwiastkami, na przykład w glebie, produkując przy okazji energię. Może istnieć w atmosferze w stanie wolnym, jeśli jakiś proces zapewni mu odpowiednią energię do stałej regeneracji.

— Rozumiem to Eugenio, lecz dlaczego ten proces koniecznie musi oznaczać istnienie życia?

— Ponieważ w naturze nie spotkano żadnego innego procesu, dzięki któremu powstaje tlen. Pierwiastek ten zawdzięczamy fotosyntezie roślin zielonych, które korzystają z pomocy energii słonecznej.

— Gdy mówisz, że „w naturze nie spotkano żadnego innego

procesu", masz na myśli Układ Słoneczny. Tutaj jesteśmy w innym systemie, z innym słońcem, innymi planetami i całkowicie różnymi warunkami. Prawa termodynamiki rzeczywiście obowiązują wszędzie, jednak nie możesz wykluczyć istnienia jakiegoś procesu chemicznego, który jest całkowicie niespotykany w Układzie Słonecznym, a który tutaj generuje tlen?

— Jeśli lubisz hazard — powiedziała Insygna — nie stawiaj na to zbyt wiele.

Potrzebowali dowodów i Pitt musiał czekać.

Na początku okazało się, że Nemezis i Megas posiadają niezwykle słabe pola magnetyczne. Nie wywołało to specjalnego zaskoczenia, ponieważ zarówno gwiazda, jak i planeta obracały się bardzo wolno. Erytro, której obrót wokół osi wynosił dwadzieścia trzy godziny i szesnaście minut (i równy był jej obrotowi wokół Megasa), posiadała pole magnetyczne o natężeniu zbliżonym do ziemskiego.

Insygna wyraziła swoje zadowolenie z tego powodu.

— Nie musimy przynajmniej obawiać się niebezpiecznego promieniowania magnetycznego, tym bardziej, że wiatr gwiezdny Nemezis jest znacznie słabszy od słonecznego. W tej sytuacji będziemy mogli zbadać, czy istnieje życie na Erytro z dużej odległości. Chodzi mi o technologiczne formy życia.

— A dokładniej? — zapytał Pitt.

— Wydaje się mało prawdopodobne, aby jakakolwiek cywilizacja osiągnęła wysoki poziom zaawansowania technologicznego bez widocznego promieniowania fal krótkich we wszystkich kierunkach. Powinniśmy odróżnić ten rodzaj promieniowania od przypadkowego promieniowania radiowego planety, zakładając, że radiacja naturalna jest słaba, podobnie jak pole magnetyczne.

— Myślałem o tym — powiedział Pitt — i wydaje mi się, że to nie będzie konieczne. Chyba można wykluczyć istnienie życia na Erytro, pomimo tlenowej atmosfery.

— Tak? Ciekawa jestem, jak do tego doszedłeś?

— Przemyślałem całą sprawę. Posłuchaj: powiedziałaś, że ruchy pływów zwalniają obrót Nemezis. Megasa i Erytro? I czy w rezultacie Megas nie odsunął się od Nemezis, a Erytro od Megasa?

— Tak.

— W takim razie, jeśli spojrzymy w przeszłość, stwierdzimy, że Megas znajdował się kiedyś bliżej Nemezis, a Erytro bliżej Megasa i Nemezis. Oznacza to, że na Erytro panowała zbyt wysoka temperatura, by mogło powstać życie, i obecne warunki panują na niej od niedawna. Przez taki krótki okres nie mogła rozwinąć się cywilizacja technologiczna. Insygna zaśmiała się cichutko.

— Dobrze myślisz. Doceniam twoją przenikliwość astronomiczną, jednak nie masz racji. Czerwone karły żyją bardzo długo. Nemezis

mogła powstać w bardzo wczesnym okresie istnienia wszechświata. Powiedzmy piętnaście miliardów lat temu. Ruchy pływów były bardzo silne na początku — wtedy, gdy ciała znajdowały się bliżej siebie. W związku z tym zaczęły się oddalać, a miało miejsce podczas pierwszych trzech lub czterech miliardów lat. Ruchy pływów zmniejszają się jako sześcian odległości, tak więc przez ostatnie dziesięć miliardów lat nie następowały żadne gwałtowne zmiany. Dziesięć miliardów lat to mnóstwo czasu, nawet dla kilku cywilizacji technologicznych, powstających po sobie. Ale, Janus, nie warto spekulować. Musimy poczekać i sprawdzić — promieniowanie radiowe.

Jeszcze bliżej Nemezis…

Gwiazda widoczna była teraz gołym okiem jako niewielki czerwony glob. Można było przyglądać się jej bez kłopotu, ze względu na kolor. Po jednej stronie widoczna była czerwonawa kropka, Megas. W teleskopie planeta znajdowała się w pierwszej fazie, co spowodowane było kątem pomiędzy Rotorem a Nemezis. Erytro także widoczna w teleskopie — stanowiła ciemniejszy, karmazynowy punkt.

Z czasem stawała się coraz jaśniejsza i wtedy ponownie zjawiła się Insygna.

— Dobre nowiny, Janus. Do tej pory nie stwierdzono żadnego podejrzanego promieniowania radiowego, właściwego dla cywilizacji technicznej.

— Cudownie — Pitt poczuł ogromną ulgę napływającą niczym fala ciepła.

— Mimo to nie skacz ze szczęścia — powiedziała Insygna. -Mogą używać mniej promieniowania, niż się spodziewamy. Mogą także osłaniać je bardzo dokładnie. W końcu mogą także używać czegoś w zamian.

Pitt uśmiechnął się półgębkiem.

— Mówisz poważnie?

Insygna niepewnie wzruszyła ramionami.

— Jeśli jesteś hazardzistką — powiedział Pitt — nie stawiaj na to zbyt wiele.

Ciągle bliżej Nemezis…

Erytro była teraz dużym globem widocznym gołym okiem, obok znajdował się opasły Megas, a Nemezis zostawili po drugiej stronie Osiedla. Rotor dostosował swoją szybkość do ruchu Erytro. Przez teleskop było widać poszarpane, pływające chmury o znajomych, spiralnych kształtach, charakterystyczne dla planet o ziemskiej temperaturze i atmosferze i dzięki temu, prawdopodobnie, ziemskim klimacie.

— Na nocnej stronie Erytro nie widać świateł — powiedziała Insygna. — Powinieneś się cieszyć, Janus.

— Nieobecność światła nie jest równoznaczna z nieistnieniem cywilizacji technicznej, jak podejrzewam.

— Z pewnością masz rację.

— Zabawię się w takim razie w adwokata diabła — dodał Pitt — Mając czerwone słońce, które daje ciemne światło, należy spodziewać się cywilizacji produkującej sztuczne światło o podobnym nasileniu?

— Ciemne w rejonach widzialnych. Nemezis jest bogata w podczerwień, można więc oczekiwać, że sztuczne światło będzie miało podobne właściwości. Jednakże odkryte przez nas promieniowanie podczerwone jest pochodzenia planetarnego. Rozkłada się, mniej więcej równo, na całej powierzchni lądów, podczas gdy sztuczne światło tworzyłoby skupienie w miejscach zaludnionych i rzadkie gdzie indziej.

— W takim razie zapomnij o tym, Eugenio — powiedział śmiało Pitt. — Nie istnieje tutaj żadna cywilizacja techniczna. Być może Erytro będzie na skutek tego mniej ciekawa, wolałbym jednak nie spotkać się z równymi nam lub, co gorsze, z potężniejszymi. Musielibyśmy odlecieć stąd, a nie mamy dokąd pójść, nie wspominając już o zbyt małym zapasie energii na kolejną podróż. Teraz chyba możemy zostać…

— Lecz to nie zmienia faktu istnienia wolnego tlenu w atmosferze, co stanowi dowód życia na Erytro. Rzeczywiście nie ma na niej cywilizacji technicznej, musimy zatem wylądować i zbadać formy życia.

— Po co?

— Jak możesz zadawać takie pytanie, Janus? Mamy przed sobą próbkę życia, które rozwinęło się na innej planecie! Pomyśl, cóż za raj dla biologów!

— Rozumiem. Mówisz o interesach nauki. No cóż, życie nie ucieknie, jak myślę. Później będzie dosyć czasu na zbadanie go. musimy pamiętać o pryncypiach.

— A cóż może być ważniejszego od zbadania zupełnie nowych nam życia?

— Eugenio, bądź rozsądna. Musimy się osiedlić. Musimy zbudować inne Osiedla. Musimy stworzyć duże, dobrze zorganizowane społeczeństwo, o wiele bardziej jednorodne, rozumiejące się i podobne niż te, które istnieją w Układzie Słonecznym.

— Do tego potrzebne będą nam surowce, a te z kolei znów są a Erytro, gdzie będziemy musieli zbadać życie…

— Nie, Eugenio. Lądowanie na Erytro i start w drodze powrotnej byłby zbyt kosztowny energetycznie w chwili obecnej. Pola grawitacyjne Erytro i Megasa — nie zapomnij o Megasie — są wystarczająco duże tutaj, w kosmosie. Jeden z moich ludzi zrobił

obliczenia. Będziemy mieli problemy z dostarczaniem surowców nawet z pasa asteroidów, jednak będzie to znacznie mniejszy problem w porównaniu z Erytro. Jeśli natomiast zaparkujemy samym pasie asteroidów, wszystko stanie się znacznie bardziej energooszczędne. Nasze osiedla powstaną w pasie asteroidów.

— Czy chcesz w ogóle zignorować Erytro?

— Przez chwilę, tylko przez chwilę, Eugenio. Gdy staniemy się silniejsi, gdy zgromadzimy niezbędne zapasy energii, gdy nasze społeczeństwo okrzepnie i zacznie się rozrastać, będziemy mieli dosyć czasu, by zbadać formy życia na Erytro, a nawet jej niezwykłą chemię.

Pitt uśmiechnął się kojąco i ze zrozumieniem do Eugenii. Erytro była sprawą poboczną — wiedział o tym — i jako taka powinna być odłożona na później. Jeśli nie istniała na niej cywilizacja techniczna, to inne formy życia, a także jej surowce mogą poczekać. Prawdziwym wrogiem były nadciągające hordy z Układu Słonecznego.

Dlaczego inni tego nie rozumieli? Dlaczego tak łatwo można odwrócić ich uwagę od rzeczy istotnych?

Co stanie się, jeśli umrze i zostawi tych głupców bezbronnych?

Rozdział 10
PERSWAZJA

Dopiero teraz, dwanaście lat po odkryciu, że żadna cywilizacja nie zamieszkuje Erytro, dwanaście lat, przez które nie pojawiło się nagle żadne ziemskie Osiedle z zamiarem zburzenia powstającego nowego świata, Pitt mógł cieszyć się rzadkimi chwilami odpoczynku. Lecz nawet teraz, podczas owych rzadkich chwil gromadziły się w nim wątpliwości. Zastanawiał się czy nie byłoby lepiej dla Rotora, gdyby pozostał przy swoim pierwotnym zamiarze pozostania na orbicie Erytro i niezezwalania na budowę Kopuły na planecie.

Siedział wygodnie w miękkim fotelu oparty o poduszki. Ogarnął go spokój wywołujący sen, gdy usłyszał delikatny brzęczyk, który przywołał go do rzeczywistości.

Otworzył oczy (nie zdawał sobie sprawy, że były zamknięte) i spojrzał na mały monitor znajdujący się na przeciwległej ścianie. Przełączył obraz na holowizję. Był to rzeczywiście Seymon Akorat. Natychmiast rozpoznał jego łysą głowę przypominającą pocisk karabinowy (Akorat golił ciemne pasemka pozostałych mu włosów, zdając sobie sprawę — zresztą zupełnie słusznie — że resztka fryzury okalająca pustynię na środku wyglądałaby śmiesznie, podczas gdy łysa czaszka, całkowicie pozbawiona owłosienia, wyglądała niemal statecznie). Dostrzegł zmartwienie w jego oczach, które martwiły się nawet wtedy, gdy nie było do tego najmniejszego powodu.

Pitt nie lubił Akorata — co prawda nie miał nic do zarzucenia jego lojalności, czy wydajności pracy (Akorat i tak nie mógłby się poprawić) — był to zwykły odruch warunkowy. Akorat zawsze oznajmiał zamach na jego prywatność, przerywał mu myślenie, przywoływał konieczność zrobienia czegoś, czego akurat wolałby nie robić. Jednym słowem, Akorat był odpowiedzialny za jego rozkład zajęć i wiedział, kogo musi przyjąć, a kogo nie.

Pitt był poirytowany. Nie przypominał sobie, aby umówił się kimś na spotkanie, często jednak zapominał o swoich zobowiązaniach i zdawał się na Akorata w tej materii.

— Kto jest tym razem? — zapytał z rezygnacją w głosie. — Mam nadzieję, że nikt ważny?

— Nikt o jakimkolwiek znaczeniu — powiedział Akorat — jednak sądzę, że powinieneś z nią się spotkać.

— Czy ona nas słyszy?

— Komisarzu! — w glosie Akorata słychać było oburzenie, tak jak

gdyby ktoś zarzucił mu zaniedbanie obowiązków — oczywiście. że nie. Znajduje się po drugiej stronie tarczy dźwiękochłonnej.

Akorat zawsze wyrażał się precyzyjnie, co uspokajało Pitta. Słowa Akorata nigdy nie dawały się przeinaczyć.

— Ona? — powiedział Pitt. — Podejrzewam, że jest to doktor Insygna. No cóż, zastosuj się do moich instrukcji. Nigdy bez wcześniejszego umówienia się. Mam jej dosyć na razie, Akorat. Bałem jej dosyć przez ostatnie dwanaście lat. Wymyśl jakieś wytłumaczenie. Powiedz jej, że medytuję, albo nie. Ona i tak w to nie uwierzy, powiedz lepiej…

— Komisarzu, to nie jest doktor Insygna. Nie przerywałbym ci, dyby to była ona. To jest… to jest jej córka.

— Jej córka? — szukał w pamięci jej imienia. — Chodzi ci o Marlenę Fisher?

— Tak. Naturalnie powiedziałem jej, że jesteś zajęty, na co ona odpowiedziała, że powinienem się wstydzić, ponieważ kłamię, ona widzi z mojego wyrazu twarzy, że kłamię od początku do końca i oprócz tego wyczuwa napięcie w moim głosie, więc nie mogę mówić prawdy. — Akorat recytował to wszystko z dużym zaaferowaniem. — W każdym razie powiedziała, że nie odejdzie. Twierdzi, że spotkasz się z nią wiedząc, że to ona. Czy tak komisarzu? Te jej oczy… Wstrząsnęły mną, mówiąc uczciwie…

— Zdaje się, że słyszałem już coś na temat jej oczu. Dobrze, przyślij ją, przyślij ją, a ja spróbuję zbadać te jej oczy. Poza tym będzie musiała coś nam wyjaśnić.

Weszła. (Nieźle się trzyma — pomyślał Pitt — jest stanowcza, chociaż nie wyzywająca).

Usiadła, ręce luźno na brzuchu, czeka aż Pitt zacznie mówić. Pozwolił jej czekać, sam zaś przyjrzał się jej pobieżnie. Widywał ją czasami, gdy była młodsza, teraz rzadko. Nie była ładnym dzieckiem i z wiekiem nie stawała się ładniejsza. Miała szerokie kości policzkowe, brakowało jej wdzięku, jej oczy jednak rzeczywiście były godne uwagi, podobnie zresztą jak brwi i długie rzęsy.

— No cóż, panno Fisher — zaczął Pitt — powiedziano mi, że chcesz się ze mną widzieć. Czy mogę spytać, dlaczego?

Marlena rzuciła na niego chłodne spojrzenie. Była spokojna.

— Komisarzu Pitt — powiedziała. — Sądzę, że moja matka doniosła panu, iż w rozmowie z przyjacielem wyraziłam się, że Ziemia zostanie zniszczona.

Pitt zmarszczył brwi ponad swoimi, raczej zwykłymi, oczami.

— Tak. wspomniała o tym — powiedział. — I mam nadzieję, że zwróciła ci uwagę, iż nie należy mówić o takich sprawach w tak głupi sposób.

— Zrobiła to, komisarzu. Jednak to, że nie będę mówić, nie

oznacza, że nie miałam racji. Nazywanie tego „głupim" również nie pomoże.

— Jestem komisarzem Rotora, panno Fisher, l do moich obowiązków należy zajęcie się tą sprawą, musisz więc zostawić ją dla mnie, bez względu na to czy to co powiedziałaś, jest prawdą, czy też nie oraz czy jest głupie, czy nie jest głupie. Jak wpadłaś na pomysł, że Ziemia ma zostać zniszczona? Matka powiedziała ci o tym?

— Nie bezpośrednio, komisarzu.

— To znaczy pośrednio, czy tak?

— Nie miała na to wpływu, komisarzu. Każdy mówi na wiele sposobów. Dobiera słowa, używa intonacji, gestów, mruży oczy i mruga powiekami, chrząka. Są to setki rzeczy… Rozumie mnie pan?

— Doskonale rozumiem. Sam zwracam uwagę na te rzeczy.

— I czuje się pan dumny z tego powodu, komisarzu. Sądzi pan, że jest pan w tym dobry i między innymi dlatego został pan komisarzem.

Pitt wyglądał na zaskoczonego.

— Tego nie powiedziałem, młoda osobo.

— Nie, nie słowami, komisarzu. Nie musiał pan — spoglądała prosto w jego oczy, na jej twarzy nie widać było cienia uśmiechu, jednak w jej oczach dostrzegł rozbawienie.

— W takim razie, panno Fisher, czy to właśnie chciałaś mi powiedzieć?

— Nie, komisarzu. Przyszłam, ponieważ moja matka nie może zobaczyć się z panem. Nie, nie mówiła mi o tym. Sama na to padłam. Pomyślałam, że może zamiast niej przyjmie pan mnie.

— W porządku, już tu jesteś. Co więc chcesz mi powiedzieć?

— Moja matka nie wydaje się szczęśliwa z powodu możliwości zagłady Ziemi. Wie pan, tam jest mój ojciec.

Pitt poczuł ukłucie gniewu. Jak można pozwolić, aby czysto osobista sprawa przeszkadzała w rozważaniach nad dobrobytem Rotora i całą jego przyszłością? Ta Insygna, pomimo zasług i przydatności odkrycia Nemezis, już dawno temu stanęła mu ością w gardle z tą swoją tendencją do ciągłego obierania złych dróg. Teraz, gdy przestał ją przyjmować, przysłała mu szaloną córkę.

— Czy wydaje ci się — zapytał — że ta zagłada, o której mówisz, darzy się jutro, a może za rok?

— Nie, komisarzu, wiem, że to stanie się za niecałe pięć tysięcy lat.

— A więc jeśli tak się rzeczy mają, twojego ojca dawno już nie będzie, podobnie zresztą jak twojej matki, mnie i ciebie. I kiedy nas już nie będzie, w dalszym ciągu pozostanie niemal pięć tysięcy lat do owej zagłady Ziemi i innych planet Układu Słonecznego, która mówiąc, między nami, nigdy nie nastąpi.

— Nie chodzi o czas, komisarzu, chodzi o samą możliwość.

— Matka z pewnością powiedziała ci, że zanim nadejdzie ten czas, ludzie z Układu Słonecznego będą świadomi tego, co według ciebie ma nastąpić i podejmą odpowiednie kroki. Poza tym, jakie mamy prawo, aby narzekać z powodu zniszczenia kilku planet?

Każdy świat prędzej czy później musi liczyć się z taką ewentualnością. Nawet gdyby wykluczyć prawdopodobieństwo jakichkolwiek zderzeń w kosmosie, każda gwiazda musi przejść przez stadium czerwonego olbrzyma, co oznacza zniszczenie jej systemu planetarnego. Planety, tak jak ludzie, muszą kiedyś umrzeć. Życie planet jest trochę dłuższe od ludzkiego, i to wszystko. Rozumiesz mnie, młoda damo?

— Tak — odpowiedziała poważnie Marlena. — Pozostaję w dobrych stosunkach z moim komputerem. (Założę się, że mówi prawdę — pomyślał Pitt, a potem było już za późno, by powstrzymać złośliwy, sardoniczny uśmiech, który pojawił się na jego twarzy. Ona z pewnością nie omieszka wykorzystać tego uśmiechu.)

Postanowił zakończyć rozmowę.

— W takim razie zbliżamy się do końca całej sprawy. Mówienie o zagładzie jest głupie, a nawet gdyby nie było, ty nie masz z tym nic wspólnego i nie wolno ci o tym mówić, chyba że ty i twoja matka chcecie mieć kłopoty.

— Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy, komisarzu.

— Moja droga panno Fisher, gdy komisarz mówi, że jest to koniec, to jest to koniec, bez względu na to. co ty o tym sądzisz.

Pitt zaczął się podnosić, jednak Marlena pozostała na swoim miejscu.

— Ponieważ chcę zaproponować panu coś, o czym pan marzy.

— Co?

— Pozbycie się mojej matki.

Pitt, zdumiony usiadł z powrotem w fotelu.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Powiem panu, jeśli tylko mnie pan wysłucha. Moja matka nie może dłużej tak żyć. Martwi się o Ziemię i Układ Słoneczny i… i czasami myśli o ojcu. Ona wie, że Nemezis może oznaczać Nemezis dla całego Układu, a ponieważ to ona wymyśliła tę nazwę, czuje się współodpowiedzialna. Jest bardzo wrażliwa, komisarzu.

— Tak, zauważyłem to.

— I niepokoi pana. Przypomina panu co jakiś czas o sprawach, które ją absorbują, a pan nie chce o nich słyszeć, odmawia więc pan przyjmowania jej i chce, żeby odeszła. Może ją pan odesłać, komisarzu.

— Naprawdę? Mamy tylko jedno nowe Osiedle. Czy mam ją wysłać na Nowego Rotora?

— Nie, komisarzu. Na Erytro.

— Erytro? Dlaczego tam? Tylko dlatego, że chcę się jej pozbyć?

— To jest pański powód, komisarzu, nie mój. Ja chcę, żeby znalazła się na Erytro, ponieważ nie może pracować w obserwatorium. Instrumenty zawsze są zajęte, a ona zdaje sobie sprawę, że jest obserwowana przez cały czas. Ona czuje pańską irytację. A poza tym Rotor nie jest dobrym miejscem do precyzyjnych pomiarów.

— Dobrze się przygotowałaś. Czy matka powiedziała ci to wszystko? Nie, nie musisz odpowiadać. Nie powiedziała ci bezpośrednio, prawda? Wyłącznie pośrednio?

— Zgadza się, komisarzu. Jest jeszcze mój komputer.

— Ten, z którym pozostajesz w dobrych stosunkach?

— Tak, komisarzu.

— I myślisz, że będzie lepiej pracowała na Erytro?

— Tak, komisarzu. Będzie miała bardziej stabilną bazę, dzięki której być może dokona takich pomiarów, które przekonają ją, że Układ Słoneczny przetrwa. A nawet, jeśli stanie się inaczej, zajmie jej to dużo czasu, przez który pan będzie miał spokój.

— Widzę, że ty też chcesz się jej pozbyć, czyż nie tak?

— Absolutnie nie, komisarzu — powiedziała poważnie Marlena. — ja pojadę z nią. Pozbędzie się pan także mnie, co sprawi panu podwójną radość.

— Dlaczego myślisz, że chcę się pozbyć także ciebie? Marlena przyglądała mu się poważnie, ani razu nie mrugnąwszy powieką.

— Teraz już pan chce komisarzu, ponieważ zdał pan sobie sprawę, że bez trudu odczytuję pańskie wewnętrzne uczucia. Pitt poczuł nagle szaloną potrzebę pozbycia się tego potwora.

— Pozwól mi się zastanowić — powiedział i odwrócił głowę. Wiedział, jak bardzo dziecinny jest ten gest, nie chciał jednak, aby ten potworny dzieciak czytał w jego twarzy jak w otwartej księdze.

Poza tym mówiła prawdę. Teraz chciał już pozbyć się zarówno natki, jak i córki. Jeśli chodzi o matkę, to rzeczywiście przy kilku okazjach rozważał możliwość zesłania jej na Erytro. Ale zdawał sobie sprawę, że ponieważ z pewnością nie chciałaby lecieć, nie obyłoby się bez zamieszania, na które nie miał najmniejszej ochoty. Teraz zaś córka podpowiedziała mu powód, dla którego Insygna mogłaby zgodzić się na podróż, a to oczywiście zmieniało postać rzeczy.

— Jeśli twoja matka rzeczywiście chce tego… — zaczął powoli.

— Naprawdę chce, komisarzu, chociaż co prawda nie mówiła mi o tym, a może nawet jeszcze o tym nie myślała, ale z pewnością poleci. Wiem to. Może mi pan wierzyć.

— Czy mamy jakieś inne wyjście? A ty chcesz lecieć?

— Bardzo, komisarzu.

— W takim razie natychmiast zajmę się tym. Czy to ci odpowiada?

— Tak, komisarzu.

— Czy w takim razie możemy zakończyć nasze spotkanie? Martena wstała i pochyliła głowę w pozbawionym wdzięku ukłonie, chcąc prawdopodobnie okazać szacunek.

— Dziękuję, komisarzu.

Odwróciła się i wyszła. Twarz Pitta dopiero po kilku minutach nabrała normalnego wyrazu, w miejsce bolesnej maski, którą przywdział na czas rozmowy.

Nie chciał zdradzić ostatniej tajemnicy, o której wiedział tylko on i jeszcze jedna osoba na Erytro.

Rozdział 11
ORBITA

Czas wolny Pitta dobiegał końca, on jednak nie życzył sobie, aby mu przeszkadzano. Całkowicie arbitralnie odwołał wszystkie popołudniowe spotkania. Potrzebował więcej czasu do namysłu.

Szczególnie dotyczyło to Marleny.

Jej matka, Eugenia Insygna Fisher, stanowiła dla niego problem, coraz większy problem przez ostatnie dwanaście lat. Kierowała się emocjami i pozwalała sobie na więcej, niż dyktował zdrowy rozsądek. Była jednak tylko człowiekiem. Pozwalała kontrolować się, manipulować sobą, dawała się zamykać w wygodnych ramach logiki i chociaż czasami bywała niespokojna, pozostawała zazwyczaj na swoim miejscu.

Marlena była inna. Pitt nie miał wątpliwości, że była potworem i mógł być jej tylko wdzięczny, że tak głupio odkryła się przed nim po to, by pomóc matce z błahego powodu. Była przecież niedoświadczona i brakowało jej rozumu, by utrzymać w tajemnicy swoje uzdolnienia do momentu, gdy zechce ich użyć dla zniszczenia swojego przeciwnika.

Jednak z wiekiem stanie się bardziej niebezpieczna należało, więc ją powstrzymać. I zostanie powstrzymana przez tego drugiego potwora, Erytro.

Pitt w myślach pochwalił siebie. Od samego początku wiedział, że Erytro jest potworem. On też umiał odczytać znaki — odbicia krwawego słońca — groźne i niepokojące. Gdy znaleźli się w pasie asteroidów, sto milionów mil poza orbitą, wokół której Megas i Erytro okrążały Nemezis, Pitt powiedział z przekonaniem: „Oto jest miejsce."

Nie spodziewał się żadnych kłopotów. Wszyscy racjonalnie myślący ludzie musieli zgodzić się z nim. Pośród asteroidów mało było światła i ciepła Nemezis, dla Rotora nie stanowiło to jednak żadnej przeszkody, ponieważ Osiedle posiadało w pełni sprawne urządzenia do mikrofuzji. Z drugiej strony było to nawet korzystne, brak czerwonego światła znacznie polepszał nastroje, rozjaśniał umysły i generalnie podniósł wszystkich na duchu.

Baza w pasie asteroidów oznaczała także mniejsze oddziaływanie pól grawitacyjnych Nemezis i Megasa, a co za tym idzie oszczędność energii i większe możliwości manewrowania. Prace górnicze na asteroidach były o wiele łatwiejsze, a wziąwszy pod uwagę słabe światło Nemezis, małe ciała niebieskie powinny posiadać znaczne zasoby gazów.

Idealne miejsce!

I mimo tego większość mieszkańców Rotora dawała mu jasno do zrozumienia, że życzy sobie pozostać na orbicie wokół Erytro. Pitt pocił się, aby wykazać, że pozostając w pobliżu Erytro będą narażeni na denerwujący i niemal depresyjny wpływ czerwonego światła, że znajdą się w uścisku pól grawitacyjnych Megasa i Erytro, i że tak czy inaczej będą zmuszeni polecieć do pasa asteroidów w poszukiwaniu surowców.

Spierał się gniewnie z Tamborem Brossenem, ekskomisarzem, którego zastąpił na stanowisku. Zmęczony Brossen cieszył się otwarcie nową sławą starszego polityka i wydawało się, że ta rola odpowiada mu znacznie bardziej niż stanowisko komisarza. Twierdził wszem i wobec, że podejmowanie decyzji nie sprawiało mu takiej przyjemności jak Pittowi. Brossen śmiał się ze znaczenia, jakie przywiązywał Pitt do kwestii umiejscowienia Osiedla — co prawda nie robił tego otwarcie, lecz widać to było w jego oczach. Mówił:

— Janus, nie ma absolutnie takiej konieczności, aby Rotor zgadzał się z tobą we wszystkim. Raz na jakiś czas możesz pozwolić Osiedlu zrobić to, co chce, odwdzięczą ci się za to przy innych okazjach. Jeśli chcą orbitować wokół Erytro, pozwól im na to.

— Ale to nie ma najmniejszego sensu, Tambor, nie rozumiesz?

— Oczywiście, że rozumiem. Ale rozumiem także, że Rotor od momentu powstania orbitował wokół dużej planety. Rotorianie przyzwyczaili się do tego i dlatego właśnie domagają się takiego a nie innego miejsca.

— Byliśmy na orbicie okołoziemskiej. Erytro nie jest Ziemią, Wogóle nie przypomina Ziemi.

— Jest światem i ma rozmiary podobne do ziemskich. Ma lądy i morza. Ma atmosferę z tlenem. Kto wie, jak długo trzeba by szukać innej planety tak bardzo przypominającej Ziemię. Powiadam: pozwól ludziom zrobić to, co chcą. i Pitt zastosował się do rady Brossena, chociaż w środku nie zgadzał się z nim ani na jotę. Nowy Rotor powstał także na orbicie Erytro, podobnie zresztą jak dwa Osiedla znajdujące się w budowie. W planach oczywiście mieli Osiedla w pasie asteroidów, acz opinia publiczna niechętnie wracała do tej koncepcji.

Ze wszystkich wydarzeń, które nastąpiły od momentu odkrycia Nemezis, Pitt za największy błąd Rotora uznał fakt pozostania na orbicie Erytro. To nie powinno było się wydarzyć. Lecz nawet on nie mógł wymóc niczego na Rotorze. A może powinien dokręcić śrubę? Czy zdecydowałby się na nowe wybory i pozbawienie go urzędu?

Największy problem stanowiła nostalgia. Ludzie spoglądali za siebie i nie mógł zmusić ich do odwrócenia głowy i popatrzenia 'przyszłość. Na przykład taki Brossen…

Umarł siedem lat temu i Pitt był przy jego łożu śmierci. Dzięki mu

tylko on usłyszał ostatnie słowa umierającego.

Brossen kazał mu nachylić się i Pitt przysunął się bliżej. Starzec wyciągnął słabą rękę, jego skóra była cienka jak papier. Uścisnął dłoń Pitta wyszeptał:

— Jakże piękne było Słońce na Ziemi.

I umarł.

Tak więc, ponieważ Rotorianie nie potrafili zapomnieć jak piękne było kiedyś Słońce i jak zielona Ziemia, krzyczeli z oburzenia przeciwko logice Pitta i żądali, by Rotor orbitował wokół świata, który nie był zielony i którego nie oświetlało piękne Słońce.

Oznaczało to stratę dziesięciu lat szybkich postępów w pracy. Umiejscowienie w pasie asteroidów dawało im takie wyprzedzenie. Pitt był o tym przekonany.

Cała sytuacja wystarczyła już, by zatruć jego stosunek do Erytro, później jednak okazało się, że są jeszcze gorsze sprawy, znanie gorsze.

Rozdział 12
GNIEW

Krile Fisher dał Ziemi pierwszą wskazówkę co do dziwnego miejsca przeznaczenia Rotora; okazało się, że drugą także.

Był na Ziemi już od dwóch lat. Obraz Rotora powoli zacierał się w jego pamięci. Eugenia Insygna pozostała niepokojącym wspomnieniem (czy rzeczywiście ją kochał?), czuł natomiast gorycz myśląc o Marlenie. Stwierdził, że nie potrafi rozdzielić jej od Rosanny w swojej głowie. Roczna córka i siedemnastoletnia siostra stopiły się w jego pamięci w jedną osobowość.

Żyło mu się łatwo. Dostawał sporą emeryturę. Znaleźli mu nawet pracę, stanowisko administracyjne, gdzie jego decyzje nie miały wpływu na nic istotnego. Wybaczyli mu, przynajmniej częściowo, dzięki jak sądził tej ostatniej zapamiętanej przez niego uwadze Eugenii: „Gdybyś wiedział, dokąd lecimy…"

Ciągle jednak miał wrażenie, że jest obserwowany i napawało go to oburzeniem.

Garand Wyler pojawiał się u niego od czasu do czasu, zawsze przyjacielski, zawsze zadający pytania i bez przerwy krążący wokół tematu Rotora w ten czy inny sposób. Teraz też był u niego i zgodnie z tym, czego oczekiwał Fisher, pojawiła się sprawa Rotora.

— Minęły już dwa lata, czego wy ludzie ode mnie chcecie — zawył Fisher.

Wyler potrząsnął głową.

— Teraz nie mogę ci powiedzieć, Krile. Wszystko, co mamy, to zdanie twojej żony. Za mało. Musiała powiedzieć coś jeszcze przez te wszystkie lata, które z nią spędziłeś. Zastanów się, o czym o rozmawialiście, rozważ każdą wymianę zdań pomiędzy wami. Nic sobie nie przypominasz?

— Pytasz mnie o to po raz pięćdziesiąty, Garand. Przesłuchiwano mnie, hipnotyzowano, sondowano mój umysł. Wyciśnięto mnie jak cytrynę, nic już we mnie nie ma. Daj mi spokój i zajmij tę czymś innym. Albo znajdź mi pracę.

Mamy jeszcze setkę innych Osiedli, w których przyjaciele powierzają sobie sekrety wrogowie szpiegują się nawzajem. Kto wie, co może wiedzieć jeden z nich, a może nawet nie wiedzieć, że wie…

— Mówiąc prawdę, stary — powiedział Wyler — zmierzamy w tym kierunku. Zajmujemy się również Sondą Dalekiego Zasięgu. Wydaje się logiczne, że Rotor odkrył coś, czego my nie wiemy. Nigdy

nie wysyłaliśmy Sondy Dalekiego Zasięgu. Podobnie zresztą jak wszystkie inne Osiedla. Tylko Rotor miał takie możliwości. I cokolwiek odkrył Rotor, odpowiedź jest w danych z Sondy.

— Dobrze. Sprawdźcie dane. Jest ich tyle, że nie zabraknie wam roboty przez lata. A jeśli chodzi o mnie, to zostawcie mnie w spokoju. Wszyscy.

— Rzeczywiście mamy roboty na lata — powiedział Wyler. -Rotor przekazał bardzo wiele danych, zgodnie zresztą z Umową Powszechnej Dostępności Nauki. Mamy szczególnie dużo fotografii gwiezdnych na każdej długości fal. Aparaty Sondy zdołały sięgnąć w najdalszy zakamarek nieba. Zbadaliśmy wszystko bardzo dokładnie i nie znaleźliśmy nic interesującego.

— Nic?

— Do tej pory nic, ale jak sam powiedziałeś może nam to zająć lata. Oczywiście trafiliśmy na kilka szczegółów, które zachwyciły astronomów. Są szczęśliwi i zajęci. Nie ma jednak niczego, najmniejszej wskazówki, która pomogłaby ustalić, dokąd polecieli. Oczywiście chodzi mi o to, że nie znaleźliśmy niczego, absolutnie niczego o, na przykład, dwóch planetach wokół dwóch dużych słońc Alfa Centauri. Nie ma też nic o żadnych nieznanych gwiazdach przypominających Słońce w naszym pobliżu. Osobiście nie oczekuję zbyt wiele po tych danych. Jednak Sonda dostrzegła coś, czego my nie możemy dostrzec z Układu Słonecznego. A była tylko w odległości kilku miesięcy świetlnych. Nie powinno być żadnej różnicy. Niektórzy z nas czują, że Rotor znalazł coś, i że stało się to szybko. A to sprowadza nas do ciebie.

— Dlaczego do mnie?

— Ponieważ twoja była żona stała na czele Projektu Sondy.

— Niezupełnie. Została naczelnym astronomem po nadejściu danych z Sondy.

— Wcześniej jednak pełniła ważną funkcję, no a później została szefową. Czy nigdy nie mówiła ci, co znaleźli w danych z Sondy?

— Ani jednego słowa. Poczekaj, powiedziałeś, że aparaty Sondy zdołały sięgnąć w najdalszy zakamarek nieba?

— Tak.

— Co to znaczy „najdalszy zakamarek”?

— Nie jestem do końca pewny, czy mogę przekazać ci dokładne dane. Myślę, że „najdalszy zakamarek” obejmuje jakieś 90 procent nieba.

— Lub więcej?

— Może więcej…

— Zastanawiam się…

— Nad czym się zastanawiasz?

— Na Rotorze był taki facet, Pitt, który wszystkim kierował.

— Wiemy o tym.

— Tak, ale ja chyba wiem, jak on by postąpił. Dałby wam trochę danych z Sondy, niezbyt dużo za każdym razem, tak żeby wyglądało, iż przestrzega Umowy o Dostępności Nauki, ale bez przesady. I w momencie odlotu Rotora pozostałoby dziwnym zrządzeniem losu trochę danych, jakieś 10 procent lub mniej, których nie zdążył przekazać. I właśnie 10 procent lub mniej jest ważne.

— Myślisz, że tam znajduje się informacja o celu Rotora?

— Może.

— No tak, ale my nie mamy tych danych.

— Macie je.

— Jak to?

— Przed chwilą zastanawiałeś się, co takiego było na fotografiach z Sondy, czego nie można byłoby dostrzec z Układu Słonecznego. Po co więc marnujecie czas na to, co wam dali. Zróbcie mapę tej części nieba, której wam nie dali, i zbadajcie tę część na własnej mapie. Zadajcie sobie pytanie, czy na waszej wszystko wygląda tak jak na hipotetycznej mapie sporządzonej prze Sondę i dlaczego. Ja przynajmniej tak bym postąpił.

Glos Fishera podniósł się prawie do krzyku.

— Idź do nich! Powiedz im, żeby sprawdzili tę część nieba, której nie mają!

— Hokus-pokus — powiedział zamyślony Wyler.

— Nie nieprawda. To całkiem proste. Znajdź tylko kogoś w Biurze, kto naprawdę używa mózgu zamiast siedzieć na nim, może uda się wam.

— Zobaczymy — odpowiedział Wyler. Wyciągnął rękę do Fishera. Fisher zawył i odwrócił się plecami.

Następnym razem Wyler pojawił się po kilku miesiącach. Fisher nie przywitał go radośnie. Był to jego dzień wolny od pracy chciał spędzić go w spokoju na czytaniu książki.

Fisher nie należał do ludzi, którzy twierdzili, że książki były dwudziestowiecznym przeżytkiem, i że obecnie liczy się wyłącznie technika oglądania. W książkach było coś takiego — myślał — coś w samym sposobie trzymania, fizycznego przewracania kartek, te, co pozwalało na pogrążenie się w myślach nad przeczytanym tekstem lub nawet na drzemkę, która w przypadku filmu kończyła się poświatą niewyłączonego ekranu monitora. Fisher był przzekonany, że książki były bardziej cywilizowane niż holowizja.

Tym bardziej irytowała go niespodziewana wizyta, która przerwała jego letarg.

— O co chodzi tym razem, Garand? — zapytał, nie ukrywając złości. Wyler nie przestał uśmiechać się światowo.

— Znaleźliśmy to, dokładnie tak jak powiedziałeś — jego głos

dobiegał zza zaciśniętych zębów.

— Co znaleźliście? — Fisher zdawał się nie pamiętać, a potem jakby tknięty nagłym olśnieniem dodał szybko: — Nie mów mi, e chcę wiedzieć niczego, czego nie powinienem wiedzieć. Nie chcę mieć więcej kłopotów z Biurem.

— Za późno, Krile. Potrzebują ciebie. Sam Tanayama chce się tobą zobaczyć.

— Kiedy?

— Jak tylko tam cię dostarczę.

— W takim razie powiedz mi, o co chodzi. Nie chciałbym stanąć przed nim nie przygotowany.

— Właśnie chcę to zrobić. Zbadaliśmy każdą część nieba, o której nie było danych z Sondy. Ci, którzy to robili, zadali sobie za twoją radą pytanie, co takiego dostrzegły kamery Sondy, czego nie można dostrzec z Układu Słonecznego. Najbardziej oczywistą odpowiedzią było przesunięcie najbliższych gwiazd i gdy już wbili to sobie do głów, znaleźli coś niezwykłego, coś, czego nie mogli przewidzieć.

— No?

— Znaleźli bardzo ciemną gwiazdę z paralaksą nieco większą niż sekunda łuku.

— Nie jestem astronomem. Czy jest w tym coś niezwykłego?

— Oznacza to, że gwiazda ta znajduje się w połowie odległości od Alfa Centauri.

— Powiedziałeś „bardzo ciemną”…

— Mówią, że gwiazda znajduje się za chmurą pyłu. Posłuchaj, ty nie jesteś astronomem, ale twoja była żona, tak. Może to ona odkryła tę gwiazdę? Nigdy ci o niej nie mówiła?

— Nic, ani słowa — Fisher potrząsnął przecząco głową. — Oczywiście…

— Tak?

— Przez te ostatnie kilka miesięcy wyczuwało się podniecenie wokół jej osoby. Ona też często miewała oczy pełne łez.

— Nie spytałeś jej, dlaczego?

— Myślałem, że chodzi jej o zbliżający się odlot Rotora. Ona wydawała się rozradowana tym faktem, a mnie doprowadzało to do szaleństwa.

— Z powodu córki? Fisher kiwnął głową.

— Całe te podniecenie mogło mieć jakiś związek z nową gwiazdą. Wszystko pasuje. Oczywiście zdecydowali się na podróż ze względu na tę gwiazdę, a jeśli przyjąć, że odkryła ją twoja żona, lecieli na jej gwiazdę. Tłumaczy to jej zachowanie i chęć wyruszenia w podróż. Czy dobrze myślę?

— Może. Trudno mi powiedzieć.

— W porządku. O reszcie porozmawiasz z Tanayamą. Jest zły. Nie

na ciebie, ale jest zły.

Później tego samego dnia — tym razem nie mogło już być żadnej zwłoki — Krile Fisher znalazł się w budynku Ziemskiej Rady Śledczej lub, jak nazywali ją pracownicy. Biura.

Kattimoro Tanayamą, stojący na czele Biura od ponad trzydziestu lat, bardzo się postarzał ostatnimi czasy. Holografie z jego obliczem (a nie było ich zbyt wiele) pochodziły sprzed wielu lat zrobiono je wtedy, gdy włosy Tanayamy były jeszcze czarne gładkie, sylwetka wysportowana, a wyraz twarzy świadczący dużym wigorze.

Teraz Tanayama był siwy, lekko przygarbiony (nigdy nie był wysoki) i dosyć wątły. Prawdopodobnie zbliża się — myślał Fisher — do wieku emerytalnego, jeśli przyjąć, że nie zamierza umrzeć podczas pełnienia obowiązków służbowych. Jednak jego oczy jak zauważył Krile — były jak zawsze żywe, świdrujące niemal, od wąskimi powiekami.

Fisher miał trochę kłopotów ze zrozumieniem Tanayamy. Angielski był najbardziej uniwersalnym ziemskim językiem, jednak jego wersja używana przez Japończyka znacznie różniła się od odmiany północnoamerykańskiej, do której przyzwyczajony był Isher.

— No tak — powiedział chłodno Tanayama — zawiodłeś nas na Rotorze, Fisher.

Nie było sensu dyskutować na ten temat, a zresztą jakakolwiek dyskusja z Tanayama nie miała sensu.

— Tak, dyrektorze — odpowiedział bez żadnego wyrazu.

— Jednak ciągle masz dla nas informacje. Fisher westchnął cicho.

— Przesłuchiwano mnie już wiele razy.

— Mówiono mi o tym, wiem. Nie pytano cię jednak o wszystko mam pytanie, na które ja, ja osobiście chcę usłyszeć odpowiedź.

— Tak, dyrektorze?

— Czy podczas swojego pobytu na Rotorze mogłeś dojść do wniosku, że przywództwo tego Osiedla nienawidzi Ziemi? Fisher uniósł brwi.

— Nienawidzi? No cóż, było dla mnie jasne, że ludzie na Rotorze, podobnie zresztą jak i na innych Osiedlach, gardzą Ziemią, brzydzą się nią jako dekadencką, brutalną i pełną przemocy. Ale nienawiść? Myślę, że za bardzo nami pogardzają, by czuć do nas nienawiść.

— Mówię o przywództwie, a nie o masach.

— Ja również, dyrektorze. Nie ma tam miejsca na nienawiść.

— W takim razie nie znajduję wytłumaczenia.

— Wytłumaczenia czego, dyrektorze? — Jeśli wolno mi zapytać.

Tanayama rzucił na niego ostre spojrzenie (dzięki sile jego osobowości, trudno było zdać sobie sprawę z jego niewielkiego wzrostu).

— Czy wiesz, że ta nowa gwiazda zmierza w naszym kierunku?

Dokładnie w naszym kierunku?

Zaskoczony Fisher spojrzał szybko na Wylera, lecz ten — siedząc w cieniu poza zasięgiem promieni słonecznych wpadających przez okno — zdawał się pogrążony we własnych myślach.

Tanayama wstał i powiedział:

— Siedź, siedź, Fisher. Ja również usiądę, jeśli pomoże ci to myśleć.

Przysiadł na krawędzi biurka, nie dotykając nogami podłogi.

— Czy wiedziałeś coś o ruchu gwiazdy?

— Nie, dyrektorze. W ogóle nie miałem pojęcia o jej istnieniu, dopóki nie powiedział mi o tym agent Wyler.

— Czyżby? Na Rotorze wiedziano o gwieździe.

— Jeśli tak, to nikt mi o tym nie powiedział.

— Twoja żona była podniecona i szczęśliwa tuż przed odlotem Rotora. Mówiłeś o tym agentowi Wylerowi. Co było powodem?

— Agent Wyler sądzi, że ona mogła odkryć tę gwiazdę.

— A może wiedziała o ruchu gwiazdy i cieszyła się myślą o tym, co stanie się z nami.

— Nie widzę powodu, dla którego ta myśl mogłaby jej sprawiać radość, dyrektorze. Muszę także dodać, że nie mam pewności, czy wiedziała o ruchu gwiazdy lub w ogóle o jej istnieniu. Zgodnie z tym. co mi wiadomo, nikt na Rotorze nie wiedział o istnieniu nowej gwiazdy.

Tanayama spojrzał na niego w zamyśleniu. Jednocześnie drapał się w brodę.

— Ludzie na Rotorze — powiedział — byli wszyscy Eurosami, prawda?

Oczy Fishera rozszerzyły się ze zdumienia. Dawno już nie słyszał tej zwulgaryzowanej formy Europejczyka, a nigdy nie słyszał jej z ust funkcjonariusza rządowego. Przypomniał sobie teraz uwagę Wylera — wypowiedzianą krótko po tym, jak powrócił z Rotora — na temat białych jak śnieg Rotorian. Puścił ją wtedy mimo uszu, jak dobroduszny sarkazm, coś jednak musiało w tym być.

— Nie wiem, dyrektorze — odpowiedział niechętnie. — Nie prowadziłem badań antropologicznych. Nie mam pojęcia, jakie jest ich pochodzenie.

— Daj spokój, Fisher. Do tego niepotrzebne są żadne badania. Wystarczy wygląd. Czy przez cały swój pobyt na Rotorze zauważyłeś chociaż jedną twarz Afro lub Mongo czy Hindo? Dostrzegłeś kogoś z ciemną karnacją? Kogoś z fałdą epikantyczną?

— Dyrektorze! — wybuchnął Fisher — zachowuje się pan jak w dwudziestym wieku! (Gdyby umiał wyrazić to ostrzej, z pewnością uczyniłby to). Nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nikt a Ziemi nie powinien tego robić. Dziwię się, że to akurat pan stawia takie pytania

i nie sądzę, by pomogły one w prawidłowej cenie reprezentowanego przez pana urzędu.

— Agencie Fisher, nie bądźcie dziecinni. — Dyrektor pogroził ościstym palcem jak gdyby udzielając mu nagany. — Mówię o tym, co jest. Wiem, że na Ziemi ignorujemy różnice pomiędzy ludźmi, przynajmniej na zewnątrz…

— Tylko na zewnątrz? — zapytał poruszony Fisher.

— Tylko na zewnątrz — odpowiedział chłodno Tanayama. — Gdy Ziemianie zakładają Osiedla, dzielą się według ras. Pytam, po co jeśli nie przykładają żadnego znaczenia do różnic rasowych. Na wszystkich Osiedlach mieszkają jednakowi ludzie, a jeśli zdarzy się jakiś wyjątek, ci, których jest mniej, nie czują się zbyt dobrze przenoszą się na inne Osiedla, tam gdzie ich rasa stanowi większość. Czyż nie tak?

Fisher nie mógł zaprzeczyć. Było tak, jak mówił Tanayama nikt nie kwestionował tego stanu rzeczy.

— Natura ludzka — powiedział. — Nikt nie chce się wyróżniać. Każdy woli mieszkać w dobrym sąsiedztwie.

— Oczywiście, że natura ludzka. Nikt nie chce się wyróżniać, a innych nienawidzi się i pogardza nimi.

— Są także Osiedla Mo… Mongo — Fisher zaciął się, gdy zdał obie sprawę, że może śmiertelnie obrazić dyrektora — co nie było trudne w przypadku tak niebezpiecznego człowieka.

Tanayama nawet nie mrugnął.

— Doskonale o tym wiem. lecz właśnie Eurosi zdominowali planetę i nie mogą o tym zapomnieć, nieprawdaż?

— Inni być może również nie mogą tego zapomnieć, mają więc olejny powód do nienawiści.

— Jednak to Rotor uciekł z Układu Słonecznego.

— Ponieważ udało im się odkryć hiperwspomaganie.

— I polecieli na najbliższą gwiazdę, o której tylko oni wiedzieli gwiazdę, która zmierza w kierunku Układu, i być może zbliży się na taką odległość, by nas wykończyć.

— Nie wiem, czy oni o tym wiedzą, nie wiemy nawet, czy znają tę gwiazdę.

— Znają, oczywiście, że znają — warknął Tanayama. — Odlecieli nie zadawszy sobie trudu, by nas ostrzec.

— Dyrektorze, z całym szacunkiem, ale to jest nielogiczne. Jeśli zdecydowali się osiedlić w pobliżu gwiazdy, która zniszczy Układ Słoneczny po uprzednim zbliżeniu się do niego, to gwiazda ta i jej system również może ulec zniszczeniu.

— Z łatwością uda im się uciec, nawet gdyby zbudowali więcej Osiedli. My zaś mamy cały świat z ośmioma miliardami ludzi, których należałoby ewakuować. Nie jest to zbyt proste.

— Ile mamy czasu?

Tanayama wzruszył ramionami.

— Kilka tysięcy lat, jak mówią.

— To dużo. Być może doszli do wniosku, mówię hipotetycznie oczywiście, że nie potrzeba nas ostrzegać. Trudno nie dostrzec zbliżającej się gwiazdy.

— I w momencie jej odkrycia zdać sobie sprawę, że zostało niewiele czasu na ewakuację. Rotor znalazł tę gwiazdę zupełnie przypadkowo. My nie mielibyśmy pojęcia o jej istnieniu, gdyby twoja żona nie zrobiła tej niedyskretnej uwagi i gdyby nie twoja sugestia, całkiem dobra, żeby zbadać tę część nieba, która została pominięta w materiałach przesłanych przez Sondę. Rotor liczył na maksymalne opóźnienie naszego odkrycia.

— Po cóż mieliby to robić, dyrektorze? Z czystej, niczym nieumotywowanej nienawiści?

— Mieli swoje powody. A jednym z nich jest pobożne życzenie wszystkiego najgorszego dla Układu Słonecznego z całym jego ładunkiem nie-Eurosów. A może chcą stworzyć nową ludzkość opartą na jednorodnym pochodzeniu Eurosów, hę? Co o tym myślisz?

Fisher potrząsnął beznadziejnie głową.

— Niemożliwe. Niewyobrażalne.

— Dlaczego więc nas nie ostrzegli?

— Może sami nie wiedzą o ruchu gwiazdy?

— To właśnie jest niemożliwe — powiedział ironicznie Tanayama l niewyobrażalne. Nie znajduję żadnego wytłumaczenia dla tego, o zrobili, oprócz chęci zniszczenia nas. Lecz my także zajmiemy się podróżami hiperprzestrzennymi i polecimy na tę nową gwiazdę znajdziemy ich. I nadejdzie czas wyrównania rachunków.

Rozdział 13
KOPUŁA

Eugenia Insygna uśmiechnęła się z niedowierzaniem, usłyszawszy wypowiedź córki. Doszła do wniosku, że albo Martena oszalała, albo ona sama źle słyszy.

— Co powiedziałaś, Marleno? Co to znaczy, że lecimy na Erytro?

— Poprosiłam komisarza Pitta, który obiecał mi, że to załatwi. Insygna zbladła.

— Ale dlaczego?

Głos Marteny wyrażał lekkie poirytowanie:

— Ponieważ twierdzisz, że chcesz dokonać delikatnych pomiarów astronomicznych i nie możesz zrobić tego na Rotorze. Będziesz więc miała okazję zająć się tym na Erytro. Widzę jednak, że chcesz zapytać mnie o coś innego.

— Zgadza się. Chodzi mi o to, dlaczego komisarz Pitt miałby obiecać ci, że to załatwi. Prosiłam go o to kilka razy i zawsze odmawiał. On bardzo niechętnie zgadza się, aby ktokolwiek leciał na Erytro, z wyjątkiem paru specjalistów.

— Przedstawiłam mu wszystko z nieco innej strony, mamo — Martena zawahała się przez moment. — Powiedziałam mu, że wiem, iż chętnie pozbyłby się ciebie, i że właśnie ma taką okazję.

Insygna wciągnęła powietrze tak gwałtownie, że niemal się zakrztusiła i musiała odkaszlnąć. Jej oczy zaczęły łzawić.

— Jak mogłaś powiedzieć coś takiego?

— Bo to jest prawda, mamo. Nie powiedziałabym tak, gdyby to nie było prawdą. Słyszałam, jak rozmawiał z tobą, i słyszałam to co ty mówiłaś o nim, i wszystko wydawało mi się tak jasne, że dziwię się, że tego nie rozumiesz. On jest zdenerwowany tobą i chce, żebyś przestała go męczyć tym… czymkolwiek go męczysz. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

Insygna zacisnęła usta.

— Wydaje mi się, kochanie, że od tej pory będę musiała poświęcić ci więcej czasu. Martwi mnie to, że sama zajęłaś się takimi sprawami.

— Wiem, mamo — Marlena spuściła wzrok. — Przepraszam.

— Ciągle jednak nie rozumiem. Nie musiałaś wyjaśniać mu, że ja go denerwuję. On sam to wie. Dlaczego więc nie wysłał mnie na Erytro, kiedy prosiłam go o to w przeszłości?

— Ponieważ nie chce mieć w ogóle do czynienia z Erytro, a

pozbycie się ciebie nie było wystarczającym powodem, by przełamać jego niechęć do planety. Tym razem jednak nie chodzi wyłącznie o ciebie. Chodzi o nas: o ciebie i o mnie.

Insygna pochyliła się opierając obydwie ręce na stole oddzielającym ją od Marleny.

— Nie, Molly… Marleno. Erytro to nie miejsce dla ciebie. Nie zostanę tam na zawsze. Zrobię pomiary i wrócę, a ty zostaniesz tutaj i będziesz na mnie czekać.

— Obawiam się, że nie, mamo. To oczywiste, że Pitt pozwala ci lecieć, bo jest to jedyny sposób pozbycia się mnie.

Zgodził się wysłać cię na Erytro, ponieważ powiedziałam mu, że polecimy razem, a nie zgadzał się, gdy ty sama prosiłaś go o to. Rozumiesz?

Insygna oburzyła się.

— Nie, nie rozumiem. Naprawdę nie rozumiem. Co ty masz z tym wspólnego?

— Gdy rozmawiałam z nim, wyjaśniłam mu, że wiem, iż chce się pozbyć zarówno ciebie, jak i mnie. Jego twarz zamarła, wiesz, chciał ukryć to, co czuje. Wiedział, że ja rozumiem to, co myśli 'z wyrazu twarzy i z innych drobiazgów i nie chciał pozwolić mi, bym odgadła jego uczucia. Tak przypuszczam. Lecz to również jest pewną wskazówką, rozumiesz? To także wiele mówi. Poza tym nie można ukryć wszystkiego. Na przykład ruch oczu, o którym się nawet nie wie.

— Odgadłaś więc, że chce się pozbyć również ciebie.

— Gorzej. Boi się mnie.

— Dlaczego miałby się ciebie bać?

— Ponieważ wie, że ja wiem to, czego on nie chciałby, żebym wiedziała… — po chwili dokończyła myśl z kwaśną miną: — Wielu ludzi to denerwuje.

Insygna kiwnęła głową.

— To całkiem zrozumiałe. Sprawiasz, że ludzie czują się nadzy, nadzy psychicznie, i w ich umysłach hula zimy wiatr. Spojrzała na córkę.

— Czasami ja również tak się czuję. Na dobrą sprawę zawsze tak się czułam w twojej obecności, nawet gdy byłaś małym dzieckiem. Często powtarzałam sobie, że jesteś po prostu niezwykle inteli…

— Myślę, że jestem — dodała szybko Marlena.

— Tak, ale było w tym jeszcze coś więcej, chociaż nie wiedziałam, co. Powiedz mi, czy chcesz o tym rozmawiać?

— Z tobą, tak — powiedziała Marlena, lecz w jej głosie można było wyczuć lekkie napięcie.

— W takim razie powiedz mi, dlaczego, gdy byłaś młodsza i odkryłaś, że możesz to robić, a inne dzieci nie mogą, ba, nawet dorośli

nie mogą, dlaczego więc nie przyszłaś do mnie i nie powiedziałaś mi o tym?

— Spróbowałam kiedyś, lecz ty niecierpliwiłaś się. Nie powiedziałaś oczywiście nic takiego, lecz ja wiedziałam, że byłaś zajęta i nie chciałaś słuchać żadnych dziecinnych bzdur.

Oczy Insygny rozszerzyły się.

— Czy ja nazwałam to dziecinnymi bzdurami?

— Nie, nie powiedziałaś tego, lecz wystarczyło jak na mnie patrzyłaś, jak trzymałaś ręce.

— Mimo to powinnaś była mi to powiedzieć.

— Byłam tylko małym dzieckiem. A ty byłaś bardzo nieszczęśliwa — z powodu komisarza Pitta i ojca.

— Nieważne. Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś mi powiedzieć?

— Jeszcze tylko jedna sprawa — powiedziała Marlena. — Gdy komisarz Pitt wyraził zgodę na naszą podróż, w jego głosie było coś takiego, co powiedziało mi, że nie mówi wszystkiego, że coś zataja.

— Co to było, Marleno?

— No właśnie, mamo, ja nie potrafię czytać myśli, więc nie wiem. Orientuję się wyłącznie w zewnętrznych formach zachowania, a to nie daje żadnej pewności. Jednak…

— Tak?

— Odnoszę wrażenie, że to, co ukrywa, jest nieprzyjemne, może nawet złe.

Przygotowanie się do wyprawy na Erytro zajęło Insygnie trochę czasu. Nie mogła nagle rzucić wszystkiego na Rotorze i wyjechać, musiała wydać odpowiednie instrukcje, mianować jednego ze swoich bliskich współpracowników tymczasowym naczelnym astronomem, a także przeprowadzić ostatnie konsultacje z Pittem, który był dziwnie niekomunikatywny w interesujących ją sprawach.

W końcu podczas ostatniej rozmowy przed podróżą Insygna postanowiła zagrać w otwarte karty.

— Jutro jadę na Erytro, jak wiesz — powiedziała.

— Słucham? — podniósł głowę znad ostatniego raportu, który wręczyła mu wcześniej i na który bez przerwy spoglądał, chociaż była pewna, że nie czyta go. (Czyżbym zaczynała stosować niektóre sztuczki Marteny, nie wiedząc, co dalej z nimi zrobić? -pomyślała. Nie wolno mi udawać, że rozumiem to, czego w rzeczywistości nie pojmuję — dodała.)

— Jutro jadę na Erytro, jak wiesz — powtórzyła cierpliwie.

— Już jutro? No cóż, wkrótce powrócisz, nie mówię więc „żegnaj". Dbaj o siebie i potraktuj to jako wakacje.

— Mam zamiar zająć się ruchem Nemezis w przestrzeni.

— Tak? No cóż… — wykonał rękoma taki ruch, jak gdyby odsuwał coś nieistotnego — jak sobie życzysz. Zmiana otoczenia to

zawsze jednak wakacje, nawet gdy się pracuje.

— Chciałabym podziękować ci za twoją zgodę, Janus.

— Prosiła o nią twoja córka. Wiedziałaś o tym?

— Tak. Powiedziała mi tego samego dnia. Napominałam ją, że nie miała prawa niepokoić cię. Byłeś bardzo tolerancyjny w stosunku do niej.

Pitt odchrząknął.

— Jest bardzo niezwykłą dziewczyną. Jej prośba nie sprawiła mi kłopotu. Twój wyjazd jest czasowy. Zakończ obliczenia i wracaj.

Już dwukrotnie wspomina o powrocie — pomyślała. Ciekawe, co powiedziałaby na to Marlena, gdyby tu była. Coś złego — tak mówiła, ale co?

— Wrócimy — powiedziała bezbarwnie.

— Mam nadzieję, że z wiadomością, iż Nemezis nie uczyni nikomu krzywdy za pięć tysięcy lat — dodał.

— Zadecydują o tym fakty — powiedziała ponuro i wyszła.

To dziwne — pomyślała Eugenia Insygna — ale znajduję się w odległości dwóch tysięcy lat świetlnych od miejsca, gdzie przyszłam na świat i tylko dwukrotnie podróżowałam statkiem kosmicznym na bardzo niewielką odległość: z Rotora na Ziemię i z powrotem.

Mimo tego nie czuła potrzeby wojażowania w przestrzeni. W przeciwieństwie do Marteny, która była motorem tej wyprawy. Marlena sama poszła do Pitta i przekonała go, aby przystał na jej dziwną formę szantażu. I tylko ona była naprawdę podniecona swoim niezwykłym pragnieniem wizyty na Erytro. Eugenia nie rozumiała tej potrzeby i traktowała ją jako kolejny przykład wyjątkowości psychicznej i emocjonalnej córki. Za każdym razem, gdy Insygna narzekała z powodu konieczności opuszczenia bezpiecznego, małego i wygodnego Rotora i udania się na olbrzymią Erytro — tak obcą i groźną, położoną w dodatku w odległości pełnych sześciuset pięćdziesięciu tysięcy kilometrów (była to niemal dwukrotna odległość Rotora od Ziemi) — podniecenie Marleny przywracało jej chęć do życia.

Statek, którym miały polecieć, nie był ani piękny, ani wygodny. Spełniał rolę transportera. Należał do małej flotylli rakiet służących jako promy startujące z Erytro, walczących nieustraszenie z jej polem grawitacyjnym, któremu nie poddawały się również przy lądowaniu, i wreszcie przebijających się przez chmurną, wietrzną, dziką atmosferę planety.

Insygna nie oczekiwała, że podróż okaże się przyjemna. Przez większą część jej trwania mieli znajdować się w stanie nieważkości, a dwa bite dni stanu nieważkości mogły każdemu dać się we znaki.

Głos Marleny wyrwał ją z zamyślenia.

— Chodź, mamo, czekają na nas. Bagaż już sprawdzono, wszystko

inne też.

Insygna ruszyła przed siebie. Jej ostatnią myślą, gdy przechodziła przez śluzę powietrzną, było dlaczego Janus Pitt tak chętnie się ich pozbywa.

Siever Genarr rządził światem tak wielkim jak Ziemia. A raczej, mówiąc dokładnie, sprawował bezpośrednie rządy nad obszarem krytym kopułą o powierzchni jednego kilometra kwadratowego, który jednak powoli się rozrastał. Reszta świata — niemal pięćset milionów kilometrów kwadratowych ziemi i mórz — była niezamieszkana pominąwszy stworzenia widoczne wyłącznie pod mikroskopami. Jeśli przyjąć, że rządzić światem mogą tylko stworzenia wie-komórkowe zamieszkujące na jego powierzchni, to tych kilkuset ludzi żyjących i pracujących na obszarze osłoniętym kopułą sprawowało władzę na Erytro, a przewodził im Siever Genarr.

Genarr nie był dużym mężczyzną, jednak wyrazista budowa ciała nadawała mu imponujący wygląd. Gdy był młodszy, wydawał się starszym niż w rzeczywistości, teraz jednak — gdy zbliżał się do pięćdziesiątki — jego wygląd i wiek dopasowały się do siebie. Miał długi nos i lekko podkrążone oczy. Włosy niedawno zaczęły u siwieć. Obdarzony był głosem o melodyjnej, głębokiej barwie nylonu. (Przed laty myślał o karierze scenicznej, lecz wygląd skazywał go na granie ról charakterystycznych, górę wzięły więc talenty administracyjne).

Swój niemal dziesięcioletni pobyt na Erytro zawdzięczał po części owym talentom. Genarr był świadkiem wszystkich stadiów rozbudowy Kopuły — od niewielkiej, trzypokojowej struktury do ekspansywnej stacji wydobywczo-badawczej, jaką była obecnie.

Kopuła miała swoje złe strony. Niewiele ludzi zostawało tutaj na dłużej. Przybywały i odjeżdżały kolejne zmiany. Prawie wszyscy przylatujący na Erytro traktowali swój pobyt jako zesłanie i marzyli o rychłym powrocie na Rotora.

Większość uważała, że różowa poświata Nemezis jest ponura i groźna, pomimo tego że światło wewnątrz Kopuły było tak samo jasne i przyjemne jak na Rotorze. Dobrą stroną pobytu na Erytro, przynajmniej dla Genarra, było odsunięcie się od zamętu rotoriańskiej polityki, która z każdym rokiem wydawała się coraz bardziej skomplikowana i pozbawiona sensu. Co więcej, Genarr cieszył się odległością oddzielającą go od Janusa Pitta którego poglądy generalnie kłóciły się z jego własnymi.

Pitt silnie przeciwstawiał się od samego początku koncepcji budowy jakichkolwiek Osiedli na Erytro, a nawet pobytowi Rotora i orbicie wokół planety. Przegrał jednak z wolą znakomitej większości Rotorian, mimo to dopilnował, by Kopuła otrzymywała jak najmniejsze fundusze, co poważnie ograniczyło jej rozwój.

Gdyby nie to, że Genarr zadbał, aby Kopuła stała się ważnym

źródłem wody dla Rotora — wody znacznie tańszej, niż ta, która pochodziła z asteroidów — Pitt postarałby się o zniszczenie całego przedsięwzięcia.

Ogólnie jednak założenie całkowitego ignorowania istnienia Kopuły przez Pitta oznaczało, że komisarz rzadko mieszał się do poczynań administracyjnych Genarra, co bardzo odpowiadało temu ostatniemu. Dlatego zaskoczyła go osobista wiadomość od Pitta, informująca go o przybyciu dwójki Rotorian. Informacje takie przekazywano mu zazwyczaj w zwykłej poczcie. Tym razem jednak Pitt omówił sprawę szczegółowo swoim zwięzłym i nieznoszącym sprzeciwu głosem, a cała rozmowa była zabezpieczona tarczą dźwiękochłonną.

Jeszcze większą niespodzianką było to, że jedną z osób przybywających na Erytro okazała się Eugenia Insygna. Kiedyś — lata całe przed Odlotem — byli przyjaciółmi, później jednak, gdy minęły szczęśliwe lata studiów (Genarr wspominał je tęsknie jako bardzo romantyczne), Eugenia poleciała na Ziemię, by pisać pracę dyplomową i powróciła na Rotora z Ziemianinem. Rzadko ją wtedy widywał — może raz, albo dwa razy na odległość — a później poślubiła Krile Fishera. Jeszcze później, gdy Eugenia i Fisher zaczęli żyć w separacji tuż przed Odlotem, Genarr był zbyt zajęty pracą — podobnie zresztą jak ona — by odnawiać stare znajomości. Czasami jednak myślał o niej, lecz Eugenia była zbyt pogrążona w bólu, zbyt zajęta wychowaniem córeczki, by ośmielił się jej przeszkadzać. I wreszcie wysłano go na Erytro, co ostatecznie zamknęło całą sprawę. Miewał co prawda urlopy, które spędzał na Rotorze, lecz nie czuł się tam swobodnie. Pozostało mu kilka rotoriańskich znajomości, wszystkie one jednak były dość luźne.

A teraz Eugenia miała przylecieć na Erytro z córką. Genarr nie umiał przypomnieć sobie imienia dziewczynki, zakładając, że znał je kiedykolwiek. Z pewnością nigdy jej nie widział. Córka Eugenii musi mleć około piętnastu lat i Genarr zastanawiał się z lekkim drżeniem, czy przypomina matkę z okresu, gdy znali się najlepiej. Genarr rzucał ukradkowe spojrzenia przez okno swojego biura. Tak bardzo przyzwyczaił się do Kopuły, że nie potrafił patrzeć na nią krytycznie. Kopuła była domem dla pracujących tu ludzi obydwu płci, lecz samych dorosłych bez dzieci.

Pracownicy zmianowi podpisujący kontrakt na okres kilku tygodni lub miesięcy czasami wracali na kolejną zmianę, częściej jednak nie. Poza nim, czterema innymi osobami, które z tych czy innych powodów miały mieszkać na Erytro, w Kopule nie było stałych lokatorów. Nikt nie traktował Kopuły jako swojego domu. Z konieczności, co prawda utrzymywano ją w porządku i czystości, czuło się jednak pewną niestałość i tymczasowość. Być może wynikało

to z samej struktury budowli, pełnej linii prostych i łuków, płaszczyzn i okręgów, której brakowało nieregulaności i chaosu stałych siedzib ludzkich, gdzie pomieszczenia, a nawet meble, przystosowują się do przyzwyczajeń i nastrojów poszczególnych osób.

Pozostawał on sam. Jego meble i pokój odzwierciedlały jednak go wewnętrzną systematyczność i planowość. Może dlatego czuł się tak dobrze w Kopule na Erytro; jej kształty przypominały wewnętrzny obraz jego ducha.

Co powie na to wszystko Eugenia Insygna? (Cieszył się, że wróciła do swojego panieńskiego nazwiska.) Pamiętał ją jako osobę niezbyt uporządkowaną, lubującą się w zaskakujących wzorach i świecidełkach, pomimo tego że była astronomem.

A może się zmieniła? Jednak czy ludzie kiedykolwiek zmieniają się dogłębnie? A może odejście Krile Fishera sprawiło, że stała się zgorzkniała, zdziwaczała…

Genarr podrapał się po skroni, w miejscu gdzie jego włosy zaczynały siwieć. Doszedł do wniosku, że takie rozważania prowadzą donikąd i są wyłącznie stratą czasu. Wkrótce zobaczy Eugenię; wydał rozporządzenie, aby przyprowadzono ją do niego, gdy tylko przyleci.A może powinien wyjść po nią osobiście?

Nie! Tłumaczył już to sobie dziesiątki razy. Nie wolno mu okazywać podniecenia — osobie o jego pozycji całkowicie to nie przystoi.Lecz nie to było głównym powodem. Nie chciał wprawiać jej zakłopotanie. Nie chciał także, żeby myślała, że jest tym samym niezgrabnym i niezdarnym wielbicielem, który sromotnie zrejterował w obliczu wysokiego i przystojnego Ziemianina. Po przysiędze Krile Eugenia nawet nie rzuciła okiem na Genarra, nawet nie spojrzała na niego.

Genarr skupił się na wiadomości od Janusa Pitta — suchej i zwartej jak wszystko, co pisał, obdarzonej trudnym do zdefiniowania poczuciem władzy, wykluczającym jakąkolwiek formę sprzeciwu. Dopiero teraz zauważył, że Pitt bardzo ostro wyraża się nie o matce, lecz o córce. Zaciekawiło go pewne zdanie komisarza, w którym ten domagał się od niego wyrażenia zgody na opuszczenie Kopuły przez córkę, gdyby przyszło jej do głowy zbadanie powierzchni planety.

Ale dlaczego?

I oto ona. Starsza o czternaście lat od czasu Odlotu. I dwadzieścia lat od czasów młodości, z epoki przed Krile od dnia gdy wybrali się na spacer do Obszaru Farm C, gdzie wspięli się do poziomu małego ciążenia, w którym śmiała się, widząc jak usiłuje wykonać salto i ląduje płasko na brzuchu. (Mógł wtedy łatwo zrobić sobie krzywdę, bo chociaż ważył mniej, jego masa, a co za tym idzie inercja, pozostała taka sama. Na szczęście nie doszło do takiego poniżenia.)

Eugenia wyglądała starzej, nie była jednak grubsza, a jej włosy —

mimo że krótsze i proste — były bardziej naturalne i tak samo ciemnobrązowe.

Gdy zbliżała się do niego z uśmiechem na twarzy, poczuł że zdradzieckie serce zaczyna bić szybciej. Wyciągnęła

obydwie ręce, które natychmiast uchwycił.

— Siever — powiedziała — zdradziłam cię i tak mi wstyd.

— Zdradziłaś mnie, Eugenio? O czym ty mówisz? Rzeczywiście, o czym mówiła? Chyba nie o małżeństwie z Krile.

— Powinnam była myśleć o tobie codziennie — odpowiedziała.

— Powinnam była wysyłać do ciebie wiadomości, informować cię o nowych wydarzeniach, nalegać na odwiedziny.

— I zamiast tego nigdy o mnie nie myślałaś!

— O nie, nie jestem taka zła. Czasami myślałam o tobie. Tak naprawdę nigdy cię nie zapomniałam. Nie wolno ci tak myśleć. Jednak moja pamięć o tobie nigdy nie zamieniła się w konkretne działanie.

Genarr kiwnął głową. Co miał powiedzieć?

— Wiem, że byłaś zajęta. A ja tutaj… Co z oczu, to i z serca.

— Nie mów tak. Prawie się nie zmieniłeś, Sieverze.

— Na tym właśnie polega przewaga starego wyglądu w wieku lat dwudziestu. Po prostu przestajesz się zmieniać. Upływa czas, a ty ciągle wyglądasz tak samo staro. I wszystko jest jak dawniej.

— Przestań, Sieverze. Jesteś zbyt okrutny dla siebie i na pewno liczysz na to, że kobieta o miękkim sercu weźmie cię w obronę. Wszystko jak dawniej!

— A gdzie twoja córka, Eugenio? Powiedziano mi, że przyleci z tobą.

— Przyleciała, możesz być pewny. Wyobraża sobie, że Erytro jest rajem — nie mam pojęcia dlaczego. Poszła do naszej kwatery, żeby przygotować ją i rozpakować nasze rzeczy. To właśnie taka młoda osoba: poważna, odpowiedzialna, praktyczna, obowiązkowa. Posiada wszystkie te cechy, które ktoś kiedyś nazwał w mojej obecności trudnymi do kochania.

Genarr roześmiał się.

— Dobrze to znam. Gdybyś wiedziała, jak bardzo kiedyś stadem się kultywować chociaż jedną czarującą wadę. I nigdy mi się nie udawało.

— No cóż, wydaje mi się, że z wiekiem coraz bardziej potrzebne są owe trudne do kochania cechy, zamiast czarujących ułomności. Dlaczego zdecydowałeś się na stały pobyt na Erytro, Siever? Zdaję sobie sprawę, że ktoś musi administrować Kopułą, lecz nie jesteś chyba jedyną osobą na Rotorze, która nadaje się do tej pracy.

— W rzeczy samej, czasami lubię myśleć, że tak — odpowiedział. W pewnym sensie podoba mi się tutaj, poza tym spędzam wakacje na

Rotorze.

— I nigdy mnie nie odwiedziłeś…

— To, że ja miałem wakacje, nie oznaczało, że ty byłaś wolna. Podejrzewam, że byłaś znacznie bardziej zajęta ode mnie. Nie miałaś chyba zbyt dużo czasu dla siebie odkąd odkryłaś Nemezis. Jestem jednak rozczarowany — chciałem poznać twoją córkę.

— Poznasz. Nazywa się Marlena. Ja ciągle mówię na nią Molly, ona jednak nie zgadza się na to imię. W wieku piętnastu lat stała się wyjątkowo nietolerancyjna i nalega, by zwracać się do niej pełnym imieniem. Spotkasz ją, nie obawiaj się. Mówiąc prawdę nie chciałam, aby towarzyszyła nam przy pierwszym spotkaniu. nie moglibyśmy wspominać starych czasów w jej obecności.

— Czy chcesz wspominać. Eugenio?

— Niektóre rzeczy… Genarr zawahał się.

— Przykro mi, że Krile nie przyłączył się do nas. Uśmiech Insygny stał się nienaturalny.

— Niektóre rzeczy, Sieverze — odwróciła się, podeszła do okna i zaczęła wyglądać na zewnątrz. — To bardzo ciekawe miejsce, nawiasem mówiąc. To, co zobaczyłam do tej pory, sprawia imponujące wrażenie. Jasne oświetlenie. Prawdziwe ulice. Spore budynki. A na Rotorze prawie nie mówi się i nie wspomina Kopuły. Ile ludzi mieszka tu i pracuje?

— To zależy. Mamy okresy wytężonego wysiłku i okresy zastoju. Kiedyś było tu prawie dziewięciuset ludzi. Obecnie jest pięćset szesnastu. Znamy każdego z obecnych, a nie jest to łatwe, bo ludzie zmieniają się każdego dnia.

— Z wyjątkiem ciebie.

— I kilku innych.

— Lecz po co Kopuła, Sieverze? Atmosfera Erytro nadaje się do oddychania.

Genarr wysunął dolną wargą i po raz pierwszy nie patrzył jej w oczy.

— Nadaje się do oddychania, ale nie jest zbyt przyjemna. Poziom światła także jest nieodpowiedni. Gdy wyjdziesz poza Kopułę zaleje cię różowe światło, zmieniające się w pomarańczowe, gdy Nemezis jest wysoko na niebie. Co prawda światło jest wystarczająco jasne, można w nim czytać, niemniej jednak nie wygląda naturalnie. Nemezis w ogóle nie wygląda naturalnie. Jest zbyt duża i większość ludzi uważa, że stanowi jakieś zagrożenie, że to czerwone światło oznacza gniew — l w związku z tym często mamy tutaj depresje. Zresztą Nemezis rzeczywiście jest w pewnym sensie niebezpieczną: ponieważ nie jest oślepiająco jasna, ludzie wpatrują się w nią szukając plam. A podczerwień niezbyt dobrze wpływa na siatkówkę. Wszyscy, którzy wychodzą, muszą więc nosić specjalne hełmy — między innymi

z tego powodu.

— A więc Kopuła jest raczej strukturą do zatrzymywania normalnego światła, niż do ochrony przed wpływem środowiska zewnętrznego?

— Tak, nie filtrujemy nawet powietrza. Woda i powietrze w Kopule pochodzą z naturalnych zasobów planety.

Oczywiście chronimy się przed czymś, co jest na zewnątrz — dodał Genarr.

— Chronimy się przed prokariotami, wiesz, tymi małymi, niebiesko-zielonymi komórkami.

Insygna kiwnęła głową w zamyśleniu. Obecność prokariotów wyjaśniała pochodzenie tlenu znajdującego się w powietrzu. Na Erytro było życie — i to wszechogarniające życie — co prawda mikroskopijnej natury, podobne do najprostszych form jednokomórkowych z Układu Słonecznego.

— Czy rzeczywiście są to prokarioty? — zapytała. — Wiem, że są tak nazywane, ale nazwa ta odnosi się do ziemskich bakterii. czy to są bakterie?

— Jeśli można porównać je z czymkolwiek, co znamy z Układu tanecznego, to byłyby to cyjanobakterie fotosyntezujące. Masz rację, zadając to pytanie. One nie są naszymi cyjanobakteriami. Posiadają nukleoproteiny, lecz o strukturze całkowicie odmiennej i tej, która dominuje pośród naszych form życia. Posiadają także coś w rodzaju chlorofilu, jednak bez magnezu, i jest to chlorofil pracujący w podczerwieni, tak więc komórki są bezbarwne, a nie zielone jak nasze. Mają inne enzymy, minerały śladowe w innych proporcjach. Mimo tego, ich zewnętrzny wygląd bardzo zbliżony jest do ziemskich komórek, stąd nazywa się je prokariotami. Rozumiem, że biolodzy sugerują nazwę „erytrota", jednak dla laików, takich jak ja czy ty prokarioty są wystarczająco dobre.

— Czy można przyjąć, że są również wystarczająco wydajne, gdy spadła na nie odpowiedzialność za tlen w atmosferze?

— Bezwzględnie. Nic innego nie tłumaczy pochodzenia tlenu. Przy okazji, Eugenio, jesteś astronomem: jakie są najświeższe wieści o starej Nemezis?

Insygna wzruszyła ramionami.

— Czerwone karły są niemal nieśmiertelne. Nemezis może być tak stara jak Wszechświat i ma przed sobą kolejne sto miliardów lat, przez które nie zmieni się w sposób zauważalny. Jedyna rzecz, jaka nam pozostała, to ocena zawartości rzadkich pierwiastków tworzących jej strukturę. Przypuszczalnie, jeśli jest to gwiazda pierwszej generacji i nie zaczęła z niczym innym oprócz wodoru helu, to jej wiek wynosi ponad dziesięć miliardów lat, czyli dwa, trzy więcej niż naszego Słońca.

— W takim razie Erytro ma również dziesięć miliardów lat.

— Oczywiście. System gwiezdny formuje się od razu w całości, a nie po kawałku. Dlaczego pytasz?

— Wydaje mi się dziwne, że przez dziesięć miliardów lat życie nie rozwinęło się poza stadium prokariotów.

— Nie sądzę, żeby to było dziwne, Sieverze. Na Ziemi, w okresie pomiędzy dwoma a trzema miliardami lat od momentu pojawienia się życia, miało ono wyłącznie formę prokariotów. Tutaj, na Erytro koncentracja energii w świetle słonecznym jest znacznie mniejsza niż na Ziemi. A energia jest niezbędna do powstania bardziej złożonych form życia. Omawialiśmy ten problem dosyć często na Rotorze.

— Z pewnością — powiedział Genarr. — Do nas jednak nie docierają echa waszych dyskusji. Podejrzewam, że za bardzo zaprzątają nas lokalne obowiązki i problemy, chociaż sprawa prokariotów stała się kwestią ogólną.

— Jeśli już o to chodzi — odpowiedziała Insygna — my również nie słyszymy zbyt wiele na temat Kopuły.

— Tak, chyba się specjalizujemy. Poza tym tak naprawdę nie dzieje się tutaj nic wielkiego, Eugenio. Jest to tylko warsztat i wiadomości z niego giną pod naporem wydarzeń na Rotorze. Wszyscy mówią teraz o budowie nowych Osiedli. Chcesz się przenieść do jednego z nich?

— Nigdy. Jestem Rotorianką i mam zamiar nią zostać. Nie zgodziłabym się nawet na przylot tutaj — nie bierz tego do siebie — gdyby nie astronomiczna konieczność. Muszę poczynić kilka obserwacji na bazie stabilniejszej niż Rotor.

— Tak, Pitt informował mnie o tym. Polecił mi okazać ci maksymalną pomoc.

— To dobrze. Wierzę, że mi pomożesz. Wspomniałeś wcześniej, że Kopuła chroni przed prokariotami — czy całkowicie? Czy woda nadaje się do picia?

— Oczywiście — odpowiedział Genarr — przecież my ją pijemy. Wewnątrz Kopuły nie ma prokariotów. Pobierana przez nas woda, jak zresztą wszystko, co pobieramy z zewnątrz, poddawana jest promieniowaniu ultrafioletowemu, które niszczy prokarioty w przeciągu sekund. Fotony fal krótkich znajdujące się w promieniowaniu są zbyt energetyczne dla stworzonek i niszczą wszystkie kluczowe komponenty komórek. A nawet gdyby kilka z nich dostało się tutaj, nie są one szkodliwe ani trujące, o ile wiemy. Testowaliśmy je na zwierzętach.

— To duża ulga.

— Tak, ale jest to broń obosieczna. Nasze własne mikroorganizmy nie mogą konkurować z prokariotami z Erytro w ich naturalnym środowisku. Gdy w próbkach gleby z Erytro umieściliśmy nasze

własne kolonie bakterii, nie udało im się rozrosnąć rozmnożyć.

— A co z roślinami wielokomórkowymi?

— Próbowaliśmy, ale z bardzo miernymi rezultatami. Winę ponosi tu jakość światła z Nemezis, ponieważ wewnątrz Kopuły rośliny rozwijają się normalnie w glebie z Erytro i w wodzie z Erytro. Meldowaliśmy o tym Rotorowi, ale wątpię czy informacja dotarła do opinii publicznej. Tak jak mówiłem. Rotor nie interesuje się Kopułą. A już z pewnością nie interesuje się nami straszny Pitt. A przecież tylko on liczy się na Rotorze, nieprawdaż?

Genarr wypowiedział ostatnią kwestię z uśmiechem, lecz był o uśmiech wymuszony. (Co powiedziałaby na to Marlena — zastanawiała się Insygna).

— Pitt nie jest straszny — powiedziała. — Czasami jest męczący, i to zupełnie coś innego. Wiesz co, Sieverze, kiedy byliśmy młodzi, zawsze wydawało mi się, że któregoś dnia zostaniesz komisarzem. Byłeś bardzo bystry…

— Byłem?

— Ciągle jesteś. Ale wtedy interesowałeś się polityką, miałeś tyle pomysłów. Słuchałam cię jak oczarowana. Pod niektórymi względami byłbyś lepszym komisarzem niż Janus. Słuchałbyś, co mowią ludzie. Nie wymagałbyś od nich absolutnego podporządkowania się własnej woli.

— I właśnie dlatego byłbym bardzo złym komisarzem. Widzisz, a nie mam żadnych konkretnych celów w życiu. Pragnę tylko robić to, co wydaje mi się pożyteczne w danej chwili, mając nadzieję, że to, co robię, wykonuję znośnie. Pitt natomiast wie, czego chce i osiąga to za wszelką cenę.

— Źle go oceniasz, Sieverze. Rzeczywiście ma bardzo sprecyzowane poglądy, lecz jest także rozsądnym człowiekiem.

— Oczywiście, Eugenio. Jego rozsądek jest dużym talentem. Cokolwiek przedsiębierze, zawsze ma wspaniałe, całkowicie logiczne, i przy tym niezwykle ludzkie, wytłumaczenie. Potrafi znaleźć je w dowolnym momencie, a jest przy tym tak szczery, że przekonuje nawet siebie. Jestem pewny, że jeśli kiedykolwiek miałaś z nim do czynienia, to wiesz, jak potrafi przekonywać do rzeczy, których początkowo nie ma się ochoty robić. Pitt nie wydaje rozkazów, nie grozi — on tylko cierpliwie przedstawia logiczne argumenty.

— No cóż… — powiedziała słabo Insygna.

— Widzę, że spotkałaś się z jego zdrowym rozsądkiem — dodali sardonicznie Genarr. — Wiesz zatem, jak powinien wyglądać dobry komisarz. Niekoniecznie dobry człowiek, lecz dobry komisarz.

— Nie posuwałabym się do twierdzenia, że nie jest on dobrym człowiekiem, Sieverze — powiedziała Insygna kręcąc głową.

— No cóż, nie mówmy o tym. Chciałbym spotkać twoją córkę

— Genarr wstał. — Czy mogę odwiedzić was po obiedzie?

— To byłoby wspaniałe — powiedziała Insygna. Spoglądał na nią z lekkim uśmiechem. Eugenia chciała wspominać, a jego pierwszą reakcją była uwaga na temat jej męża.

Zmroził ją tym. Westchnął ciężko. Ciągle posiadał tę niezwykłą umiejętność niszczenia swoich własnych szans. Eugenia Insygna powiedziała do córki:

— Nazywa się Siever Genarr i należy zwracać się do niego „dowódco", ponieważ stoi na czele Kopuły Erytro.

— Oczywiście, mamo. Jeśli ma taki tytuł, to będę go używała.

— I nie chcę, żebyś wprawiała go zakłopotanie…

— Nie zrobię tego.

— Zrobisz, i to bardzo łatwo, Marleno. Wiesz o tym. Przyjmij jego wypowiedzi bez poprawiania ich na gruncie języka jego ciała. Proszę! Był moim dobrym znajomym na studiach i trochę później. I chociaż jest tutaj od dziesięciu lat i nie widziałam się z nim przez cały ten czas, ciągle jest moim dobrym znajomym.

— W takim razie był chyba twoim chłopakiem.

— No przecież o to właśnie cię proszę — powiedziała Insygna.

— Nie chcę, żebyś przyglądała mu się i mówiła, co naprawdę myśli, sądzi, czy czuje. A jeśli już o to chodzi, to nie był moim chłopakiem, a z pewnością nie byliśmy kochankami. Byliśmy wyłącznie przyjaciółmi, lubiliśmy się — jak to przyjaciele…, a potem gdy twój ojciec… — I uważaj na to, co mówisz o komisarzu, jeśli pojawi się ten temat. Wydaje mi się, że dowódca Genarr nie ufa komisarzowi…

Marlena obdarzyła matkę jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

— Czy studiowałaś podświadomie zachowanie dowódcy Sievera? To, o czym mówisz, wygląda mi na więcej niż tylko wrażenia. — Insygna zaprzeczyła ruchem głowy. — Widzisz! Nie potrafisz przestać nawet na chwilę. W porządku, Erytro nie są wrażenia. Genarr powiedział mi, że nie ufa komisarzowi. Wiesz zresztą — dodała jakby do siebie — że może mieć powody… Odwróciła się do Marleny i powiedziała bardzo dobitnie:

— Pozwolisz, że powtórzę, Marleno: możesz przyglądać się dowódcy i badać jego zachowanie, ale nie mów mu o tym! Powiedz mi! Rozumiesz!

— Sądzisz, że jest jakieś niebezpieczeństwo, mamo?

— Nie wiem.

— A ja wiem — powiedziała zupełnie normalnie Marlena. — Domyśliłam się, gdy komisarz Pitt wyraził zgodę na naszą podróż. Nie wiem natomiast, na czym ono polega.

Widząc Marlenę po raz pierwszy, Siever Genarr przeżył szok, tym większy, że dziewczyna spoglądała na niego z poważnym wyrazem

twarzy, który mówił, że zdaje sobie sprawę z zaskoczenia, i także z przyczyn, które je wywołały. Zdumiał go fakt, że Marlena w najmniejszym stopniu nie przypominała matki — nie było w niej nic z urody Eugenii, z wdzięku Eugenii, z uroku Eugenii. I tylko te wielkie, jasne oczy o świdrującym spojrzeniu — lecz one także nie należały do Eugenii. Oczy były jedynym ulepszeniem w stosunku do matki, reszta była gorsza.

Wkrótce jednak Genarr zrewidował swoje pierwsze wrażenie. Przyszedł do Eugenii w porze herbaty i deseru. Marlena zachowywała się nienagannie. Całkiem jak dama i w dodatku bardzo inteligentna. O czym to mówiła Eugenia? O cechach trudnych do kochania? Nie jest tak źle. Wydawało mu się, że dziewczyna pragnie miłości aż do bólu — jak wszyscy zwykli ludzie, jak on. Poczuł naglą falę sympatii i współczucia. Po chwili powiedział:

— Eugenio, zastanawiam się, czy mógłbym porozmawiać z Marleną sam na sam.

— Jakiś konkretny powód? — zapytała Insygna siląc się na nie zobowiązujący ton.

— No cóż, to przecież Marlena rozmawiała z komisarzem Pittem i przekonała go, aby zezwolił wam na przylot tutaj. Jako dowódca Kopuły jestem w znacznym stopniu uzależniony od tego, co mówi i robi komisarz i chciałbym dowiedzieć się nieco więcej o tym spotkaniu. Sądzę, że Marlena będzie mniej skrępowana, jeśli porozmawiamy w cztery oczy.

Genarr przyglądał się wychodzącej Insygnie, a następnie zwrócił się do Marleny, która siedziała teraz w dużym fotelu w kącie pokoju, zagubiona niemal w jego miękkich poduszkach. Jej ręce były swobodnie splecione, a wspaniałe oczy spoglądały ponuro na Genarra.

Genarr zaczął lekkim tonem:

— Twoja matka była nieco zdenerwowana zostawiając mnie z tobą tutaj. Czy ty także się denerwujesz?

— Nie — odpowiedziała Marlena. — A jeśli mama rzeczywiście denerwowała się, to raczej z pańskiego powodu niż z mojego.

— Z mojego powodu? Dlaczego?

— Uważa, że mogę powiedzieć coś, co pana obrazi.

— A możesz, Marleno?

— Nie zrobię tego umyślnie, dowódco, a przynajmniej spróbuję.

— Jestem przekonany, że uda ci się. Czy wiesz, dlaczego chcę z tobą rozmawiać?

— Powiedział pan mamie, że pragnie pan dowiedzieć się czegoś na temat mojego spotkania z komisarzem Pittem. To prawda, ale chce pan także przekonać się. jaka jestem?

Genarr zmarszczył lekko brwi.

— Naturalnie chciałbym poznać cię lepiej.

— To nie o to chodzi — powiedziała szybko Marlena.

— W takim razie o co chodzi? Marlena odwróciła wzrok.

— Przepraszam, dowódco.

— Za co przepraszasz?

Skrzywiła się nieszczęśliwie i nie powiedziała nic.

— Posłuchaj, Marleno — powiedział miękko Genarr — coś jest nie tak. Muszę wiedzieć, co? Chcę, żebyśmy porozmawiali uczciwie. Jeśli matka kazała ci uważać na to, co mówisz, zapomnij o tym. Jeśli dała ci do zrozumienia, że jestem wrażliwy i łatwo się obrażam, zapomnij o tym także. W rzeczy samej, rozkazuję ci rozmawiać ze mną swobodnie i nie martwić się tym, czy mnie obrażasz czy, nie. Musisz zastosować się do mojego rozkazu, ponieważ jestem dowódcą Kopuły Erytro.

Marlena roześmiała się nagle.

— Naprawdę chce pan wiedzieć, jaka jestem?

— Oczywiście.

— Ponieważ zastanawia się pan, jak to się stało, że wyglądam tak jak wyglądam, będąc córką swojej matki.

Oczy Genarra rozszerzyły się ze zdumienia.

— Nigdy nie powiedziałem czegoś takiego.

— Nie musiał pan. Jest pan starym przyjacielem mojej mamy. Tyle mi powiedziała. Lecz pan ją kocha i jeszcze to panu nie przeszło, i dlatego oczekiwał pan, że będę wyglądała tak jak ona w młodości, i kiedy zobaczył mnie pan po raz pierwszy, skrzywił się pan i cofnął na mój widok.

— Naprawdę? Zauważyłaś to?

— Był to ledwo widoczny gest, ponieważ jest pan dobrze wychowany i starał się pan go ukryć, niemniej jednak zauważyłam to. I to dosyć łatwo. A potem spojrzał pan na mamę i znowu na minie. No i jeszcze ton pańskiego głosu, gdy odezwał się pan po raz pierwszy do mnie. Wszystko było jasne. Myślał pan, że w ogóle nie przypominam matki i był pan rozczarowany.

Genarr oparł się o poręcz krzesła i powiedział:

— To niesamowite.

Na twarzy Marleny odmalowało się zadowolenie.

— Teraz wierzy pan w to, co mówię, dowódco. Teraz pan wierzy. Nie jest pan obrażony. Nie czuje się pan skrępowany. Czuje się pan szczęśliwy. Jest pan pierwszy, naprawdę pierwszy. Nawet moja mama tego nie lubi.

— Lubi czy nie lubi, to nie ma w tym wypadku większego znaczenia. Jest to absolutnie nieważne, gdy ma się do czynienia z czymś tak niezwykłym. Od jak dawna potrafisz odczytywać język ciała, Marleno?

— Od zawsze, ale z czasem stałam się w tym lepsza. Myślę, że

każdy umiałby to robić, gdyby tylko patrzył i wyciągał wnioski.

— Niezupełnie, Marleno. To nie takie proste, jak ci się wydaje. I mówisz, że kocham twoją matkę.

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, dowódco. Gdy jest pan obok niej, zdradza się pan z każdym spojrzeniem, każdym słowem, każdym gestem.

— Czy myślisz, że ona to zauważa?

— Podejrzewa, że pan ją kocha, ale nie chce tego. Genarr odwrócił wzrok.

— Nigdy nie chciała.

— Z powodu ojca.

— Wiem.

Martena zawahała się.

— Ale chyba nie ma racji. Gdyby mogła zobaczyć pana tak, jak ja teraz widzę…

— Ale niestety nie może. Natomiast jestem bardzo szczęśliwy, że ty możesz. Jesteś piękna.

Marlena zaczerwieniła się, a potem powiedziała szybko:

— Pan wierzy w to, co mówi?

— Oczywiście, że tak.

— Ale…

— Nie mogę cię okłamywać, prawda? Nie będę nawet próbował. Twoja twarz nie jest piękna. Twoje ciało nie jest piękne. Lecz ty jesteś piękna, a to liczy się najbardziej. I ty wiesz najlepiej, że wierzę w to, co mówię.

— Wiem — powiedziała Marlena uśmiechając się z takim wyrazem szczęścia na twarzy, że naprawdę wyglądała pięknie. Genarr także się uśmiechnął.

— Czy teraz możemy porozmawiać o komisarzu? Jest to dla mnie tym bardziej ważne, ponieważ przekonałem się, że jesteś niezwykle sprytną młodą osobą. Możemy?

Marlena klasnęła lekko w ręce, uśmiechnęła się z przesadną skromnością i powiedziała:

— Możemy, wujku Sieverze. Nie masz nic przeciwko temu, żebym tak cię nazywała?

— Absolutnie nic. Czuję się dumny z tego powodu. A teraz, powiedz mi o komisarzu. Przysłał mi instrukcję, w której nakazuje mi udzielenia wszelkiej pomocy twojej matce. Mam udostępnić jej nasze wszystkie instrumenty astronomiczne. Jak sądzisz, dlaczego?

— Mama chce dokonać precyzyjnych pomiarów ruchu Nemezis w stosunku do gwiazd, a Rotor jest zbyt niestabilny do prowadzenia takich badań, natomiast Erytro doskonale się nadaje.

— Czy ten projekt pojawił się niedawno?!

— Nie, wujku Sieverze. Mówiła mi, że od dawna próbuje

zgromadzić niezbędne dane.

— Dlaczego więc nie zdecydowała się wcześniej na przyjazd?

— Prosiła o to komisarza Pitta, lecz on odmawiał.

— Dlaczego zgodził się tym razem?

— Ponieważ chciał się jej pozbyć.

— Tak, jestem pewny, jeśli przychodziła do niego ze swoimi problemami astronomicznymi. Lecz musiał mieć jej dosyć dawno, dlaczego wysłał ją teraz?

Martena zniżyła głos.

— Chciał się pozbyć mnie.

Rozdział 14
POŁÓW

Od Odlotu minęło pięć lat. Krile Fisher nie mógł w to uwierzyć — dla niego Odlot był dawniej, nieskończenie dawno. Rotor to me była przeszłość, było to zupełnie inne życie, życie, na które spoglądał teraz ze wzrastającym niedowierzaniem. Czy naprawdę tam mieszkał? Miał żonę?

Dobrze pamiętał tylko córkę. Lecz nawet te wspomnienia uległy pomieszaniu, ponieważ wydawało mu się, że pamięta ją jako nastolatkę.

— Przez ostatnie trzy lata — odkąd Ziemia odkryła Sąsiednią Gwiazdę — prowadził bardzo gorączkowy tryb życia, co nie wpływało dodatnio na jego problemy. Odwiedził siedem różnych Osiedli. Wszystkie Osiedla zamieszkiwali Osadnicy o jego kolorze skóry, mówiący mniej więcej w tym samym języku i o podobnej orientacji kulturowej. (Na tym polegała przewaga Ziemi. Biuro mogło wysłać agenta dowolnej rasy i o dowolnej orientacji kulturowej do dowolnego Osiedla).

Oczywiście istniały granice wtopienia się w życie Osiedla. Na zewnątrz mógł nie wyróżniać się niczym specjalnym, mimo to posiadał swój specyficzny, ziemski sposób mówienia, nie potrafił przystosować się szybko do zmian ciążenia, a co za tym idzie, brak mu było wdzięku i lekkości w rejonach o niskim ciążeniu. W każdym Osiedlu, które odwiedził, zdradzał się na dziesiątki sposobów. Mieszkańcy Osiedli zawsze odsuwali się od niego, mimo że przeszedł kwarantannę i testy medyczne zanim wpuszczono go do wewnątrz.

W każdym z Osiedli przebywał nie dłużej niż kilka dni lub tygodni. Tym razem nie oczekiwano od niego, że zostanie gdzieś na stałe lub, co gorsza, założy rodzinę, tak jak miało to miejsce na Rotorze. Lecz gra na Rotorze toczyła się o hiperwspomaganie, teraz natomiast Biuro szukało rzeczy o mniejszym znaczeniu, i może po prostu wysyłano go w mniej istotnych misjach.

Od trzech miesięcy był znowu na Ziemi. Nikt nie mówił o przydzielaniu mu nowego zadania, a jemu też specjalnie na tym nie zależało. Męczyło go to ciągłe przystosowywanie się, dopasowywanie, udawanie, że jest turystą.

I oto ponownie pojawił się Garand Wyler — stary przyjaciel i współpracownik — który również niedawno powrócił z własnego Osiedla i wpatrywał się teraz w niego zmęczonymi oczyma. I świetle

lampy błysnęła ciemna skóra na dłoni Wylera, gdy ten wąchał własną rękę, a potem pozwolił jej opaść.

Fisher uśmiechnął się półgębkiem. Znał ten gest — sam robił tak wiele razy. Każde Osiedle miało swój własny, charakterystyczny zapach, związany z uprawianymi na nim roślinami, stosowymi przyprawami, produkowanymi środkami toaletowymi, nie mówiąc już o całej maszynerii i odpowiednich smarach. Przebywając na miejscu, człowiek szybko przyzwyczajał się do zapachu Osiedla, jednak po powrocie na Ziemię istniał on jako coś wyraźnie odrębnego.

Nie pomagały kąpiele, pranie odzieży — nawet jeśli inni nie zauważyli zapachu, wyczuwało się go samemu.

— Witaj w domu — powiedział Fisher. — Jak tym razem miewa się twoje Osiedle?

— Jak zwykle okropnie. Staruszek Tanayama ma rację. Wszystkie Osiedla najbardziej obawiają się i nienawidzą różnorodności. Nie chcą żadnych różnic w wyglądzie, upodobaniach, sposobach na życie. Dobierają się pod względem jednorodności i pogardzają wszystkim innym.

— Masz rację — powiedział Fisher. — To niedobrze.

— Wyrażasz się bardzo eufemistycznie — dodał Wyler. — „Niedobrze". „Och, stłukłem talerz. Och, niedobrze!" A mówimy o ludzkości. Mówimy o długiej walce, jaką prowadzi Ziemia, by wszyscy żyli razem, bez względu na wygląd czy kulturę. Oczywiście nie wszystko nam się udało, ale pomyśl, co było jeszcze sto lat mu… Teraz mamy raj. No, a gdy nadarza się szansa wyruszenia kosmos, odkładamy to wszystko na bok i sami pakujemy się Średniowiecze. A ty mówisz „niedobrze". Niezła reakcja na coś, co jest tragedią ludzką.

— Zgadzam się z tobą — powiedział Fisher. — Ale dopóki nie wskażesz mi praktycznej drogi rozwiązania tego problemu, jakie znaczenie mają moje elokwentne zaklęcia? Byłeś w Akrumie, prawda?

— Tak — odpowiedział Wyler.

— Wiedzieli o Sąsiedniej Gwieździe?

— Oczywiście. Z tego co wiem, wiadomość o niej dotarła już do każdego Osiedla.

— Byli zainteresowani?

— Ani trochę. Po co? Mają tysiące lat. Zanim Sąsiednia Gwiazda znajdzie się w pobliżu i zanim okaże się, czy rzeczywiście jest groźna — co nie jest takie pewne — zawsze zdążą odlecieć. Podziwiają Rotora i tylko czekają na okazję, by samemu udać się w drogę.

Mówił dalej:

— Wszyscy odlecą, a my będziemy załatwieni. Jak mamy zbudować wystarczająco dużo Osiedli dla miliardów ludzi i wysłać je w przestrzeń?

— Mówisz jak Tanayama. Ściganie się z nimi, karanie ich czy

wreszcie niszczenie nie doprowadzi nas do niczego dobrego. Ciągle będziemy w tym samym miejscu i ciągle będziemy załatwieni. A zresztą czy byłoby nam lepiej, gdyby wszyscy zachowali się jak grzeczne dzieci i zdecydowali się na stanięcie twarzą w twarz z Gwiazdą, razem z nami?

— Widzę, że specjalnie się tym nie przejmujesz, Krile. w przeciwieństwie do Tanayamy, a ja jestem po jego stronie. Tanayama przejął się tak bardzo, że gotów jest rozerwać Galaktykę na strzępy, jeśli zapewni mu to nasze własne hiperwspomaganie. Chce dogonić Rotora i zdmuchnąć go z przestrzeni kosmicznej, lecz nawet jeśli nie pomoże nam to w niczym, to i tak potrzebujemy hiperwspomagania, by ewakuować tyle ludzi z Ziemi, ile się da, jeśli okaże się to konieczne. Tak więc. to co robi Tanayama jest słuszne, nawet jeśli robi to ze złych pobudek.

— Przypuśćmy w takim razie, że mamy już hiperwspomaganie i nagle okazuje się, że ze względu na czas i możliwości uda nam się ewakuować tylko miliard ludzi. Kto dokona wyboru? I co stanie się jeśli ludzie odpowiedzialni za wybór będą ratować tylko sobie podobnych?

Wyler chrząknął.

— Nie warto o tym myśleć.

— Nie warto — zgodził się Fisher. — Cieszmy się, że będziemy martwi, gdy wszystko się zacznie.

— Jeśli już o to chodzi — powiedział Wyler przyciszonym głosem — to coś właśnie się zaczęło. Podejrzewam, że mamy już hiperwspomaganie, a jeśli nie, to brakuje nam bardzo niewiele.

Fisher postanowił zachować się cynicznie.

— Jak na to wpadłeś? Sny? Intuicja?

— Nie. Znam kobietę, której siostra zna kogoś z zespołu Starego. Wystarczy ci?

— Oczywiście, że nie. Czekam na więcej.

— Nie wolno mi. Posłuchaj, Krile, jestem twoim przyjacielem. Wiesz, że pomogłem ci odzyskać twoje poprzednie stanowisko w Biurze.

Krile kiwnął głową.

— Wiem i doceniam to. Próbowałem nawet zrewanżować się od czasu do czasu.

— Zrobiłeś to i ja to również doceniam. Posłuchaj, mam zamiar przekazać ci informację, która zakwalifikowana jest jako tajna, a która może być dla ciebie ważna i przydatna. Czy gotów jesteś przyjąć moje warunki i nie wydać mnie?

— Zawsze do usług.

— Wiesz oczywiście, czym się zajmowaliśmy.

Fisher odpowiedział „tak”. Było to kolejne głupie pytanie

retoryczne, na które nie można było udzielić innej odpowiedzi. Od pięciu lat agenci Biura (od trzech lat z Fisherem włącznie) przetrząsali śmietniska informacyjne Osiedli. Grzebali w odpadach.

Każde Osiedle pracowało nad hiperwspomaganiem podobnie jak Ziemia, odkąd tylko rozeszła się wiadomość, że Rotor dopiął celu i wreszcie to udowodnił, opuszczając Układ Słoneczny. Prawdopodobnie większość Osiedli, a może nawet wszystkie, dostały fragmenty tego, nad czym pracował Rotor. Zgodnie Umową o Powszechnej Dostępności Nauki, wszystkie te fragmenty powinno położyć się na stole i ułożyć z nich całość, która mogła oznaczać hiperwspomaganie dla każdego. Nikt jednak nie odważył się zaproponować takiego rozwiązania. Trudno było przewidzieć, jakie pożyteczne odkrycia mogą wiązać się z pracami nad hiperwspomaganiem, i żadne z Osiedli nie traciło nadziei, że wygra ze wszystkimi w tej dziedzinie, zdobywając tym samym pozycję lidera. Każde działało więc na własną rękę z tym, co miało — jeśli miało cokolwiek — a żadne z nich nie miało wystarczająco dużo. Ziemia natomiast dzięki rozbudowanej Ziemskiej Radzie Śledczej przyglądała się wszystkim Osiedlom bez wyjątku. Ziemia prowadziła połów, a Fisher był jednym z rybaków.

Wyler zaczął mówić bardzo powoli:

— Zebraliśmy wszystko, co mamy do kupy i wydaje mi się, że to wystarczy. Będziemy mieli podróże z hiperwspomaganiem. Myślę, że polecimy na Sąsiednią Gwiazdę. Nie chciałbyś wziąć udziału w tej wyprawie?

— Po co miałbym brać w niej udział, Garand? Jeśli w ogóle dojdzie do tej podróży, w co wątpię.

— Jestem pewien, że dojdzie. Nie mogę zdradzić ci źródła, ale możesz wierzyć mi na słowo, naprawdę.

Oczywiście, że chciałbyś tam polecieć. Mógłbyś zobaczyć się z żoną, a jeśli nie z nią, to z dzieckiem.

Fisher poruszył się niespokojnie. Wydawało mu się, że połowę swojego życia spędził na próbach zapomnienia o tych oczach. Martena ma teraz sześć lat, mówi cichym, stanowczym głosem — jak Rosanna. Widzi poprzez ludzi — jak Rosanna.

— Mówisz bzdury, Garand — powiedział. — Nawet gdyby doszło do takiego lotu, dlaczego mieliby mnie zabrać? Wzięliby specjalistów z tej czy innej dziedziny. Poza tym Stary dopilnuje, żebym nie znalazł się w pobliżu. Pozwolił mi wrócić do Biura i przydzielił mi nawet zadania, ale nie zapomina o niepowodzeniach, a ja zawiodłem go na Rotorze.

— Tak, ale właśnie o to chodzi. Dlatego jesteś specjalistą. Jeśli ma zamiar rozprawić się z Rotorem, jak mógłby nie uwzględnić jedynego Ziemianina, który mieszkał tam przez cztery lata? Kto lepiej od ciebie

rozumie Rotora i kto lepiej od ciebie wie, jak się z nim dogadać? Poproś o spotkanie. Wykaż mu to czarno na białym, ale pamiętaj, że nie wiesz nic o hiperwspomaganiu. Mów tylko o możliwościach, używaj trybu przypuszczającego. I nie wciągaj mnie w to w żaden sposób. Ja również nic nie wiem.

Fisher zmarszczył czoło w zamyśleniu. Czy to możliwe? Bał się nawet mieć nadzieję.

Następnego dnia, gdy Fisher ciągle zastanawiał się nad ryzykiem związanym z prośbą o spotkanie» z Tanayamą, decyzja została podjęta bez jego udziału. Wezwano go.

Zwykły agent rzadko bywa wzywany przez dyrektora. Jest wielu zastępców zajmujących się agentami. A jeśli już do zwykłego agenta zostanie skierowane wezwanie do Starego, zawsze oznacza to złe wieści. Krile Fisher z ponurą rezygnacją przygotował się na otrzymanie skierowania na stanowisko inspektora w fabryce nawozów.

Tanayamą spojrzał na niego zza biurka. Przez ostatnie trzy lata, które upłynęły od odkrycia Sąsiedniej Gwiazdy, Fisher widywał dyrektora bardzo rzadko i niezwykle krótko, jednak nie zauważył żadnych zmian w wyglądzie Japończyka. Tanayamą był jak zwykle mały i pokręcony, i trudno było wyobrazić sobie, co jeszcze może ulec zmianie w jego postawie. Nie zmieniła się także ostrość jego spojrzenia ani ponury grymas na ustach. Niewykluczone, że miał na sobie to samo ubranie, które nosił przed trzema laty. Nie wypadało pytać.

Powitał go ten sam ostry, zgrzytliwy głos, jednak zaskoczył go ton: wydawało się to nieprawdopodobne, ale w świetle ostatnich wydarzeń astronomicznych, Tanayamą miał zamiar udzielić mu pochwały.

— Fisher, dobrze się spisałeś. Chcę, żebyś usłyszał to ode mnie — powiedział Tanayamą swoim dziwnym, mimo to miłym dla ucha planetarnym angielskim.

Fisher stojąc przed dyrektorem (nie poproszono go, by usiadł) usiłował powstrzymać uśmiech zadowolenia.

— Nie mogę zorganizować ci święta państwowego z tej okazji — powiedział Tanayamą — ani parady laserowej czy holograficznej procesji. Nie pozwala na to natura naszej pracy. Mogę ci tylko pogratulować.

— To mi wystarczy, dyrektorze — odpowiedział Fisher. — Dziękuję panu.

Tanayamą spoglądał na niego swoimi wąskimi oczami. W końcu powiedział:

— Czy to wszystko, co chcesz mi zakomunikować? Żadnych pytań?

— Przypuszczam, dyrektorze, że powie mi pan to, co powinienem wiedzieć.

— Jesteś agentem, zdolnym agentem. Czy znalazłeś coś dla siebie?

— Nic, dyrektorze. Nie szukam niczego oprócz tego, co przewidują instrukcje.

Tanayama kiwnął głową.

— Prawidłowa odpowiedź, lecz mnie interesują nieprawidłowe odpowiedzi. Na co wpadłeś?

— Jest pan zadowolony ze mnie, dyrektorze. Tłumaczę to sobie w ten sposób, że być może udało mi się dostarczyć jakieś pożyteczne dla pana informacje.

— Pożyteczne pod jakim względem?

— Sądzę, że nie ma nic bardziej pożytecznego dla pana, niż technologia hiperwspomagania.

Tanayama otworzył usta i powiedział cicho „Ah-h-h."

— I co dalej? Zakładając, że jest tak jak mówisz, co mamy robić dalej?

— Polecieć do Sąsiedniej Gwiazdy. Odnaleźć Rotora.

— I nic poza tym? To wszystko, co mamy zrobić? Nie patrzysz dalej w przyszłość?

W tym momencie Fisher postanowił zagrać va banque. Kolejna okazja może się nie zdarzyć.

— Jest jeszcze coś. Kiedy pierwszy ziemski statek opuści Układ Słoneczny, za pomocą hiperwspomagania, ja będę na jego pokładzie.

Zanim jeszcze dokończył to zdanie, wiedział, że przegrał — a przynajmniej nie dane było mu wygrać. Twarz Tanayamy pociemniała.

— Siadaj! — wypowiedziane to było ostrym, rozkazującym tonem.

Fisher usłyszał dźwięk zbliżającego się krzesła, którego prymitywny skomputeryzowany silnik zareagował na słowa Tanayamy.

Usiadł, nie sprawdziwszy nawet, czy krzesło rzeczywiście stoi za nim. Nie chciał obrazić Tanayamy niepotrzebnym gestem, a przynajmniej nie w tej chwili.

— Dlaczego chcesz być na pokładzie statku? — zapytał dyrektor. Fisher z trudem panował nad swoim głosem.

— Mam żonę na Rotorze.

— Żonę, którą opuściłeś przed pięcioma laty. Sądzisz, że powita cię z otwartymi ramionami?

— Mam także dziecko, dyrektorze.

— Dziewczynkę, która miała rok, gdy odjechałeś. Czy myślisz, że ona pamięta o ojcu? Że ty w ogóle ją obchodzisz?

Fisher milczał. Sam wielokrotnie zadawał sobie te pytania. Tanayama odczekał jeszcze chwilę, a później dodał:

— Nie będzie lotu na Sąsiednią Gwiazdę. Nie będzie statku, który mógłby cię zabrać. Fisher ponownie powstrzymał grymas zaskoczenia.

— Proszę o wybaczenie, dyrektorze. Nie powiedział pan, że mamy hiperwspomaganie. Powiedział pan „Zakładając, że jest tak jak mówisz…" Powinienem był zwrócić uwagę na dobór słów.

— Tak, powinieneś był. Zawsze należy to robić. Niemniej jednak, mamy hiperwspomaganie. Możemy poruszać się w przestrzeni tak jak zrobił to Rotor. A przynajmniej będziemy mogli, gdy zbudujemy statek o odpowiedniej konstrukcji i w pełni sprawny, co zajmie nam jakieś rok lub dwa. A co potem? Czy poważnie sugerujesz lot ku Sąsiedniej Gwieździe?

— Jest to jakaś opcja, dyrektorze — powiedział ostrożnie Fisher.

— Całkowicie nieprzydatna. Myśl, człowieku! Sąsiednia Gwiazda znajduje się w odległości ponad dwóch lat świetlnych. Bez względu na to, jak zręcznie uda się posłużyć hiperwspomaganiem. lot zajmie nam więcej niż dwa lata. Nasi teoretycy przewidują, też pomimo tego, iż hiperwspomaganie pozwala statkowi na osiąganie szybkości większej od szybkości światła przez krótkie okresy czasu — im większa szybkość, tym krótszy okres — to rezultat końcowy jest taki, że statek nie osiągnie żadnego punktu w przestrzeni szybciej, niż zrobiłby to promień świetlny, gdyby statek i promień wyruszyły z tego samego punktu początkowego.

— Jeśli tak jest…

— Jeśli tak jest, to oznacza to, że musiałbyś przebywać na małej powierzchni z tymi samymi ludźmi przez ponad dwa lata. Czy sądzisz, że wytrzymałbyś? Wiesz doskonale, że małe statki nigdy nie podróżowały daleko. My zaś potrzebujemy Osiedla — struktury wystarczająco dużej, by zapewnić rozsądne środowisko da pasażerów, jak Rotor. Ile czasu zajmie nam budowa Osiedla?

— Trudno mi powiedzieć, dyrektorze.

— Dziesięć lat? Zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i nie zdarzą się żadne opóźnienia czy nieszczęścia. Pamiętaj, że nie budowaliśmy Osiedli od ponad stu lat. Wszystkie nowe Osiedla zostały skonstruowane przez inne Osiedla. Jeśli nagle rozpoczniemy prace konstrukcyjne, zwrócimy na siebie uwagę wszystkich istniejących już Osiedli, a tego chcemy uniknąć. I wreszcie, gdy zbudujemy już nasze Osiedle, wyposażymy je w hiperwspomaganie i wyślemy w ponad dwuletnią podróż ku Sąsiedniej Gwieździe, co stanie się po przylocie na miejsce? Nasze Osiedle będzie łatwym celem do zniszczenia, jeśli Rotor ma statki wojenne, a z pewnością będzie miał. Rotor będzie miał więcej statków wojennych niż nasze podróżujące Osiedle. Oni są już na miejscu od trzech lat i będą tam jeszcze dwanaście zanim my

się dostaniemy. Gdy tylko nas zobaczą, rozwalą Osiedle w drobny pył.

— W takim razie, dyrektorze…

— Koniec zgadywania, agencie Fisher. W takim razie musimy dysponować rzeczywistym nośnikiem hiperprzestrzennym, który zapewni nam przenoszenie się na dowolną odległość w dowolnie krótkim okresie czasu.

— Proszę o wybaczenie, dyrektorze, ale czy to jest możliwe? Nawet w teorii?

— Nie naszą rolą jest decydowanie o tym. Potrzebujemy naukowców, którzy zajmą się tą sprawą, a niestety nie mamy ich. Już od ponad stu lat największe umysły ziemskie przenoszą się do Osiedli. Musimy zawrócić ten odpływ. Dokonamy inwazji Osiedli — oczywiście nie dosłownie — i przekonamy najlepszych fizyków i inżynierów, by wrócili na Ziemię. Możemy im wiele zaoferować, ale trzeba to zrobić ostrożnie. Nie możemy działać zbyt otwarcie, rozumiesz, bo inne Osiedla mogą nas uprzedzić. Tak. a teraz…

Przerwał i przyjrzał się uważnie Fisherowi. Fisher poruszył się niespokojnie i powiedział:

— Tak. dyrektorze?

— Mam na oku pewnego fizyka, T. A. Wendel. Mówią mi, że to najlepszy hiperspecjalista w całym Układzie Słonecznym…

— Hiperspecjaliści odkryli na Rotorze hiperwspomaganie — Fisher nie mógł powstrzymać się przed nadaniem swojemu głosowi pewnej oschłości.

Tanayama zignorował to.

— Odkrycia dokonywane są dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności — powiedział. — Mniej zdolni mogą wyrwać się do przodu, podczas gdy geniusze ciągle badają podstawy. Często zdarzało się tak w historii. Poza tym, jak się w końcu okazało. Rotor dysponował jedynie hiperwspomaganiem, napędem dającym szybkość światła. A ja chcę mieć napęd przewyższający szybkość światła, znacznie przewyższający szybkość światła. I chcę Wendel.

— Chce pan, żebym go sprowadził?

— Ją. To kobieta. Tessa Anita Wendel z Adelii.

— Ach tak?

— Dlatego chcemy, żebyś ty wykonał to zadanie. Kobiety… — Tanayama wydawał się rozbawiony, chociaż nie świadczył o tym jego wyraz twarzy —…nie potrafią ci się oprzeć.

Fisher przyjął to z kamienną twarzą.

— Pozwolę sobie nie zgodzić się z tą opinią, dyrektorze. Nigdy ni się tak nie wydawało i nadal mi się tak nie wydaje.

— Raporty twierdzą coś innego, a zresztą to nie ma znaczenia. Wendel jest kobietą w średnim wieku, ma ponad czterdzieści lat. dwukrotnie rozwiedziona. Nie powinieneś mieć z nią kłopotów.

— Mówiąc szczerze, panie dyrektorze, zadanie to jest dla mnie niesmaczne. Czy w tych warunkach mógłby przyjąć je jakiś inny agent?

— Ale ja chcę ciebie. Jeśli obawiasz się, że straciłeś swój nieodparty urok i umiejętności nawiązywania romansów, i że odejdziesz ją z odrazą na twarzy i skrzywionym nosem, to pozwól, że coś ci przypomnę, agencie Fisher. Zawiodłeś nas na Rotorze, lecz twoja praca po powrocie częściowo zrekompensowała te straty. Masz szansę zrekompensować je całkowicie. Jeśli jednak nie sprowadzisz tej kobiety, zawiedziesz nas o wiele bardziej niż na rotorze i nic nie zdoła zrekompensować tej porażki. Nie chcę byś w swych poczynaniach kierował się wyłącznie strachem, powiem ci więc coś jeszcze: sprowadź nam Wendel, a kiedy zbudujemy statek superluminarny i wyruszymy ku Sąsiedniej Gwieździe, ty znajdziesz się na jego pokładzie, jeśli będziesz sobie życzył.

— Postaram się nie zawieść — powiedział Fisher. — I zrobiłbym tak bez względu na strach czy spodziewaną nagrodę.

— Wspaniała odpowiedź! — powiedział Tanayama, pozwalając sobie na lekki uśmiech. — Potrafisz się znaleźć.

Fisher wyszedł zdając sobie sprawę, że wysłano go na najważniejszy połów w jego życiu.

Rozdział 15
PLAGA

Eugenia Insygna uśmiechnęła się do Genarra przy deserze.

— Prowadzicie tu przyjemne życie.

Genarr odwzajemnił uśmiech.

— Przyjemne, lecz nieco klaustrofobiczne. Mieszkamy na olbrzymim świecie, lecz nasze życie ogranicza się do Kopuły. A ludzie nie zdążają wrosnąć. Gdy spotykam kogoś interesującego, żegnamy się już po kilku miesiącach. A w ogóle to wszyscy tutaj w Kopule nudzą się przez większą część czasu, chociaż prawdopodobnie to ja jestem największym nudziarzem. Wasz przylot nadaje się na czołówkę dzienników holowizyjnych, nawet gdybyście nie były sobą. Ale ponieważ to właśnie wy…

— Pochlebca — przerwała mu smutnym głosem Insygna. Genarr chrząknął.

— Marlena zwróciła ml uwagę, dla mojego własnego dobra, że nie uporałaś się jeszcze całkiem… Insygna nagle zmieniła temat.

— Nie zauważyłam wiwatów na naszą cześć w holowizji. Genarr poddał się.

— To była taka figura słowna. Planujemy jednak małe przyjęcie na jutrzejszy wieczór, na którym zostaniesz formalnie przedstawiona i każdy będzie miał okazję cię poznać.

— I oplotkować mój wygląd, ubiór i każdy drobiazg znany na mój temat.

— Jestem tego pewny. Lecz zaprosiliśmy także Marlenę, a to oznacza, jak przypuszczam, że będziesz wiedziała o nas wiele więcej niż my o tobie. Poza tym twoje informacje będą bardziej wiarygodne.

Insygna wyglądała na zaniepokojoną.

— Czy Marlena wygłupiała się?

— Chodzi ci o to, czy odczytywała język mojego ciała? Tak. pszepani.

— Mówiłam jej, żeby tego nie robiła.

— Nie sądzę, aby mogła nad tym zapanować.

— Masz rację. Nie może. Ale prosiłam ją, by nie mówiła ci o tym. Rozumiem jednak, że poinformowała cię.

— O tak. Wydałem jej taki rozkaz. Jako dowódca.

— No cóż. Przykro mi. Wiem, że jest to denerwujące.

— Wcale nie. Nie dla mnie. Musisz to zrozumieć, Eugenio. Lubię twoją córkę. Bardzo ją lubię. Wydaje mi się, że miała okropne życie będąc kimś, kto za dużo wie i kogo nikt nie lubi. To, że posiada owe

wszystkie wspomniane przez ciebie trudne do kochania cechy, jest niemal cudem.

— Ostrzegam cię. Genarr: ona cię wykończy. A ma dopiero piętnaście lat.

— Jest chyba taka prawidłowość — powiedział Genarr — która sprawia, że matki nigdy nie pamiętają swoich własnych piętnastu lat. Zdaje się, że Marlena wspomniała coś o jakimś chłopcu, a wiesz przecież, że ból nie spełnionej miłości jest taki sam w wieku piętnastu lat, jak i wtedy gdy ma się tych lat dwadzieścia pięć, a może nawet więcej. Chociaż biorąc pod uwagę twój wygląd, na pewno nigdy nie miałaś takich problemów w jej wieku.

Pamiętaj także, że Marlena jest w szczególnie złej sytuacji. Wie, że jest brzydka i wie, że jest inteligentna. Czuje, że inteligencja to znacznie więcej niż zwykła uroda, a z drugiej strony wie, że tak nie jest, miota się więc i wścieka, chociaż zdaje sobie sprawę, że to niczego nie zmieni.

— No, Sieverze — powiedziała Insygna. starając się zachować lekki ton — wyrosłeś na niezłego psychologa.

— Wcale nie. Jest to jedyna rzecz, jaką rozumiem. Sam przez to przeszedłem.

— Ach tak… — Insygna wydawała się zagubiona.

— W porządku, Eugenio. Wcale nie mam zamiaru litować się nad sobą. Nie chcę także, abyś ty litowała się nad biednym, złamanym sercem, którym nie jestem. Mam czterdzieści dziewięć lat, a nie piętnaście, i pogodziłem się z sobą. Gdybym był przystojny i głupi, kiedy miałem piętnaście lat czy dwadzieścia jeden — a wtedy bardzo mi na tym zależało — to teraz z pewnością nie byłbym już przystojny, natomiast głupi w dalszym ciągu. W efekcie wyszedłem na swoje i tak samo będzie z Marleną, jeśli… jeśli nic się nie stanie.

— Co to ma znaczyć, Sieverze?

— Marleną powiedziała mi, że rozmawiała z naszym przyjacielem Pittem. I że celowo wyprowadziła go z równowagi po to, by wysłał cię na Erytro i ją razem z tobą.

— Nie podoba mi się to — powiedziała Insygna. — Nie chodzi mi o manipulowanie Pittem, ponieważ nie sądzę, aby można było nim tak łatwo manipulować, ale o sam zamiar. Marleną zbliża się do punktu, w którym — wedle jej mniemania — można kierować ludźmi niczym lalkami pociąganymi za sznurki, a to sprowadzi a nią poważne kłopoty.

— Eugenio, nie chciałbym cię straszyć, ale wydaje mi się, że Marlena już w tej chwili ma poważne kłopoty. A przynajmniej tak się wydaje Pittowi.

— Co ty mówisz Sieverze? To niemożliwe. Pitt ma swoje uprzedzenia i niekiedy bywa nieznośny, ale nie jest mściwy. Jakże

mógłby skrzywdzić nastoletnią dziewczynę tylko dlatego, że prowadziła z nim swoje głupie gierki.

Obiad dobiegł końca, lecz światło w eleganckiej kwaterze Gearra w dalszym ciągu było przyciemnione. Ku zaskoczeniu Insygny, Genarr pochylił się i przekręcił kontakt uruchamiający tarczę dźwiękochłonną.

— Sekrety, Sieverze? — zapytała z wymuszonym śmiechem.

— Tak, Eugenio. Muszę znowu zabawić się w psychologa. Nie znasz Pitta tak dobrze jak ja. Wyobraź sobie, że kiedyś ośmieliłem się współzawodniczyć z nim i dlatego jestem tu, gdzie jestem. Chciał się mnie pozbyć. Jednak w moim przypadku zadowolił się zesłaniem. W przypadku Marleny może być inaczej.

Jeszcze jeden wymuszony śmiech.

— Przestań Sieverze. Co ty opowiadasz?

— Posłuchaj i postaraj się zrozumieć. Pitt jest tajemniczy. Czuje awersję do tych, którzy przejrzeli jego zamiary. Posuwa się tajemnymi szlakami ciągnąc innych, nieświadomych za sobą — daje mu to poczucie władzy.

— Może masz rację. Trzymał w sekrecie odkrycie Nemezis, wymusił na mnie dochowanie tajemnicy.

— Ma wiele sekretów, więcej niż może nam się wydawać. I oto pojawia się Marlena, przed którą nie można ukryć prawdziwych motywów i myśli. Nikt tego nie lubi, a już najmniej Pitt. Postanawia więc wysłać ją tutaj i ciebie razem z nią, ponieważ nie może wysłać jej samej.

— W porządku. I co z tego?

— Nie sądzisz chyba, że Pitt pragnie jej powrotu? Kiedykolwiek?

— To paranoja, Sieverze. Nie twierdzisz chyba, że Pitt ma zamiar skazywać ją na wieczne zesłanie.

— W pewien sposób tak. Widzisz Eugenio, nie znasz początku historii Kopuły tak jak ja czy Pitt i niewiele osób poza nami. Wiesz, że Pitt lubuje się w tajemnicach — dotyczy to także Kopuły. Nie wiesz natomiast, dlaczego pozostajemy w Kopule i nie kolonizujemy Erytro.

— Tłumaczyłeś mi to. Światło…

— Tak brzmi oficjalna wersja, Eugenio. Światło! Do światła można się przyzwyczaić. A pomyśl, co jeszcze mamy: świat o normalnej grawitacji, nadającą się do oddychania atmosferę, przyjemne temperatury, cykle pogodowe podobne do ziemskich, żadnych form życia oprócz prokariotów, które nie są niebezpieczne. I mimo to nie usiłujemy skolonizować tego świata, nawet w ograniczony sposób.

— No więc dlaczego?

— W początkowym okresie istnienia Kopuły ludzie swobodnie poruszali się na zewnątrz. Nie było żadnych ograniczeń, co do

powietrza czy wody.

— Tak?

— I niektórzy z nich zachorowali. Psychicznie. Chronicznie. Nie, nie wpadali w szał, ale… brali rozbrat z rzeczywistością. Niektórym z czasem się polepszyło, ale żaden z nich — wedle tego, co wiem — nie wyzdrowiał całkowicie. Choroba nie jest zakaźna i zajęto się nimi po cichu na Rotorze.

Eugenia oburzyła się.

— Sieverze, czy ty to zmyślasz? Nie słyszałam o tym ani słowa!

— Przypominam ci jeszcze raz, że Pitt lubuje się w tajemnicach. Nie było to nic, o czym musiałabyś wiedzieć. Twój wydział nie zajmował się tym. Ja natomiast musiałem wiedzieć, ponieważ przysłano mnie tu po to, abym się tym zajął. Gdyby mi się nie powiodło, musielibyśmy na zawsze opuścić Erytro, a wszyscy baliby się i byliby niezadowoleni.

Po chwili ciszy, Genarr zaczął od nowa:

— Nie powinienem ci tego mówić. Naruszam w pewnym sensie tajemnicę służbową. Jednak dla dobra Marleny…

Na twarzy Eugenii pojawiła się głęboka obawa.

— Czy sugerujesz, że Pitt…

— Sugeruję, że Pitt mógł liczyć na to, że u Marteny rozwinie się symptom tego, co nazywamy „plagą erytroiczną". Ta choroba nie zabija. Nie wygląda nawet jak zwykła choroba, wprowadza natomiast niezwykły nieład w mózgu, co w przypadku Marteny mogłoby oznaczać pozbawienie jej tego nadzwyczajnego daru — a o to chodzi Pittowi.

— To potworne, Sieverze. Niewyobrażalne. Żeby narażać dziecko…

— Nie mówię, że tak się stanie, Eugenio. To, że Pitt tego chce, wcale nie znaczy, że musi to dostać. Gdy objąłem dowództwo nad Kopułą, wprowadziłem drastyczne metody zaradcze. Nie wychodzimy na zewnątrz, a jeśli już, to ubrani w odpowiednie skafandry ochronne. Nie przebywamy na otwartej przestrzeni dłużej niż jest to konieczne.

Ulepszyłem także procesy filtracyjne w samej Kopule. Od tego czasu mieliśmy tylko dwa przypadki choroby i to dosyć lekkie.

— Lecz co wywołuje tę chorobę, Siever? Genarr zaśmiał się krótko, urywanie.

— Nie wiemy. I to jest właśnie najgorsze. Nie możemy już bardziej zaostrzyć naszych środków ochronnych. Dokładne badania eksperymenty potwierdziły tezę, że ani w powietrzu, ani w wodzie nie ma nic, co mogłoby wywołać chorobę. Dotyczy to również gleby — mamy przecież glebę w Kopule, nie możemy oddzielić się od niej.

Mamy także powietrze i wodę — odpowiednio przefiltrowane. A z drugiej strony jest wiele ludzi, którzy oddychali zwykłym powietrzem

Erytro, pili surową wodę i są zdrowi, bez żadnych konsekwencji.

— W takim razie to muszą być prokarioty.

— Niemożliwe. Chcąc nie chcąc wszyscy zjadamy je lub wdychamy. Eksperymentowaliśmy na zwierzętach. Bez rezultatu. Poza tym gdyby były to prokarioty plaga musiałaby być zaraźliwa, a nie jest. Eksperymentowaliśmy także z promieniowaniem Nemezis, lecz ono również jest nieszkodliwe. Co więcej, kiedyś mieliśmy jeden przypadek — tylko jeden — zachorowania osoby, która nigdy nie opuszczała Kopuły. To wszystko jest bardzo tajemnicze.

— Masz jakieś teorie?

— Ja? Nie. Jestem po prostu zadowolony, że udało nam się powstrzymać tę chorobę. Dopóki jednak nie poznamy przyczyn Plagi, nigdy nie będziemy mieć pewności, czy nie zacznie się ona ponownie. Była co prawda pewna sugestia…

— Jaka?

— Przedstawił mi ją psycholog, ja zaś przekazałem ją dalej Pittowi. Otóż psycholog ten twierdził, że ci, którzy zachorowali, obdarzeni byli większą wyobraźnią od tych, którzy zachowali zdrowie. Inaczej mówiąc, bardziej podatni na chorobę są ludzie o niezwykłej psychice, bardziej inteligentni, twórczy, nieprzeciętni. Psycholog uważał, że bez względu na przyczynę choroby, odporność wybitnych umysłów jest mniejsza, łatwiejsza do przełamania.

— Czy sądzisz, że miał rację?

— Nie wiem. Problem polega na tym, że nie ma żadnych innych wyróżników. Chorowali ludzie obydwu płci — niemal po równo — bez względu na wiek, wykształcenie czy cechy fizyczne. Oczywiście ofiary Plagi stanowią małą próbkę tak, że trudno tutaj mówić o przekonującej statystyce. Pitt doszedł do wniosku, że powinniśmy trzymać się teorii psychologa i w ostatnich latach przysyła mi samych nudziarzy, co prawda inteligentnych, ale niezbyt błyskotliwych. Takich jak ja sam. Jestem przykładem całkowitej odporności na Plagę — zwykły umysł, prawda?

— Przestań Sieverze, nie jesteś…

— Z drugiej strony — powiedział Genarr nie czekając na koniec protestów Insygny — wydaje mi się, że umysł Marleny jest bardzo nieprzeciętny.

— O tak — dodała Eugenia — widzę, do czego zmierzasz.

— Możliwe więc, że kiedy Pitt przekonał się o jej uzdolnieniach i zdał sobie sprawę, że chce lecieć na Erytro, olśniła go myśl, że wyrażając zgodę na jej prośbę może pozbyć się kogoś, kto od samego początku wydał mu się niebezpieczny.

— W takim razie powinnyśmy natychmiast wracać… na Rotora.

— Tak, ale jestem pewien, że Pitt zabroni wam, przynajmniej na razie. Będzie nalegał, że twoje pomiary są absolutnie niezbędne i

muszą zostać zakończone, a nie będziesz mogła użyć argumentu Plagi. Jeśli tylko wspomnisz o niej, każe zbadać cię psychiatrom. Proponuję więc, żebyś dokonała tych pomiarów tak szybko jak się da, a my zajmiemy się Marlena. Na razie mamy spokój z Plagą, a sugestia, że zapadają na nią niezwykłe umysły jest tylko… sugestią i niczym więcej. Nie ma rzeczywistych powodów do obaw. Możemy ochronić Marlenę i zrobić Pitta w konia, Rozumiesz?

Insygna wpatrywała się w Genarra nie widząc go, a jej żołądek zamienił się w mocno ściśnięty węzeł.

Rozdział 16
HIPERPRZESTRZEŃ

Adelia była bardzo przyjemnym Osiedlem, znacznie przyjemniejszym od Rotora.

Krile Fisher odwiedził już sześć innych Osiedli oprócz Rotora i wszystkie były znacznie przyjemniejsze od niego. (Przez chwilę zastanawiał się nad listą nazw i westchnął: Osiedli było siedem, a nie sześć — pomału zaczynał się gubić. Być może za dużo od niego wymagano). Jednak bez względu na liczbę, Adelia była najprzyjemniejszym Osiedlem, jakie odwiedził. Nie chodziło tu tylko o wymiar materialny — Rotor na przykład był jednym ze starszych Osiedli i zdołał wypracować sobie nawet własne tradycje. Na Adelii wszystko było doskonale zorganizowane, każdy dobrze znał swoje miejsce, cieszył się tym, co robił, i wszędzie czuło się radość z osiąganych sukcesów.

Tessa, Tessa Anita Wendel. mieszkała na Adelii. Krile nie zabrał się jeszcze do wykonywania zadania — być może za bardzo przejął się opinią Tanayamy, wedle którego żadna kobieta nie mogła mu się oprzeć. Zdawał sobie sprawę, że Tanayama żartował lub nie zdołał opanować sarkazmu, mimo to — niemal wbrew swej woli — bardzo wolno zabierał się do powierzonej mu misji. Kolejne fiasko wyglądałoby podwójnie źle w oczach kogoś, kto wierzył — a może tylko udawał, że wierzył — iż Krile potrafi dawać sobie radę z kobietami.

Zobaczył ją po raz pierwszy dopiero po dwóch tygodniach od zamieszkania na Adelii. Zawsze zdumiewał go fakt, z jaką łatwością przychodziło mu wyśledzenie dowolnej osoby na każdym z odwiedzanych przez niego Osiedli. Mimo lat spędzonych na Rotorze, ciągle nie mógł przywyknąć do niewielkiej powierzchni Osiedli, małej liczby mieszkańców i tego, że wszyscy znali się nawzajem Bie tylko w grupach społecznych, lecz ogólnie.

i Gdy w końcu ją zobaczył. Tessa Anita Wendel zrobiła na nim raczej imponujące wrażenie. Tanayama opisał ją jako kobietę w średnim wieku, po dwóch rozwodach — mówiąc to wykrzywił swoje starcze usta jak gdyby starał się podkreślić, że zadanie stojące przed Fisherem nie będzie należało do przyjemnych — co sprawiło, te obraz Tessy nie wyglądał zachęcająco. Jawiła mu się jako despotyczna baba o grubej twarzy — nie wykluczał nerwowego tiku pojawiającego się na jej obliczu — z bardzo jednoznacznym stosunkiem do mężczyzn, co

mogło oznaczać tylko cynizm i pożądanie.

Prawdziwa Tessa była zupełnie inna — biorąc oczywiście pod uwagę odległość, z jakiej ją obserwował. Pani Wendel była niemal ego wzrostu, brunetka o opadających na ramiona włosach. Wyglądała na bardzo żywą i często się uśmiechała — to wiedział na pewno. Ubierała się niezbyt wyszukanie, starając się unikać zbędnych ozdób. Była szczupła, a jej figura w zadziwiający sposób zachowała młodzieńczy wygląd.

Fisher zastanawiał się, dlaczego rozwiodła się aż dwa razy. Przyszło mu do głowy, że mężowie znudzili się jej — a nie odwrotnie — chociaż doskonale wiedział, że w większości przypadków rozwodzono się z powodu niezgodności charakterów.

Fisher zaczął przemyśliwać nad zaaranżowaniem ich spotkania, chodziło tu o znalezienie odpowiedniego wydarzenia lub imprezy, na której obydwoje mogliby być obecni. Jego ziemskie pochodzenie stanowiło pewną trudność, jednak w każdym Osiedlu działali ludzie, którzy za odpowiednią opłatą podejmowali się „wstrzelenia agenta” — jak nazywano tę procedurę.

I w końcu nadszedł ten moment, gdy pani Wendel i Fisher stanęli twarzą w twarz. Przyglądała mu się uważnie, jej wzrok omiótł całą jego sylwetkę z góry do dołu i z dołu do góry. A potem nadeszło nieuniknione:

— Jest pan Ziemianinem, panie Fisher, czyż nie tak?

— Owszem jestem, pani doktor, i bardzo tego żałuję, jeśli sprawia to pani przykrość.

— Nie sprawia mi to przykrości. Zakładam, że został pan dekontaminowany.

— Rzeczywiście, omal nie umarłem.

— Dlaczegóż więc zdecydował się pan na tak bolesny proces i przybył tutaj?

Fisher nie patrzył na nią wprost, wiedział jednak wystarczająco dużo, by móc ocenić efekt, jaki wywołają jego słowa:

— Ponieważ powiedziano mi, że kobiety z Adelii słyną z wyjątkowej urody.

— I teraz zapewne wróci pan i zaprzeczy tym pogłoskom.

— Przeciwnie, właśnie je potwierdziłem.

— Jest pan wzdychulcem, wie pan o tym?

Fisher nie miał pewności, co to znaczy „wzdychulec” w adelliańskim slangu, jednak Tessa uśmiechała się, doszedł więc do wniosku, że pierwsze lody zostały przełamane.Czy rzeczywiście kobiety nie mogły mu się oprzeć? Przypomniał sobie nagle Eugenię — tak, wcale mu na niej nie zależało, chciał po prostu „wstrzelić się” w społeczeństwo Rotora.

Społeczeństwo Adelii nie było tak trudne, mimo wszystko wolał

jednak nie ryzykować. Na jego twarzy pojawił się smutny uśmiech. Miesiąc później Krile Fisher i Tessa Anita Wendel zaprzyjaźnili się do tego stopnia, że postanowili wybrać się razem do sali gimnastycznej w rejonie o małym ciążeniu. Krile lubił ćwiczenia fizyczne, jednak nigdy do końca nie przyzwyczaił się do wykonywania ich w stanie nieważkości. Czasami podczas treningu zdarzało mu się zapadać na chorobę przestrzenną. Na Rotorze nie przywiązywano specjalnie wagi do kultury fizycznej, a Fisher, jako obcy, nie partycypował w okazjonalnych wydarzeniach sportowych. (Było to oczywiście niezgodne z prawem, jednak przesądy społeczne są często silniejsze od prawa).

Po treningu wsiedli do windy jadącej do obszaru o normalnym ciążeniu. Fisher poczuł, że jego żołądek uspokaja się. Zarówno on, jak i Tessa ubrani byli wyłącznie w stroje gimnastyczne — Krile odniósł wrażenie, że jego partnerka podziwia jego ciało, podobnie jak on podziwiał jej. Po prysznicu i przebraniu się postanowili pójść do jednego z salonów prywatności, gdzie zamówili posiłek.

— Całkiem nieźle dajesz sobie radę w stanie nieważkości — powiedziała Tessa. — Jak na Ziemianina. Podoba ci się na Adelii, Krile?

— Wiesz, że tak, Tesso. Ziemianin nigdy nie przyzwyczai się do końca do życia w Osiedlu, jednak twoja obecność bardzo mi pomaga.

— Tak. Tak właśnie powinien odpowiedzieć wzdychulec. A jak wygląda Adelia w porównaniu z Rotorem?

— Z Rotorem?

— Lub z każdym innym Osiedlem, na którym byłeś. Mam wymienić ich nazwy, Krile? Fisher poczuł się nieswojo.

— Co to ma znaczyć? Przesłuchujesz mnie?

— Oczywiście.

— Czy jestem aż tak interesujący? — Każdy, kto interesuje się mną jest dla mnie interesujący. Chcę wiedzieć, dlaczego? Pomijam oczywiście seks, bo to rozumie się samo przez się.

— Dlaczego ja interesuję się tobą?

— Tak, przypuszczam, że mi to powiesz. A także, dlaczego byłeś na Rotorze? A byłeś tam wystarczająco długo, by się ożenić, spłodzić dziecko i wynieść się pospiesznie, zanim Rotor odleciał. Obawiałeś się zostać tam przez całe życie? Nie podobało ci się tam?

Uczucie niepokoju zmieniło się teraz w przygnębienie.

— Rzeczywiście nie lubiłem Rotora — odpowiedział — ponieważ Rotor nie lubił mnie. Ziemianina. Masz rację, nie chciałem przez całe życie być obywatelem drugiej kategorii. Inne Osiedla są dla nas bardziej pobłażliwe, na przykład Adelia.

— Rotor ukrywał przed Ziemią pewną tajemnicę — oczy Tessy jarzyły się rozbawieniem.

— Tajemnica? Chodzi ci zapewne o hiperwspomaganie.

— Tak, zapewne o to mi chodzi. A ty zapewne właśnie tego szukałeś na Rotorze.

— Ja?

— Tak, właśnie ty. I co, znalazłeś? Po to przecież ożeniłeś się z naukowcem z Rotora, prawda? — Tessa oparła głowę na dłoniach i pochyliła się ku niemu.

Fisher potrząsnął przecząco głową i powiedział:

— Ona nigdy słowem nie wspomniała o hiperwspomaganiu. Wszystko, co wiesz na mój temat, jest błędne. Wendel zignorowała tę ostatnią uwagę.

— A teraz chcesz dostać to ode mnie. Jak masz zamiar to zrobić? Weźmiesz ze mną ślub?

— Czy dostanę to dopiero wtedy, gdy się z tobą ożenię?

— Nie.

— W takim razie małżeństwo odpada.

— Szkoda — powiedziała z uśmiechem Tessa.

— Czy zadajesz mi te wszystkie pytania dlatego, że jesteś specjalistką od hiperprzestrzeni? — zapytał Fisher.

— Gdzie powiedziano ci, że jestem tym, kim jestem? Na Ziemi, zanim tu przyleciałaś?

— Piszą o tobie w adeliańskim „Kto jest kim?".

— Aha, a więc ty także prowadziłeś śledztwo. Jesteśmy ciekawą parą. Czy zwróciłeś uwagę, że piszą tam o mnie jako o fizyku teoretyku?

— Podają także listę twoich artykułów. Kilka z nich ma w tytule słowo „hiperprzestrzeń", wygląda więc na to, że jesteś hiperspecjalistką.

— Tak, co nie zmienia faktu, że przede wszystkim jestem fizykiem teoretykiem i podchodzę do sprawy hiperprzestrzeni z czysto teoretycznego punktu widzenia. Nigdy nie zajmowałam się zastosowaniami praktycznymi.

— Tak jak zrobiono to na Rotorze. Zastanawiam się, czy to cię gnębi? Ktoś na Rotorze był od ciebie lepszy.

— Dlaczego miałoby mnie to gnębić? Teoria jest interesująca, czego nie można powiedzieć o jej zastosowaniu.

Gdybyś zamiast tytułów przeczytał moje artykuły w całości, dowiedziałbyś się z nich, że moim zdaniem hiperwspomaganie nie jest warte wysiłku.

— Rotorianie zdołali dzięki niemu wysłać w przestrzeń Sondę, która badała gwiazdy.

— Sondę Dalekiego Zasięgu. Udało im się dokonać pomiarów paralaksy kilku odległych gwiazd, ale czy warto było? Jak daleko poleciała Sonda? Kilka miesięcy świetlnych, a to jest bardzo blisko.

Jeśli mówimy o odległościach galaktycznych, to najdalsza pozycja Sondy w stosunku do Ziemi i linia łącząca obydwa ciała w naszej wyobraźni są niczym innym jak punktem w przestrzeni.

— Zrobili jednak coś więcej oprócz wysłania Sondy — powiedział Fisher — sami odlecieli.

— Tak, to było w dwudziestym drugim i nie ma ich już od sześciu lat, a wszystko, co wiemy, to to, że odlecieli.

— Czy to nie wystarczy?

— Oczywiście, że nie. Dokąd polecieli? Czy jeszcze żyją? Czy kogą być jeszcze żywi? Ludzie nigdy nie żyli samotnie w Osiedlu zawsze w pobliżu była Ziemia, inne Osiedla… Czy kilka dziesiątków tysięcy ludzi zdoła przetrwać samotnie we Wszechświecie, w stałym Osiedlu? Nie mamy pojęcia, czy istnieje takie psychologiczne prawdopodobieństwo. Ja twierdzę, że nie.

— Wyobrażam sobie, że szukają świata, na którym mogliby siąść. Nie zostaną w Osiedlu.

— Przestrzeń. Jaki świat mogą znaleźć? Nie ma ich od sześciu lat. Są dokładnie dwie gwiazdy, do których mogli dolecieć, ponieważ hiperwspomaganie umożliwia im jedynie poruszanie się e średnią szybkością równą szybkości światła. Mówię o Alfa Centauri, systemie trój gwiazdowym znajdującym się w odległości cztery przecinek trzy roku świetlnego. Jedna z tych gwiazd to czerwony karzeł. A co mamy dalej — gwiazdę Bernarda, pojedynczego czerwonego karła w odległości pięć przecinek dziewięć roku świetlnego. Cztery gwiazdy: jedna podobna do Słońca, jedna prawie podobna do Słońca i dwa czerwone karły. Dwie słońcopodobne gwiazdy tworzą bliską parę i w związku z tym nie mogą mieć planety podobnej do Ziemi na stabilnej orbicie. No więc, gdzie mają dalej polecieć? Nie uda im się, Krile.

Przykro mi. Wiem, że twoja żona i dziecko były na Rotorze, ale nie uda im się.

Fisher zachował spokój. Wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia. Wiedział o Sąsiedniej Gwieździe, ale to także był czerwony karzeł.

— Sądzisz więc, że loty międzygwiezdne są niemożliwe — zapytał.

— Praktycznie tak, jeśli dysponuje się jedynie hiperwspomaganiem.

— Mówisz tak, jak gdyby hiperwspomaganie nie było wszystkim, czym można dysponować — powiedział.

— Być może nie jest wszystkim… Nie tak dawno temu wydano nam się, że nawet to jest niemożliwe, a co dopiero coś jeszcze lepszego… Wolno nam jednak marzyć o prawdziwych lotach hiperprzestrzennych i prawdziwych szybkościach superluminalnych. Gdybyśmy mogli poruszać się tak szybko jak chcemy przez dowolnie

długi okres, to Galaktyka, a być może nawet Wszechświat, stałby się jednym wielkim Układem Słonecznym i wszystko w pewnym sensie byłoby nasze.

— To wspaniałe marzenie, ale czy ma szansę realizacji?

— Od odlotu Rotora mieliśmy trzy konferencje wszystkich Osiedli poświęcone temu tematowi.

— Wszystkich Osiedli? A co z Ziemią?

— Byli na nich obserwatorzy z Ziemi, ale Ziemia nie jest obecnie rajem dla fizyków.

— I do jakich wniosków doszliście na konferencjach? Wendel uśmiechnęła się.

— Nie jesteś fizykiem.

— Opuść więc to, czego nie zrozumiem. Jestem ciekaw. I znów tylko się uśmiechnęła. Fisher zacisnął pięści na stole.

— Zapomnij o tej swojej teorii, że jestem jakimś tajnym agentem usiłującym zdobyć posiadane przez ciebie informacje. Gdzieś tam jest moje dziecko, Tesso. Mówisz, że prawdopodobnie nie żyje. A jeśli jest inaczej? Jeśli istnieje szansa…

Uśmiech zniknął z twarzy Tessy.

— Przykro mi. Nie pomyślałam o tym. Bądź jednak praktyczny:

Znalezienie Osiedla gdzieś w przestrzeni, której zasięg można przedstawić za pomocą kuli o promieniu — w chwili obecnej — sześciu lat świetlnych, promieniu, który rośnie z czasem, jest niemal niemożliwe. Znalezienie dziesiątej planety zabrało nam ponad sto lat, a jest ona znacznie większa od Rotora i znajduje się w znacznie mniejszym obszarze.

— Nadzieja porusza góry — powiedział Fisher. — Czy możliwe są prawdziwe loty hiperprzestrzenne? Odpowiedz tak albo nie.

— Większość twierdzi, że nie. Taka jest prawda. Kilku mówi, że nie może powiedzieć, lecz to jest bełkot.

— Czy ktoś mówi głośno: tak?

— Znam jedną taką osobę. To ja.

— Myślisz, że to jest możliwe? — zaskoczenie Fishera było prawdziwe, nie musiał udawać. — Mówisz to otwarcie, czy raczej jest to twoje marzenie przed zaśnięciem?

— Publikowałam artykuły na ten temat. Przeczytałeś tytuł jednego z nich. Nikt nie śmie zgodzić się ze mną.

Oczywiście, ja również popełniłam błędy w przeszłości, ale sądzę, że teraz mam rację.

— Dlaczego więc inni myślą, że się mylisz?

— To trudno powiedzieć. Jest to sprawa interpretacji. Hiperwspomaganie modelu rotoriańskiego, którego technika jest już powszechnie znana wśród Osiedli, nawiasem mówiąc opiera się na fakcie, że iloczyn stosunku szybkości statku do szybkości światła

pomnożony przez czas jest stały, podczas gdy stosunek szybkości statku do szybkości światła jest większy niż jeden.

— Co to znaczy?

— Znaczy to, że jeśli poruszasz się szybciej od światła, wraz ze zwiększaniem się twojej szybkości zmniejsza się czas, przez jaki możesz ją utrzymywać, a im dłuższy czas, tym mniejsza musi być twoja szybkość podświetlna, zanim zdecydujesz się na ponowne włączenie silników. W efekcie, twoja przeciętna szybkość i pewnym dystansie nie jest większa niż szybkość światła.

— I co?

— I wtedy pojawia się zasada nieokreśloności, o której wszyscy wiemy, że nie ma z nią żartów. Jeśli rzeczywiście pojawia się zasada nieokreśloności, to prawdziwy lot hiperprzestrzenny byłby teoretycznie niemożliwy i większość fizyków zgadza się co do tego, inni zaś bełkoczą. Według mnie jednak, to co się pojawia przypomina zasadę nieokreśloności, lecz nią nie jest i w związku z tym nie można wykluczyć możliwości prawdziwych lotów hiperprzestrzennych.

— Czy da się to ustalić?

— Prawdopodobnie nie — Wendel potrząsnęła głową. — Osiedla nie są skłonne zdecydować się na odlot posiadając jedynie hiperwspomaganie. Nikt nie chce powtórzyć eksperymentu Rotora podróżować przez lata tylko po to, by prawdopodobnie umrzeć. Z drugiej strony żadne Osiedle nie ma zamiaru inwestować olbrzymich sum pieniędzy, środków i wysiłków po to, by opracować technologię, która przez większość ekspertów w tej dziedzinie uznawana jest za teoretycznie niemożliwą.

Fisher pochylił się.

— Nie martwi cię to?

— Oczywiście, że mnie martwi. Jestem fizykiem i chciałabym udowodnić, że moje poglądy na Wszechświat są poprawne. Muszę jednak zaakceptować granice własnych możliwości. Potrzeba mnóstwa pieniędzy, a Osiedla nie dadzą mi niczego.

— Posłuchaj, Tesso, nawet, jeśli Osiedla nie są zainteresowane, pozostaje Ziemia. Możesz żądać dowolnych sum…

— Naprawdę? — uśmiechnęła się rozbawiona i wyciągnąwszy rękę zburzyła włosy Fishera w geście, który był zarówno wolny, jak i zmysłowy. — Spodziewałam się, że w końcu zatrzymamy się na Ziemi.

Fisher złapał Tessę za nadgarstek i odsunął jej rękę od swojej głowy.

— Powiedziałaś mi prawdę o tym, co sądzisz na temat lotów hiperprzestrzennych?

— Całkowitą.

— Ziemia potrzebuje ciebie.

— Dlaczego?

— Ponieważ potrzebuje lotów hiperprzestrzennych, a ty jesteś jedynym poważnym fizykiem, który wierzy, że są one możliwe.

— Jeśli wiedziałeś o tym wcześniej, Krile, to po co całe to przesłuchanie?

— Nie wiedziałem, dopóki mi nie powiedziałaś. Jedyną informacją, jaką posiadałem, było to, że jesteś najwybitniejszym żyjącym obecnie fizykiem.

— O tak, z pewnością — powiedziała przedrzeźniając jego ton. — I przysłano cię, żebyś mnie zdobył.

— Przysłano mnie, żebym cię przekonał.

— Przekonał do czego? Żebym pojechała z tobą na Ziemię? Zatłoczoną, brudną, zabiedzoną, niszczoną przez nie kontrolowane wpływy atmosferyczne? Wspaniały pomysł.

— Posłuchaj mnie, Tesso. Ziemia jest duża. Być może gdzieś zdarzają się wszystkie rzeczy, o których mówisz, lecz ty z pewnością ich nie zobaczysz. Zobaczysz natomiast spokój i piękno. Skąd możesz wiedzieć, jaka jest Ziemia, jeśli nigdy na niej nie byłaś?

— To prawda. Urodziłam się i wychowałam na Adelii. Byłam tu i ówdzie, ale nigdy nie odważyłam się polecieć na Ziemię. Piękne dzięki.

— Nie masz więc pojęcia jak wygląda Ziemia. Nie masz pojęcia jak wygląda duży świat. Prawdziwy świat. Mieszkasz tutaj, zamknięta z grupką ludzi w pudełku zapałek o powierzchni kilku kilometrów kwadratowych. Mieszkasz w miniaturowych warunkach, które już dawno znudziły ci się i które nie mają nic nowego do zaoferowania. Ziemia natomiast ma powierzchnię ponad sześć bilionów kilometrów kwadratowych. Mieszka na niej osiem miliardów ludzi. Jest różnorodna — nie twierdzę, że nie ma na niej zła, ale jest także dużo dobra.

— Bardzo biednego dobra. Poza tym nie macie nauki.

— Ponieważ naukowcy — a wraz z nimi nauka — przenieśli się do Osiedli. Dlatego potrzebujemy ciebie i innych. Wróć na Ziemię.

— Ciągle nie rozumiem, po co?

— Bo my mamy cele, ambicje i pragnienia. Osiedla są jedynie zadowolone z siebie.

— Nie wystarczą cele, ambicje i pragnienia — fizyka to drogie przedsięwzięcie.

— Bogactwo Ziemi per capita nie jest oszałamiające, zgadzam się. Jako jednostki jesteśmy biedni, lecz osiem miliardów ludzi lawet z biedy potrafi uczynić bogactwo. Nasze zasoby — chociaż nie potrafiliśmy ich mądrze spożytkować — są ciągle ogromne. Znajdziemy więcej pieniędzy dzięki wspólnej pracy, niż wszystkie osiedla razem wzięte, jeśli stwierdzimy, że istnieje taka konieczność. A zapewniam cię, że istnieje absolutna konieczność lotów

hiperprzestrzennych. Pojedź ze mną na Ziemię, Tesso, a potraktujemy cię jak najcenniejszy skarb, bo jesteś najcenniejszym skarbem — wspaniałym umysłem, którego potrzebujemy i którego niestety nie mamy.

— Nie jestem pewna, czy Adelia zechce mnie puścić — odpowiedziała Tessa. — Być może jest to zadowolone z siebie Osiedle, lecz ono także docenia wartość umysłu.

— Nie mogą ci zabronić wyjazdu na konferencję naukową na Ziemi.

— A gdy już się na niej znajdę, nie będę musiała wracać?

— Nie będziesz żałowała naszej gościnności. Będzie ci lepiej niż tutaj. Każde twoje pragnienie, każde twoje życzenie… A co więcej, staniesz na czele badań nad hiperprzestrzenią, będziesz miała nieograniczony budżet na prowadzenie dowolnych testów, eksperymentów czy obserwacji…

— No cóż, oferujesz mi królewską łapówkę.

— Czy możesz żądać więcej? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Zastanawiam się — odpowiedziała — dlaczego przysłali ciebie? takiego atrakcyjnego mężczyznę? Czy spodziewali się, że złapiesz starzejącą się niewiastę, fizyka, łatwowierną i sfrustrowaną kobietę, na uroki swego ciała jak rybkę na haczyk?

— Nie wiem, czego spodziewali się ci, którzy mnie wysłali, Tesso, wiem natomiast, że mi chodzi o coś innego. Zrozumiałem to, gdy po raz pierwszy spojrzałem na ciebie. Nie jesteś stara, doskonale o tym wiesz. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłabyś być łatwowierna i sfrustrowana. Ziemia chce ci zaoferować marzenie każdego fizyka. I nie ma nic do rzeczy, czy jesteś kobietą czy mężczyzną, młodą czy starą.

— Jaka szkoda! Przypuśćmy, że okazałabym się oporna i nie zechciałabym polecieć na Ziemię — jaką perswazję zastosowałbyś wtedy? Przełamałbyś swoją niechęć i poszedł ze mną do łóżka?

Tessa skrzyżowała ręce na swoich wspaniałych piersiach i przyglądała mu się zagadkowo.

Fisher zaczął mówić ostrożnie, starannie dobierając słowa.

— Powtarzam, nie wiem, jakie były zamiary tych, którzy mnie przysłali. Pójść z tobą do łóżka nie było elementem moich bezpośrednich instrukcji, a tym bardziej nie leżało w moich zamiarach. Co prawda gdyby było inaczej, nie musiałbym się przełamywać. Doszedłem jednak do wniosku, że jako fizyk potrafisz dostrzec korzyści, wynikające z mojej propozycji i nie chciałbym uwłaczać ci przypuszczeniem, że trzeba ci czegoś więcej.

— Jakże się mylisz — odpowiedziała. — Dostrzegam korzyści z punktu widzenia fizyka i gotowa jestem przyjąć twoją propozycję i uganiać się za motylkiem lotów hiperprzestrzennych po łąkach

nieokreśloności, mimo to nie chcę, żebyś zaprzestał perswazji. Chcę mieć wszystko.

— Ale…

— Mówiąc krótko, jeśli mnie chcecie, to będzie was to kosztować. Musisz w dalszym ciągu przekonywać mnie tak, jak gdybym była oporna, musisz robić to najlepiej jak potrafisz, albo nie lecę na Ziemię. Jak sądzisz, po co jesteśmy w salonie prywatności? Po co zbudowaliśmy te salony? Byliśmy na treningu, wzięliśmy prysznic, zjedliśmy i napiliśmy się trochę, porozmawialiśmy, nacieszyliśmy się tym wszystkim, a teraz nadeszła pora cieszyć się innymi rzeczami. Nalegam. Przekonaj mnie, żebym poleciała na Ziemię.

Pod dotykiem jej palca światło w salonie przygasło uwodzicielsko.

Rozdział 17
BEZPIECZNA?

Insygna była niespokojna. To Siever Genarr nalegał, aby poradzić się Marteny w tej sprawie.

— Jesteś jej matką, Eugenio — powiedział — i ciągle myślisz o niej jak o małej dziewczynce. Matki zawsze mają kłopoty z wyjściem z roli monarchini traktującej dziecko jako osobistą własność.

Insygna unikała jego spokojnego wzroku.

— Nie rób mi wykładów, Sieverze. Nigdy nie miałeś dzieci. Łatwo jest radzić innym.

— Czy ja tobie radzę? Przepraszam. Powiedzmy, że nie jestem tak bardzo jak ty emocjonalnie związany ze wspomnieniem Marleny jako niemowlęcia. Bardzo ją lubię, jednak jedyny obraz Marleny jaki znam, to obraz dorastającej młodej kobiety o wspaniałym umyśle. Ona jest ważna, Eugenio. Wydaje mi się, że jest o wiele ważniejsza niż ja czy ty. Należy porozmawiać z nią…

— Należy zapewnić jej bezpieczeństwo — sprzeciwiła się Insygna.

— Zgadzam się, ale należy poradzić się jej, jak zapewnić to bezpieczeństwo. Jest młoda, jest niedoświadczona, ale być może wie lepiej od nas, co trzeba zrobić. Porozmawiajmy tak jak trójka dorosłych. Obiecaj mi, Eugenio, że nie będziesz nadużywać władzy rodzicielskiej.

— Jak mogę ci to obiecać? — powiedziała gorzko Insygna. — Ale zgoda, porozmawiajmy z nią.

Siedzieli więc teraz we trójkę w biurze Genarra, z włączoną tarczą dźwiękochłonną, a Martena rzucała szybkie spojrzenia to na Genarra, to na Insygnę i przygryzała nerwowo wargi.

— Chyba nie spodoba mi się to, co usłyszę — powiedziała nieszczęśliwie.

— Obawiam się, że mamy złe wieści — odpowiedziała Insygna.

— Mówiąc krótko: rozważamy możliwości powrotu na Rotora. Marlena wyglądała na zaskoczoną.

— Ale twoja praca, mamo. Nie możesz jej tak zostawić. Widzę jednak, że wcale nie masz takiego zamiaru. Nic nie rozumiem.

— Marleno — Insygna mówiła wolno l z emfazą — rozważamy twoj powrót na Rotora. Tylko twój.

Zapadła cisza. Martena przyglądała się ich twarzom. A potem zaczęła mówić szeptem:

— Jesteście poważni. Nie mogę w to uwierzyć. Nie wrócę na

Rotora. Nie chcę. Nigdy. Erytro jest moim światem. Chcę być tutaj i tylko tutaj.

— Marleno… — głos Insygny załamał się. Genarr wyciągnął rękę w kierunku Insygny i potrząsnął głową. Eugenia zamilkła i teraz on zaczął mówić:

— Dlaczego tak bardzo zależy ci, by być tutaj, Marleno?

— Ponieważ już tutaj jestem — głos Marteny brzmiał płasko. - Czasami chce się zjeść coś szczególnego, po prostu się chce. I nie można wytłumaczyć, dlaczego. Chce się i koniec. Ja mam apetyt na Erytro. Nie wiem dlaczego, ale mam. Nie muszę tego wyjaśniać.

— Niech twoja matka powie ci, co wiemy — odparł Genarr. Insygna wzięła zimną i bezwładną rękę Marteny w swoje dłonie.

— Marleno, czy pamiętasz, jak tuż przed odlotem na Erytro opowiadałaś mi o swojej rozmowie z komisarzem Pittem…

— Tak?

— Powiedziałaś mi wtedy, że kiedy zgodził się na nasz przyjazd na Erytro, nie mówił wszystkiego. Nie umiałaś powiedzieć mi, co zostawił dla siebie, ale wiedziałaś, że było to coś nieprzyjemnego, coś złego.

— Tak, pamiętam.

— Insygna zawahała się, a ogromne, świdrujące oczy Marteny stały się nagle czujne. I znów zaczęła szeptać, tak jak gdyby nie zdawała sobie sprawy z obecności innych i wypowiadała na głos własne myśli.

— Zmrużenie powiek. Ręka niemal przy skroni. Odsuwa się. Jej głos zamarł, chociaż usta poruszały się dalej.

A potem Marlena wybuchnęła:

— Czy wydaje wam się, że zwariowałam?

— Nie — odpowiedziała szybko Insygna — wręcz odwrotnie, kochanie. Wiemy, że twój umysł jest wspaniały i chcemy, żeby taki pozostał. A cała sprawa wygląda tak…

Marlena wysłuchała opowieści o Pladze Erytro z podejrzliwym wyrazem twarzy. Na końcu powiedziała:

— Widzę, że wierzysz w to, co mówisz, mamo, ale być może ktoś cię okłamał.

— Usłyszała to ode mnie — powiedział Genarr. — A ja powtarzam — i popieram to swoim autorytetem — że jest to prawda. A teraz ty mi powiedz, czy kłamię?

Marlena zaakcentowała jego słowa.

— Dlaczego akurat mi grozi jakieś niebezpieczeństwo? Dlaczego ja jestem bardziej narażona niż ty czy mama?

— Tak jak powiedziała twoja matka, Marleno… Plaga uderza, według wszelkiego prawdopodobieństwa w ludzi obdarzonych dużą wyobraźnią czy fantazją. Istnieją dowody — w które częściowo

wierzymy — że niezwykłe umysły są bardziej narażone na działanie Plagi, a ponieważ twój umysł jest najbardziej niezwykły ze wszystkich, z jakimi zetknąłem się do tej pory, wydaje mi się możliwe, że jesteś narażona na niebezpieczeństwo. Komisarz przysłał mi instrukcje, że mam zostawić ci wolną rękę na Erytro, że mam umożliwić ci zobaczenie i zbadanie wszystkiego, czego zażądasz, i że powinienem nawet zezwolić na wyjście poza Kopułę, jeśli przyjdzie ci to do głowy. Brzmi to bardzo uprzejmie z jego strony, lecz czy przypadkiem nie zależy mu na tym, abyś wyszła na zewnątrz po to, by — jak ma nadzieję — zwiększyć niebezpieczeństwo zarażenia cię Plagą?

Marlena rozważała jego słowa bez cienia emocji.

— Czy nie rozumiesz, Marleno? — zapytała Insygna. — Komisarz nie chce cię zabić — nie oskarżamy go o to. Chce tylko wyeliminować twój umysł, który mu przeszkadza. Ty z łatwością odkrywasz jego zamiary i rzeczy, o których nie powinien wiedzieć ktokolwiek. Nie może tego znieść. Lubuje się w tajemniczości.

— Jeśli komisarz Pitt próbuje mnie skrzywdzić — powiedziała spokojnie Marlena — to dlaczego chcecie mnie wysłać do niego? Genarr uniósł brwi.

— Wyjaśniliśmy ci to. Tutaj grozi ci niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo grozi mi tam, z nim. Co jeszcze może zrobić, jeśli rzeczywiście chce mnie zniszczyć? Teraz wie, że tutaj coś może stać się ze mną i wkrótce zapomni o mnie. Zostawi unie w spokoju, czyż nie tak? A przynajmniej tak długo, jak będę tutaj.

— Ale Plaga. Marleno, Plaga! — Insygna wyciągnęła ręce tak, jak gdyby chciała ją przytulić. Martena odsunęła się.

— Nie boję się Plagi.

— Wyjaśniliśmy ci…

— Nieważne, co mi wyjaśniliście. Tutaj nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Absolutnie żadne. Znam swój umysł. Żyję z nim od urodzenia. Rozumiem go. Nie grozi mu jakiekolwiek niebezpieczeństwo.

— Bądź rozsądna, Marleno — powiedział Genarr. — Bez względu na to, co wiesz o swoim umyśle, narażony on jest na choroby i niekorzystne wpływy zewnętrzne. Każdemu może przydarzyć się zapalenie opon mózgowych, epilepsja, guz mózgu czy wreszcie skleroza. Czy sądzisz, że żadna z tych chorób nie spotka cię tylko dlatego, że ty tak chcesz?

— Nie mówię o chorobach. Mówię o Pladze. A ona mi nie grozi.

— Nie możesz być tego pewna, kochanie. Nie wiemy nawet, czym jest Plaga.

— Czymkolwiek jest, nie grozi mi.

— Skąd możesz wiedzieć, Marleno — zapytał Genarr.

— Po prostu wiem.

Insygna poczuła, że traci cierpliwość. Schwyciła dziewczynę za ramiona.

— Zrobisz tak, jak ci każemy!

— Nie, mamo. Ty nic nie rozumiesz! Na Rotorze coś ciągnęło mnie na Erytro. Teraz, odkąd jesteśmy tutaj, czuję to jeszcze mocniej. Chcę tu zostać! Jestem tutaj bezpieczna! Nie chcę wracać na Rotora! Tam nie jest bezpiecznie.

Genarr podniósł dłoń nakazując Eugenii ciszę.

— Proponuję kompromis, Marleno. Twoja matka ma dokonać tutaj pewnych obserwacji astronomiczych. Zajmie jej to trochę czasu. Obiecaj, że gdy matka będzie zajęta, ty zadowolisz się przebywaniem w Kopule i zastosujesz się do niezbędnych środków ostrożności. Poddasz się także okresowym badaniom. Jeśli nie stwierdzimy u ciebie żadnych zaburzeń psychicznych, pozostaniesz w Kopule, dopóki matka nie skończy, a potem porozmawiamy ponownie. Zgoda?

Marlena pochyliła głowę w zamyśleniu.

— W porządku — powiedziała po chwili. — Chciałabym jednak, mamo, żebyś nie udawała, że skończyłaś pracę, jeśli rzeczywiście jej nie skończysz. I nie próbuj niczego przyspieszać — o tym też się dowiem.

Insygna wzruszyła ramionami.

— Nie mam zamiaru bawić się z tobą w kotka i myszkę, Marleno. I nie sądź, że kiedykolwiek oszukiwałam w badaniach naukowych — nie zrobiłabym tego nawet dla twojego dobra.

— Przepraszam, mamo — powiedziała Marlena. — Wiem, że denerwuję cię.

Insygna westchnęła ciężko.

— Nie zaprzeczam, lecz denerwujesz czy nie, jesteś moją córką. Kocham cię i chcę, żebyś była bezpieczna. Czy mówię nieprawdę?

— Mówisz prawdę, mamo, ale proszę uwierz mi, że jestem bezpieczna. Jestem szczęśliwa, odkąd znalazłyśmy się na Erytro. Na Rotorze nigdy nie byłam szczęśliwa.

— A dlaczego czujesz się szczęśliwa? — zapytał Genarr.

— Nie wiem, wujku Sieverze. Gdy jest się szczęśliwym, nie trzeba pytać dlaczego.

— Wyglądasz na zmęczoną, Eugenio — powiedział Genarr.

— Fizycznie czuję się świetnie, Sieverze. Zmęczyły mnie natomiast wewnętrznie dwa miesiące obliczeń. Nie wiem, jak pracowali ci wszyscy starożytni astronomowie, mając do pomocy wyłącznie komputery. A Kepler!

Obliczał ruchy planet na suwaku logarytmicznym, a i tak miał dużo szczęścia, że właśnie go wynaleziono.

— Wybacz nieastronomowi, ale wydawało mi się, że obecnie zlecacie instrumentom obliczenia, idziecie spać, a po kilku godzinach

wszystko czeka ładnie wydrukowane na biurku.

— Chciałabym, żeby było tak, jak mówisz. Czy wiesz, z jaką dokładnością musiałam obliczyć rzeczywistą szybkość Nemezis i Słońca w stosunku do siebie, by wiedzieć, gdzie i kiedy nastąpi ich największe zbliżenie? Czy wiesz, że nawet najmniejszy błąd wystarczyłby, byśmy byli pewni, że Nemezis bezpiecznie ominie Układ, podczas gdy w rzeczywistości zniszczyłaby go, i odwrotnie? Cała sprawa — kontynuowała Insygna — wyglądałaby wystarczająco źle nawet wtedy, gdyby Nemezis i Słońce były jedynymi ciałami we Wszechświecie, są jednak jeszcze inne pobliskie gwiazdy i wszystkie znajdują się w ciągłym ruchu. Przynajmniej tuzin z nich jest wystarczająco duży, by oddziaływać na Nemezis czy Słońce, czy wreszcie na obydwie gwiazdy razem. A oddziaływania tego me można pominąć, ponieważ powstałby błąd idący w miliony kilometrów, w tę czy inną stronę. Trzeba więc znać dokładną masę każdej gwiazdy, razem z jej pozycją i szybkością.

— Mówię tutaj, Sieverze, o piętnastu ciałach i jest to, wierz mi, niezwykle skomplikowane. A jeśli chodzi o Nemezis, to przeleci ona przez sam Układ Słoneczny i zakłóci ruch kilku planet. Wiele będzie zależało od pozycji każdej planety na orbicie w momencie przejścia Nemezis, a także od tego, o ile planety przesuną się pod wpływem sił grawitacyjnych Nemezis i jak to przesunięcie wpłynie na inne ciała. Nie można także pominąć oddziaływania Megasa.

Genarr słuchał z ponurą miną.

— I czym to się skończy, Eugenio?

— Myślę, że orbita Ziemi stanie się bardziej ekscentryczna niż obecnie, a oś semimajoralna zmniejszy się w stosunku do obecnej.

— A to oznacza…

— A to oznacza, że Ziemia stanie się zbyt gorąca, by można było na niej mieszkać.

— A co stanie się z Megasem i Erytro? — Nic wielkiego. System Nemezis jest znacznie mniejszy od Układu Słonecznego i w związku z tym łatwiej mu będzie zachować pierwotny kształt. Tutaj nic się specjalnie nie zmieni, w przeciwieństwie do Ziemi.

— I kiedy to się stanie?

— Za pięć tysięcy dwadzieścia cztery lata, plus minus piętnaście Nemezis znajdzie się w punkcie największego zbliżenia. Cały proces rozciągnie się jednak na dwadzieścia do trzydziestu lat, ponieważ tyle będzie trwało zbliżanie się i oddalanie Słońca i Nemezis.

— Czy będą jakieś zderzenia lub coś w tym rodzaju?

— Szansę na to są niemal zerowe. Żadnych zderzeń pomiędzy dużymi ciałami. Oczywiście może się zdarzyć, że słoneczny asteroid uderzy w Erytro lub asteroid z Nemezis uderzy w Ziemię. Prawdopodobieństwo jest minimalne, chociaż skutki mogłyby okazać

się katastrofalne dla Ziemi. Nie ma jednak możliwości obliczenia takich zderzeń, a przynajmniej dopóty, dopóki gwiazdy nie zbliżą się do siebie.

— Tak czy inaczej, Ziemię należy ewakuować, prawda?

— O tak.

— Mają na to pięć tysięcy lat.

— Pięć tysięcy lat to wcale nie jest za dużo na ewakuowanie ośmiu miliardów ludzi. Powinniśmy ich ostrzec.

— Czy nie zdołają sami przekonać się o niebezpieczeństwie, nawet gdybyśmy ich nie ostrzegli?

— Zdołają, lecz kto wie kiedy? A nawet gdyby zorientowali się już wkrótce, to i tak powinniśmy przekazać im technologię hiperwspomagania. Muszą ją mieć.

— Jestem pewny, że sami ją odkryją, i to bardzo szybko.

— A jeśli nie?

— Myślę, że za sto lat, a może wcześniej, nawiążemy łączność z Ziemią. Mając hiperwspomaganie służące do transportu, już wkrótce zastosujemy je do środków łączności. Zawsze też możemy wysłać na Ziemię jedno Osiedle.

Czasu mamy dosyć.

— Mówisz jak Pitt. Genarr chrząknął.

— Pitt nie zawsze się myli.

— Ale on nie będzie chciał nawiązywać łączności. Ja to wiem.

— Nie zawsze musi być tak, jak on chce. Mamy Kopułę na Erytro, chociaż sprzeciwiał się temu. A nawet jeśli nie zdołamy go przekonać, to przecież kiedyś umrze. Naprawdę, Eugenio, nie warto teraz przejmować się za bardzo Ziemią. Mamy bliższe zmartwienia. Czy Martena wie, że już prawie skończyłaś?

— Jakże by mogłoby być inaczej? Bez wątpienia, efekt mojej pracy widoczny jest w sposobie, w jaki podciągam rękawy czy czeszę włosy.

— Zdaje się, że Martena potrafi coraz więcej, prawda?

— Tak. Ty też to zauważyłeś?

— Owszem. Dostrzegam zmiany, mimo że znam ją bardzo krótko.

— Przypuszczam, że to nasila się z wiekiem. Jej umiejętności rosną tak, jak rosną jej piersi. Poza tym do tej pory musiała ukrywać przed światem swój talent. Nie wiedziała, co ma z nim zrobić, ponieważ często wpędzał ją w kłopoty. Teraz nie boi się niczego i jej talent rośnie i rozwija się.

— Czy nie sądzisz, że ma to jakiś związek z przyjemnością, jaką sprawia jej pobyt na Erytro? Być może poczucie szczęścia wpływa dodatnio na jej zdolności poznawcze?

— Zastanawiałam się nad tym, Sieverze — odpowiedziała Insygna. — Ale nie chciałabym obarczać cię moimi zmartwieniami. A

jest ich dużo: boję się o Marlenę, o Ziemię, o wszystko… Czy przypuszczasz, że Erytro ma na nią jakiś wpływ? Oczywiście pośredni? Myślisz, że jej zwiększone zdolności poznawcze mogą oznaczać początek choroby… Plagi?

— Nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie, Eugenio, a jeśli jej zwiększona percepcja jest wynikiem Plagi, to choroba ta nie wpływa na jej równowagę psychiczną. Mogę powiedzieć ci jedno — nikt, kto zapadł tutaj na Plagę, nie wykazywał nawet w przybliżeniu takich zdolności, jakie posiada Marlena.

Insygna westchnęła.

— Dziękuję ci. Pocieszyłeś mnie. Muszę ci także podziękować za delikatność i przyjaźń dla Marleny.

Usta Genarra wykrzywił niepewny uśmiech.

— To nic wielkiego. Bardzo ją lubię.

— Mówisz to tak normalnie. Marlenę trudno jest lubić. Wiem to. A jestem przecież jej matką.

— Lubię ją… może dlatego, że zawsze ceniłem w kobietach umysł, a nie urodę — chyba że miały i jedno, i drugie, tak jak ty, Eugenio.

— Może dwadzieścia lat temu — odpowiedziała Eugenia z kolejnym westchnięciem.

— W takim razie moje oczy zestarzały się wraz z twoim ciałem. Nie widzę żadnej różnicy. Dla mnie nie jest ważne, że Marlena nie grzeszy urodą. Jest niesamowicie inteligentna, pominąwszy nawet jej niezwykły talent.

— Tak, masz rację. Pocieszam się tym, gdy daje mi się we znaki.

— Obawiam się, że Marlena może być jeszcze bardziej kłopotliwa.

Insygna rzuciła mu ostre spojrzenie.

— Dlaczego?

— Dała mi wyraźnie do zrozumienia, że nie wystarcza jej pobyt w Kopule. Chce wyjść, chce stąpać po prawdziwej ziemi Erytro, gdy tylko skończysz pracę. Nalega!

Spojrzenie Insygny wyrażało przerażenie.

Rozdział 18
SUPERLUMINALNA

Trzy lata na Ziemi postarzyły Tessę Wendel. Jej cera nie była już taka gładka. Przybrała także na wadze. Pod oczami zaczęły pojawiać się ciemne worki. Jej piersi były odrobinę za ciężkie, a talia nieco za gruba. Krile Fisher wiedział, że Tessa dobiega pięćdziesiątki — była o całe pięć lat starsza od niego. Jednak jak na swój wiek i tak trzymała się dobrze. Ciągle miała wspaniałą figurę dojrzałej kobiety (jak ktoś kiedyś ją nazwał), lecz nie mogła uchodzić już za trzydziestolatkę, tak jak wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy na Adelii.

Tessa zdawała sobie sprawę z tego wszystkiego. Tydzień wcześniej poruszyła ten temat w rozmowie.

— To przez ciebie Krile — powiedziała, gdy byli w łóżku (wtedy najbardziej odczuwała brzemię wieku) — to twoja wina. Sprzedałeś mnie na Ziemię. „Cudowna" mówiłeś. „Olbrzymia" mówiłeś. „Różnorodna. Zawsze coś nowego. Niewyczerpane możliwości".

— A czy nie jest taka? — zapytał, wiedząc co jej się nie spodoba, lecz dając jej szansę na wygadanie się.

— Nie, jeśli chodzi o ciążenie. Na całej tej cholernej, niemożliwej planecie panuje takie samo ciążenie. W powietrzu i w kopalni, tu czy tam, wszędzie to samo jedno G — jedno G — jedno G. Kiedy wam się to wreszcie znudzi?

— Nie mamy niczego innego, Tesso.

— Macie! Odwiedzałeś Osiedla. Tam można sobie wybrać ciążenie, które najbardziej ci odpowiada. Możesz trenować w stanie nieważkości. Możesz od czasu do czasu zmniejszyć nacisk na tkanki. Jak mam żyć bez tego?

— Tutaj też ćwiczymy.

— Och, proszę cię… Ćwiczymy z ciążeniem, z tym wiecznym ciążeniem, gnącym cię do dołu. Przez cały czas trzeba je zwalczać, zamiast pozwolić swoim mięśniom na współdziałanie. Nie można skakać, nie można latać, nie można pływać! Nie można rzucić się w wir większego przyciągania i pozwolić unosić się mniejszemu. I to ciążenie, ciążenie; ciążenie gnie każdy twój mięsień i wszystko zaczyna ci obwisać, marszczyć się i starzeć. Spójrz tylko na mnie! Spójrz na mnie!

— Patrzę na ciebie przez cały czas — powiedział poważnie Fisher.

— W takim razie nie patrz na mnie. Gdybyś widział to co ja, już dawno byś mnie wyrzucił. A jeśli to zrobisz, wrócę na Adelię.

— Nie, nie wrócisz. Co robiłabyś po treningach w stanie nieważkości? Twoja praca badawcza, twoje laboratorium, twój zespół, wszystko jest tutaj.

— Zacznę od nowa i zbuduję nowy zespół.

— A czy Adelia sfinansuje cię w takim stopniu, do jakiego przywykłaś na Ziemi? Oczywiście, że nie. Musisz przyznać, że Ziemia nie oszczędza na tobie — dostajesz to, co chcesz. Czy nie mam racji?

— Czy nie masz racji? Zdrajca! Nie powiedziałeś mi, że Ziemia ma hiperwspomaganie. Nie powiedziałeś mi także o odkryciu Sąsiedniej Gwiazdy. Pozwoliłeś mi wymądrzać się o nieprzydatności Sondy Rotora i nigdy nawet słowem nie wspomniałeś, że znaleźli coś innego oprócz paru paralaks. Siedziałeś tam i wyśmiewałeś się ze mnie jak bezduszny bandyta, którym jesteś.

— Powiedziałbym ci, Tesso, ale co by się stało, gdybyś nie zechciała przylecieć na Ziemię? Nie mogłem zdradzać cudzych tajemnic.

— A gdy już byłam na Ziemi?

— Gdy tylko zabrałaś się do pracy, do rzeczywistej pracy, powiedzieliśmy ci.

— Oni mi powiedzieli i wyszłam na zaskoczoną idiotkę. Mogłeś chociaż wspomnieć o tym i nie robić ze mnie kompletnej kretynki. Powinnam cię zabić, ale nie mogłam. Jesteś jak narkotyk i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę. A co najgorsze, wiesz o tym, wiedziałeś już, gdy tak bezdusznie uwiodłeś mnie i zmusiłeś do przyjazdu na Ziemię.

Tessa bardzo lubiła prowadzić tę nie kończąca się grę, a Fisher znał swoja rolę.

— Uwiodłem cię? Sama tego chciałaś. Sama powiedziałaś, że jest to konieczne.

— Kłamca. Zmusiłeś mnie do tego. To był gwałt, perwersyjny, zboczony gwałt. Bez przerwy mnie gwałcisz. Teraz też tego chcesz — widzę to po twoich obleśnych, pożądliwych oczach.

Od dawna już nie grali w ten sposób. Fisher wiedział, że zdarza się to wtedy, gdy Tessa zadowolona jest z wyniku swojej pracy.

Gdy było już po wszystkim, zapytał:

— Postępy?

— Tak. tak chyba można to określić — oddychała ciężko.

— Jutro zorganizujemy pokaz dla twojego starożytnego, rozkładającego się Ziemianina, Tanayamy. Bezlitośnie domaga się tego.

— Tak, to bezlitosny facet.

— To głupi facet. Myślałam, że nawet społeczeństwo analfabetów wie coś niecoś na temat nauki, a przynajmniej jak się do niej zabrać. A oni dają ci kredyt w wysokości miliona rankiem, a wieczorem

oczekują wyników. Mogliby chociaż zaczekać do następnego ranka i pozwolić popracować w nocy. Czy wiesz, co mi powiedział ostatnim razem, gdy się z nim widziałam, wtedy, gdy poinformowałam go, że być może będziemy mogli mu się pokazać?

— Nie, nie wiem. Nie wspominałaś o tym.

— Napierw powiem ci, co powinien był powiedzieć: „To wspaniale, że w przeciągu trzech lat udało wam się opracować coś tak niezwykłego i bezprecedensowego. Zasługujecie na olbrzymią nagrodę, a nasza wdzięczność dla was jest trudna do opisania". Tak właśnie powinien powiedzieć.

— Nie, nawet gdybyś mu groziła śmiercią, nie zdobyłby się na takie słowa. A co powiedział naprawdę?

— Brzmiało to tak: „A więc w końcu coś wreszcie macie po całych trzech latach. Jak jeszcze długo mam żyć? Czy myślicie, że popieram was, płacę wam i karmię armie asystentów i robotników po to, byście wyprodukowali coś po mojej śmierci? Gdy już nic mi z tego nie przyjdzie?" Tak właśnie powiedział. A ja powiem ci teraz, że z chęcią odwlekłabym pokaz i poczekała aż umrze, to tak, dla własnej satysfakcji. Jednak praca jest ważniejsza.

— Czy naprawdę macie coś, co go zadowoli?

— Tylko lot superluminalny. Prawdziwa szybkość superiuminalna, nie jakieś bzdury z hiperwspomaganiem. Mamy coś, co otworzy nam drzwi do Wszechświata.

Miejsce, gdzie pracował zespół badawczy Tessy Anity Wendei z zamiarem wstrząśnięcia posadami Wszechświata, przygotowane zanim jeszcze Tessa zgodziła się przybyć na Ziemię. Kompleks na naukowy usytuowano w trudno dostępnym dla postronnych paśmie górskim. Tuż obok powstało prawdziwe miasto dla pracowników. I tutaj właśnie zjawił się Tanayama, siedzący obecnie w swoim zmotoryzowanym fotelu. Tylko jego oczy zachowały młodzieńcza żywotność i dyrektor rzucał szybkie spojrzenia to tu, to tam zza swoich wąskich powiek. Tanayama nie był oczywiście najważniejszą postacią w ziemskim rządzie, nie był nawet najważniejszy pośród obecnych, z pewnością był jednak główną siłą napędową całego projektu i wszyscy automatycznie ustępowali mu miejsca. Jedynie Wendel nie chciała być gorsza. Tanayama mówił zgrzytliwym szeptem:

— I co mi pani pokaże, pani doktor? Statek? W zasięgu wzroku nie było żadnego statku.

— Nie, dyrektorze — odpowiedziała Tessa. — Daleko nam jeszcze do statków. Będzie to tylko pokaz, ale zapewniam pana, że bardzo ekscytujący. Zobaczy pan pierwszą publiczną demonstrację prawdziwego lotu superluminalnego, czegoś, co znacznie przewyższa hiperwspomaganie.

— W jaki sposób to zobaczę?

— Wydawało mi się, dyrektorze, że poinformowano pana o tym wcześniej.

Tanayama zakaszlał straszliwie i przez chwilę łapał oddech.

— Próbowali mi coś powiedzieć — wykrztusił wreszcie — ale ja chcę usłyszeć wszystko od pani.

Spoglądał na nią ostro i jednocześnie nieszczęśliwie.

— Pani tu dowodzi — dodał. — To pani projekt i proszę mi go objaśnić.

— Nie mogę wyjaśniać panu teorii, zajęłoby to zbyt dużo czasu Zmęczyłby się pan, dyrektorze.

— Nie chcę żadnej teorii. Chcę wiedzieć, co zobaczę.

— Zobaczy pan dwa stożkowate, szklane pojemniki. Obydwa wypełnione są próżnią.

— Dlaczego akurat próżnią?

— Lot superiuminalny może rozpocząć się wyłącznie w próżni, dyrektorze. W innym wypadku obiekt mający poruszać się szybciej od światła ciągnąłby za sobą materię, a to zwiększyłoby wydatki energetyczne i zmniejszyło możliwości obiektu. Lot musi także zakończyć się w próżni, ponieważ mogłoby dojść do katastrofy ze względu…

— Zapomnijmy o tym „ze względu”. Jeśli ten pani lot superluminalny musi zacząć się i zakończyć w próżni, w jaki sposób będziemy mogli z niego korzystać?

— Na początku konieczne jest przeniesienie się w kosmos za pomocą zwykłego lotu, a potem wykonuje się skok do hiperprzestrzeni i pozostaje się w niej. Dolatuje się do wybranego miejsca i wchodzi się do zwykłej przestrzeni, po czym ląduje się znów normalnie.

— Na to potrzeba czasu.

— Na wszystko potrzeba czasu, nawet na loty superluminalne. Jeśli jednak będziemy mogli się przenieść z Układu Słonecznego do gwiazdy odległej o czterdzieści lat świetlnych w czterdzieści dni zamiast czterdziestu lat, to wydaje mi się, że niewdzięcznością byłoby narzekanie na czas.

— W porządku. Ma pani te dwa szklane pojemniki i co dalej?

— Są to projekcje holograficzne. W rzeczywistości pojemniki te znajdują się w odległości trzech tysięcy kilometrów od siebie — mierząc poprzez skorupę ziemską. Umieszczone są w schronach. Gdyby z jednego do drugiego pojemnika puścić promień świetlny — oczywiście poprzez próżnię — to promień ten podróżowałby 1/1000 sekundy, czyli jedną milisekundę. My, ze zrozumiałych i względów, nie będziemy używać światła. W pojemniku po lewej stronie, w samym jego środku, wisi maleńka kula podtrzymywana silnym polem magnetycznym. Kula ta jest w rzeczywistości niewielkim silnikiem

hiperatomowym. Widzi ją pan, dyrektorze?

— Coś tam widzę — odpowiedział Tanayama. — Czy to jest wszystko, co macie?

— Jeśli przyjrzy się pan dokładnie tej kuli, zobaczy pan, że za chwilę zniknie. Odliczanie już się rozpoczęło.

Wszyscy powtarzali szeptem kolejne cyfry odliczania. Przy zerze kula zniknęła z jednego pojemnika i pojawiła się w drugim.

— Proszę pamiętać — powiedziała Tessa — że w rzeczywistości pojemniki oddalone są od siebie o trzy tysiące kilometrów. Mechanizm pomiarowy wykazuje, że od momentu zniknięcia do momentu pojawienia się kuli w drugim pojemniku upłynęło nieco ponad dziesięć mikrosekund, co oznacza, że przelot odbył się z szybkością sto razy większą od prędkości światła.

Tanayama spojrzał na Tessę.

— Skąd mogę wiedzieć? Cała rzecz mogła być sztuczką pomyślaną tak, aby oszukać starego, łatwowiernego człowieka.

— Dyrektorze — powiedziała ostro Wendel — są tutaj setki naukowców, każdy z nich posiada olbrzymi autorytet, a wielu z nich to Ziemianie. Pokażą panu wszystko, co chce pan zobaczyć, wyjaśnią pracę każdego instrumentu. My tutaj zajmujemy się prawdziwą nauką i robimy to uczciwie.

— Nawet gdyby było tak, jak pani mówi, to co to wszystko znaczy? Jakaś piłeczka? Piłeczka pingpongowa podróżująca parę tysięcy kilometrów. Czy to wszystko, co macie po trzech latach?

— To co pan zobaczył, to więcej niż ktokolwiek miałby prawo oczekiwać, mówię to z całym szacunkiem dla pana, dyrektorze. To, co pan zobaczył, rzeczywiście miało rozmiary piłeczki pingpongowej i podróżowało parę tysięcy kilometrów, lecz był to prawdziwy lot superiuminalny, taki jak przeniesienie statku międzygwiezdnego stąd do Arcturusa z szybkością sto razy większą od prędkości światła. To, co pan widział, było pierwszym publicznym pokazem superiuminalności w całej historii rasy ludzkiej.

— Ale ja chcę zobaczyć statek!

— Na to będzie musiał pan poczekać.

— Nie mam czasu. Nie mam czasu — dyszał Tanayama głosem, który był niczym więcej niż szeleszczący szept. I znów się rozkaszlał.

Tessa Anita Wendel odpowiedziała mu równie cicho:

— Nawet pan nie zdoła poruszyć Wszechświata.

Trzy dni, poświęcone na uroczystości oficjalne w mieście nazywanym potocznie Hiper City, dobiegły końca.

Władze udały siej w drogę powrotną do domu

— Potrzeba nam dwóch lub trzech dni — powiedziała Tessa Mendel do Krile Fishera — na ponowne zabranie się do pracy. Tessa wyglądała na zmęczoną i bardzo niezadowoloną.

— Co za złośliwy staruch — dodała.

Fisher domyślił się, że chodzi o Tanayamę.

— Schorowany staruch.

Wendel rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Bronisz go?

— Nie, po prostu stwierdzam fakt, Tesso. Pogroziła mu palcem.

— Jestem pewna, że ten kaszlący relikt był tak samo irracjonalny i nierozsądny w przeszłości, gdy był jeszcze zdrowy i — jeśli teraz o to chodzi — młody. Od jak dawna jest dyrektorem Biura?

— Od zawsze. Ponad trzydzieści lat. A przedtem był zastępcą niemal tak samo długo, nie mówiąc już o tym, że spełniał rolę szarej eminencji podczas kadencji trzech lub czterech poprzednich dyrektorów. I mogę cię zapewnić, że bez względu na jego stan zdrowia czy wiek zostanie dyrektorem do samej śmierci, i może nawet jeszcze trochę dłużej, dopóki nie upewnią się, czy nie powstanie z martwych.

— Sądzisz, że to jest śmieszne?

— Nie, chociaż w zasadzie nie pozostało nam nic innego oprócz śmiechu, gdy pomyśli się, że jeden człowiek, który nigdy nie dzierżył steru władzy, którego na dobrą sprawę nikt nie zna, zdołał zastraszyć i podporządkować sobie cały rząd; mało tego, robi to od półwiecza, tylko dlatego że sprawuje kontrolę nad ciemnymi sprawami wszystkich ludzi u władzy i nie zawahałby się zrobić z tych spraw użytku, gdyby zaszła taka konieczność.

— A oni znoszą to cierpliwie?

— O tak. W rządzie nie ma ani jednej osoby, która chciałaby uświęcić własną karierę tylko po to, by zniszczyć Tanayamę.

— Nawet teraz, gdy wszystko wymyka mu się z rąk?

— Popełniasz błąd. Wszystko wymknie mu się z rąk dopiero, gdy umrze, a do tego czasu jego władza jest absolutna. Jest to ostatnia rzecz, która pozostanie mu na tym świecie i zniknie wraz z ostatnim uderzeniem jego serca.

— Po co ludzie to robią? — zapytała Tessa z niesmakiem — Czy nie pragną spokoju na starość i cichej, bezbolesnej śmierci?

— Tanayama z pewnością nie. Nigdy. Nie powiem, żebym należał do jego zaufanych, ale przez te piętnaście lat zetknąłem się z nim parokrotnie i zawsze wychodziłem od niego skopany. Znałem go, gdy był jeszcze pełen werwy i już wtedy wiadomo było, że nigdy nie przestanie działać. A odpowiadając na twoje pierwsze pytanie: ludzie kierują się w życiu różnymi pobudkami, w przypadku Tanayamy pobudką tą jest nienawiść.

— Tak podejrzewałam — powiedziała. — To widać. Jest znienawidzony i sam nienawidzi. Tylko kogo?

— Osiedli.

— Naprawdę? — Tessa przypomniała sobie, że była Osadniczką z Adelii. — Faktem jest, że nigdy nie słyszałam, aby ktokolwiek urodzony w Osiedlach wyrażał się z zachwytem o Ziemi. Znasz zresztą moje zdanie na temat miejsc pozbawionych zróżnicowanego ciążenia.

— Ja nie mówię o zwykłych preferencjach, Tesso, ani nawet o niesmaku czy pogardzie. Mówię o ślepej, zapiekłej nienawiści. Niemal każdy Ziemianin nie lubi Osiedli, którym trafiło się wszystko co najlepsze: spokój, wygody, brak tłumów, zamożność. Osiedla mają dużo żywności, znakomite warunki do odpoczynku, stałą pogodę i żadnej biedy. Są na nich roboty trzymające się dyskretnie na uboczu, a na Ziemi… To całkiem naturalne, że ludzie, którzy czegoś nie mają, nie lubią tych, którzy mają wszystko. Lecz jeśli chodzi o Tanayamę. to jest to potworna nienawiść. Myślę, że z przyjemnością zniszczyłby wszystkie Osiedla, gdyby mógł.

— Ale dlaczego, Krile?

— Według mnie jemu nie chodzi o dobrobyt, o którym mówiłem, Tanayama nie może znieść kulturowej jednorodności Osiedli. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Nie.

— Ludzie na Osiedlach dobierają się. Dobierają sobie takich samych ludzi jak oni. Wszyscy wywodzą się z jednego kręgu kulturowego, są nawet podobni do siebie fizycznie. Na Ziemi zaś przez cały czas rozwoju ludzkości panowała dzika różnorodności kultur, które wzbogacały się wzajemnie, konkurowały ze sobą, a nawet ze sobą walczyły. Tanayama i wielu Ziemian — jak na przykład ja — uważamy, że taka mieszanina kulturowa może być źródłem siły. Zdajemy sobie sprawę, że jednorodność Osiedli osłabia je i w przyszłości może okazać się tragiczna w skutkach.

— Dlaczego więc nienawidzicie Osiedli za coś, co w waszych oczach działa na ich niekorzyść? Czy Tanayama nienawidzi nas za to, że lepiej nam się powodzi, i jednocześnie za to, że może nam być gorzej w przyszłości? To nie ma sensu.

— To nie musi mieć sensu. Nienawiść nigdy nie dała się wytłumaczyć racjonalnie. Być może — ale tylko być może — Tanayamie wydaje się, że Osiedlom się powiedzie i udowodnią w ten sposób wyższość jednorodności kulturowej? Albo obawia się, że Osiedlom zależy na zniszczeniu Ziemi, tak jak jemu na zniszczeniu Osiedli? Sprawa Sąsiedniej Gwiazdy doprowadziła go do szaleństwa.

— Mówisz o tym, że Rotor odkrył Sąsiednią Gwiazdę i nie poinformował nas o swoim odkryciu?

— Nie tylko. Nie ostrzegli nas, że Gwiazda zmierza w kierunku Układu Słonecznego.

— Mogli nie wiedzieć.

— Tanayama nigdy by w to nie uwierzył. Jest przekonany, że

wiedzieli i celowo nas nie ostrzegli w nadziei, że nie zdołamy się przygotować i że Ziemia z całą swoją cywilizacją zostanie zniszczona.

— Czy stwierdzono już, że Sąsiednia Gwiazda przeleci na tyle blisko, by doszło do katastrofy? Nie słyszałam o tym. Słyszałam natomiast, że większość astronomów przekonana jest, że Gwiazda ominie nas w bezpiecznej odległości. Masz jakieś inne wieści?

Fisher wzruszył ramionami.

— Nie, nie mam. Ale wydaje mi się, że ewentualność katastrofy podsyca nienawiść Tanayamy. I stąd bierze się jego przekonanie, że potrzebne nam są loty superluminalne, które pozwolą nam na zlokalizowanie i zasiedlenie jakiejś podobnej do Ziemi planety. Jemu chodzi o ewakuowanie jak największej liczby ludzi na ten nowy świat w przypadku, gdyby doszło do najgorszego. Musisz przyznać, że brzmi to rozsądnie.

— Rzeczywiście, ale do tego nie potrzeba żadnego zagrożenia, Krile. Ludzkość powinna się rozprzestrzeniać, nawet gdyby Ziemia była absolutnie bezpieczna. My przenieśliśmy się na Osiedla, kolejnym logicznym przedsięwzięciem byłoby sięgnięcie po gwiazdy i właśnie dlatego potrzebne są nam loty superluminalne.

— Tak, ale Tanayama myśli inaczej. Kolonizację Galaktyki chce zostawić następnym pokoleniom. Sam zaś chce odszukać Rotora i ukarać go za to, że porzucił Układ Słoneczny nie oglądając się na przyszłe losy ludzkości. Chce żyć tylko po to, by zobaczyć to na własne oczy i dlatego tak naciska na ciebie.

— Może to robić, ile tylko mu się podoba, to i tak niczego nie zmieni. On umiera.

— Nie wiem. Współczesna medycyna dokonuje cudów, jestem przekonany, że lekarze zrobią wszystko dla Tanayamy.

— Nawet współczesna medycyna nie powstrzyma śmierci. Rozmawiałam z lekarzami.

— I co ci powiedzieli? Wydawało mi się, że sprawa zdrowia Tanayamy jest tajemnicą państwową.

— Nie dla mnie, nie w tych warunkach, Krile. Poszłam do zespołu medycznego, który zajmował się tutaj Tanayama, i powiedziałam, że bardzo zależy mi na zbudowaniu statku zdolnego do przenoszenia ludzi do gwiazd zanim umrze Tanayama. Zapytałam ich, ile mam jeszcze czasu.

— I co powiedzieli?

— Że mam tylko rok. Tak brzmiała ich odpowiedź. Co najwyżej rok. Nalegali, abym się pospieszyła.

— Możesz to zrobić przez rok?

— Przez rok? Oczywiście, że nie, Krile, i cieszę się z tego. Duża przyjemność sprawia mi fakt, że ten złośliwy staruch nie doczeka pierwszego statku superluminalnego. Dlaczego się krzywisz? Martwi

cię to, że jestem taka okrutna?

— To nieistotne, Tesso. A staruch, o którym mówisz — jakkolwiek rzeczywiście złośliwy — sprawił, że wszystko to jest możliwe. to on zbudował Hiper City.

— Tak, ale dla własnych celów, a nie dla Ziemi czy dla ludzkości. Mam prawo być zła. Jestem pewna, że dyrektor Tanayama nigdy nie ulitował się nad nikim, kogo uważał za wroga, i zawsze chwytał przeciwników za gardło.

Wyobrażam sobie także, że sam nie oczekuje litości czy współczucia. Każdy, kto okazałby mu litość czy współczucie, potraktowany zostałby jako godny pogardy słabeusz.

Fisher w dalszym ciągu wyglądał na niezadowolonego.

— Ile czasu ci to zajmie, Tesso?

— Skąd mogę wiedzieć? Może wieczność? A nawet gdyby przyjąć optymalny wariant rozwoju wydarzeń, z pewnością nie zajmie mi to mniej niż pięć lat.

— Ale dlaczego? Macie już przecież lot superluminalny. Tessa wyprostowała się.

— Nie bądź naiwny, Krile. Wszystko, co mamy, to pokaz laboratoryjny. Mogę wziąć lekki obiekt — piłeczkę pingpongową, w której dziewięćdziesiąt procent masy stanowi silnik hiperatomowy — i przenieść go superluminalnie. Jednak statek, i to w dodatku z ludźmi, to zupełnie coś innego. Musimy mieć absolutną pewność co do wszystkiego, a to zajmie nam przynajmniej pięć lat. Powiem ci jeszcze, że gdyby nie współczesne komputery i symulacje, które i na nich wykonujemy, nawet te pięć lat byłoby jedynie marzeniem. Nawet pięćdziesiąt lat byłoby za mało.

Krile Fisher potrząsnął głową i nic nie powiedział. Tessa Wendel przyglądała mu się uważnie, a potem powiedziała z ociąganiem.

— O co ci chodzi? Czy tobie także się spieszy?

— Wszystkim nam zależy na czasie — odpowiedział pojednawczo Fisher — a jeśli chodzi o mnie, to rzeczywiście chciałbym polecieć twoim statkiem.

— Zależy ci na tym bardziej od innych?

— Tak, chyba tak.

— Dlaczego?

— Chciałbym polecieć na Sąsiednią Gwiazdę. Spojrzała na niego.

— Marzysz o powrocie do porzuconej żony? Fisher nigdy nie rozmawiał z Tessa o Eugenii. Teraz także nie miał zamiaru dać się schwytać w pułapkę.

— Zostawiłem tam córkę — odpowiedział. — Myślę, że potrafisz to zrozumieć, Tesso. Masz przecież syna.

Rzeczywiście miała syna — dwudziestolatka studiującego na Uniwersytecie Adeliańskim, który pisywał do niej od czasu do czasu

listy. Twarz Tessy złagodniała.

— Krile, na twoim miejscu przestałabym się łudzić. Co prawda, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Rotor poleciał na Sąsiednią Gwiazdę, lecz sama podróż zajęła im przynajmniej dwa lata — dysponowali jedynie hiperwspomaganiem. Nie wiadomo, czy przetrwali tak długą podróż. A nawet jeśli, to szansa znalezienia odpowiedniej dla ludzi planety w pobliżu czerwonego karła jest niemal równa zeru. Mogli więc wyruszyć w dalszą drogę w poszukiwaniu jakiejś planety. Dokąd? Gdzie ich szukać?

— Wiedzieli chyba, że nie znajdą odpowiedniej planety w pobliżu czerwonego karła. Czy w takim razie nie zdecydowali się na pozostawanie na orbicie wokół gwiazdy?

— Nawet jeśli przetrwali lot i nawet jeśli zdecydowali się na pozostanie na orbicie, pomyśl, jaki rodzaj życia muszą prowadzić. Nie wytrzymają długo, a przynajmniej nie w tak cywilizowanej formie, do jakiej przywykli. Krile, musisz być silny. Musisz przygotować się na to, że nawet jeśli zorganizujemy ekspedycję, która poleci na Sąsiednią Gwiazdę, to może ona wrócić z niczym lub w najlepszym razie z fotografiami z martwego kadłuba Rotora.

— Liczę się z tym — odpowiedział Fisher. — Wydaje mi się jednak, że mają jakąś szansę na przetrwanie.

— Chodzi ci o dziecko? Mój drogi Krile, to są mrzonki. Nawet jeśli Rotor przetrwał, to twoja córka miała rok, gdy ją opuściłeś w roku 22. Gdyby teraz pojawiła się nagle przed tobą, miałaby dziesięć lat. Za pięć lat — bo dopiero wtedy możesz myśleć o podróży na Rotora — będzie piętnastoletnią panienką. Nie pozna cię. Ty również jej nie poznasz.

— Dziesięć lat czy piętnaście, a nawet pięćdziesiąt — dla mnie to nie ma znaczenia, Tesso. Poznam ją, gdy tylko ją zobaczę — odpowiedział Fisher.

Rozdział 19
POBYT

Marlena uśmiechnęła się niepewnie do Sievera Genarra. Przyzwyczaiła się wchodzić do jego biura o każdej porze.

— Nie przeszkadzam ci, wujku Sieverze?

— Nie, moja droga. Nie mam akurat nic pilnego do roboty. A zresztą tutaj rzadko zdarza się coś absolutnie pilnego.

Pitt wymyślił moje stanowisko po to, by pozbyć się mnie — a ja zaakceptowałem to i w ten sam sposób pozbyłem się Pitta. Nie powtarzaj tego jednak, tylko ty znasz prawdę, bo ciebie nie można okłamać.

— Chyba nie obawiasz się tego, wujku Sieverze? Komisarz Pitt bał się, Orinel także bałby się, gdybym pokazała mu, co potrafię.

— Nie, nie obawiam się, Marleno. Poddałem się. Właśnie doszedłem do wniosku, że dla ciebie jestem przezroczysty. Nawet podoba mi się to. Kłamanie jest bardzo wyczerpujące, gdy starasz się o nim nie myśleć. Gdyby ludzie byli rzeczywiście leniwi, nigdy by nie kłamali.

Marlena uśmiechnęła się ponownie.

— Czy dlatego mnie lubisz? Bo przy mnie możesz być leniwy?

— A sama nie potrafisz zgadnąć?

— Nie. Wiem, że mnie lubisz, ale nie wiem dlaczego. Twoje zachowanie mówi mi, że mnie lubisz, lecz powód jest ukryty w tobie — nic o nim nie wiem, poza paroma niejasnymi przeczuciami. Nie mogę wejść w ciebie — zastanawiała się przez chwilę — i czasem żałuję, że nie mogę.

— Ciesz się z tego, Marleno. Ludzkie umysły są brudne, ciemne i nieciekawe.

— Dlaczego tak mówisz, wujku?

— Doświadczenie, Marleno. Nie posiadam, co prawda, zdolności podobnych do twoich, lecz jestem wśród ludzi już od bardzo dawna, dłużej niż ty. Czy podoba ci się twój własny umysł?

Marlena wyglądała na zaskoczoną.

— Nie wiem. A nie powinien?

— Podoba ci się wszystko, o czym myślisz? Co sobie wyobrażasz? Każdy targający tobą impuls? Bądź uczciwa, Marleno. Ja, co prawda, nie potrafię odczytywać myśli, ale bądź uczciwa.

— No cóż, czasami zdarza mi się myśleć o rzeczach niezbyt mądrych, a nawet złych. Niekiedy bywam zła i myślę o zrobieniu

czegoś, czego w rzeczywistości nigdy bym nie zrobiła. Ale zdarza się to bardzo rzadko.

— Bardzo rzadko? Nie zapominaj, że zdążyłaś przywyknąć do swojego umysłu. Nie czujesz go. To tak jak z ubraniem, które nosisz. Nie czujesz go, ponieważ jesteś przyzwyczajona do jego obecności. Włosy drapią cię w szyję, ale tego również nie zauważasz. Jeśli natomiast dotknęłyby cię włosy kogoś innego, natychmiast poczułabyś nieznośne swędzenie. Ktoś inny może nie mieć myśli gorszych od twoich, ale zawsze są to myśli kogoś innego i nie spodobałyby ci się. Może na przykład nie spodobałoby ci się to, że cię lubię, gdybyś wiedziała dlaczego. Znacznie wygodniej i bezpieczniej jest zaakceptować to, że cię lubię jako coś, co po prostu istnieje i nie doszukiwać się powodów w moim umyśle.

Kolejne pytanie Marleny było nieuniknione.

— Jakie to powody?

— No cóż, lubię cię, ponieważ kiedyś byłem tobą.

— Co to znaczy?

— Nie byłem oczywiście młodą damą o pięknych oczach i niesamowitych zdolnościach percepcyjnych. Byłem natomiast młody i wydawało mi się, że brzydki, i że nikt mnie nie lubił z tego powodu. Wiedziałem, że jestem inteligentny i nie mogłem zrozumieć, dlaczego nikt nie docenia mojej inteligencji. Wydawało mi się niesprawiedliwe, że ludzie widzą tylko to, co złe, a nie doceniają tego, co dobre. Czułem się zraniony i zły, Marleno. Postanowiłem jednak, że nigdy nie będę traktował tak, jak potraktowano mnie, lecz nie dano mi okazji, by wprowadzić moje postanowienie w życie. I wreszcie spotkałem ciebie, poczułem, że zbliżyliśmy się do siebie. Ty, co prawda, nie jesteś tak brzydka jak kiedyś ja, jesteś także bardziej inteligentna, lecz mi to nie przeszkadza — uśmiechnął się szeroko. — Czuję się tak, jak gdyby dano mi drugą szansę, tym razem znacznie bardziej interesującą niż w przeszłości. Dosyć jednak, nie przyszłaś do mnie po to, by rozmawiać o przeszłości. Być może nie posiadam twojego talentu, ale to wiem na pewno.

— Chodzi mi o mamę.

— Tak? — Genarr zdał sobie sprawę, jak bolesny jest to dla niego temat. — Co z nią?

— Właśnie kończy swoją pracę, jak wiesz. Jeśli zdecyduje się wrócić na Rotora, zabierze mnie z sobą. Czy to jest konieczne?

— Chyba tak. Nie chcesz z nią lecieć?

— Nie, nie chcę, wujku Sieverze. Czuję, że powinnam tu zostać jest to dla mnie bardzo ważne. Chciałabym, żebyś poinformował komisarza Pitta, że pragniesz nas zatrzymać. Wymyślisz jakiś powód. A komisarz z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu, tym bardziej, jeśli powiesz mu, że mama jest pewna, iż Nemezis zniszczy

Ziemię.

— Mówiła ci o tym, Marleno?

— Nie, nie musiała. Możesz wytłumaczyć komisarzowi, że mama będzie go bez przerwy niepokoiła naleganiem na ostrzeżenie Ziemi.

— Czy przyszło ci to do głowy, że Pitt może nie chcieć mnie wysłuchać? Jeśli zorientuje się, że zależy mi na zatrzymaniu was w Kopule, z pewnością każe wam wrócić tylko po to, by mnie zdenerwować.

— Jestem pewna — powiedziała spokojnie Marlena — że komisarz Pitt prędzej zatrzyma nas tutaj dla własnej przyjemności, niż rozkaże nam wracać tylko po to, by zrobić ci na złość. Poza tym, ty naprawdę chcesz, żeby mama została, ponieważ… lubisz ją.

— Tak, bardzo ją lubię. Bardzo ją lubiłem przez całe życie. Jednak twoja matka mnie nie lubi. Sama powiedziałaś mi, że ciągle myśli o twoim ojcu.

— Lubi cię coraz bardziej, wujku Sieverze. Bardzo cię lubi.

— Lubienie to nie miłość, Marleno. Chyba już to odkryłaś. Marlena poczerwieniała.

— Mówimy o dorosłych.

— Takich jak ja — Genarr roześmiał się. — Przepraszam, Marleno. Dorośli zawsze myślą, że młodzi nic nie wiedzą o miłości, młodzi zaś są przekonani, że dorośli zapomnieli już o niej. I jak wiesz, zarówno dorośli, jak i młodzi nie mają racji. Dlaczego tak bardzo zależy ci na pozostaniu tutaj, Marleno? Chyba nie z mojego powodu?

— Z twojego też — powiedziała poważnie Marlena. — Bardzo cię lubię i bardzo lubię Erytro — dlatego chcę zostać.

— Tłumaczyłem ci, że to niebezpieczna planeta.

— Nie dla mnie.

— Jesteś pewna, że Plaga ci nie grozi?

— Oczywiście, że nie.

— Skąd wiesz?

— Po prostu wiem. Zawsze to wiedziałam, jeszcze na Rotorze. Nie ma powodu do obaw.

— Chyba nie. Jednak Plaga pozostaje Plagą.

— To niczego nie zmienia. Czuję się absolutnie bezpieczna na Erytro. Bardziej niż na Rotorze. Genarr potrząsnął głową.

— Przyznaję, że nic nie rozumiem — przyglądał się jej poważnej twarzy, ciemnym oczom zasłoniętym do połowy wspaniałymi rzęsami. — Pozwól, że teraz ja zabawię się w odczytywanie języka ciała, Marleno. Widzę, że jesteś zdecydowana zostać tutaj za wszelką cenę.

— Tak — powiedziała bezbarwnie Marlena. — I spodziewam się, że mi pomożesz.

Eugenia Insygna przeżuwała w ciszy własny gniew. Gdy zaczęła

mówić, jej głos był cichy, lecz dobitny.

— On nie może tego zrobić, Sieverze.

— Oczywiście, że może, Eugenio — odpowiedział tak samo cicho Genarr. — Jest komisarzem.

— Ale nie jest władcą absolutnym. Mam przecież jakieś prawa obywatelskie i jednym z nich jest wolność przemieszczania się.

— Jeśli komisarz wprowadza stan wyjątkowy — powszechny, albo tak jak w twoim przypadku, ograniczony do jednego obywatela — to prawa tego obywatela zostają zawieszone. Tak przynajmniej stwierdza dekret z roku dwudziestego czwartego.

— Lecz jest to wbrew wszystkim prawom i tradycjom, które datują się od powstania Rotora.

— Zgadzam się.

— Zrobię z tego aferę, Pitt popamięta mnie…

— Eugenio, proszę. Posłuchaj mnie, musisz się zgodzić. Zostań tutaj, przynajmniej na razie. Bardzo cię o to proszę.

— O czym ty mówisz? Zostanie tutaj oznacza zgodę na uwięzienie bez wyroku, bez procesu, bez sądu. Mamy zostać na Erytro dlatego, że Pittowi spodobało się wydać taki „ukaz”…?

— Nie sprzeciwiaj się, proszę. Tak będzie lepiej.

— Lepiej? — słowa Insygny były pełne pogardy.

— Marlena, twoja córka, bardzo tego pragnie. Insygna wyglądała na zaskoczoną.

— Marlena?

— W zeszłym tygodniu zaproponowała mi, abym pokierował sprawami w ten sposób, by komisarz polecił wam zostać na Erytro.

Insygna wstała raptownie z krzesła, nie mogąc uwierzyć w to. co usłyszała.

— I ty się zgodziłeś? Genarr potrząsnął głową.

— Nie. Posłuchaj mnie, Eugenio. Poinformowałem jedynie Pitta, że twoja praca dobiegła końca i zapytałem go, czy zamierza nakazać wam powrót na Rotora, czy zostawi was tutaj. Moje pytanie było absolutnie naturalne, Eugenio. Pokazałem je zresztą Marlenie, zanim je wysłałem i twoja córka była w pełni usatysfakcjonowana. Powiedziała, cytuję: „Jeśli pozostawiasz mu wolny wybór, to zdecyduję się na zatrzymanie nas tutaj”. I tak właśnie postąpił.

Insygna usiadła.

— Sieverze. stosujesz się do rad piętnastoletniej dziewczyny?

— Nie sądzę, aby Marlena była zwykłą piętnastolatką. Ale dlaczego tak bardzo zależy ci na powrocie na Rotora?

— Moja praca…

— Nie masz pracy. Nie będziesz miała pracy, jeśli Pitt tego nie zażąda. Nawet gdyby pozwolił ci wrócić, z pewnością znalazłabyś się na bruku. Tutaj natomiast jest sprzęt, którego możesz używać, którego

używałaś. Przyjechałaś tutaj przecież po to, by zrobić coś, czego nie można było zrobić na Rotorze.

— Moja praca się nie liczy! — wykrzyknęła trochę bez sensu Insygna. — Czy nie rozumiesz, że ja chcę wrócić z tych samych powodów, dla których on chce mnie tu zatrzymać? On chce zniszczyć Marlenę. Gdybym wiedziała o tym zanim tu przyleciałyśmy, gdybym wiedziała o Pladze Erytro, nigdy nie zdecydowałabym się na pobyt tutaj. Nie wolno mi narażać Marleny.

— Ja również nie mam zamiaru jej narażać — odpowiedział Genarr. — Oddałbym za nią życie.

— Lecz zostając tutaj, ryzykuje.

— Marlena tak nie uważa.

— Marlena! Marlena! Czy wydaje ci się, że ona jest boginią? Co ona może wiedzieć?

— Posłuchaj Eugenio. Porozmawiajmy rozsądnie. Gdyby rzeczywiście istniało jakieś zagrożenie, byłbym pierwszym, który wpakowałby was na statek na Rotora. A teraz skup się i odpowiedz na moje pytanie: Czy Marlena cierpi na megalomanię?

Insyganą wstrząsały dreszcze. Jej gniew narastał.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Czy Marlena kiedykolwiek przechwalała się czymś, czy głosiła własną wielkość bez względu na śmieszność takich deklaracji?

— Oczywiście, że nie. Jest bardzo rozsądna… Ale dlaczego pytasz? Wiesz, że nigdy nie deklarowała…

— Niczego bezpodstawnie. Wiem. Nigdy nie przechwalała się swoim talentem. Wszystko, co wiemy na ten temat, zostało wymuszone przez okoliczności.

— Tak, lecz czemu służą te pytania? Genarr ściszył głos.

— Czy twierdziła kiedykolwiek, że posiada olbrzymią intuicję? Czy mówiła, że jest absolutnie przekonana, że coś, coś konkretnego z pewnością się wydarzy lub nie wydarzy i nie podawała żadnego innego powodu oprócz własnej pewności?

— Nie, oczywiście, że nie. Marlena zawsze zwraca uwagę na dowody. Nigdy nie twierdzi niczego bez odpowiednich dowodów.

— A jednak zdarzyło jej się to przynajmniej raz. Jest przekonana. że Plaga jej nie tknie. Twierdzi, że absolutnie w to wierzy. Już na Rotorze była pewna, że nic złego nie może spotkać jej na Erytro, a odkąd znalazła się w Kopule, pewność ta jeszcze się nasiliła. Jest zdecydowana — absolutnie zdecydowana — aby pozostać tutaj.

Oczy Insygny rozszerzyły się. Dłoń powędrowała w kierunku ust. Z gardła wydobył się nieartykułowany jęk.

— W takim razie… — chciała coś powiedzieć, lecz jej się nie udało.

— Tak? — zapytał poruszony Genarr.

— Nie rozumiesz? Ona zachorowała! Jej osobowość ulega zmianom. Jej umysł jest chory! — Genarra poraziła ta myśl, lecz po chwili powiedział:

— Nie, to niemożliwe. W żadnym z dotychczasowych przypadków Plagi nie pojawiły się takie symptomy. To nie jest Plaga.

— Ale jej umysł różni się od innych. Jej symptomy także mogą być inne.

— Nie — odpowiedział z przekonaniem Genarr. — Nie mogę w to uwierzyć. Nigdy w to nie uwierzę. Jestem przekonany, że jeśli Marlena mówi, że jest odporna na Plagę, to znaczy, że jest tak naprawdę. Jej odporność być może pozwoli nam rozwikłać zagadkę Plagi.

Insygna pobladła.

— Czy to właśnie dlatego chcesz zatrzymać ją na Erytro, Sieverze? Chcesz, aby stała się narzędziem w walce z Plagą?

— Nie! Nie mam zamiaru jej wykorzystywać! Jednakże ona pragnie tu zostać i może stać się narzędziem bez względu na to, czy tego chcemy, czy nie.

— A ty jej na to pozwolisz tylko dlatego, że ma taki kaprys? Tylko dlatego, że w jej głowie narodził się ten niewiarygodny pomysł, w którym nie dostrzegamy obydwoje za grosz logiki? Naprawdę uważasz, że powinniśmy pozwolić jej zostać tylko dlatego, że tego pragnie? Czy odważysz się powiedzieć mi to prosto w twarz?

— Prawdę mówiąc mam taką ochotę — powiedział z wysiłkiem Genarr.

— Wyobrażam sobie, z jaką łatwością przychodzi ci mieć taką ochotę. Ona nie jest twoim dzieckiem. Jest moja. Jest moim jedynym…

— Wiem — powiedział Genarr. — Jest jedyną rzeczą, jaka pozostała ci po… Krile. Nie patrz tak na mnie. Wiem, że nigdy nie pogodziłaś się z tą stratą. Rozumiem to, co czujesz.

Ostatnie zdanie wypowiedział bardzo miękko, delikatnie, tak jak gdyby pragnął pogłaskać ją po głowie.

— Mimo wszystko, Eugenio, jeśli Marlena naprawdę pragnie zbadać Erytro, nic nie jest w stanie jej powstrzymać. A jeśli jest absolutnie pewna, że Plaga nie zaatakuje jej umysłu, być może właśnie to okaże się najlepszą szczepionką przeciw Pladze. Jej psychiczna trzeźwość i pewność mogą okazać się doskonałym mechanizmem immunologicznym.

Insygna podniosła głowę. Jej oczy płonęły.

— Mówisz bzdury i nie masz prawa zezwalać na romantyczne zachcianki piętnastoletniego dziecka. Marlena jest dla ciebie kimś obcym. Nie kochasz jej.

— Nie jest dla mnie nikim obcym i kocham ją. Co więcej,

podziwiam ją. Miłość nie pozwoliłaby mi na podejmowanie takiego ryzyka, lecz podziw tak. Pomyśl o tym.

Siedzieli w ciszy przyglądając się sobie.

Rozdział 20
DOWÓD

Kattimoro Tanayama, ze zwykłą nieustępliwością, przeżył wyznaczony mu rok i zaczął następny, kiedy jego walka dobiegała końca. Gdy nadszedł czas, opuścił pole bitwy bez słowa czy ostrzeżenia. Jego śmierć zanotowały instrumenty. Ludzie zorientowali się znacznie później.

Odejście Tanayamy wywołało niewielkie poruszenie na Ziemi. Osiedla zupełnie nie zwróciły na nią uwagi. Stary zawsze wykonywał swoją pracę poza zasięgiem opinii publicznej, co zresztą umacniało jego siłę. Wiedzieli o niej jedynie zainteresowani. Ci, którzy w największym stopniu byli zależni od niego, z największą ulgą przyjęli wiadomość o zgonie.

Tessa Wendel dowiedziała się o śmierci Tanayamy dosyć wcześnie, dzięki specjalnemu kanałowi komunikacyjnemu, który został zainstalowany pomiędzy jej kwaterą główną a Hiper City. Mimo że spodziewała się tej wiadomości, przeżyła ogromny szok.

Co będzie dalej? Kto zastąpi Tanaymę i jakie zmiany pociągnie to za sobą? Od dawna już zadawała sobie takie pytania, jednak dopiero teraz zaczynały one nabierać sensu. Pomimo wszystko Tessa Wendel (i reszta zainteresowanych) nie spodziewała się śmierci Starego.

Zwróciła się po pocieszenie do Krile Fishera. Tessa myślała wystarczająco racjonalnie, by zdawać sobie sprawę, że Fisher nie był z nią wyłącznie ze względu na jej starzejące się teraz ciało (które za dwa miesiące miało skończyć pięćdziesiąt lat). Krile, co prawda, również nie młodniał — miał już czterdzieści pięć lat — jednak w przypadku mężczyzny wiek nie jest aż tak istotny. W każdym razie był z nią — czasami wydawało jej się nawet, że ze względu na nią samą — a najczęściej zdarzało się to wtedy, gdy trzymał ją w ramionach.

— I co teraz? — zapytała Fishera.

— Nie jest to niespodzianka, Tesso — odpowiedział. — Wiedzieliśmy o tym od dawna.

— Zgadzam się. Ale gdy już stało się to, co miało się stać, może odpowiesz mi, co będzie z projektem, który do tej pory istniał dzięki jego ślepej determinacji?

— Gdy żył, chciałaś, żeby umarł. Teraz zaś martwisz się o przyszłość… Ale mogę cię uspokoić — projekt będzie kontynuowany. Coś tak wielkiego nie może zostać zatrzymane w połowie — twój projekt żyje już własnym życiem.

— Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, Krile, ile to wszystko musi kosztować? Będziemy mieli nowego dyrektora Ziemskiej Rady Śledczej, a Kongres Globalny już z pewnością zadba o to, by był to ktoś, kogo będą mogli kontrolować. Nie będzie nowego Tanayamy, przed którym wszyscy klękali, z pewnością nie… A potem zajmą się budżetem i bez Tanayamy, który trzymał w sekrecie wydatki na projekt, okaże się, że mamy milionowy deficyt, który trzeba będzie zlikwidować.

— Nie mogą tego zrobić. Wydali już zbyt dużo pieniędzy. Muszą mieć coś, co usprawiedliwiłoby te wydatki. Muszą mieć coś do pokazania, w innym wypadku zarzucono by im marnotrawstwo.

— Zawsze mogą zwalić winę na Tanayamę. Powiedzą, że był szaleńcem, egocentrykiem, który kierował się obsesjami. Co zresztą jest w pewnym sensie prawdą, jak obydwoje wiemy. Teraz zaś oni — ci, którzy nie maczali w tym rąk — przywrócą Ziemi zdrowy rozsądek i zrezygnują z projektu, na który planeta nie może sobie pozwolić.

Fisher uśmiechnął się.

— Tesso, kochanie, twój wgląd w politykę dorównuje twojemu geniuszowi w badaniach hiperprzestrzennych. Dyrektor Biura jest teoretycznie — jak sądzi opinia publiczna — urzędnikiem o niewielkiej władzy, pracującym pod ścisłym nadzorem Prezydenta Generalnego i Kongresu Globalnego. Te dwa urzędy, wybierane drogą głosowania, nie mogą pozwolić sobie na publiczne stwierdzenie. że rządził nimi Tanayama, i że wszyscy klęczeli przed nim i bali się głośniej odezwać bez jego zgody. Byłoby to równoznaczne z samooskarżeniem się o tchórzostwo i słabość, ryzykowaliby wyniki następnych wyborów. Muszą kontynuować projekt. Jeśli zdarzą się jakieś cięcia, będą one miały charakter kosmetyczny.

— Skąd możesz wiedzieć? — wybąkała Tessa.

— Mam doświadczenie w obserwowaniu władz wybieralnych, Tesso. Poza tym, gdybyśmy przerwali teraz, byłby to znak dla Osiedli, które tylko czyhają na naszą słabość. Wszystkie odleciałyby w kosmos, jak zrobił to Rotor.

— W jaki sposób?

— Zakładając, że posiadają hiperwspomaganie, muszą rozwinąć je w kierunku lotów superluminalnych.

Tessa uśmiechnęła się sardonicznie. — Krile, kochanie, twój wgląd w hiperprzestrzenność dorównuje twojemu mistrzostwu w zdobywaniu sekretów. Tak źle oceniasz moją pracę? Wszyscy muszą rozwinąć się w kierunku lotów superluminalnych? Czy nie rozumiesz, że hiperwspomaganie jest konsekwencją myślenia relatywistycznego? A relatywizm wyklucza możliwość podróżowania z szybkością większą od prędkości światła. Skok do szybkości superluminalnych wymaga całkowitej rewizji myślenia i przekładania myśli w czyny. To nie jest

naturalna kontynuacja — próbowałam już wyjaśniać to parokrotnie różnym ludziom w rządzie. Narzekali na wolne tempo prac i wydatki, musiałam więc wyjaśnić im trudności całego przedsięwzięcia. Przypomną to sobie teraz i nie zawahają się wstrzymać projektu w tym punkcie. Nie zmuszę ich do wyrażenia zgody na dalsze prace, mówiąc im jedynie, że ktoś może nas prześcignąć.

Fisher potrząsnął głową.

— Oczywiście, że zmusisz. Uwierzą ci, ponieważ to jest prawda. Mogą nas prześcignąć, i to z łatwością.

— Nie słuchałeś tego, co przed chwilą powiedziałam.

— Słuchałem, lecz zapomniałaś o czymś. Pozwól, że wyłożę ci to na zdrowy rozum mistrza w zdobywaniu sekretów…

— O czym ty mówisz, Krile?

— Ten skok od hiperprzestrzeni do lotów superiuminalnych jest trudny wyłącznie wtedy, gdy ktoś zaczyna od początku — tak jak zrobiłaś to ty. Osiedla nie zaczynają jednak od początku. Czy myślisz, że nie wiedzą o naszym projekcie, o Hiper City? Myślisz, że tylko ja i moi ziemscy koledzy trudnimy się zdobywaniem sekretów w całym Układzie Słonecznym? Osiedla także mają swoich szpiegów, którzy pracują równie intensywnie i równie wydajnie jak my. Wiedzą także, że nie bez powodu zostałaś na Ziemi.

— I co z tego?

— Jak to, co z tego? Myślisz, że nie mają komputerów z wykazem wszystkich twoich prac i artykułów? Myślisz, że nie przeczytali ich? Zapewniam cię, że tak. Przeliterowali dokładnie każde twoje słowo i odkryli, że loty superiuminalne są teoretycznie możliwe.

Wendel przygryzła wargę.

— W takim razie…

— Tak, pomyśl o tym. Gdy pisałaś swoje rozważania na temat szybkości superluminalnych, były to czysto teoretyczne spekulacje. Byłaś absolutną mniejszością składającą się z jednej osoby — ciebie — która uwierzyła, że cała rzecz jest możliwa. Nikt nie brał tego poważnie. Ale przyleciałaś na Ziemię i zdecydowałaś się zostać tutaj. Nagle zniknęłaś z pola widzenia wszystkich, którzy oczekiwali twojego powrotu na Adelię. I chociaż mogą nie znać wszystkich szczegółów — ponieważ bezpieczeństwo tego projektu dorównywało paranoi Tanayamy — wiedzą, że tu jesteś. Samo twoje zniknięcie dało im do myślenia, a biorąc pod uwagę to, co napisałaś, nie może być żadnych wątpliwości co do tego, czym się zajmujesz. Coś tak dużego jak Hiper City nie może umknąć uwagi zainteresowanych. Olbrzymie sumy pieniędzy, które tu zainwestowano, także zostawiają ślady. Możesz być pewna, że w tej chwili wszystkie Osiedla składają razem skrawki i przecieki w łamigłówce, która nosi nazwę lotów superluminalnych. Każdy taki skrawek jest wskazówką, która umożliwi im znacznie

szybszy postęp, niż możesz to sobie wyobrazić. Jeśli nasz rząd zacznie wspominać o przerwaniu projektu, wystarczy, że powiesz im to, co teraz usłyszałaś. Jeśli przestaniemy posuwać się do przodu, przegramy ten wyścig. Jestem pewien, że nowi ludzie nie dopuszczą do tej ewentualności, gdy tylko zdadzą sobie sprawę — tak jak zrobił to kiedyś Tanayama — czym to może grozić.

Tessa milczała. Fisher przyglądał jej się uważnie.

— Masz rację, mój drogi mistrzu w zdobywaniu sekretów — powiedziała w końcu. — Popełniłam błąd, bezmyślnie traktując cię jak kochanka, zamiast słuchać twoich rad.

— Jedno nie wyklucza drugiego — odpowiedział Fisher.

— Wiem jednak — dodała Tessa — że masz w tym wszystkim swój własny interes.

— To nieważne — zakończył Fisher, dopóki nasze interesy zazębiają się.

Do Hiper City przybyła delegacja Kongresu z Igorem Koropatkim, nowym dyrektorem Ziemskiej Rady Śledczej, na czele. Nowy dyrektor pracował w Biurze od dawna, nie był więc kimś nieznanym dla Tessy Wendel.

Był cichym mężczyzną o gładkich, przerzedzających się siwych włosach. Miał kartoflowaty nos i podwójny podbródek, co nadawało mu wygląd człowieka lubiącego dobrze zjeść i obdarzonego pogodnym usposobieniem. Musiał być jednak dosyć przebiegły, chociaż na pozór brakowało mu zaangażowania Tanayamy. Cecha ta od razu rzucała się w oczy. Koropatsky przez cały czas znajdował się w otoczeniu członków Kongresu, którzy w ten sposób chcieli pokazać, że następca Tanayamy należy do nich. A może chcieli, żeby tak było. Kadencja Japończyka była dla nich długą i gorzką lekcją.

Nikt nie zaproponował zakończenia projektu. Odwrotnie — sugerowano przyspieszenie prac, jeśli byłoby to możliwe. Opinia Tessy Wendel głosząca, że Osiedla ścigają Ziemię, potraktowana została jako oczywistość, o której nie trzeba przypominać.

Koropatsky, któremu wyznaczono rolę rzecznika całej grupy, powiedział:

— Doktor Wendel, nie domagamy się długiej wycieczki po Hiper City. Ja byłem tutaj wcześniej, poza tym moim głównym zadaniem jest reorganizacja Biura. Nie chciałbym obrażać pamięci mojego szanownego poprzednika, ale każda zmiana na stanowisku administracyjnym wymaga pewnych zabiegów organizacyjnych, szczególnie zaś, gdy poprzednia kadencja była tak długotrwała jak w przypadku Tanayamy. Z natury nie jestem formalistą, porozmawiajmy więc swobodnie i bez skrępowania. Chciałbym zadać kilka pytań. Mam nadzieję, że udzieli mi pani odpowiedzi zrozumiałych dla człowieka o tak skromnej wiedzy jak moja.

Wendel kiwnęła głową.

— Postaram się. dyrektorze.

— Dobrze. Kiedy możemy spodziewać się pierwszego, całkowicie operacyjnego statku superluminalnego?

— Jest to pytanie, dyrektorze, na które nie można udzielić odpowiedzi. Los statku zależy od okoliczności, których nie da się przewidzieć.

— Przyjmijmy, że okoliczności będą nam sprzyjały.

— Tak, w takim wypadku możemy mieć statek za trzy lata. Zakończyliśmy już prace naukowe, reszta to robota inżynieryjna.

— Innymi słowy, statek będzie gotów w roku 2236.

— Z pewnością nie wcześniej.

— Ile osób będzie mogło nim podróżować?

— Pięć do siedmiu.

— Jaki będzie jego zasięg?

— Nieograniczony, dyrektorze. Na tym polega piękno szybkości superiuminalnej. Statek będzie poruszał się w hiperprzestrzeni, a tam nie istnieją prawa klasycznej fizyki, nawet prawo zachowania energii. Lot na odległość jednego roku świetlnego wymaga tyle samo wysiłku, co lot na dystansie tysiąca lat świetlnych.

Dyrektor poruszył się niespokojnie.

— Nie jestem fizykiem, ale trudno mi uwierzyć w istnienie środowiska, w którym nie obowiązują żadne ograniczenia. Czy są jakieś rzeczy, których nie możemy zrobić?

— Ograniczenia istnieją. Potrzebujemy próżni i natężenia grawitacyjnego mniejszego od pewnej stałej po to, by móc dokonać przejścia do i wyjścia z hiperprzestrzeni. Z czasem dowiemy się o innych warunkach lotu, lecz do tego potrzebne są nam loty próbne. Warunki te mogą spowodować dalsze opóźnienia.

— Gdy będziemy już mieli statek, dokąd polecimy najpierw?

— Najbardziej rozsądna wydaje się podróż nie dalej niż do Plutona. Jednak może to okazać się niepotrzebną stratą czasu. Posiadając technologię umożliwiającą nam podróż do gwiazd, powinniśmy chyba rozpocząć od jakiejś gwiazdy.

— Na przykład Sąsiedniej Gwiazdy?

— Byłby to logiczny wybór. Poprzedni dyrektor koniecznie chciał odwiedzić tę gwiazdę, jednak moim obowiązkiem jest wskazanie innych miejsc, daleko bardziej interesujących z punktu widzenia nauki. Syriusz jest tylko cztery razy dalej niż Sąsiednia Gwiazda, a byłaby to pierwsza okazja do zbadania z bliska białego karła.

— Doktor Wendel, moim zdaniem naszym celem powinna być Sąsiednia Gwiazda, chociaż powody naszej wizyty na niej nie muszą się pokrywać z tymi, o których mówił Tanayama. Przypuśćmy, że wybralibyśmy jakąś inną gwiazdę, dowolną gwiazdę, jak

udowodniłaby pani, że statek rzeczywiście odbył lot w tę i z powrotem?

Wendel wyglądała na zaskoczoną.

— Udowodniła? Nie rozumiem, o czym pan mówi?

— Chodzi mi o to, w jaki sposób odparłaby pani zarzuty, że domniemany lot jest oszustwem?

— Oszustwem? — Tessa zerwała się gniewnie na równe nogi. - Pan mnie obraża!

Głos Koropatskiego stał się nagle rozkazujący.

— Proszę usiąść, doktor Wendel. Nikt nie ma zamiaru oskarżać pani o cokolwiek. Próbuję jedynie przewidzieć pewną sytuację i staram się myśleć, jak można jej zaradzić. Ludzkość wyruszyła w kosmos prawie trzysta lat temu.

Nie wolno nam zapominać o pewnych epizodach w historii podboju kosmosu; ta część świata, z której pochodzę, pamięta je szczególnie dobrze. Gdy wystrzelono pierwsze satelity, kończące ponurą epokę przywiązania do Ziemi, znalazło się wielu takich, którzy twierdzili, że wszystko to było jednym wielkim oszustwem. O to samo oskarżono pierwsze fotografie ciemnej strony Księżyca. Twierdzono również, że sfabrykowane są zdjęcia Ziemi z kosmosu, a głosili to ci, którzy wierzyli, że Ziemia jest płaska. Mając obecnie statek superluminalny, możemy spotkać się z podobnymi oskarżeniami.

— Ale dlaczego, dyrektorze? Po co ktoś miałby nas oskarżać o kłamstwo w tej sprawie?

— Jest pani naiwna, moja droga pani doktor. Od trzystu lat Albert Einstein traktowany jest jak bóg, który wymyślił kosmologię. Kolejne pokolenia wierzyły, że prędkość światła jest absolutną granicą ludzkich możliwości. Oponenci nie poddadzą się tak łatwo. Naruszamy podstawową zasadę logiczną, że przyczyna poprzedza skutek, a to dopiero początek. Kolejną sprawą jest to, doktor Wendel, że Osiedla z pewnością zechcą zbić kapitał polityczny, przekonując swoich ludzi — i Ziemian także — że kłamiemy. Wywoła to spore zamieszanie, polemiki, stratę naszego czasu, którą oni z pewnością wykorzystają dla własnych celów. Pytam więc panią: czy istnieje prosty dowód, który przekona wszystkich, że nasz lot nie jest oszustwem?

— Dyrektorze — powiedziała Tessa lodowatym tonem — zezwolimy naukowcom na zbadanie naszego statku po powrocie. Wyjaśnimy zastosowaną technologię…

— Nie, nie, nie. Proszę nie kończyć. Proponowany przez panią sposób przekona jedynie naukowców, dorównujących wiedzą pani.

— W takim razie przedstawimy im fotografie nieba, na których najbliższe gwiazdy będą przesunięte w stosunku do siebie. Przesunięcie to umożliwi obliczenie pozycji statku w stosunku do

Słońca.

— Również tylko naukowcom. Nie przekona to przeciętnego obywatela.

— Będziemy mieli zbliżenia gwiazdy, którą odwiedzimy. Każda gwiazda jest inna — nie będą mogli powiedzieć, że sfotografowaliśmy Słońce.

— Takie triki robi się w każdym programie holowizyjnym mówiącym o podróżach międzygwiezdnych. Ludzie potraktują to jak film science-fiction, kolejny odcinek „Kapitana Galaxy".

— Poddaję się — powiedziała Tessa z zaciśniętymi zębami. — Nie potrafię wymyślić innych sposobów. Jeśli ludzie nie będą chcieli uwierzyć, to i tak nie uwierzą. To pana zmartwienie, ja jestem tylko naukowcem.

— Spokojnie, pani doktor. Proszę się nie denerwować. Gdy siedemset pięćdziesiąt lat temu Kolumb powrócił z pierwszej podróży przez ocean, nikt nie oskarżał go o oszustwo. Dlaczego? Ponieważ przywiózł ze sobą krajowców z wybrzeży, które odwiedził.

— Wspaniale! Jednak szansa na znalezienie życia w pobliżu gwiazdy jest bardzo niewielka.

— A może jest większa niż się pani wydaje. Rotor — jak pani zapewne słyszała — odkrył prawdopodobnie Sąsiednią Gwiazdę dzięki swojej Sondzie Dalekiego Zasięgu. Wkrótce potem opuścił Układ Słoneczny. A ponieważ nie wrócił, możemy przyjąć, że doleciał do Sąsiedniej Gwiazdy i pozostał tam — w rzeczy samej, ciągle tam jest!

— Dyrektor Tanayama również w to wierzył. Jednakże podróż z hiperwspomaganiem zajęła im okuło dwóch lat. Czy nie wydaje się panu, że dwa lata to wystarczająco długo na wypadki specjalne, zwykłe naukowe pomyłki, czy wreszcie problemy psychologiczne, które uniemożliwiły im zakończenie podróży. Może właśnie dlatego nigdy nie dostaliśmy od nich żadnej wiadomości.

— Co nie wyklucza faktu, że mogło im się udać — powiedział z cichym uporem Koropatsky.

— Nawet jeśli im się udało, to z pewnością pozostali na orbicie wokół gwiazdy z braku świata nadającego się do zamieszkania. Odosobnienie, stres psychologiczny, wszystkie inne czynniki, o których mówiłam, jeśli nie zatrzymały ich w drodze, to z pewnością zniszczą ich na orbicie, i tej chwili wokół Sąsiedniej Gwiazdy krąży martwe Osiedle.

— Czyli rozumie pani, że gwiazda ta musi być naszym pierwszym celem, ponieważ chcemy odszukać Rotora, żywego czy martwego. Bez względu na stan Osiedla musimy wrócić z czymś, co bezpośrednio kojarzy się z Rotorem, a wtedy z łatwością udowodnimy wszystkim, że rzeczywiście polecieliśmy do gwiazd i z powrotem — uśmiechnął się szeroko. — Nawet ja w to uwierzę, | będzie to bezpośrednia

odpowiedź na moje wcześniejsze pytanie o dowód dotyczący lotów superluminalnych. Będzie to pani zadanie i proszę się nie obawiać, że Ziemia nie znajdzie pieniędzy, środków i pracowników potrzebnych do jego zakończenia.

Po obiedzie, przy którym nie poruszano problemów technicznych, Koropatsky zwrócił się do Tessy przyjacielskim tonem, w którym brzmiała jednak lodowata groźba:

— Proszę pamiętać, że ma pani trzy lata. Co najwyżej trzy lata.

— A więc mój sprytnie pomyślany wybieg nie był ci wcale potrzebny — powiedział Krile Fisher z udawaną nutą żałości w głosie.

— Nie. Są zdecydowani kontynuować projekt, nawet bez emocji potencjalnej groźby ze strony Osiedli. Martwią się jedynie czymś, czym Tanayama nigdy nie zawracał sobie głowy — jak przeciwdziałać posądzeniu o oszustwo. Myślę, że Tanayama chciał po prostu zniszczyć Rotora, a potem pozwolić wszystkim krzyczeć „Oszustwo".

— Nie krzyczeliby. Tanayama zadbałby o to, by statek przywiózł coś, co przekonałoby przede wszystkim jego, że Rotor został zniszczony. A potem pokazałby to światu. Jaki jest ten nowy dyrektor?

— Zupełnie inny niż Tanayama. Z pozoru wydaje się miękki i nieporadny, ale odniosłam wrażenie, że Kongres będzie z nim miał tyle samo problemów, co z Tanayama. Na razie zajmuje się przejmowaniem sukcesji i to wszystko.

— Z tego, co mówiłaś o waszej rozmowie, wnioskuję, że jest rozsądniejszy niż Tanayama.

— Tak, ale ta sprawa z „oszustwem"… Ciągle mnie to denerwuje. Jak można w ogóle wyobrazić sobie, że loty kosmiczne są fałszerstwem? Tylko Ziemianie mogli wpaść na coś tak absurdalnego! Nie czujecie kosmosu. Zupełnie. Macie ten swój olbrzymi świat i, poza paroma przypadkami, czujecie się tu dobrze, że nigdy go nie opuszczacie.

Fisher uśmiechnął się.

— Ja należę do tych paru przypadków opuszczających Ziemię. Często. Ty jesteś Osadniczką. Żadne z nas nie jest więc przywiązane do tej czy innej planety.

— To prawda — powiedziała Tessa wpatrując się długo w jego twarz. — Czasami wydaje mi się, że zapominasz o moim pochodzeniu.

— Nigdy, możesz mi wierzyć. Co prawda nie chodzę w kółko i nie powtarzam sobie „Tessa jest Osadniczką! Tessa jest Osadniczką!", ale pamiętam o tym przez cały czas.

— Ale inni nie pamiętają — zatoczyła ręką półkole, które miało wskazywać nieskończoną mnogość tych „innych". — Jesteśmy w Hiper City, najlepiej strzeżonym miejscu na Ziemi, lecz przed kim nas tak strzegą? Przed Osadnikami. Wszystkim chodzi tylko o to, żeby odbyć pierwszy lot, zanim jeszcze Osiedla zabiorą się do pracy. A kto

kieruje tym przedsięwzięciem? Osadniczką.

— Myślisz o tym po raz pierwszy od pięciu lat, od chwili rozpoczęcia projektu.

— Nieprawda. Często zastanawiam się nad tym i czegoś tu nie rozumiem — dlaczego mi ufają? Fisher uśmiechnął się.

— Jesteś nukowcem.

— I co z tego?

— Naukowcy traktowani są jak najemnicy, którzy nie czują się związani z żadną społecznością. Jeśli dasz naukowcowi fascynujący problem, pieniądze, sprzęt i wreszcie pomoc niezbędną do rozwiązania problemu, to nasz hipotetyczny naukowiec nawet przez pięć minut nie będzie zastanawiał się nad źródłem wsparcia. Odpowiedz sobie szczerze na następujące pytanie: „Czy jestem tutaj dlatego, że obchodzi mnie los Ziemi albo Adelii, a może Osiedli lub całej ludzkość?”. Doskonale wiesz, jaka będzie odpowiedź. Jesteś tutaj, ponieważ interesuje cię praca nad lotami superluminalnymi i nic poza tym.

— To, o czym mówisz, jest stereotypem — odpowiedziała pospiesznie Tessa. — Nie każdy naukowiec jest taki. Ja również chyba taka nie jestem.

— Oni zdają sobie z tego sprawę, dlatego jesteś prawdopodobnie pod ciągłym nadzorem. Niektórzy z twoich najbliższych współpracowników, Tesso, mają za zadanie ciągłą obserwację twoich poczynań i meldowanie o nich rządowi.

— Mam nadzieję, że nie jesteś jednym z nich.

— Przypuszczam, że czasami zastanawiasz się nad tym.

— Tak, czasami zdarzało mi się o tym myśleć.

— Mogę cię uspokoić — nie przydzielono mi takiego zadania. Może jestem za bardzo z tobą związany, aby być godny ich zaufania. Podejrzewam, że ja również znajduję się pod nadzorem. Ktoś bez przerwy sprawdza moją użyteczność i dopóki sprawiam, że czujesz się szczęśliwa…

— Jesteś bardzo cyniczny, Krile. Nie wiem, co cię w tym wszystkim bawi?

— Nic mnie nie bawi. Próbuję jedynie myśleć realistycznie. Jeśli kiedykolwiek zmęczysz się mną, stracę swoją funkcję. Nieszczęśliwa Tessa to nieproduktywna Tessa, zostanę więc przesunięty do innych zadań, a oni zaczną się rozglądać za moim następcą. Dla nich liczy się wyłącznie twoje dobre samopoczucie, ja jestem nieważny i to jest chyba rozsądne postawienie sprawy. Rozumiesz teraz, na czym polega mój realizm?

Tessa pogłaskała go po policzku.

— Nie martw się. Chyba za bardzo przyzwyczaiłam się do ciebie, aby się tobą zmęczyć. Kiedyś, gdy byłam młodsza, mężczyźni szybko

nudzili mi się i pozbywałam się ich, ale teraz…

— Wymagałoby to zbyt wiele wysiłku, co?

— Jeśli wolisz tak myśleć, to myśl. A może po prostu zakochałam się, na swój sposób…

— Rozumiem, o co ci chodzi. Wykalkulowana miłość może być wygodna, ale nie jest to chyba najlepszy moment na udowadnianie tej tezy. Powinnaś najpierw poradzić sobie z tą rozmową z Koropatskim — wydalić z siebie złe fluidy sugerowanego „oszustwa".

— Być może kiedyś poradzę sobie z tym wszystkim. Jest jeszcze jedna sprawa: przed chwilą powiedziałam ci, że Ziemianie nie czują kosmosu…

— Tak, pamiętam.

— Chcesz usłyszeć dlaczego? Oto przykład: Koropatsky nie czuje — w ogóle nie czuje — czym są wymiary przestrzeni. Mówił o locie na Sąsiednią Gwiazdę i o odszukaniu Rotora. Ale jak sobie to wyobraża? Co jakiś czas namierzamy asteroida i gubimy go, zanim ktokolwiek zdoła obliczyć jego orbitę. Czy wiesz, ile czasu potrzeba na ponowne znalezienie tego asteroida, nawet za pomocą naszych wszystkich nowoczesnych urządzeń i instrumentów? Lata. Kosmos jest wielki, nawet w pobliżu konkretnej gwiazdy, a Rotor… no cóż…

— Zgoda, jednak twój asteroid jest jednym z wielu podobnych ciał. Rotor zaś jest jedynym obiektem takiego rodzaju w pobliżu Sąsiedniej Gwiazdy.

— Kto ci to powiedział? Nawet jeśli Sąsiednia Gwiazda nie posiada systemu planetarnego w naszym rozumieniu tego pojęcia, to z pewnością otoczona jest różnego rodzaju kosmicznym śmieciem.

— Martwym śmieciem, takim jak nasze asteroidy. Rotor jest natomiast żywym Osiedlem, wysyła promieniowanie, które z łatwością zdołamy wykryć.

— Zakładając, że Rotor rzeczywiście jest żywym Osiedlem. A co stanie się, jeśli Rotor okaże się martwy? Wtedy będzie to poszukiwanie jednego z wielu asteroidów. Znalezienie go będzie zadaniem niemal niewykonalnym. A przynajmniej w żadnym rozsądnym czasie.

Twarz Fishera spochmumiała. Tessa chrząknęła i przysunęła się bliżej niego, obejmując ręką jego obwisłe nagle ramiona.

— Kochany, znasz sytuację. Musisz stawić jej czoła.

— Znam — odpowiedział zduszonym głosem. — Mogli jednak przeżyć, prawda?

— Mogli — odpowiedziała naturalnie Tessa. — Dla nas byłoby lepiej, gdyby przeżyli. Tak jak mówiłeś, z łatwością namierzylibyśmy ich promieniowanie. A co więcej…

— Tak?

— Koropatsky chce, żebyśmy przywieźli ze sobą coś, co

świadczyłoby, że rzeczywiście spotkaliśmy Rotora. Wydaje mu się, że będzie to najlepszy dowód na to, że byliśmy w głębokiej przestrzeni, w odległości kilku lat świetlnych, a cała podróż będzie przecież trwała kilka miesięcy. Tylko… nie wiem, co dokładnie mielibyśmy przywieźć, co absolutnie przekona wszystkich? Przypuśćmy, że znajdziemy jakieś dryfujące kawałki metalu czy betonu, nikt nie będzie w stanie zaświadczyć, że pochodzą one akurat z Rotora. Kawałek metalu, w dodatku nie oznakowany, może pochodzić z dowolnego miejsca w przestrzeni. Nawet jeśli znajdziemy coś charakterystycznego dla Rotora — jakiś specyficzny wytwór tego Osiedla — z pewnością pojawią się tacy, którzy będą twierdzić, że jest to oszustwo. Gdyby natomiast okazało się że Rotor jest żywym pracującym Osiedlem, być może udałoby nam się przekonać jakiegoś Rotorianina, żeby powrócił z nami. Każdy z nich może zostać zidentyfikowany poprzez odciski palców, wzory siatkówki, analizę DNA. może nawet znajdują się ludzie w Osiedlach, czy tutaj na Ziemi, którzy pamiętają i rozpoznają tego człowieka. Koropatsky bardzo nalegał. Powiedział nawet, że Kolumb wracając ze swojej pierwszej podróży przywiózł ze sobą krajowców z Ameryki.

— Oczywiście — westchnęła Tessa mówiąc dalej — nie możemy zabrać ze sobą zbyt wiele, i to zarówno ludzi, jak i obiektów. Któregoś dnia być może uda nam się zbudować statki superluminalne wielkości Osiedla, lecz nasz pierwszy pojazd będzie bardzo mały i prymitywny według najnowszych standardów. Będziemy mogli zabrać jednego Rotorianina. nie więcej, musimy więc dokonać starannego wyboru.

— Moja córka, Marlena — powiedział Fisher.

— Może nie zechcieć lecieć z nami. Musi to być ktoś, kto sam pragnąłby wrócić tutaj. Na pewno znajdzie się ktoś taki pośród j kilku tysięcy. A ona…

— Marlena będzie chciała tu wrócić. Porozmawiam z nią. Jakoś to załatwię.

— Jej matka może się nie zgodzić. — Ją także przekonam — powiedział uparcie Fisher. — Zobaczysz.

Tessa ponownie westchnęła.

— Lepiej zapomnij o tym, Krile, Nie rozumiesz, że nie możemy zabrać twojej córki nawet gdyby chciała…

— Dlaczego? Dlaczego nie?

— Miała rok, gdy odlecieli. Nie ma żadnych wspomnień z Układu Słonecznego. Nikt tutaj nie potrafiłby jej zidentyfikować. Nie ma żadnych dokumentów potwierdzających jej tożsamość, gdziekolwiek. Nie, to musi być osoba przynajmniej w średnim wieku, ktoś, kto odwiedzał inne Osiedla lub jeszcze lepiej — był kiedyś na Ziemi.

Przerwała na chwilę.

— Twoja żona nadawałaby się najlepiej. Mówiłeś, że kiedyś

studiowała na Ziemi. Muszą istnieć jakieś dokumenty stwierdzające ten fakt, z łatwością dałoby się ją zidentyfikować. Chociaż, mówiąc szczerze, wolałabym, żeby był to ktoś inny.

Fisher milczał.

— Przepraszam, Krile — powiedziała niemal żałośnie Tessa. -Nie chciałam, żeby to tak wypadło.

— Niech tylko Martena będzie żywa — odezwał się z goryczą w głosie — a wtedy zobaczymy, co da się zrobić.

Rozdział 21
BADANIE MÓZGU

— Bardzo mi przykro — powiedział Siever Genarr, spoglądając wzdłuż swojego długiego nosa na matkę i córkę. Jego spojrzenie wyrażało żałość. — Mówiłem Marlenie, że nie mamy tutaj zbyt wiele pracy i zaraz potem wysiadło nam zasilanie, musiałem więc Odwołać tę naszą konferencję. Kryzys został jednak zażegnany, poza tym awaria nie była zbyt poważna, z tego co wiem. Czy mogę prosić o wybaczenie?

— Oczywiście, Siever — powiedziała Eugenia Insygna. Była wyjątkowo niespokojna. — Nie powiem jednak, że były to łatwe dla nas trzy dni. Wydaje mi się, że każda godzina pobytu tutaj stwarza dodatkowe zagrożenie dla Marteny.

— Wcale nie boję się Erytro, wujku Sieverze — włączyła się szybko Marlena.

— Uważam, że Pitt nie może nic nam zrobić na Rotorze — kontynuowała Insygna. — Zdaje sobie z tego sprawę, dlatego przysłał nas tutaj.

— Chcę być uczciwy wobec was obydwu — powiedział Genarr — dlatego zagramy w otwarte karty. Bez względu na to, co Pitt może lub nie może zrobić otwarcie, pozostaje kwestia tego, co jest w stanie zrobić pośrednio. Byłoby karygodnym błędem, Eugenio, minimalizowanie sprytu i pomysłowości Pitta tylko dlatego, że obawiasz się zostać na Erytro. Jeśli wrócisz na Rotora, to zrobisz to wbrew przepisom o stanie wyjątkowym. Pitt może nakazać aresztowanie ciebie i, powiedzmy, prewencyjne zesłanie na Nowego Rotora lub nawet na Erytro. Jeśli chodzi natomiast o Erytro, nie wolno nam minimalizować potencjalnego niebezpieczeństwa, jakim jest Plaga, chociaż pozornie może wyglądać na to, że Plaga skończyła się w swojej złośliwej formie. Mimo to wolałbym nie ryzykować zdrowia Marleny, podobnie jak ty, Eugenio.

— Nie istnieje żadne ryzyko — wyszeptała Marlena z rozdrażnieniem.

— Siever — powiedziała Insygna — nie sądzę, aby było rozsądni kontynuowanie tej dyskusji w obecności Marleny.

— Nie masz racji. Musimy rozmawiać w jej obecności. Podejrzewam, że Marlena wie lepiej niż my obydwoje, co powinna zrobić. To przecież ona sprawuje pieczę nad swoim umysłem, a naszym obowiązkiem jest nie przeszkadzanie jej w tym.

Z gardła Insygny wydobył się nieartykułowany dźwięk, Genan

mówił jednak dalej, a w jego głosie brzmiała stanowczość.

— Chcę, żeby brała udział w tej dyskusji, ponieważ liczę na jej wkład. Chcę poznać jej zdanie.

— Znasz jej zdanie — odpowiedziała Insygna. — Ona chce zwiedzać Erytro, a ty powiadasz, że mamy pozwalać jej robić to, co chce, bo jest niezwykła.

— Nikt nie mówił tutaj o niezwykłości, czy o pozwoleniu wyjść poza Kopułę. Chciałbym zaproponować pewien eksperyment oczywiście z odpowiednimi zabezpieczeniami.

— Jaki eksperyment?

— Na początek proponuję badanie mózgu — zwrócił się do Marleny. — Czy rozumiesz, że to jest konieczne? Czy masz coś przeciwko temu?

Marlena wzruszyła ramionami.

— Robiono mi już badanie mózgu. Każdemu z nas je robiono Nie wolno nam zaczynać szkoły bez badania mózgu. Za każdym razem, gdy zgłaszamy się na okresowe badania kontrolne…

— Wiem — przerwał jej delikatnie Genarr. — Nie zmamowałen całkowicie minionych trzech dni. mam tutaj — jego ręka powędrowała w kierunku sterty wydruków komputerowych leżących na biurku — wyniki twoich poprzednich, badań.

— Ach tak! — w głosie Insygny dało się wyczuć triumf. — Ukrył coś przed nami, Marleno?

— Martwi się o mnie. Nie wierzy w to, że czuję się bezpieczna Jest niepewny.

— To niemożliwe, Marleno — powiedział Genarr — jestem absolutnie pewny twojego bezpieczeństwa.

Na Marlenę spłynęło nagłe oświecenie.

— Wiem. Dlatego właśnie czekałeś trzy dni, wujku Sieverze. Chciałeś przekonać sam siebie, że jesteś pewny po to, bym nie dostrzegła twojej niepewności. Ale nie udało ci się. Widzę ją.

— Jeśli to rzeczywiście widać, Marleno, to jedynym rozsądnym wytłumaczeniem jest moja olbrzymia niechęć do narażenia cię na cokolwiek; niechęć biorąca się z wysokiej oceny twojej osoby.

— Jeśli tak bardzo nie chcesz jej narażać na cokolwiek — powiedziała ze złością Insygna — to postaraj się teraz wyobrazić sobie, co ja czuję — ja, jej matka. Byłeś tak niepewny jej bezpieczeństwa, że aż musiałeś zdobyć wyniki jej poprzednich badań mózgu naruszając tym samym jej prawo do prywatności.

— Musiałem wiedzieć. I dowiedziałem się. Badania są niepełne.

— W jakim sensie niepełne?

— We wczesnym okresie istnienia Kopuły, gdy Plaga zbierała tu obfite żniwo, jednym z naszych największych zmartwień było zaprojektowanie lepszego od posiadanych przez nas tomografu do

badań mózgu, a także odpowiedniego komputera do analizy danych. Gdy w końcu powstały te urządzenia, nigdy nie przeniesiono ich na Rotora. Pitt bardzo się starał, aby zatuszować wszelkie ślady istnienia Plagi, a pojawienie się nagle na Rotorze ulepszonego tomografu mogłoby zaprowadzić kogoś do nas. Powstałyby plotki i pogłoski. Z mojego punktu widzenia był to absurd, podobnie zresztą jak parę innych pomysłów Pitta. Niemniej jednak, z całą stanowczością mogę stwierdzić, że twoje badania mózgu, Marleno, są niepełne i dlatego chcę, żebyś poddała się im na naszym urządzeniu.

— Nie — Marlena skurczyła się w sobie. Na twarzy Insygny natychmiast zgasł promyk nadziei, który pojawił się tam przed sekundą.

— Ale dlaczego, Marleno?

— Ponieważ, gdy wujek Siever proponował mi to… stał się nagle bardziej niepewny.

— Nie, to nie to… — powiedział Genarr. Zamilkł, podniósł do góry obydwie ręce i opuścił je w geście wyrażającym rozpacz. -A zresztą… Posłuchaj, Marleno, posłuchaj tego, co powiem, moja droga. Byłem przez chwilę niepewny, ponieważ potrzebujemy dokładnego badania twojego mózgu, które posłuży nam jako standard twojej psychicznej normalności. Jeśli na skutek kontaktu z Erytro zostanie naruszona twoja norma psychiczna, tomograf natychmiast to wykryje, zanim ktokolwiek zdąży się zorientować po twoim zachowaniu. Gdy zaproponowałem ci dokładne badanie mózgu, natychmiast przyszła mi myśl o wykryciu niezauważalnych zmian w psychice. Sama myśl o tym wystarczyła, by wzbudzić mój niepokój. Stało się to niemal automatycznie i właśnie to dostrzegłaś, Marleno. Powiedz mi, jak bardzo niepewnie wyglądałem?

— Nie bardzo — odpowiedziała Marlena. — Ale to nie zmienia faktu, że tak się czułeś. Problem polega na tym, że mogę powiedzieć ci, że czujesz się niepewnie, ale nie mogę powiedzieć dlaczego. Może to dokładne badanie mózgu jest niebezpieczne.

— Jak to? Robiliśmy je już…Marleno, wiesz, że nic ci nie grozi ze strony Erytro. Czy nie możesz powiedzieć tego samego o badaniu mózgu?

— Nie.

— Jesteś pewna, że coś ci zagraża podczas badania? Marlena milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała z ociąganiem:

— Nie.

— Jakże więc możesz mieć pewność co do Erytro, jeśli nie masz pewności co do badanie mózgu?

— Nie wiem. Wiem jedynie, że na Erytro nic mi nie grozi, nie mogę jednak powiedzieć tego samego o badaniu mózgu. Nie wiem, czy jest dla mnie groźne, czy nie.

Na twarzy Genarra pojawił się uśmiech. Nie trzeba było posiadać żadnych specjalności, by stwierdzić, że wypowiedź Marteny sprawiała mu ulgę.

— Co cię tak zadowoliło, wujku? — zapytała Martena.

— Jestem przekonany — odpowiedział Genarr — że gdybyś kłamała co do swojej intuicji — po to, powiedzmy, by okazać się ważną, albo z powodu ogólnego romantyzmu, czy wreszcie z jakichś złudnych powodów — robiłabyś to przy każdej okazji. Dlatego jestem skłonny uwierzyć w twoje twierdzenie, że nic nie grozi ci ze strony Erytro. Nie obawiam się także o wynik badania mózgu.

Martena zwróciła się do matki.

— Mówi prawdę, mamo. Widać, że czuje się znacznie lepiej. Ja też czuję się lepiej. To takie oczywiste. Dostrzegasz to?

— Nieważne, co dostrzegam — powiedziała Insygna. — Ja nie czuję się lepiej.

— Och, mamo — wyszeptała Marlena. A następnie zwracając się do Genarra powiedziała: — Poddam się badaniu.

— Wcale mnie to nie dziwi — powiedział Siever Genarr. Przyglądała się wydrukom komputerowym, z subtelnym, niemal ornamentalnym wzorem, które pojawiły się na wysuwającej się z maszyny taśmie. Eugenia Insygna stojąca obok wpatrywała się w nie, niczego nie rozumiejąc.

— Co cię nie dziwi, Siever? — zapytała.

— Nie potrafię ci tego odpowiednio wyjaśnić, nie znam tego ich lekarskiego żargonu. Wyjaśnieniami powinna zająć się Ranay D'Aubisson, nasza miejscowa guru w tej dziedzinie, lecz jej języka nikt nie jest w stanie zrozumieć. Zwróciła mi jednak uwagę…

— To? To wygląda jak skorupka ślimaka.

— Tak, szczególnie w kolorze. Jest to miara złożoności, a nie bezpośrednia wskazówka co do stanu fizycznego — tak przynajmniej mówi Ranay. Ta część jest nietypowa. Z reguły nie występuje w mózgach.

Usta Insygny zadrżały.

— Chcesz powiedzieć, że ona jest chora?

— Nie, oczywiście, że nie. Powiedziałem nietypowa, a nie nienormalna. Nie muszę chyba wyjaśniać różnicy pomiędzy tymi terminami doświadczonemu naukowcowi. Marlena jest odmienna — sama o tym wiesz. W pewnym sensie zadowolony jestem z pojawienia się tej skorupki ślimaka. Gdyby jej mózg był taki jak inne, należałoby poważnie zastanowić się nad tym, dlaczego jest taka jaka jest; skąd bierze się jej niezwykły dar? Czy udaje, a może to my jesteśmy łatwowiernymi głupcami?

— Lecz skąd wiesz, że to nie jest… nie jest…?

— Objaw choroby? To niemożliwe. Mamy wydruki jej

poprzednich badań. Ta nietypowość towarzyszy jej od niemowlęctwa.

— Nikt mi o niej nie mówił. Nic o niej nie wiedziałam.

— To zrozumiałe. Wczesne badania mózgu były dosyć prymitywne i mogły nie wykazać, a przynajmniej nic tak uderzającego. Teraz natomiast, gdy mamy już odpowiednie urządzenia, możemy wrócić do tych wczesnych badań i przeprowadzić analizę interesującego nas szczegółu. Ranay już to zrobiła. Jeszcze raz powiadam ci, Eugenio, że powinniście wprowadzić na Rotorze nowoczesne badania mózgu. Decyzja Pitta o ich wstrzymaniu jest jednym z jego najgłupszych posunięć.

Oczywiście, nie jest to tanie…

— Zapłacę — zamruczała Eugenia.

— Nie bądź niemądra. Koszty tego badania pokrywa budżet Kopuły. Przecież wyniki tego testu mogą nam pomóc w rozwiązaniu zagadki Plagi. Tak przynajmniej będzie brzmiała wersja oficjalna. No, wreszcie… Widzisz teraz mózg Marleny zarejestrowany w całej jego złożoności. Gdyby cokolwiek było nie w porządku, zobaczylibyśmy to na ekranie.

— Nie masz pojęcia, jakie to wszystko jest przerażające — powiedziała Insygna.

— Rozumiem, i nie powinnaś czuć się winna. Marlena jest tak święcie przekonana o tym, co mówi, że ja jej wierzę. Wierzę, że za tym absolutnym przekonaniem o własnym bezpieczeństwie kryje się coś innego.

— Jak to?

Genarr wskazał na skorupkę ślimaka.

— Ty tego nie masz, ja także tego nie mam; żadne z nas nie jest w stanie powiedzieć, skąd bierze się jej poczucie bezpieczeństwa. Lecz ono istnieje i sądzę, że powinniśmy wypuścić Marlenę na powierzchnię.

— Czy musimy aż tak ryzykować? Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego powinniśmy ryzykować jej zdrowiem?

— Z dwóch przyczyn. Po pierwsze, ona jest zdecydowana, a wydaje mi się, że jest w stanie zrobić wszystko, na co się zdecydowała — prędzej czy później. Nie możemy zakazać jej wyjścia — lepiej od razu ją odesłać na Rotora, ponieważ nie będziemy w stanie zatrzymać jej tutaj. Po drugie, jej wizyta na powierzchni Erytro może nauczyć nas czegoś o Pladze. Dokładnie nie umiem ci powiedzieć, czego się spodziewam, ale dla nas liczy się każdy drobiazg, nawet okruch wiedzy…

— I dlatego chcesz ryzykować umysłem mojej córki?

— Nie sądzę, aby istniało jakieś ryzyko. Pomijając już moją wiarę w słowa Marleny, zrobię wszystko, aby ją zabezpieczyć. Na początku nie pozwolimy jej na bezpośrednie poruszanie się po powierzchni.

Mogę na przykład zorganizować jej lot nad Erytro. Zobaczy jeziora, równiny, wzgórza, kaniony. Możemy nawet polecieć nad brzeg morza. Krajobraz jest tutaj uderzająco piękny — sam go kiedyś podziwiałem — lecz dziki. Nigdzie ani śladu życia, pomijając niewidoczne gołym okiem prokarioty. Być może dzikość Erytro odstraszy ją i straci zainteresowanie dla planety.

— A jeśli nie? Jeśli w dalszym ciągu będzie nalegała na wyjście, na spacer po powierzchni?

— Ubierzemy ją w skafander E.

— Co to jest skafander E?

— Skafander erytrojański. Bardzo nieskomplikowany, podobny do skafandra kosmicznego, z tym że nie jest skafandrem próżniowym. Zrobiony jest z nieprzepuszczalnej kombinacji plastiku i włókien naturalnych. Jest bardzo lekki i nie utrudnia ruchów. Hełm z tarczą chroniącą przed podczerwienią jest nieco cięższy. Skafander wyposażony jest we własny zapas powietrza i urządzenia do samowentylacji. Najważniejsze jest to, że osoba, ubrana w skafander E, nie jest zagrożona bezpośrednim oddziaływaniem środowiska Erytro. Poza tym Marlena nie wyjdzie sama.

— A z kim? Nie wierzę nikomu oprócz siebie. Genarr uśmiechnął się.

— Trudno wyobrazić sobie gorszego towarzysza podróży. Nie masz pojęcia o Erytro, a przede wszystkim boisz się jej. Nie odważyłbym się wypuścić cię na zewnątrz. Jedyną osobą, której obydwoje możemy zaufać, jestem ja.

— Ty? — Insygna otworzyła usta ze zdziwienia.

— Dlaczego nie? Nikt nie zna Erytro lepiej ode mnie. Jestem odporny na Plagę, podobnie jak Marlena. Po dziesięciu latach spędzonych tutaj mogę chyba zaryzykować takie stwierdzenie. Co więcej, jestem pilotem, nie będziemy więc potrzebowali dodatkowej osoby. Wychodząc z Marlena, będę mógł jej pilnować. Jeśli jej zachowanie zacznie odbiegać od normy, przywiozę ją do Kopuły, gdzie natychmiast przeprowadzimy badanie mózgu.

— Lecz wtedy będzie już oczywiście za późno.

— Niekoniecznie. Plaga to nie gra we wszystko albo nic. Zdarzały się lżejsze przypadki, nawet bardzo lekkie przypadki. Ludzie, którzy zapadali na mniej złośliwą odmianę Plagi, prowadzili później względnie normalne życie. Marlenie nic się nie stanie, jestem pewny.

213

Insygna siedziała na krześle. Milczała. Wyglądała jak mała, bezbronna dziewczynka.

Genarr impulsywnie objął ją ramieniem.

— Posłuchaj, Eugenio, zapomnij o tym przez tydzień. Obiecuję ci, że nie wypuszczę jej przynajmniej przez tydzień, a może nawet dłużej,

jeśli uda mi się przekonać ją, że Erytro nie jest tak interesująca, jak sobie wyobraża, pokazując jej planetę z powietrza. Podczas lotu będzie zamknięta w samolocie, będzie tak bezpieczna jak tutaj. Jeśli zaś chodzi o ciebie… jesteś astronomem, prawda?

Spojrzała na niego i odpowiedziała słabym głosem:

— Wiesz, że jestem.

— W takim razie nigdy nie widziałaś gwiazd. Astronomowie nigdy nie patrzą na gwiazdy. Przyglądają się wyłącznie instrumentom. Nad Kopułą panuje teraz noc, proponuję więc wizytę na poziomie widokowym i przyjrzenie się gwiazdom. Niebo jest czyste, a nic tak nie uspokaja jak nocne niebo pełne gwiazd, wierz mi.

Genarr mówił prawdę. Astronomowie nie przyglądają się gwiazdom. Nie czują takiej potrzeby. Wydają instrukcje teleskopom, kamerom i spektroskopom poprzez komputery, które z kolei się programuje. Instrumenty wykonują całą pracę, dokonują analiz, symulacji graficznych. Astronomowie zadają tylko pytania i studiują odpowiedzi. A do tego nie są potrzebne obserwacje gwiazd.

Czy można przyglądać się gwiazdom dla przyjemności? — zastanawiała się Insygna. — Czy może robić to astronom? Widok gwiazd sprawia, że przypominasz sobie o obowiązkach, o pracy do wykonania, o pytaniach, które trzeba zadać, tajemnicach, które trzeba rozwiązać i wreszcie o powrocie do laboratorium i uruchomieniu instrumentów. Później można zacząć czytać książkę lub obejrzeć film w holowizji.

Mówiła o tym Genarrowi, który krzątał się po swoim biurze, zapinając wszystko na ostatni guzik przed wyjściem. (Genarr zawsze zapinał na ostatni guzik — Insygna zapamiętała go właśnie takiego z zamierzchłych czasów ich wspólnej młodości. Wtedy irytowało ją to, a powinna chyba go podziwiać. Siever był taki szlachetny, a Krile…)

Otrząsnęła się ze wspomnień i postanowiła myśleć o czymś innym.

— Ja również nie wychodzę zbyt często na poziom widokowy — mówił Genarr. — Zawsze mam coś innego do roboty. A kiedy już zdecyduję się na wycieczkę, zawsze jestem tam sam. Miło mi będzie mieć w końcu jakieś towarzystwo. Chodźmy!

Poprowadził ją do niewielkiej windy. Insygna po raz pierwszy poruszała się windą po Kopule — poczuła się tak, jak gdyby znalazła się z powrotem na Rotorze, z tą różnicą, że nie czuła teraz przyciągania pseudograwitacyjnego, które zawsze wpychało ją w jedną ze ścian windy na Rotorze, w efekcie działania zasady Coriolisa.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział Genarr i wskazał jej wyjście. Eugenia znalazła się w pustym pomieszczeniu i niemal natychmiast skurczyła się w sobie.

— Czy jesteśmy odkryci? — zapytała.

— Odkryci? — zdziwił się Genarr. — Ach, chodzi ci o to, czy znajdujemy się w atmosferze Erytro? Nie, nie. Nie martw się. Znajdujemy się w półkuli pokrytej diamentowym szkłem, którego nie można nawet zadrapać. Nie wiem, co prawda, czy szkło wytrzymałoby zderzenie z meteorytem, lecz tutaj nam to nie grozi. Na Rotorze też mamy takie szkło — w jego głosie zaczęła narastać duma — lecz gorszej jakości i nie takich rozmiarów.

— Dobrze wam się tutaj powodzi — powiedziała Insygna dotykając szkła, jak gdyby chciała upewnić się, że rzeczywiście istnieje.

— Musi nam się dobrze powodzić, jeśli chcemy, by ludzie tu przyjeżdżali. — Potem zmieniając temat dodał: — Czasami mamy tutaj deszcze, zachmurzenia. Ale woda szybko wysycha, gdy niebo jest czyste. Po deszczu na szkle pozostaje osad, który zmywamy w ciągu dnia specjalną mieszaniną detergentów. Usiądź, Eugenio.

Insygna zajęła miejsce w krześle, które było miękkie i wygodne. Gdy tylko usiadła, krzesło rozłożyło się i Insygna stwierdziła, że patrzy do góry. Usłyszała cichy pomruk krzesła Genarra, które również ustawiło się w pozycji dogodnej do obserwacji. Zgasły światła, dzięki którym znaleźli krzesła i małe stoliczki tuż obok. W ciemności niezamieszkanego świata wpatrywali się w bezchmurne niebo, koloru żałobnej krepy, rozświetlone tu i ówdzie iskierkami gwiazd. Insygna westchnęła głęboko. Teoretycznie wiedziała, jak wygląda niebo. Widziała je na mapach i tablicach, symulacjach i fotografiach — widziała niebo w każdej możliwej postaci i formie, oprócz rzeczywistej. Po raz pierwszy nie wybierała interesujących ją obiektów, zagadkowych ciał, tajemnic wymagających wyjaśnienia. Po raz pierwszy nie przyglądała się szczegółom, lecz całości.

W zamierzchłej przeszłości — myślała — ludzie zajmowali się całymi wzorami, które widzieli na niebie, a nie poszczególnymi gwiazdami. W ten sposób odkryli konstelacje i dali początek astronomii. Genarr miał rację. Ogarnął ją spokój, czuła go niczym lekką, zwiewną mgiełkę.

Po chwili powiedziała sennie:

— Dziękuję, Genarr.

— Za co mi dziękujesz?

— Za to, że chcesz wyjść z Marleną. Za to, że ryzykujesz dla mojej córki.

— Nie ryzykuję. Nic nam się nie stanie. A co do Marleny… mam wobec niej ojcowskie uczucia. Ty i ja, Eugenio, mamy wspólną przeszłość. Zawsze bardzo cię ceniłem i… cenię.

— Wiem — odpowiedziała Insygna. Poczuła się winna. Znała uczucia Genarra — nigdy nie potrafił ich ukrywać. Przyjmowała je z rezygnacją, zanim poznała Krile, a później irytowały ją.

— Jeśli kiedykolwiek zraniłam twoje uczucie, wybacz mi, Sieverze — powiedziała.

— Nie muszę niczego ci wybaczać — odpowiedział jej miękko. Zapadła długa cisza. Wokół panował spokój. Insygna miała teraz tylko jedno pragnienie: żeby nikt nie wszedł i nie przerwał nastroju, który ją ogarniał.

Po chwili odezwał się Genarr:

— Mam pewną teorię na temat tego, dlaczego ludzie nie przychodzą tu, na poziom widokowy. Albo na pokład obserwacyjny na Rotora. Zauważyłaś, że nikt tam nie chodzi, Eugenio?

— Oprócz Marleny — odpowiedziała. — Mówiła mi, że często była tam sama. Przez ostatni rok chodziła obserwować Erytro. Powinnam była zwracać uwagę na to, co mówi… słuchać jej uważniej…

— Marleną jest niezwykła. Myślę, że większość ludzi nie przychodzi tutaj z tego powodu.

— Czego? — zapytała Insygna.

— Tego — odpowiedział. Jego ręka wskazała jakieś miejsce w przestrzeni, ale z powodu ciemności nie mogła dostrzec dokładnie, jakie.

— Ta bardzo jasna gwiazda, najjaśniejsza na niebie.

— Chodzi ci o Słońce, nasze Słońce, Słońce z Układu Słonecznego?

— Tak, tego intruza na niebie. Gdyby nie on, niebo tutaj byłoby takie samo, jak na Ziemi. Alfa Centauri jest w nieco innym miejscu, Syriusz również jest przesunięty, ale tego się nie zauważa. Jest to to samo niebo, na które pięć tysięcy lat temu spoglądali Sumerowie. Poza Słońcem.

— I myślisz, że Słońce nie pozwala ludziom przychodzić tutaj?

— Tak, chociaż może nie zdają sobie z tego sprawy. Wydaje mi się, że widok Słońca ich niepokoi. Wolą myśleć o nim jako o bardzo, bardzo dalekiej, niemal nieosiągalnej części całkowicie innego Wszechświata. A ono tu jest, na niebie, jasne, przyciągające uwagę, wywołujące poczucie winy za to, że je porzuciliśmy.

— Ale dlaczego dzieci i młodzież nie chodzą na pokład obserwacyjny? Nic przecież nie wiedzą o Słońcu i o Układzie Słonecznym.

— Dorośli dają im zły przykład. Może kiedy wymrze pokolenie, które pamięta Układ Słoneczny, niebo znów będzie należeć do Rotora, a miejsca takie jak to zatłoczą się — zakładając, że ciągle będą istnieć.

— Myślisz, że zostaną zlikwidowane?

— Trudno jest przewidzieć przyszłość, Eugenio.

— Na razie nic im chyba nie grozi?

— Nie, oczywiście, że nie. Martwię się jednak o tego intruza, o tę

jasną gwiazdę.

— Nasze stare Słońce? Nic nam chyba nie grozi z jego strony?

— Kto wie? — Genarr przyglądał się gwieździe po zachodniej stronie nieba. — Ludzie na Ziemi i w Osiedlach kiedyś w końcu odkryją Nemezis. A może już odkryli? Może mają już także hiperwspomaganie? Wydaje mi się, że opracowali własną technologię lotów hiperprzestrzennych wkrótce po naszym odlocie. Nasze zniknięcie musiało pobudzić ich do pracy.

— Odlecieliśmy czternaście lat temu. Dlaczego jeszcze ich tu nie ma?

— Może obawiają się podróży trwającej dwa lata? Wiedzą, że Rotor zdecydował się podjąć to ryzyko, ale nie wiedzą, że nam się udało. Mogą myśleć, że wrak Rotora przemieszcza się gdzieś w przestrzeni pomiędzy Nemezis i Słońcem.

— My byliśmy odważniejsi.

— Z pewnością. Myślisz, że Rotor zdecydowałby się na podróż. gdyby nie Pitt? To on nami pokierował, a wątpię, żeby gdziekolwiek indziej był jakiś drugi Pitt. Wiesz, że go nie lubię, nie popieram jego metod, jego podwójnej moralności, jego nieszczerości, gardzę nim za to, że potrafi wysłać dziecko takie jak Marlena na pewną — w jego rozumieniu — zagładę. A jednak, jeśli oceniać to, co osiągnął, to z pewnością zostanie zaliczony do wielkich naszej historii.

— Jako wielki przywódca — powiedziała Insygna. — Ty, Siever, jesteś wielkim człowiekiem — a to kolosalna różnica.

I znów zapadła cisza, którą pierwszy przerwał Genarr, mówiąc miękkim głosem:

— Ciągle czekam na nich, czekam na ich przybycie. Boję się tego i mój strach nasila się, gdy patrzę na tego intruza świecącego na niebie. Minęło już czternaście lat, odkąd opuściliśmy Układ Słoneczny. Co robili przez te czternaście lat? Zastanawiałaś się nad tym, Eugenio?

— Nigdy — odpowiedziała na pół śpiąc. — Moje obawy są bardzo przyziemne.

Rozdział 22
ASTEROID

22 sierpnia 2235! Ważna data dla Krile Fishera — urodziny Tessy Wendel. Mówiąc ściśle, jej pięćdziesiąte trzecie urodziny. Nie wspomniała o nich, pomijała je milczeniem — być może dlatego, że kiedyś na Adelii tak bardzo szczyciła się swoim wyglądem, a może nie chciała podkreślać pięcioletniej różnicy wieku na korzyść Fishera.

Krile wcale nie zwracał uwagi na to, że była starsza od niego. Nawet gdyby nie podziwiał jej inteligencji i wigoru seksualnego, byłby z nią dla jednej istotnej przyczyny: Tessa dzierżyła w ręku klucze do Rotora, i on o tym wiedział.

Wokół jej oczu pojawiły się głębokie zmarszczki, ramiona były grubsze niż kiedyś, lecz urodziny, o których nie wspomniała, stały się dniem jej triumfu, i Tessa wpadła do ich mieszkania — które z czasem nabrało bogatego wyglądu — jak na skrzydłach, rzuciła się na potężny klubowy fotel, a na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia.

— Poszło gładko jak lot na Księżyc. Absolutna perfekcja!

— Żałuję, że tego nie widziałem — powiedział Krile.

— Ja też żałuję. Ale byli tam wyłącznie sami wtajemniczeni, a ja i tak mówię ci więcej, niż powinnam.

Celem była Hipermnestra, nierzucający się w oczy asteroid znajdujący się w dogodnej pozycji, w pewnym oddaleniu od innych asteroidów i — co najważniejsze — dosyć odległy od Jowisza. Hipermnestra nie należała do żadnego Osiedla i nikt jej nie odwiedzał. No i te dwie pierwsze sylaby nazwy! Nie miało to co prawda żadnego znaczenia, ale dawało odpowiedni kontekst dla pierwszego lotu superiuminalnego poprzez hiperprzestrzeń.

— Wnioskuję, że statek doleciał tam bez przeszkód?

— Tak, na odległość dziesięciu tysięcy kilometrów. Z łatwością mogliśmy umieścić go bliżej, nie chcieliśmy jednak ryzykować intensyfikacji pola grawitacyjnego, które zresztą jest bardzo słabe. Nasz statek wrócił dokładnie w to miejsce, które mu wyznaczyliśmy. Sprowadzają go teraz dwa normalne pojazdy.

— Podejrzewam, że wzbudziliście zainteresowanie Osiedli?

— Oczywiście. Widzieli, że statek zniknął nagle, nie mają jednak pojęcia, dokąd poleciał. Nie wiedzą także, z jaką szybkością się przemieszczał — czy była to prędkość światła, czy może jej wielokrotność. A przede wszystkim nie orientują się, jak to było zrobione — więc to, co widzieli, nic dla nich nie znaczy.

— Mieli coś w pobliżu Hipennnestry?

— Nie mogli wiedzieć o celu podróży, chyba że zdarzył się jakiś przeciek, ale to mało prawdopodobne. Gdyby jednak znali nasz cel albo domyślili się, gdzie wysyłamy statek, i tak nic by im to nie dało. Mówię ci, Krile, wszystko odbyło się genialnie!

— Jest to z pewnością gigantyczny krok naprzód.

— Tak, lecz przed nami kolejne gigantyczne kroki. Nasz statek był pierwszym pojazdem superluminalnymi zdolnym do przenoszenia ludzi, ale jako załoga poleciał — jak wiesz — jeden robot.

— Sprawdził się?

— Całkowicie, lecz to nie jest istotne, poza tym, że pokazaliśmy, iż możemy przenosić całkiem spory ładunek w tę i z powrotem w jednym kawałku — przynajmniej w makroskali. Kilka tygodni zajmie nam stwierdzenie, czy nie nastąpiły jakieś groźne zniszczenia w mikroskali. No i oczywiście, musimy budować większe statki, ze wszystkimi systemami podtrzymywania życia działającymi bez najmniejszego zarzutu, ze zwiększonym zapasem bezpieczeństwa. Robot może wytrzymać znacznie więcej niż człowiek.

— A jak wygląda z terminami?

— Nieźle, nieźle. Jeszcze jeden rok albo półtora — jeśli nie zdarzy się jakaś katastrofa, albo nieoczekiwany wypadek — i powinniśmy zrobić małą niespodziankę Rotorianom, zakładając, że żyją.

Fisher skrzywił się, a Tessa powiedziała błagalnie:

— Wybacz mi. Zawsze obiecuję sobie nie mówić o tym, ale od czasu do czasu wymyka mi się taka głupia uwaga.

— Nieważne — powiedział Fisher. — Czy ustalono już ostatecznie mój udział w pierwszej podróży na Rotora?

— Czy można ustalić coś ostatecznie na rok lub więcej naprzód? Nie wiemy jeszcze, jakie będą okoliczności lotu.

— A jakie są teraz?

— Tanayama zostawił notatkę, która stwierdza, że obiecano ci miejsce na statku. Postąpił ładniej, niż można się było po nim spodziewać. Koropatsky był na tyle uprzejmy, że powiedział mi dzisiaj — po udanym zakończeniu lotu — o istnieniu tego zapisu, kiedy zadałam mu pytanie o twój ewentualny udział.

— Dobrze! Tanayama dał słowo, że polecę. Cieszę się, że nie zapomniał zostawić go na piśmie.

— Czy mógłbyś powiedzieć mi, dlaczego ci to obiecał? Tanayama nigdy nie wyglądał na skorego do dawania obietnic za nic.

— Masz rację. Dostałem jego słowo w zamian za przywiezienie cię na Ziemię i zmuszenie do pracy nad szybkościami superluminalnymi. Wydaje mi się, że zasłużyłem na swoją nagrodę.

Wendel prychnęła.

— Wątpię czy tylko to miało wpływ na decyzję naszego rządu.

Koropatsky powiedział, że nie czuje się związany obietnicami poczynionymi przez Tanayamę i normalnie ich nie spełnia. Ty jednak mieszkałeś na Rotorze przez kilka lat i twoja znajomość sytuacji może nam się przydać. Według mnie, twoja znajomość sytuacji po trzynastu latach jest żadna, ale nie powiedziałam mu tego, ponieważ nie chciałam psuć dobrego nastroju po locie, a także dlatego, że doszłam do wniosku, że jeszcze przez moment mogę cię kochać.

Fisher uśmiechnął się.

— Sprawiłaś mi ulgę, Tesso. Mam nadzieję, że ty również weźmiesz udział w pierwszym locie. Czy wyjaśniłaś tę sprawę? Tessa cofnęła głowę tak, jak gdyby chciała go lepiej widzieć.

— To było znacznie trudniejsze, mój chłopcze. Z dużą ochotą wyrazili zgodę na narażenie ciebie na niebezpieczeństwo, jeśli zaś chodzi o mnie, to powiedzieli, że jestem niezastąpiona. „Kto pokieruje projektem, jeśli coś się pani stanie?" — pytali. Na co ja odpowiedziałam: „Każdy z moich dwudziestu współpracowników, którzy znają się na lotach superluminalnych tak samo dobrze jak ja, i którzy są młodsi i zdolniejsi ode mnie". To oczywiste kłamstwo, bo nikt nie jest tak zdolny jak ja, ale przełknęli je.

— Jednak mają trochę racji. Nie wiem, czy powinnaś się narażać?

— Powinnam — odpowiedziała Tessa. — Chcę być dowódcą pierwszego superluminalnego statku w historii. Poza tym pragnę zobaczyć inną gwiazdę i miny Rotorian zakładając, że… — przerwała z przepraszającym wyrazem twarzy. — Lecz przede wszystkim, chcę wreszcie oderwać się od Ziemi — ostatnią kwestię wypowiedziała niemal warcząc.

Później, gdy leżeli w łóżku, Tessa powiedziała:

— Pomyśl, jak wspaniale będzie to robić na statku! Fisher nie odpowiedział. Pomyślał o dziecku o dziwnych, dużych oczach, o siostrze — i gdy te dwie postacie złączyły się w jedną. zasnął.

Rozdział 23
LOT

Podróże na dużą odległość w atmosferze planetarnej nie leżały w zwyczajach społeczeństw zamieszkujących Osiedla. Odległości, jakie pokonywali mieszkańcy Osiedli w swym naturalnym środowisku, były tak niewielkie, że do przenoszenia się z miejsca na miejsce wystarczały nogi, windy, a w najgorszym razie elektryczne pojazdy kołowe. Transport pomiędzy Osiedlami odbywał się oczywiście za pomocą rakiet.

Większość Osadników — mieszkających w Układzie Słonecznym — podróżowała w kosmosie tak często, że ta forma transportu traktowana była niemal jak spacer. Jednak niewielu z nich przebywało kiedykolwiek na Ziemi, która jako jedyna wykorzystywała atmosferę do przenoszenia ludzi i rzeczy z miejsca na miejsce. Transport lotniczy mógł bowiem istnieć tylko w atmosferze ziemskiej.

Osadnicy, którzy traktowali próżnię jak dobrą znajomą, przeżywali katusze strachu, gdy przyszło im zetknąć się z gwizdem powietrza w pojeździe, który swobodnie unosił się w atmosferze.

Transport lotniczy stał się jednak koniecznością na Erytro, która — podobnie jak Ziemia — była dużą planetą o dosyć gęstej (i nadającej się do oddychania) atmosferze. Na szczęście na Rotorze znalazły się podręczniki lotnictwa, nie mówiąc już o kilku emigrantach z Ziemi, którzy mieli doświadczenie w pilotowaniu.

Mieszkańcy Kopuły posiadali dwa małe samoloty, nieco niezdarne i prymitywne maszyny, które nie mogły rozwijać oszałamiających szybkości i wykonywać zbyt skomplikowanych manewrów, lecz nadawały się dla skromnych potrzeb Osiedla.

Absolutna ignorancja Rotorian w sprawach technologii lotniczej miała jednak swoje zalety. Samoloty Osiedla były znacznie bardziej skomputeryzowane niż ich ziemskie odpowiedniki. Siever Genarr nazywał je nawet robotami, które przypadkowo posiadają kształt maszyny powietrznej. Klimat Erytro był znacznie łagodniejszy niż na Ziemi — niski poziom promieniowania Nemezis nie wywoływał tutaj długich gwałtownych burz — roboto-samolot mógt więc bezpiecznie przemieszczać się nawet na duże odległości bez obaw o pogodę. Praktycznie nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo, a jeśli, to zupełnie innego rodzaju niż na Ziemi.

W rezultacie niemal każdy mógł latać niezdarnym i matowym samolotem należącym do skromnej flotylli Kopuły. Wystarczyło po prostu powiedzieć mu, co ma robić, i cała operacja była zakończona.

Jeśli polecenie wydane samolotowi było niejasne lub niebezpieczne, według oceny automatycznego mózgu maszyny, robot prosił o weryfikację rozkazu.

Genarr z uwagą przyglądał się Marlenie wspinającej się do kabiny samolotu. W pewnym oddaleniu stała Eugenia Insygna nerwowo przygryzając wargi. („Nie podchodź bliżej” — ostrzegał ją ostrym tonem Genarr. — „Szczególnie jeśli masz zamiar zachować się tak, jak gdybyś uczestniczyła w pogrzebie. Wystraszysz tylko Marlenę.”). Insygna rzeczywiście bała się. Marlena była zbyt młoda, aby pamiętać świat, gdzie loty samolotami były chlebem powszednim. Podróż rakietą na Erytro nie przeraziła jej co prawda, ale kto wie, jak zareaguje na niesłychane emocje unoszenia się w powietrzu?

Marlena zajęła miejsce w kabinie z absolutnym spokojem na twarzy.

Czy możliwe, że nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji?

— Marleno, kochanie — powiedział Genarr — wiesz, co będziemy robić?

— Tak, wujku Sieverze. Pokażesz mi Erytro.

— Z powietrza, jak się domyślasz. Będziesz leciała w powietrzu.

— Tak, mówiłeś już o tym.

— Czy nic cię nie niepokoi?

— Nie, wujku Sieverze, ale widzę, że ty bardzo się martwisz.

— Tylko o ciebie, kochanie.

— Nic mi nie będzie — spojrzała na niego spokojnie, gdy zajmował miejsce w kabinie.

— Rozumiem, że mama się niepokoi — powiedziała — lecz ty wyglądasz na bardziej przestraszonego od niej. Nie okazujesz tego w żaden całkiem oczywisty sposób, ale gdybyś zobaczył siebie oblizującego wargi raz po raz, poczułbyś się zażenowany. Wydaje ci się, że jeśli stanie się coś złego, to będzie twoja wina. Nie możesz pogodzić się z tą myślą. Zapewniam cię jednak, że nic złego się nie stanie.

— Jesteś tego pewna, Marleno?

— Całkowicie pewna. Nic mi nie grozi na Erytro.

— To samo mówiłaś o Pladze, teraz jednak rozmawiamy o czymś innym.

— Nieważne, o czym rozmawiamy. Nic mi nie grozi na Erytro. Genarr potrząsnął głową z niedowierzaniem i niepewnością. Od razu pożałował tego gestu, wiedział bowiem, że Marlena odczytała go z taką łatwością, jak napis dużymi literami na ekranie komputera. Jakie to jednak miało znaczenie? Wiedziałaby, co czuje, tak czy inaczej, nawet gdyby udawał odważnego i zachowywał się jak pomnik odlany z brązu.

— Wejdźmy do śluzy powietrznej — powiedział — i zatrzymamy

się tam na chwilę. W tym czasie sprawdzę działanie mózgu maszyny. Następnie wyjedziemy ze śluzy i samolot uniesie się w powietrze. Poczujesz przyśpieszenie, powstanie nacisk kierujący się do tyłu. Będziemy poruszać się w atmosferze Erytro na pewnej wysokości. Mam nadzieję, że rozumiesz to wszystko?

— Nie boję się — odpowiedziała cicho Marlena.

Samolot leciał po wyznaczonym kursie ponad dzikimi wzgórzami tworzącymi krajobraz Erytro. Genarr wiedział, że Erytro była żywa geologicznie. Wiedział także — na podstawie geologicznych badań planety — że krajobraz Erytro był kiedyś bardziej górzysty. Teraz także tu i ówdzie pojawiały się góry — dotyczyło to szczególnie półkuli cismegańskiej, na której bez przerwy widoczny był nieruchomy okrąg Megasa — planety, wokół której krążyła Erytro — zawieszony na niebie.

Tutaj, po stronie transmegańskiej dominowały jednak rośliny i wzgórza, stanowiące główną cechę krajobrazową dwóch dużych kontynentów. Dla Marleny, która nigdy w życiu nie widziała góry, nawet najmniejsze wzgórze stanowiło nie lada atrakcję.

Na Rotorze stworzono sztuczne strumyki. Z wyżyn, z których spoglądali na Erytro, rzeki planety wyglądały niemal znajomo. Martena zdziwi się, gdy zobaczy je z bliska — pomyślał Genarr. Dziewczyna przyglądała się z uwagą Nemezis, która minęła już punkt oznaczający południe i kierowała się na zachód.

— Ona się nie porusza, prawda wujku Sieverze? — zapytała.

— Porusza się — odpowiedział Genarr — to znaczy, Erytro obraca się wokół Nemezis, jeden raz w ciągu dnia, podczas gdy na przykład Rotor obraca się raz co dwie minuty. Nemezis oglądana z Erytro porusza się z 1/700 szybkości, z jaką porusza się oglądana z Rotora. Tustaj wydaje nam się, że stoi w miejscu, co nie jest zgodne z prawdą.

Rzucił szybkie spojrzenie na gwiazdy i powiedział:

— Nigdy nie widziałaś ziemskiego Słońca, Słońca z Układu Słonecznego, wiesz? A nawet jeśli widziałaś, to nie pamiętasz, bo byłaś wtedy niemowlęciem. Słońce było znacznie mniejsze, gdy oglądało się je z Rotora.

— Mniejsze? — zapytała zaskoczona Martena. — Komputer powiedział mi, że mniejsza jest Nemezis.

— W rzeczywistości tak. Ale Rotor znajduje się bliżej Nemezis, niż kiedyś w stosunku do Słońca. Dlatego Nemezis wygląda na większą.

— Jesteśmy cztery miliony kilometrów od Nemezis, prawda?

— Tak. ale byliśmy sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od Słońca. Gdyby Nemezis znajdowała się w takiej odległości, mielibyśmy tylko 1 % obecnego światła i ciepła. A gdyby dla odmiany ktoś odważył się zbliżyć do Słońca na odległość czterech milionów kilometrów, zostałaby z niego para. Słońce jest o wiele większe,

jaśniejsze i gorętsze niż Nemezis.

Martena nie przyglądała się Genarrowi, ale wystarczył jej ton jego głosu.

— Z tego co mówisz, wujku Sieverze, wynika, że chciałbyś być z powrotem w pobliżu Słońca.

— Urodziłem się tam. I tęsknię czasami…

— Ale Słońce jest tak gorące i jasne. Musi być niebezpieczne.

— Nie wpatrywaliśmy się w nie. A ty również nie powinnaś wpatrywać się zbyt długo w Nemezis. Patrz gdzie indziej, kochanie.

Sam jednak spojrzał ponownie na Nemezis wiszącą po zachodniej stronie nieba. Olbrzymi czerwony dysk o średnicy czterech stopni łuku był ośmiokrotnie większy od Słońca oglądanego z Rotora w Układzie Słonecznym. Nemezis świeciła czerwonym blaskiem, lecz Genarr wiedział, że niekiedy zdarza jej się rozbłyskać jasnym, mocnym światłem pochodzącym z białych plam na spokojnej normalnie powierzchni gwiazdy. Częściej pojawiały się na Nemezis czerwone plamy, które jednak z łatwością można było przeoczyć.

Wydał cichy rozkaz samolotowi, który skręcił lekko, zostawiając Nemezis z tyłu, poza bezpośrednim polem widzenia.

Marlena spojrzała po raz drugi na gwiazdę i przeniosła pełen zadumy wzrok na krajobraz Erytro roztaczający się pod nimi.

— Można się przyzwyczaić do tego różowego koloru — powiedziała. — Po jakimś czasie wszystko wygląda normalnie.

Genarr również to zauważył. Jego oczy reagowały na różnicę barw i odcieni, i otaczający go świat stracił swój monochromatyczny wygląd. Rzeki i małe jeziora były ciemniejsze niż lądy, kolor nieba był również mniej intensywny. Atmosfera Erytro rozpraszała czerwone światło Nemezis. Najgorszą rzeczą na Erytro był jednak dziki krajobraz. Rotor — pomimo niewielkich rozmiarów — posiadał zielone pola. które z czasem zmieniały swoją barwę na żółtą, kolorowe sady, hałaśliwe zwierzęta, wszystko to, co nadawało kształty i wdzięk siedzibom ludzkim od zarania ich istnienia.

Tutaj panowała pustka i bezruch.

— Na Erytro jest życie, wujku Sieverze — powiedziała nagle Marlena.

Genarr zastanawiał się, czy było to stwierdzenie, pytanie, a może odpowiedź na jego wątpliwości, które w jakiś sposób przeniknęły na zewnątrz. Podkreślała coś, czy szukała potwierdzenia?

— Oczywiście — powiedział. — Pełno życia. Wszechobecnego. Nie tylko w wodzie. Prokarioty żyją nawet w glebie.

Po chwili na horyzoncie pojawił się ocean. Zobaczyli najpierw ciemniejszą linię w oddali; linię, która wraz ze zbliżeniem się do niej samolotu, zmieniła się w szeroki pas wody.

Genarr rzucił szybkie spojrzenia na Marlenę. obserwował jej

reakcje. Czytała o ziemskich oceanach, z pewnością widziała je w holowizji, lecz nic nie jest w stanie zastąpić rzeczywistego widoku morza. Genarr, który był na Ziemi tylko jeden raz (jeden raz!) jako turysta, widział już brzeg oceanu. Nigdy nie leciał jednak nad morzem — gdzie w pobliżu nie było nawet wspomnienia lądu — nie był więc pewien własnych reakcji.

Ocean falował pod nimi, a suchy ląd skurczył się do jasnej linii na horyzoncie, po czym zniknął. Genarr spojrzał na dół, czując pewien niepokój w żołądku. Przypomniał sobie frazę z archaicznej opowieści: „Morze koloru wina". I rzeczywiście, falujący ocean wyglądał jak czerwone wino, z nalotem różowawej piany.

Na pomarszczonej powierzchni oceanu nie było żadnych punktów orientacyjnych, nie wspominając nawet o miejscu do lądowania. Jakakolwiek „orientacja" przestała mieć sens. Wiedział jednak, że gdyby zechcieli powrócić, wystarczyło wydać odpowiednie polecenie samolotowi, który skieruje się w drogę powrotną na ląd. Komputer zapisywał pozycję maszyny na podstawie szybkości i kierunku, wiedział więc, gdzie znajduje się Ziemia i Kopuła.

Mijali obszar przesłonięty grubą warstwą chmur, ocean zmienił barwę na czarną. Genarr wypowiedział polecenie i samolot wzbił się ponad chmury. Zobaczyli czerwoną Nemezis, ą w powietrzu unosiły się różowe krople wody, fragmenty mgły pojawiającej się za oknem.

Nagle chmury rozstąpiły się, ą pomiędzy nimi dostrzegli morze koloru wina.

Marlena przyglądała się oceanowi z otwartymi ustami. Oddychała szybko.

— To wszystko woda, prawda wujku Sieverze? — wyszeptała.

— Tysiące kilometrów we wszystkich kierunkach, Marleno, i dziesięć kilometrów w głąb.

— Jeśli wpadniemy w nią, to utopimy się.

— Nie martw się o to. Ten samolot nie wpadnie do wody.

— Wiem, że nie — odpowiedziała spokojnie Marlena. Genarrowi przyszło do głowy, że warto byłoby pokazać Marlenie jeszcze jeden interesujący widok.

Już miał to zrobić, gdy Marlena odezwała się ponownie:

— Znowu się denerwujesz, wujku Sieverze. Bawiła go myśl, z jaką łatwością zgodził się na wgląd Marteny we własne uczucia.

— Nigdy nie widziałaś Megasa — powiedział — i zastanawiałem się, czy powinienem ci go pokazać. Megas widoczny jest tylko po jednej stronie Erytro. Kopuła została zbudowana na półkuli, z której nie można go zobaczyć. Na naszym niebie Megas nigdy się nie pokazuje. Jeśli będziemy dalej lecieć w tym kierunku, wkrótce znajdziemy się na półkuli cismegańskiej i zobaczymy Megasa wznoszącego się nad horyzontem.

— Bardzo chciałabym go zobaczyć.

— W takim razie zobaczysz. Ale przygotuj się, Megas jest olbrzymi, naprawdę olbrzymi. Jest niemal dwukrotnie większy od Nemezis i wygląda tak, jak gdyby zaraz miał na nas spaść. Niektórzy ludzie nie mogą znieść tego widoku. Oczywiście Megas nie spadnie. Nie może. Zapamiętaj to.

Zwiększyli wysokość i szybkość lotu. Chmury przesłaniały od czasu do czasu pomarszczony obszar oceanu.

— Spójrz prosto, Marleno, a teraz odrobinę w prawo — powiedział w końcu Genarr. — Zobaczysz Megasa wznoszącego się ponad horyzontem. Skręcimy ku niemu.

Najpierw na horyzoncie ukazała się niewielka plama światła, pęczniejąca z każdą chwilą. Wkrótce plama zmieniła się w ciemnoczerwony łuk wznoszący się nad horyzontem. Czerwień Megasa miała głębszy odcień niż kolor Nemezis, która ciągle była i widoczna — zawieszona nisko nad powierzchnią planety — z tyłu za samolotem.

Megas rósł z każdą chwilą, lecz jego dysk nie tworzył okręgu — to, co widzieli, było jedynie jego większą częścią.

— To właśnie nazywa się „fazą", prawda? — zapytała Marlena z zainteresowaniem.

— Dokładnie tak. Widzimy tylko tę część Megasa, która oświetlona jest przez Nemezis. Gdy Erytro okrąża Megasa, Nemezis pozornie zbliża się do niego, a my widzimy coraz mniejszą część z oświetlonej połowy planety. Następnie Nemezis przesuwa się pod lub nad Megasem, a my widzimy maleńki sierp światła na jego krawędzi — to wszystko, co zostaje z jego oświetlonej półkuli. Czasami Nemezis chowa się za Megasem i mamy wtedy do czynienia z zaćmieniem Nemezis. Na niebie pojawiają się odległe gwiazdy, a nie tylko te jasne, które świecą nawet wtedy, gdy widać Nemezis. Podczas zaćmienia można dostrzec wielki okrąg ciemności, gdzie nie ma żadnych gwiazd — i to jest właśnie Megas. Gdy kończy się zaćmienie i Nemezis wynurza się spoza tarczy Megasa, na jego krawędzi ponownie pojawia się świetlany sierp.

— To musi być wspaniale — powiedziała Marlena. — Prawdziwy! teatr na niebie. Wujku, spójrz na Megasa, na te przesuwające i się pasma…

Miejsca wskazane przez Marlenę rozciągały się na całej oświetlonej części globu. Były dosyć szerokie, czerwonobrązowe, z domieszką pomarańczu. Przemieszczały się wolno.

— To są pasma burzowe — powiedział Genarr. — Wieją tam potężne wiatry. Jeśli przyjrzysz im się dłużej, zauważysz formujące się plamy, które następnie rozpływają się, rozwlekają na wszystkie strony i znikają.

— To naprawdę wygląda jak w holowizji — powiedziała rozentuzjazmowana Marlena. — Dlaczego ludzie nie chcą tego oglądać?

— Robią to za nich astronomowie. Przyglądają się burzom Megasa poprzez skomputeryzowane instrumenty umieszczone na tej półkuli Erytro. Ja sam oglądałem Megasa w naszym obserwatorium. Wiesz, w Układzie Słonecznym też jest taka planeta. Nazywa się Jowisz i jest nawet większa od Megasa.

Megas uniósł się nad horyzontem. Przypominał nadmuchany balon, którego lewa połowa zapadła się z braku gazu.

— Jest cudowny — powiedziała Marlena. — Gdyby Kopułę zbudowano na tej półkuli, wszyscy mogliby go podziwiać.

— Chyba nie, Marleno. Nie wszyscy myślą tak jak ty. Większość ludzi nie lubi Megasa. Wydaje im się, że Megas jest niebezpieczny — mówiłem ci już o tym — wygląda tak, jak gdyby miał za chwilę spaść. Ludzie boją się go.

— Trudno uwierzyć, że rozsądni ludzie mogą być tak niemądrzy — odpowiedziała gniewnie Marlena.

— Nie wszyscy. Ale głupota bywa zaraźliwa. Obawy rozprzestrzeniają się. Niektórzy ludzie nie boją się sami z siebie, lecz dlatego, że boją się ich bliźni. Nigdy tego nie zauważyłaś?

— Tak, chyba tak — odpowiedziała Marlena z goryczą w głosie.

— Jeśli na przykład jeden chłopak stwierdzi, że jakiś podlotek jest ładny, to potem uważają tak wszyscy. Zaczynają konkurować ze sobą… — przerwała zakłopotana.

— Zaraźliwy strach jest tylko jedną z przyczyn, dla których zbudowaliśmy Kopułę na drugiej półkuli. Kolejną przyczyną było to, że z powodu ciągłej obecności Megasa na niebie, nie można było tutaj prowadzić badań astronomicznych. Ale chyba już czas wracać, Marleno. Znasz swoją matkę — na pewno jest już zaniepokojona.

— Wezwij ją przez radio i powiedz, że wszystko jest w porządku.

— Nie muszę tego robić. Nasz samolot bez przerwy wysyła sygnały do Kopuły. Ona wie, że nic nam nie jest — przynajmniej fizycznie. Ale ona martwi się o nasz stan psychiczny — Genarr popukał się w skroń.

Marlena wcisnęła się w fotel, a na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia.

— To okropne. Wiem, że wszyscy powiedzą „ale ona cię kocha” — a mnie to męczy. Dlaczego nie może mi po prostu uwierzyć, kiedy mówię, że nic mi się nie stanie?

— Ponieważ cię kocha — odpowiedział Genarr i wydał komendę powrotu.

— Tak jak ty kochasz Erytro… Twarz Marleny pojaśniała.

— O tak.

— Tak, to zrozumiałe, widzę jak reagujesz na ten świat. I Genarr zaczął zastanawiać się, jak zareaguje na to Eugenia Insygna. Zareagowała z furią.

— Co to znaczy, że kocha Erytro? Jak można kochać martwy świat? Czy ty może poddałeś ją praniu mózgu? Czy jest jakiś powód, dla którego przekonałeś ją, żeby pokochała tę planetę?

— Eugenio, bądź rozsądną! Naprawdę uważasz, że Marlenę można poddać praniu mózgu? Czy kiedykolwiek udało ci się to?

— No więc, co się stało?

— Próbowałem postawić ją w sytuacjach, które mogłyby ją zniechęcić lub przestraszyć. Rzeczywiście próbowałem „prania mózgu", wmawiałem jej okropności Erytro. Wiem z doświadczenia, że Rotorianie — wychowani w małym, ciasnym Osiedlu — nienawidzą olbrzymich równin Erytro. Nie podoba im się czerwone światło, nie podoba im się ocean, ciemne chmury, Nemezis, a przede wszystkim Megas. Wszystko to przygnębia i przeraża ich. Pokazałem większość tych rzeczy Marlenie. Zabrałem ją nad ocean, a potem na drugą półkulę, gdzie pokazałem jej Megasa wznoszącego się nad horyzontem.

— I?

— I nic jej nie przeraziło. Powiedziała, że przyzwyczaiła się do czerwonego światła, i że z czasem przestaje się zwracać na nie uwagę. Ocean absolutnie jej nie przestraszył, a Megas jest według niej zabawny i interesujący.

— Nie mogę w to uwierzyć.

— Musisz. Taka jest prawda.

Insygna zamyśliła się, a potem powiedziała drżącym głosem:

— Może to oznacza, że zaraziła się tą… tą…

— Plagą. Gdy tylko wróciliśmy, Marlena poddana została kolejnemu badaniu mózgu. Nie mam jeszcze pełnej analizy wyników, ale wstępne nie wykazują żadnych zmian. A nawet lekkie przypadki Plagi gwałtownie zmieniały wyniki badań. Marlena jest po prostu zdrowa. Przyszła mi jednak do głowy pewna myśl. Wiemy, że Marlena ma zwiększoną percepcję, że zauważa te wszystkie drobiazgi, odgaduje uczucia innych. Czy zauważyłaś kiedykolwiek coś, co nazwałbym odwrotnością jej talentu? Czy potrafi wzbudzić pewne stany i uczucia innych?

— Nie rozumiem, o czym mówisz?

— Marlena wie, kiedy czuję się niepewnie, kiedy jestem przestraszony, bez względu na to, jak bardzo staram się ukryć te uczucia, bez względu na to, jak bardzo staram się pokazać, że wszystko jest w porządku. Zastanawiam się, czy ona może również zmusić mnie do tego, abym czuł się niepewnie lub żebym się bał. Albo odwrotnie, żebym czuł się dobrze i spokojnie? Czy potrafiąc

stwierdzać stan rzeczy, umie także go narzucać?

Insygna przyglądała mu się z niedowierzaniem.

— To, co mówisz, jest szalone! — powiedziała krztusząc się niemal.

— Być może. Ale czy kiedykolwiek zauważyłaś takie zachowanie Marleny? Pomyśl.

— Nie muszę myśleć. Nigdy nie zauważyłam czegoś takiego.

— Nie — powtórzył Genarr. — Może rzeczywiście nie zauważyłaś… Marlena z pewnością chciałaby, żebyś była mniej zatroskana jej osobą i jakoś nie może na ciebie wpłynąć… Wracając jednak do jej umiejętności percepcyjnych — stwierdzam, że zwiększyły się one od waszego przylotu na Erytro. Zgadzasz się ze mną?

— Tak. Zgadzam się.

— Ale to nie wszystko. Marlena posiada teraz silną intuicję. Wie, że jest odporna na Plagę. Jest przekonana, że nic jej nie grozi na Erytro. Spoglądała na ocean i była pewna, że samolot nie wpadnie do wody i nie utopimy się. Czy zachowywała się w ten sposób na Rotorze? Czy może jak wszystkie młode osoby w jej wieku, przeżywała chwile niepewności i niepokoju?

— Ależ tak! Oczywiście.

— A tutaj jest zupełnie inną dziewczyną. Absolutnie pewną siebie. Dlaczego?

— Nie wiem, dlaczego?

— Czy ma to jakiś związek z Erytro? Nie, nie chodzi o Plagę. Być może istnieje jakiś inny rodzaj wpływów planety? Coś całkowicie odmiennego? Powiem ci, dlaczego pytam. Sam to czułem.

— Sam co czułeś?

— Jakiś optymizm w stosunku do Erytro. Nie przejmowałem się osamotnieniem ani niczym innym. Co prawda, nigdy przedtem również nie czułem niechęci do Erytro, zawsze było mi tutaj dobrze, ale nigdy nie podobało mi się tu. Podczas podróży z Marlena poczułem jednak, że lubię ten świat — a nie zdarzyło mi się to nigdy przez dziesięć lat pobytu tutaj. Być może radość Marleny jest zaraźliwa, a może zmusiła mnie do bycia zadowolonym. Cokolwiek to jest, pozytywne oddziaływanie Erytro na Marlenę wpłynęło również na mnie… w jej obecności.

— Wydaje mi się, Sieverze, że powinieneś poddać się badaniu mózgu — powiedziała sarkastycznie Insygna. Genarr uniósł brwi w zdumieniu.

— Myślisz, że tego nie zrobiłem? Przechodzę okresowe badania, odkąd tu jestem. Nie stwierdzono żadnych zmian oprócz tych, które związane są z procesem starzenia się.

— A czy robiłeś sobie badanie mózgu po powrocie z wyprawy?

— Oczywiście. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobiłem. I znów nie mam jeszcze kompletnej analizy, ale badania wstępne nie wykazują żadnych zmian.

— Co w takim razie zamierzasz robić dalej?

— Naszym kolejnym logicznym posunięciem będzie wyjście z Kopuły na powierzchnię Erytro.

— Nie!

— Zabezpieczymy się. Poza tym ja wychodziłem już wcześniej.

— Może ty — powiedziała uparcie Insygna. — Ale nie Marlena. Ona nigdy nie była na zewnątrz.

Genarr westchnął. Odwrócił się na krześle i wbił wzrok w sztuczne okno na ścianie biura, tak jak gdyby chciał przebić spojrzeniem mury odgradzające go od czerwonego krajobrazu Erytro. A potem przeniósł wzrok na Eugenię.

— Tam na zewnątrz jest olbrzymi, nowy świat — powiedział — świat, który nie należy do nikogo i niczego, oprócz nas. Możemy wziąć go sobie i zrobić z nim to, co będziemy chcieli, a robiąc to możemy uniknąć wszystkich głupich błędów, jakie popełniliśmy na Ziemi. Tym razem może uda nam się zbudować dobry, czysty świat, świat godny ludzi. Przyzwyczaimy się do czerwieni. Ożywimy Erytro naszymi roślinami i zwierzętami. Ożywimy lądy i morza, rozpoczniemy nową ewolucję na tej planecie.

— A Plaga? Co zrobisz z Plagą?

— Zlikwidujemy Plagę. Sprawimy, że Erytro stanie się rajem.

— Gdyby zlikwidować wysokie temperatury i przyciąganie, Megas także mógłby stać się rajem.

— Zgadzam się, Eugenio. Jednak Plaga to nie to samo, co wysokie temperatury i przyciąganie.

— Ale jest tak samo niebezpieczna.

— Eugenio, chyba wspominałem ci już, że Marlena jest naszą najważniejszą osobą.

— Dla mnie na pewno tak.

— Dla ciebie jest ważna, ponieważ jest twoją córką. Dla wszystkich innych jest ważna ze względu na swoje umiejętności.

— A co ona takiego potrafi? Odczytywać język ciała? Robić sztuczki?

— Jest przekonana o swojej odporności na Plagę. Być może potrafi nas nauczyć…

— Jeśli rzeczywiście jest odporna! A co, jeśli jej odporność okaże się dziecięcym wymysłem? Zachowujesz się jak tonący, który chwyta się wszystkiego.

— Tam na zewnątrz jest świat i ja chcę go mieć.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo przypominasz mi Pitta. Dla swojego świata chcesz ryzykować zdrowiem mojej córki…

— W historii ludzkości ryzykowano znacznie więcej dla mniej wartych celów.

— Tym gorzej dla historii ludzkości. W każdym razie decyzja należy do mnie. Ona jest moją córką.

Nagle Genarr ściszył głos, głos pełen od dawna skrywanego smutku.

— Kocham cię, Eugenio. Kiedyś przed laty już raz cię straciłem. Marzyło mi się odzyskać ciebie, ale obawiam się, że stracę cię ponownie, i tym razem na zawsze. Ponieważ chcę ci powiedzieć, że decyzja nie należy do ciebie. Nie należy także do mnie. Należy do Marleny. Zrobi to, co postanowi, zawsze tak robiła. A ponieważ może pomóc ludzkości w zdobyciu nowego świata, ja będę pomagał jej z całych sił w tym przedsięwzięciu. Na przekór tobie. Przyjmij to do wiadomości, Eugenio.

Rozdział 24
DETEKTOR

Krile Fisher spoglądał na Superluminal z kamiennym wyrazem twarzy. Widział go po raz pierwszy. Tessa Wendel uśmiechnęła się, a cała jej postawa wyrażała zadowolenie właścicielki nowej zamrażarki. Statek stał w olbrzymim wykuszu skalnym, odgrodzony potrójnym systemem barier zabezpieczających. Wokół niego kręciło się parę osób, jednak większa część siły roboczej pracującej przy statku składała się z zaprogramowanych (niehumanoidalnych) robotów.

Fisher widział już wiele statków kosmicznych w swoim życiu, znał wielość modeli odpowiednich do wielości wykonywanych przez nie zadań, nigdy jednak nie widział czegoś takiego jak Superluminal — czegoś o tak odpychającym wyglądzie.

Gdyby nie powiedziano mu, co to jest, nigdy nie domyśliłby się przeznaczenia maszyny. Co miał teraz powiedzieć? Nie chciał przecież denerwować Tessy, czekającej na jego opinię, która według niej mogła być tylko pochlebna.

— Ma taki niezwykły wdzięk — wydusił wreszcie z siebie. — Jak osa.

Tessa uśmiechnęła się jeszcze bardziej słysząc określenie „niezwykły wdzięk". Fisher domyślił się, że dobrze wybrał. Jednak zaraz potem usłyszał:

— Co masz na myśli, mówiąc o osie, Krile?

— To taki owad — powiedział Krile. — Wiem. że na Adelii nie macie wielu owadów.

— Wiemy, co to są owady — przerwała mu Wendel. — Co prawda nie występują u nas w tak chaotycznej mnogości jak na Ziemi…

— Ale nie macie chyba os. Żądlących owadów przypominających… — wskazał na Superiuminal. — One także mają taki duży odwłok z przodu, drugi odwłok z tyłu i wąskie połączenie pomiędzy nimi.

— Naprawdę? — spojrzała na statek z nowym zainteresowaniem.

— Znajdź mi zdjęcie osy w wolnej chwili. Zbadam projektowanie statków w świetle budowy insektów lub odwrotnie.

— Skąd w takim razie wziął się kształt statku? — zapytał Fisher.

— Jeśli nie zainspirowała was osa…?

— Musieliśmy znaleźć taki kształt geometryczny, który zmaksymalizowałby szansę statku na poruszanie się w jednym kawałku. Hiperpole ma tendencję do rozszerzania się cylindrycznie aż

do nieskończoności, i my w pewien sposób pozwalamy mu na to. Z drugiej strony nie możemy całkowicie poddać się tej tendencji. Nie wolno nam do tego dopuścić, dlatego zamykamy pole w… jak to nazwałeś…? odwłokach. Pole znajduje się wewnątrz kadłuba, podtrzymuje je i jednocześnie zamyka bardzo silne, przemienne pole elektromagnetyczne, które z kolei… Nie chcesz chyba wysłuchać tego do końca?

— Nie, dziękuje, chyba mi wystarczy — powiedział Fisher uśmiechając się nieśmiało. — Skoro jednak pozwolono mi obejrzeć to…

— Nie obrażaj się — powiedziała Tessa obejmując go w pół. -Do tej pory cała konstrukcja objęta była ścisłą tajemnicą. Nawet ja miewałam niekiedy kłopoty z dotarciem do pewnych szczegółów. Wyobrażam sobie, jak musieli psioczyć na tę podejrzaną Osadniczkę, która awanturowała się o byle co. Głupio im było, że właśnie ja zaprojektowałam hiperpole, bo w innym wypadku już dawno daliby mi kopa w tyłek. Teraz wszystko się zmieniło. Mogę ci pokazać statek, bo przecież i tak nim polecisz, a ja chciałam, żebyś go podziwiał… — zawahała się przez chwilę — i mnie także.

Fisher spojrzał na nią uważnie.

— Wiesz, jak bardzo cię podziwiam, nawet bez tego… — objął ją ramieniem.

— Starzeję się, Krile. Po prostu starzeję się. I ciągle, niepoprawnie jestem zadowolona z ciebie. Jestem już z tobą siedem lat, ósmy rok, i nie czuję stałej potrzeby sprawdzania, jacy są inni mężczyźni.

— Czy to taka tragedia? — zapytał Fisher. — A może byłaś zbyt zajęta pracą? Teraz, gdy statek jest już zbudowany, poczujesz ulgę i kto wie, czy nie wyruszysz na łowy?

— Nie. Nie sądzę, aby to było konieczne. Nie mam takiej potrzeby. Ale ty? Wiem, że czasami zaniedbywałam cię.

— Ze mną wszystko jest w porządku. Lubię, kiedy zaniedbujesz mnie dla pracy. Ten statek znaczy dla mnie tyle samo, co dla ciebie, moja droga. Moim zamartwieniem jest to, że kiedy wreszcie nadejdzie czas odlotu, my będziemy zbyt starzy, by znaleźć się wśród załogi — uśmiechnął się ponuro. — Mówiąc o starzeniu się, Tesso, nie zapomnij, że ja również nie jestem już młodzieńcem. Za mniej niż dwa lata będę obchodził pięćdziesiąte urodziny. Chciałem jednak zapytać cię o coś i waham się, ponieważ boję się twojej odpowiedzi.

— Pytaj.

— Załatwiłaś zezwolenie na pokazanie mi statku, wpuszczenie mnie do tej najświętszej ze wszystkich świątyń. Wydaje mi się, że Koropatsky nie zgodziłby się na to, gdyby projekt nie dobiegał końca. Jest tak samo przewrażliwiony na punkcie bezpieczeństwa jak Tanayama…

— Tak, jeśli chodzi o hiperpole, statek jest gotów.

— Czy już latał?

— Jeszcze nie. Jest parę rzeczy, które musimy zrobić, ale to nie dotyczy hiperpola.

— Podejrzewam, że odbędą się jakieś loty próbne?

— Z załogą. Nie możemy przeprowadzić ich bez załogi, jeśli chcemy sprawdzić wszystkie systemy podtrzymywania życia. Nawet zwierzęta nie wchodzą w grę.

— Kto poleci pierwszy?

— Ochotnicy wybrani spośród osób związanych z projektem.

— A ty?

— Ja jako jedyna nie jestem ochotnikiem. Ja muszę polecieć. Gdyby doszło do awarii, nie wolno mi powierzać statku komuś innemu.

— W takim razie ja też polecę — powiedział Fisher.

— Nie, ty zostaniesz. — Twarz Fishera oblał rumieniec gniewu.

— Umowa była inna…

— Ale nie dotyczyła lotów próbnych, Krile.

— Kiedy zakończą się loty próbne?

— Trudno powiedzieć. Wszystko zależy od tego, jak potoczą się wypadki. Niewykluczone, że wystarczą nam dwa albo trzy loty próbne. To sprawa kilku miesięcy.

— Kiedy odbędzie się pierwszy lot próbny?

— Tego nie wiem, Krile. Ciągle pracujemy przy statku.

— Powiedziałaś, że statek jest gotów.

— Tak, jeśli chodzi o hiperpole. Ale instalujemy jeszcze detektory neuroniczne.

— Co? Nigdy nie słyszałem, żebyś o nich mówiła.

Tessa nie odpowiedziała. Rozejrzała się dookoła i zniżyła głos:

— Zwracamy na siebie uwagę, Krile. Niektórzy ludzie bardzo denerwują się twoją obecnością tutaj. Chodźmy do domu.

— Rozumiem, że nie chcesz o tym ze mną rozmawiać, mimo że jest to dla mnie tak istotne…

— Porozmawiamy o tym… w domu.

Krile Fisher był niespokojny, jego gniew wzrastał z każdą minutą. Nie chciał usiąść. Stał nad Tessą, która wzruszywszy ramionami zajęła miejsce na białej sofie modułowej. Spoglądała na niego z lekkim poirytowaniem.

— Dlaczego się złościsz, Krile?

Fisherowi drgały wargi. Zacisnął je i odczekał pewien czas, zanim zdecydował się mówić. Zmuszał się do zachowania spokoju.

— Gdy skompletujecie załogę beze mnie — powiedział w końcu i — stworzycie sobie doskonałą wymówkę, bym nigdy nie poleciał. Dlatego oświadczam już na samym początku, że będę brał udział w

każdym locie statku do momentu dotarcia do Sąsiedniej Gwiazdy… I Rotora. Nie wykołujecie mnie.

— Nie wiem, dlaczego wyciągasz tak nieprawdopodobne wnioski? Nikt nie ma zamiaru pomijać cię w odpowiednim czasie.

Statek nie jest jeszcze nawet gotów.

— Mówiłaś, że jest gotów — powiedział. — I nagle pojawiają się ni stąd. ni zowąd jakieś detektory neuroniczne! Po to, by zamknąć mi usta, by skierować mnie na boczny tor i odlecieć, zanim zorientuję się, że zostałem na lodzie. To właśnie robicie! Ty razem z nimi!

— Krile, ty oszalałeś! Detektory neuroniczne to mój pomysł, to ja nalegałam na ich instalację, żądałam jej — spojrzała na niego wyzywająco.

— Twój pomysł! — wybuchnął. — Ale… Wyciągnęła rękę pragnąc go uciszyć.

— To jest coś, nad czym pracowaliśmy równolegle z pracą nad statkiem. Detektory nie leżą w dziedzinie moich zainteresowań, ale zmusiłam neurofizyków do ich opracowania. Powód? Ano właśnie: twoja obecność na statku lecącym ku Sąsiedniej Gwieździe. Nie rozumiesz?

Potrząsnął głową.

— Zastanów się, Krile. Wiem, że nie możesz, bo zaślepia cię gniew, ale spróbuj. Rzecz jest całkiem prosta. Detektor neuroniczny wykrywa aktywność psychiczną na odległość. Innymi słowy, wykrywa istnienie inteligencji.

Fisher spojrzał na nią.

— Coś takiego jak to, czego używają w szpitalach?

— Oczywiście. Normalne urządzenie stosowane w medycynie i psychologii do wczesnego wykrywania schorzeń psychicznych na pewną odległość. Ja potrzebowałam detektora, który pracowałby w odległościach astronomicznych.

Nie jest to nic nowego. To stare urządzenie o zwiększonym zakresie działania. Posłuchaj, Kitle, jeśli Martena żyje, znajdziemy ją na Rotorze, a ten z kolei będzie gdzieś tam, w pobliżu gwiazdy. Mówiłam ci, że odszukanie Osiedla nie będzie łatwe. Jeśli nie znajdziemy go szybko, to kto nam zagwarantuje, że jego tam rzeczywiście nie ma… może jest gdzieś tam, a my akurat nie będziemy mieli czasu, żeby sprawdzić, ominiemy go tak, jak mija się wyspę na oceanie czy asteroid w przestrzeni. I co, spędzimy całe miesiące, a może lata upewniając się, że jego tam nie ma, że przeczesaliśmy każdy zakątek wokół Sąsiedniej Gwiazdy?

— A detektor neuroniczny…

— Znajdzie dla nas Rotora.

— Czy on to rzeczywiście potrafi? Będzie mu łatwiej niż nam?

— Tak. Wszechświat pełen jest światła, fal radiowych, różnego

rodzaju promieniowania i musielibyśmy badać je wszystkie po kolei, odróżniać jedno źródło od drugiego, może od milionów innych. To można zrobić, ale nie jest to łatwe i bardzo czasochłonne. O wiele prościej będzie wykryć promieniowanie elektromagnetyczne powstające w neuronach podczas kompleksowej aktywności psychicznej. Napotykamy tylko jedno źródło takiego promieniowania, a jeśli tych źródeł będzie więcej, to jednym logicznym wnioskiem, jaki będziemy musieli wyciągnąć, będzie istnienie nowych Osiedli wybudowanych przez Rotora. I to cala sprawa. Ja również chcę znaleźć twoją córkę, nie mniej niż ty, Krile. Nie podejmowałabym tych wszystkich kroków, gdybyśmy nie mieli cię zabrać. Polecisz z nami.

— I zmusiłaś ich do pracy nad detektorem? — zapytał Fisher jak w uniesieniu.

— Moje wpływy i władza sięgają daleko, Krile. Chciałam ci tylko zwrócić uwagę, że sprawa detektora objęta jest ścisłą tajemnicą, dlatego nie mogłam powiedzieć ci o nim przy statku.

— Tak? Ale dlaczego?

— Krile — głos Tessy był teraz miękki — spędziłam więcej czasu myśląc o tobie, niż może ci się wydawać. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym oszczędzić ci rozczarowania. Pomyśl jednak, co stanie się, jeśli nic nie znajdziemy w pobliżu Sąsiedniej Gwiazdy? Co będzie, jeśli przeczeszemy całą przestrzeń i nie znajdziemy żadnych sygnałów świadczących o istnieniu inteligentnych form życia wokół Gwiazdy? Wrócimy do domu i zameldujemy, że nie znaleźliśmy Rotora? Proszę, Krile, nie denerwuj się teraz. Nie mówię, że jeśli nie odnajdziemy inteligencji przy Sąsiedniej Gwieździe, to Rotor nie przetrwał.

— A co mówisz?

— Sąsiednia Gwiazda mogła ich rozczarować. Mogli podjąć decyzję o przeniesieniu się w inne miejsce. Być może zatrzymali się przy jakimś asteroidzie, żeby uzupełnić zapasy potrzebne do agregatów mikrofuzyjnych. A potem polecieli dalej.

— Jeśli tak, to skąd będziemy wiedzieli, dokąd zdecydowali się polecić?

— Nie ma ich już od czternastu lat. Mając tylko hiperwspomaganie nie mogą podróżować szybciej od światła. Jeśli dolecieli do jakieś gwiazdy i osiedlili się w jej pobliżu, to odległość do tej gwiazdy nie może przekraczać czternastu lat świetlnych. Takich gwiazd nie ma znowu aż tak wiele. Podróżując z szybkością superluminalną możemy odwiedzić każdą z nich po kolei. A za pomocą detektorów neuronicznych szybko stwierdzimy, czy Rotor jest gdzieś w pobliżu, czy też nie.

— A co będzie, jeśli Rotor przemieszcza się w przestrzeni? Jak ich wtedy znajdziemy?

— Nie znajdziemy. Ale przynajmniej zwiększymy nasze szansę na

znalezienie go, wykorzystując detektor do tuzina gwiazd przez sześć miesięcy, niż gdybyśmy spędzili tyle samo czasu badając jedną gwiazdę bez niego. A jeśli nam się nie uda — a musimy być na to przygotowani — to powrócimy z materiałem badawczym z kilkunastu gwiazd: z białego karła, z niebiesko-białej gwiazdy gorącej, z gwiazdy słońcopodobnej, podwójnej i tak dalej. Będzie to chyba pierwsza i ostatnia podróż w naszym życiu, postarajmy się więc, aby okazała się nas godna — przejdziemy do historii, co Krile?

— Chyba masz rację, Tesso — powiedział zamyślony Fisher. -Jeśli nic nie znajdziemy po poszukiwaniu tuzina gwiazd, będziemy przynajmniej mieli czyste sumienie. Natomiast gdybyśmy wrócili z niczym po zbadaniu jednej gwiazdy, zawsze gryzłaby nas myśl, że Rotor mógł polecieć dalej, a nam brakło czasu i energii, żeby przekonać się o tym.

— Dokładnie tak.

— Postaram się to zapamiętać — powiedział Krile smutnym głosem.

— Jest jeszcze jedna sprawa — dodała Tessa. — Detektor neuroniczny może wykryć inteligencję pochodzenia pozaziemskiego. To również się liczy.

Fisher wyglądał na zaskoczonego.

— Ale to chyba mało prawdopodobne, czyż nie?

— Bardzo mało prawdopodobne i tym bardziej ważne, jeśli się zdarzy. Szczególnie w odległości czternastu lat świetlnych lub mniej. Nic co istnieje we Wszechświecie nie jest tak interesujące, jak obce formy życia — i przy okazji tak niebezpieczne. Powinniśmy o nich wiedzieć.

— Jakie są szansę na wykrycie ich, jeśli są pozaziemskiego pochodzenia? — zapytał Fisher. — Detektory neuroniczne są na wykrywanie ludzkiej inteligencji. Wydaje mi się, że nie będą w stanie rozpoznać obcych form życia — nie wspominając już o inteligencji.

— Być może nie rozpoznamy obcych form życia — powiedziała Tessa — ale z pewnością rozpoznamy inteligencję. Według mnie szukamy inteligencji, a nie życia. Każda inteligencja — bez względu na formę — musi przejawiać kompleksową działalność psychiczną, której fizycznym odpowiednikiem jest coś takiego jak ludzki mózg. Co więcej, aktywność psychiczna zawsze związana jest z elektromagnetyzmem. Wykluczam istnienie inteligencji grawitacyjnej — jako zbyt słabej, a także silnej i słabej inteligencji nuklearnej jako zbyt krótkotrwałej. Co zaś się tyczy hiperpola, nad którym pracujemy, i związanych z nim form inteligencji, możemy przyjąć, że nie istnieje ono w przyrodzie, a tylko wtedy, gdy stworzy je jakaś inteligencja.

Detektor neuroniczny potrafi wykryć każde kompleksowe pole elektromagnetyczne oznaczające inteligencję, bez względu na formę

czy reakcje chemiczne z nią związane. Musimy być przygotowani na spotkanie z ucieczką. Życie w nieinteligentnej postaci nie może stanowić zagrożenia dla cywilizacji technicznej, takiej jak nasza, chociaż każda forma, nawet wirusowa, byłaby dla nas interesująca.

— Ale dlaczego trzymacie to w ścisłej tajemnicy?

— Podejrzewam, a raczej wiem na pewno, że Kongres Globalny chce, żebyśmy wrócili bardzo szybko. Chcą mieć pewność, że projekt zakończył się sukcesem, chcą budować nowe statki superluminalne opierając się na naszych doświadczeniach z prototypem. Ja natomiast — jeśli wszystko pójdzie dobrze — chciałabym zobaczyć Wszechświat, a oni niech sobie czekają. Nie twierdzę, że tak właśnie zrobimy, mimo to nie rezygnuję z tej opcji. Gdyby dowiedzieli się o moich planach — co ja mówię, gdyby tylko domyślali się, że taki pomysł przyszedł mi do głowy — zmieniliby całą załogę statku na ludzi posłusznych ich rozkazom.

Fisher uśmiechnął się słabo.

— Co się stało, Krile? — zapytała Tessa. — Przypuśćmy, że nie znajdziemy Rotora? Chciałbyś wrócić na Ziemię całkowicie rozczarowany? Wszechświat jest nasz, a ty chciałbyś się poddać?

— Nie. Zastanawiam się tylko, jak długo potrwa montowanie detektorów i wszystkich innych rzeczy, które przyjdą ci do głowy. Za kilkanaście miesięcy skończę pięćdziesiąt lat. Agenci pracujący dla Biura rutynowo przechodzą do innych zajęć w tym wieku. Dostają pracę administracyjną na Ziemi i nie wolno im już latać w kosmos.

— I co?

— Za mniej niż dwa lata nie będę się kwalifikował do lotu. Powiedzą mi, że jestem za stary i Wszechświat nie będzie już mój.

— Bzdura! Ja lecę, a mam już ponad pięćdziesiąt lat.

— Ty to co innego. Statek jest twój.

— Ty również, ponieważ ja tego chcę. Poza tym wcale nie będzie tak łatwo znaleźć odpowiednich ludzi do załogi Superluminala. Możemy liczyć wyłącznie na ochotników. Nie możemy pozwolić sobie na oddanie statku w ręce niechętnych i przestraszonych ludzi z nakazu.

— Jest mało chętnych?

— Krile, mój drogi chłopcze, mówimy o Ziemianach, a dla każdego niemal Ziemianina kosmos to koszmar. Hiperprzestrzeń to koszmar do potęgi — dlatego nie ma chętnych. Jesteśmy tylko ja i ty, a musimy mieć jeszcze trzech ochotników i powiadam ci, że wcale nie będzie łatwo ich znaleźć. Rozmawiałam z wieloma ludźmi i znalazłam dwóch, którzy wstępnie wyrazili zgodę: Chao-Li Wu i Henry Jarlow. Brakuje nam jeszcze jednego. A nawet gdyby zgłosiła się nagle — co jest absolutnie wykluczone — setka nowych ochotników, nie wyrzucą cię z załogi, ponieważ ja chcę mieć na pokładzie ambasadora do

rozmów z Rotorem, jeśli do nich dojdzie. Poza tym obiecuję ci, że wyruszymy, zanim skończysz pięćdziesiąt lat.

Fisher uśmiechnął się z ulgą i powiedział:

— Tesso, kocham cię. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

— Nie — odpowiedziała — nie mam pojęcia, szczególnie, gdy mówisz to takim głosem, jak gdybyś spodziewał się najgorszego. To dziwne, Krile, ale przez te osiem lat odkąd jesteśmy razem, mieszkamy ze sobą, śpimy ze sobą, nigdy nie powiedziałeś, że mnie kochasz.

— Nigdy?

— Nigdy, możesz mi wierzyć. Słuchałam tego, co mówiłeś. I wiesz, co jeszcze jest dziwne? Ja też nigdy nie mówiłam, że cię kocham, a kocham cię. To wszystko źle się zaczęło. A jednak coś stało się między nami.

— Być może zakochiwaliśmy się w sobie stopniowo — powiedział Fisher zniżając głos — i nawet tego nie zauważyliśmy. To się zdarza, prawda?

Uśmiechnęli się do siebie nieśmiało, jak gdyby zastanawiając się co robić dalej.

Rozdział 25
POWIERZCHNIA

Eugenia Insygna była pełna obaw. A nawet więcej.

— Coś ci powiem, Siever, nie przespałam spokojnie ani jednej nocy od waszej wyprawy samolotem — jej głos zamienił się w coś, co u kobiety o mniejszych walorach charakteru nazwano by piskiem. — Czy lot — lot nad oceanem i powrót późno w nocy — nie wystarczył jej? Dlaczego jej nie powstrzymasz?

— Dlaczego ja nie chcę jej powstrzymać? — powtórzył Genarr powoli, jak gdyby obracając w myślach to pytanie. — Dlaczego jej nie powstrzymuję? Eugenio, już dawno przekroczyliśmy etap, na którym ktokolwiek mógłby ją powstrzymać.

— Nie bądź śmieszny, Siever. To, co mówisz, brzmi jak tchórzostwo. Chowasz się za nią, udajesz, że jest wszechpotężna.

— A nie jest? Ty jesteś jej matką, każ jej zostać w Kopule. Insygna przygryzła wargi.

— Ona ma już piętnaście lat. Nie chcę jej tyranizować.

— Przeciwnie. Bardzo tego chcesz. Ale gdybyś tylko spróbowała, Martena spojrzałaby na ciebie tymi swoimi niezwykłymi oczami i powiedziała coś takiego: „Mamo, czujesz się winna, dlatego że pozbawiłaś mnie ojca, uważasz, że cały Wszechświat sprzysiągł się, aby ci mnie odebrać jako karę i zadośćuczynienie, a to jest niemądry przesąd".

Insygna oburzyła się.

— Sieverze, to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Nic takiego nie czuję, nie mogę nawet.

— Oczywiście, że nie. Wymyśliłem to. Ale Marlena nie będzie niczego wymyślać. Ona powie ci prawdę, pozna ją po tym. jak zginasz kciuk albo jak drapiesz się po łopatkach, albo coś w tym rodzaju. Powie ci i będzie to najprawdziwsza prawda, i w dodatku tak bolesna, że będziesz zbyt zajęta szukaniem wykrętów na własną obronę, żeby móc przeciwstawić się jej. Wszystko, tylko nie odzieranie własnej psychiki z warstw ochronnych, kawałek po kawałku.

— Mówisz to z własnego doświadczenia?

— Nie bardzo. Marlena mnie lubi, a ja staram się zachować dyplomatycznie w jej obecności. Gdybym jednak spróbował przeciwstawić się jej, wolę nie myśleć, co by ze mnie zostało. Posłuchaj, udało mi się odwlec termin wyjścia. Sama musisz przyznać, że Marlena chciała wyjść natychmiast po powrocie z wyprawy

samolotem. Powstrzymałem ją do końca miesiąca.

— Jak to zrobiłeś?

— Czysta sofistyka, zapewniam cię. Mamy teraz grudzień. Powiedziałem jej, że za trzy tygodnie rozpocznie się Nowy Rok, licząc według ziemskich standardów. Jak można lepiej uczcić nowy 2237 rok — zapytałem ją — jeśli nie poprzez rozpoczęcie nowej ery eksploracji planety Erytro? Sama wiesz, że ona patrzy na to właśnie z takiego punktu widzenia — widzi siebie jako pioniera nowej ery. Niestety.

— Dlaczego niestety?

— Ponieważ nie traktuje tego jako własnej zachcianki, lecz jak coś o olbrzymim znaczeniu dla Rotora, a może nawet dla ludzkości. Nie ma nic piękniejszego, niż spełnianie własnych zachcianek i nazywanie tego szlachetnym wkładem w powszechne dobro. Z miejsca masz wytłumaczenie dla wszystkiego. Sam to robiłem, więc wiem, ty

także, chyba wszyscy kiedyś to robili. A szczególnie Pitt. On robił to najczęściej. W tej chwili prawdopodobnie jest

już przekonany, że oddycha tylko po to, by dostarczyć dwutlenku węgla roślinkom na Rotorze.

— A więc zmusiłeś ją do odłożenia wyprawy, grając kartą jej megalomanii.

— Tak. Mamy jeszcze jeden tydzień na zastanowienie się, jak ją powstrzymać. Chociaż ona nie jest łatwowierna, nie dała się nabrać na moją prośbę. Zgodziła się zostać, lecz wiesz, co powiedziała? „Myślisz, że jeśli opóźnisz moje wyjście, to moja matka spojrzy na ciebie łaskawym wzrokiem? Przyznaj się, wujku Sieverze? Nic nie wskazuje, żebyś traktował nadejście Nowego Roku jako istotną datę."

— Cóż za nieznośny brak wychowania. Jak mogła, Siever?

— To tylko nieznośna, lecz konsekwentna logika, Eugenio. Co zresztą na jedno wychodzi. Insygna spojrzała w bok.

— „Łaskawym wzrokiem"? Też coś!

— Nic nie mów — przerwał jej szybko Genarr. — Wyznałem ci, że kochałem cię kiedyś… I to, że się zestarzałem… ciągle starzeję… nie zmieniło moich uczuć do ciebie. Ale to jest mój problem. Ty zawsze stawiałaś sprawę uczciwie. Nigdy nie dawałaś mi nadziei. A jeśli ja jestem na tyle głupi, by nie przyjmować do wiadomości twojego „nie", to nie twoje zmartwienie…

— Martwię się tym, że jesteś nieszczęśliwy z jakiegoś powodu.

— To mi wystarczy — Genarr usiłował uśmiechnąć się. — To więcej niż nic.

Insygna nie patrzyła na niego. Postanowiła wrócić do sprawy Marleny.

— Dlaczego Marlena — znając twoje motywy — zgodziła się odłożyć wyjście?

— Nie spodoba ci się to, co powiem, ale nie mogę kłamać. Martena powiedziała mi tak: „Poczekam do Nowego Roku, wujku Sieverze, ponieważ może to zadowoli mamę. Jestem po twojej stronie”

— Ona tak powiedziała?

— Nie bierz jej tego za złe. Z pewnością zafascynowałem ją swoim urokiem i dowcipem, i myśli, że wyświadcza ci przysługę.

— Zachowuje się jak swatka — powiedziała Insygna na pół rozbawiona, na pół poirytowana.

— Tak. Przyszło mi do głowy, że gdybyś ty zmusiła się do okazania mi większego zainteresownia, być może moglibyśmy skłonić ją do zrobienia paru rzeczy, które w jej mniemaniu przyczyniłyby się do pogłębienia twojego zainteresowania mną — ale nie mogłabyś udawać, bo ona przejrzałaby na wylot naszą grę. Z drugiej strony jednak, gdybyś nie udawała, ona nie czułaby się zobowiązana do poświęceń na moją korzyść. Rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedziała Insygna. — Gdyby nie zwiększona percepcja Marleny, twój stosunek do mnie byłby iście makiaweliczny.

— Rozłożyłaś mnie na łopatki, Eugenio.

— No cóż, pozostało nam najprostsze wyjście. Możemy ją zamknąć i siłą zmusić do powrotu na Rotora.

— Ze związanymi rękami i nogami, jak przypuszczam? Nie licz na mnie. Ja rozumiem wizję Marleny. Podoba mi się pomysł skolonizowania Erytro — świata, który tylko czeka, aby go wziąć.

— I wdychać jego obce bakterie, zjadać je w pożywieniu i wypijać z wodą — twarz Insygny wykrzywił grymas obrzydzenia.

— No to co? Teraz również wdychamy, jemy i wypijamy je — co prawda w niewielkich ilościach. Kopuła nie jest całkowicie wyjałowiona. Na Rotorze też są bakterie, które wdychamy, jemy i wypijamy…

— Tak, ale to są bakterie, do których przywykliśmy. To nie są obce bakterie.

— Tym lepiej dla nas. Jeśli my nie przywykliśmy do nich, to one także nie przywykły do nas. Nic nie wskazuje na to, że powstają jakieś szczepy pasożytnicze. Bakterie Erytro będą tak nieszkodliwe jak kurz.

— A Plaga?

— Tak, to jest problem, nawet w tak — wydawałoby się — nieskomplikowanej sprawie, jak wypuszczenie Marleny na zewnątrz. Zabezpieczymy się jednak.

— Jak?

— Po pierwsze, nałożymy skafandry. Po drugie, ja będę z nią. Będę jej kanarkiem.

— Kanarkiem?

— Tak. To nie jest mój wynalazek — wymyślono go przed

wiekami na Ziemi. Górnicy brali ze sobą na dół kanarki — wiesz, takie małe, żółte ptaszki. Jeśli w powietrzu zaczynał unosić się gaz, kanarki zdychały pierwsze, a ludzie opuszczali kopalnię. Innymi słowy, jeśli ja zacznę zachowywać się nienormalnie, natychmiast zostaniemy sprowadzeni do Kopuły.

— A jeśli ona będzie pierwsza?

— Nie sądzę, aby było to możliwe. Marlena wie, że jest odporna. Powtarzała to tak wiele razy, że ja jej wierzę.

Eugenia Insygna nigdy przedtem nie oczekiwała Nowego Roku spoglądając tak często na kalendarz. Nigdy przedtem nie miała powodów ku temu. Kalendarz spełniał w jej życiu szczątkową rolę, dwukrotnie zresztą rezygnowała z jego usług.

Na Ziemi rok rozpoczynał się od oznaczania pór roku i świąt z nimi związanych. Pory roku określano jakoś dziwacznie: śródlecie, śródzimie, sianie, żniwa. Krile (jak pamiętała) usiłował kiedyś wytłumaczyć jej subtelności kalendarza. Mówił o nich na swój poważny, głęboki sposób — mówił tak o wszystkim, co miało jakiś związek z Ziemią. Słuchała go z zapałem, a zarazem z obawą; z zapałem, ponieważ chciała podzielić jego zainteresowania, które mogły zbliżyć ich do siebie; i z obawą, ponieważ spodziewała się, że jego uwielbienie dla Ziemi może w końcu zadecydować o jego odejściu — i tak się zresztą stało.

To dziwne, jak bardzo bolesne jest to wspomnienie — a może już nie? Wydawało jej się, że zapomniała nawet, jak wygląda twarz Krile Fishera, że późniejsze wspomnienia zatarły pamięć o nim w jej umyśle. Ale czy zupełnie? Czy pomiędzy nią a Sieverem Genarrem stało tylko zatarte wspomnienie?

Kolejnym wspomnieniem wspomnienia było istnienie kalendarza na Rotorze. Osiedla nie znały pór roku. Miały oczywiście lata, ponieważ (z wyjątkiem kilku zbudowanych w pasie asteroidów w pobliżu Marsa) towarzyszyły systemowi Ziemia-Księżyc w jego wędrówce wokół Słońca. Jednak bez pór roku sam rok przestawał mieć jakikolwiek sens. Utrzymano go mimo wszystko, razem z miesiącami i tygodniami.

Na Rotorze liczono także dni i zachowano dwudziestoczterogodzinny podział na doby. Podczas dnia wpuszczano Słońce do Osiedla, podczas nocy zasłaniano jego promienie. Dni i doby w Osiedlach mogłyby być oparte na dowolnym podziale czasowym, zdecydowano się jednak zachować długość ziemskiego dnia podzielonego na dwadzieścia cztery godziny, po sześćdziesiąt minut każda. Minuty, tak samo jak na Ziemi, miały sześćdziesiąt sekund. Okresy dnia i nocy podzielono na równe dwanaście godzin.

Niektóre Osiedla postulowały przyjęcie nowego systemu, który miał polegać na numerowaniu dni i grupowaniu ich w dziesiątki i ich

wielokrotności, takie jak: dekadni, hektodni, kilodni, a w drugą stronę w decydni, centydni, milidni. Cały projekt okazał się jednak niemożliwy do zrealizowania.

Osiedla nie mogły wprowadzić własnych systemów ze względu na chaos, jaki powstałby w handlu i komunikacji. Jedyny zunifikowany system kalendarzowy był systemem ziemskim, na Ziemi bowiem mieszkało 99 % populacji ludzkiej. Pozostały 1 % związany był z większością więzami tradycji. Wspomnienia utrzymywały na Rotorze i innych Osiedlach kalendarz, który praktycznie nie miał dla nich żadnego znaczenia.

Rotor opuścił jednak Układ Słoneczny i stał się samodzielnym, odizolowanym od innych światem. Nie istniały na nim obecnie ani dni, ani miesiące czy lata w ziemskim sensie. Nocy od dnia nie oddzielała obecność Słońca. Osiedla oświetlano, sztucznie zaciemniano co dwanaście godzin. Zapalanie i gaszenie lamp odbywało się z denerwującą precyzją, nie poprzedzało go bowiem żadne stadium pośrednie, takie jak ziemski przedświt czy zmrok. Nie było takiej potrzeby. Dwunastogodzinny cykl dnia nocy dotyczył całego Osiedla, jednak w domach prywatnych włączano i wyłączano światło w dowolnych porach — według życzenia i zapotrzebowania mieszkańców. Doby liczono jednak w sposób osiedlowy, czyli ziemski. Nawet tutaj, w Kopule Erytro — pomimo istnienia naturalnego cyklu dnia i nocy (w zasadzie niewiele ludzi orientowało się, kiedy jest noc, a kiedy erytrojański dzień) — używano w oficjalnych kalkulacjach niezbyt odpowiedniej do okoliczności doby Osiedla, opartej na dobie ziemskiej (wspomnienie wspomnienia).

Tu i ówdzie dawały się słyszeć głosy, aby doba stała się jedynym miernikiem czasu. Insygna doskonale wiedziała, że Pitt był zwolennikiem systemu dziesiętnego, lecz nawet on wahał się przed powszechnym wprowadzeniem go w życie ze względu na konsekwencje polityczne.

Jednak prędzej czy później ktoś zdecyduje się na wprowadzenie zmian. Po co komu nieważne i niepotrzebne jednostki tygodni i miesięcy? Po co powszechnie ignorowane tradycyjne święta? Insygna, jako astronom, używała wyłącznie dób jako jedynych znaczących jednostek. Któregoś dnia stary kalendarz umrze i narodzi się nowy, przyszły, oparty na doskonalszych i powszechnie stosowanych metodach pomiaru czasu — Galaktyczny Kalendarz Standardowy.

Na razie jednak Insygna odliczała dni do Nowego Roku, arbitralnie ustalonego Nowego Roku. Na Ziemi Nowy Rok zaczynał się przynajmniej podczas przesilenia dnia z nocą: zimowego na północnej półkuli i letniego na południowej. Wiązało to się z obiegiem Ziemi wokół Słońca, o czym na Rotorze pamiętali tylko astronomowie.

Insygna była astronomem, jednak ten Nowy Rok oznaczał dla niej

jedynie wyjście Marleny na powierzchnię Erytro. Siever Genarr wybrał tę datę jako w miarę wiarygodne wytłumaczenie zwłoki, zaakceptowanej przez Marlenę ze względu na wyimaginowany romans pomiędzy jej matką a Genarrem. Insygna zakończyła wędrówkę po odmętach własnej pamięci i stwierdziła, że Marlena stoi przed nią od jakiegoś czasu i przygląda się jej poważnie. Kiedy weszła do pokoju? Zrobiła to tak cicho, że Insygna pogrążona we własnych myślach nie usłyszała odgłosu kroków.

— Cześć, Marleno — powiedziała szeptem.

— Nie jesteś szczęśliwa, mamo — odrzekła poważnie Marlena.

— Nie trzeba mieć nadpercepcji, żeby to stwierdzić. Marleno. Czy ciągle jeszcze chcesz wyjść na powierzchnię?

— Tak. Absolutnie. Koniecznie.

— Ale dlaczego, dlaczego? Wyjaśnij mi to tak, abym mogła zrozumieć.

— Nie, ponieważ ty nie chcesz zrozumieć. Erytro mnie wzywa.

— Co cię wzywa?

— Erytro. Chce, żebym wyszła — ponurą zwykle twarz Marleny rozjaśnił blask szczęścia.

Insygna zareagowała natychmiast.

— Rozmawiając ze mną w ten sposób, dajesz mi powody do obaw o twoje zdrowie i zarażenie się tą… tą…

— Plagą? Nie, nie jestem zarażona. Wujek Siever zrobił mi właśnie kolejne badanie mózgu. Powiedziałam mu, że to nie jest konieczne, ale nalegał; powiedział, że wyniki są mu potrzebne do dokumentacji przed wyjściem. Ja jestem całkowicie normalna.

— Badania mózgu nie mogą stwierdzić wszystkiego — powiedziała oburzona Insygna.

— Obawy matki także nie — odpowiedziała Marlena, a potem dodała bardziej delikatnym głosem: — Mamo, proszę cię, wiem, że grasz na zwłokę, lecz ja nie mogę zgodzić się na dalsze opóźnienia. Wujek Siever dał mi słowo. Nawet, jeśli będzie deszcz, nawet, jeśli pogoda będzie zła, ja wychodzę. Poza tym o tej porze nie ma tu żadnych burz ani skoków temperatury. Mówiąc prawda, nigdy ich nie ma. To cudowny świat.

— Jest dziki… martwy. Żyją na nim tylko zarazki — powiedziała z obrzydzeniem Insygna.

— Lecz któregoś dnia powstanie na nim nowe życie, nasze życie — oczy Marleny zagubiły się w marzeniach. — Jestem tego pewna.

— Skafander E jest bardzo nieskomplikowany — powiedział Siever Genarr. — Nie jest przeznaczony do pracy w próżni. Nie jest także przeznaczony do nurkowania. Posiada hełm, zapas powietrza — które może być regenerowane pod ciśnieniem oraz termostat regulujący temperaturę wewnątrz skafandra. Jest absolutnie

nieprzepuszczalny.

— Czy będzie na mnie pasował? — zapytała Marlena przyglądając się z niesmakiem grubej, pseudotekstylnej powłoce skafandra.

— Tak, z tym że musisz zapomnieć o modzie — odpowiedział Genarr mrużąc oczy. — Zaprojektowano go nie po to, by ładnie w nim wyglądać, lecz po to, by bezpiecznie pracować.

— Nie chcę wyglądać ładnie — powiedziała Marlena z lekkim zniecierpliwieniem — ale nie chcę też potykać się o własne nogawki, wujku Sieverze. Jeśli skafander utrudnia chodzenie, to jest nic nie warty.

— Skafander ma cię chronić — przerwała jej Insygna, przyglądająca się całej scenie z pobladłą twarzą i spierzchniętymi wargami. — I tylko to się liczy.

— Lecz nie musi być niewygodny, mamo, prawda? Jeśli przypadkiem będzie na mnie pasował, to nie znaczy, że przestanie mnie chronić.

— Myślę, że ten będzie dobry — powiedział Genarr. — To najlepszy, jaki udało nam się znaleźć. Mamy niestety same duże rozmiary — i zwracając się do Insygny dodał: — Nie używamy ich teraz zbyt często. Po pierwszym uderzeniu Plagi prowadziliśmy pewne badania, znamy więc całkiem nieźle okolice wokół Kopuły. Wyjeżdżając dalej, używamy zamkniętych pojazdów E.

— Szkoda, że teraz nie chcecie ich użyć.

— Nie — odpowiedziała Marlena zaniepokojona propozycją matki. — Byłam już w pojeździe. Teraz chcę chodzić, chcę czuć grunt pod nogami.

— Jesteś szalona — powiedziała Insygna z rezygnacją.

— Przestań wreszcie sugerować, że… — wybuchła nagle Marlena.

— Gdzie się podziała twoja percepcja? — nie dała jej dokończyć Insygna. — Nie mówiłam o Pladze. Miałam na myśli zwykłe szaleństwo, normalną głupotę. Ja także… Marleno, ty mnie również doprowadzasz do szaleństwa.

A potem zwróciła się do Sievera:

— Jeśli te skafandry są stare, to skąd masz pewność, że są szczelne?

— Stąd, że testowaliśmy je. Zapewniani cię, Eugenio, że skafandry są całkowicie sprawne. Pamiętaj, że ja także wychodzę i również będę ubrany w skafander.

Insygna wyraźnie szukała powodu do dalszych obiekcji.

— A przypuśćmy, że nagle będziecie musieli… — machnęła ręką z desperacją.

— Oddać mocz? O to ci chodzi? To da się załatwić, chociaż sprawa nie będzie prosta. Myślę jednak, że do tego nie dojdzie.

Opróżniliśmy pęcherze i powinniśmy mieć spokój przez następne kilka godzin — przynajmniej teoretycznie. Poza tym nie wybieramy się daleko, tak że w nagłej potrzebie będziemy mogli wrócić do Kopuły. A teraz, Eugenio, musimy już iść. Warunki na zewnątrz są dobre — trzeba to wykorzystać. Pozwól Marleno, że pomogę ci zapiąć skafander.

— Nie wiem, z czego tak się cieszysz? — powiedziała ostro Eugenia.

— Jak to z czego? Z wyjścia. Mówiąc prawdę. Kopuła powoli staje się dla mnie więzieniem. Może gdyby nasi ludzie częściej wychodzili na zewnątrz, ich pobyt tutaj stałby się znośniejszy i zostawaliby dłużej.

— W porządku, Marleno, teraz tylko hełm. Doskonale.

— Chwileczkę, wujku Sieverze — Marlena zawahała się, a potem podeszła do Insygny wyciągając rękę w bufiastym

skafandrze. Insygna spoglądała na nią z rozpaczą.

— Mamo — zaczęła Marlena — proszę cię jeszcze raz, uspokój się. Kocham cię i nie wychodzę po to, by zrobić ci na złość, czy dla własnego widzimisię. Wychodzę, ponieważ wiem, że nic mi się nie stanie. Nie musisz się martwić. Założę się, że sama chciałabyś wskoczyć w skafander i wyjść ze mną, choćby po to, by mieć mnie na oku, ale naprawdę nie musisz tego robić.

— Nie muszę? Marleno? A jeśli coś ci się stanie? A ja nawet nie będę mogła ci pomóc? Nigdy sobie tego nie wybaczę.

— Nic mi się nie stanie. A nawet gdyby, to jak mogłabyś mi pomóc? Poza tym ty strasznie się boisz Erytro, twój umysł jest narażony na różne złe wpływy. Co stanie się, jeśli Plaga uderzy w ciebie, a nie we mnie? Jak ja będę się wtedy czuła?

— Ona ma rację, Eugenio — powiedział Genarr. — Wystarczy, że ja będę z nią na zewnątrz. Najlepszą rzeczą, jaką możesz zrobić, jest zostanie tutaj i zachowanie zimnej krwi. Wszystkie skafandry posiadają radia. Ja i Marlena będziemy w ciągłym kontakcie ze sobą, nie wspominając oczywiście o komunikowaniu się z Kopułą. Obiecuję ci, że jeśli Marlena zacznie zachowywać się dziwnie, jeśli tylko powstanie we mnie podejrzenie, że coś jest nie w porządku, natychmiast przyprowadzę ją do Kopuły. To samo odnosi się do mnie — jeśli poczuję się źle, wrócimy obydwoje.

Insygna pokręciła głową i nie wyglądała na zadowoloną, przyglądając się, jak Marlena, a potem Genarr zakładają hełmy.

Znajdowali się w pobliżu głównej śluzy powietrznej Kopuły. Odkręcono zawory. Resztę procedury Insygna znała na pamięć, jak każdy mieszkaniec Osiedla.

Zwiększono ciśnienie powietrza w śluzie. Zapewniało to wypływ powietrza z Kopuły na zewnątrz i chroniło przed wpływem powietrza

z zewnątrz. Każdy etap był nadzorowany przez komputery sprawdzające szczelność śluzy.

Otworzono wewnątrz właz. Genarr wszedł do śluzy i gestem zaprosił Marlenę. Dziewczyna przestąpiła próg i właz został zamknięty. Insygna straciła z oczu obydwie postacie. Poczuła, jak zamiera w niej serce.

Przyglądała się schematowi kontrolnemu śluzy. Zobaczyła, że otwiera się zewnętrzny właz, który zaraz potem zamknął się automatycznie. Holoekran ożywił się i Insygna wbiła wzrok w dwoje ubranych w skafandry ludzi, stojących na dzikiej powierzchni Erytro.

Jeden z inżynierów wręczył jej małe słuchawki połączone z odpowiednio dopasowanym do ust mikrofonem. Głos w słuchawkach powiedział: „Kontakt radiowy" i zaraz potem Insygna usłyszała znajomy ton:

— Mamo, słyszysz mnie?

— Tak, kochanie — jej własny głos brzmiał w uszach sucho i nienaturalnie.

— Wyszliśmy i jest cudownie. Nie mogło być lepiej.

— Tak, kochanie — powtórzyła Insygna, czując wewnątrz pustkę i zagubienie. Zastanawiała się, czy zobaczy jeszcze córkę przy zdrowych zmysłach.

Stawiając pierwsze kroki na powierzchni Erytro, Siever Genarr odczuwał niemal radość. Tuż za nim wznosiła się krzywizna ściany Kopuły, Genarr nie odwracał się jednak, nie chciał, aby cokolwiek nieerytrojańskiego psuło mu widok nowego świata. Widok? Czy w jego sytuacji można było mówić o rzeczywistym widoku? Zamknięty w skafandrze, odgrodzony od świata hełmem, oddychał powietrzem pochodzącym z Kopuły, a przynajmniej oczyszczonym w Kopule. Nie czuł zapachu planety, nie znał jej smaku, rzeczywistość znajdowała się po drugiej stronie skafandra.

Mimo to czuł się szczęśliwy. Podeszwami butów deptał po Erytro. Powierzchnia planety nie była skalista, przypominała raczej żwir, pomiędzy którym widoczne były grudki ziemi. Na Erytro było wystarczająco dużo powietrza i wody, które poprzez miliony lat zniszczyły pierwotną skalną skorupę globu. Prokarioty w swej niezliczonej obfitości także przyczyniły się do zmiany wyglądu świata.

Gleba Erytro była miękka. Poprzedniego dnia spadł deszcz, delikatny, mglisty erytrojański deszcz, który skąpał tę część planety. Ziemia ciągle jeszcze była wilgotna i Genarr wyobraził sobie grudki gleby, maleńkie okruszyny piasku i gliny pokryte cienką, odświeżającą warstwą wody. W wodzie swój szczęśliwy żywot j wiodły komórki prokariotów, skąpane w promieniach Nemezis, tworząc skomplikowane struktury białkowe ze struktur prostych. Inne prokarioty — obojętne na energię słoneczną — żywiły się

pozostałościami po tych pierwszych, które całymi trylionami umierały w każdej sekundzie.

Marlena stała obok. Spoglądała do góry.

— Nie patrz na Nemezis — powiedział Genarr.

Jej głos brzmiał naturalnie w jego uszach. Ton, jakim mówiła, wskazywał, że jest rozluźniona l pozbawiona wszelkich obaw. Czuło się wzbierającą w niej radość.

— Patrzę na chmury, wujku Sieverze — powiedziała.

Genarr także uniósł głowę. Spojrzał na ciemne niebo, na którym widoczna była przez chwilę zielonożółta poświata. Niżej wędrowały postrzępione obłoki zwiastujące pogodę, w których odbijały się promienie Nemezis w całym swoim pomarańczowym wdzięku.

Planeta była niezwykle cicha. Żaden odgłos nie przerywał odwiecznego spokoju Erytro. Nikt tu nie śpiewał, nie warczał, nie chrząkał, nie wył, nie ćwierkał ani nie trylował, nikt nawet nie szeptał. Nie było szumiących liści ani brzęczących owadów. Niezbyt częste burze wybuchały co prawda piorunami, wiał także wiatr gwiżdżący pośród skał, jednak podczas tak spokojnego dnia jak ten, żaden odgłos nie mącił ciszy Erytro.

Genarr poczuł, że musi się odezwać, choćby tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie ogłuchł. (Nie, nie mógł ogłuchnąć, słyszał przecież w słuchawkach swój własny oddech.)

— Wszystko w porządku, Marleno?

— Czuję się cudownie. Spójrz, tam dalej płynie strumień — Marlena przyśpieszyła, przeszła niemal do biegu spowalnianego przez niewygodny skafander.

— Uważaj, nie potknij się — powiedział do niej.

— Będę ostrożna — jej głos nie osłabł w słuchawkach mimo dzielącej ich odległości. Przecież porozumiewali się przez radio. Nagle Genarr usłyszał Eugenię Insygnę.

— Dlaczego Marlena biegnie, Siever? — A potem pytanie wprost do dziewczyny: — Dlaczego biegniesz, Marleno?

Marlenie nie chciało się odpowiadać. Zrobił to za nią Genarr.

— Pobiegła przyjrzeć się jakiemuś strumieniowi przed nami.

— Czy dobrze się czuje?

— Oczywiście. Tutaj jest wprost niesamowicie pięknie. W tej chwili nie wygląda to nawet dziko. Krajobraz przypomina mi… malarstwo abstrakcyjne.

— Odpuść sobie te artystyczne skojarzenia, Siever. Nie pozwól jej oddalać się od siebie.

— Nie martw się. Utrzymuję z nią ciągły kontakt. Teraz też. Marlena słyszy każde nasze słowo. Nie odpowiada, ponieważ nie chce, aby jej przeszkadzano. Uspokój się, Eugenio. Marlena dobrze się bawi. Nie psuj tego.

Genarr był święcie przekonany, że Marlena dobrze się bawi. Sam również czuł się doskonale. Marlena biegła brzegiem strumienia. Nie widział potrzeby, aby jej towarzyszyć. Niech się nacieszy — pomyślał.

Kopuła stała na skalistym wzniesieniu, jej otoczenie poprzecinane było małymi strumieniami, które łączyły się trzydzieści kilometrów dalej w spora rzekę, która z kolei wpadała do morza. Strumienie były bardzo przydatne. Zaopatrywały Kopułę w wodę, z której wystarczyło jedynie usunąć prokarioty („zabić" byłoby tutaj bardziej odpowiednim słowem), by woda nadawała się do spożycia. We wczesnym okresie istnienia Kopuły znaleźli się, co prawda, nawiedzeni biolodzy, którzy sprzeciwiali się „mordowaniu" prokariotów, ale Genarrowi wydawało się to śmieszne i dziecinne. Maleńkie komórki występowały na Erytro w takich ilościach i mnożyły się tak niezwykle szybko, że żaden zabieg oczyszczenia wody nie mógł wpłynąć na rozwój ich populacji.

A gdy na porządku dziennym stanęła sprawa Plagi, nienawiść do Erytro nabrała takich rozmiarów, że nikt nie

zwracał uwagi na los prokariotów.

Teraz Plaga nie stanowiła takiego zagrożenia i w niektórych, być może, znowu odezwą się odczucia humanitarne

(„biotame", jak w myślach nazywał je Genarr.) Prywatnie nawet sympatyzował z nimi, z drugiej strony jednak musiał dbać o zaopatrzenie Kopuły w wodę.

Zamyślony Genarr stracił z oczu Marlenę. W jego słuchawkach rozległ się krzyk.

— Marleno! Marleno! Siever, co ona robi?

Spojrzał wprost i już miał odpowiedzieć z automatyczną pewnością siebie, że wszystko jest w porządku, gdy do jego świadomości dotarł obraz Marteny.

Przez chwilę trudno mu było rozpoznać, co właściwie robi. Wpatrywał się w nią w różowej poświacie Nemezis.

A potem zrozumiał. Odpięła hełm i zdjęła go. W tej chwili zajęta była rozpinaniem reszty skafandra.

Musi ją powstrzymać!

Próbował krzyknąć, ale jego głos zamarł w gardle. Chciał podbiec do niej, ale jego nogi były jak z ołowiu. Nie mógł poruszyć żadnym mięśniem.

Poczuł się tak, jak w koszmarnym śnie, w którym zdarzają się okropne rzeczy, a człowiek nie może na nie zareagować. A może na skutek napięcia umysłu stracił kontrolę nad ciałem?

A jeśli to Plaga? — zastanawiał się przerażony Genarr. Co stanie się z Martena wystawioną teraz na światło Nemezis i powietrze Erytro?

Rozdział 26
PLANETA

Krile Fisher spotkał Koropatskiego tylko dwukrotnie, odkąd ten zajął stanowisko zajmowane uprzednio przez Tanayamę i stał się faktycznym, chociaż nie tytularnym, szefem projektu. Krile nie miał jednak kłopotów z rozpoznaniem go na wideografii. Koropatsky ciągle był tym samym zadowolonym z siebie grubasem. Ubierał się dobrze, nosił najmodniejsze, duże, powiewające krawaty.

Fisher, który odpoczywał tego ranka, nie wyglądał zbyt elegancko, nie odmówił jednak przyjęcia dyrektora, chociaż przybył on bez uprzedzenia. Wcisnął klawisz „Czekać" na swym domowym wideofonie. Z drugiej strony powinna pojawić się figurka zapraszającego do środka gospodarza (lub gospodyni — na ekranie trudno było rozpoznać płeć), z ręką uniesioną do góry, co w powszechnie zrozumiałym języku oznaczało: „chwileczkę", bez potrzeby dalszych słownych wyjaśnień.

Przyczesał włosy i doprowadził do porządku ubranie. Powinien się ogolić. Lecz dalsza zwłoka mogłaby zostać odczytana jako zniewaga. Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Koropatsky. Uśmiechnął się przyjemnie i powiedział:

— Dzień dobry, Fisher. Wiem, że ci przeszkadzam.

— Ależ nie, dyrektorze — odpowiedział Krile, usiłując nadać głosowi wiarygodne brzmienie — ale jeśli przyszedł pan zobaczyć się z doktor Wendel, to niestety wyszła już do pracy.

Koropatsky chrząknął.

— Wiesz, spodziewałem się tego. Nie mam więc powodu i muszę porozmawiać z tobą. Mogę usiąść?

— Oczywiście, bardzo proszę dyrektorze — Fisher zżymał się na siebie, że nie zaproponował zajęcia miejsca wcześniej. — Czy życzy pan sobie coś do picia?

— Nie — Koropatsky poklepał się po brzuchu. — Ważę się co rano i już sama ta procedura odbiera mi ochotę do przyjmowania płynów, nie wspominając o jedzeniu. Posłuchaj Fisher, nigdy nie miałem okazji porozmawiać z tobą jak mężczyzna z mężczyzną. A bardzo tego pragnąłem.

— Cała przyjemność po mojej stronie — wymamrotał Fisher, zaczynając odczuwać pewien niepokój. O co tu chodzi?

— Nasz planeta ma wobec ciebie dług.

— Jeśli pan tak mówi, dyrektorze… — odpowiedział.

— Byłeś na Rotorze, zanim odleciał.

— Czternaście lat temu, dyrektorze.

— Wiem. Wziąłeś tam ślub i miałeś dziecko.

— Tak, dyrektorze — odpowiedział cicho Fisher.

— Ale wróciłeś na Ziemię tuż przed ich odlotem z Układu Słonecznego.

— Tak, dyrektorze.

— Ziemia odkryła Sąsiednią Gwiazdę dzięki temu, że usłyszałeś coś na Rotorze i powtórzyłeś to tutaj oraz na skutek twojej bezpośredniej sugestii, co do tego, gdzie należy jej szukać.

— Tak, dyrektorze.

— To także ty przywiozłeś z Adelii na Ziemię Tessę Wendel.

— Tak, dyrektorze.

— Stworzyłeś jej takie warunki, że pracuje od ośmiu lat i czuje się szczęśliwa, co?

Koropatsky chrząknął znacząco. Fisher odniósł wrażenie, że gdyby siedział bliżej, dyrektor szturchnąłby go porozumiewawczo łokciem, tak jak mają to we zwyczaju prawdziwi mężczyźni.

— Dobrze jest nam ze sobą, dyrektorze — powiedział ostrożnie.

— Ale nie wziąłeś z nią ślubu.

— Jestem żonaty, dyrektorze.

— Żyjesz w separacji od czternastu lat. Rozwód można załatwić raz dwa.

— Mam córkę.

— Która pozostanie twoją córką, nawet jeśli powtórnie się ożenisz.

— Byłaby to formalność bez znaczenia.

— Być może — Koropatsky kiwnął głową. — A może rzeczywiście masz rację: kto wie, czy tak nie jest lepiej. Wiesz, że statek superluminalny jest gotów do lotu. Mamy nadzieję wystrzelić go na początku 2237.

— Wspomniała mi o tym doktor Wendel, dyrektorze.

— Detektory neuroniczne są już zainstalowane i dobrze się sprawują.

— O tym również mówiła.

Koropatsky złożył dłonie na brzuchu i w zamyśleniu kiwnął swoją wielką głową. A potem rzucił szybkie spojrzenie na Fishera.

— Wiesz, jak to działa? Fisher potrząsnął głową.

— Nie, proszę pana. Nie mam pojęcia o działaniu statku. Koropatsky zmrużył oczy.

— My też nie. Musimy wierzyć na słowo doktor Wendel i naszym inżynierom. Brakuje jednak jeszcze jednej rzeczy.

— Tak? — zimny pot oblał Fishera. (Znowu zwłoka?) — Czegóż to brakuje, dyrektorze?

— Środków łączności. Wydawało mi się, że jeśli mamy urządzenie, które sprawia, że statek porusza się szybciej od światła, to powinniśmy również mieć urządzenie do przesyłania fal albo jakiś innych nośników informacji z podobną szybkością. Wydawało mi się, że prościej będzie przesłać wiadomość superluminalną niż poruszać się superluminalnym statkiem.

— Nie umiem powiedzieć nic na ten temat, dyrektorze.

— Tak. Doktor Wendel zapewnia mnie, że moje przypuszczenia są błędne, że nie powstały jeszcze odpowiednie urządzenia do nawiązywania superluminalnej łączności. Doktor Wendel twierdzi, że kiedyś być może powstaną takie urządzenia, ale teraz nie ma zamiaru na nie czekać, ponieważ wedle jej słów może to zająć wiele czasu.

— Ja również wolałbym nie czekać, dyrektorze.

— Tak. Mnie także zależy na postępie i sukcesach. Czekaliśmy już wiele lat i chętnie zobaczyłbym start i powrót tego statku. Oznacza to jednak, że gdy statek wystartuje, my stracimy z nim kontakt.

Koropatsky ponownie kiwnął w zamyśleniu głową. Fisher dyskretnie milczał. (O co mu chodzi? Do czego zmierza ten stary niedźwiedź?)

Dyrektor spojrzał na Fishera.

— Wiesz, że Sąsiednia Gwiazda zmierza w naszym kierunku?

— Tak, dyrektorze. Słyszałem o tym, ale powszechnie sądzi się, że ominie nas w odległości, którą nazywa się bezpieczną.

— Chcemy, żeby ludzie tak sądzili. Prawda jest jednak inna, Fisher. Sąsiednia Gwiazda będzie na tyle blisko, by znacznie zakłócić ruch Ziemi po orbicie.

— I zniszczyć planetę? — zapytał zaszokowany Fisher.

— Fizycznie nie. Zmieni się jednak klimat. Ziemia nie będzie się już nadawała do zamieszkania.

— Czy to pewne? — Krile nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał przed chwilą.

— Nie wiem, czy naukowcy są w ogóle czegokolwiek pewni. Tym razem jednak są wystarczająco przestraszeni, aby można było zacząć myśleć o podjęciu odpowiednich kroków. Mamy pięć tysięcy lat i pracujemy nad lotami superluminalnymi — zakładając, że ten statek to nie oszustwo.

— Jestem przekonany, że doktor Wendel oburzyłaby się na takie stwierdzenie, dyrektorze.

— Nie mówimy o zranionych uczuciach doktor Wendel. Ufamy jej i mamy nadzieję, że nie zawiedzie naszego zaufania. A wracając do sprawy: nawet te pięć tysięcy lat i loty superluminalne stawiają nas w bardzo niewygodnej pozycji. Musimy zbudować sto trzydzieści tysięcy Osiedli takich jak Rotor po to, by przetransportować osiem miliardów ludzi plus rośliny i zwierzęta na inne, dostępne nam światy.

Zakładając oczywiście, że nasza populacja nie zwiększy się przez najbliższe pięć tysięcy lat. Dwadzieścia sześć arek Noego rocznie, licząc od teraz.

— Być może — zaczął ostrożnie Fisher — uda nam się osiągnąć taką średnią. Wraz z upływem lat zwiększy się nasze doświadczenie, a kontrola urodzin stosowana jest przecież od dziesięcioleci.

— Doskonale. Odpowiedz mi w takim razie na następujące pytanie: dokąd poleci sto trzydzieści tysięcy naszych Osiedli pełnych zapasów z naszej planety, z Księżyca, Marsa i asteroidów? Dokąd mamy się udać po zostawieniu Układu Słonecznego na łaskę i niełaskę Sąsiedniej Gwiazdy?

— Nie wiem, dyrektorze.

— Otóż, musimy znaleźć wystarczającą ilość planet podobnych do Ziemi; planet, które przyjmą naszą populację bez żadnych dodatkowych nakładów na ich przystosowanie. Musimy się nad tym zastanowić i musimy zrobić to teraz, a nie za pięć tysięcy lat.

— Ale jeśli nie znajdziemy odpowiednich planet, możemy umieścić Osiedla na orbicie odpowiednich gwiazd — palec Fishera zataczał okręgi.

— To w ogóle nie wchodzi w rachubę, mój dobry człowieku.

— Z całym szacunkiem, dyrektorze, to jest model, który istnieje tutaj, w Układzie Słonecznym.

— Niezupełnie. W Układzie Słonecznym istnieje planeta, która nawet w tej chwili — pomimo powstania Osiedli — daje schronienie 99 % osobników gatunku ludzkiego. Czy pyłek może egzystować samoistnie? Nie ma na to żadnych dowodów, a ja twierdzę, że nie.

— Być może ma pan rację, dyrektorze — powiedział Fisher.

— Być może? Ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości — powiedział z przekonaniem Koropatsky. — Osadnicy pogardzają nami, ale ciągle o nas myślą. Jesteśmy ich historią. Jesteśmy dla nich przykładem. Jesteśmy źródłem, z którego czerpią natchnienie. Sami przepadliby już dawno.

— Zgadzam się, dyrektorze, ale nikt nie stwierdził jeszcze tego na pewno. Nie było jeszcze takiego Osiedla, które funkcjonowałoby bez planety…

— Ależ było, zdarzały się podobne sytuacje. We wczesnych latach rozwoju ludzkości osiedlano się na odizolowanych wyspach. Irlandczycy osiedlili się na Islandii, Norwegowie na Grenlandii, buntownicy na Pitcaim, a Polinezyjczycy na Wyspie Wielkanocnej. Efekt? Koloniści wymarli, zniknęli całkowicie. Stagnacja. Żadna cywilizacja nie rozwinęła się poza kontynentami lub na wyspach w ich pobliżu. Ludzkość potrzebuje przestrzeni, dużych wymiarów, różnorodności, nowych granic, horyzontów i tak dalej. Rozumiesz?

— Tak, dyrektorze — odpowiedział. (Rozumiem do pewnego

momentu. Ale po co się kłócić?)

— Dlatego — Koropatsky podniósł wskazujący palec jak nauczyciel strofujący ucznia — musimy znaleźć planetę, przynajmniej jedną na początek. A to znowu sprowadza nas do kwestii Rotora.

Fisher podniósł brwi ze zdziwieniem.

— Rotora, dyrektorze?

— Tak. Co działo się z nimi przez te czternaście lat, odkąd nas opuścili?

— Doktor Wendel jest zdania, że mogli nie przetrwać. (Mówiąc to poczuł ukłucie bólu. Już sama myśl o tym była dla niego bolesna.)

— Wiem. Rozmawiałem z nią i bez dyskusji przyjąłem do wiadomości to, co miała do powiedzenia na ten temat. Chciałbym jednak usłyszeć twoje zdanie.

— Nie mam zdania, dyrektorze. Mam jedynie cichą nadzieję, że przetrwali. Moja córka była z nimi.

— Może jeszcze jest. Pomyśl! Dlaczego mieliby nie przetrwać? Z powodu usterki? Rotor to nie statek, lecz Osiedle, które przez pięćdziesiąt lat nie miało żadnych awarii. Rotor przemieszczał się w próżni pomiędzy Układem Słonecznym a Sąsiednią Gwiazdą, a co może stać się w próżni?

— Mała czarna dziura, samotny asteroid…

— Masz jakieś dowody? Zgadujesz jedynie, a twoje przypuszczenia są absolutnie nieprawdopodobne — tak przynajmniej twierdzą astronomowie. Zastanówmy się dalej: Czy hiperprzestrzeń posiada jakieś właściwości, które mogłyby okazać się groźne dla Rotora? Od lat prowadzimy badania nad hiperprzestrzenią i nie ma w niej nic, co w jakikolwiek sposób mogłoby okazać się niebezpieczne. Możemy więc założyć, że Rotor dotarł do Sąsiedniej Gwiazdy w stanie nienaruszonym — jeśli oczywiście taki był ich cel. A zdaje się, że możemy tak przypuszczać bez zbędnych dyskusji.

— Wydaje mi się, że tak.

— Powstaje w takim razie pytanie: jeśli Rotor dotarł bezpiecznie na Sąsiednią Gwiazdę, to co tam robi?

— Egzystuje — było to coś pomiędzy stwierdzeniem a pytaniem.

— Ale jak? Okrąża Sąsiednią Gwiazdę? Pojedyncze Osiedla w niekończącej się, samotnej wędrówce wokół czerwonego karła? Nie sądzę. Stagnacja. Powolna śmierć. Muszą zdawać sobie z tego sprawę. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. W innym wypadku nie przetrwają.

— I wymrą? Czy taki jest pański wniosek, dyrektorze?

— Nie. Zrezygnują i wrócą do domu. Przyznają się do porażki i wrócą tam, gdzie jest bezpiecznie. Ale — i to jest najważniejsze — nie zrobili tego do tej pory i wiesz, co myślę? Myślę, że znaleźli nadającą się do zamieszkania planetę w pobliżu Sąsiedniej Gwiazdy.

— Ale w pobliżu czerwonego karła nie może znajdować się planeta nadająca się do zamieszkania. Jest tam za mało energii, a z kolei w samym pobliżu gwiazdy powstaje efekt pływów — przerwał i po chwili wymamrotał zawstydzony — doktor Wendel wytłumaczyła mi to wszystko.

— Tak. Mnie to również tłumaczono — zrobili to astronomowie. Ale… — Koropatsky potrząsnął głową — doświadczenie nauczyło mnie, że bez względu na zapewnienia naukowców, przyroda zawsze płata nam figle. W każdym razie… Czy rozumiesz, po co wysyłam cię w podróż?

— Pański poprzednik obiecał mi tę grzeczność w zamian za moje usługi.

— Ja mam lepszy powód. Mój poprzednik — wielki człowiek, godny podziwu człowiek, był także na koniec schorowanym, starym człowiekiem. Jego wrogowie podejrzewali go o paranoję. Wierzył, że Rotor wiedział o niebezpieczeństwie grożącym Ziemi i opuścił nas bez ostrzeżenia, ponieważ chciał, aby Ziemia została zniszczona. I w związku z tym mój wielki poprzednik postanowił ukarać Rotora. Niestety, odszedł od nas, a ja zająłem jego miejsce. Nie jestem stary, nie jestem schorowany, nie cierpię także na paranoję. Moim zamiarem nie jest karanie Rotora — zakładając. że doleciał on bezpiecznie do Sąsiedniej Gwiazdy.

— Bardzo się cieszę z tego powodu, dyrektorze, ale wydaje mi się, że powinien pan przedyskutować tę sprawę z doktor Wendel. Ona ma być kapitanem statku.

— Doktor Wendel jest Osadniczką. Ty jesteś lojalnym Ziemianinem.

— Doktor Wendel pracuje lojalnie od lat nad całym projektem.

— Nikt nie zarzuca jej nielojalności — przynajmniej w stosunku do projektu. Ale czy będzie lojalna w stosunku do Ziemi? Czy możemy mieć pewność, że zaniesie ziemskie posłanie Rotorowi?

— Czy mogę zapytać, dyrektorze, jakie jest to ziemskie posłanie dla Rotora? Rozumiem, że nie jest to posłanie wypowiadające wojnę Rotorowi dlatego, że nas nie ostrzegł.

— Masz rację. Nasze posianie zawiera przyjacielskie intencje, proponuje zacieśnienie związków, braterstwo i tym podobne ciepłe uczucia. Po nawiązaniu przyjaźni będziecie musieli szybko powrócić z informacjami na temat Rotora i jego planety.

— Jestem przekonany, że jeśli doktor Wendel zostanie o tym poinformowana, jeśli zostanie Jej to wyjaśnione, to wykona postawione zadanie.

Koropatsky chrząknął.

— Wiadomo, ale wiesz jak to jest. Ona jest kobietą nie pierwszej już młodości. Jest w porządku — podoba mi się — ale jest już po

pięćdziesiątce.

— I ci z tego? — Fisher poczuł się obrażony.

— Ona zdaje sobie sprawę, że kiedy powróci po osiągnięciu życiowego sukcesu, jakim jest dla niej lot superluminalny, będzie dla nas cenniejsza niż kiedykolwiek. Będzie nam potrzebna do projektowania nowych, lepszych, bardziej zaawansowanych technicznie pojazdów superluminalnych. Będzie musiała szkolić młodych adeptów lotów hiperprzestrzennych. W związku z tym już nigdy nie będzie mogła sama podróżować w hiperprzestrzeni — byłoby to dla niej i przede wszystkim dla nas zbyt ryzykowne. Ona jest bezcenna. Dlatego też będzie kusiło ją, aby przedłużyć wasz lot, aby wypuścić się w dalszą drogę, badać inne gwiazdy. Na pewno nie zrezygnuje z zobaczenia innych części Wszechświata, odkrycia nowych horyzontów. Nie możemy jej na to pozwolić, nie może ryzykować więcej niż tyle, ile potrzeba na dotarcie do Rotora, zebranie informacji i powrót na Ziemię. Nie możemy sobie również pozwolić na dodatkową stratę czasu. Czy zrozumiałeś? -jego głos stał się nagle ostry.

Fisher przełknął ślinę.

— Nie ma chyba powodu, aby przypuszczać…

— Są bardzo dobre powody. Doktor Wendel jest Osadniczką — zawsze była tutaj w — nazwijmy to — delikatnej sytuacji. Chyba rozumiesz. Ze wszystkich ludzi na Ziemi ona jest tą, na którą liczymy najbardziej i jest niestety Osadniczką. Sporządzono bardzo dokładny profil psychologiczny doktor Wendel. Badano ją na różne sposoby — z jej wiedzą lub bez. Mamy absolutną pewność, że będzie chciała lecieć dalej, jeśli damy jej taką szansę. Weź także pod uwagę brak środków łączności. Nikt nie będzie miał zielonego pojęcia o tym, co robi i gdzie się znajduje. Nie będzie nawet wiadomo, czy żyje.

— Dlaczego mówi mi pan to wszystko, dyrektorze?

— Ponieważ wiemy, że masz na nią duży wpływ. Możesz nią pokierować, jeśli będziesz wystarczająco silny.

— Chyba przecenia pan moje możliwości, dyrektorze.

— Z pewnością nie. Ciebie również badano i doskonale wiemy, jak bardzo przywiązana jest do ciebie nasza dobra pani doktor — bardziej niż może ci się wydawać. Wiemy także, że jesteś lojalnym synem Ziemi. Mogłeś odlecieć z Rotorem, zostać z żoną i córką, lecz wróciłeś na Ziemię kosztem utraty rodziny. Co więcej wróciłeś na Ziemię zdając sobie sprawę, że mój poprzednik Tanayama uzna twoją misję za fiasko, ponieważ nie przywiozłeś ze sobą żadnych materiałów na temat hiperwspomagania, i że twoja kariera legnie w gruzach. Wierzę, że mogę ci zaufać w nadzorowaniu doktor Wendel, wierzę, że sprowadzisz ją na Ziemię tak szybko, jak to będzie możliwe, i że tym razem przywieziesz potrzebne informacje.

— Spróbuję, dyrektorze.

— Mówisz tak, jakbyś w to nie wierzył — powiedział Koropatsky. — Zrozum, proszę, znaczenie tego, do czego cię zobowiązuję. Musimy wiedzieć, co robią, czy są silni, jak wygląda planeta. Wiedząc to wszystko, zastanowimy się, co mamy zrobić, czy mamy być silni i do jakiego rodzaju życia musimy się przygotować. Ponieważ, Fisher, musimy mieć planetę i musimy ją mieć już teraz. I nie mamy wyboru, jak tylko zabrać planetę Rotora.

— Jeśli istnieje — powiedział szorstko Fisher.

— Lepiej, żeby tak było — odpowiedział Koropatsky — bo od tego zależy przetrwanie Ziemi.

Rozdział 27
ŻYCIE

Siever Genarr otworzył oczy i zamrugał, reagując na światło. Początkowo nie mógł rozróżnić kształtów znajdujących się w jego polu widzenia.

Po chwili jednak obraz nabrał ostrości. Genarr rozpoznał Ranay D'Aubisson, naczelnego neurologa Kopuły.

— Marlena? — zapytał słabym głosem. D'Aubisson spojrzała poważnie na Sievera.

— Nic jej nie jest. W tej chwili martwię się o ciebie. Poczuł strach i postanowił zdusić go w zarodku za pomocą czarnego humoru.

— Musi być ze mną gorzej, niż przypuszczam, jeśli moimi przypuszczeniami rządzi anioł Plagi.

D'Aubisson nie odpowiedziała. Genarr zapytał wprost:

— Czy tak?

Jej twarz ożyła. Ranay D'Aubisson była wysoką, niezbyt ładną kobietą. Gdy pochyliła się nad nim. dostrzegł głębokie zmarszczki wokół jej świdrujących, niebieskich oczu, wpatrujących się w niego z bliska.

— Jak się czujesz? — zapytała tak, jak gdyby nie usłyszała jego poprzedniego pytania.

— Jestem zmęczony. Bardzo zmęczony. Poza tym w porządku. tak mi się wydaje? — podniósł głos, chcąc dać jej do zrozumnienia, że ponawia pytanie.

— Spałeś przez pięć godzin — powiedziała wymijająco. Genarr jęknął.

— Mimo to jestem zmęczony. I muszę iść do łazienki — zaczął się podnosić.

D'Aubisson dala ręką znak i do łóżka podszedł szybko młody człowiek. Z respektem chwycił Genarra pod pachy, lecz natychmiast został odepchnięty.

— Pozwól sobie pomóc — powiedziała D'Aubisson. — Nie postawiliśmy jeszcze diagnozy.

Po dziesięciu minutach Genarr był z powrotem w łóżku.

— Nie ma jeszcze diagnozy? — zapytał ponuro. — Zrobiliście badanie mózgu?

— Oczywiście. Natychmiast.

— I co?

Wzruszyła ramionami.

— Nie znaleźliśmy niczego istotnego. Byłeś pogrążony we śnie. Teraz, po przebudzeniu, zrobimy ci jeszcze jedno badanie. Musimy także zatrzymać cię na obserwacji.

— Po co? Czy badanie mózgu nie wystarczy? Uniosła siwe brwi.

— Sądzisz, że wystarczy?

— Skończmy tę zabawę. Do czego zmierzasz? Powiedz mi to prosto z mostu. Nie jestem dzieckiem.

D'Aubisson westchnęła.

— Przypadki Plagi, jakie mieliśmy do tej pory wykazywały ciekawe zmiany podczas badania mózgu, nigdy jednak nie udawało nam się porównać tych zmian ze standardem sprzed stanu chorobowego, ponieważ żaden z chorych nie był poddany badaniom przed zachorowaniem. Zanim udało nam się opracować powszechny program badań dla całej populacji Kopuły, Plaga cofnęła się. Wiedziałeś o tym?

— Nie próbuj złapać mnie w pułapkę — powiedział rozdrażniony Genarr. — Oczywiście, że wiedziałem. Myślisz, że straciłem pamięć? Domyślam się — widzisz, potrafię jeszcze domyślać się — że porównując wyniki moich wcześniejszych badań z obecnymi nie znaleźliście nic istotnego. Mam rację?

— Rzeczywiście trudno doszukać się jakichś poważnych różnic, ale równie dobrze możemy mieć do czynienia z sytuacją podkrytyczną.

— Ale nie znaleźliście niczego?

— Mogliśmy przeoczyć jakąś subtelną zmianę, tym bardziej, że nie wiemy, czego szukamy. Straciłeś przytomność — a to nie zdarzało ci się do tej pory, dowódco.

— Zróbcie więc następne badanie i jeśli rzeczywiście zmiany są tak subtelne, jak twierdzisz, to mogę chyba z nimi żyć. Powiedz mi teraz, co z Marlena? Jesteś pewna, że nic jej nie jest?

— Na to wygląda, dowódco. W przeciwieństwie do ciebie, jej zachowanie nie odbiega od normy. Nie straciła przytomności.

— Jest w Kopule?

— Tak. Sama przyprowadziła ciebie, zanim straciłeś przytomność. Nie pamiętasz?

Genarr zaczerwienił się i wymamrotał coś pod nosem.

— Chciałabym wiedzieć dokładnie, co pamiętasz? — powiedziała z sardonicznym uśmieszkiem D'Aubisson. — Powiedz mi wszystko, dowódco. To może być ważne.

Genarr poczuł niepokój. Usiłował sobie przypomnieć, co zaszło. Wszystko wydawało mu się bardzo odległe, niewyraźne jak sen.

— Marlena zdejmowała skafander. Tak?

— Zgadza się. Wróciła bez skafandra. Musieliśmy wysłać kogoś, by przyniósł go do Kopuły.

— Chciałem ją powstrzymać. Widziałem, co robi. Usłyszałem w słuchawkach krzyk Insygny i to mnie zaalarmowało. Marlena stała w pewnej odległości ode mnie, nad strumieniem. Chciałem krzyknąć do niej, ale na skutek szoku nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Chciałem dostać się do niej, próbowałem… próbowałem…

— Podbiec — pomogła mu D'Aubisson.

— Tak, ale… ale…

— Stwierdziłeś, że nie możesz biec. Poczułeś się sparaliżowany. Mam rację?

Genarr kiwnął głową.

— Tak. Czułem się tak jakoś… Chciałem biec, ale… Miałaś kiedyś taki sen, taki koszmar, że ktoś cię goni, a ty w żaden sposób nie możesz oderwać nóg od ziemi?

— Tak. Wszyscy miewamy takie koszmary. Zazwyczaj wtedy, gdy nasze nogi i ręce zapłaczą się w pościeli.

— To było jak sen. W końcu udało mi się odzyskać głos. Krzyknąłem do niej, ale bez skafandra nie mogła mnie usłyszeć.

— Było ci słabo?

— Nie, chyba nie. Czułem się jedynie bezsilny i nie wiedziałem, co robić. Nie mogłem biec. I wtedy Martena zobaczyła, co się dzieje, podbiegła do mnie. Zorientowała się chyba, że mam kłopoty.

— Ona nie miała żadnych problemów z poruszaniem się. Czy tak?

— Nie, o ile wiem, to nie. Dostała się jakoś do mnie. A potem… Mówiąc uczciwie, Ranay. nie pamiętam, co było potem.

— Wróciliście razem do Kopuły — powiedziała spokojnie D'Aubisson. — Ona pomogła ci utrzymać się na nogach. Tutaj na miejscu straciłeś przytomność. Resztę już znasz.

— Myślisz, że to jest Plaga?

— Myślę, że doświadczyłeś czegoś nienormalnego. Jednak twoje wyniki są w porządku, dlatego jestem bardzo zdziwiona. To wszystko.

— To na pewno szok spowodowany pewnym potencjalnym zagrożeniem Marleny. Po co miałaby zdejmować skafander, jeśli… — przerwał gwałtownie.

— Jeśli nie z powodu Plagi? To chciałeś powiedzieć?

— Coś w tym rodzaju.

— Ale nic jej nie jest. Chciałbyś się jeszcze przespać?

— Nie, jestem rozbudzony. Zróbmy to następne badanie mózgu, a ty dopilnuj, żeby wyniki okazały się negatywne, bo czuję się znacznie lepiej. Ulżyło mi. Biorę się do roboty, ty jędzo.

— Nawet jeśli wyniki będą pomyślne, zostaniesz w łóżku przez następne dwadzieścia cztery godziny, dowódco. Obserwacja, rozumiesz?

Genarr jęknął teatralnie.

— Nie możesz tego zrobić! Nie mogę leżeć i patrzeć w sufit przez

całą dobę.

— Nie musisz. Przyniesiemy ci stelaż, będziesz mógł sobie poczytać. Możesz pooglądać holowizję. Albo przyjmować gości.

— Goście również będą mnie obserwowali, jak przypuszczam?

— To zrozumiałe, że zadamy im później kilka pytań. A teraz przygotuj się do badania — odwróciła się, a potem jeszcze raz spojrzała na niego z uśmiechem. — Możliwe, że nic ci nie jest, dowódco. Twoje reakcje wskazują na to. Ale musimy mieć pewność, prawda?

Genarr chrząknął potwierdzająco. D'Aubisson wyszła, a on zrobił minę do jej nieobecnych pleców. To także było normalne.

Gdy ponownie otworzył oczy, zobaczył Eugenię Insygnę wpatrującą się w niego ze smutnym wyrazem twarzy.

— Eugenia! — jej widok zaskoczył go, zaczął się podnosić na łóżku.

Uśmiechnęła się do niego, co wcale nie wpłynęło na zmianę wyrazu twarzy.

— Pozwolili mi przyjść, Sieverze. Powiedzieli, że nic ci nie jest. Genarr poczuł ulgę. Wiedział, że nic mu nie jest, ale dobrze było usłyszeć potwierdzenie tej opinii.

— Czuję się świetnie — powiedział z przechwałką w głosie. - Wyniki badania mózgu w normie, zarówno wtedy gdy śpię, jak i wtedy gdy czuwam. Żadnych zmian. Jak się miewa Marlena?

— Jej wyniki są również pomyślne — nawet to nie było w stanie zmienić nastroju Eugenii.

— Widzisz — powiedział Genarr — mówiłem ci, że będę kanarkiem. Cokolwiek to było, trafiło mnie przed Marlena… — zrozumiał swój błąd. Nie był to najlepszy moment na przechwałki. — Nie masz pojęcia, jak jest mi przykro, Eugenio. Po pierwsze: straciłem z oczu Marlenę. Po drugie: przeraziłem się śmiertelnie i nie mogłem jej pomóc. Zawaliłem na całej linii. Zawiodłem cię, a przecież przysięgałem ci. że będę się nią opiekował. To niewybaczalny błąd.

Insygna potrząsnęła głową.

— Nie, Siever. To nie była twoja wina. Tak się cieszę, że przyprowadziła cię z powrotem.

— Nie moja wina? — Genarr nic już nie rozumiał. Oczywiście, że była to jego wina.

— Absolutnie nie. Jest coś gorszego niż to, że ty nie mogłeś zareagować. Znacznie gorszego.

Genarr poczuł, że robi mu się zimno. Co jeszcze może być gorsze? — pomyślał.

— O czym ty mówisz?

Wysunął się spod pościeli i nagle zdał sobie sprawę, że pokazuje gołe nogi i resztę w niezbyt odpowiednim szlafroku. Szybko owinął się

lekkim kocem.

— Eugenio, usiądź i opowiedz mi wszystko. Co jest z Marlena? Ty coś ukrywasz przede mną?

Insygna usiadła i spojrzała poważnie na Genarra.

— Mówią, że nic jej nie jest. Wyniki badania mózgu są pomyślne. Ci, którzy znają się na Pladze, twierdzą, że nie wykazuje żadnych symptomów choroby.

— Dlaczego więc masz taką minę, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata?

— Chyba nastąpi, Siever. Koniec tego świata.

— Co to znaczy?

— Nie potrafię ci wyjaśnić. Sama nie wiem, co się dzieje. Musisz porozmawiać z Marleną, jeśli chcesz to wszystko zrozumieć. Ona działa na własną rękę. Wcale nie przejęła się tym, co zrobiła. Twierdzi, że nie może zbadać Erytro — doświadczać Erytro, jak to nazywa — w skafandrze i nie ma zamiaru go używać.

— W takim razie nie wyjdzie.

— Ona uważa, że wyjdzie. Jest o tym przekonana. Mówi, że wyjdzie, kiedy tylko będzie chciała. Sama. Wini siebie za to, że pozwoliła ci pójść z sobą. Widzisz, ona martwi się tym, co przytrafiło się tobie. Bardzo się tym martwi. Cieszy się tylko z tego, że mogła ci pomóc. Miała łzy w oczach, gdy mówiła, co mogłoby się stać, gdyby nie przyprowadziła cię do Kopuły na czas.

— Czy to ją niepokoi?

— Nie. I to jest najdziwniejsze. Jest pewna, że groziło ci niebezpieczeństwo, że każdemu na twoim miejscu groziłoby niebezpieczeństwo. Ale nie jej. Jej pozytywne nastawienie do Erytro nie uległo zmianie. Siever, ja…. — Insygna potrząsnęła głową, a potem wyszeptała: — Ja nie wiem, co mam robić.

— Marleną zawsze myślała pozytywnie o wszystkim, Eugenio. Wiesz o tym lepiej ode mnie.

— Ale nie w ten sposób. Ona zachowuje się tak, jak gdyby wiedziała, że nie możemy jej zatrzymać.

— Możemy. Porozmawiam z nią. I jeśli zacznie używać argumentów takich, jak: „Nie możecie mnie zatrzymać”, wyślę ją na Rotora. Natychmiast. Byłem po jej stronie, ale po tym, co przydarzyło mi się na zewnątrz, muszę zmienić swoje nastawienie. Tym razem będę twardy.

— Nie będziesz.

— Dlaczego? Z powodu Pitta?

— Nie. Po prostu nie będziesz.

Genarr spojrzał na nią, a potem uśmiechnął się sztucznie.

— Przestań Eugenio, aż tak mnie nie zauroczyła. Być może zachowuję się jak dobry wujaszek, ale nie jestem na tyle dobry, by

pozwalać jej narażać się na niebezpieczeństwo. Są pewne granice i przekonasz się, że wiem, jak je wytyczyć — przerwał i po chwili dodał poważnie: — Zamieniliśmy się stronami, ty i ja. Wczoraj ty nalegałaś, abym ją zatrzymał, a ja twierdziłem, że tego nie można zrobić. Teraz jest odwrotnie.

— Dlatego, że ten wypadek przestraszył cię. Mnie przestraszyło to, co stało się później.

— Co stało się później, Eugenio?

— Po waszym powrocie do Kopuły ja również starałam się wytyczyć pewne granice. Powiedziałam jej: „Moja panno, nie zwracaj się do mnie w taki sposób, nie dość, że nie wyjdziesz z Kopuły, to na dodatek nie opuścisz swojego pokoju. Zostaniesz zamknięta, a jeśli i to nie pomoże, związana i wysłana na Rotora pierwszą lecącą tam rakietą". Byłam tak wściekła, że posunęłam się do gróźb.

— A co ona na to? Założę się o każde pieniądze, że nie wybuchnęła płaczem. Podejrzewam, że zacisnęła zęby i postanowiła zrobić ci na złość. Czy nie tak?

— Nie. Nie doszłam nawet do połowy swojej wypowiedzi, gdy nagle zaczęłam szczękać zębami, nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Poczułam mdłości.

Genarr otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

— Czy chcesz mi powiedzieć, że Marlena posiada jakieś tajemnicze zdolności hipnotyczne, które wykorzystuje przeciwko nam? Czy coś takiego zdarzyło się przedtem?

— Nie, oczywiście, że nie. Ja nawet teraz nie jestem pewna, co zaszło. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Wtedy, gdy wypowiadałam swoje groźby, musiałam wyglądać na chorą, i to bez wątpienia przestraszyło ją. Bardzo. Nie mogłaby wywołać choroby, a zaraz potem bać się tego, co zrobiła. A gdy byliście na zewnątrz i ona zdejmowała skafander, przez cały czas była odwrócona do ciebie tyłem. Nie patrzyła na ciebie. A mimo to ty nie mogłeś jej przeszkodzić. Gdy zorientowała się, że masz kłopoty, przyszła ci z pomocą. Nie mogłaby cię zahipnotyzować, a zaraz potem pomagać ci.

— Ale później…

— Jeszcze nie skończyłam. Gdy zaczęłam jej grozić, a raczej, gdy nie udało mi się zacząć jej grozić, bałam się powiedzieć cokolwiek oprócz jakichś nieistotnych uwag, mimo to starałam się trzymać ją na oku, i to tak, żeby się nie zorientowała. W którymś momencie zaczęła rozmawiać z jednym z twoich strażników — wiesz, jednym z tych, którzy wszędzie się kręcą…

— Teoretycznie — wymamrotał Genarr — Kopuła jest placówką wojskową. Strażnicy pilnują porządku, pomagają, gdy trzeba…

— Tak — powiedziała Insygna z nutą pogardy w głosie. — Wydaje mi się, że Janus Pitt zabezpiecza się w ten sposób przed tobą.

Chce wiedzieć, co robisz, chce mieć nad tobą władzę. Ale nieważne. Marlena rozmawiała ze strażnikiem przez chwilę, wyglądało to tak, jak gdyby kłóciła się z nim. Później podeszłam do niego i zapytałam wprost, czego chciała Martena. Odpowiadał niechętnie, ale w końcu wydusiłam to z niego. Powiedział mi, że Martena zażądała wydania przepustki, która uprawniałaby ją do swobodnego opuszczania Kopuły.

Zapytałam go: „Co pan jej odpowiedział?". On na to: „Powiedziałem jej, że takie rzeczy załatwia się w biurze dowódcy, ale że postaram się jej pomóc". Oburzyłam się: „Musiałem tak zrobić, proszę pani. Za każdym razem, gdy chciałem jej odmówić, robiło mi się niedobrze".

Genarr słuchał tego oszołomiony.

— Czy to znaczy, że ona robi to nieświadomie? Że każdy, kto usiłuje się jej przeciwstawić, natychmiast czuje się źle, i że ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy?

— Nie. oczywiście, że nie. Nie wiem, jak ona to robi. Gdyby nawet robiła to nieświadomie, wiedziałabym o tym wcześniej, już na Rotorze. Nigdy przedtem jednak nie zdarzyło się coś podobnego. A zresztą to jest ukierunkowane, to znaczy nie dotyczy wszystkiego. Wczoraj przy obiedzie prosiła o dokładkę deseru. Ja zapomniałam, czym grozi przeciwstawienie się jej i powiedziałam: „Nie, Marleno". Krzywiła się i buntowała, ale w końcu poddała się, a ja czułam się normalnie, nic się nie stało. To ma jakiś związek z Erytro, dlatego mówię, że jest ukierunkowane.

— Ale skąd to się wzięło, Eugenio? Chyba zastanawiałaś się nad tym? Gdybym był Martena, wiedziałbym, co o tym myślisz, ale ponieważ nie jestem, musisz mi powiedzieć.

— Myślę, że Martena wcale tego nie robi. To… to sama planeta.

— Planeta?

— Tak, Erytro! Planeta. Kontroluje Marlenę. Skąd Marlena wiedziałaby, że jest odporna na Plagę, że nic jej nie grozi? Nas też kontroluje. Zrobiła ci krzywdę, gdy chciałeś powstrzymać Marlenę. Mnie też. I strażnikowi. Wiele ludzi ucierpiało z jej powodu we wczesnym okresie istnienia Kopuły, ponieważ planecie wydawało się, że ją najeżdżamy — wyprodukowała więc Plagę. A potem, kiedy zadowoliliście się pozostaniem w Kopule, planeta pozwoliła wam na to. Plaga zniknęła. Widzisz, to wszystko pasuje do siebie.

— Czy myślisz, że ona chce, aby Marlena wyszła na jej powierzchnię?

— Oczywiście.

— Ale po co?

— Nie wiem. Nie udaję, że rozumiem cokolwiek z tego, co tu się dzieje. Mówię ci tylko jak jest.

— Eugenio — głos Genarra brzmiał teraz miękko — wiesz równie dobrze jak ja, że planeta nie może nic zrobić. To kawałek skały i metalu. Nie popadajmy w mistycyzm.

— Nie popadam w żaden mistycyzm. Nie wyobrażaj sobie Sieverze, że zwariowałam. Jestem naukowcem, bardzo dobrym naukowcem, i w moim sposobie myślenia nie ma nic mistycznego. Kiedy mówię planeta, nie mam na myśli skały i metalu. Myślę natomiast, że istnieje tu jakaś potężna, wszechogarniająca struktura żywa. Tutaj, na tej planecie.

— Musiałaby być w takim razie niewidoczna. Ten świat jest pusty i dziki. Nie ma na nim żadnych śladów życia oprócz prokariotów. Skąd nagle miałaby wziąć się tu inteligencja?

— A co ty wiesz o tym pustym i dzikim świecie? Zbadałeś go? Czy ktokolwiek prowadził tutaj jakieś szczegółowe badania naukowe?

Genarr powoli potrząsnął głową.

— Eugenio, nie wpadaj w histerię — powiedział błagalnym tonem.

— Ja wpadam w histerię! Czy tak, Sieverze? Przemyśl sobie to, co usłyszałeś ode mnie i powiedz ml, do jakich wniosków doszedłeś. Czy znalazłeś jakieś inne wytłumaczenie? Ja mogę ci tylko powiedzieć, że ta żywa struktura — czymkolwiek jest — rozprawi się z nami. My już teraz skazani jesteśmy na zagładę. A co do Marleny — jej głos załamał się — nie wiem…

Rozdział 28
START

Oficjalna nazwa stacji była bardzo wymyślna i skomplikowana, jednak powszechnie nazywano ją po prostu Stacją Czwartą. Słowo „powszechnie" odnosi się do tych niewielu Ziemian, którzy w ogóle wiedzieli o jej istnieniu. Nazwa Stacja Czwarta wskazywała na istnienie trzech wcześniejszych obiektów tego typu — jednak żaden z nich nie był obecnie w użyciu, zostały pożarte przez kolejne konstrukcje. Istniała bowiem także Stacja Piąta, która nigdy nie została ukończona i wraz z upływem czasu zapomniano o niej.

Większa część mieszkańców Ziemi nigdy prawdopodobnie nie słyszała o Stacji Czwartej, która okrążała macierzystą planetę po orbicie, gdzieś za Księżycem.

Pierwsze stacje spełniały rolę rusztowań do budowy Osiedli, później jednak, gdy Osadnicy sami zabrali się za konstruowanie własnych siedzib. Stacja Czwarta zaczęła być wykorzystywana jako przystanek w ziemskich wyprawach na Marsa.

W zasadzie odbyła się tylko jedna taka wyprawa, okazało się bowiem, że osadnicy są o wiele lepiej przygotowani — psychologicznie — do długich lotów (mieszkając w obiektach, które same w sobie nie były niczym innym, jak dużymi statkami kosmicznymi) i Ziemia z ulgą pozbyła się kłopotliwego obowiązku.

Stacja Czwarta była obecnie bardzo rzadko wykorzystywana. Utrzymywano ją jedynie jako ziemski przyczółek w kosmosie, symbol oznaczający, że osadnicy nie są wyłącznymi właścicielami przestrzeni rozciągającej się poza atmosferą Ziemi.

W końcu jednak Stacja Czwarta znalazła swoje zastosowanie.

Wystrzelono w jej kierunku wielki statek transportowy. Plotki rozpowiadane pośród Osadników głosiły, że Ziemia po raz drugi (i pierwszy w tym wieku) chce wysłać swój zespół na Marsa. Niektórzy twierdzili, że ma to być zespół badawczy, inni, że będzie to początek kolonizacji Marsa — kolonizacji, która ma na celu prześcignięcie Osiedli orbitujących wokół planety. Jeszcze inni mówili o założeniu placówki na jakimś dużym asteroidzie, którego do tej pory nikt sobie nie przywłaszczył.

W rzeczywistości statek transportowy przenosił na Stację Czwartą Superluminal i jego załogę, przygotowującą się do podróży ku gwiazdom.

Tessa Wendel, która od ośmiu lat nie opuszczała Ziemi,

potraktowała wyprawę ze spokojem właściwym wszystkim Osadnikom. Statki kosmiczne bliższe były jej sercu niż olbrzymie przestrzenie Ziemi. Krile — pomimo tego, że wielokrotnie podróżował w kosmosie — tym razem odczuwał pewien niepokój.

Na pokładzie transportowca napięcie wywołał nie tylko fakt przemieszczania się w przestrzeni. Fisher wyraził to tak:

— Nie zniosę już dłuższego czekania, Tesso. Przez całe lata marzyliśmy o tym, by wreszcie znaleźć się w kosmosie i kiedy Superluminal jest gotów do drogi, my ciągle musimy czekać.

Tessa spojrzała na niego uważnie. Nigdy nie chciała wiązać się z kimś takim jak Krile. Fisher miał zapewnić jej odpoczynek, relaks po wyczerpujących badaniach w początkowej fazie projektu, tak by w pełni sił mogła wrócić do dalszej pracy. Tak miało być… A stało się zupełnie inaczej.

Tessa czuła, że jest beznadziejnie związana z tym człowiekiem. Jego problemy były jej problemami, jego obawa, że lata czekania zakończą się niczym, była także jej obawą. Martwiła się na zapas rozpaczą Krile Fishera, gdy u kresu podróży spotka go rozczarowanie. Celowo wylewała na niego kubeł zimnej wody, gdy pogrążał się w marzeniach o spotkaniu córki, nigdy jednak nie udało się jej ostudzić zapału Fishera. Przeciwnie, w ciągu roku Krile stał się jeszcze bardziej optymistyczny, coraz bardziej wierzył w odnalezienie Marleny — i to zupełnie bez powodu, a przynajmniej bez żadnego znanego jej powodu.

Tessa cieszyła się (i oddychała z ulgą), że Fisher nie pragnie znaleźć żony. Co prawda, nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależy mu na córce, którą widział po raz ostatni jako niemowlę, tym bardziej że Fisher nigdy niczego nie wyjaśniał a ona sama bała się zadawać pytania. Zresztą po co? Była pewna, że córka Fishera nie żyje, że cały Rotor był jedynie kupą martwego żelastwa, gigantycznym grobowcem krążącym wokół Sąsiedniej Gwiazdy — grobowcem, którego nigdy nie znajdą, chyba że zdarzy się jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności. Należało pomyśleć, co zrobić, by Krile nie załamał się ostatecznie, gdy jej przypuszczenia staną się rzeczywistością.

— Pozostały nam jeszcze tylko dwa miesiące — odpowiedziała uspokajająco na jego tyradę. — Najwyżej dwa miesiące. Czekaliśmy tak długo, że te dwa miesiące to prawie nic.

— Właśnie dlatego, że tak długo czekaliśmy, kolejne dwa miesiące są nie do zniesienia — odburknął Fisher.

— Powiedz sobie, że jest inaczej, Krile — powiedziała Tessa. - Naucz się znosić cierpliwie to, czego nie możesz zmienić. Kongres Globalny nie zgodzi się na wcześniejszy start. Osiedla przyglądają się nam. Musimy ich przekonać, że lecimy na Marsa. Chociaż i tak pewnie

nie uwierzą, biorąc pod uwagę dotychczasowe osiągnięcia Ziemi w podboju kosmosu. Zatrzymując się tutaj na dwa miesiące, damy im do zrozumienia, że mamy kłopoty — a w to są skłonni uwierzyć, nie bez satysfakcji zresztą. Tym samym odwrócimy ich uwagę.

Fisher gniewnie potrząsnął głową.

— Kogo to obchodzi, czy oni wiedzą co robimy, czy nie? Znikniemy, a oni nie będą w stanie nadrobić straconych lat. Może kiedyś uda im się opracować własny projekt statku superluminalnego, lecz do tego czasu my już będziemy mieli całą flotyllę, która otworzy dla nas Galaktykę.

— Nie bądź taki pewny. Zawsze łatwiej jest naśladować i prześcigać pierwowzór, niż pracować nad czymś od samego początku. A poza tym wasz rząd chce raz na zawsze ustalić sprawę pierwszeństwa w kosmosie i wcale mu się nie dziwię, biorąc pod uwagę względy psychologiczne i wasze dotychczasowe osiągnięcia — wzruszyła ramionami.

— Musimy także przeprowadzić kilka testów statku w warunkach małego przyciągania.

— Czy te testy w ogóle kiedyś się skończą?

— Nie bądź niecierpliwy. Mamy do czynienia z nową, nieznaną do tej pory technologią, z czymś absolutnie wyjątkowym w całej historii rozwoju cywilizacji. Z łatwością mogłabym tworzyć coraz to wymyślniejsze testy, tym bardziej że nie mamy jeszcze całkowitej pewności co do wpływu pola grawitacyjnego na wejście i wyjście z hiperprzestrzeni. A mówiąc poważnie, Krile, nie możesz winić nas za to, że jesteśmy ostrożni. Dziesięć lat temu lot superluminalny był przecież uważany za nawet teoretycznie niemożliwy.

— Z ostrożnością również nie można przesadzać.

— Możliwe. W końcu to ja zadecyduję o tym, czy zrobiliśmy wszystko, co do nas należało. A potem wystartujemy. Obiecuję ci, Krile, że nie będziemy czekać dłużej niż trzeba. Nie będę przesadzać z ostrożnością.

— Mam nadzieję.

Tessa spojrzała na niego podejrzliwie. Musi go o to zapytać.

— Wiesz, Krile, ostatnio nie jesteś sobą. Przez kilka miesięcy aż płonąłeś z niecierpliwości, potem uspokoiłeś się, a teraz nagle znowu jesteś podniecony. Czy stało się coś, o czym nie wiem?

— Nic się nie stało — Fisher spuścił z tonu. — Co mogło się stać?

Zmiana w zachowaniu Fishera nie uszła uwagi Tessy. Krile zbyt szybko zaczął udawać spokój, niemal zmuszał

się do spokoju.

— To ja pytam, co mogło się stać — powiedziała. — Posłuchaj, Krile wielokrotnie próbowałam ostrzec cię, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo odnalezienia funkcjonującego normalnie Rotora,

a w ogóle mamy małe szansę na znalezienie czegokolwiek. Nie znajdziemy twojej… Jest mało prawdopodobne, że znajdziemy jakichś żywych ludzi — przerwała czekając na jego reakcję. — Mówiłam ci o takiej ewentualności, prawda?

— Często — odpowiedział Fisher.

— No, właśnie. A ty zachowujesz się teraz jak gdybyś nie mógł doczekać się szczęśliwego powrotu do córki. Bardzo niebezpiecznie jest mieć nadzieję na coś, co nie ma szans realizacji, chwytać się takiej nadziei z całych sił. Skąd nagle wziął się twój optymizm? Rozmawiałeś z kimś, kto zaraził cię niczym nie uzasadnioną pewnością, że odnajdziesz córkę?

Fisher zaczerwienił się.

— Po co miałbym z kimś rozmawiać? Dlaczego sam nie miałbym dojść do własnych wniosków w tej sprawie? To, że nie znam się na fizyce teoretycznej, którą ty masz w małym palcu, wcale nie oznacza, że jestem cofnięty w rozwoju czy zgoła nienormalny.

— Nie. Wcale tak nie uważam, Krile, nigdy nie sugerowałam czegoś podobnego. Powiedz mi w takim razie, jakie są twoje wnioski dotyczące Rotora?

— Nie spodziewaj się rewelacji. Przyszło mi jedynie do głowy, że w pustej przestrzeni nie istniało w zasadzie żadne zagrożenie dla podróżującego Osiedla. Łatwo jest mówić, że wokół Sąsiedniej Gwiazdy krąży teraz martwy kadłub Rotora, jeśli w ogóle tam jest, ale znacznie trudniej jest odpowiedzieć na pytanie, co mogło spowodować zniszczenie Osiedla w trakcie lotu lub już po przybyciu na miejsce? Zaprzeczę każdej wersji katastrofy, jaką mi podasz: nie było zderzenia, obcych inteligencji, czy co tam jeszcze…

— Krile, wiesz, że nie mogę podać ci żadnej stuprocentowo pewnej wersji wydarzeń — odpowiedziała z przekonaniem. — Nie mam mistycznych wizji dotyczących przeszłości. Mogę jednak powiedzieć ci co nieco o hiperwspomaganiu. To bardzo ryzykowna technika. Wierz mi na słowo, Krile. Hiperwspomaganie nie wykorzystuje ani normalnej przestrzeni, ani hiperprzestrzeni — ślizga się pomiędzy nimi, przechodząc to na jedną, to na drugą

stronę w krótkich odstępach czasowych, nawet kilka razy na minutę. Zanim Rotor doleciał do Sąsiedniej Gwiazdy, mógł wykonać milion albo i więcej skoków pomiędzy dwoma przestrzeniami.

— I co z tego?

— Skoki są znacznie bardziej niebezpieczne niż normalny lot, zarówno w kosmosie jak i w hiperprzestrzeni. Nie wiem, jak daleko zaawansowani byli Rotorianie w badaniach nad hiperprzestrzennością, ale wydaje mi się, że byli dopiero na początku drogi, poznali podstawy — w przeciwnym razie zajęliby się prawdziwymi lotami superluminalnymi. Podczas badań prowadzonych przeze mnie — a

nasz projekt zajął się hiperprzestrzennością bardzo szczegółowo — zdołaliśmy ustalić, jaki wpływ ma na obiekt materialny przechodzenie z normalnej przestrzeni do hiperprzestrzeni, i odwrotnie. Jeśli obiekt jest punktem, przejście nie nastręcza żadnych trudności. Jeśli jednak obiekt nie jest punktem — jeśli jest to na przykład większy kawałek materii, taki jak statek — istnieje zawsze pewien skończony okres czasu, w którym część obiektu przebywa w przestrzeni normalnej, a inna część w hiperprzestrzeni. Na skutek tego obiekt podlega działaniu sił — ich wielkość zależy od rozmiarów obiektu, jego budowy fizycznej, szybkości przejścia i tak dalej. Jeśli mówimy o jednym przejściu, a nawet kilkunastu przejściach, to niebezpieczeństwo związane z oddziaływaniem wspomnianych przeze mnie sił jest tak niewielkie, że może zostać zignorowane, nawet w przypadku tak dużego obiektu jak Rotor.

Superluminal podczas lotu do Sąsiedniej Gwiazdy wykona kilkanaście przejść, a może nawet tylko dwa. Dlatego nasz lot będzie całkowicie bezpieczny. Z drugiej strony mamy Rotora, który posiadał hiperwspomaganie i wykonywał miliony przejść w ciągu swojej podróży… Rozumiesz teraz, jak bardzo zwiększyło się prawdopodobieństwo fatalnego w skutkach oddziaływania sił, o których mówiłam.

— Czy to jest pewne? — zapytał przerażony Fisher.

— Nie, nic nie jest pewne. To sprawa statystyki. Statek może wykonać milion przejść, a nawet miliard i nic się nie stanie. Ale równie dobrze może zostać zniszczony przy pierwszej próbie przejścia. Prawdopodobieństwo katastrofy zwiększa się oczywiście wraz z ilością wykonywanych przejść. Podejrzewam, że Rotor wyruszył w podróż wiedząc bardzo niewiele o niebezpieczeństwach związanych z przejściem. Gdyby wiedzieli więcej, nigdy nie zdecydowaliby się na takie ryzyko. Dlatego twierdzę, że istnieje pięćdziesięcioprocentowa szansa na to, że Rotor „dokuśtykał" do Sąsiedniej Gwiazdy, mimo działania sił podczas przechodzenia z przestrzeni do hiperprzestrzeni, oraz taka sama szansa, że został zniszczony na skutek działania tych samych sił. I dlatego twierdzę dalej, że możemy równie dobrze znaleźć kadłub, jak i nic.

— Zapomniałaś, że możemy znaleźć żywe Osiedle — powiedział z przekorą w głosie Fisher.

— Zgoda — powiedziała Tessa. — Ty natomiast zapominasz, że nam również mogą przydarzyć się jakieś niespodzianki, że my także możemy zginąć, a wtedy na pewno nic nie znajdziemy. Proszę cię tylko, abyś zapomniał o pewnikach i zaczął myśleć o prawdopodobieństwach. I zapamiętaj sobie, że ci, którzy zabierają się do rozważań nad hiperprzestrzenią bez odpowiedniego przygotowania, z reguły nie dochodzą do rozsądnych wniosków.

Fisher milczał. Ogarniała go depresja, a Tessa przyglądała mu się z niepokojem.

Tessa Wendel w życiu nie widziała czegoś tak niesamowitego jak Stacja Czwarta, która wyglądała tak jak małe, nieukończone Osiedle, które później zamieniono w laboratorium, obserwatorium i platformę startową. Na Stacji nie było farm ani domów, niczego, co normalnie znajdowało się w każdym Osiedlu bez względu na jego wielkość. Poza tym Stacja nie obracała się, a w związku z tym nigdzie nie było nawet pseudociążenia.

Był to po prostu nadmiernie rozrośnięty statek kosmiczny. Co prawda, można było od biedy mieszkać na nim — zakładając, że ktoś zajmie się dostawami żywności, powietrza i wody (istniejący na Stacji system uzdatniania powietrza i wody był absolutnie nieefektywny) — lecz niezbyt długo.

Krile Fisher porównywał złośliwie Stację Czwartą do pierwszych stacji kosmicznych. Twierdził wręcz, że jest to właśnie jedna z takich stacji, która w niewyjaśniony sposób dotrwała do dwudziestego trzeciego stulecia.

Stacja Czwarta była wyjątkowa również z innego względu: z jej pokładu roztaczał się panoramiczny widok na system Ziemia-Księżyc. Z Osiedli orbitujących wokół Ziemi rzadko kiedy można było obserwować te dwa ciała w ich całej okazałości. Ziemia i Księżyc oglądane ze Stacji Czwartej znajdowały się zaledwie o piętnaście stopni od siebie. A ponieważ Stacja krążyła wokół środka grawitacji systemu (który z grubsza rzecz biorąc znajdował się na Ziemi), ciągłe zmiany ustawienia i faz obydwu ciał, a także zmieniający się kształt Księżyca (w zależności od tego, czy znajdował się on po tej samej stronie Ziemi co Stacja, czy po odwrotnej), stanowiły dla obserwatora przepiękny, nigdy nie kończący się spektakl.

Dostęp Słońca do Stacji był automatycznie blokowany za pomocą urządzenia o wdzięcznej nazwie „sztuza” (na pytanie Tessy o pochodzenia nazwy odpowiedziano jej, że jest to nic innego jak sztuczne zaciemnienie). Widok z pokładu ulegał pogorszeniu jedynie wtedy, gdy Słońce znalazło się zbyt blisko Ziemi lub Księżyca.

Pochodzenie Tessy dało o sobie znać wtedy, gdy przyglądała się spektaklowi na niebie, głównie dlatego, że jak twierdziła, ma teraz całkowitą pewność, że w końcu opuściła Ziemię. Fisher słysząc to uśmiechnął się krzywo. Zauważył jej szybkie spojrzenia w prawo i w lewo, gdy wypowiadała swoją kwestię.

— Widzę — powiedział — że nie obawiasz się mówić mi tego, chociaż jako Ziemianin mógłbym się obrazić. Ale bądź spokojna, nie powtórzę tego nikomu.

— Mam do ciebie całkowite zaufanie, Krile — uśmiechnęła się do niego zadowolona. Fisher bardzo się zmienił od ich ostatniej rozmowy

o Rotorze. Był ponury — to prawda, lecz lepsze to niż rozgorączkowana niecierpliwość i nadzieja bez pokrycia.

— Myślisz, że oni ciągle obawiają się twojego pochodzenia? — zapytał po chwili Fisher.

— Oczywiście, że tak. Nigdy o nim nie zapomną. Są tak samo ograniczeni jak ja, a ja nigdy nie zapominam, że jesteście Ziemianami.

— Mnie to również dotyczy?

— Niezupełnie. Ty jesteś Krile i należysz do kategorii, na którą składa się wyłącznie Krile. Ja jestem Tessa i to wszystko.

— Czy nie martwi cię czasem — zaczął ostrożnie Fisher — że opracowałaś loty superluminalne dla Ziemi, a nie dla twojego rodzinnego Osiedla, Adelii?

— Nie zrobiłam tego dla Ziemi i nie zrobiłam tego dla Adelii. Zrobiłam to dla siebie. Miałam problem, który musiałam rozwiązać, i udało mi się. Przejdę do historii jako wynalazca statku superluminalnego i to niewątpliwie będzie mój sukces. A teraz być może to, co powiem, zabrzmi pretensjonalnie, ale zrobiłam to również dla ludzkości.

Nie ma znaczenia, na jakim świecie dokonuje się wynalazku, wiesz? Ktoś na Rotorze odkrył hiperwspomaganie, które obecnie mają już wszyscy. Podobnie będzie z lotami superluminalnymi. Osiedla prędzej czy później opanują tę technologię. Ważny jest postęp, z którego w efekcie korzysta cała ludzkość.

— Jednak Ziemi jest on bardziej potrzeby niż Osiedlom.

— Chodzi ci o Sąsiednią Gwiazdę, która w znacznie mniejszym stopniu zagraża Osiedlom. To prawda, że Osiedla mogą uciec, a Ziemia nie. Ja jednak zostawiam ten problem waszym przywódcom. Dostarczyłam wam narzędzia, do nich należy reszta.

— Tak. A więc lecimy jutro — powiedział Fisher.

— Tak, w końcu. Odlecimy w świetle reflektorów, będzie holowizja i te rzeczy. Chociaż nie wiem kiedy, i czy w ogóle, pokażą to szerokiej publiczności i Osiedlom.

— Sądzę, że dopiero po naszym powrocie — odpowiedział Fisher. — Nie ma sensu wystawiać nas na widok publiczny nie mając pewności, czy kiedykolwiek wrócimy. Dla nich będzie to śmiertelnie długie oczekiwanie, tym bardziej że nie mamy żadnych środków łączności. A nawet pierwsi ludzie na Księżycu mieli przez cały czas kontakt z Ziemią.

— To prawda — powiedziała Tessa — ale gdy Kolumb wypłynął w swoją podróż przez Atlantyk, monarchowie hiszpańscy usłyszeli o nim dopiero, kiedy wrócił siedem miesięcy później.

— Pomyśl jednak, że Ziemia ryzykuje teraz znacznie więcej niż Hiszpania siedemset pięćdziesiąt lat temu. To rzeczywiście duże niedopatrzenie, że nie zajęto się rozwojem łączności superluminalnej

w odpowiednim czasie.

— Ja również tak uważam. Koropatsky zresztą też. Namawiał mnie nawet do zajęcia się telekomunikacją, ale powiedziałam mu, że nie jestem dobrą wróżką, czyniącą cuda na każde życzenie. Przenoszenie obiektów materialnych przez hiperprzestrzeń to zupełnie co innego niż przenoszenie promieniowania: w jednym i w drugim przypadku obowiązują całkowicie różne zasady, nawet w normalnej przestrzeni. Maxwell wymyślił swoje równania elektromagnetyczne dwieście lat po równaniach grawitacyjnych Newtona. W hiperprzestrzeni materia i promieniowanie nie mają ze sobą nic wspólnego, udało nam się zapanować nad materią — promieniowanie ciągle wymyka nam się z rąk. Musimy jeszcze poczekać na łączność superluminalną.

— To niedobrze — powiedział Fisher — ponieważ bez łączności loty superluminalne mogą okazać się nieprzydatne.

— Dlaczego?

— Brak łączności oznacza przecięcie pępowiny. Czy Osiedla są w stanie przetrwać znajdując się daleko od Ziemi… daleko od reszty ludzkości?

Wendel spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Stałeś się nagle wyznawcą jakiejś nowej filozofii?

— Nie, to tylko taka myśl. Ty jesteś Osadniczką, Tesso, znasz zupełnie odmienny od naszego model życia i dlatego być może nie potrafisz zrozumieć w pełni faktu, że życie w Osiedlach nie jest czymś naturalnym dla rodzaju ludzkiego.

— Naprawdę? Moje życie nigdy nie wydawało mi się nienaturalne.

— Dlatego, że nigdy nie mieszkałaś w jednym Osiedlu. Twoje życie związane było z całym systemem Osiedli krążących wokół planety zamieszkanej przez miliardy ludzi. A spójrzmy teraz na Rotorian znajdujących się w pobliżu Sąsiedniej Gwiazdy — czy życie w izolowanym Osiedlu może ich w pełni zadowolić? Chyba nie. Co w takim razie powinni zrobić? Wrócić na Ziemię. Ale nie zrobili tego, a wiesz, co to oznacza? Znaleźli planetę nadającą się do zamieszkania.

— Planetę nadającą się do zamieszkania w pobliżu czerwonego karła? Wielce nieprawdopodobne.

— Przyroda nieraz płatała nam figle i obalała nasze pewniki. Załóżmy, że znajdziemy jakąś planetę, czy nie sądzisz, że powinniśmy ją zbadać?

— Zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz — powiedziała Tessa. — Wydaje ci się, że po przybyciu na miejsce znajdziemy w pobliżu Sąsiedniej Gwiazdy jakąś planetę, odnotujemy ten fakt, stwierdzimy, że nie nadaje się do zamieszkania i polecimy dalej. Ty natomiast chciałbyś wylądować, przeprowadzić dokładne badania, a

przede wszystkim sprawdzić, czy nie ma tam twojej córki. Ale mamy przecież detektory neuroniczne: jeśli nie wykryją żadnej inteligencji w pobliżu Sąsiedniej Gwiazdy, to w dalszym ciągu mamy badać poszczególne planety? Zakładając, że są tam planety…

Fisher zawahał się.

— Tak. Jeśli dojdziemy do wniosku, że nadawałyby się do zamieszkania. Musimy je zbadać, takie jest moje zadanie. Powinniśmy wiedzieć wszystko o każdej takiej planecie. Wkrótce być może będziemy musieli ewakuować Ziemię, powinniśmy wiedzieć, dokąd posyłamy naszych ludzi. Wam nie robi to żadnej różnicy, Osiedla odlecą sobie w kosmos, nikt nikogo nie będzie ewaku…

— Krile! Nie traktuj mnie jak wroga! Dlaczego nagle przypomniało ci się, że jestem Osadniczką? Jestem Tessą. Jeśli znajdziemy jakąś planetę, zbadamy ją, obiecuję ci. Ale jeśli rzeczywiście ją znajdziemy i okaże się, że zajęli ją Rotorianie… To co wtedy? Mieszkałeś na Rotorze, Krile. Znasz Janusa Pitta.

— Nie znam go, słyszałem o nim. Nigdy go nie spotkałem, ale moja żo… moja była żona pracowała z nim. Wedle jej słów Pitt był bardzo zdolny, bardzo inteligentny i bardzo potężny.

— Bardzo potężny. My też słyszeliśmy o nim co nieco. Nie był lubiany w innych Osiedlach. I jeśli to on wymyślił plan ukrycia Rotora przed resztą ludzkości, nie mógł znaleźć lepszego miejsca niż Sąsiednia Gwiazda — tak bliska, a jednocześnie nieznana wówczas nikomu poza Rotorem. I jeśli z jakichś powodów doszedł do wniosku, że chce mieć cały system dla siebie, to będąc sobą potężnym Janusem Pittem. zabezpieczył się przed innymi, którzy mogliby ewentualnie mieć ochotę na jego gwiazdę. A jeśli znalazł planetę, którą Rotor skolonizował, to sprawa bezpieczeństwa stała się dla niego zagadnieniem o pierwszorzędnym znaczeniu.

— Do czego zmierzasz? — spytał Fisher. domyślając się, co chce powiedzieć Tessa.

— Jutro startujemy i już wkrótce znajdziemy się w pobliżu Sąsiedniej Gwiazdy. Jeśli jest tam planeta — a ty wydajesz się przekonany, że jest — i jeśli planetę tę zajęli Rotorianie, to nasze spotkanie z nimi nie odbędzie się według starej, dobrej zasady: „A kuku! Niespodzianka!”… Myślę, że gdy tylko nas zobaczą, ich powitanie będzie jednocześnie pożegnaniem z nami. Na zawsze.

Rozdział 29
WRÓG

Ranay D'Aubisson — jak wszyscy mieszkańcy Kopuły Erytro — odwiedzała co jakiś czas Rotora. Potrzebowała — jak wszyscy — odpoczynku, domu, powrotu do korzeni, oddechu przed kolejnym okresem wytężonej pracy.

Tym razem jednak D'Aubisson „poleciała na górę" (w ten sposób określano zazwyczaj podróż na Rotora) nieco wcześniej niż pierwotnie planowała. Wezwał ją do siebie komisarz Pitt. Siedziała teraz w biurze Janusa przyglądając się swoimi nawykłymi do obserwacji oczami postarzałej twarzy komisarza. Po raz ostatni widziała go przed kilku laty — jej obowiązki zawodowe nie wymagały oczywiście częstych kontaktów z Pittem.

Jego głos oparł się upływowi czasu — był silny i ostry jak niegdyś. Nie dostrzegała również żadnych zmian w sprawności psychicznej.

— Otrzymałem pani raport — zaczął Pitt — dotyczący incydentu, który wydarzył się poza Kopułą. Doceniam pani ostrożność w ocenie sytuacji. Teraz jednak rozmawiamy prywatnie, poza protokołem. Chciałbym dokładnie wiedzieć, co przydarzyło się Genarrowi? Ten pokój jest izolowany tarczą dźwiękochłonną, może pani mówić swobodnie.

— Mój raport — powiedziała sucho D'Aubisson — ostrożny w sformułowaniach — jak był pan łaskaw zauważyć — jest wyczerpujący i prawdziwy. Nie wiemy, co przydarzyło się dowódcy Genarrowi. Badanie mózgu wykazało, co prawda, pewne zmiany, były one jednak bardzo niewielkie i nie odpowiadały niczemu, z czym zetknęliśmy się w przeszłości. Poza tym nie były to zmiany chroniczne. Po jakimś czasie cofnęły się, szybko i zdecydowanie.

— Jednak coś się stało.

— O tak, na tym właśnie polega nasz problem. Nie możemy wyjść poza owo „coś".

— Jakaś forma Plagi?

— Żaden z wcześniejszych zbadanych symptomów nie wystąpił w tym przypadku.

— Ale w pierwszym okresie pojawienia się Plagi metody badania mózgu byty bardzo prymitywne. W przeszłości mogliście nie zwrócić uwagi na symptomy, które zbadaliście teraz. Być może mamy więc do czynienia z lekkim przypadkiem Plagi?

— Zawsze można tak powiedzieć, nie mamy jednak żadnych dowodów, że to, co mówimy, jest prawdą, poza tym Genarr zachowuje się obecnie zupełnie normalnie.

— Wygląda normalnie, ale nie możemy mieć pewności, że nie będzie nawrotu choroby.

— Ani pewności, że będzie.

Na twarzy komisarza pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

— Stara się pani przegadać mnie, D'Aubisson? Obydwoje wiemy doskonale, że funkcja, jaką sprawuje Genarr, ma olbrzymie znaczenie. Sytuacja w Kopule jest zawsze niepewna, ponieważ nigdy nie. wiemy, czy Plaga uderzy, a jeśli tak, to kiedy? Wartość Genarra polegała na tym, że wydawał się odporny na Plagę, teraz natomiast trudno mówić o jakiejkolwiek odporności. Coś się stało i musimy być przygotowani do zmiany na stanowisku dowódcy.

— Ta decyzja zależy od pana, komisarzu. Zmiana na stanowisku dowódcy nie może być jednak podyktowana względami medycznymi.

— Obserwuje go pani, mam nadzieję? Proszę pamiętać, że zmiana może okazać się konieczna.

— Nie zapominam o swoich obowiązkach.

— To dobrze. Tym bardziej, że w przypadku zmiany, pani kandydatura brana jest pod uwagę.

— Moja kandydatura? — na twarzy D'Aubisson pojawił się błysk podniecenia, którego nie potrafiła ukryć w porę.

— Tak, dlaczego nie? Powszechnie wiadomo, że nigdy nie byłem zbyt entuzjastycznie nastawiony do projektu kolonizacji Erytro. Zawsze uważałem, że ludzkość powinna zachować jak największą zdolność do przemieszczania się, zamiast dawać się schwytać w pułapkę i niewolę dużej planety. Niemniej jednak doszedłem do wniosku, że postąpimy mądrze kolonizując planetę nie jako przyszłą siedzibę dla naszej populacji, lecz jako potencjalne źródło surowców, zaplecze materialne dla Rotora… Coś takiego jak Księżyc w Układzie Słonecznym. Ale moje plany na nic się nie zdadzą, jeśli nad naszymi głowami ciągle będzie wisiała groźba Plagi, prawda?

— Zgadza się, komisarzu.

— Naszym podstawowym zadaniem na początku jest rozwiązanie tego problemu. Nigdy nam się to nie udało. Plaga co prawda cofnęła się i my zaakceptowaliśmy ten fakt, jednak ostatnie wydarzenia świadczą o tym, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Bez względu na to, czy Genarr zapadł na Plagę, czy nie, chcę, żeby ta sprawa stała się dla nas kwestią największej uwagi. Pani naturalnie stanie na czele całego projektu.

— Chętnie podejmę się tego zadania. Będę oczywiście robiła to, co robię do tej pory, jednak ze znacznie poszerzonymi uprawnieniami. Natomiast nie jestem przekonana, co do tego, czy powinnam zostać

dowódcą Kopuły Erytro.

— Jak. słusznie pani zauważyła wcześniej, ta decyzja należy do mnie. Rozumiem, że nie odmówiłaby pani przyjęcia tego stanowiska, gdyby zostało ono pani zaproponowane?

— Nie, komisarzu, byłby to dla mnie zaszczyt.

— Tak, jestem pewny — powiedział sucho Pitt. — A co stało się z dziewczyną?

D'Aubisson zdziwiła się tą nagłą zmianą tematu.

— Dziewczyną? — wyjąkała.

— Tak, z dziewczyną, która była z Genarrem poza Kopułą, tą, która zdjęła skafander ochronny.

— Z Marleną Fisher?

— Tak, tak się nazywa. Co się z nią stało? D'Aubisson zawahała się.

— Nic, dlaczego komisarzu?

— Ja teraz zadaję pytania. Czytałem pani raport i nic, absolutnie nic?

— Nic, tak przynajmniej wykazało badanie mózgu i wszystkie inne badania.

— Chce pani powiedzieć, że Genarr ubrany w skafander ochronny stracił przytomność, a dziewczyna, ta Marlena Fisher, która zdjęła skafander, wyszła z tego bez szwanku?

— Tak, o ile wiem, to tak — powiedziała oburzona D'Aubisson.

— Czy nie sądzi pani, że jest to nieco dziwne?

— Ona w ogóle jest dziwną dziewczyną. Jej badanie mózgu…

— Znam wyniki jej badania mózgu. Wiem także, że posiada dosyć specyficzne zdolności. Zauważyła je pani?

— O tak, oczywiście.

— I co pani o nich sądzi? Czyta myśli czy coś w tym rodzaju…

— Nie, komisarzu. To jest niemożliwe. Telepatia to wymysł fantastów. Chociaż z drugiej strony, cała sprawa byłaby znacznie prostsza, gdyby chodziło tu o odczytywanie myśli. Myśli można kontrolować.

— Jakie w takim razie niebezpieczeństwo kryje się w tym wszystkim?

— Ona bez wątpienia odczytuje język ciała, który nie poddaje się żadnej kontroli. Ruchy mówią same za siebie — powiedziała to gorzkim tonem, który Pitt natychmiast zauważył.

— Doświadczyła pani tego osobiście? — zapytał.

— Oczywiście — odrzekła ponuro D'Aubisson. — Nie można przejść w jej pobliżu nie doświadczając na własnej kórze efesktów jej zdolności.

— Tak, ale co konkretnie zaszło?

— W sumie nic istotnego, lecz było to raczej denerwujące

doświadczenie — D'Aubisson zaczerwieniła się i zacisnęła wargi, tak jak gdyby chciała sprzeciwić się poleceniu zrelacjonowania wydarzenia. Po chwili jednak wyszeptała ze złością: — Po zbadaniu przeze mnie dowódcy Kopuły Genarra, Marlena zadała mi pytanie dotyczące jego stanu zdrowia. Odpowiedziałam jej, że nic mu nie grozi, i że wkrótce wstanie z łóżka.

Wtedy zapytała mnie: „Dlaczego odczuwa pani rozczarowanie?" Zaskoczyło mnie to, ale odpowiedziałam jej tak: „Nie jestem rozczarowana. Jestem zadowolona." Na to ona: „Lecz pani jest rozczarowana. To dla mnie jasne. Jest pani także niecierpliwa".

Wtedy po raz pierwszy zetknęłam się z czymś takim, chociaż wcześniej słyszałam już o tym od innych, mimo to postanowiłam stawić jej czoła: „Dlaczego wydaje ci się, że jestem niecierpliwa? Z jakiego powodu?"

Spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi, ciemnymi, niepokojącymi oczyma i powiedziała: „To dotyczy wujka Sievera…"

— Wujka Sievera? — przerwał jej Pitt. — Oni są rodziną?

— Nie. To taki afektowany sposób mówienia. W każdym razie zakończyła to tak: „To dotyczy wujka Sievera i wydaje mi się, że pani pragnie zastąpić go na stanowisku dowódcy Kopuły." Usłyszawszy to odwróciłam się i odeszłam.

— Co pani czuła w tym momencie? — zapytał Pitt.

— Jak to co? Byłam wściekła oczywiście.

— Dlatego, że kłamała, czy dlatego, że miała rację?

— No cóż, w pewien sposób…

— Nie, nie. Bez owijania w bawełnę, pani doktor. Kłamała czy miała rację? Czy była pani rozczarowana powrotem do zdrowia Genarra w takim stopniu, że dziewczyna mogła to zauważyć, czy po prostu wymyśliła to sobie?

D'Aubisson odpowiedziała z wielką niechęcią:

— Zdaje się, że wyczuła coś, co rzeczywiście mogło mieć miejsce — spojrzała na Pitta z rozdrażnieniem. — Jestem tylko człowiekiem i jak każdy człowiek kieruję się niekiedy impulsami. Sam pan przed chwilą powiedział, że rozważana jest możliwość zaproponowania mi tego stanowiska, co oznacza, że prawdopodobnie nadaję się do jego pełnienia.

— Myli się pani co do ducha, jeśli nie do litery… — powiedział Pitt bez uśmiechu. — Zastanówmy się… Mamy oto do czynienia z małą kobietą, ciekawą, a raczej dziwną osobą — co potwierdza zarówno badanie mózgu, jak i jej zachowanie — która w dodatku jest prawdopodobnie odporna na Plagę. Wydaje mi się, że istnieje jakiś związek pomiędzy jej charakterystyką neurologiczną a odpornością. Czy nie można by jej wykorzystać jako narzędzia w badaniach nad Plagą?

— Nie umiem odpowiedzieć, ale sądzę, że jest to dopuszczalne.

— Czy nie należałoby tego sprawdzić?

— Być może, ale jak?

— Pozwolić jej wystawiać się na działanie Erytro — powiedział cicho Pitt.

— Ona niczego bardziej nie pragnie — odpowiedziała zamyślona D'Aubisson — i z tego, co wiem, dowódca Genarr jest po jej strome.

— Wspaniale. W takim razie pani zadba o zaplecze medyczne.

— Rozumiem. A jeśli zapadnie na Plagę?

— Musimy pamiętać, że rozwiązanie problemu jest ważniejsze niż dobro poszczególnej jednostki. Przed nami świat do zdobycia,za który być może przyjdzie nam zapłacić smutną, lecz konieczną cenę.

— A jeśli Marlena zachoruje i jej przypadek nie pomoże nam zrozumieć przyczyn Plagi i nie wskaże ewentualnych środków zaradczych?

— Musimy się liczyć z takim ryzykiem — powiedział Pitt. — Równie dobrze może nie zachorować — a to także powinno stać się cennym materiałem do badań, kto wie, może nawet przełomem w naszym podejściu do zagadnienia. W takim wypadku wygramy bez strat.

Gdy D'Aubisson opuściła biuro komisarza i udała się do swojej kwatery, Pitt pozwolił sobie na stwierdzenie, że został śmiertelnym wrogiem Marleny Fisher. Prawdziwym zwycięstwem dla komisarza Rotora byłoby zniszczenie Marleny i brak postępów w badaniach nad Plagą. Za jednym zamachem pozbyłby się niewygodnej dziewczyny, która w przyszłości może rodzić sobie podobnych, i równie niewygodnego świata, na którym kiedyś mogłaby powstać nieciekawa cywilizacja — nieruchoma i zależna od planety jak cywilizacja ziemska.

Cała trójka siedziała razem w Kopule Erytro: ostrożny Siever Genarr, bardzo przejęta Eugenia Insygna i zniecierpliwiona Marlena Fisher.

— Pamiętaj, Marleno — powiedziała Insygna — nie wpatruj się w Nemezis. Wiem, że ostrzegano cię przed podczerwienią, chodzi jednak o to, że Nemezis jest gwiazdą średniej jasności i od czasu do czasu na jej powierzchni mają miejsce wybuchy białego światła. Trwają około minuty lub dwóch, ale to wystarczy, żeby naruszyć siatkówkę. Poza tym nigdy nie wiadomo, kiedy nastąpi taki wybuch.

— Astronomowie też tego nie wiedzą? — zapytał Genarr.

— Jeszcze nie. Wybuchy są jednym z bardziej chaotycznych aspektów natury. Nie udało nam się jeszcze odkryć praw rządzących gwiezdnymi turbulencjami. Niektórzy twierdzą nawet, że nigdy nie uda nam się odkryć takich praw. Są zbyt kompleksowe.

— To ciekawe — powiedział Genarr.

— Tak. Wybuchy są bardzo potrzebne. Trzy procent energii na powierzchni Erytro pochodzi właśnie z wybuchów.

— Czy to dużo?

— Bardzo dużo. Bez wybuchów Erytro byłaby niemal lodowata, a w każdym razie nie nadawałaby się do zamieszkania. Natomiast na Rotorze wybuchy przysparzają niemało kłopotów. Osiedle musi dostosowywać swoje zapotrzebowanie na światło za każdym razem, gdy na Nemezis pojawia się biała plama, a oznacza to wzmocnienie pola absorpcyjnego cząstek.

Martena przyglądała się im po kolei, a w końcu przerwała dyskusję z nutą zniecierpliwienia w głosie:

— Jak długo macie jeszcze zamiar wymieniać uwagi? Wiem, że chcecie odwlec decydujący moment, ale to nie ma sensu.

— Dokąd pójdziesz tam na zewnątrz? — zapytała pospiesznie Insygna.

— Będę gdzieś w okolicy. Pójdę nad tę rzekę czy strumień, czy cokolwiek to jest.

— Dlaczego?

— Bo jest tam ciekawie. Woda płynie po otwartej przestrzeni i nie widać ani jej początku, ani końca. Wiadomo tylko, że nikt jej nie pompuje z powrotem tam, skąd się wzięła.

— Ależ pompuje — powiedziała Insygna. — Robi to ciepło Nemezis.

— To się nie liczy. Nie robią tego ludzie. Chcę tylko postać tam i popatrzeć.

— Zabraniam ci picia tej wody — głos Insygny był teraz szorstki.

— Wcale nie mam takiego zamiaru. Mogę wytrzymać godzinę bez picia. Jeśli będę głodna albo spragniona — albo cokolwiek — to wrócę. Robisz problemy z niczego.

Genarr uśmiechnął się.

— Twoja matka wierzy w skuteczność obiegów zamkniętych.

— Oczywiście, a dlaczego miałabym nie wierzyć? Siever uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Wiesz, Eugenio, wydaje mi się, że życie w Osiedlach całkowicie zmieniło ludzkość. Konieczność przetwarzania wydalanych przez nas odpadów stała się niemal tak istotna jak samo oddychanie. Na Ziemi wyrzucaliśmy wszystko na zewnątrz, zakładając, że przyroda zrobi za nas resztę. Oczywiście nie zawsze tak było.

— Genarr — powiedziała Insygna — jesteś niepoprawnym marzycielem. Ludzie z konieczności wytworzyli dobre nawyki, ale założę się, że gdyby znikła konieczność, stare przyzwyczajenia znowu wzięłyby górę. Zawsze łatwiej się spada niż wspina. Nazywa się to drugim prawem termodynamiki. Gdybyśmy kiedykolwiek mieli skolonizować Erytro, to zapewniam cię, że wkrótce cala planeta

pokryłaby się górą śmieci.

— Nieprawda — powiedziała Marlena.

— Dlaczego tak uważasz, kochanie? — zapytał zaciekawiony Genarr.

— Bo to nieprawda i już — odpowiedziała uparcie Marlena. -A teraz czy mogę wreszcie wyjść?

Genarr spojrzał na Insygnę i powiedział:

— Chyba możemy jej na to pozwolić, Eugenio. Nie powinniśmy dłużej tego odwlekać. Ranay D'Aubisson, która właśnie wróciła z Rotora, powiedziała mi, że przejrzała wczoraj wszystkie wyniki badań Marleny i że brak w nich jakichkolwiek zmian — jeśli więc to o czymś świadczy, to Marlenie rzeczywiście nic nie grozi na Erytro.

Martena, która stała już niemal w drzwiach gotowa do wejścia do śluzy powietrznej, odwróciła się nagle.

— Poczekaj, wujku Sieverze. Prawie zapomniałam. Musisz uważać na tę D'Aubisson.

— Dlaczego? Jest wspaniałym neurofizykiem.

— Nie o to chodzi. Była zadowolona, kiedy ty leżałeś chory po naszym wyjściu, a potem rozczarowana, kiedy szybko wydobrzałeś.

Insygna, która wyglądała na zaskoczoną, zapytała automatycznie:

— Skąd wiesz?

— Bo wiem.

— Nie rozumiem, Sieverze. Wydawało mi się, że twoje stosunki z D'Aubisson są bardziej niż poprawne.

— Tak, to prawda. Nasze stosunki są doskonałe. Nigdy nie było między nami żadnych konfliktów. Ale jeśli Marlena mówi…

— Czy Marlena nie może się mylić?

— Nie mylę się — odpowiedziała natychmiast Marlena.

— Jestem pewny, że masz rację — powiedział Genarr, a potem zwrócił się do Insygny: — D'Aubisson jest bardzo ambitną kobietą. Gdyby coś mi się stało, logicznie rzecz biorąc, ona powinna zostać moim następcą. Posiada duże doświadczenie i z pewnością najlepiej zna się na Pladze. Co więcej, jest starsza ode mnie i być może uważa, że zostało jej już niewiele czasu. Nie mogę jej winić za to, że chce zostać dowódcą, ani za to, że rosło w niej serce, gdy byłem chory. Być może nawet nie zdaje sobie sprawy z własnych pragnień i uczuć.

— Doskonale zdaje sobie z nich sprawę — powiedziała ponuro Martena. — Jest w pełni świadoma tego, co chce, i wie, co w związku z tym czuje. Uważaj na nią, wujku Sieverze.

— Postaram się. Jesteś gotowa?

— Oczywiście.

— Dobrze. W takim razie odprowadzę cię do śluzy. Chodź z nami Eugenio i przestań mieć taką grobową minę. I stało się tak, że Martena wyszła na powierzchnię Erytro. Po raz pierwszy sama, nie mając na

sobie skafandra.

Według czasu ziemskiego było to 15 stycznia 2237 roku, o godzinie 21:20. Według czasu Erytro było to rankiem.

Rozdział 30
PRZEJŚCIE

Krile Fisher usiłował ukryć podniecenie, starał się zachować taki sam spokojny wyraz twarzy, jaki dostrzegał u innych. Nie miał pojęcia, gdzie znajdowała się w tej chwili Tessa Wendel. Nie mogła być daleko — Superluminal nie był dużym statkiem, jednak wielość pomieszczeń i zakamarków sprawiła, że łatwo można było się w nim zgubić.

Trójka pozostałych członków załogi spełniała według Fishera rolę majtków. Zawsze mieli coś do roboty i zawsze byli zajęci. W przeciwieństwie do nich, Fisher nie uskarżał się na nadmiar obowiązków: w zasadzie jego jedyne zadanie polegało na usuwaniu się innym z drogi.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na załogę statku (dwóch mężczyzn i jedną kobietę). Znał ich na tyle dobrze, by móc rozpocząć rozmowę, zresztą rozmawiał z nimi często. Wszyscy byli młodzi. Najstarszy, Chao-Li Wu, miał trzydzieści osiem lat i był hiperspecjalistą. Drugi według wieku. Henry Jarlow, miał trzydzieści pięć lat, a po nim nie było długo nic i wreszcie przychodziła kolej na niemowlę wśród załogi, Merry Blankowitz, lat dwadzieścia siedem, ze świeżym jeszcze dyplomem doktorskim.

Tessa ze swoimi pięćdziesięcioma pięcioma latami była niemal dinozaurem w tym towarzystwie, jednak to ona była wynalazcą, boginią tego lotu.

Jedynie Fisher zupełnie nie pasował do reszty. Wkrótce miał skończyć pięćdziesiąt lat, ale nie posiadał żadnego specjalistycznego wykształcenia. Gdyby pod uwagę brano wiek i kwalifikacje, nie miałby prawa znaleźć się na pokładzie statku.

Lecz tylko on był na Rotorze, a to się liczyło. Poza tym Tessa chciała, by jej towarzyszył, a to się liczyło jeszcze bardziej. Tak przynajmniej uważali Tanayama i Koropatsky, a do nich należało ostatnie słowo.

Statek płynął wolno w przestrzeni. Fisher raczej domyślał się, niż wiedział na pewno, ponieważ nic nie wskazywało na jakikolwiek ruch. Domyślał się tego dzięki własnemu żołądkowi, jeśli tak można powiedzieć. Natomiast w głowie kołatały mu przeróżne idee, z których najważniejsza była ta: „Byłem w kosmosie znacznie dłużej niż cała reszta razem zięta. Podróżowałem przeróżnymi statkami i dlatego mogę powiedzieć, że tej maszynie brak jest wdzięku — o czym oni nie

wiedza”.

I rzeczywiście — Superluminal nie miał wdzięku nawet za grosz. Zgromadzono na nim za dużo źródeł mocy: oprócz normalnych silników napędzających każdy statek kosmiczny, Superluminal posiadał jeszcze motory hiperprzestrzenne.

Przypominał morskiego ptaka, któremu nagle kazano poruszać się po lądzie. Wyglądał po prostu niezdarnie.

Nagle pojawiła się Wendel. Jej włosy znajdowały się w lekkim nieładzie, a oprócz tego była spocona.

— Czy wszystko w porządku, Tesso? — zapytał Fisher.

— Całkowicie — odparła i przysiadła zmęczona na jednym z wgłębień znajdujących się w ścianie statku (bardzo przydatnych ze względu na małe pseudociążenie panujące na pokładzie) — żadnych problemów.

— Kiedy wejdziemy w hiperprzestrzeń?

— Za kilka godzin. Chcemy osiągnąć odpowiednie koordynaty dla wszystkich źródeł grawitacyjnych zaginających przestrzeń zgodnie z naszymi obliczeniami.

— Musimy znać wszystkie koordynaty?

— Tak.

— W takim razie loty hiperprzestrzenne nie są zbyt praktyczne — powiedział Fisher. — Pomyśl, co by się stało, gdybyśmy nie wiedzieli, gdzie akurat jesteśmy? Albo gdyby trzeba było uciekać i nie miałabyś czasu na obliczenie każdego najdrobniejszego pola grawitacyjnego?

Tessa spojrzała na Fishera z uśmiechem.

— Nigdy przedtem o to nie pytałeś. Dlaczego zainteresowałeś się tym akurat teraz?

— Nigdy przedtem nie leciałem statkiem superluminalnym. W obecnych warunkach rodzi się wiele pytań…

— Te i inne pytania rodziły się w mojej głowie od wielu lat. Witam w klubie myślicieli hiperprzestrzennych.

— Czekam na odpowiedź.

— Udzielę ci jej z przyjemnością. Po pierwsze, dysponujemy instrumentami, które mierzą całkowite natężenie grawitacyjne, zarówno w aspekcie skalarnym, jak i tensorowym w dowolnym miejscu w przestrzeni, bez względu na to, czy znamy je, czy też nie. Wyniki nie są, być może, tak dokładne jak w przypadku oddzielnych pomiarów każdego źródła grawitacyjnego i późniejszego ich sumowania, ale są wystarczająco dobre dla naszych potrzeb, tym bardziej, jeśli w grę wchodzi czas. A jeśli czasu rzeczywiście brakuje i trzeba natychmiast — mówiąc metaforycznie — nacisnąć guzik wejścia w hiperprzestrzeń i powierzyć fortunie zmartwienie o wielkość pola grawitacyjnego, to przejściu może towarzyszyć lekki zgrzyt lub potknięcie podobne do zahaczenia o próg czubkiem buta. Oczywiście

wolelibyśmy tego uniknąć, ale jeśli już do tego dojdzie, to skutki wcale nie muszą okazać się fatalne. Niemniej jednak, podczas pierwszego przejścia chcielibyśmy uniknąć jakichkolwiek niespodzianek, choćby dla własnego komfortu psychicznego.

— A jeśli śpiesząc się dojdziesz do wniosku, że pole grawitacyjne jest stosunkowo małe, a w rzeczywistości okaże się inaczej?

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— Wspominałaś o siłach działających podczas przejścia. Rozumiem, że nasze pierwsze przejście równie dobrze może okazać się ostatnim, nawet przy odpowiednim natężeniu pola grawitacyjnego.

— Niewykluczone. Jednak prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest minimalne.

— Prawdopodobieństwo całkowitego zniszczenia statku. A czy mogą być jakieś inne nieprzyjemne dla nas skutki?

— Trudno powiedzieć, ponieważ w grę wchodzi osąd subiektywny. Zrozum, że nie mówimy tu o żadnym przyspieszeniu. Statki posiadające hiperwspomaganie rzeczywiście musiały rozpędzać się do szybkości światła, a nawet ponad nią za pomocą niskoenergetycznego pola hiperprzestrzennego. Wydajność takiego pola była niska, szybkości wielkie, ryzyko olbrzymie i, mówiąc uczciwie, nie mam pojęcia, jak ludzie mogli to znosić.

Nasz statek natomiast, wykorzystuje wysokoenergetyczne pole hiperprzestrzenne i w związku z tym nasze przejście odbędzie się przy normalnej szybkości. Będziemy poruszać się ze zwykłą szybkością tysiąca kilometrów na sekundę, a w następnej chwili szybkość wzrośnie do tysiąca milionów kilometrów na sekundę — bez przyspieszania. A ponieważ nie będziemy przyspieszać, nie poczujemy różnicy.

— Jakże może nie być przyspieszenia, jeśli w jednej chwili zwiększymy szybkość milion razy?

— Ponieważ przejście jest matematycznym ekwiwalentem przyśpieszenia. Twoje ciało reaguje na przyspieszenie, ale nie na przejście.

— Skąd wiesz?

— Dzięki eksperymentom. Wysyłaliśmy zwierzęta z jednego miejsca do drugiego poprzez hiperprzestrzeń. Zwierzęta znajdowały się w hiperprzestrzeni przez ułamek mikrosekundy, ale nam przecież chodziło o samo przejście, a nie o pobyt. W naszych eksperymentach zwierzęta dwukrotnie doświadczały przejścia, wchodząc i wychodząc z hiperprzestrzeni.

— Wysyłano zwierzęta?

— Oczywiście. Co prawda, niewiele mogły nam powiedzieć o tym, co działo się z nimi między miejscem wysyłki i odbioru, ale najważniejsze było to, że wracały do nas zupełnie zdrowe i spokojne.

Po drodze nic im się nie stało. Eksperymentowaliśmy na różnych zwierzętach, próbowaliśmy nawet z małpami i wszystkie wróciły do nas całe i zdrowe, no może poza jednym przypadkiem…

— Ach tak. A co się stało?

— Zwierzę było martwe. Odniosło liczne obrażenia, ale jak później stwierdziliśmy, była to wina błędu w programie komputerowym. Przejście nie miało z tym nic wspólnego. Oczywiście nie twierdzę, że nam nie może się przydarzyć coś takiego. Prawdopodobieństwo jest minimalne, ale jest. Byłoby to równoznaczne ze skręceniem sobie karku na skutek potknięcia na równej drodze. Takie rzeczy zdarzają się, ale trudno jest je brać pod uwagę za każdym razem, gdy wychodzi się z domu. I co, lepiej ci?

— Nie mam wyboru — powiedział ponuro Fisher. — Lepiej. Dwie godziny i dwadzieścia siedem minut później statek dokonał przejścia do hiperprzestrzeni. Nikt na pokładzie nie odczuł tego faktu. Rozpoczął się pierwszy lot z szybkością znacznie przekraczającą prędkość światła.

Przejście odbyło się 15 stycznia 2237 roku, o godzinie 21:20 czasu ziemskiego.

Rozdział 31
IMIĘ

Cisza!

Marlena rozkoszowała się nią, rozkoszowała się tym bardziej, że była jedyną osobą, która mogła ją przerwać, gdyby tylko chciała. Podniosła kamień i rzuciła nim w skałę. Rozległo się niezbyt głośne stuknięcie. Kamień upadł na ziemię i znów zapanowała cisza.

Wyszła z Kopuły mając na sobie zwykłe ubranie, takie, w jakim chodziła na Rotorze. Czuła się swobodnie.

Szła prosto do strumienia, nie zwracając uwagi na oznaczenia.

Ostatnie słowa matki brzmiały jak prośba: „Marleno, pamiętaj proszę, że obiecałaś nie oddalać się od Kopuły". Uśmiechnęła się, lecz nie zwróciła uwagi na prośbę matki. Być może nie będzie się oddalała, ale nie była tego pewna. Nie miała zamiaru narzucać sobie żadnych ograniczeń, bez względu na wszystkie wymuszone na niej wcześniej przyrzeczenia. Poza tym miała przy sobie nadajnik. Zawsze mogą ją zlokalizować. Zaopatrzyli ją także w urządzenie odbiorcze, za pomocą, którego z łatwością znajdowała Kopułę. Gdyby zdarzył się jakiś wypadek — gdyby upadła i nie mogła wrócić o własnych siłach — zawsze wiedzieli, gdzie jej szukać.

No. a gdyby spadł na nią meteoryt? No cóż, zginęłaby, w takiej sytuacji nikt nie byłby w stanie jej pomóc, nawet w pobliżu Kopuły. Odrzuciła od siebie przykre myśli. Na powierzchni Erytro było tak wspaniale i spokojnie. Rotor zawsze był hałaśliwy. Gdziekolwiek się poszło, powietrze wibrowało od szumów, krzyków, stukotów atakujących ze wszystkich stron zmęczone uszy. Na Ziemi było pewnie jeszcze gorzej. Osiem miliardów ludzi, tryliony zwierząt, burze z piorunami, morskie przypływy i odpływy, deszcze. Kiedyś słuchała nagrania zatytułowanego „Dźwięki Ziemi". Skóra cierpła i wkrótce miała dosyć.

Tutaj na Erytro wszędzie panowała błoga cisza.

Marlena znalazła się przy strumieniu. Woda płynęła tuż obok niej wydając delikatny, syczący odgłos. Podniosła ostry kamień i wrzuciła go do wody. Rozległ się plusk. Świat dźwięków nie był niczym niezwykłym na Erytro, chociaż przypadkowy hałas służył jedynie jako ozdobnik wszechogarniającej ciszy.

Marlena postawiła stopę na wilgotnej glinie nad brzegiem strumienia. Usłyszała ciche mlaśnięcie, zobaczyła odciśnięty zarys stopy. Pochyliła się i nabrała wody w dłonie. Rozlała ją na ziemię przed sobą. Woda utworzyła wilgotne plamy, bardziej czerwone niż

różowawy grunt. Dodała jeszcze trochę wody i w końcu postawiła prawą stopę na ciemnej plamie. Nacisnęła. Gdy uniosła stopę zobaczyła jeszcze jeden, tym razem głębszy ślad.

W strumieniu leżały duże kamienie wystające ponad powierzchnię wody. Przeszła po nich na drugą stronę. Szła dalej, wyrzucając na przemian ramiona i oddychając głęboko. Wiedziała, że zawartość tlenu w powietrzu była mniejsza niż na Rotorze. Gdyby chciała biec, szybko zmęczyłaby się, ale nie miała zamiaru biegać. Nie chciała zużywać zapasów swojego świata.

Chciała widzieć wszystko dokładnie!

Spojrzała za siebie. Wzniesienie Kopuły ciągle jeszcze było dobrze widoczne. Dostrzegła wyraźnie szklaną półkulę, w której znajdowało się obserwatorium astronomiczne. Zdenerwowało ją to. Chciała odejść wystarczająco daleko, by odwróciwszy się widzieć tylko linię postrzępionego horyzontu, bez żadnych śladów bytności ludzi, poza jej własnymi śladami.

(A może powinna wezwać Kopułę? Powiedzieć matce, że idzie dalej? Nie, znowu musiałaby się kłócić. Tak czy inaczej odbierają jej sygnały. Wiedzą, że żyje i porusza się. Postanowiła nie odpowiadać nawet wtedy, gdyby ją wołali. Tak! Musi mieć trochę spokoju.)

Jej oczy przyzwyczaiły się do różowości Nemezis i otaczającego krajobrazu. W zasadzie nie były to tylko róże: cały świat pokryty był plamami światła i cienia, purpurą i pomarańczem wpadającym tu i ówdzie w jasną żółć. Oczy Marleny odbierały całą paletę barw, niemal tak różnorodną jak na Rotorze, lecz mniej krzykliwą.

Co stanie się, jeśli kiedyś ludzie osiedlą się na Erytro, zaprowadzą własne porządki, zbudują miasta? Czy nie zepsują tego wszystkiego? A może nauczeni przykrymi doświadczeniami z Ziemi zaczną postępować inaczej, sprawią, że ten dziewiczy świat nie zmieni się w kolejne piekło?

Czyje piekło?

To był problem. Ludzie zazwyczaj różnią się koncepcjami, kłócą ze sobą i chodzą różnymi drogami. A może byłoby lepiej zostawić Erytro w spokoju?

Jednak planeta potrzebna była ludziom. Tak jak jej. Było jej dobrze na tym świecie. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła się tu bardziej w domu niż na Rotorze.

A może istniało w niej jakieś niejasne, atawistyczne wspomnienie Ziemi? Może jej geny zawierały pragnienie życia na olbrzymim, niekończącym się świecie? Pragnienie, którego nie mogło zaspokoić małe, sztuczne, obracające się w kosmosie miasto? Czy to możliwe? Ziemia była przecież zupełnie inna niż Erytro. Jedynym podobieństwem były rozmiary obydwu globów. A jeśli przechowywała Ziemię w swoich genach, czyż nie było tak samo z resztą ludzi? Musi

istnieć jakieś wytłumaczenie. Marlena potrząsnęła głową. Myśli kłębiły się w niej niczym gwiazdy w otaczającym Wszechświecie. Erytro wcale nie wyglądała dziko. Na Rotorze rosły co prawda sady i zboże, wszędzie była zieleń i bursztynowe światło, prosta nieregulamość siedzib ludzkich. Tutaj na Erytro widziało się natomiast samą ziemię pełną porozrzucanych skał, ciśniętych na chybił trafił czyjąś olbrzymią ręką. Dziwnych, milczących skał poprzecinanych strumieniami wody płynącej niemal w każdej szczelinie. I żadnego życia, jeśli nie liczyć miliardów maleńkich bakteriopodobnych komórek, które dostarczały tlenu do atmosfery, pobierając energię z czerwonych promieni Nemezis.

Nemezis, jak każdy czerwony karzeł, jeszcze przez kilkaset miliardów lat będzie zaopatrywać Erytro w swoje ciepło, dbając tym samym o kolejne pokolenia prokariotów zamieszkujących planetę. Zgaśnie ziemskie Słońce, zgasną inne jaśniejsze gwiazdy znacznie młodsze od Słońca, a Nemezis ciągle będzie świeciła na krążącą wokół Megasa Erytro wraz z jej rodzącymi się i umierającymi prokariotami.

Ludzie nie mają prawa zmieniać tego odwiecznego porządku rzeczy. Lecz nawet gdyby została tu sama, musiałaby jeść i mieć jakieś towarzystwo.

Mogłaby, co prawda, chodzić od czasu do czasu do Kopuły po zapasy, spotykać się tam z ludźmi, a jednocześnie spędzać większość czasu samotnie na powierzchni planety. Ale czy inni nie poszliby jej śladem? Nie mogłaby im zabronić. I co stałoby się wtedy z jej Edenem, czyż nie zniszczyliby go? Czy ona sama nie niszczyła Edenu tylko dlatego, że zdecydowała się przekroczyć jego bramy? Ona sama?

— Nie! — krzyknęła z całych sił. Krzyknęła bardzo głośno, jak gdyby chcąc sprawdzić, czy obca atmosfera zadrży od jej głosu i czy posłusznie poniesie go dalej.

Słyszała samą siebie bardzo wyraźnie, ale w płaskim terenie nie było echa. Jej krzyk umilkł, gdy tylko zamknęła usta. Odwróciła się za siebie. Kopuła była teraz niewyraźnym cieniem na horyzoncie. Prawie niewidocznym, chociaż ciągle zaznaczała swoją obecność. Marlena chciała całkowicie stracić ją z oczu. Chciała widzieć tylko siebie i Erytro.

Usłyszała lekki szum wiatru, który nagle zwiększył szybkość. Ciągle był jednak bardzo słaby, temperatura nie zmniejszała się, było wspaniale.

Było to odległe „Ah-h-h-h."

Powtórzyła radośnie: „Ah-h-h-h-h."

Spojrzała zaciekawiona na niebo. Prognozy zapowiadały na dzisiaj brak zachmurzenia. Czy możliwe, aby burze pojawiały się tak nagle? Czy zacznie wiać silny wiatr? Czy na niebie pojawią się chmury, z których spadnie deszcz i zmoczy ją zanim dobiegnie do

Kopuły?

To było głupie, tak samo głupie jak meteoryty. Oczywiście, że na Erytro padał deszcz, ale na niebie widać było teraz jedynie kilka różowych obłoków. Przesuwały się leniwie po ciemnym, różowawym tle. Nie zbliżała się żadna burza.

„Ah-h-h-h-h" wyszeptał wiatr. „Ah-h-h-h-h ay-y-y-y."

Był to podwójny dźwięk. Martena zdziwiła się. Skąd pochodził? Sam wiatr nie mógł wydawać takich odgłosów.

Musiał napotkać jakąś przeszkodę i gwizdał omijając ją. Ale w pobliżu nie było żadnej przeszkody.

„Ah-h-h-h-h ay-y-y-y-y uh-h-h-h-h."

Teraz dźwięk był potrójny z akcentem na drugą część.

Marlena, zamyślona, rozejrzała się dookoła. Nie miała pojęcia, skąd dochodzi ten dźwięk. Coś musiało wibrować — inaczej nie byłoby dźwięku — ale nie widziała niczego takiego, nic też nie czuła.

Erytro wyglądała pusto i spokojnie. Nie mogła mówić.

„Ah-h-h-h ay-y-y-y uh-h-h-h."

Znowu. Wyraźniej niż poprzednio. Było to tak, jak gdyby ktoś szeptał w jej własnej głowie. Serce zamarło w niej na tę myśl. Poczuła, że robi jej się zimno.

Nic nie może się stać jej głowie. Nic!

Czekała na kolejny dźwięk. I wreszcie nadszedł, głośniejszy i wyraźniejszy niż poprzednio. Brzmiał teraz bardziej władczo, pewniej siebie. Próby przyniosły efekt.

Próby? Próby czego?

I zupełnie nieświadomie pomyślała: „Brzmi to jak gdyby ktoś. kto nie zna spółgłosek, próbował wypowiedzieć moje imię."

I niczym na sygnał usłyszała kolejny władczy rozkaz (a może to poprzednia myśl wyostrzyła jej wyobraźnię):

"Mah-h-h lay-y-y nuh-h-h."

Bezwiednie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zakryła dłońmi uszy.

„Marlena" — pomyślała.

A potem usłyszała kolejny dźwięk naśladujący jej myśl:

„Mahr-Lay-nah."

A potem jeszcze raz, bezbłędnie l zupełnie normalnie: „Marlena."

Wzdrygnęła się. Rozpoznała głos. To był Orinel, Orinel z Rotora, którego nie widziała od dnia, kiedy powiedziała mu. że Ziemia zostanie zniszczona. Zupełnie o nim zapomniała, a kiedy już przypomniała sobie, to było to bolesne wspomnienie.

Dlaczego słyszała jego głos skoro go tutaj nie było? Dlaczego słyszała w ogóle jakiś głos, skoro nikogo tutaj nie było?

„Marlena."

Poddała się. To była Plaga Erytro. A przecież sądziła, że nic jej nie

grozi.

Biegła, biegła na oślep w kierunku Kopuły, nie zdając sobie sprawy, że krzyczy przez cały czas.

Wprowadzili ją do środka. Widzieli, że się zbliża, że biegnie. Dwóch strażników w skafandrach E i hełmach na głowach wyszło na zewnątrz i usłyszało jej krzyk.

Ale krzyk ustał, zanim ją spotkali. Przestała biec. Zatrzymała się. Nie wiedziała, że nadchodzą.

Gdy w końcu ją odnaleźli, spojrzała na nich bez słowa, a potem — ku ich zaskoczeniu — zapytała:

— O co chodzi?

Nikt jej nie odpowiedział. Dostrzegła rękę wysuwającą się w kierunku jej łokcia i odtrąciła ją gniewnie.

— Nie dotykajcie mnie — powiedziała. — Pójdę do Kopuły, jeśli tego chcecie, ale zrobię to sama.

Wróciła razem z nimi. Milczała. Wydawała się bardzo skupiona.

Eugenia Insygna mimo suchych, pobielałych warg, udawała, że jest spokojna.

— Co się stało, Marleno?

— Nic. Zupełnie nic — odpowiedziała Marlena spoglądając na matkę ciemnymi, niezgłębionymi oczyma.

— Nie mów tak. Biegłaś i krzyczałaś.

— Być może. Być może biegłam i krzyczałam przez chwilę, ale tylko przez chwilę. Było cicho, tak cicho, że wydawało mi się, że ogłuchłam. Nic, tylko cisza, rozumiesz? Postanowiłam więc pobiec. by słyszeć własne kroki i krzyczałam…

— Po to, by usłyszeć własny głos? Czy tak? — zapytała Insygna z oburzeniem.

— Tak, mamo.

— Czy spodziewasz się. że ja w to uwierzę, Marleno? Otóż zapewniam cię, że nie. Słyszeliśmy twój krzyk i nie był to krzyk kogoś robiącego hałas dla własnej przyjemności. Był to krzyk przerażenia. Coś musiało cię przestraszyć.

— Mówiłam ci już. Cisza. Obawa, że ogłuchłam. Insygna zwróciła się do D'Aubisson:

— Czy to możliwe, pani doktor? Czy jeśli nie słyszy się nic, zupełnie nic. a jest się przyzwyczajonym do dźwięków, to uszy samoistnie tworzą dźwięki, choćby po to, by nie wyjść z wprawy?

D'Aubisson uśmiechnęła się.

— Bardzo ciekawie to pani ujęła, ale rzeczywiście prawdą jest, że brak bodźców zewnętrznych może wywoływać halucynację.

— Martwiło mnie to. Ale gdy usłyszałam swój własny głos i kroki, uspokoiłam się. Zapytajcie strażników, którzy mnie przyprowadzili. Byłam całkowicie spokojna, gdy mnie znaleźli i wróciłam z nimi do

Kopuły o własnych siłach. Zapytaj ich, wujku Sieverze.

Genarr kiwnął głową.

— Mówili mi o tym. Poza tym sami to widzieliśmy. W porządku. W takim razie to wszystko.

— W żadnym razie to nie jest wszystko — powiedziała Insygna z pobladłą z gniewu i strachu twarzą. — Ona nigdzie nie wyjdzie. Eksperyment skończony.

— Nie, mamo — powiedziała przerażona Martena. W tym momencie włączyła się D'Aubisson. Mówiła podniesionym głosem, jak gdyby starała się uprzedzić wybuch kłótni pomiędzy córką i matką.

— Eksperyment jeszcze się nie zakończył, doktor Insygno. To, czy wyjdzie czy nie, nie ma najmniejszego znaczenia. Musimy zająć się konsekwencjami tego, co już się stało.

— O co pani chodzi? — zapytała Insygna.

— To, czy można wyobrażać sobie głosy, ponieważ ucho nie jest przyzwyczajone do ciszy, jest jedną stroną medalu. Inną przyczyną słyszenia głosów jest początek pewnej psychicznej przypadłości.

Insygna wyglądała na zupełnie zaskoczoną.

— Chodzi pani o Plagę Erytro? — zapytała głośno Marlena.

— Niekoniecznie, Marleno — odpowiedziała D'Aubisson. — Nie mamy na razie żadnych dowodów, jedynie przypuszczenia. Musimy zrobić jeszcze jedno badanie mózgu. Dla twojego własnego dobra.

— Nie — odrzekła zdecydowanie Marlena.

— Nie możesz się nie zgodzić — powiedziała D'Aubisson. — To konieczność. Nie mamy wyboru. Musimy to zrobić.

Marlena spojrzała na nią czarnymi, ponurymi oczyma.

— Pani chce, żebym miała Plagę. Przez cały czas bardzo pani na tym zależy.

D'Aubisson zesztywniała, jej głos załamał się.

— To oburzające! Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób. Genarr, który przez cały czas przyglądał się D'Aubisson, powiedział teraz:

— Ranay, mówiliśmy ci o pewnej drobnostce związanej z Marleną. Jeśli twierdzi, że chcesz, aby miała Plagę, to znaczy, że musiałaś się jakoś zdradzić ze swoim pragnieniem. Zakładając oczywiście, że mówi poważnie, a nie jest tylko zła czy przestraszona.

— Mówię poważnie — potwierdziła Marlena. — Ona aż trzęsie się z nadziei i podniecenia.

— No cóż, Ranay — powiedział oschle Genarr — czy to prawda?

— Rozumiem już, o co chodzi tej dziewczynie — powiedziała oburzona D'Aubisson. — Od wielu lat nie badałam nowego przypadku Plagi. A wtedy, gdy Plaga zbierała w Kopule największe żniwo, nie mieliśmy odpowiednich instrumentów do przeprowadzania badań. Jako lekarz i naukowiec z pewnością chciałabym przeprowadzić

dokładne badania za pomocą nowoczesnych instrumentów i urządzeń po to, by znaleźć przyczynę choroby, zastanowić się nad możliwością leczenia i zapobiegania. Stąd bierze się moje podniecenie. Zawodowe podniecenie, które ta młoda kobieta — nie potrafiąca czytać myśli i bez doświadczenia w takich sprawach — bierze za zwykłą radość z jej nieszczęścia. To nie jest, niestety, aż tak proste.

— Być może nie jest proste — odpowiedziała Marlena — ale pełne wrogości. Nie mylę się.

— Mylisz się. Badanie mózgu jest konieczne i odbędzie się.

— Nie odbędzie się — Marlena niemal krzyczała. — Chyba, że weźmiecie mnie siłą albo uśpicie, a wtedy to będzie nieważne.

— Nie chcę, aby robiono cokolwiek wbrew jej woli — powiedziała Insygna trzęsącym się głosem.

— Jej wola nie ma tu najmniejszego znaczenia… — zaczęła mówić D'Aubisson, a potem nagle przerwała i chwyciła się za brzuch.

— O co chodzi? — zapytał automatycznie Genarr. A potem, nie czekając na odpowiedź i nie zwracając uwagi na Insygnę, która pomagała D'Aubisson ułożyć się na najbliższej sofie, zwrócił się do Marleny i zapytał pospiesznie:

— Marleno, zgadzasz się na test?

— Nie, nie chcę. Ona powie, że mam Plagę.

— Nie zrobi tego. Gwarantuję ci. Chyba, że rzeczywiście będziesz miała Plagę.

— Ale nie mam.

— Jestem pewny, że nie masz i badanie mózgu to potwierdzi. Zaufaj mi, Marleno. Proszę.

Marlena spoglądała na Genarra i na D'Aubisson.

— I będę znów mogła wyjść na Erytro?

— Oczywiście. Tak często, jak będziesz chciała. Jeśli nie jesteś chora, a przecież jesteś pewna, że nic ci nie dolega.

— Oczywiście.

— Badanie mózgu tylko to potwierdzi.

— Tak, ale ona powie, że nie mogę wyjść.

— Twoja matka?

— I lekarka.

— Nie, nie będą śmiały cię zatrzymać. A teraz powiedz tylko, że zgadzasz się na badanie mózgu.

— W porządku. Niech mnie bada. Ranay D'Aubisson podniosła się na nogi.

D'Aubisson czytała uważnie komputerową analizę badania mózgu. Siever Genarr przyglądał się jej.

— Ciekawe wyniki — powiedziała do siebie.

— Wiemy o tym od początku — odrzekł Genarr. — Marlena jest inna niż wszyscy. Nas interesują jednak zmiany.

— Nie ma żadnych — odpowiedziała D'Aubisson.

— Jesteś rozczarowana?

— Nie zaczynaj tego od nowa, dowódco. Oczywiście, z czysto zawodowego punktu widzenia mogę czuć się rozczarowana. Chciałabym poznać wszystkie uwarunkowania…

— Jak się czujesz?

— Właśnie mówiłam…

— Chodzi mi o twój stan fizyczny. Wczoraj przydarzył ci się niezwykły atak.

— To nie był atak. Zawiodły mnie nerwy. Nieczęsto oskarża się mnie o pragnienie wywołania u kogoś choroby, czemu w dodatku daje się wiarę.

— Co się stało w takim razie? Niestrawność?

— Możliwe. Bóle brzucha z całą pewnością. Mdłości.

— Czy często ci się to zdarza., Ranay?

— Nie — odpowiedziała ostro. — Nikt często mnie nie oskarża o nieprofesjonalne zachowanie.

— Marlena to gorąca głowa. Po co brać to tak poważnie?

— Czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy zmienili temat? Wyniki nie wykazują żadnych zmian w mózgu. Jeśli przyjąć, że była normalna, to teraz także zachowuje normę.

— Czy w takim razie może według ciebie kontynuować badania na Erytro?

— Nie mam obecnie podstaw, aby jej tego zabronić.

— A czy chciałabyś ją wysłać? D'Abisson przyjęła groźną postawę.

— Wiesz, że widziałam się z Pittem — nie brzmiało to jak pytanie.

— Tak, wiem.

— Poprosił mnie o kierowanie nowym projektem, który ma się zająć badaniem Plagi Erytro. Otrzymamy duże fundusze na te badania.

— Myślę, że to niezły pomysł, i że ty doskonale nadajesz się do kierowania projektem.

— Dziękuję. Jednakże Pitt nie wyznaczył mnie na dowódcę Kopuły na twoje miejsce. Tak więc decyzja, czy Marlena Fisher ma prowadzić dalsze studia na Erytro, zależy od ciebie, dowódco. Ja ograniczę się do przeprowadzania badań mózgu wtedy, gdy będzie to konieczne.

— Mam zamiar pozwolić Martenie na wyjście za każdym razem, gdy będzie tego chciała. Rozumiem, że nie zgłaszasz sprzeciwu?

— Masz moją diagnozę, w której stwierdzam, że Marlena Fisher nie jest chora na Plagę. Nie mogę sprzeciwiać się twoim decyzjom, musisz jednak wyrazić pisemne pozwolenie na wyjście w formie rozkazu z podpisem.

— I nie będziesz oponować?

— Nie mam powodów.

Obiad dobiegł końca. Z głośników płynęła delikatna muzyka. Siever Genarr, który do tej pory unikał drażliwych tematów, zwrócił się w końcu do niespokojnej Insygny:

— Słowa są słowami Ranay D'Aubisson, jednak stoi za nimi Janus Pitt.

Niepokój Insygny powiększył się.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Owszem, ty również powinnaś pogodzić się z tą myślą. Znasz Janusa znacznie lepiej niż ja. To wszystko bardzo mi się nie podoba. Ranay jest kompetentną lekarką, posiada niepospolity umysł i jest w sumie dobrym człowiekiem, ale jest także bardzo ambitna — jak wszyscy zresztą w ten czy inny sposób — i w związku z tym łatwo można ją przekupić. Ona naprawdę chce przejść do historii jako ta, która pokonała Plagę Erytro.

— I dlatego chciałaby poświęcić Marlenę?

— Może nie tyle poświęcić, co poddać próbie… Ona chce… No cóż, to i tak na jedno wychodzi.

— Właśnie! Narażanie Marleny na niebezpieczeństwo ze względu na korzyści naukowe jest czymś… potwornym.

— Z jej punktu widzenia, nie. A z pewnością nie z punktu widzenia Pitta. Poświęcenie jednego umysłu jest żadną stratą w porównaniu z możliwością uratowania całego świata dla milionów ludzi. Oczywiście jest to bezduszna decyzja, ale przyszłe pokolenia będą wielbić Ranay właśnie za tę bezduszność i zgodzą się, że poświęcenie jednego umysłu, a nawet tysiąca, w dobrej sprawie było niezbędnym kosztem postępu.

— Tak, ale to nie ich umysły poświęcono.

— Oczywiście. Cała historia pełna jest przykładów poświęceń czyimś kosztem. Pitt również jest gotów do takich poświęceń. Prawda?

— Tak. Masz rację co do niego — powiedziała z nagłą werwą msygna. — I pomyśleć, że pracowałam dla niego przez te wszystkie lata.

— W takim razie zdajesz sobie sprawę, że z własnego punktu widzenia Pitt postępuje bardzo moralnie. „Czynić dobro dla wszystkich" — tak o sobie mówi. Ranay przyznaje, że rozmawiała z nim podczas swojej ostatniej wizyty na Rotorze i jestem przekonany, że mniej więcej to samo powiedział jej o Pladze i Marlenie. Jestem tego tak pewny, jak tego, że siedzę na krześle.

— A co powiedziałby, gdyby Marlena zachorowała, poważnie zachorowała, a problem Plagi nie zostałby

rozwiązany? — zapytała gorzko Eugenia. — Co powiedziałby na niepotrzebną stratę, na zredukowanie mojej córki do poziomu rośliny? I co powiedziałaby doktor D'Aubisson?

— Byłaby bardzo nieszczęśliwa, jestem o tym przekonany.

— Dlatego, że nikt nie pochwaliłby jej za wynalezienie lekarstwa?

— To też. Ale przede wszystkim z powodu Marteny. Czułaby się… winna. Ona nie jest potworem. A co do Pitta…

— On jest potworem.

— Ja nie nazwałbym tego w ten sposób. Pitt cierpi na ograniczoną zdolność widzenia i przewidywania. Dostrzega tylko własny plan przyszłości Rotora. Gdyby coś się stało — z naszego punktu widzenia — Pitt powiedziałby sobie, że Marlena, tak czy owak, stanowiła zagrożenie dla jego planów i wytłumaczyłby jej nieszczęście dobrem Rotora. Z pewnością nie cierpiałby z powodu wyrzutów sumienia.

Insygna potrząsnęła głową.

— Chciałabym, żebyśmy nie mieli racji, żeby Pitt i D'Aubisson byli wolni od takich zarzutów.

— Ja również chciałbym, żeby tak było, ale jednocześnie wierzę Martenie i jej wglądowi w język ciała. Twoja córka powiedziała, że Ranay była szczęśliwa z nadarzającej się okazji do zbadania Plagi. I ja zgadzam się z Martena.

— D'Aubisson powiedziała, że była szczęśliwa z powodów zawodowych — odrzekła Insygna. — Mogę w to uwierzyć, ja też jestem naukowcem.

— Oczywiście, że jesteś — Genarr uśmiechnął się. — Zdecydowałaś się opuścić Układ Słoneczny i wyruszyć w bezprecedensową podróż trwającą kilka lat świetlnych tylko po to, by zaspokoić ciekawość kosmosu, chociaż wiedziałaś, że może zakończyć się to śmiercią całej populacji Rotora.

— Prawdopodobieństwo katastrofy było minimalne, tak przynajmniej wtedy sądziłam.

— Minimalne? Tak małe, że odważyłaś się zaryzykować życiem swojej rocznej córki? Mogłaś przecież zostawić ją z mężem, który wolał siedzieć w domu. Mogłaś zapewnić jej bezpieczeństwo choćby kosztem nieujrzenia jej nigdy na oczy. Wolałaś jednak zaryzykować, nawet nie dla dobra Rotora, lecz dla własnego dobra.

— Przestań, Sieverze — powiedziała — Ranisz mnie.

— Chcę ci tylko pokazać, że na każdą sprawę można patrzeć z dwóch przeciwstawnych punktów widzenia zakładając, że jest się na tyle sprytnym, by je dostrzec. Tak, D'Aubisson nazywa profesjonalnym zadowoleniem możliwość badania choroby, ale Martena mówi, że wyczuwa jej wrogość, a ja znów wierzę słowom Marteny.

— W takim razie — zaczęła mówić Insygna, a kąciki jej ust opadły na dół — spodziewam się, że D'Aubisson nie może się doczekać wyjścia Marteny na powierzchnię.

— Chyba tak. Jest jednak na tyle ostrożna, że dopilnowała, abym

to ja wydał rozkaz, domagała się go nawet na piśmie. Chce mieć pewność, że to ja, a nie ona, zostanę ukarany, jeśli zdarzy się jakiś wypadek. Zaczyna myśleć jak Pitt. Nasz przyjaciel Janus jest zaraźliwy.

— Sieverze nie powinieneś wysyłać Marteny. Działasz na ich korzyść.

— Przeciwnie, Eugenio. To wszystko jest bardziej skomplikowane. Musimy ją wysłać.

— Co?

— Nie mamy wyboru. Poza tym ona jest bezpieczna. Chodzi mi o to, Eugenio, że ja również wierzę obecnie w istnienie jakiejś wszechogarniającej formy życia na planecie, formy, która posiada nad nami jakąś władzę. Mówiłaś kiedyś, że ja, ty, strażnik zetknęliśmy się ze skutkami działania tutejszego życia, i to za każdym razem, gdy przeciwstawialiśmy się Martenie. To samo było z Ranay. Próbowała wymusić na Martenie badanie mózgu i skręciło ją. Gdy przekonałem Marlenę do badania, D'Aubisson natychmiast poczuła się lepiej.

— Właśnie o to mi chodzi, Sieverze. Jeśli na planecie istnieje jakaś nam wroga forma życia…

— Poczekaj, Eugenio. Ja wcale nie powiedziałem, że jest to wroga forma. Nawet gdyby przyjąć, że jest ona odpowiedzialna za Plagę — zgodnie z tym, co mówiłaś — to obecnie wycofała się z tego. Być może dlatego, że zadowoliliśmy się pozostaniem w Kopule. Gdyby jednak była to naprawdę wroga nam siła, starłaby nas z powierzchni planety i nie zadowoliłaby się czymś, co ja nazywam cywilizowanym kompromisem.

— Nie sądzę, abyśmy mogli rozważać działania całkowicie obcej nam formy życia pod względem emocji i intencji. Jej myśli i zamiary mogą być absolutnie poza zasięgiem naszego pojmowania.

— Zgadzam się, Eugenio. Jednak ona nie jest groźna dla Marleny. Wszystko, co robi, ma na celu ochronę twojej córki. Ona ją broni przed nami.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to dlaczego Marlena była wystraszona, dlaczego biegła do Kopuły krzycząc? Ani przez moment nie uwierzyłam w jej bajeczkę o denerwującej ciszy i robieniu hałasu, by wreszcie coś usłyszeć.

— Rzeczywiście trudno w to uwierzyć. Najważniejsze jest jednak to, że panika Marleny szybko się skończyła. Gdy dobiegli do niej strażnicy, Marlena zachowywała się normalnie. Myślę, że Marlena przestraszyła się czegoś, co zrobiła ta forma życia — wyobrażam sobie, że ma ona podobne kłopoty ze zrozumieniem naszych emocji, jak my ze zrozumieniem jej — lecz widząc skutek własnych zabiegów, uspokoiła Marlenę. To wyjaśnia wszystko, co zaszło, a oprócz tego pokazuje, że życie na Erytro wcale nie jest wrogie, nazwałby je nawet

bardzo ludzkim…

Insygna oburzyła się.

— Twój problem. Sieverze, polega na tym, że masz okropny nawyk myślenia dobrze o wszystkich i wszystkim. Nie wierzę w twoją interpretację.

— Możesz wierzyć lub nie, ale przekonasz się, że nie możemy w żaden sposób zatrzymać Marleny. Zrobi to, co będzie chciała, a każdy, kto jej się przeciwstawi, upadnie trzymając się za brzuch lub zgoła nieprzytomny.

— Czym jest to życie? — zapytała Insygna.

— Nie wiem, Eugenio.

— Najbardziej przeraża mnie teraz to, że nie wiemy, czego ono chce od Marleny?

Genarr potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia, Eugenio. Spojrzeli na siebie bezradnie.

Rozdział 32
ZAGUBIENI

Krile Fisher przyglądał się zamyślony jasnej gwieździe.

Początkowo była zbyt jaskrawa, by można było na nią patrzeć. Co prawda Krile i tak rzucał na nią ukradkowe spojrzenia, ale bolały go od nich oczy, które długo potem widziały jasne rozbłyski. Tessa Wendel — bardzo przejęta wszystkim, co działo się na statku — zganiła go, mówiąc coś o zniszczeniu siatkówki. Krile zaciemnił szyby. Światło gwiazdy stało się teraz znośne. Za to inne ciała niebieskie zniknęły niemal zupełnie.

Gwiazdą, której przyglądał się Fisher, było oczywiście Słońce.

Widział je z takiego oddalenia, z jakiego widzieli je tylko ludzie na Rotorze podczas swojej ucieczki. Słońce znajdowało się teraz dwukrotnie dalej niż widziane z Plutona w największym oddaleniu. Zniknął gdzieś glob, pozostała jedynie błyszcząca gwiazda. W dalszym ciągu było jednak sto razy jaśniejsze niż Księżyc w pełni widziany z Ziemi i jasność była skupiona w jednym małym punkcie. Nic dziwnego, że można je było obserwować tylko przez zaciemnione okna.

Wszystko teraz wyglądało inaczej. Normalnie nikt nigdy nie zastanawia się nad Słońcem. Jest zbyt jasne, by przyglądać się jego tarczy, zbyt niezagrożone w swej dominacji na niebie. Minimalna część jego światła, rozproszona w błękit przez atmosferę, wystarcza, by zgasić wszystkie inne gwiazdy, a nawet gdy było inaczej (tak jak w przypadku Księżyca), to Słońce wygrywa każde porównanie.

Tutaj, w przestrzeni kosmicznej, można przynajmniej było przeprowadzać takie porównania. Tessa powiedziała, że w punkcie, w którym się znajdowali, Słońce było sto sześćdziesiąt tysięcy razy jaśniejsze niż Syriusz — drugi co do jasności obiekt na niebie. Było być może dwadzieścia milionów razy jaśniejsze niż najsłabsza gwiazda, którą mógł dostrzec gołym okiem. Wszystkie te porównania sprawiały, że Słońce wydawało mu się jeszcze bardziej cudowne niż wtedy, gdy świeciło na Ziemi.

W zasadzie nie miał nic do roboty poza przyglądaniem się niebu. Superluminal dryfował. Robił to od dwóch dni. Leciał z szybkością normalnej rakiety.

W tym tempie lot do Sąsiedniej Gwiazdy zająłby mu trzydzieści pięć tysięcy lat — zakładając, że zmierzali we właściwym kierunku, a tak niestety nie było.

Gdy dwa dni temu Tessa Wendel zdała sobie sprawę z pomyłki, jej twarz wyrażała czarną rozpacz.

Do tego momentu lot przebiegał normalnie. Gdy przygotowywali się do wejścia w hiperprzestrzeń, Fisher chodził napięty jak struna obawiając się bólu, duszącego bólu zbliżającej się śmierci, nadejścia wiecznej ciemności.

I nic się nie stało. Wszystko odbyło się zbyt szybko, by mógł zdać sobie z tego sprawę. Weszli w hiperprzestrzeń i wyszli z niej niemal w tej samej chwili. Jedynie gwiazdy zmieniły swoje położenie, nie wiedział jednak, kiedy to się stało.

Czuł podwójną ulgę. Był nie tylko żywy, uniknął śmierci, która gdyby nadeszła, nie dałaby znać o sobie. Umarłby nie wiedząc, co się z nim dzieje.

Uczucie ulgi było tak wielkie, że nie zauważył nawet grymasu zaniepokojenia i bólu, jaki pojawił się na twarzy Tessy, która wypadła ze sterowni z krzykiem na ustach.

Gdy wróciła, wyglądała strasznie — nie na zewnątrz, lecz wewnętrznie strasznie. Patrzyła dziko na Fishera, tak jak gdyby widziała go po raz pierwszy w życiu.

— Położenie nie powinno było się zmienić — powiedziała.

— Naprawdę?

— Nie odlecieliśmy na wystarczającą odległość, gwiazdy powinny być tam, gdzie były, a jeśli są gdzie indziej, to znaczy, że jesteśmy za daleko. Obecnie powinniśmy znajdować się w odległości jeden przecinek trzy setne roku świetlnego — a to za mało, by zmienić położenie gwiazd dla nieuzbrojonego oka. Co prawda — wciągnęła głęboko powietrze — nie jest tak źle, jak myślałam. Wydawało mi się, że odlecieliśmy na tysiące lat świetlnych od Słońca.

— Czy to w ogóle możliwe, Tesso?

— Oczywiście, dlaczego nie? Tysiąc lat świetlnych w hiperprzestrzeni to tyle samo co rok. Na szczęście nasz ruch po przejściu był ściśle kontrolowany.

— W takim razie wróć…

Tessa uprzedziła dalszą część zdania.

— Nie możemy tak po prostu wrócić. Jeśli coś się rozregulowało, to każde kolejne przejście w hiperprzestrzeń będzie strzałem w ciemno. Znajdziemy się w jakimś przypadkowym punkcie i nigdy nie znajdziemy drogi powrotnej.

Fisher zmarszczył brwi. Dawno minęła euforia spowodowana przejściem i pozostaniem przy życiu.

— Ale kiedy wysyłaliśmy przedmioty, zawsze do nas wracały…

— Tak, ale były to obiekty o mniejszej masie i wysyłaliśmy je na krótsze dystanse. Nie jest jednak tak źle.

Wychodzi na to, że przebyliśmy odpowiednią trasę i gwiazdy są

na swoich miejscach.

— Ależ one zmieniły się! Widziałem tę zmianę!

— To my zmieniliśmy swoje położenie. Oś statku przesunęła się o całe dwadzieścia trzy stopnie. Mówiąc krótko, z jakiegoś powodu nasza droga przebiegała po krzywej, a nie po prostej.

Gwiazdy za oknem statku przesuwały się teraz wolno.

— Odwracamy się znów w kierunku Sąsiedniej Gwiazdy — powiedziała Tessa. — Jest to zabieg czysto psychologiczny, tak czy siak musimy dowiedzieć się, dlaczego nasza droga uległa zakrzywieniu.

W oknie pojawiła się bardzo jasna oślepiająca gwiazda, która również przesuwała się powoli. Fisher zmrużył oczy.

— To Słońce — powiedziała Tessa patrząc na zdziwioną minę Fishera.

— Czy istnieją jakieś rozsądne wyjaśnienia, dlaczego statek leciał po krzywej? — zapytał Fisher. — Jeśli podobny los spotkał Rotora, to kto wie, gdzie mogą teraz być…

— Na twoim miejscu bardziej przejmowałabym się naszym losem, ponieważ nie umiem podać ci żadnego rozsądnego wyjaśnienia. Jeszcze nie teraz — wyglądała na zakłopotaną. — Jeśli nasze założenia byty poprawne, to powinniśmy zmienić pozycję, ale nie kierunek. Powinniśmy byli poruszać się po linii prostej, euklidesowej linii prostej, pomimo relatywistycznego zakrzywienia czasoprzestrzeni. My nie weszliśmy w czasoprzestrzeń, rozumiesz? Być może powstał jakiś błąd w programie komputerowym albo to my popełniliśmy błąd w założeniach. Mam nadzieję jednak, że jest to pomyłka komputera, a jeśli tak, to z łatwością ją usuniemy.

Minęło pięć godzin. Tessa pojawiła się ponownie. Przecierała oczy. Fisher spojrzał na nią niespokojnie. Oglądał film, ale nie mógł się skupić. Poszedł popatrzeć na gwiazdy. Ich widok wpływał kojąco na jego nerwy.

— I co? — zapytał Tessę.

— Program komputerowy jest w porządku, Krile.

— W takim razie założenia są błędne?

— Tak, ale nie mam pojęcia dlaczego. Nie wiem również, które. Poczyniliśmy olbrzymią ilość założeń. Które są poprawne? Nie możemy sprawdzać ich po kolei, nigdy tego nie skończymy i pozostaniemy tu zagubieni na zawsze.

Zapadła cisza. W końcu pierwsza odezwała się Tessa:

— Gdyby był to błąd komputerowy, nie mielibyśmy żadnych problemów, ale nie nauczylibyśmy się niczego. Poprawilibyśmy go i to wszystko. Teraz natomiast musimy cofnąć się do podstaw. Mamy szansę na odkrycie czegoś naprawdę ważnego, ale jeśli nie uda się, nigdy nie znajdziemy drogi do domu.

Schwyciła go za rękę.

— Rozumiesz, Krile? Coś się zepsuło i jeśli nie dowiemy się co, nie ma powrotu — chyba że zdarzy się cud. Możemy próbować, ale za każdym razem wylądujemy w złym miejscu, za każdym razem coraz bardziej będziemy oddalać się od domu. Oznacza to śmierć, gdy skończą się zapasy lub, gdy wysiądzie zasilanie, albo wreszcie pogrążymy się w rozpaczy i odechce się nam żyć. I to wszystko przeze mnie. Ale największą tragedią będzie stracone marzenie. Jeśli nie wrócimy, oni nigdy nie dowiedzą się, czy ten statek nadawał się do czegokolwiek. Dojdą do wniosku, że przejście zabiło nas i nigdy nie podejmą kolejnej próby.

— Muszą, jeśli chcą uratować Ziemię.

— A jeśli się poddadzą? Jeśli stchórzą i zdecydują się czekać na Sąsiednią Gwiazdę, a potem wymrą, wszyscy wymrą? — spojrzała na niego mrugając oczami, w których widoczne było potworne zmęczenie. — To będzie także koniec twojego marzenia, Krile.

Zacisnął wargi i nic nie odpowiedział.

— Krile — powiedziała Tessa niemal prosząco — miałeś mnie przez tyle… Czy ja nigdy nie zastąpiłam ci twojego marzenia… twojej córki?

— Ja również mógłbym zapytać ciebie: czy jeśli loty superluminalne odejdą w zapomnienie, ja zastąpię ci to wszystko? Obydwoje nie znali odpowiedzi. W końcu Tessa powiedziała:

— Byłeś drugi w kolejności, Krile, ale byłeś najlepszym drugim w kolejności. Dziękuję.

Fisher poruszył się niespokojnie.

— Mógłbym powiedzieć to samo, Tesso. Stało się coś, w co nigdy bym nie uwierzył na początku. Gdybym nie miał córki, byłabyś tylko ty… Czasami żałuję…

— Nie żałuj. Druga w kolejności — to mi wystarcza. Trzymali się za ręce. Milczeli. Spoglądali na gwiazdy. W drzwiach pokazała się twarz Meny Blankowitz.

— Kapitanie Wendel, Wu wpadł na pewien pomysł. Mówi, że wiedział o tym przez cały czas, ale nie chciał się wyrywać. Wendel zerwała się na równe nogi.

— Dlaczego nie chciał się wyrywać?

— Mówi, że kiedyś wspominał pani o tej możliwości, ale że pani powiedziała mu, żeby nie był idiotą.

— Naprawdę? I dlatego doszedł do wniosku, że nigdy się nie mylę? Wysłucham go i jeśli ten jego pomysł jest dobry, skręcę mu kark, dlatego że nie powiedział mi o nim wcześniej.

Wybiegła.

Przez następne półtora dnia Fisher mógł tylko czekać. Spotykali się podczas posiłków, ale nikt nie odzywał się przy jedzeniu. Nie miał

pojęcia, czy reszta załogi spała. On sam drzemał przez kilka godzin i obudził się pogrążony w jeszcze większej rozpaczy.

Jak długo to potrwa? — myślał drugiego dnia, wpatrując się w piękno niedostępnej gwiazdy, która jeszcze niedawno oświetlała jego ziemską wędrówkę.

Umrę — prędzej czy później. Co prawda nowoczesna technologia mogła przedłużyć im życie, systemy podtrzymywania działały bardzo sprawnie. Jedzenie także starczy im na długo, jeśli zdecydują się spożyć pozbawioną smaku papkę z glonów. Reaktory mikrofuzyjnę również nie powinny zawieść. Z pewnością jednak odechce im się żyć — prędzej, niż byłoby to konieczne.

Gdy na końcu nie będzie czekało na nich nic, oprócz bolesnej, beznadziejnej, męczącej śmierci, najprościej byłoby posłużyć się demetabolizorami dozującymi.

Była to najczęściej wykorzystywana metoda popełniania samobójstwa na Ziemi. Dlaczego nie mieliby skorzystać z niej na statku? Nastawiało się jedynie urządzenie na odpowiednią dawkę — powiedzmy na jeden dzień, jeden dzień normalnego, radosnego życia (jeśli ostatni dzień życia może być normalny i radosny). Gdy ów dzień dobiegał końca, odczuwało się senność. Kilka ziewnięć i człowiek zapadał w sen, spokojny sen pełen marzeń. Sen pogłębiał się, marzenia znikały i człowiek nie budził się. Nie wymyślono mniej bezbolesnego rodzaju śmierci.

Tuż przed siedemnastą czasu pokładowego, drugiego dnia po przejściu, które, jak się okazało, biegło po krzywej zamiast po prostej, Tessa Wendel wpadła do kabiny Fishera. Oddychała ciężko i spoglądała dziko wokoło. Jej ciemne włosy — które przez kilka ostatnich dni przyprószył siwy osad — były w nieładzie.

Fisher wstał skonsternowany.

— Źle?

— Nie, dobrze! — powiedziała rzucając się na krzesło. Nie był pewny, czy dobrze ją zrozumiał, być może mówiła ironicznie? Przyglądał się jej z niemym pytaniem w oczach, podczas gdy ona dochodziła do siebie.

— Dobrze! — powtórzyła. — Bardzo dobrze! Wspaniale! Krile, patrzysz na idiotkę. Chyba już nigdy nie wyleczę się z tego!

— Co się stało?

— Chao-Li Wu znał odpowiedź. Znał ją przez cały czas. Mówił mi o niej. Pamiętam, że mówił mi o niej. Kilka miesięcy temu. Może rok temu. Zbyłam go wtedy. Nawet nie wysłuchałam go do końca. Naprawdę! — przerwała, by zaczerpnąć oddechu. Podniecenie nadawało rytm jej słowom.

— Problem polegał na tym, że uważałam się za światowy autorytet w sprawach lotów superluminalnych. Byłam przekonana, że

nikt, absolutnie nikt nie może powiedzieć mi czegoś, o czym wcześniej nie myślałam i czego wcześniej nie wiedziałam. Jeśli ktoś proponował mi jakieś dziwne według mnie rozwiązanie, twierdziłam, że pomysł jest zły, zgoła idiotyczny. Wiesz, o co mi chodzi?

— Znałem takich ludzi — powiedział ponuro Fisher.

— Każdemu to się zdarza od czasu do czasu — powiedziała Tessa. — W pewnych warunkach. Myślę, że szczególnie dotyczy to starzejących się naukowców. Młodzi, odważni rewolucjoniści po dwóch dekadach zamieniają się w skamienieliny. Ich wyobraźnia pokrywa się grubą warstwą miłości własnej i to już jest koniec. Mój koniec… Ale dosyć. Opracowanie wszystkiego zajęło nam cały dzień, poprawianie równań, programowanie komputera, badanie koniecznych symulacji, ślepe zaułki, odnajdywanie nowych dróg i tak dalej. Normalnie zajęłoby nam to tydzień, ale popędzamy się jak nawiedzeni.

I znów zrobiła przerwę na oddech. Fisher czekał, aż zacznie mówić dalej. Kiwnął zachęcająco głową i wziął jej rękę w swoje dłonie.

— To wszystko jest bardzo skomplikowane — powiedziała w końcu. — Poczekaj, spróbuję ci to wyjaśnić. Spójrz: przemieszczamy się z jednego punktu w przestrzeni do drugiego poprzez hiperprzestrzeń w czasie zero. Poruszamy się po nowej drodze, za każdym razem jest to inna droga w zależności od punktu rozpoczęcia i zakończenia. Nie znamy tej drogi, nie doświadczamy jej, w rzeczy samej nie poruszamy się nią tak, jak robi się to w zwykłej czasoprzestrzeni. Droga ta istnieje poza naszymi zdolnościami pojmowania. Nazywamy ją „drogą pozorną” — sama wymyśliłam tę nazwę.

— Jeśli nie znamy tej drogi i nie doświadczamy jej, to skąd wiemy, że ona w ogóle istnieje?

— Ponieważ można ją obliczyć za pomocą równań, których używamy do opisu ruchu w hiperprzestrzeni. Równania dają nam drogę,

— Ale skąd wiesz, że równania te odnoszą się do rzeczywistości? Może to być przecież czysta matematyka…

— Może. Tak myślałam. Ignorowałam je. Wu sugerował, że równania te mają swoje znaczenie — rok temu — a ja, jak najprawdziwsza idiotka, zbyłam go. „Droga pozorna” — mówiłam — „istnieje tylko pozornie”. Jeśli nie można jej zmierzyć, to nie znajduje się ona w zakresie poznania naukowego. Byłam tak krótkowzroczna. Nie mogę o tym mówić spokojnie.

— W porządku. Przypuśćmy, że droga pozorna istnieje. Co wtedy?

— No, właśnie. Jeśli drogę pozorną wytycza ciało o znacznych

rozmiarach, to ciało to doświadcza efektów grawitacyjnych. Był to pierwszy absolutnie fenomenalny i pożyteczny pomysł… że przyciąganie oddziałuje wzdłuż „drogi pozornej” — Tessa potrząsnęła gniewnie pięścią. — Ja również dostrzegłam to w pewien sposób, ale doszłam do wniosku, że jeśli statek będzie poruszał się z szybkością wielokrotnie przekraczającą prędkość światła, to przyciąganie będzie miało zbyt mało czasu na oddziaływanie w jakimś istotnym stopniu. Podróż — według mnie — miała odbywać się po euklidesowej linii prostej.

— Ale tak się nie stało.

— Oczywiście, że nie. Wu wyjaśnił mi, dlaczego. Wyobraź sobie, że prędkość światła jest punktem zero. Wszystkie szybkości mniejsze od prędkości światła będą wtedy miały wielkość ujemną, a większe wielkość dodatnią. W normalnym Wszechświecie, w którym żyjemy, wszystkie szybkości będą ujemne w tej matematycznej konwencji i, w rzeczy samej, muszą być ujemne.

Wszechświat opiera się na zasadzie symetrii. Jeśli coś tak fundamentalnego jak szybkość ruchu jest zawsze ujemna, to coś innego — równie fundamentalnego — musi być zawsze dodatnie i Wu wskazał mi, że tym czymś może być grawitacja. W zwykłym Wszechświecie grawitacja jest przyciąganiem: każdy obiekt obdarzony masą przyciąga inny obiekt, również obdarzony masą.

Jeśli jednak coś porusza się z szybkością superluminalną — to znaczy szybciej od światła — to jego szybkość jest dodatnia i to coś innego, co do tej pory było dodatnie, musi obecnie być ujemne. Innymi słowy, przy szybkościach superluminalnych grawitacja jest siłą odpychającą. Każdy obiekt obdarzony masą odpycha inny obiekt, również obdarzony masą. Wu mówił mi o tym dawno temu, a ja nie słuchałam. Jego słowa spłynęły po mnie jak woda po gęsi.

— Ale co z tego wynika, Tesso? — zapytał Fisher. — Jeśli poruszamy się z olbrzymimi szybkościami superluminalnymi, to zarówno przyciąganie, jak i odpychanie grawitacyjne ma za mało czasu, by na nas oddziaływać.

— Niezupełnie tak, Krile. Na tym polega piękno całej sprawy. Wszystko jest odwrotnie. W normalnym Wszechświecie ujemnych szybkości, im większa szybkość w stosunku do przyciągającego ciała, tym mniejsze przyciąganie i jego wpływ na kierunek ruchu. We Wszechświecie dodatnich szybkości, w hiperprzestrzeni, im szybciej lecimy w stosunku do odpychającego nas ciała, tym bardziej ono odpycha i zmienia kierunek lotu. Dla nas to nie ma sensu, ponieważ przyzwyczajeni jesteśmy do funkcjonowania w normalnym Wszechświecie, ale jeśli zmienimy tylko znaki z minusa na plus, to wszystko zaczyna pasować do siebie.

— Matematycznie. Ale czy można zaufać tym równaniom?

— Obliczenia dopasowuje się do rzeczywistości, a nie odwrotnie. Przyciąganie grawitacyjne jest najsłabszą z istniejących sił, podobnie rzecz się ma z odpychaniem grawitacyjnym wzdłuż drogi pozornej. Wewnątrz statku, a nawet w nas samych, każda cząsteczka odpycha inne cząsteczki podczas lotu w hiperprzestrzeni, ale odpychanie to jest niczym w porównaniu z innymi siłami, które trzymają wszystko razem i, co najważniejsze, nie zmieniają znaku. Nasza droga pozorna od Stacji Czwartej do tego miejsca przebiegała jednak w pobliżu Jowisza. Jego odpychanie wzdłuż pozornej drogi hiperprzestrzennej było tak intensywne, jak przyciąganie podczas zwykłej drogi w normalnej przestrzeni.

Obliczyliśmy, w jaki sposób odpychanie grawitacyjne Jowisza może wpłynąć na naszą drogę w hiperprzestrzeni i okazało się, że droga ta zakrzywiała się dokładnie w taki sposób, jak miało to miejsce. Innymi słowy, modyfikacje Wu nie tylko upraszczają moje równania, ale i potwierdzają je w działaniu.

— Skręciłaś mu kark, tak jak obiecywałaś?

Tessa uśmiechnęła się, przypominając sobie swoją groźbę.

— Nie, nie zrobiłam tego. Pocałowałam go.

— Wybaczam ci.

— Obecnie, Krile, najważniejszą rzeczą na świecie jest to, aby udało nam się bezpiecznie powrócić. Musimy zameldować o naszym odkryciu. Wu musi zostać odpowiednio uhonorowany. Oparł się na mojej pracy, przyznaje, ale zrobił coś, czego ja nigdy nie przewidziałam i mogłam nie przewidzieć. Biorąc pod uwagę konsekwencje takiego przeoczenia…

— Zdaję sobie z nich sprawę.

— Nie, nie zdajesz — powiedziała ostro Tessa. — Posłuchaj mnie uważnie: Rotor nie miał problemów z grawitacją, ponieważ ślizgał się jedynie w okolicach szybkości podświetlnych. Czasami przekraczał je, czasami nie. Oddziaływanie grawitacyjne bez względu na znak, bez względu na to, czy przyciągało czy też odpychało Rotora, miało niesłychanie mały wpływ. Dopiero w naszym przypadku konieczne jest branie pod uwagę odpychania grawitacyjnego. Moje równania są do niczego. Co prawda wprowadzą statek w hiperprzestrzeń, ale nadadzą mu zły kierunek. A to nie wszystko. Zawsze obawiałam się pewnego nieuniknionego niebezpieczeństwa, związanego z wychodzeniem z hiperprzestrzeni: co stanie się, jeśli po wyjściu trafi się w jakiś istniejący już obiekt? Oczywiście nastąpi wybuch, który zniszczy statek i wszystko, co się na nim znajduje w trylionowej części sekundy. Naturalnie nam nie grozi zderzenie z gwiazdą, ponieważ wiemy, gdzie są gwiazdy i wiemy, jak ich uniknąć. Z czasem dowiemy się, gdzie są planety i ich także będziemy unikać. Ale pozostają jeszcze dziesiątki tysięcy asteroidów, dziesiątki miliardów komet

znajdujących się w pobliżu każdej gwiazdy. Jeśli wpadniemy w coś takiego, efekt może okazać się równie niebezpieczny. Do dzisiaj wydawało mi się, że jedyną rzeczą, jaka jest nas w stanie uchronić przed przypadkowymi zderzeniami, jest właśnie przypadek. Kosmos jest tak olbrzymi, że prawdopodobieństwo zderzenia się z obiektem większym od atomu jest minimalne. Zakładając jednak wystarczająco dużą ilość lotów kosmicznych, lotów w hiperprzestrzeni, prawdopodobieństwo to znacznie wzrasta. Nasze dzisiejsze odkrycie całkowicie zmienia postać rzeczy. Prawdopodobieństwo zderzenia się z innym ciałem jest równe zeru. Każdy statek i każde dowolne ciało będą odpychały się, poruszały w różnych kierunkach. Nic nam nie grozi, nikomu nic nie grozi. Wszystko usuwa się z drogi.

Fisher podrapał się w czoło.

— A czy my nie zmienimy swojego kursu? Tylko ciała?

— Małe ciała będą zmieniały nasz kurs w sposób bardzo ograniczony. Z łatwością to nadrobimy. To niewielka cena za absolutne bezpieczeństwo.

Tessa wzięła głęboki oddech i przeciągnęła się na krześle.

— Czuję się wspaniale. Pomyśl, jaką sensację wywołamy na Ziemi.

Fisher chrząknął.

— Wiesz, zanim przyszłaś tutaj, prześladował mnie potworny obraz wiecznego zagubienia w kosmosie: nasz statek wędrując bez celu z pięcioma martwymi ludźmi na pokładzie. Widziałen już, jak znajdują nas po wielu latach jakieś inteligentne istot i opłakują tę niewątpliwie kosmiczną tragedię…

— Zapomnij o tym. Nic nam nie grozi, mój drogi, możesz by pewny… — powiedziała Tessa i objęła go.

Rozdział 33
UMYSŁ

Eugenia Insygna wyglądała bardzo nieszczęśliwie.

— Czy naprawdę chcesz wyjść jeszcze raz, Marleno?

— Mamo — odpowiedziała Marlena znużonym, lecz cierpliwym głosem — mówisz tak, jak gdybym przed pięcioma minutami wpadła na ten pomysł po długim okresie niepewności. Wiesz od bardzo dawna, że pragnę wyjść — nie zmieniłam zdania i nie zmienię go.

— Wiem, że jesteś przekonana, że nic ci nie grozi i przyznaję, że do tej pory nic ci się nie stało, ale…

— Czuję się bezpieczna na Erytro — powiedziała Marlena. — Coś ciągnie mnie na powierzchnię. Wujek Siever rozumie to.

Eugenia spojrzała na córkę tak, jak gdyby jeszcze raz chciała się jej przeciwstawić, lecz zamiast tego potrząsnęła głową. Marlena podjęła decyzję i nikt nie mógł jej zatrzymać.

Tym razem jest cieplej — pomyślała Marlena — przydałoby się trochę wiatru. Szare chmury przesuwały się po niebie nieco szybciej niż ostatnio, były też trochę większe.

Zapowiadano deszcz na dzień następny. Martenie przyszło do głowy, że chciałaby zobaczyć deszcz, deszcz kapiący do strumienia, roszący się na skałach, zamieniający ziemię w błoto.

Doszła do płaskiej skały w pobliżu strumienia. Oczyściła ją ręką l usiadła na niej ostrożnie, przyglądając się wodzie opływającej kamienie i myśląc o deszczu, który przypomina prysznic.

Prysznic padający z całego nieba, prysznic, przed którym nie można uciec. Ciekawe, jak się wtedy oddycha?

Nie, nie powinno być żadnych problemów z oddychaniem. Na Ziemi padało przez cały czas — a przynajmniej często — i nie słyszała, żeby ktoś utopił się w deszczu. Deszcz naprawdę przypominał prysznic, a pod prysznicem można oddychać.

Jednak deszcz będzie zimny, a Martena lubiła gorące prysznice. Jej myśli snuły się leniwie. Było cicho, dokoła panował spokój. Mogła odpoczywać — nikt jej nie widział, nikt nie przyglądał się, nie musiała odczytywać niczyich uczuć. To najbardziej jej się podobało.

Ciekawe, jaką ma temperaturę? Deszcz. Powinien być tak ciepły jak Nemezis. Jasne, że ją zmoczy, ale mogłoby jej być ciepło, a nie tak jak wtedy, gdy wychodzi się spod prysznica. Jej ubranie także będzie mokre.

To głupie, że chodzi się w ubraniu, gdy pada. Pod prysznic nie

idzie się w ubraniu. Powinno się rozbierać, gdy pada. To byłoby jedyne rozsądne wyjście.

Ale gdzie położyć rzeczy? Wchodząc pod prysznic ubranie zostawiało się w automacie pralniczym. A tutaj? Może pod skałą, a może w małym szałasie zbudowanym specjalnie po to, by zostawić w nim rzeczy podczas deszczu. Po co w ogóle nosić ubranie w deszczu?

A gdy nie pada?

No cóż, ubranie przydaje się, gdy jest zimno. Ale gdy jest ciepło…

W takim razie po co ludzie noszą ubrania na Rotorze, gdzie zawsze jest ciepło i czysto? No tak, rozbierają się na basenach — Marlenie przypomniało się, że młodzi ludzie o wysmukłych sylwetkach byli pierwsi do rozbierania się i ostatni do ubierania.

A tacy jak ona po prostu wstydzili się zdejmować ubranie publicznie. Może ludzie właśnie dlatego noszą ubrania — aby ukryć własne ciała.

Szkoda, że nie można chwalić się umysłem tak jak ciałem. A jeśli już ktoś rzeczywiście pokazał umysł, to ludziom nie podobało się to. Ludzie woleli przyglądać się kształtnym ciałom, a nie niezwykłym umysłom. Dlaczego?

Tutaj na Erytro nie było ludzi. Może zdejmować ubranie, kiedy tylko jej się spodoba, i nikt nie będzie wytykał jej palcem i wyśmiewał się.

Mogła robić to, na co ma ochotę, ponieważ miała dla siebie cały, wspaniały świat, pusty świat, samotny świat; świat, który otaczał ją, okrywał niczym miękka kołdra i… cisza.

Poddała się ciszy. Jej umyśl wyszeptał to słowo, tak by nawet jej wewnętrzny głos nie zakłócał spokoju.

Cisza.

Wyprostowała się nagle. Cisza?

Wyszła po to, by jeszcze raz usłyszeć ten głos. Tym razem nie będzie krzyczeć. Nie będzie się bała. Gdzie podział się ten głos?

I nagle, jak gdyby na jej wezwanie, na jej prośbę…

„Marlena!”

Serce zamarło w niej.

Opanowała się. Nie wolno pokazać, że się boi, że jest zaniepokojona. Rozejrzała się, a potem powiedziała bardzo spokojnie:

— Gdzie jesteś? Proszę?

„Nie musisz… nie musisz… wy… wywoływać drgań… powietrza… mówić.”

Głos należał do Orinela, ale nie mówił jak Orinel. Brzmiał tak, jak gdyby mówienie sprawiało mu ogromną trudność, mimo to szybko wprawiał się.

„Będzie lepiej” — powiedział głos.

Marlena milczała. Nie musiała nic mówić. Będę myślała.

„Musisz tylko dostosować swój sposób. Teraz jest lepiej."

— Ale ja słyszę, jak mówisz.

„Ja poprawiam twój sposób. To tak, jak gdybyś mnie słyszała."

Marlena delikatnie oblizała wargi. Nie wolno się bać. Musi pozostać spokojna.

„Nie ma niczego… nikogo… kogo musisz się bać" — powiedział głos, który był prawie głosem Orinela.

Wszystko słyszysz? — pomyślała.

„Czy to cię niepokoi?"

— Tak. „Dlaczego?"

— Nie chcę, żebyś wiedział wszystko. Chcę mieć niektóre myśli dla siebie. (Próbowała zapomnieć, że inni ludzie reagowali na nią w ten sposób, że chcieli zachować dla siebie swoje uczucia. Wszystko na nic: chciała zapomnieć i pomyślała, a myśl już wydostała się na zewnątrz, już nie była jej.)

„Twój sposób jest niepodobny do innych."

— Mój sposób?

„Twój sposób myślenia. Twój umysł. Inne są… pokręcone… pogmatwane. Twój jest… wspaniały."

Marlena ponownie oblizała wargi i uśmiechnęła się. Nareszcie ktoś dostrzegł jej umysł, zauważył, że jest wspaniały. Odczuła triumf i pomyślała z pogardą o innych dziewczętach, które miały tylko… ciała.

Głos w jej umyśle zapytał:

„Czy ta myśl jest… osobista?"

— Owszem — Martena niemal krzyknęła. „Potrafię je rozróżniać. Nie będę odpowiadał na twoje osobiste myśli."

Martena ciągle pragnęła pochwał:

— Widziałeś wiele… sposobów?

„Czułem wiele, odkąd wy lu-dzkie istoty tu przybyłyście."

Nie był pewny, jak wymawiać to słowo — pomyślała Martena. Głos nie odpowiadał, co odrobinę ją zaskoczyło.

Zaskoczenie to też wrażenie osobiste, ale nie zastrzegła go w ten sposób we własnych myślach. Jednak osobiste to osobiste, bez względu, czy się zastrzega czy nie. Ten… umysł powiedział, że czuje różnicę i chyba rzeczywiście tak jest. Widać to było w jego sposobie.

Na to również nie odpowiedział. Musi zapytać, musi pokazać mu, że ta myśl nie była osobista.

— Czy to widać w sposobie? — nie musiała mówić co, głos wiedział, o co jej chodziło.

„Tak, widać to w sposobie myślenia. Wszystko widać w twoim sposobie myślenia, ponieważ jest tak doskonale zorganizowany."

Martena dosłownie rosła w oczach. Doczekała się pochwały. Powinna teraz zwrócić komplement.

— Twój też jest z pewnością doskonale zorganizowany. „Jest

odmienny. Mój sposób daje się rozszerzać. Jest prosty w każdym miejscu i skomplikowany, gdy zbierze się go razem. Twój jest od razu skomplikowany. Nie ma w nim żadnych uproszczeń. Twój jest odmienny od reszty twojego rodzaju. Reszta jest… pogmatwana. Nie można z nimi wymieniać na przemian… komunikować się. Dostosowanie jest dla nich niebezpieczne, bo ich sposób jest kruchy. Nie wiedziałem. Mój sposób nie jest kruchy."

— Czy mój sposób jest kruchy? „Nie. Dostosowuje się."

— Próbowałeś komunikować się z innymi, prawda? „Tak."

Plaga Erytro. (Nie usłyszała odpowiedzi. Myśl była osobista.)

Zamknęła oczy, sięgnęła umysłem najdalej, jak tylko mogła, chcąc odnaleźć źródło myśli dochodzących do niej z zewnątrz. Robiła to nie całkiem wiedząc i rozumiejąc jak. Być może źle. A może nic nie robiła. Umysł pewnie śmiał się z jej nieporadności, jeśli w ogóle wiedział, co to jest śmiech.

Nie było odpowiedzi.

Pomyśl coś — pomyślała Marlena.

Oczywiście usłyszała jego myśl.

„Co mam pomyśleć?"

Myśl pochodziła znikąd. Nie pochodziła stąd, ani stamtąd, ani znikąd. Pochodziła z jej własnego umysłu.

Zdenerwowała ją własna nieporadność.

— Kiedy poczułeś mój sposób myślenia? „Gdy przybył nowy pojemnik z ludźmi."

— Rotor?

„Rotor."

Doznała olśnienia.

— Chciałeś, żebym tu była. Wzywałeś mnie.

„Tak."

Oczywiście. Dlatego właśnie tak bardzo chciała przylecieć na Erytro. Dlatego wpatrywała się całymi godzinami w planetę z pokładu Rotora.

Zacisnęła zęby. Musi pytać dalej:

— Gdzie jesteś? „Wszędzie."

— Jesteś planetą. „Nie."

— Pokaż się.

„Proszę."

I nagle głos ukierunkował się.

Spoglądała na strumień. Wreszcie dotarło do niej, że przez cały czas, gdy komunikowała się z głosem, strumień był jedyną rzeczą, jaką naprawdę czuła. Zapomniała o całej reszcie planety. jej umysł zamknął się w sobie i skoncentrował na jednej rzeczy, którą był pochłonięty.

Zasłona uniosła się. Zobaczyła wodę opływającą kamienie, pieniącą się wokół nich, tworzącą mały wir tam, gdzie było najwięcej

piany. Na wodzie pojawiły się i pękały bańki. Przybywało ich z każdą chwilą, na wodzie powstał wzór, który nie ulegał zmianie, ale także nie powtarzał się w szczegółach.

A potem, jedna po drugiej, bańki zaczęły pękać. Pozostała bezkształtna, lekko pomarszczona woda. Wszystko płynęło.

W wodzie odbijała się różowa tarcza Nemezis. I woda znowu zaczęła się obracać. Marlena widziała odbicie Nemezis tworzące łuki, zamieniające się w spirale i nakładające się na siebie. Jej oczy podążały wraz z orbitami wody i wreszcie Marlena dostrzegła coś, co mogło być karykaturą twarzy z dwoma ciemnymi dziurami zamiast oczu i poziomą kreską zamiast ust.

Rysy twarzy wyostrzały się, podczas gdy Marlena wpatrywała się zafascynowana.

Twarz była coraz wyraźniejsza, nabierała kształtów, spoglądała na nią pustymi oczodołami… Tak, nie mogła jej nie poznać!

Była to twarz Orinela Pampas.

Siever Genarr odezwał się bardzo ostrożnie i powoli, starając się wysiłkiem woli zachować maksymalny spokój:

— I wtedy odeszłaś. Marlena kiwnęła głową.

— Poprzednio odeszłam, gdy usłyszałam głos Orinela. Teraz odeszłam, gdy zobaczyłam jego twarz.

— Nie winie cię…

— Rozśmieszasz mnie, wujku Sieverze.

— A co mam zrobić? Kopnąć cię? Mogę cię rozśmieszać, jeśli sprawia mi to przyjemność. A wracając do rzeczy… Umysł, jak go nazywasz, posłużył się głosem Orinela i twarzą Orinela, które przejął z twoich myśli. Te dwie rzeczy musiały być bardzo wyraźne w twojej głowie. Jak blisko byłaś z Orinelem?

Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Co to znaczy „jak blisko”?

— Nic strasznego. Przyjaźniliście się?

— Tak, oczywiście.

— Byłaś w nim zakochana?

Marlena nie odpowiedziała od razu. Zacisnęła usta.

— Chyba tak.

— A teraz? Czy ciągle jesteś w nim zakochana?

— Po co? Traktuje mnie jak… małą dziewczynkę. Siostrzyczkę…

— To zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności. Ale ty ciągle o nim myślisz i dlatego… stworzyłaś sobie obraz jego twarzy i głos.

— Co to znaczy „stworzyłaś sobie”? To był prawdziwy głos i prawdziwa twarz.

— Jesteś pewna?

— Oczywiście!

— Mówiłaś o tym swojej matce?

— Nie. Ani słowa.

— Dlaczego?

— Wujku, znasz ją przecież. Nie znoszę tej jej… nerwowości. Wiem, chcesz mi powiedzieć, że ona mnie kocha, ale to wcale nie ułatwia sprawy.

— Powiedziałaś mi o wszystkim, a ja również bardzo cię lubię.

— Wiem, wujku Sieverze, ale ty nie podniecasz się tak łatwo. Patrzysz na wszystko logicznie.

— Czy to komplement?

— Owszem.

— W takim razie przyjrzyjmy się temu, co odkryłaś, i zróbmy to w sposób logiczny.

— W porządku.

— Dobrze. A więc na planecie jest jakaś istota żywa.

— Tak.

— I nie jest nią sama planeta.

— Absolutnie nie. Kategorycznie temu zaprzeczyła.

— Ale jest to jedna istota.

— Tak, odniosłam wrażenie, że jest to jedyna żyjąca tutaj istota. Problem polega na tym, wujku Sieverze, że to, co się dzieje, nie jest telepatią. To nie jest zwykłe odczytywanie myśli i rozmowa. Są jeszcze inne wrażenia, które odbiera się w jednej chwili, to jest tak jak… oglądanie obrazu w całości, zamiast przyglądanie się poszczególnym plamom światła i cienia, które ten obraz tworzą.

— I te wrażenia mówią ci o istnieniu pojedynczej istoty.

— Tak.

— Inteligentnej.

— Bardzo inteligentnej.

— Lecz nie zorganizowanej technologicznie. Na planecie nie znaleźliśmy najmniejszych śladów cywilizacji technicznej. Ta niewidzialna istota, niedostrzegalna istota, unosi się nad Erytro… myśli… wyciąga wnioski i nic nie robi. Czy tak?

Marlena zawahała się.

— Nie wiem. Może masz rację.

— Tak… I oto pojawili się ludzie… Jak myślisz, kiedy ona zdała sobie sprawę z naszego przybycia? — Marlena potrząsnęła głową.

— Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

— No cóż, moja droga, ona wiedziała o twojej obecności, gdy byłaś jeszcze na Rotorze. Musiała zdać sobie sprawę z najazdu obcej inteligencji, gdy my byliśmy daleko od Systemu Nemezis. Nie odniosłaś takiego wrażenia?

— Nie sądzę, wujku Sieverze. Myślę, że ona dowiedziała się o nas dopiero wtedy, gdy wylądowaliśmy na Erytro. Zwróciliśmy na siebie

jej uwagę i później rozejrzała się dokoła i znalazła Rotora.

— Być może. I postanowiła w takim razie przeprowadzić eksperymenty z tymi nowymi umysłami, które wyczuła na Erytro. Były to prawdopodobnie pierwsze umysły oprócz jej własnego, z jakimi się zetknęła. Od jak dawna ona istnieje, Marleno? Wiesz coś na ten temat?

— Nie mam pojęcia, wujku, ale odniosłam wrażenie, że jest bardzo stara, może tak stara jak sama planeta.

— Niewykluczone. Wydaje mi się jednak, że bez względu na wiek było to jej pierwsze spotkanie, pierwsze zanurzenie się w obcych umysłach, całkowicie różnych od jej własnego. Czy mam rację, Marleno?

— Tak.

— Tak więc eksperymentowała z nowymi umysłami i ponieważ wiedziała o nich bardzo niewiele, zniszczyła je. My nazywaliśmy to Plagą Erytro.

— Tak — odpowiedziała poruszona nagle Marlena. — Ona nie mówiła bezpośrednio o Pladze, ale moje wrażenie było wtedy bardzo silne. Przyczyną Plagi były początkowe eksperymenty.

— I gdy zdała sobie sprawę, że wyrządza nam krzywdę, przestała.

— Tak, dlatego teraz nie mamy Plagi Erytro.

— Wynika z tego, że umysł, o którym mówimy, jest przyjacielski. Posiada pewną etykę, którą możemy zaaprobować, etykę, która zakazuje mu niszczenia innych umysłów.

— Tak! — potwierdziła zafascynowana Martena. — Jestem tego pewna.

— Lecz czym jest ta istota? Duchem? Czymś niematerialnym? Czymś poza naszymi zdolnościami pojmowania?

— Nie umiem ci powiedzieć, wujku Sieverze — westchnęła Marlena.

— Dobrze — powiedział Genarr — spróbujmy zreasumować wszystko, co wiemy. Przerwij mi, jeśli powiem coś nie tak. Istota powiedziała, że jej „sposób daje się rozszerzać"; że „jest prosty w każdym miejscu i skomplikowany, gdy zbierze się go razem"; że „nie jest kruchy". Czy tak?

— Tak, oczywiście.

— Jedyną formą życia, jaką znaleźliśmy na Erytro. są prokarioty, maleńkie komórki bakteryjne. Jeśli pominiemy wersję zakładającą, że istota jest niematerialnym duchem, to zostają nam tylko one. Czy możliwe jest, że te komórki — istniejące oddzielnie — są w rzeczywistości częścią jednego, wszechogarniającego organizmu? Gdyby tak było, sposób myślenia niewątpliwie rozszerzałby się i byłby prosty w każdym miejscu, a skomplikowany, gdy zbierze się go razem. Nie byłby także kruchy, ponieważ nawet gdyby zniszczyć znaczną

ilość komórek, organizm jako jednostka planetarna pozostałby nienaruszony.

Martena popatrzyła na Genarra.

— Chcesz powiedzieć, że rozmawiałam z zarazkami?

— Nie wiem, Marleno. To tylko hipoteza, chociaż bardzo prawdopodobna — w tej chwili nie przychodzi mi do głowy nic innego nic, co odpowiadałoby faktom. Poza tym, Marleno, jeśli spojrzymy na nasz mózg, na setki miliardów tworzących go komórek, to dojdziemy do wniosku, że każda komórka — rozpatrywana oddzielnie — nie jest niczym niezwykłym. Jesteśmy organizmami, których komórki mózgowe są zgromadzone razem. Czy można wykluczyć istnienie organizmu, którego komórki mózgowe istnieją oddzielnie, lecz mogą się łączyć — powiedzmy za pomocą… fal radiowych? Różnica nie jest aż tak wielka.

— Nie wiem… — odpowiedziała Martena głęboko poruszona taką ewentualnością.

— Postawmy jeszcze jedno pytanie, bardzo istotne pytanie: czego chce od ciebie ta istota — czymkolwiek jest?

Marlena wyglądała na zaskoczoną.

— Może ze mną rozmawiać. Może przekazywać mi myśli.

— Sugerujesz, że ona chce tylko porozmawiać sobie z kimś? Przypuszczasz, że po przybyciu ludzi zdała sobie sprawę, że jest samotna?

— Nie wiem.

— I nie odniosłaś takiego wrażenia?

— Nie.

— Może nas zniszczyć — powiedział do siebie Genarr. — Może nas zniszczyć bez najmniejszego kłopotu, jeśli znudzi się tobą albo zmęczy.

— Nie, wujku Sieverze.

— Ale skrzywdziła mnie, gdy chciałem przeszkodzić wam w nawiązywaniu łączności — powiedział Genarr. — Skrzywdziła także doktor D'Aubisson, twoją matkę i strażnika.

— Tak, ale zrobiła to bardzo delikatnie. Skrzywdziła was tylko w takim stopniu, aby uniemożliwić wam przeszkadzanie mi. A potem przestała.

— I podejmuje wszystkie te środki tylko po to, aby wywabić cię na zewnątrz w celu odbycia pogawędki i wspólnego spędzenia czasu. Jakoś nie mogę w to uwierzyć.

— Powód może być inny, ale my go nie potrafimy zrozumieć. Umysł tej istoty jest tak odmienny od naszego, że nie potrafi wyjaśnić nam dokładnie, o co jej chodzi, a gdy próbuje, my jej nie rozumiemy.

— Lecz jej umysł nie jest na tyle odmienny, by uniemożliwić porozumiewanie z tobą. Odbiera twoje myśli i przekazuje ci swoje,

czyż nie tak? Komunikujecie się przecież.

— Tak.

— Poza tym, rozumie cię na tyle dobrze, aby sprawiać ci przyjemność mówiąc do ciebie głosem Orinela i pokazując jego twarz. Marlena pochyliła głowę i zaczęła wpatrywać się w podłogę.

— Myślę, że nas rozumie — powiedział Genarr. — I w związku z tym my powinniśmy zrozumieć ją. Musisz dowiedzieć się, dlaczego tak bardzo zależy jej na tobie. To bardzo ważne ze względu na jej przyszłe plany. Jesteś naszą jedyną nadzieją,

Marleno. Marlena drżała.

— Nie wiem, jak to zrobić, wujku Sieverze.

— Rób to, co robiłaś do tej pory. Ta istota bardzo cię lubi i może wyjaśnić ci, o co jej chodzi.

Marlena przyjrzała się twarzy Genarra.

— Boisz się, wujku.

— Oczywiście. Mamy do czynienia z czymś znacznie potężniejszym od nas. Jeśli owa istota dojdzie do wniosku, że nie chce nas tutaj, z łatwością… pozbędzie się nas.

— Nie chodzi mi o to. wujku Sieverze. Boisz się o mnie. Genarr zawahał się.

— Czy ciągle jesteś przekonana, że nic ci nie grozi na Erytro? Czy czujesz się bezpieczna rozmawiając z tym umysłem? Marlena wstała i powiedziała z przekonaniem:

— Oczywiście. Nie ma żadnego ryzyka. Nie zrobi mi krzywdy. Jej pewny siebie głos nie przekonał Genarra. To, co myślała Marlena, nie miało żadnego znaczenia, jej umysł został dostosowany do potrzeb istoty z Erytro. Czy można jej wierzyć?

Czy można wykluczyć, że umysł zbudowany z trylionów trylionów prokariotów nie ma własnych planów? Taki Pitt, na przykład, miał własne plany. Dlaczego umysł, przerastający wielokrotnie Pitta w rozwoju, nie mógłby dorównać mu sprytem i nikczemnością?

Mówiąc krótko, co stanie się, jeśli umysł okłamuje Marlenę dla jakichś własnych powodów?

Czy miał prawo wysyłać dziewczynę na zewnątrz? Czy miał prawo… — jakie to mogło mieć znaczenie… nie miał wyboru.

Rozdział 34
BLISKOŚĆ

— Wspaniale — powiedziała Tessa Wendel. — Wspaniale, wspaniale, wspaniale.

Ręką wykonała gest jakby przybijała coś do ściany.

— Wspaniale.

Krile Fisher wiedział, o czym mówiła. Dwukrotnie — za każdym razem w odwrotnych kierunkach — przeszli przez hiperprzestrzeń. Dwukrotnie widzieli, jak zmienia się położenie gwiazd. Dwukrotnie odszukiwali Słońce — nieco bledsze za pierwszym razem i jaśniejsze za drugim. Krile czuł się teraz jak wilk morski pływający po wszystkich oceanach hiperprzestrzeni.

— Mam nadzieję, że Słońce nam nie przeszkadza — powiedział.

— Przeszkadza, ale dokładnie tak, jak powinno, dokładnie tak, jak obliczyliśmy. Fizyczna obecność Słońca jest także psychologicznie uzasadniona — wiesz, o co mi chodzi?

Fisher postanowił odegrać rolę adwokata diabła.

— Słońce jest daleko, prawda? Efekt grawitacyjny musi być bliski zeru.

— Owszem — odpowiedziała Tessa. — Ale „bliski zeru" to nie to samo co zero. Efekt jest w dalszym ciągu wielkością mierzalną. Dwukrotnie przeszliśmy przez hiperprzestrzeń: za pierwszym razem nasza droga pozorna przebiegała ukośnie do Słońca, za drugim razem wyszliśmy pod innym kątem. Wu obliczył wszystko bardzo dokładnie. Nasza droga odpowiadała jego obliczeniom do ostatniego miejsca po przecinku. Ten człowiek jest geniuszem! Robi takie skróty w programach komputerowych, o jakich ci się nie śniło.

— Na pewno — zamruczał Fisher.

— Wszystko jest teraz jasne, Krile. Dolecimy do Sąsiedniej Gwiazdy już jutro. A nawet dzisiaj, gdyby naprawdę zależało nam na czasie. Oczywiście nie wylądujemy zbyt blisko. Podpłyniemy sobie do Gwiazdy spokojnie — tak na wszelki wypadek. Poza tym nie znamy masy Sąsiedniej Gwiazdy na tyle, by ryzykować zbyt bliskie podejście. Nie chcemy zostać odepchnięci i wracać tam jeszcze raz — potrząsnęła głową z aprobatą. — Ten Wu! Bardzo jestem z niego zadowolona. Nawet nie umiem powiedzieć jak bardzo.

— Jesteś pewna, że to cię nie denerwuje? — zapytał ostrożnie Fisher.

— Denerwuje? Dlaczego? — spojrzała na niego zaskoczona. -

Sądzisz, że powinnam być zazdrosna?

— No, nie wiem. Ale jeśli Chao-Li Wu zostanie okrzyknięty prawdziwym odkrywcą lotów superluminalnych. a tobie przypiszą tylko pewne podwaliny i w końcu zapomną cię…

— Och, Krile, to ładnie z twojej strony, że martwisz się o moją sławę, ale zapewniam cię. że nic jej nie grozi. Moja praca jest udokumentowana w najdrobniejszym szczególe. Podstawowe założenia matematyczne lotów superluminalnych są moje. Przyczyniłam się także do opracowania szczegółów technicznych, chociaż to inni zaprojektowali statek i im należy się chwała. Wu wprowadził poprawkę do podstawowych równań. Bardzo istotną poprawkę, bez której loty superluminalne byłyby praktycznie niemożliwe, ale jest to jedynie ostatni szlif na brylancie — a brylant jest mój.

— W porządku. Jeśli jesteś o tym przekonana, to nic mi więcej nie trzeba.

— Mówiąc szczerze, Krile, mam nadzieję, że Wu obejmie teraz kierownictwo nad całym projektem. Ja… mam już swoje najlepsze lata — w pracy naukowej, oczywiście — za sobą. Podkreślam, że dotyczy to wyłącznie pracy naukowej, Krile.

— Wiem — uśmiechnął się.

— Tak, w pracy naukowej jestem już z górki. Moja praca opierała się na drążeniu pomysłów, które miałam na studiach podyplomowych. Przez dwadzieścia pięć lat wyciągałam wnioski, i to już chyba koniec. Teraz potrzeba nam nowych pomysłów, całkowicie nowych myśli, zdobywania nowych terytoriów. A ja już się do tego nie nadaję.

— Nie doceniasz się, Tesso.

— To akurat nie było nigdy moim grzechem, Krile. Młodzi mają nowe pomysły, po to zresztą są na świecie. Cała rzecz nie polega wyłącznie na tym, że młodzi mają młode mózgi, ich mózgi są nowe. Wu posiada genom, który nigdy dotąd nie pojawił się w rasie ludzkiej. Posiada absolutnie nowe doświadczenia, które należą wyłącznie do niego. Może mieć nowe pomysły. Oczywiście opiera się na tym, co ja zrobiłam już wcześniej, i wiele zawdzięcza moim naukom. Jest moim uczniem, Krile, dzieckiem mojego intelektu. Wszystko, co zrobi, będzie dobrze świadczyło o mnie. Mam być zazdrosna? Jego zasługi są moimi zasługami… O co chodzi, Krile, nie wyglądasz na uszczęśliwionego?

— Cieszę się, gdy ty się cieszysz, Tesso, a mój wygląd nie ma tutaj nic do rzeczy. Problem polega na tym. że wydaje mi się, iż przedstawiasz mi teorię postępu naukowego, a przecież w historii nauki — i w ogóle w historii — zdarzały się przypadki zazdrości, nienawiści nauczycieli do uczniów za to, że byli od nich lepsi.

— Owszem. Mogłabym ci zacytować dziesiątki takich przykładów

na dobry początek, ale są to wyjątki, a ja nie sądzę, by można było mnie do nich zaliczyć. Co nie znaczy, że kiedyś w przyszłości nie mogę zmienić zdania co do Wu i Wszechświata, ale na razie jest tak jak mówię i cieszę się z tego… Co to znowu?

Nacisnęła przełącznik odbioru na konsolecie. Natychmiast pojawiła się przed nimi trójwymiarowa, młoda twarz Merry Blankowitz.

— Kapitanie — powiedziała z wahaniem w głosie — prowadzimy tutaj pewną dyskusję, chcielibyśmy coś skonsultować.

— Coś nie w porządku ze statkiem?

— Nie. Dyskutujemy o strategii.

— Rozumiem. Nie musicie się tutaj meldować. Przejdę do sterowni.

Tessa wyłączyła odbiór.

— Blankowitz zazwyczaj nie mówi tak ponurym głosem — szepnął Fisher. — O co im chodzi?

— Nie ma zamiaru rozważać tego tutaj. Chodźmy, przekonamy się — gestem wskazała mu wyjście.

Cała trójka znajdowała się w sterowni. Siedzieli na fotelach, pomimo braku ciążenia. Zazwyczaj w takiej sytuacji zajmowali wygodne pozycje na ścianach, teraz widocznie chcieli nadać powagę własnym słowom. Nie chcieli również obrażać kapitana. Dobre obyczaje obowiązują także w stanie nieważkości.

Tessa nie lubiła braku ciążenia. Gdyby rzeczywiście chciała wymuszać swoją kapitańską wolę, rozkazałaby wprowadzenie statku w obrót wywołujący siłę odśrodkową, która daje przynajmniej złudzenie ciążenia. Wiedziała jednak, że obliczanie drogi statku było znacznie łatwiejsze, gdy nie brało się pod uwagę obrotów w stosunku do reszty Wszechświata, chociaż stała zmiana położenia obiektu wokół osi nie podnosiła poziomu trudności obliczeń do niebotycznych rozmiarów.

Mogła jednak obrazić w ten sposób osobę zajmującą się komputerem. Znów dobre obyczaje. Tessa zajęła miejsce. Fisher zauważył (z wewnętrznym uśmiechem), że siadając zakołysała się lekko. Pomimo swojej osiedlowej przeszłości, Tessa nie czuła się najlepiej w kosmosie. On sam (i tutaj znów uśmiechnął się wewnętrznie — tym razem z zadowoleniem), pomimo ziemskiego pochodzenia, poruszał się w stanie nieważkości tak, jak gdyby urodził się w nim.

Chao-Li Wu wziął głęboki oddech. Miał szeroką twarz, która pasowałaby do osoby o niskim wzroście, jednak Wu był wzrostu więcej niż przeciętnego, gdy stał. Miał ciemne, proste włosy, a jego oczy były niezwykle wąskie.

— Kapitanie — powiedział miękko.

— O co chodzi, Chao-Li? — zapytała Wendel. — Jeśli chcesz mi powiedzieć, że powstał jakiś błąd w programie komputerowym, to chyba cię uduszę.

— Nie, nie mamy żadnych problemów, kapitanie. Absolutnie żadnych. W rzeczy samej wszystko przebiega tak bezproblemowo. że czasami wydaje mi się, iż nasza misja dobiegła końca i powinniśmy wrócić na Ziemię. Chciałbym to zaproponować.

— Na Ziemię? — Tessa przerwała na chwilę, chciała pokazać jak bardzo jest zaskoczona. — Dlaczego? Nie wykonaliśmy jeszcze zadania.

— Wykonaliśmy, kapitanie — jego twarz pozbawiona była wyrazu. — Po pierwsze nie przedstawiono nam żadnego zadania. Opracowaliśmy praktycznie lot superluminalny a o to przecież chodziło, gdy opuszczaliśmy Ziemię.

— Wiem o tym. I co z tego?

— Nie mamy żadnych środków łączności z Ziemią. Jeśli polecimy teraz do Sąsiedniej Gwiazdy i coś nam się stanie, coś stanie się statkowi. Ziemia zostanie pozbawiona lotów superluminalnych, kto wie na jak długo. Może to poważnie wpłynąć na ewakuację ludności Ziemi w związku ze zbliżaniem się Sąsiedniej Gwiazdy. Wydaje mi się, że powinniśmy wrócić i wyjaśnić to. czego dokonaliśmy.

Wendel słuchała z ponurą miną.

— Rozumiem. A pan, Jarlow, jaki jest pański punkt widzenia? Henry Jarlow był wysokim blondynem o wiecznie skwaszonej twarzy. Widok jego melancholijnych oczu sprawiał, że wszyscy niewłaściwie oceniali jego charakter. Jarlow obdarzony był także długimi palcami (wcale nie delikatnymi), które potrafiły czynić cuda, pracując nad obwodami scalonymi komputerów i wszystkich innych urządzeń na pokładzie.

— Wydaje mi się, że Wu ma rację — powiedział Jarlow. — Gdybyśmy posiadali superluminalne środki łączności, przekazalibyśmy niezbędne informacje na Ziemię i polecieli dalej. To, co stałoby się z nami potem, nie miałoby już żadnego znaczenia dla ludzi, oprócz nas samych. Lecz jest jak jest i nie wolno nam siedzieć bezczynnie nad poprawką grawitacyjną.

— A pani, Blankowitz? — powiedziała cicho Tessa. Merry Blankowitz poruszyła się niespokojnie. Była niewielką, młodą kobietą o długich, ciemnych włosach, z grzywką obciętą równo tuż nad brwiami. Ze względu na fryzurę i delikatne kształty, a także szybkość ruchów, przypominała miniaturową Kleopatrę.

— Prawdę mówiąc, nie wiem — odrzekła. — Nie mam jednoznacznego zdania na ten temat. Mężczyźni przekonali mnie swoimi argumentami i chyba też uważam, że najbardziej istotną obecnie rzeczą jest przekazanie naszych informacji na Ziemię.

Odkryliśmy coś naprawdę ważnego podczas tej podróży, a na Ziemi potrzeba lepszych statków, których komputery wezmą pod uwagę poprawkę grawitacyjną. Dzięki temu będziemy mogli wykonywać tylko jedno przejście pomiędzy Słońcem a Sąsiednią Gwiazdą, i to w dodatku pod działaniem silniejszych pół grawitacyjnych, a to oznacza starty bliżej Słońca i lądowanie bliżej Sąsiedniej Gwiazdy — unikniemy całych tygodni dryfowania na początku i końcu drogi. Wydaje mi się, że Ziemia powinna o tym wiedzieć.

— Rozumiem — powiedziała Tessa. — Cały problem polega na tym, że mądrze byłoby przekazać już w tej chwili poprawkę grawitacyjną na Ziemię. Wu, czy rzeczywiście jest to aż takie ważne, jak usiłujesz nam pokazać? Pomysł wprowadzenia poprawki nie przyszedł ci do głowy tutaj, na statku. Mówiłeś mi o nim kilka miesięcy temu — zastanowiła się przez chwilę — prawie rok temu.

— Mówiąc prawdę, nie przedyskutowaliśmy wtedy całej sprawy, kapitanie. Była pani zniecierpliwiona i jeśli dobrze sobie przypominam nie chciała mnie pani wysłuchać.

— Tak, przyznaję, że się pomyliłam. Ale ty spisałeś swoje uwagi. Poleciłam ci sporządzić formalny raport i obiecałam przeczytać go później — wyciągnęła rękę, jak gdyby pragnąc powstrzymać dalsze pretensje. — Wiem, że nigdy go nie przeczytałam, a nawet zapomniałam, że w ogóle go dostałam. Ale znając ciebie, Wu, wyobrażam sobie, że przygotowałeś się do kolejnej rozmowy na interesujący cię temat, przygotowałeś wszystkie możliwe wnioski i dowody matematyczne, prawda? Twój raport musi gdzieś być udokumentowany.

Wu zacisnął wargi, ale jego głos nie zmienił się ani na jotę.

— Tak, przygotowałem raport w formie luźnych rozważań i nie sądzę, aby ktokolwiek zwrócił na niego uwagę — podobnie jak pani kapitanie.

— Dlaczego nie? Nie każdy jest tak głupi jak ja, Wu.

— Nawet jeśli ktoś go przeczytał, to w dalszym ciągu nie wyszedł poza etap luźnych rozważań. Gdy wrócimy, będziemy mogli przedstawić dowód.

— Czytając rozważania prędzej czy później szuka się dowodu. Zawsze tak było w nauce.

— Szuka się — powiedział znacząco Wu.

— Ach, rozumiemy teraz, o co ci chodzi, Wu. Wcale nie martwisz się tym, że Ziemia zostanie pozbawiona lotów superluminalnych. Martwisz się tym, że ktoś inny odkryje twoją poprawkę grawitacyjną, czyż nie tak?

— Nie widzę w tym nic złego, kapitanie. Naukowiec ma prawo do uznania jego pierwszeństwa. Wendel nie wytrzymała:

— Zapomniałeś, że to ja dowodzę tym statkiem i podejmuję

decyzje?

— Nie zapomniałem — odpowiedział Wu — ale nie znajdujemy się na osiemnastowiecznym galeonie. Jesteśmy przede wszystkim naukowcami i powinniśmy podejmować decyzje kolegialnie. Jeśli większość życzy sobie powrotu…

— Chwileczkę — przerwał mu ostrym tonem Fisher — zanim dokończysz to, co chciałeś powiedzieć, pozwolisz, że ja dodam kilka stów. Do tej pory milczałem, a jeśli mamy podejmować kolegialne decyzje, to chciałbym wyrazić swoją opinię. Czy mogę, kapitanie?

— Proszę — odpowiedziała Wendel prostując i zaciskając dłoń, tak jak gdyby miała zamiar kogoś udusić.

— Siedemset pięćdziesiąt lat temu — powiedział Fisher — Krzysztof Kolumb wypłynął z Hiszpanii na zachód. Dotarł do Ameryki, odkrył ją, chociaż sam nigdy się o tym nie dowiedział. Po drodze dokonał jeszcze jednego odkrycia, a mianowicie stwierdził, że odchylenie igły magnetycznej kompasu od północy, tak zwane „odchylenie magnetyczne", zmienia się wraz z długością geograficzną. Było to bardzo ważne odkrycie i, w dodatku, było to pierwsze czysto naukowe odkrycie dokonane podczas morskiej wyprawy.

Ile ludzi — pytam — wie, że Kolumb odkrył odchylenie magnetyczne? Nikt, dokładnie nikt. Ile ludzi wie, że Kolumb odkrył Amerykę? Wszyscy. Przypuśćmy jednak, że Kolumb, odkrywszy odchylenie magnetyczne, zdecydował się w połowie podróży na powrót do domu po to, by przedstawić królowi Ferdynandowi i królowej Izabeli swój wniosek naukowy i domagać się uznania swojego pierwszeństwa w tej dziedzinie nawigacji. Oczywiście, jego odkrycie powitano by z uznaniem, lecz wkrótce monarchowie wysłaliby kolejną ekspedycję na zachód, tym razem pod dowództwem, powiedzmy, Ameriga Vespucciego, który tak czy inaczej odkryłby Amerykę. Któż pamiętałby, że Kolumb dokonał istotnego odkrycia związanego z kompasem? Nikt, dokładnie nikt. Kto wiedziałby o odkryciu Vespucciego? Wszyscy.

Tak więc pytam was, czy rzeczywiście chcecie wrócić? Odkrycie poprawki grawitacyjnej zostanie zapamiętane przez niewielu — zapewniam was — jako efekt uboczny lotów superluminalnych. Ale załoga następnej ekspedycji, która dotrze do Sąsiedniej Gwiazdy, zostanie okrzyknięta prawdziwymi odkrywcami, którzy pierwsi dokonali lotu superluminalnego do gwiazdy innej niż Słonce. Cała wasza trójka, a nawet ty, Wu, zasłużycie sobie na honorowe miejsce w przypisach.

Być może liczycie na to, że w nagrodę za odkrycie Wu znajdziecie się wśród załogi kolejnej ekspedycji, ale obawiam się, że grubo się mylicie. Problem polega na tym, że Igor Koropatsky, który jest dyrektorem Ziemiańskiej Rady Śledczej, i który oczekuje nas na Ziemi,

jest szczególnie zainteresowany informacjami na temat Sąsiedniej Gwiazdy i jej systemu planetarnego. Koropatsky wybuchnie jak Krakatoa, gdy dowie się, że mieliśmy gwiazdę jak na dłoni i zdecydowaliśmy się na powrót. I oczywiście kapitan Wendel będzie musiała powiedzieć mu, że wśród załogi znalazła się trójka buntowników — co jest bardzo poważnym oskarżenie, nawet jeśli nie jesteśmy osiemnastowiecznym galeonem. Nie dosyć, że nie polecicie w następnej ekspedycji, to wkrótce zapomnicie, jak wygląda wnętrze laboratorium. Pomyślcie już teraz o znalezieniu sobie pracy, ale dopiero wtedy, gdy opuścicie więzienie, do którego wsadzi was Koropatsky, nie zważając na wasz naukowy status. Nie doceniacie gniewu dyrektora!

Przemyślcie to sobie, cała trójka. Do Sąsiedniej Gwiazdy czy z powrotem do domu?

Zapadła cisza. Nikt nie chciał odzywać się pierwszy.

— No i co? — powiedziała ostro Tessa. — Wydaje mi się, że Fisher jasno przedstawił sytuację. Czy nikt nie ma nic do powiedzenia?

— Rzeczywiście — powiedziała cicho Blankowitz — nie przemyślałam całej sprawy. Powinniśmy lecieć dalej.

— Ja też tak myślę — dodał Jarlow.

— A ty, Chao-Li Wu? — zapytała Wendel. Wu wzruszył ramionami.

— Nie będę przeciwstawiał się reszcie.

— Cieszę się. Cały incydent zostanie zapomniany. Nikt na Ziemi o niczym się nie dowie. Ale lepiej nie próbujcie tego ponownie: nie chcę już słyszeć o żadnych buntach.

Gdy wrócili do kabiny, Fisher powiedział:

— Chyba nie miałaś nic przeciwko temu, że się włączyłem. Obawiałem się twojego wybuchu.

— Nie, wszystko w porządku. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy porównanie z Kolumbem, które było doskonałe. Dziękuje, Krile — ścisnęła mu rękę.

Uśmiechnął się lekko.

— Musiałem jakoś uzasadnić swoją obecność na statku.

— Zrobiłeś coś więcej. Nie masz pojęcia, jak bardzo zdegustował mnie Wu i to tuż po tym, gdy skończyłam mówić ci, jak bardzo się cieszę z jego odkrycia i z zaszczytów, które przypadną mu w udziale. Czułam się wspaniale, rozdając przyszłe honory i dzieląc się nimi. Byłam zachwycona własną etyką naukową, w ogóle etyką, aż tu nagle znajduje się taki jeden, któremu duma nakazuje rozbijanie projektu.

— Wszyscy jesteśmy ludźmi, Tesso.

— Wiem. Wiem także, że czarne plamy na sumieniu Wu nie zmieniają istoty jego dokonań i bystrości umysłu.

— Ja też muszę przyznać, że moje argumenty opierały się na osobistych pragnieniach, a nie na dobru publicznym. Chcę lecieć do Sąsiedniej Gwiazdy z powodów, które nie mają nic wspólnego z projektem.

— Rozumiem. I tak jestem ci wdzięczna — Fisher z zażenowaniem zauważył łzy w jej oczach. Pocałował ją.

Była to po prostu gwiazda — zbyt słaba, by odróżniać się od innych. Krile nie dostrzegłby jej na ekranie monitora, gdyby nie otaczała jej siatka okręgów i promieni.

— Wygląda niezbyt zachęcająco, prawda? — powiedział z kamiennym wyrazem twarzy.

Meny Blankowitz, która towarzyszyła mu przy konsolecie obserwacyjnej. odpowiedziała cicho:

— To tylko gwiazda, Krile. Jedna z wielu.

— Chodzi mi o to, że wygląda jak odległa gwiazda, a my jesteśmy tak blisko.

— W pewnym sensie blisko. Ciągle dzieli nas od niej dziesiąta część roku świetlnego, a trudno nazwać to prawdziwą bliskością. Kapitan jest ostrożna. Ja na jej miejscu podciągnęłabym Superluminal znacznie bliżej. Chciałabym już tam być. Nie mogę się doczekać.

— Przed ostatnim przejściem chciałaś lecieć do domu, Merry.

— Niezupełnie. Namówili mnie. Gdy skończyłeś mówić, poczułam się jak kompletna idiotka. Wydawało mi się oczywiste, że gdy wrócimy, polecimy po raz drugi. Wyjaśniłeś sytuację. Tak… Chciałabym już się zabrać za DN.

Fisher doskonale wiedział, czym było DN: detektor neuroniczny. On też odczuwał podniecenie. Odkrycie inteligencji było znacznie ważniejsze niż badania metali, skał, lodu i wszystkich gazów razem wziętych.

— W takiej odległości? — zapytał z wahaniem w głosie. Potrząsnęła głową.

— Nie. Musimy znaleźć się bliżej. A normalny lot zająłby nam teraz około roku. Gdy kapitan Wendel zakończy badania wstępne, dokonamy jeszcze jednego przejścia. Najdalej za dwa dni dolecimy tak blisko, że będę mogła rozpocząć obserwację i w końcu okazać się przydatna. To okropne, gdy człowiek czuje się jak nikomu niepotrzebny ciężar.

— Tak — odpowiedział Fisher. — Wiem. Blankowitz zmieszała się.

— Przepraszam, Krile. Nie mówiłam o tobie.

— Nic nie szkodzi. Sam wiem jak mało jestem wam potrzebny i nic się już chyba nie da zmienić.

— Będziesz nam potrzebny, gdy odkryjemy inteligencję. Porozmawiasz z nimi. Jesteś Rotorlaninem, a to nam się przyda.

Fisher uśmiechnął się ponuro.

— Byłem Rotorianinem tylko przez kilka lat.

— To wystarczy.

— Zobaczymy — postanowił zmienić temat. — Jesteś pewna, że detektory neuroniczne nie zawiodą?

— Tak, absolutnie. Odnajdziemy każdą inteligencję kierując się promieniowaniem pleksonowym.

— Pleksonowym? Co to znaczy, Merry?

— Sama wymyśliłam ten termin na określenie charakterystyki kompleksu fotonowego ludzkich mózgów i nie tylko. Możemy na przykład odnaleźć konia, ale musielibyśmy być bardzo blisko. Natomiast ludzkie mózgi dadzą nam znać o sobie nawet przy astronomicznych odległościach.

— Skąd wzięłaś taką nazwę? „Pleksonowy…"?

— Od „kompleksu". Kiedyś w przyszłości… przekonasz się. że termin „pleksonowy" będzie używany nie tylko w kontekście wykrywania życia, ale także w badaniach wewnętrznych funkcji mózgu. Dlatego też wymyśliłam nazwę: „pleksofizjologia" albo „pleksoneuronika".

— Uważasz, że nazwy są aż tak ważne? — zapytał Fisher.

— Owszem. Dzięki nim możemy wyrażać się krótko i precyzyjnie. Nie musisz mówić: „dziedzina nauki zajmująca się związkami pomiędzy tym a tym", mówisz po prostu „pleksoneuronika" — to brzmi znacznie lepiej. Nazwa jest skrótem. Oszczędza twój czas, który możesz przeznaczyć na myślenie o czymś innym. Poza tym… — zawahała się.

— Poza tym?

Merry zaczęła mówić bardzo szybko:

— Jeśli wymyślę nazwę, która się przyjmie, już samo to zapewni mi miejsce w historii nauki. Wiesz… coś takiego: „Termin» pleksonowy «został po raz pierwszy użyty przez Merry Auginę Blankowitz w roku 2237, podczas pionierskiego lotu na statku Superluminal". Nie sądzę, aby pamiętano o mnie z innych powodów i dlatego… staram się.

— A co będzie, jeśli wykryjesz swoje „pleksony", a nigdzie nie znajdziemy ludzi? — zapytał Fisher.

— Chodzi ci o obecne formy życia? To byłoby wspaniałe! Ale szansę są minimalne. Przeżyliśmy już tyle rozczarowań. Początkowo myślano, że znajdziemy choćby jakieś prymitywne formy życia na Księżycu, a potem na Marsie, Kallisto, Tytanie. I nic z tego nie wyszło. Ludzie rozważali najbardziej niesamowite możliwości: żywe galaktyki, żywe chmury pyłu, życie na powierzchni gwiazd neutronowych i tym podobne. I nic nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Jeśli uda nam się wykryć inteligencję, to będzie to ludzka inteligencja — jestem

tego pewna.

— A co z „pleksonami” załogi statku? Czy nasze promieniowanie nie zakłóci twoich badań?

— Tak, to jest pewien problem. Musimy prowadzić nasze obserwacje w ten sposób, by wykluczyć pomyłkę.

Trzeba to robić bardzo starannie. Najmniejszy przeciek „pleksonowy” ze statku może zniszczyć cały plan. Być może kiedyś wyślemy automatyczne detektory neuroniczne w kosmos po to, by szukały „pleksonów" i inteligencji. Na pokładzie takich sond będą same maszyny i dzięki temu wiarygodność badań znacznie się zwiększy. Teraz nie mamy innego wyjścia, jak tylko wziąć poprawkę na naszą obecność w pobliżu detektorów. Musimy odnaleźć inteligencję wcześniej, niż sami znajdziemy się w przeszukiwanym miejscu.

Wypowiedź Merry przerwało pojawienie się Chao-Li Wu. Naukowiec spojrzał z niesmakiem na Fishera i zapytał obojętnie:

— Jak tam Sąsiednia Gwiazda?

— Trudno powiedzieć cokolwiek z takiej odległości — odrzekła Merry.

— Tak… Jutro albo pojutrze wykonamy kolejne przejście, a potem się zobaczy…

— To niesamowite… — powiedziała Blankowitz

— Tak… — odparł Wu. — To będzie niesamowite, jeśli odnajdziemy Rotorian — spojrzał na Fishera. — Ale czy można być pewnym…?

Fisher nie odpowiedział na to pośrednio skierowane do niego pytanie. Przyglądał się Wu obojętnie

Czy można być pewnym? — pomyślał Fisher. Wkrótce się dowiemy.

Rozdział 35
ZBIEŻNOŚĆ

Jak wiadomo, Janus Pitt nieczęsto pozwalał sobie na luksus litowania się nad samym sobą. Zauważywszy oznaki żałości nad sobą u innych twierdził, że jest to godna pogardy słabość i samopobłażliwość. Mimo to zdarzało mu się czasami buntować przeciwko zwalaniu na jego barki wszystkich niepopularnych decyzji dotyczących Rotora.

Mieli przecież Radę — wybierane demokratycznie ciało, którego zadaniem było stanowienie praw i podejmowanie decyzji; wszystkich decyzji oprócz najważniejszych — tych, które dotyczyły przyszłości Rotora.

To zostawiano jemu.

Może nawet nie całkiem świadomie: ignorowano po prostu sprawy najważniejsze, zapominano o nich, jak gdyby skutkiem niepisanej umowy. Znaleźli się w pustym, nowym Systemie i leniwie podjęli budowę nowych Osiedli w wygodnym przeświadczeniu, że dysponują nieograniczonym czasem. Wszędzie panowało przekonania, że gdy zapełnią nowy pas asteroidów (tę sprawę również zostawiano następnym pokoleniom), technika hiperwspomagania — ulepszona oczywiście — zapewni im łatwy dostęp do innych planet.

Było mnóstwo czasu. Czas rozciągał się do nieskończoności.

I tylko Pitt wiedział, że czasu było coraz mniej, że wyprzedzenie, z którego tak bardzo się cieszyli, może skończyć się w każdym momencie, i to absolutnie bez ostrzeżenia.

Kiedy Nemezis zostanie odkryta w Układzie Słonecznym? Kiedy pojawią się tu następne Osiedla, które poszły w ślad Rotora?

Któregoś dnia będzie musiało to nastąpić. Nemezis przez cały czas zbliża się ku Słońcu i któregoś dnia przekroczy taki punkt — ciągle jeszcze odległy, ale nie aż tak bardzo, jak sądzą niektórzy — w którym nawet ślepcy powinni ją dostrzec.

Komputer Pitta oszacował — przy pomocy programisty, któremu wydawało się, że pracuje nad czysto akademickim problemem — że za mniej niż tysiąc lat odkrycie Niemezis stanie się nieuniknione i wtedy zacznie się exodus.

Pitt zadawał kolejne pytania komputerowi: Czy Osiedla przybędą na Nemezis? Odpowiedź brzmiała „nie”. Do tego czasu hiperwspomaganie będzie znacznie bardziej efektywne i tańsze. Osiedla zbadają inne gwiazdy pod kątem posiadania przez nie

systemów planetarnych. Nie będą sobie zadawały trudu, by lecieć na czerwonego karła.

Wybiorą gwiazdy podobne do Słońca.

Pozostanie jednak zrozpaczona Ziemia. Ziemia obawiająca się kosmosu, w znacznym stopniu zdegenerowana, pogrążająca się coraz bardziej w brudzie i rozprzężeniu. Mija tysiąc lat i zagłada staje się nieunikniona — co zrobią?

Nie mogą podejmować dalekich wypraw. Są Ziemianami. Są związani z Ziemią. Będą czekali na nadejście Nemezis. Nie mogą nigdzie uciec.

Pitt widział przed sobą skazany na zagładę świat, podejmujący rozpaczliwe wysiłki, by przeżyć. Najbezpieczniejszym miejscem był silny System Nemezis, System, który wytrzyma przejście obok Słońca i jego rozpadającego się Układu.

Była to przerażająca wizja i, co gorsza, jedyna.

Dlaczego Nemezis nie oddala się od Słońca? Wszystko wyglądałoby wtedy inaczej. Jej odkrycie w Układzie Słonecznym byłoby coraz mniej prawdopodobne wraz z upływającym czasem, a nawet gdyby ktoś odkrył w końcu Nemezis, nie byłaby ona tak łakomym kąskiem dla uciekinierów. No. a przede wszystkim, gdyby Nemezis oddalała się od Słońca, mieszkańcy Ziemi nie musieliby uciekać.

Ale, niestety, było odwrotnie. Ziemianie nadciągną tu prędzej czy później; wataha zdegenerowanych przedstawicieli przypadkowych, anormalnych kultur zalewającą cały System. Czy Rotor ma jakieś inne wyjście oprócz zniszczenia ich, gdy ciągle jeszcze będą w kosmosie? Czy w przyszłości znajdzie się na tyle odważny przywódca, nowy Janus Pitt, by pokazać Rotorianom, że nie mają innego wyjścia? Czy znajdą się inni Pittowie, którzy zadbają, by Rotor posiadał broń i odwagę do stawienia czoła najgorszemu. którzy wypełnią dziejową misję, gdy nadejdzie pora?

Analiza komputerowa była zbyt myląco optymistyczna. Odkrycie Nemezis w Układzie Słonecznym musi nastąpić w przeciągu najbliższego tysiąca lat — mówił komputer. Co to znaczy? A jeśli odkryją Nemezis jutro? A jeśli odkryli ją trzy lata temu? Czy można wykluczyć, że w tej właśnie chwili do Rotora zbliża się jakieś Osiedle, które nie ma pojęcia o innych gwiazdach?

Każdego ranka Pitt budził się i pytał sam siebie: czy to już dziś?

Dlaczego tylko on się przejmował? Dlaczego wszyscy inni spali spokojnie mając do dyspozycji nieskończoność, a tylko on każdego rana zastanawiał się, jak poradzić sobie z nieuniknionym?

Oczywiście nie pozostawał bezczynny. Powołał Agencję Skaningową, której zadaniem było nadzorowanie pracy automatycznych receptorów umieszczonych w pasie asteroidów i bez

przerwy przeczesujących kosmos wokół Nemezis. Receptory były w stanie wykryć promieniowanie energetyczne każdego Osiedla w bardzo dużej odległości.

Zajęło mu to trochę czasu, ale już od dwunastu lat sprawdzano każdą podejrzaną informację i co jakiś czas na biurko Pitta trafiały raporty o bardzo doniosłym znaczeniu. Za każdym razem, gdy dostawał raport, w jego głowie brzmiał dzwon na trwogę.

Zazwyczaj jednak wszystko kończyło się dobrze, czyli na niczym. Początkowa ulga zamieniała się we wściekłość skierowaną przeciwko pracownikom Agencji. Gdy tylko natknęli się na jakiś trudniejszy problem, umywali ręce, przekazywali sprawę dalej, do Pitta. Niech Pitt zajmuje się wszystkim, niech pocierpi, niech podejmie jakąś wiążącą decyzję.

W tych momentach Pitta ogarniała żałość nad samym sobą, żałość niepojętych rozmiarów. Zaczynał się niepokoić, czy przypadkiem nie jest to oznaka słabości.

No, choćby teraz — Pitt kartkował odkodowany przez komputer raport; raport, który wywołał obecny, pełen współczucia dla samego siebie przegląd wszystkich niedocenianych przedsięwzięć, jakie podejmował dla Rotora i jego mieszkańców.

Był to pierwszy raport od czterech miesięcy i wydawało mu się, że podobnie jak inne, pozbawiony jest wszelkiego znaczenia. Do Systemu zbliżało się podejrzane źródło energii i, pominąwszy jego olbrzymią odległość, było to niezwykle małe źródło — przynajmniej czterokrotnie mniejsze niż przeciętne Osiedle. Było tak niewielkie, że z trudem dawało się wyizolować z otoczenia.

Mogli mu tego oszczędzić. Przypuszczenie, że ze względu na szczególny rozkład długości fal obiekt może być ludzkiej konstrukcji, było śmieszne. Co mogą powiedzieć o tak słabym źródle oprócz tego, że nie jest Osiedlem i już choćby dlatego nie mogło zostać zbudowane przez ludzi? Do diabła z rozkładem fal!

Ci idioci z Agencji za dużo sobie pozwalają — pomyślał Pitt.

Rzucił niedbale przeczytane kartki na biurko i zajął się innym raportem, który przesłała mu Ranay D'Aubisson. Ta dziewczyna, Marlena, nie miała Plagi nawet teraz. Coraz bardziej narażała się na niebezpieczeństwo, wymyślała coraz to nowe sposoby zwiedzania Erytro — i nic.

Pitt westchnął. Może to i tak wszystko jedno. Dziewczyna chciała pozostać na planecie, a jeśli tak, to było to niemal tak samo dobre, jak jej zachorowanie na Plagę. Zmusi to także Eugenię Insygnę do pozostania z dzieckiem i wreszcie może pozbędzie się ich na zawsze. Zostawi je pod opieką D'Aubisson, co oznacza, że trzeba pozbyć się tego Genarra; pozbawić go dowództwa Kopuły. Trzeba się będzie tym zająć w najbliższej przyszłości i zrobić to tak sprawnie, żeby Genarr

nie wyszedł na męczennika.

Może mianować go komisarzem Nowego Rotora? Oznaczałoby to awans. Nie mógłby go odmówić, tym bardziej że teoretycznie stawiałoby go na równi z Pittem. A może dałby mu w ten sposób za dużo rzeczywistej władzy? Czy jest jakieś inne wyjście?

Musi to przemyśleć.

Cholera! Wszystko byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby ta dziewczyna zrobiła coś tak nieskomplikowanego, jak zachorowanie na Plagę.

Zdenerwowany postawą Marleny, podniósł z biurka raport dotyczący źródła energetycznego.

No, tylko spójrzcie na to! Pojawia się jakiś obłoczek energii i od razu zawracają mu głowę! Nie będzie dłużej tego tolerował! Na klawiaturze komputera wystukał szybko rozkaz z przeznaczeniem do natychmiastowego przekazania: Mają go nie informować o drobiazgach. Niech szukają Osiedla!

Na pokładzie statku odkrycia nastąpiły jedno po drugim, niczym uderzenia młotem.

Znajdowali się ciągle w dużej odległości od Sąsiedniej Gwiazdy, gdy stało się oczywiste, że posiada ona planetę.

— Planeta! — wykrzyknął triumfalnie Krile Fisher. — Wiedziałem…

— Nie — powiedziała szybko Tessa — to nie jest to, o czym myślisz. Wbij sobie do głowy, Krile, że są planety i planety. Prawie każda gwiazda ma taki czy inny system planetarny. Przecież więcej niż połowa gwiazd w Galaktyce znajduje się w układach wielogwiazdowych, a planety to są gwiazdy, które były zbyt małe, by stać się gwiazdami, rozumiesz? Planeta, którą odkryliśmy, nie nadaje się do zamieszkania. Gdyby było inaczej, nie dostrzeglibyśmy jej z takiej odległości w słabym świetle Sąsiedniej Gwiazdy.

— Chcesz powiedzieć, że jest to gazowy olbrzym?

— Owszem. Gdyby było inaczej, byłabym tak samo zaskoczona jak ty, że w ogóle istnieje.

— Ale jeśli jest duża planeta, to mogą być także mniejsze…

— Może — zgodziła się Tessa — ale prawdopodobnie również nienadające się do zamieszkania. Będą albo za zimne, albo z zakleszczonym obrotem, co oznacza, że są tylko jedną stroną zwrócone w kierunku gwiazdy. I z jednej strony są zbyt gorące, a z drugiej zbyt zimne. A Rotor — jeśli tam jest — mógł jedynie pozostać na orbicie Gwiazdy lub gazowego olbrzyma.

— No właśnie! Mogli tak zrobić!

— Przez tyle lat? — Wendel wzruszyła ramionami. — To jest wykonalne, Krile, ale nie liczyłabym na to.

Kolejne odkrycia były jeszcze bardziej zaskakujące.

— Satelita? — powiedziała Tessa Wendel. — No cóż, dlaczego nie? Jowisz ma cztery bardzo duże. Ten gazowy olbrzym również może mieć swojego satelitę.

— To nie jest taki satelita, jak te, które istnieją w Układzie Słonecznym — powiedział Henry Jarlow. — Jest, z grubsza rzecz biorąc, ziemskich rozmiarów. Zrobiłem pierwsze pomiary.

— Tak? — powiedziała Tessa, starając się zachować obojętność. — I co z nich wnioskujesz?

— Nic szczególnego — odpowiedział Jarlow — ale satelita wykazuje ciekawą charakterystykę. Szkoda, że nie jestem astronomem.

— W tym momencie — dodała Tessa — żałuję, że nikt z nas nie jest astronomem, ale mów dalej. Nie jesteś całkowitym ignorantem.

— Chodzi o to, że ponieważ satelita znajduje się na orbicie gazowego olbrzyma, zwrócony jest do niego jedną stroną, a obydwoma do Gwiazdy, ze względu na swój obrót wokół olbrzyma. Porusza się po takiej orbicie, że z tego, co mogę

stwierdzić, temperatura na jego powierzchni odpowiada stanowi płynnemu wody. Posiada także atmosferę. Trudno mi wdawać się w szczegóły, ponieważ, tak jak powiedziałem, nie jestem astronomem, ale wydaje ml się, że satelita prawdopodobnie nadaje się do zamieszkania.

Gdy wiadomość ta dotarła do Fishera, powitał ją z szerokim uśmiechem.

— Nie jestem zaskoczony — powiedział. — Igor Koropatsky przewidział istnienie takiej planety. Zrobił to wyłącznie na drodze dedukcji, nie miał przecież żadnych danych.

— Naprawdę? Kiedy ci o tym mówił?

— Zanim odlecieliśmy. Rozpoczął od tego, że Rotor przetrwał podróż do Sąsiedniej Gwiazdy, a ponieważ nie wrócił, musiał znaleźć świat nadający się do kolonizacji. I oto mamy go przed sobą.

— Ale dlaczego ci o tym powiedział, Krile? Krile zastanawiał się przez moment.

— Chciał się upewnić, że przeprowadzimy odpowiednie badania, które umożliwią dalsze wykorzystanie planety przez Ziemię. Gdy nadejdzie czas na ewakuację…

— A dlaczego mi o tym nie powiedział? Możesz mi to wyjaśnić?

— Podejrzewam, Tesso — zaczął ostrożnie Fisher — że z nas dwojga ja wydawałem mu się bardziej podatny na jego sugestie, bardziej chętny do dopilnowania badań…

— Ze względu na córkę.

— On znał sytuację, Tesso.

— A dlaczego ty nie powiedziałeś mi wcześniej o tej rozmowie?

— Nie wiedziałem, czy jest w ogóle, o czym mówić. Chciałem

poczekać i przekonać się. czy to, co mówił Koropatsky, potwierdzi się w rzeczywistości. A ponieważ potwierdziło się, mówię ci o mojej z nim rozmowie. Koropatsky przewidział, że ta planeta będzie nadawała się do zamieszkania…

— To jest satelita — powiedziała poirytowana Tessa.

— To jest bez znaczenia…

— Posłuchaj, Krile — przerwała mu Tessa. — Nikt jakoś nie zwraca uwagi na moje zdanie na ten temat. Koropatsky opowiada cl bzdury po to, byśmy zbadali ten system i prawdopodobnie wrócili na Ziemię z dobrą nowiną. Wu chciał wrócić z dobrą nowiną zanim jeszcze tu dolecieliśmy. Ty chcesz połączyć się z rodziną bez względu na cokolwiek. I nikt jakoś nie zwraca uwagi na to, że ja jestem kapitanem i ja podejmuję decyzje.

— Bądź rozsądna, Tesso — powiedział uspokajająco Fisher. — Jakie decyzje chcesz podjąć? Czy masz jakiś wybór? Mówisz, że Koropatsky opowiadał mi bzdury, ale to nieprawda. Mamy planetę czy satelitę, jeśli wolisz. Trzeba ją zbadać. Jej istnienie może oznaczać przetrwanie, życie dla ludzkości. Być może patrzysz na nasz przyszły dom. A może nawet to już jest dom dla części rasy ludzkiej.

— To ty bądź rozsądny, Krile. Masz swoją planetę o odpowiednich rozmiarach i temperaturze, ale czy pomyślałeś o innych czynnikach, które sprawiają, że świat nadaje się do zamieszkania? A jeśli okaże się, że atmosfera jest trująca? Jeśli ten satelita wykazuje aktywność wulkaniczną? Albo jest radioaktywny? Poza tym ma tylko czerwonego karła, który go ogrzewa i oświetla, i znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie gazowego olbrzyma. To nie jest odpowiednie środowisko dla ludzi. Zastanów się nad tym, co powiedziałam.

— Musi zostać zbadany, choćby tylko po to. by stwierdzić, że rzeczywiście nie nadaje się do zamieszkania.

— Ale po to nie musimy lądować — powiedziała ponuro Wendel.

— Zbliżymy się do niego i ocenimy. Spróbuj Krile, tylko spróbuj nie wybiegać za daleko myślami. Nie chciałabym cię rozczarować. Fisher kiwnął głową.

— Spróbuję… A jednak Koropatsky wydedukował istnienie nadającego się do zamieszkania świata, gdy wszyscy inni mówili mi, że jest to całkowicie niemożliwe. Ty też tak mówiłaś, Tesso. Bez przerwy. Ale mamy planetę, która może nadawać się do zamieszkania. Pozwól mi więc mieć nadzieję. Być może są na niej ludzie z Rotora, a wśród nich moja córka…

— Kapitan jest naprawdę wściekła — powiedział obojętnie Chao-Li Wu. — Ostatnią rzeczą, jaką chciała tu znaleźć, jest planeta, to znaczy świat — ponieważ nie pozwala nazywać go planetą — który może nadawać się do zamieszkania. Znalezienie go tutaj oznacza

konieczność zbadania go i natychmiastowego powrotu z meldunkiem. A wiesz, że ona myślała o czymś innym. Jest to jej pierwszy i ostatni pobyt w głębokiej przestrzeni. Gdy się skończy, Wendel ma spokój na resztę życia. Pracą nad lotami zajmą się inni, inni również będą latać w kosmos. Wendel przejdzie na emeryturę i zostanie doradcą. Dlatego się wścieka.

— A ty Chao-Li? Czy chciałbyś polecieć jeszcze raz, gdyby dano ci taką szansę? — zapytała Merry Blankowitz. Wu nie zawahał się.

— Nie chcę już latać. Nie mam w sobie pasji podróżnika. Wiesz… zeszłej nocy przyszła mi do głowy taka myśl, że można by tu osiąść… jeśli ten świat jest w porządku. Co o tym sądzisz?

— Osiąść? Tutaj? Oczywiście, że nie. Nie twierdzę, że przez całe życie będę mieszkać na Ziemi, ale chciałabym wrócić… a potem może znów wyruszę…

— Przemyślałem sobie to wszystko. Satelita taki jak ten jest jeden na… ile? Dziesięć tysięcy? Kto by pomyślał, że w pobliżu czerwonego karła może znajdować się taki świat! Powinien zostać zbadany. Mogę nawet zająć się tym przez jakiś czas, a potem niech ktoś inny wraca na Ziemię i martwi się o moje pierwszeństwo w związku z poprawką grawitacyjną. Zadbasz o moje interesy, prawda Merry?

— Oczywiście. Podobnie postąpi kapitan Wendel. Ma wszystkie dokumenty, podpisane i poświadczone.

— No, właśnie. Myślę, że kapitan nie ma racji, chcąc badać Galaktykę. Może zwiedzić setki gwiazd i nie znaleźć takiego świata jak ten. Po co martwić się o ilość, jeśli ma przed sobą jakość?

— Osobiście wydaje mi się — powiedziała Blankowitz — że ona martwi się dzieciakiem Fishera. Co będzie, jak ją znajdzie?

— A co ma być? Może ją zabrać ze sobą na Ziemię. Kapitanowi to nie powinno przeszkadzać.

— Jest także żona…

— Słyszałaś, żeby o niej kiedykolwiek wspominał?

— To oznacza, że…

Blankowitz przerwała nagle, słysząc jakiś dźwięk na zewnątrz. Do kabiny wszedł Krile Fisher i skinął głową.

Blankowitz, chcąc sprawić dobre wrażenie, zapytała szybko:

— Czy Henry skończył już spektroskopię?

— Nie wiem — Fisher potrząsnął głową. — Biedak bardzo się denerwuje. Podejrzewam, że bardzo obawia się przekłamań ze swej strony.

— Co pan! — wykrzyknął Wu. — Przecież to komputer przeprowadza analizę. Zawsze znajdzie jakieś wytłumaczenie…

— Nie znajdzie — przerwała mu zaaferowana Blankowitz. — Henry podoba mi się. Wy teoretycy myślicie, że my obserwatorzy zajmujemy się tylko komputerami, głaszczemy je i mówimy: „dobry

piesek", a potem odczytujemy wyniki. A wcale tak nie jest. Odpowiedź komputera zależy od tego, co się w niego wsadzi. Każda obserwacja, która nie jest po waszej, teoretyków, myśli, zawiniona jest przez obserwatora. Nigdy nie słyszałam, żebyś powiedział: „Coś jest nie w porządku z tym kompu…"

— Chwileczkę — przerwał jej Wu. — Nie dajmy ponosić się nerwom i przestańmy obwiniać się nawzajem. Czy kiedykolwiek słyszałaś, żebym ja winił obserwatora?

— Jeśli nie podobają ci się obserwacje Henry'ego…

— To i tak je zaakceptuję. Nie mam żadnych teorii na temat tego świata.

— I dlatego zgodzisz się ze wszystkim, co ci powie? W tym momencie do kabiny wszedł Henry Jarlow, a za nim Tessa Wendel. Jarlow wyglądał jak chmura gradowa.

— W porządku, Jarlow — powiedziała Tessa — wszyscy są na miejscu. A teraz powiedz nam, jak to wygląda?

— Problem polega na tym — odpowiedział Jarlow — że światło tej gwiazdy nie posiada wystarczająco dużo ultrafioletu, żeby opalić albinosa. Musiałem pracować z mikrofalami, a te natychmiast wskazały, że w atmosferze planety występuje para wodna.

Wendel zbyła tę informację wzruszeniem ramion.

— Nie musisz nam tego mówić. Świat zbliżony rozmiarami do Ziemi i o podobnej rozpiętości temperatur na pewno ma wodę, no i parę wodną. Przesuwa go to o jedno oczko w górę na skali przydatności dla ludzi, ale tylko o jedno… i to w dodatku łatwe do przewidzenia oczko.

— Och, nie — powiedział spokojnie Jarlow. — Ten świat nadaje się do zamieszkania. To nie ulega wątpliwości.

— Z powodu pary?

— Nie. Mam coś lepszego.

— Co?

Jarlow rozejrzał się dokoła raczej zafrasowanym wzrokiem i powiedział:

— Czy powiedziałaby pani. że świat nadaje się do zamieszkania, gdyby ktoś na nim mieszkał?

Zamiast Tessy odpowiedział Wu:

— Teoretycznie jest to zupełnie dopuszczalne.

— Czy chcesz powiedzieć, że stwierdziłeś z tej odległości, że świat jest zamieszkany? — zapytała ostro Tessa.

— Tak, dokładnie to chcę powiedzieć, kapitanie. W atmosferze występuje wolny tlen, i to w dużych ilościach. Czy można inaczej wyjaśnić jego obecność, jeśli nie za pomocą fotosyntezy? A skąd się wzięła tam fotosynteza, jeśli nie ma na nim życia? I czy może mi pani wyjaśnić, w jaki sposób planeta może być niezamieszkana, jeśli

znajduje się na niej życie produkujące tlen?

Zapadła martwa cisza. Pierwsza odezwała się Tessa:

— To nieprawdopodobne, Jarlow. Jesteś pewien, że nie poplątałeś czegoś w programie?

Blankowitz uniosła brwi i zrobiła taką minę do Wu, jakby chciała powiedzieć: „A nie móóóóówiiiiiłaaaaamm!”

Jarlow wyprostował się dumnie.

— Nigdy w swoim życiu nie poplątałem — jak była pani łaskawa się wyrazić — niczego w programie komputerowym, ale oczywiście jestem gotów uznać swój błąd, jeśli ktokolwiek z obecnych czuje się bardziej kompetentny w analizie atmosferycznej podczerwieni niż ja. Nie jest to moja dziedzina nauki, ale bardzo skrupulatnie korzystałem z przedmiotowych wskazówek Blanca i Nkrumah.

Krile Fisher, który od czasu incydentu z Wu nabrał pewności siebie, nie zawahał się przed wygłoszeniem własnej opinii:

— Posłuchajcie — powiedział — rewelacje doktora Jarlowa zostaną potwierdzone lub obalone, gdy znajdziemy się bliżej planety. Na razie proponuję przyjąć wersję, którą przedstawił Jarlow i zastanowić się, co dalej? Jeśli w atmosferze planety jest tlen to czy można wykluczyć, że jest on ziemskiego pochodzenia?

Wszystkie oczy zwróciły się na Fishera.

— Ziemskiego pochodzenia? — zapytał nieprzytomnie Jarlow.

— Tak, ziemskiego pochodzenia. A dlaczego nie? Mamy na przykład jakiś teoretyczny świat, który nadaje się do zasiedlenia, lecz jego podstawowym mankamentem jest to, że atmosfera zawiera dwutlenek węgla i azot — charakterystyczne dla światów pozbawionych życia, jak na przykład Wenus czy Mars — co więc robimy?

Wrzucamy do oceanu glony i wkrótce mówimy: „Do widzenia, dwutlenku węgla” i „Witaj, tlenie.” Nie wiem, być może jest jeszcze jakieś inne wyjście, nie jestem ekspertem… Ciągle wpatrywali się w niego.

— Powód, dla którego o tym mówię — kontynuował — jest prosty. Gdy mieszkałem na Rotorze, często mówiono tam o tworzeniu ekosystemów zbliżonych do ziemskich w kontekście uprawy roli w Osiedlach. Pracowałem na farmie. Odbywały się nawet seminaria poświęcone ziemskim ekosystemom. Uczestniczyłem w nich, ponieważ wydawało mi się, że dowiem się czegoś o hiperwspomaganiu — oczywiście myliłem się, ale usłyszałem przynajmniej o tworzeniu ekosystemów.

Pierwszy odezwał się Jarlow:

— Czy na tych seminariach, Fisher, nie wspominano przypadkiem, ile czasu potrzeba na stworzenie takiego ekosystemu? Fisher rozłożył bezradnie ręce.

— Nie mam pojęcia, Jarlow. Powiedz nam, oszczędzimy na czasie.

— W porządku. Podróż do Sąsiedniej Gwiazdy zabrała Rotorowi dwa lata — zakładając, że wogóle tu doleciał. Oznacza to, że są tu prawdopodobnie od trzynastu lat. I teraz wyobraźmy sobie, że całe Osiedle, cały Rotor jest jednym wielkim glonem, i że po przylocie na miejsce wpada do oceanu, żyje, rośnie i produkuje tlen. Aby otrzymać obecny poziom tlenu w atmosferze, który szacuję na 18 % ze śladowymi ilościami dwutlenku węgla. Rotor potrzebowałby kilku tysięcy lat. Może kilkuset — gdyby warunki były niezwykle sprzyjające. Jednak z całą pewnością zajęłoby to więcej niż trzynaście lat. A poza tym ziemskie glony są przystosowane do ziemskich warunków; na obcej planecie mogłyby nie rosnąć lub rosnąć bardzo powoli do momentu całkowitej adaptacji. Trzynaście lat to za mało, to jest nic.

Fisher wydawał się nieporuszony.

— No, tak. ale na planecie jest tlen i mało dwutlenku węgla, jeśli więc nie wyprodukował go Rotor, to kto lub co? Czy nie zastanawia cię fakt, że jeśli wykluczymy Rotora, to pozostaje nam przyjęcie założenia, że na planecie jest życie pozaziemskiego pochodzenia?

— Ja przyjąłem dokładnie takie założenie — odpowiedział Jarlow.

— W takim razie my także musimy je przyjąć — powiedziała Wendel. — Na planecie istnieje fotosyntezująca roślinność, co absolutnie nie oznacza, że Rotor dotarł do tego świata czy do tego Systemu.

Fisher wyglądał na poirytowanego.

— No cóż, kapitanie — powiedział oschłym, formalnym tonem — muszę dodać, że przyjęte założenie nie wyklucza obecności Rotora na tym świecie czy w tym Systemie. Jeśli planeta posiada własną roślinność, oznacza to jedynie, że Rotor nie musiał niczego przygotowywać i mógł się wprowadzać natychmiast po przylocie.

— Nie wiem — powiedziała Blankowitz. — Wydaje mi się, że nie ma najmniejszej szansy na to, że obca roślinność rozwijająca się na obcej planecie może być wykorzystana przez ludzi jako pożywienie. Wątpię, by ludzie mogli ją strawić czy zasymilować nawet po strawieniu. Jestem przekonana, że obca roślinność jest trująca. A jeśli mówimy już o świecie roślin, to nie zapominajmy o zwierzętach i wszystkim, co jest z nimi związane.

— Nawet gdyby było tak, jak mówisz — powiedział Fisher — jest wielce prawdopodobne, że Rotorianie odgrodzili kawał gruntu, wybili wszystkie rośliny i zwierzęta, i zasadzili własną roślinność. Wyobrażam sobie, że z każdym rokiem zwiększaliby powierzchnię swoich upraw…

— Przypuszczenie na przypuszczeniu — wymamrotała Wendel.

— W każdym razie — dokończył Fisher — nie ma sensu siedzieć tutaj i wymyślać kolejnych scenariuszy. Jedynym rozsądnym wyjściem jest zbadanie tego świata i to tak dokładnie, jak tylko się da. Z możliwie najmniejszej odległości, a nawet z powierzchni, jeśli będzie trzeba.

— Całkowicie się zgadzam — powiedział Wu z niezwykłą siłą.

— Jestem biofizykiem — włączyła się Blankowitz — i jeśli na tej planecie jest życie, to musimy ją zbadać bez względu na okoliczności.

Wendel spoglądała po kolei na ich twarze. Zaczerwieniła się lekko i powiedziała:

— W takim razie chyba rzeczywiście musimy.

— Im bliżej jesteśmy — powiedziała Tessa Wendel — im więcej gromadzimy informacji, tym mniej rozumiemy to wszystko. Czy ktoś ma jakieś wątpliwości, co do tego, że ten świat jest martwy? Na nocnej półkuli nie ma żadnego światła; nigdzie zaś ani śladu roślinności czy jakichś innych form życia.

— Żadnych widocznych śladów — powiedział chłodno Wu. — Coś jednak tworzy tlen. Nie jestem chemikiem i nie przychodzi mi w tej chwili do głowy żadna prawdopodobna reakcja. Czy ktoś ma jakieś pomysły?

I nie czekając na odpowiedź, mówił dalej:

— Nawiasem mówiąc, wątpię czy nawet chemik byłby w stanie podać nam jakieś rozsądne wyjaśnienie. Mamy tlen i wiemy z całą pewnością, że powstał on w wyniku procesu biologicznego. Nie ma innego wyjścia.

— Mówiąc w ten sposób, odwołujemy się do naszego doświadczenia z jedną atmosferą zawierającą tlen: z atmosferą ziemską — powiedziała Wendel. — Któregoś dnia będą się z nas śmiali. Może okazać się, że Galaktyka pełna jest atmosfer tlenowych, które nie mają żadnego związku z życiem, a my przejdziemy do historii jako idioci, ponieważ urodziliśmy się na debilnej planecie, na której tlen powstał dzięki roślinności.

— Nie — odpowiedział jej gniewnie Jarlow. — Nie może pani tłumaczyć tego tak prymitywnie, kapitanie. Wszystko jest możliwe z jednym niewielkim zastrzeżeniem, że nie nagina się praw natury do naszych oczekiwań i wygody. Jeśli chce pani mieć atmosferę zawierającą tlen pochodzenia niebiologicznego, musi pani przedstawić mechanizm.

— Ale w świetle odbitym planety — powiedziała Wendel — nie ma śladu chlorofilu.

— Chlorofil nie jest konieczny — odparł Jarlow. — Wydaje mi się, że w promieniach światła z czerwonego karła mogła rozwinąć się zupełnie odmienną od znanych nam molekuła. Czy mogę coś

zasugerować?

— Bardzo proszę — powiedziała z goryczą w głosie Wendel. -I tak nie robisz nic innego.

— Doskonale. Wszystko, co wiemy, opiera się na tym, że lądy tej planety wydają się pozbawione życia. A to nic nie znaczy. Czterysta milionów lat temu lądy Ziemi były równie jałowe, a jednak w atmosferze był tlen i kwitło życie.

— Morskie życie.

— Tak, kapitanie. Morskie życie. Oznacza to istnienie glonów lub ich ekwiwalentów — mikroskopijnych roślin będących fabrykami tlenu. Ziemskie glony produkują 80 % tlenu, który przedostaje się każdego roku do atmosfery. Czyż to nie wyjaśnia wszystkiego? Istnienia atmosfery tlenowej? Braku życia na lądzie? Oznacza to również, że możemy bezpiecznie zbadać planetę lądując na jej powierzchni. Zbadamy morze za pomocą posiadanych przez nas instrumentów, a kolejne ekspedycje zajmą się resztą.

— Tak, ale ludzie są zwierzętami lądowymi. Jeśli Rotor dotarł do tego systemu, to z całą pewnością usiłował skolonizować lądy, a nigdzie nie ma śladów działalności ludzkiej. Czy naprawdę konieczne są dalsze badania? — zapytała Wendel.

— Tak — odpowiedział szybko Wu. — Nie możemy wrócić z samymi przypuszczeniami. Potrzebujemy faktów. Możemy natknąć się na niejedną niespodziankę.

— Spodziewasz się jakiejś? — zapytała gniewnie Tessa.

— Moje oczekiwania nie mają tu najmniejszego znaczenia. Czy możemy wrócić na Ziemię i powiedzieć im. nawet nie sprawdziwszy, że wszystko jest w porządku, że nic tu nam nie grozi? Byłoby to bardzo nierozsądne.

— Wydaje mi się — powiedziała Wendel — że zmieniłeś swoje zapatrywania w bardzo drastyczny sposób. To przecież ty chciałeś wracać, zanim w ogóle zbliżyliśmy się do Sąsiedniej Gwiazdy.

— Jeśli dobrze pamiętam — odpowiedział Wu — nie brałem udziału w podejmowaniu decyzji. Tak czy inaczej, w obecnych warunkach musimy podjąć badania. Wiem, kapitanie, jak silna jest pokusa odwiedzenia kilku innych systemów gwiezdnych, ale teraz, mając przed sobą świat ewidentnie nadający się zamieszkania, musimy wrócić na Ziemię z maksymalną ilością informacji o tym globie, który jest daleko ważniejszy dla całego naszego gatunku w praktycznym sensie niż czysto teoretyczne, katalogowe wieści z innych gwiazd. Oprócz tego… — w tym momencie Wu wskazał ręką na okno, sam nie wiedząc dlaczego —…ja chcę przyjrzeć się temu światu. Czuję, że jest absolutnie bezpieczny.

— Czujesz? — zapytała ironicznie Wendel.

— Wolno mi mieć własną intuicję, kapitanie. Przerwała im Meny

Blankowitz.

— Ja także mam pewną intuicję, kapitanie, i bardzo się martwię.

Wendel spojrzała na młodą kobietę z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Czy ty płaczesz, Blankowitz?

— Nie… nie płaczę, kapitanie. Jestem tylko bardzo roztrzęsiona.

— Dlaczego?

— Używałam DN.

— Detektor neuroniczny? Na tym pustym świecie? Po co?

— Ponieważ przybyłam tu po to, aby go używać — odpowiedziała Blankowitz. — Ponieważ taka jest moja funcja.

— I rezultaty okazały się negatywne — powiedziała Wendel. - Przykro mi, Blankowitz. Polecimy dalej, będziesz miała jeszcze niejedną okazję…

— Ależ mi chodzi o coś zupełnie przeciwnego, kapitanie. Wyniki nie są negatywne. Odkryłam inteligencję na tej planecie i dlatego jestem roztrzęsiona. Wynik, jaki otrzymałam, jest zupełnie nieprawdopodobny, jest śmieszny, nie wiem, co się dzieje…

— Może coś się zepsuło w tym urządzeniu — powiedział Jarlow. — Jest to dosyć nowy aparat…

— Co mogło się w nim zepsuć? A może wykrywa naszą obecność na statku? A może po prostu oszukuje? Sprawdziłam wszystko. Osłony są absolutnie w porządku, a gdyby nawet oszukiwał, to robiłby to także gdzie indziej, a nie stwierdziłam żadnych pozytywnych rezultatów na gazowym olbrzymie ani na Sąsiedniej Gwieździe, ani w żadnym innym przypadkowym punkcie w przestrzeni. Tylko na satelicie, za każdym razem…

— Chcesz powiedzieć — przerwała jej Wendel — że na tym świecie, na którym my nie odkryliśmy najmniejszego śladu życia, ty odkryłaś inteligencję?

— Odzew jest minimalny. Ledwo go złapałam.

— W rzeczy samej, kapitanie — wtrącił się Fisher. — Jarlow wspominał niedawno o morzu. Jeśli na planecie jest życie oceaniczne, to dlaczego nie miałoby to być inteligentne życie? Może właśnie wykryła je doktor Blankowitz.

— Fisher ma rację — powiedział Wu. — Życie morskie, bez względu na inteligencję, nie stworzy raczej cywilizacji technicznej. W morzu nie można rozpalić ognia. A cywilizacje nietechnologi-czne rzadko dają znać o sobie, co wcale nie znaczy, że są mało inteligentne. Poza tym nie ma co obawiać się jakichś inteligentnych gatunków nietechnologicznych, które i tak nie wyjdą z morza. My pozostaniemy na lądzie. Wszystko wygląda obecnie jeszcze bardziej interesująco i dlatego musimy tym się zająć.

— Wy wszyscy mówicie tak szybko i bez przerwy, że nie

pozwalacie mi dokończyć — powiedziała Blankowitz. — Nie macie racji. Gdyby było to inteligentne życie morskie, wynik byłby pozytywny tylko w oceanach. A jest pozytywny wszędzie. Wszędzie jest równy. Na morzu i na lądzie. Nic nie rozumiem.

— Na lądzie także? — powiedziała z niedowierzaniem Tessa. -Coś musiało się zepsuć.

— Ale nie wykryłam żadnej usterki — powiedziała Blankowitz. — I dlatego nie wiem, co myśleć. Nic nie rozumiem… — przerwała na chwilę, a potem dodała: — Jest bardzo słaba… ale jest.

— Chyba wiem, jak to wyjaśnić — powiedział Fisher. Wszystkie oczy zwróciły się natychmiast na niego. Speszył się.

— Może nie jestem naukowcem, ale to nie oznacza, że nie potrafię dostrzec czegoś, co jest bardzo proste. W morzu jest inteligencja, której nie dostrzegamy, ponieważ pokrywa ją woda. To brzmi sensownie, prawda? Ale inteligencja jest także na lądzie. I ona również jest niewidoczna, a niewidoczna jest dlatego, że znajduje się pod ziemią.

— Pod ziemią? — wykrzyknął Jarlow. — Po co miałaby chować się pod ziemię? Powietrze nie jest trujące, temperatury w sam raz… wszystko inne także. Przed czym miałaby się chować?

— Przede wszystkim przed światłem — powiedział z naciskiem Fisher. — Porozmawiajmy o Rotorianach: przypuśćmy, że skolonizowali planetę. Po co mieliby zostawać na powierzchni, narażeni na czerwone światło Sąsiedniej Gwiazdy, światło absolutnie nieprzydatne do uprawy rotoriańskich roślin, światło, od którego nie chcieli się uzależniać. Pod ziemią mogą mieć sztuczne oświetlenie, w którym i im, i roślinom żyje się lepiej. Oprócz tego…

Przerwał na chwilę.

— Mów dalej. Co jeszcze? — powiedziała Wendel.

— No cóż, musicie zrozumieć Rotorian. Żyją we wnętrzu świata. Są do tego przyzwyczajeni, uważają, że tak jest normalnie. Na zewnątrz nie czuliby się dobrze. Dlatego wkopują się do środka…

— Sugerujesz, że detektory neuroniczne Blankowitz wykryły obecność ludzi pod powierzchnią ziemi — stwierdziła Wendel.

— Tak. Dlaczego nie? Grubość warstwy ziemi pomiędzy ich siedzibami a powierzchnią osłabia odzew odbierany przez detektor.

— Ale Blankowitz odbiera mniej więcej taki sam odzew zarówno z lądu, jak i z morza — powiedziała Wendel.

— Z całej planety. Wszędzie jest niemal równo — dodała Blankowitz.

— W porządku — odparł Fisher. — W morzu jest rodzima inteligencja, a pod ziemią Rotorianie. Dlaczego nie?

— Poczekaj — wtrącił się Jarlow. — Odbierasz odzew z całej powierzchni, czy tak?

— Z całej — odpowiedziała Blankowitz. — Wykryłam pewne skoki tu i ówdzie, ale odzew jest tak wąski, że trudno cokolwiek powiedzieć oprócz tego, że na planecie z całą pewnością jest inteligencja.

— Tak, to co mówisz jest absolutnie zrozumiałe w morzu — powiedział Jastrow — ale nie wiem, jak wytłumaczyć to na lądzie? Czy podejrzewasz, Fisher, że Rotorianie przez trzynaście lat, tylko trzynaście lat, wykopali sieć tuneli pod każdym kontynentem na planecie? Gdybyśmy mieli odzew w jednym miejscu na lądzie, a nawet w dwóch niewielkich częściach planety, zgodziłbym się z twoją koncepcją nor Rotora. Ale pod całą powierzchnią? Powiedz to proszę mojej cioci, Tillie.

— Czy chcesz przez to powiedzieć. Henry — włączył się Wu — że na planecie mieszka wszędzie pod ziemią obca inteligencja?

— Nie widzę innego rozwiązania — odpowiedział Jarlow — chyba, że to urządzenie Blankowitz do niczego się nie nadaje.

— W takim razie — powiedziała Wendel — należy rozpatrzyć sprawę bezpieczeństwa lądowania na planecie i prowadzenia badań na jej powierzchni. Obca inteligencja niekoniecznie musi być przyjazną inteligencją, a Superluminal nie jest przystosowany do prowadzenia działań bojowych.

— Nie sądzę, abyśmy mogli się poddać — powiedział Wu. - Musimy dowiedzieć się, z jaką inteligencją mamy tu do czynienia i czy może ona… przeszkodzić w naszych planach ewakuowania Ziemi i zamieszkania tutaj.

— Jest jedno miejsce — powiedziała Blankowitz — gdzie odzew jest odrobinę bardziej intensywny niż gdzie indziej.

Tylko odrobinę. Czy mam jeszcze raz sprawdzić to miejsce?

— Rób swoje. Próbuj — powiedziała Wendel. — My zbadamy otoczenie tego miejsca i zdecydujemy, czy lądować, czy nie. Wu uśmiechnął się lekko.

— Jestem pewny, że nic nam nie grozi. Wendel rzuciła mu groźne spojrzenie.

Jedyną rzeczą, jaka odróżniała Saltade'a Leveretta od innych ludzi (według opinii Janusa Pitta) było to, że podobało mu się w pasie asteroidów. Pitt wiedział, że niektórzy ludzie uwielbiają pustkę i bezruch.

Leverett wyjaśniał swoje upodobania w sposób następujący:

„Ja naprawdę lubię ludzi. Lubię oglądać ich w holowizji, rozmawiać z nimi na ekranie, a nawet śmiać się z nimi na odległość. Mogę robić wszystko z ludźmi — nie znoszę tylko ich zapachu i dotyku, jak wszyscy. Poza tym budujemy pięć Osiedli w pasie asteroidów i za każdym razem, gdy czuję się samotny, mogę odwiedzać Osiedla i cieszyć się ludźmi. Mogę ich nawet wąchać, jeśli

mam na to ochotę".

Gdy Leverett przyjeżdżał na Rotora — do „metropolii", jak sam mówił — często oglądał się za siebie, jak gdyby w oczekiwaniu na gromadzące się za nim tłumy.

Podejrzliwie przyglądał się krzesłom i siadał na nich ukośnie, chcąc prawdopodobnie uniknąć nawet przypadkowego zetknięcia z aurą pozostawioną przez poprzedników posługujących się meblem.

Janus Pitt zawsze uważał, że Leverett idealnie nadaje się na pełniącego obowiązki komisarza Projektu Asteroidów. Stanowisko zapewniało mu praktycznie wolną rękę we wszystkim, co dotyczyło zewnętrznych obszarów Systemu Nemezjańskiego. Do jego zadań należało nadzorowanie Osiedli w budowie, a także powołanej przez Pitta Agencji Skaningowej.

Właśnie skończyli lunch w prywatnej kwaterze Pitta. Saltade prędzej umarłby z głodu, niż zdecydował się na zjedzenie posiłku w ogólnie dostępnej jadalni (przez „ogólny dostęp" Leverett rozumiał obecność każdej nie znanej mu osoby). Pitt był nawet lekko zdziwiony, że Leverett zgodził się w ogóle na zjedzenie lunchu w czyjejkolwiek obecności.

Pitt przyjrzał się swojemu towarzyszowi. Saltade był bardzo szczupły i kościsty, cała jego sylwetka sprawiała wrażenie napiętej struny, co znacznie utrudniało określenie jego wieku. Jego oczy były wodnistoniebieskie, a włosy bardzo jasne.

— Kiedy byłeś po raz ostatni na Rotorze, Saltade? — zapytał Pitt.

— Prawie dwa lata temu, i uważam, że postąpiłeś bardzo nieuprzejmie wzywając mnie do siebie, Janus.

— Ja? Ależ ja niczego nie zrobiłem, stwierdziłem jedynie, że ponieważ już tu jesteś, chciałbym cię gościć u siebie.

— Na jedno wychodzi. Tak… Cóż to za wiadomość, którą rozesłałeś do wszystkich, żeby nie zawracali ci głowy drobiazgami? Czy uważasz, że jesteś już tak wielki, że możesz zajmować się wyłącznie wielkimi sprawami?

Na twarzy Pitta pojawił się wymuszony uśmiech.

— Nie wiem, o czym mówisz, Saltade?

— Przedstawiono ci raport. Wykryli jakieś promieniowanie energetyczne lecące w naszym kierunku. Powiadomili cię o tym, a ty wysyłasz im jeden ze swoich rozkazów specjalnych, żeby nie zawracali ci głowy.

— Ach o to chodzi! — Pitt doskonale pamiętał ostatni atak litości dla samego siebie i moment irytacji, która pojawiła się tuż po nim. Miał przecież prawo denerwować się od czasu do czasu — No cóż. ludzie mają szukać Osiedli. Nie powinni przeszkadzać mi drobiazgami.

— Jeśli uważasz, że to jest drobiazg, to twoja sprawa. Chciałem ci tylko powiedzieć, że moi ludzie znaleźli coś, co nie jest Osiedlem i

boją się zameldować ci o tym. Zgłosili się do mnie i poprosili mnie o przekazanie ich meldunków pomimo rozkazu, żeby nie zawracać ci głowy. Sądzą, że na tym polega moja funkcja, chociaż ja jestem przeciwnego zdania, Janus. Zaczynasz mieć przykre usposobienie na starość, mój drogi…

— Nie marudź, Saltade. Co ci zameldowali? — zapytał Pitt, który wydawał się obecnie znacznie gorzej usposobiony niż zazwyczaj.

— Odkryli pojazd.

— Co to znaczy „pojazd”? Nie Osiedle…? Leverett wyciągnął kościstą dłoń.

— Powiedziałem pojazd, a nie Osiedle.

— Nie rozumiem.

— Co tu jest do rozumienia? Potrzebujesz komputera? Jeśli tak, to stoi tuż obok. Pojazd kosmiczny to taki statek, który porusza się w przestrzeni z załogą na pokładzie.

— Jak duży?

— Mógłby pomieścić z pół tuzina ludzi, jak przypuszczam.

— W takim razie jest to jeden z naszych.

— Nie jest. Zbadano trasy wszystkich posiadanych przez nas statków. Pojazd, o którym mówimy, nie powstał na Rotorze. Agencja Skaningowa bała się zameldować ci o jego wykryciu, niemniej jednak nie próżnowała. Żaden komputer w całym systemie nie zajmował się projektem i wykonaniem tego statku, a nikt nie mógłby zbudować czegoś takiego bez komputera.

— Jaki stąd wniosek?

— Że nie jest to nasz statek. Pochodzi z zewnątrz. Dopóki była najmniejsza szansa, że pojazd mógł zostać wyprodukowany u nas, moi chłopcy siedzieli cicho i nie zawracali ci głowy, zgodnie z twoimi instrukcjami. Kiedy jednak okazało się, że nie jest to jeden z naszych, przekazano mi całą sprawę wraz z prośbą o poinformowanie ciebie, ponieważ oni się boją. Wiesz, Janus, poniewieranie ludźmi przestaje się w którymś momencie opłacać.

— Zamknij się — powiedział Pitt niezbyt stanowczo. — Jak to możliwe, że statek nie jest nasz? Skąd się tu wziął?

— Przypuszczalnie z Układu Słonecznego.

— Wykluczone! Statek, jaki opisałeś, z sześcioma ludźmi na pokładzie nie mógłby wykonać takiej podróży.

Nawet jeśli odkryli hiperwspomaganie — co z pewnością zrobili — sześcioro ludzi w małym pojeździe nie wytrzymałoby dwuletniej podróży. Może są jakieś wyjątkowe załogi, doskonale wytrenowane i specjalnie dobrane do wykonania tego zadania… i może przynajmniej w części taka teoretyczna załoga zdoła zachować rozum po odbyciu dwuletniego przelotu, ale zapewniam cię, że nikt w Układzie Słonecznym nie ryzykowałby takiego przedsięwzięcia. Podróże

międzygwiezdne pozostają domeną Osiedli — zwartych światów zamieszkiwanych przez ludzi przyzwyczajonych do panujących na nich warunków.

— Niemniej jednak — powiedział Leverett — mamy mały pojazd kosmiczny nierotoriańskiego pochodzenia. Jest to fakt, który, niestety, musisz przyjąć do wiadomości. A co do jego pochodzenia…? Najbliższą gwiazdą jest Słońce, i to również jest fakt. Jeśli nie przybył z Układu Słonecznego, to musiał przylecieć z jakiejś innej gwiazdy, do której jest jeszcze dalej. Jeśli dwa lata są wykluczone, to wszystko inne także jest wykluczone.

— Przypuśćmy, że nie są to ludzie — powiedział Pitt. — Przypuśćmy, że są to obcy, jakaś inna forma życia o odmiennej psychice, pozwalającej na długie podróże na małych statkach…

— Lub przypuśćmy, że są to ludzie tej wielkości… — Leverett za pomocą kciuka i palca wskazującego pokazał ćwierć cala —… i że ich pojazd jest Osiedlem. No cóż, muszę cię rozczarować. Mylisz się pod każdym względem. To nie są obcy. To nie jest także rasa Tomciów Paluchów. Statek nie pochodzi z Rotora, ale został stworzony przez ludzi. Obcy przypuszczalnie wyglądają zupełnie inaczej niż ludzie i dlatego ich statki powinny również wyglądać zupełnie inaczej niż nasze statki, natomiast pojazd. o którym mówimy, jest jak najbardziej ludzki, aż do numeru seryjnego na jego kadłubie; numeru, który nawiasem mówiąc jest napisany ziemskim alfabetem.

— Niemożliwe!

— To ty tak mówisz.

— To… mógłby być ludzki statek… automatyczny. Z robotami na pokładzie…

— Mógłby — powiedział Leverett. — Czy w takim razie mamy go zestrzelić? Jeśli nie ma na nim ludzi, odpadają nam problemy etyczne. Co prawda zniszczymy czyjąś własność, ale owa własność narusza nasz teren prywatny.

— Zastanawiam się — powiedział Pitt. Leverett uśmiechnął się szeroko.

— Nie musisz, ten statek nie leciał przez dwa lata.

— Co to znaczy?

— Zapomniałeś jak wyglądał Rotor po przybyciu na miejsce? Nasza podróż trwała dwa lata, z czego połowę spędziliśmy w normalnej przestrzeni, lecąc z szybkością podświetlną. Powierzchnia Rotora nie wyglądała najlepiej po tych wszystkich drobnych zderzeniach z atomami, cząsteczkami, pyłem kosmicznym i czym tam jeszcze. Dosyć długo później zajmowaliśmy się naprawami i polerowaniem na wysoki połysk. Nie pamiętasz?

— A statek? — zapytał Pitt nie odpowiadając na pytanie o jego pamięć.

— A statek… świeci się, jakby dopiero co odbył próbne loty.

— To niemożliwe. Przestań bawić się ze mną…

— To możliwe. Statek przebył prawdopodobnie parę milionów kilometrów w normalnej przestrzeni, resztę zaś… w hiperprzestrzeni.

— O czym ty mówisz? — Pitt zaczynał tracić cierpliwość.

— Loty superluminalne. Już je mają.

— Ależ to jest teoretycznie niemożliwe…

— Czyżby? Jeśli masz jakieś inne wyjaśnienie, to chętnie go wysłuchani.

Pitt przyglądał mu się z otwartymi ustami.

— Ale…

— Wiem. Fizycy mówią, że to niemożliwe. Co nie zmienia faktu, że w Układzie Słonecznym mają loty superluminalne. A teraz posłuchaj, Pitt. Jeśli mają statki superiuminalne. to mają również superiuminalną łączność. Układ Słoneczny wie, gdzie znajduje się statek i wie także, co tutaj się dzieje. Jeśli zestrzelimy ich, to niedługo zawita do nas flotylla ich statków i założę się, że urządzą sobie małą strzelaninę.

— Co robić? — Pitt stracił wszelką zdolność myślenia.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak powitać ich serdecznie, dowiedzieć się kim są, co tu robią i czego chcą? Wydaje mi się, że mają zamiar wylądować na Erytro. My również musimy się tam udać i porozmawiać z nimi.

— Na Erytro?

— Jeśli oni będą na Erytro, Janus, to my nie powinniśmy być na Megasie. Musimy się z nimi spotkać, musimy podjąć to ryzyko. Pitt zaczął otrząsać się z zaskoczenia.

— Jeśli uważasz, że jest to konieczne, to czy podjąłbyś się tej misji? Mając oczywiście statek i załogę.

— Chcesz powiedzieć, że ty tego nie zrobisz?

— Ja? Komisarz? Mam lecieć i witać jakiś nieznany statek?

— Tak… to byłoby poniżej twojej godności. Rozumiem. I to ja powinienem za ciebie stawić czoła obcym, Tomciom Paluchom, robotom czy cokolwiek to jest.

— Będę w ciągłym kontakcie z tobą, Saltade. Glos i obraz.

— Na odległość.

— Tak. Oczywiście już teraz mogę ci obiecać odpowiednie wynagrodzenie za zakończoną powodzeniem misję.

— Czyżby? W takim razie… — Leverett spojrzał na Pitta. Pitt odczekał chwilę, a potem zapytał.

— Jaka jest twoja cena?

— Zasugeruję ci pewną cenę: jeśli chcesz, abym spotkał się z nimi na Erytro, w takim razie chcę Erytro.

— Co to znaczy?

— Chcę zamieszkać na Erytro. Zmęczyły mnie asteroidy. Zmęczyła mnie twoja Agencja. Zmęczyli mnie ludzie. Mam dosyć. Chcę mieć cały, pusty świat. Zbuduję sobie ładną siedzibę, a ty zapewnisz mi żywność i inne niezbędne rzeczy z Kopuły. Będę miał swoją własną farmę i zwierzęta, jeśli uda mi się parę namówić.

— Od jak dawna o tym marzysz?

— Nie wiem. To narastało we mnie. No, a gdy znalazłem się znowu na Rotorze i zobaczyłem te wasze tłumy, usłyszałem ten wasz hałas, Erytro stała się dla mnie rajem.

Pitt wzruszył ramionami.

— To jest was dwoje. Zachowujesz się tak samo jak ta szalona dziewczyna.

— Jaka szalona dziewczyna?

— Córka Eugenii Insygny. Znasz chyba Insygnę.

— Astronoma? Oczywiście. Ale nie spotkałem jej córki.

— Całkowicie szalona. Chce mieszkać na Erytro.

— Nie sądzę, aby było to oznaką szaleństwa. Uważam, że to bardzo rozsądne. No, a jeśli chce mieszkać na stałe na Erytro to… chyba zniósłbym kobietę.

Pitt podniósł palec.

— Powiedziałem „dziewczyna”.

— Ile ma lat?

— Piętnaście.

— No cóż, wkrótce będzie dorosła. Szkoda, że ja nie młodnieję.

— Nie jest jedną z twoich piękności.

— Jeśli dobrze mi się przyjrzysz, Janus, to stwierdzisz, że ja też nie jestem piękny. Znasz moje warunki.

— Chcesz zapisać wszystko oficjalnie w komputerze?

— To tylko formalność, co, Janus? Pitt nie uśmiechnął się.

— W porządku. A teraz przyjrzyjmy się temu statkowi i przygotujemy cię do podróży.

Rozdział 36
SPOTKANIE

— Marlena śpiewała dzisiaj rano — powiedziała Eugenia Insygna tonem, który wyrażał zdziwienie i niezadowolenie. — Jakąś piosenkę o „Domu, domu w gwiazdach, gdzie tańczące światy są wolne".

— Znam tę piosenkę — Slever Genarr kiwnął głową. — Zaśpiewałbym ci, ale zapomniałem melodię.

Właśnie skończyli lunch. Jedli razem niemal codziennie, co bardzo cieszyło Genarra, pomimo tego, że tematem rozmów zawsze była Marlena. Podejrzewał, że Insygna oczekuje od niego wsparcia i pomocy, czując się bezsilną i nie mogąc zwrócić się do nikogo innego.

Ale czy miało to jakieś znaczenie? Każdy powód był dobry…

— Nigdy przedtem nie słyszałam jej śpiewu — powiedziała Insygna. — Zawsze wydawało mi się, że nie potrafi śpiewać, a okazuje się, że ma bardzo przyjemny kontralt.

— Oznacza to, że jest szczęśliwa lub podniecona, lub zadowolona, a w każdym razie jest to coś dobrego, Eugenio. Wydaje mi się, że odnalazła swoje miejsce we Wszechświecie, swój własny powód, by żyć. A nie każdy z nas to potrafi. Większość ludzi, Eugenio, żyje z dnia na dzień szukając jakiegoś sensu w życiu, nie znajdując go i kończąc w cichej rozpaczy lub rezygnacji. Ja sam należę do tej ostatniej kategorii.

Insygna pozwoliła sobie na mały uśmiech.

— A ja? Czy mnie także zaliczasz do tej kategorii?

— Nie jesteś zrozpaczona ani zrezygnowana, Eugenio, ale nie powinnaś toczyć tylu dawno przegranych bitew.

Spuściła oczy.

— Myślisz o Krile?

— Jeśli ty myślisz, że ja tak myślę, to chyba rzeczywiście tak jest — powiedział Genarr. — Ale mówiąc prawdę, myślałem o Marlenie. Byla na zewnątrz kilkanaście razy. Podoba jej się tam. Jest szczęśliwa, a mimo to ty ciągle walczysz ze strachem. Dlaczego, Eugenio? Dlaczego ciągle się boisz?

Insygna poruszyła się niespokojnie przekładając widelec na talerzu.

— Mam poczucie straty — powiedziała. — To niesprawiedliwe. Krile dokonał swojego wyboru i straciłam go. Teraz Martena dokonała wyboru i ją także stracę. Nie zabrała mi jej Plaga… zrobiła to Erytro…

— Wiem — sięgnął po jej rękę. Insygna nieświadomie

odwzajemniła uścisk.

— Marlena coraz chętniej wychodzi w tę absolutną dzikość — powiedziała — i coraz mniej interesuje ją bycie z nami. Zobaczysz, że w końcu dojdzie do wniosku, że może tam żyć. Będzie wracała coraz rzadziej, aż wreszcie zniknie na zawsze.

— Masz rację. Całe życie składa się z następujących po sobie strat. Traci się młodość, rodziców, kochanków, przyjaciół, dobrobyt, zdrowie i w końcu życie. Przeciwstawianie się stratom niczego nie zmienia — powoduje jedynie, że tracisz dodatkowo równowagę ducha i spokój umysłu.

— Marlena nigdy nie była szczęśliwym dzieckiem, Siever.

— Czy uważasz, że jest to twoja wina?

— Mogłam okazać jej więcej zrozumienia.

— Na to nigdy nie jest za późno. Marlena chciała mieć cały świat i dopięła swego. Chciała zmienić swój kłopotliwy dla otoczenia talent w sposób komunikowania się z obcym umysłem i tego również dokonała. Czy chciałabyś, aby zrezygnowała z tego wszystkiego? Czy chciałabyś zrekompensować sobie stratę jej obecności powodując jeszcze większą stratę; stratę, której ani ty, ani ja nie moglibyśmy w pełni pojąć, stratę nowego sposobu wykorzystania jej niezwykłego mózgu?

Insygna wybuchnęła śmiechem, chociaż w jej oczach kryły się łzy.

— Ożywiłbyś umarłego swoimi przemowami, Siever.

— Czyżby? Moje przemowy nigdy nie przyniosły takich efektów jak milczenie Krile.

— Krile miał także inne zalety — powiedziała Insygna wzruszając ramionami. — Ale teraz to nieważne. Ty jesteś teraz ze mną, Sieverze, i bardzo mi pomagasz.

— To najlepszy znak, że zestarzałem się — odpowiedział Genarr ponuro. — Że wystarcza mi sama pomoc. Wypalił się we mnie prawdziwy ogień, teraz jest to płomyczek, przy którym można sobie grzać ręce.

— Nie ma w tym nic złego, zapewniam cię.

— Nic złego, absolutnie nic złego! Podejrzewam, że istnieje mnóstwo małżeństw, które przeszły przez dziką ekstazę i nigdy nie były dla siebie pomocą, i z chęcią zamieniłyby uniesienia na zwykłą przyjaźń… Nie wiem… Ciche zwycięstwa są takie ciche. Wszystko co ważne często bywa przeoczane…

— Jak ty, mój biedny Sieverze…

— Posłuchaj, Eugenio. Przez całe życie starałem się unikać wpadania w pułapkę rozżalenia, a teraz ty kusisz mnie, po to tylko, by patrzeć jak wyję do księżyca.

— Och, Sieverze, nie chcę, żebyś wył do księżyca.

— To dobrze. Chciałem to usłyszeć. Widzisz, jaki jestem rozsądny.

Ale jeśli potrzeba ci kogoś, kto zastąpi w twoim życiu Marlenę, z chęcią zgłaszam się na jej miejsce, kiedy tylko chcesz. Nawet dziesięć światów takich jak Erytro nie byłoby w stanie oderwać mnie od ciebie, zakładając oczywiście, że tego pragniesz.

Ścisnęła jego dłoń.

— Nie zasługuję na ciebie, Sieverze.

— Nie traktuj tego jako wymówki, Eugenio. Jeśli jest tak, jak mówisz, to z chęcią się poświęcę, a ty nie powinnaś odrzucać takiej ofiary.

— Czy nie uważasz, że jest wiele bardziej wartościowych kobiet?

— Nigdy ich nie szukałem. Poza tym kobiety z Rotora nigdy specjalnie nie oglądały się za mną. I co miałbym robić z taką bardzo wartościową kobietą? Ofiarować się jej jako od dawna oczekiwany prezent? Wolę być romantycznym niechcianym prezentem, niechcianą manną z nieba.

— Boskim podarkiem dla ludzi małego serca. Genarr pośpiesznie kiwnął głową.

— O tak. Podoba mi się to. Ten obraz przemawia do mnie. Insygna roześmiała się, tym razem zupełnie szczerze.

— Jesteś szalony… Wiesz, że jakoś nigdy tego nie zauważyłam.

— Mam ukryte głębie. Z czasem poznasz mnie lepiej… znacznie lepiej…

Przerwał mu brzęczyk oznaczający nadejście pilnej wiadomości.

— No, właśnie — powiedział z oburzeniem Genarr. — Taki jest mój los. Dochodzimy do punktu… — już nie pamiętam jak to zrobiliśmy — w którym gotowa jesteś rzucić się w moje ramiona… i przerywają nam. Halo… Och! Co? — ton jego głosu zmienił się całkowicie — To Saltade Leverett.

— Kto to jest?

— Nie znasz go. Prawie nikt go nie zna. To pustelnik. Pracuje w pasie asteroidów. Podoba mu się tam. Nie widziałem tego starego włóczęgi od lat… Nie wiem, dlaczego mówię „starego” — ma tyle lat co ja. Aha, mamy depeszę specjalną. Otwiera się tylko na mój odcisk kciuka. To znaczy, że depesza jest tak tajna, że powinienem poprosić cię o wyjście.

Insygna natychmiast wstała, lecz Genarr gestem polecił jej pozostanie na miejscu.

— Nie bądź niemądra, Eugenio. Tajne depesze to choroba władzy. Nigdy nie przywiązywałem do tego wagi…

Przycisnął kciuk do papieru. To samo zrobił z kciukiem drugiej ręki. Na kartce zaczęły pojawiać się litery.

— Zawsze zastanawiałem się, co by zrobili, gdyby ktoś nie miał rąk… — powiedział Genarr, a potem nagle zamilkł.

Przebiegł oczami tekst i wręczył depeszę Insygnie.

— Czy mogę to przeczytać? Genarr potrząsnął głową.

— Oczywiście, że nie. Ale kogo to obchodzi? Przeczytaj. Zrobiła to niemal natychmiast.

— Obcy statek. Ma wylądować tutaj?

— Tak przynajmniej piszą.

— A co z Marleną? — krzyknęła Insygna. — Ona jest na powierzchni…

— Erytro ją obroni.

— Skąd wiesz? To obcy statek! Z prawdziwymi obcymi! To nie są ludzie! Ten umysł z Erytro może okazać się za słaby!

— My też jesteśmy obcymi na Erytro i poradził sobie z nami.

— Muszę tam iść.

— Po co…

— Muszę być z Marleną. Chodź ze mną. Pomóż mi. Sprowadzimy ją do Kopuły.

— Jeśli są to wrodzy nam najeźdźcy, to tutaj też nie będzie bezpiecznie.

— Och, Sieverze! Nie ma czasu na rozważania. Proszę. Muszę być z Marleną!

Pochylili się nad fotografiami planety. Tessa Wendel potrząsnęła głową.

— Niewiarygodne! Cały świat jest pusty, oprócz tego…

— Wszędzie inteligencja — powiedziała Merry Blankowitz, marszcząc brwi. — Nie ma co do tego wątpliwości. Pusty czy nie, jest na nim inteligentne życie.

— Największy odzew jest w tej kopule? Tak?

— Zgadza się, kapitanie. Najbardziej intensywny odzew i najłatwiej zauważalny. A także zbliżony do takich, które doskonale znamy. Na zewnątrz kopuły odzew jest inny i nie wiem, co to znaczy.

— Nigdy nie badaliśmy żadnej innej inteligencji oprócz ludzkiej — powiedział Wu. — Tak że…

Wendel spojrzała na niego ostro.

— Czy twoim zdaniem, inteligencja na zewnątrz nie jest ludzka?

— Zgodziliśmy się, że ludzie nie mogli zakopać się wszędzie przez trzynaście lat. Wypływa z tego tylko jeden wniosek…

— A kopuła? Czy tam są ludzie?

— To zupełnie inna sprawa — powiedział Wu. — Tutaj niepotrzebne są nam pleksony Blankowitz. Widać przecież instrumenty astronomiczne. Kopuła lub jej część to z pewnością obserwatorium astronomiczne.

— Czy obca inteligencja nie może zajmować się astronomią? - spytał ironicznie Jarlow.

— Oczywiście, że może — powiedział Wu. — Ale za pomocą własnych instrumentów. Gdy widzę coś, co przypomina

skomputeryzowny skaner podczerwieni, dokładnie taki, jaki pamiętam z Ziemi… No cóż, powiem inaczej: zapomnijmy na chwilę o pochodzeniu tej inteligencji. Widzę instrumenty, które albo powstały w Układzie Słonecznym, albo zostały zbudowane według projektów pochodzących z Układu. Co do tego nie może być wątpliwości. Nie wydaje mi się prawdopodobne, aby obca inteligencja bez kontaktu z ludźmi mogła zbudować takie instrumenty.

— Doskonale — powiedziała Tessa. — Zgadzam się z tobą, Wu. W kopule byli… lub są ludzie.

— Co to znaczy „ludzie", kapitanie? — powiedział ostro Fisher. — To są Rotorianie. Nikt inny.

— Tego nie możemy wiedzieć — wtrącił Wu.

— Kopuła jest bardzo mała — powiedziała Blankowitz. — A na Rotorze mieszkały dziesiątki tysięcy ludzi.

— Sześćdziesiąt tysięcy — zamruczał Fisher.

— Nie zmieściliby się wszyscy w tej kopule.

— Po pierwsze — powiedział Fisher — mogą być inne kopuły. Co z tego, że przelecieliśmy parę razy nad planetą — i tak nie jesteśmy w stanie zauważyć wszystkiego.

— Ale zmiany pleksonowe występują tylko w tym miejscu. Gdyby istniały inne kopuły, z pewnością wykryłabym je za pomocą detektora — powiedziała Blankowitz.

— Istnieje jeszcze inna możliwość — powiedział Fisher. — To, co widzimy, może być tylko maleńką częścią budowli, która rozciąga się na wiele mil pod ziemią.

— Rotorianie przybyli tu w Osiedlu — powiedział Wu. — To Osiedle na pewno istnieje. Mogą być także inne. Ta kopuła jest tylko przyczółkiem.

— Nie widzieliśmy żadnego Osiedla — powiedział Jarlow.

— Nie szukaliśmy — powiedział Wu. — Skoncentrowaliśmy się na tej planecie.

— Wykryłam inteligencję tylko tutaj — wtrąciła Blankowitz.

— A czy szukałaś gdzie indziej? — zapytał Wu. — Musielibyśmy przeszukać całą okoliczną przestrzeń, chcąc odnaleźć Osiedle. A ty, gdy wykryłaś pleksony z tego świata, zarzuciłaś badania.

— Mogę je podjąć, jeśli uważasz, że jest to konieczne. Wendel podniosła rękę.

— Jeśli jest tu gdzieś jakieś Osiedle, to dlaczego nas nie zauważyło? Nie włączaliśmy osłon emisji energetycznej. Byliśmy przekonani, że ten System jest pusty.

— Oni również mogli żywić podobne przekonania, kapitanie — powiedział Wu. — Nie szukali nas i dlatego udało nam się przemknąć niepostrzeżenie. A jeśli nas wykryli, to mogą nie mieć pewności co do tego, kim lub czym jesteśmy. Wahają się co do dalszego postępowania,

podobnie jak my. Twierdzę jednak, że obecnie nie mamy wątpliwości, iż na planecie istnieje jedno miejsce, w którym są ludzie, i w związku z tym powinniśmy wylądować i nawiązać z nimi kontakt.

— Czy sądzisz, że to będzie bezpieczne? — zapytała Blankowitz.

— Twierdzę, że tak — powiedział z naciskiem Wu. — Nie mogą nas z miejsca zastrzelić. Będą chcieli się dowiedzieć, kim jesteśmy. Poza tym, jeśli wszystko, na co nas stać, to próżne dyskusje i pozostawanie w niepewności, to nigdy nie dowiemy się niczego i wrócimy do domu z pustymi rękami. A wtedy Ziemia wyśle tu całą flotyllę statków superluminalnych, ale nikt nie podziękuje nam za to, co zrobiliśmy. Przejdziemy do historii jako wyprawa nieudaczników — uśmiechnął się słabo. — Widzi pani, kapitanie, nauczyłem się czegoś od Fishera.

— Uważasz, że powinniśmy wylądować i nawiązać kontakt — powiedziała Wendel.

— Jestem o tym przekonany — odpowiedział Wu.

— A ty, Blankowitz?

— Kieruje mną ciekawość. Chciałabym dowiedzieć się czegoś nie o kopule, lecz o tym obcym życiu. Zresztą o kopule także…

— Jarlow?

— Żałuję, że nie wyposażono nas w odpowiednią broń i hiperłączność. Jeśli nas zniszczą. Ziemia nie dowie się niczego, absolutnie niczego — i taki będzie rezultat tej wyprawy. I wtedy przyleci tu ktoś inny, nieprzygotowany tak jak my i podobnie niepewny. Natomiast jeśli przetrwamy, wrócimy zaopatrzeni w bardzo ważną wiedzę. Powinniśmy spróbować.

— Czy mnie również zapytasz o zdanie, kapitanie? — powiedział cicho Fisher.

— Zakładam, że chcesz lądować po to, by spotkać Rotorian.

— Rzeczywiście. Proponuję jednak wylądować bez niepotrzebnego hałasu, niemal niepostrzeżenie… a ja pierwszy udam się na zwiady. Jeśli coś mi się stanie, wystartujecie i wrócicie na Ziemię nie zważając na mnie. Musicie chronić statek.

— Dlaczego ty? — zapytała niemal natychmiast Wendel ze skurczoną twarzą.

— Ponieważ znam Rotorian — odpowiedział Fisher — i ponieważ chcę iść.

— Ja także — powiedział Wu. — Muszę iść z tobą.

— Po co narażać dwie osoby? — zapytał Fisher.

— Bo we dwóch jest bezpieczniej niż w pojedynkę. Bo w przypadku jakichś problemów jeden może uciec, a drugi osłaniać ucieczkę. I przede wszystkim dlatego, że mówisz, iż znasz Rotorian. Twoje sądy nie mogą być obiektywne.

— W takim razie lądujemy — powiedziała Wendel. — Fisher i Wu

wychodzą na zewnątrz. W przypadku rozbieżności poglądów Wu podejmuje ostateczne decyzje.

— Dlaczego? — zapytał z oburzeniem Fisher.

— Tak jak powiedział Wu, znasz Rotorian i twoje decyzje mogą być nieobiektywne — odpowiedziała Wendel patrząc z naciskiem na Fishera. — I ja zgadzam się z nim.

Marlena była szczęśliwa. Czuła się tak, jak gdyby ktoś delikatnie tulił ją w ramionach, chronił ją i osłaniał. Widziała czerwonawe światło Nemezis, wiatr głaskał ją po policzkach. Widziała chmury, które przesłaniały tarczę jej słońca, zmieniając wszystkie kolory w ciemną szarość.

Wcale jej to nie przeszkadzało — szarość czy czerwień, obydwie barwy były jednakowo fascynujące, jednakowo nasycone półtonami i odcieniami. I chociaż wiatr stawał się chłodniejszy, gdy Nemezis znika za chmurami, jej nigdy nie było zimno. Czuła się tak, jak gdyby Erytro dbała o radość dla jej oczu, ogrzewała ciało, opiekowała się nią pod każdym względem.

Rozmawiała z Erytro. Już kiedyś postanowiła nazywać wszystkie komórki tworzące życie na planecie — „Erytro". Tak, jak nazywała się sama planeta. Dlaczego nie? Czy była lepsza nazwa? Poszczególne komórki były tylko komórkami, tak samo prymitywnymi — a może nawet bardziej — niż komórki jej ciała. Jednak gdy zebrały się razem, gdy wszystkie prokarioty połączyły się w całość, tworzyły organizm obejmujący planetę miliardami trylionów połączonych ze sobą części, wszechogarniających lądy i morza, będących samą planetą.

To dziwne — pomyślała Marlena — ale ta olbrzymia żywa forma nigdy nie zdawała sobie sprawy z istnienia innych postaci życia przed przybyciem Rotora.

Pytania i wrażenia Marleny nie ograniczały się wyłącznie do jej własnego umysłu. Niekiedy Erytro unosiła się przed nią jak delikatna, szara mgiełka, tworząca chwiejne zarysy ludzkich postaci, falujące po bokach. Marlena zawsze czuła, że świat wokół niej płynie. Nie mogła tego widzieć, lecz wyczuwała, że w każdej sekundzie miliony komórek opuszczają ją i zastępowane są natychmiast przez inne. Pojedyncze prokarioty nie mogły istnieć długo bez ochronnej warstewki wody. Gdy tworzyły ludzką postać, zmieniały się jedna po drugiej, jednak sylwetka pozostawała taka sama, nigdy nie traciła swej tożsamości.

Erytro nie przybierała już postaci Orinela. Domyśliła się w sobie tylko właściwy sposób, że Orinel niepokoi Marlenę. Sylwetka, którą widziała, była teraz neutralna, zmieniała się wraz z nastrojami Marleny. Erytro potrafiła dostosować się do subtelnych różnic w sposobie myślenia dziewczyny. Robiła to znacznie lepiej wraz z upływem czasu. Postać przybierała niekiedy kształty kogoś dobrze znanego i gdy Marlena za wszelką cenę starała się ją rozpoznać, zarys

zmieniał się, tworząc całkiem nowy obraz. Czasami udawało jej się wychwycić zarys policzka matki, duży nos wujka Sievera, fragmenty postaci chłopców i dziewcząt, których pamiętała ze szkoły. Była to nie kończąca się symfonia. Rozmowa zamieniała się w balet, coś, czego w żaden sposób nie potrafiłaby opisać słowami; coś, co dawało jej poczucie bezpieczeństwa i ukojenia; coś o nieskończonej różnorodności — jak modulacja głosu, zmiana wyglądu i myśli.

Ich rozmowy odbywały się w tylu wymiarach, że Marlena nie potrafiła wyobrazić sobie powrotu do zwykłej mowy wykorzystującej jedynie słowa. Jej zdolności percepcyjne nabrały zupełnie innych kształtów, o jakich wcześniej nie miała pojęcia. Wymiana myśli odbywała się szybko i płynnie, porozumienie było głębsze, znacznie głębsze niż to, które uzyskiwało się za pomocą mowy.

Erytro pokazała jej, a raczej wypełniała ją, innymi umysłami. Umysłami. W liczbie mnogiej. Jeden umysł był łatwy do ogarnięcia. Inny świat. Inny umysł. Lecz Marlena spotkała wiele umysłów, tłoczących się jeden za drugim — i każdy był inny, każdy zajmował inne miejsce w przestrzeni.

Niewyobrażalne.

Myśli, które Erytro przekazywała Marlenie, nie dawały się ująć w słowa, ponieważ za słowami kryły się jeszcze emocje, wrażenia, tysiące drobnych wibracji niepojętych i niedających się wyrazić w mowie. Erytro była milionami idei i konceptów porozrzucanych po całym globie.

Erytro eksperymentowała z umysłami — czuła je. Nie tak jak ludzie, chociaż słowo „czuć” było chyba najlepszym przybliżeniem. Niektóre umysły poznane przez Erytro załamały się, rozpadły, stały się nieprzyjemne. Erytro przestała wybierać umysły na chybił trafił, zaczęła szukać takich, które zdolne były wytrzymać kontakt.

— I znalazłaś mnie? — powiedziała Martena. „Znalazłam ciebie.”

— Dlaczego? Dlaczego mnie szukałaś? — zapytała.

Postać przed Martena zafalowała, stała się bardziej zwiewna.

„Po to, by cię znaleźć.”

To nie była odpowiedź.

— Dlaczego chciałaś, żebym była z tobą?

Postać zaczęła znikać, stawała się ulotna jak sama myśl.

„Po to, byś była ze mną.”

I zniknęła.

Ale zniknął tylko obraz. Erytro pozostała. Marlena czuła jej obecność, jej ciepło. Ale dlaczego zniknęła? Czyżby była niezadowolona z pytań?

Usłyszała jakiś dźwięk.

Na świecie tak pustym jak Erytro, każdy dźwięk daje się z łatwością skatalogować — w końcu nie ma ich tak wiele. Dźwięk

płynącej wody, delikatny szum wiatru. Dźwięki, które wydaje się samemu — łatwe do odróżnienia kroki, szelest ubrania, oddech.

Lecz Marlena usłyszała coś innego. Odwróciła głowę. Nad skalistym wzniesieniem po lewej stronie pojawiła się głowa mężczyzny.

Pierwszą myślą, jaka przyszła jej do głowy, było to, że znowu wysłali po nią kogoś z Kopuły. Poczuła, że ogarnia ją gniew. Po co mieliby jej szukać? Powie im, że kategorycznie odmawia od dzisiaj noszenia nadajnika. Nie znajdą jej, chyba że zaczną szukać na ślepo.

Nie mogła jednak rozpoznać twarzy, a znała przecież wszystkich mieszkańców Kopuły. Co prawda, nie pamiętała nazwisk czy funkcji, mimo to gdyby zobaczyła kogoś z Kopuły, natychmiast rozpoznałaby twarz.

A tej twarzy nigdy nie widziała w Kopule.

Wpatrywały się w nią czyjeś oczy. Usta były lekko rozchylone, tak jak gdyby oddychały ciężko. A potem postać wspięła się na wzniesienie i zaczęła ku niej biec.

Marlena podniosła się. Czuła chroniącą ją siłę. Nie bała się.

Zatrzymał się w odległości dziesięciu stóp. Pochylił się lekko i wpatrywał w jej twarz, jak gdyby dotarł do granicy, której nie mógł przekroczyć, jak gdyby coś odebrało mu siły do dalszego biegu.

Z jego gardła wydobył się zduszony dźwięk: — Rosanna!

Marlena przyjrzała się mu uważnie. Jego mikroruchy wyrażały pragnienie, promieniowała z nich wola posiadania: mieć, blisko, moja, moja, moja.

Cofnęła się o krok. Jak to możliwe? Dlaczego on…?

Niejasne wspomnienie holobrazu, który widziała, gdy była jeszcze małą dziewczynką…

Nie, nie mogła już dłużej zaprzeczać samej sobie. To niemożliwe a jednak to był…

Skurczyła się w chroniącej ją obecności i powiedziała:

— Ojcze?

Rzucił się w jej stronę, jak gdyby pragnąc wziąć ją w ramiona. Marlena zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu. Zatrzymał się. Zachwiał przyłożył jedną rękę do czoła, walczył z ogarniającą go niemocą.

— Marlena. Chciałem powiedzieć Marlena.

Źle wymawiał jej imię. Natychmiast to zauważyła. Łączył sylaby. Ale to nic — miał prawo. Skąd mógł wiedzieć?

Dołączył do niego drugi mężczyzna. Stanął tuż obok. Miał proste, czarne włosy, szeroką twarz, wąskie oczy i ciemną karnację. Marlena nigdy nie widziała nikogo o takim wyglądzie. Otworzyła usta ze zdziwienia i zamknęła je z wysiłkiem.

Drugi mężczyzna zapytał pierwszego z niedowierzaniem w głosie:

— Czy to jest twoja córka, Fisher?

Oczy Marleny rozszerzyły się. Fisher! To był jej ojciec! Fisher nie spojrzał na pytającego. Powiedział krótko:

— Tak.

Głos tego drugiego stał się bardziej miękki.

— Pierwsze rozdanie, Fisher! Przybyłeś tu po tylu latach i pierwszą osobą, jaką spotykasz, jest twoja córka!

Fisher z wysiłkiem odwrócił oczy, a raczej chciał odwrócić i nie mógł.

— Chyba masz rację, Wu. Marlena… twoje nazwisko brzmi Fisher, czy tak? Twoją matką jest Eugenia Insygna. Nie mylę się? Ja nazywam się Krile Fisher i jestem twoim ojcem.

Wyciągnął obydwie ręce.

Marlena doskonale zdawała sobie sprawę z wyrazu pragnienia na jego twarzy. Później dostrzegła jeszcze udrękę, gdy ponownie cofnęła się o krok.

— Skąd się tu wziąłeś?

— Przybyłem z Ziemi, by cię odnaleźć. Odnaleźć ciebie. Po tylu latach…

— Po co chciałeś mnie odnaleźć? Zostawiłeś mnie, gdy byłam małym dzieckiem.

— Musiałem wtedy… ale zawsze chciałem do ciebie wrócić. I nagle usłyszała inny głos… ostry jak stal… i w końcu łamiący się:

— Wróciłeś po Marlenę? I po nic… innego?

Stanęła przed nimi Eugenia Insygna. Blada, z bezbarwnymi ustami, z trzęsącymi się rękoma. Za nią stał Siever Genarr, zupełnie zaskoczony, lecz trzymający się z tyłu. Żadne z nich nie miało na sobie skafandra ochronnego.

Insygna zaczęła mówić pośpiesznie, niemal histerycznie:

— Myślałam, że będą tu ludzie z jakiegoś innego Osiedla, ludzie z Układu Słonecznego. Myślałam także o jakichś obcych. Byłam przygotowana na każdą ewentualność, kiedy powiedziano mi, że ląduje obcy statek. I nigdy, nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że spotkam Krile Fishera, który wrócił… po Marlenę!

— Przybyłem z innymi… w ważnej misji. To jest Chao-Li Wu, mój towarzysz. I… i….

— I spotkaliśmy się. Czy myślałeś kiedykolwiek, że mnie spotkasz? A może myślałeś tylko o Martenie? Co to za ważna misja? Odszukanie Marleny?

— Nie. Mamy inne zadania. Martena… to moja sprawa.

— A ja?

Fisher spuścił wzrok.

— Przybyłem po Marlenę.

— Przybyłeś po nią? Chcesz ją zabrać?

— Myślałem… — zaczął Fisher i nie mógł dokończyć. Wu

przyglądał mu się ze zdziwieniem. Genarr niemal kipiał z oburzenia.

Insygna podeszła do córki.

— Marleno, czy chcesz towarzyszyć temu człowiekowi?

— Nie mam zamiaru towarzyszyć nikomu gdziekolwiek, mamo — powiedziała cicho Martena.

— Oto jej odpowiedź, Krile — powiedziała Insygna. — Zostawiłeś mnie z rocznym dzieckiem, a teraz wracasz po piętnastu latach i mówisz: „Aha, przypomniało mi się, zabieram ją ze sobą". I nawet nie pomyślałeś o mnie. Ona jest twoją córką — biologicznie, i nic więcej. Należy do mnie, dzięki piętnastu latom miłości i opieki.

— Nie ma co kłócić się o mnie, mamo — powiedziała Martena. Chao-Li Wu postąpił krok do przodu.

— Proszę mi wybaczyć, zostałem przedstawiony państwu, lecz nie wiem, z kim mam do czynienia. Pani jest…?

— Eugenia Insygna Fisher — wskazała ręką na Fishera. — Jego żona… kiedyś.

— A to jest pani córka?

— Tak. To jest Martena Fisher. Wu skłonił się.

— A ten dżentelmen?

— Nazywam się Siever Genarr. Jestem dowódcą Kopuły, którą widzi pan na horyzoncie.

— Ach, tak. Dowódco, chciałbym z panem porozmawiać. Żałuję, że zawarliśmy znajomość podczas sprzeczki rodzinnej, która nie ma nic wspólnego z naszą misją.

— A na czym polega wasza misja? — odezwał się jeszcze jeden, nowy głos. Zbliżała się do nich płowowłosa postać z grymasem na twarzy. W ręce mężczyzny dostrzegli coś, co przypominało broń.

— Witam, Siever — powiedział nowo przybyły mijając Genarra. Genarr wyglądał na zaskoczonego.

— Saltade? Skąd ty się tu wziąłeś?

— Reprezentuję komisarza Janusa Pitta z Rotora. Powtarzani moje pytanie, mój panie: na czym polega wasza misja? I jak się pan nazywa?

— Ja również powtarzam swoje nazwisko: doktor Chao-Li Wu. Pańska godność?

— Saltade Leverett.

— Witam. Przybywamy w pokoju — powiedział Wu patrząc na broń.

— Mam nadzieję — odrzekł ponuro Leverett. — Mam ze sobą sześć statków, które wzięty na cel wasz statek.

— Niemożliwe! — powiedział Wu. — Ta mała kopuła posiada flotę!

— Ta mała kopuła jest jedynie naszym przyczółkiem — odpowiedział Leverett. — Ja posiadam flotyllę i na pana miejscu nie

liczyłbym na to, że blefuję.

— Wierzę panu na słowo — powiedział Wu. — Nasz mały statek pochodzi z Ziemi. Przybyliśmy tu odbywając lot superluminamy. Wiecie, o czym mówię? Lot szybszy od światła.

— Wiem, co to znaczy. Nagle wtrącił się Genarr:

— Czy doktor Wu mówi prawdę, Marleno?

— Tak, wujku Sieverze — odpowiedziała dziewczyna.

— To ciekawe — zamruczał Genarr. Wu zachował spokój.

— Cieszę się niezmiernie, że owa młoda dama potwierdza moje słowa. Wnoszę, że jest czołowym ekspertem Rotora w dziedzinie lotów superiuminalnych?

— Nie musi pan nic wnosić — przerwał mu niecierpliwie Leverett. — Po co tu przybyliście? Nikt was nie zapraszał.

— Rzeczywiście. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że ten teren jest zamieszkany. Chciałbym jednak zaznaczyć, że okazana nam wrogość może doprowadzić do natychmiastowego odlotu naszego statku w hiperprzestrzeń.

— Nie jest tego pewny — powiedziała szybko Martena. Wu oburzył się.

— Jestem wystarczająco pewny. A jeśli nawet uda wam się zniszczyć nasz statek, baza na Ziemi wie, gdzie jesteśmy. Otrzymuje od nas raporty. Jeśli coś nam się stanie, wkrótce przybędzie tu ekspedycja pięćdziesięciu krążowników superiuminalnych. Radziłbym panu nie ryzykować.

— Niezupełnie tak — powiedziała Marlena.

— Co jest „niezupełnie tak". Marleno? — zapytał Genarr.

— Gdy mówił, że baza na Ziemi wie, gdzie są, nie był tego pewny i wiedział o tym.

— To mi wystarczy — powiedział Genarr. — Ci ludzie, Saltade, nie mają hiperkomunikacji.

Wyraz twarzy Wu nie zmienił się.

— Wierzy pan dywagacjom nastolatki?

— To nie są dywagacje. Wyjaśnię ci później, Saltade. Na razie uwierz mi na słowo.

Marlena zwróciła się nagle do Wu:

— Zapytaj mojego ojca. On ci powie — nie bardzo rozumiała, w jaki sposób ojciec może wiedzieć cokolwiek o jej darze — gdy odszedł od nich była przecież jeszcze niemowlęciem — a jednak wiedział, było to dla niej oczywiste.

— Nie musisz kłamać, Wu. Ona widzi nas na wylot. Spokój Wu po raz pierwszy poddany został próbie. Wzruszył ramionami i zapytał ironicznie:

— Skąd możesz wiedzieć cokolwiek o tej dziewczynie, nawet jeśli jest twoją córką? Nie widziałeś jej od czternastu lat…

— Miałem kiedyś młodszą siostrę…. — powiedział cicho Fisher. Genarr doznał nagle olśnienia:

— To jest rodzinne! Ciekawe! Widzi pan, doktorze Wu, że mamy tutaj narzędzie, które wyklucza jakikolwiek blef.

Porozmawiajmy otwarcie: po co przybyliście do nas?

— Uratować Układ Słoneczny. I niech pan zapyta tę młodą damę, która jest dla was absolutnym autorytetem, czy i tym razem kłamię.

— Oczywiście, że tym razem mówi pan prawdę, doktorze Wu. — powiedziała Marlena. — Wiemy o niebezpieczeństwie. Moja matka je odkryła.

— My również je odkryliśmy, młoda damo, bez żadnej pomocy ze strony twojej matki — powiedział Wu.

Saltade Leverett przyglądał się po kolei mówiącym i wreszcie zapytał:

— Czy mógłbym dowiedzieć się, o co tu chodzi?

— Wierz mi, Saltade — odpowiedział Genarr — że Janus Pitt wie o wszystkim. Przykro mi, że nie był łaskaw wtajemniczyć cię w szczegóły, ale zapewniam, że zrobi to, jeśli skontaktujesz się z nim teraz. Powiedz mu, że prowadzimy rozmowy z ludźmi, którzy wiedzą jak podróżować szybciej niż światło, i że być może dobijemy targu.

Cała czwórka siedziała w prywatnej kwaterze Genarra w Kopule. Siever starał się zachować przez cały czas odpowiednią, historyczną perspektywę. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości prowadzono międzygwiezdne negocjacje. Gdyby nawet nie dane im było dokonać w życiu czegokolwiek innego, ich nazwiska przejdą do annałów historii Galaktyki.

Dwóch na dwóch.

Po stronie Układu Słonecznego (w zasadzie po stronie Ziemi — kto by przypuszczał, że dekadencka Ziemia będzie reprezentować cały Układ, i to w dodatku jako strona posiadająca statek superluminalny) siedzieli Chao-Li Wu i Krile Fisher.

Wu był rozmowny i przekonywający: prawdziwy matematyk, jednak niepozbawiony bardzo praktycznego spojrzenia. Fisher (Genarr nie mógł uwierzyć, że widzi go na własne oczy) był cichy i zagubiony we własnych myślach; niewiele wnosił do przebiegu rozmów.

Po stronie Rotora znajdował się Saltade Leverett — podejrzliwy i niespokojny ze względu na konieczność przebywania z trzema osobami na raz. Mimo to był twardy — co prawda brakowało mu światowego obycia Wu jednak nie miał kłopotów z wyrażaniem własnego zdania.

Genarr milczał, podobnie jak Fisher. Czekał na ostateczny wynik rozmów. Miał w zapasie argument, o którym pozostała trójka nie miała pojęcia.

Zapadła noc. Godziny mijały powoli. Podano lunch, a potem

obiad. Podczas krótkiej przerwy Genarr wymknął się do Eugenii Insygny i Marleny.

— Nie jest tak źle — powiedział. — Obydwie strony mają wiele do zyskania.

— A Krile? — zapytała Insygna. — Czy mówił coś o Marlenie?

— Ta sprawa nie jest przedmiotem naszych rozmów, Eugenio. Krile nie poruszał tematu Marleny i wydaje mi się, że jest bardzo nieszczęśliwy z tego powodu.

— Nie dziwię mu się — powiedziała z goryczą w głosie Insygna. Genarr zawahał się:

— A ty co o tym myślisz, Marleno?

Spojrzała na niego ciemnymi, niezgłębionymi oczyma:

— Jest to poza mną, wujku Sieverze.

— Łatwo ci to przychodzi — zamruczał Genarr.

— A co powinna według ciebie zrobić? — wtrąciła się Eugenia. — Porzucił ją, gdy była dzieckiem…

— Nie chcę być niedobra dla niego — powiedziała zamyślona Marlena. — Gdybym potrafiła mu pomóc, zrobiłabym to. Ale ja nie należę do niego… Do ciebie także nie należę, mamo. Przykro mi, ale moje miejsce jest tutaj, na Erytro. Wujku Sieverze, powiesz mi, jak zakończyły się rozmowy? Bardzo proszę.

— Obiecuję.

— To niesłychanie ważne.

— Wiem.

— Powinnam być z wami, reprezentując Erytro.

— Wydaje mi się, że Erytro jest z nami. I ty również będziesz, zanim to wszystko dobiegnie końca. Nie muszę ci niczego obiecywać. Erytro dopilnuje wszystkiego.

Następnie wrócił do sali obrad.

Chao-Li Wu siedział wygodnie oparty w fotelu. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

— Podsumujmy więc — powiedział. — W sytuacji, gdy nikt nie posiadał lotów superiuminalnych. Sąsiednia Gwiazda — będę nazywał ją teraz Nemezis — była najbliższym ciałem swojego rodzaju w stosunku do Układu Słonecznego. Każdy statek lecący ku gwiazdom właśnie tutaj musiał zatrzymać się po raz pierwszy. Sytuacja diametralnie zmieniła się wraz z opanowaniem technik superluminalnych. Odległość przestała być czynnikiem decydującym. Ludzie nie muszą szukać w tej chwili najbliższej gwiazdy, a mogą skoncentrować się na wyborze najbardziej odpowiedniego i wygodnego dla nich ciała. Nasze poszukiwania obejmą teraz gwiazdy o cechach zbliżonych do Słońca, posiadające przynajmniej jedną podobną do Ziemi planetę. Nemezis znajdzie się na marginesie naszych zainteresowań.

Rotor, który do tej pory kładł tak olbrzymi nacisk na zachowanie w tajemnicy miejsca swojego pobytu po to, by inni nie przyszli jego śladem, nie musi w tej chwili niczego się obawiać. Inne Osiedla nie chcą tego Systemu, a zresztą sam Rotor może w przyszłości zrezygnować z pobytu tutaj. Może wyruszyć na poszukiwanie innych, bardziej odpowiednich gwiazd. Miliardy gwiazd znajdują się w spiralnych ramionach Galaktyki.

Lecz do tego potrzebne są Rotorowi techniki superiuminalne. Być może wydaje się wam, panowie, że wystarczy skierować na mnie broń i siłą wymusić wszystko, co wiem. Jestem matematykiem, teoretykiem — moja wiedza jest bardzo ograniczona. A nawet gdyby przyszło wam do głowy, że przejmiecie statek, zapewniani, iż nie dowiecie się więcej. Jedyną rozsądną rzeczą, jaką możecie zrobić, jest wysłanie swoich naukowców i inżynierów na Ziemię, gdzie zostaną odpowiednio przeszkoleni.

W zamian za to Ziemia domaga się prawa do świata, który nazywacie Erytro. Rozumiem, że nie zamieszkujecie go i nie wykorzystujecie w żaden sposób, wyłączywszy istnienie Kopuły, w której przebywamy, a której rola ogranicza się do prowadzenia badań naukowych i obserwacji astronomicznych. Mieszkacie w Osiedlu.

Przechodząc do sedna sprawy: Osiedla Układu Słonecznego bez kłopotów odlecą w poszukiwaniu innych słońc. Ziemia nie może tego zrobić. Jest nas osiem miliardów; osiem miliardów, które muszą zostać ewakuowane w przeciągu kilku tysięcy lat, które pozostały nam do czasu nadejścia Nemezis. Erytro potrzebna jest nam jako stacja przeładunkowa, dopóki nie znajdziemy innych, bardziej odpowiednich planet, na których umieścimy mieszkańców Ziemi.

Naszym zamiarem obecnie jest powrót na Ziemię z jednym z waszych ludzi — na dowód, że byliśmy tutaj. Po powrocie zbudujemy następne statki i wrócimy tutaj, możecie być pewni, że wrócimy tutaj, ponieważ musimy mieć Erytro. I wtedy zabierzemy waszych naukowców, którzy zostaną przeszkoleni w technikach superluminalnych. Inne Osiedla również otrzymają wgląd w naszą technologię. Czy moje podsumowanie oddaje istotę naszych ustaleń?

— Nie wszystko jest takie proste, jak pan mówi — powiedział Leveratt. — Erytro nie jest przygotowana na przyjęcie aż tylu mieszkańców Ziemi. Należy stworzyć tu odpowiednie ekosystemy.

— Zgadzam się z panem. Pominąłem szczegóły, którymi zajmą się inni — odpowiedział Wu.

— Tak… komisarz Pitt i Rada podejmą ostateczną decyzję co do stanowiska Rotora.

— Kongres Globalny podejmie odpowiednie decyzje, co do stanowiska Ziemi, ale nie sądzę, aby odbiegało ono od naszego. Gra idzie o zbyt dużą stawkę.

— Konieczne będą pewne zabezpieczenia. Na ile możemy ufać Ziemi?

— Na tyle, na ile Ziemia może ufać Rotorowi. Praca nad odpowiednimi zabezpieczeniami może zająć rok lub pięć lat, a może nawet dziesięć. Budowa statków również potrwa lata, mamy jednak program, który obejmuje tysiąclecia, program koniecznej ewakuacji Ziemi i rozpoczęcia kolonizacji Galaktyki.

— Zakładając, że nie będziemy musieli dzielić się nią z innymi inteligencjami — powiedział Leverett.

— To rozsądne założenie wstępne, co do przyszłości. A teraz, czy zechce pan skonsultować się z waszym komisarzem? I przypominam o wyborze jednego z Rotorian, który będzie nam towarzyszył w naszym powrocie na Ziemię, co, mam nadzieję, nastąpi już wkrótce.

Fisher pochylił się i zaczął mówić cichym głosem:

— Czy mógłbym zasugerować, aby moja córka. Marlena, była owym…

Genarr nie pozwolił mu dokończyć.

— Przykro mi, Krile, rozmawiałem z nią. Ona nie opuści tej planety.

— Jeśli jej matka chce lecieć z nią, to…

— Nie, Krile. To nie ma nic wspólnego z jej matką. Nawet gdybyś życzył sobie towarzystwa Eugenii i ona chciała do ciebie wrócić. Marlena pozostałaby na Erytro. Ty również nie masz po co tutaj zostawać. Ona jest stracona dla ciebie, i dla matki także.

— Jest tylko dzieckiem — powiedział gniewnie Fisher. — Nie może podejmować takich decyzji.

— Niestety, na twoje, Eugenii, nas wszystkich tutaj, a może nawet całej ludzkości nieszczęście, ona może podejmować takie decyzje. Tak… Obiecałem jej, że gdy skończymy — a zdaje się, że właśnie skończyliśmy — powiadomimy ją o naszych ustaleniach.

— To chyba nie jest konieczne — powiedział Wu.

— Siever — włączył się Leverett — chyba nie chcesz pytać o pozwolenie dziecka.

— Posłuchajcie mnie — powiedział Genarr. — To jest konieczne i musimy do niej iść. Pozwólcie mi na mały eksperyment. Przyprowadzę tutaj Marlenę i powiemy jej o naszych ustaleniach. Jeśli ktoś z was uważa, że nie jest to konieczne, niech w tej chwili wstanie i wyjdzie. Proszę: niech wstanie i wyjdzie.

— Ty chyba postradałeś zmysły, Sieverze — powiedział Leverett. — Nie mam zamiaru bawić się w chowanego z nastolatkami. Muszę porozmawiać z Pittem. Gdzie jest nadajnik?

Leverett wstał i nieomal natychmiast zachwiał się i upadł.

Wu podniósł się zaniepokojony.

— Panie Leverett…

Leverett odwrócił się na plecy i wyciągnął rękę.

— Niech mi ktoś pomoże…

Genarr postawił go na nogi, a następnie posadził na fotelu.

— Co się stało? — zapytał.

— Nie wiem — odrzekł Leverett. — Przez moment czułem się tak, jak gdyby ktoś urwał mi głowę.

— Tak… i w związku z tym nie możesz wyjść z pokoju — teraz Genarr zwrócił się do Wu: — Pan również uważa, że spotkanie z Marlena nie jest konieczne… Czy zechce pan opuścić pokój?

Wu wpatrywał się w twarz Genarra, a potem bardzo ostrożnie zaczął podnosić się z fotela. Nie zdążył się nawet wyprostować. Skrzywił się potwornie i usiadł.

— Może rzeczywiście spotkajmy się z tą młodą damą — powiedział po chwili.

— Musimy — odpowiedział Genarr. — Na tej planecie życzenie owej młodej damy jest prawem.

— Nie! — powiedziała Marlena z taką siłą, że zabrzmiało to niemal jak krzyk. — Nie możecie tego zrobić!

— Nie możemy czego zrobić? — zapytał Leverett marszcząc jasne brwi.

— Używać Erytro jako stacji przeładunkowej… ani nic innego. Leverett spojrzał na nią groźnie. Chciał coś powiedzieć, jednak przerwał mu Wu:

— A dlaczegóż to, młoda damo? To jest pusty świat, który nie należy do nikogo.

— Nie jest pusty. I należy do kogoś. Powiedz im wujku Sieverze.

— Marlena chce powiedzieć — zaczął Genarr — że Erytro jest zamieszkana. Zajmują ją niezliczone rzesze prokariotów, komórek fotosyntezujących. Nawiasem mówiąc, dlatego mamy tu tlen.

— Świetnie — odpowiedział Wu. — I co z tego? Genarr odchrząknął.

— Pojedyncze komórki są bardzo prymitywne, nieznacznie przeważają rozwojem wirusy, ale niestety, nie możemy rozpatrywać ich pojedynczo. Wszystkie komórki na Erytro tworzą organizm o trudnej do pojęcia strukturze kompleksowej. Organizm obejmujący cały świat.

— Organizm? — zapytał uprzejmie Wu.

— Tak, pojedynczy organizm, który Martena nazywa tak jak planetę, ponieważ i jedno, i drugie jest nierozłączne.

— Czy pan mówi poważnie? — zapytał Wu. — Skąd wiecie o istnieniu takiego organizmu?

— Dzięki Martenie.

— Dzięki tej… młodej damie, która… z pewnością nie cierpi z powodu… histerii? — powiedział ostrożnie Wu. Genarr podniósł

palec.

— Niech pan uważa na to, co mówi… Nie jestem pewny, czy Erytro… organizm, zna się na żartach. A teraz co do naszej wiedzy na temat Erytro: wiemy o nim głównie dzięki Martenie, ale nie wyłącznie dzięki niej. Gdy Saltade Leverett chciał wyjść z pokoju, stracił chwilowo przytomność. Pan przed chwilą sam doświadczył nieprzyjemnej sensacji usiłując się podnieść. To wszystko są reakcje Erytro. Organizm chroni Martenę oddziałując bezpośrednio na nasze umysły. We wczesnym okresie istnienia Kopuły organizm niechcący wywołał małą epidemię wśród naszych pracowników, epidemię mającą wszelkie znamiona choroby psychicznej, którą my nazwaliśmy Plagą Erytro. Obawiam się, że organizm, o którym mówimy, jest w stanie zniszczyć każdy umysł, a nawet spowodować śmierć, gdyby zaszła taka konieczność. I radzę nie ryzykować żadnych testów.

— Chcesz powiedzieć, że to nie Martena… — wtrącił się Fisher.

— Nie, Krile. Martena posiądą pewne uzdolnienia, ale nie są one tak wielkie, by zagrażać komukolwiek. Natomiast Erytro jest niebezpieczna.

— Czy można temu jakoś zaradzić? — zapytał Fisher.

— Przede wszystkim słuchając Marleny. A następnie pozwalając mi na rozmowę z nią Erytro mnie zna. I uwierzcie mi, że chcę pomóc Ziemi. Nie chcę sprowadzać zagłady na miliardy ludzi.

Zwrócił się do Marleny.

— Rozumiesz, prawda, że Ziemi grozi niebezpieczeństwo? Twoja matka wykazała, że zbliżenie Nemezis może zagrozić Układowi Słonecznemu.

— Wiem, wujku Sieverze — powiedziała Martena śmiertelnie znużonym głosem. — Ale Erytro należy do siebie.

— Ale może zechce podzielić się z nami. Pozwoliła pozostać tu naszej Kopule. Nie przeszkadzamy jej.

— W Kopule znajduje się mniej niż tysiąc ludzi, którzy nie wychodzą na zewnątrz. Erytro nie ma nic przeciwko Kopule, ponieważ dzięki niej może poznać ludzkie umysły.

— Tym bardziej będzie mogła je poznać, gdy przybędą tu Ziemianie.

— Osiem miliardów?

— Nie, nie całe osiem miliardów na raz. Przybędą tu i osiądą czasowo, a potem odejdą. Na planecie będzie mieszkał niewielki ułamek całej populacji.

— Miliony. Z całą pewnością. Nie można wcisnąć kilku milionów ludzi do kopuły i kazać im tam mieszkać bez żywności, wody i wszystkiego innego. Będą musieli osiedlić się na całej planecie. Tworzyć ekosystemy. Erytro tego nie wytrzyma. Będzie musiała się bronić.

— Jesteś tego pewna?

— Będzie musiała. Ty zrobiłbyś inaczej?

— Oznaczałoby to śmierć miliardów.

— Nic na to nie poradzę. — Marlena zacisnęła wargi, a potem powiedziała: — Jest inny sposób.

— O czym ta dziewczyna mówi? — zapytał gniewnie Leverett. - Jaki inny sposób?

Marlena rzuciła mu krótkie spojrzenie, a potem zwróciła się do Genarra:

— Nie wiem. Erytro wie… to znaczy mówi, że ta wiedza… jest gdzieś tutaj… ale nie potrafi wyjaśnić.

Genarr wyciągnął obydwie ręce wstrzymując w ten sposób falę pytań.

— Pozwólcie mi mówić. Zwrócił się do Marleny.

— Marleno, uspokój się. Jeśli martwisz się o Erytro, to jest to zupełnie niepotrzebne. Erytro doskonale daje sobie radę sama. A teraz powiedz mi, co to znaczy, że Erytro nie może wyjaśnić?

Marlena oddychała szybko.

— Erytro wie, że potrzebna nam informacja jest gdzieś tutaj, ale nie posiada ludzkiego doświadczenia, nie zna naszej nauki, naszych sposobów myślenia. Nie rozumie.

— Ta informacja jest w umyśle kogoś z obecnych?

— Tak, wujku Sieverze.

— Czy Erytro nie może wysondować naszych umysłów?

— Zrobiłaby im krzywdę. Może sondować mój umysł bez żadnej szkody.

— Tak, wiem o tym — powiedział Genarr. — Ty nie posiadasz tej informacji?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale Erytro może wykorzystać mój umysł jako sondę do… innych umysłów. Do twojego. Ojca. Wszystkich.

— Czy to bezpieczne?

— Erytro sądzi, że tak… Ale… och, wujku Sieverze…bóję się.

— To szaleństwo! — wyszeptał Wu. Genarr szybko nakazał mu milczeć przykładając palec do ust. Fisher zerwał się na równe nogi.

— Marleno, nie powinnaś…

Poirytowany Genarr machnął na niego ręką.

— Nic nie możesz teraz zrobić, Krile. Mówimy o życiu lub śmierci miliardów ludzi… powtarzamy to w kółko… i musimy pozwolić Erytro pomóc nam. Marleno…

W oczach dziewczyny ukazały się białka. Wyglądała jak w transie.

— Wujku Sieverze — wyszeptała — weź mnie za rękę… Wstała i potykając się, upadając niemal, podeszła do Genarra, który objął ją wpół i przycisnął do siebie.

— Marleno… uspokój się… wszystko będzie dobrze… Ostrożnie usiadł na fotelu trzymając w objęciach jej bezwładne ciało.

Wyglądało to jak bezgłośna, świetlna eksplozja, która przesłoniła świat. Nic nie istniało poza sobą.

Genarr nie wiedział, że jest Genarrem. Jego ja rozpłynęło się w niebycie. Istniała tylko świetlista, unerwiona mgła o niepokojącej złożoności; mgła obejmująca wszystko, a jednocześnie dzieląca się na nitkowe odnogi, które same w sobie tworzyły skomplikowaną do granic całość.

Wszystko wirowało, zbliżało się i oddalało, rozszerzało się i dzieliło ponownie. Wszystko istniało od zawsze, ciągle, bez przerwy niczym hipnotyczny sen bez końca.

Nieskończony upadek w przestrzeń, która otwierała się, będąc bliżej, i nigdy naprawdę nie mogąc się otworzyć. Nieskończona, zmieniona bez zmian. Obłoczki tworzące kolejną złożoność.

Dalej i dalej. Bezdźwięcznie. Bez czucia. Bezświadomie. Coś, co ma właściwości światła i nie jest światłem. Umysł, który zaczyna zdawać sobie sprawę z własnego istnienia.

A potem, z wysiłkiem — jeśli w ogóle we Wszechświecie istniało takie pojęcie jak wysiłek — i z westchnieniem — jeśli we Wszechświecie w ogóle istniał dźwięk — wszystko pociemniało, odwróciło się, zaczęło obracać się coraz szybciej, dalej i dalej, aż zamieniło się w świetlisty punkt, który błysnął i zniknął.

Wszechświat był natrętny w swoim istnieniu. Wu przeciągnął się i powiedział:

— Czy wszyscy… doświadczyli tego co ja?

— Ja… — zaczął Leverett — uwierzyłem. Jeśli jest to szaleństwo, to w takim razie wszyscy oszaleliśmy.

Genarr ciągle trzymał Marlenę w ramionach. Pochylił się nad nią z bolesnym wyrazem twarzy. Dziewczyna oddychała ciężko.

— Marleno… Marleno… Fisher zerwał się na nogi.

— Czy nic jej nie jest?

— Nie wiem — wyszeptał Genarr. — Żyje, ale to za mało… Otworzyła oczy. Spoglądała na Genarra pustym wzrokiem bez wyrazu.

— Marleno… — powtórzył zrozpaczony Siever.

— Wujek… — odpowiedziała ledwo słyszalnie. Genarr odetchnął. Rozpoznała go.

— Nie ruszaj się — powiedział. — Poczekaj aż to się skończy.

— Skończyło się. Tak się cieszę, że już się skończyło.

— Nic ci nie jest?

Milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała:

— Czuję się… dobrze. Erytro mówi, że nic mi nie jest.

— Czy odnalazłaś tę sekretną wiedzę, którą posiadamy? — zapytał Wu.

— Tak, doktorze Wu. Odnalazłam — przerwała i przyłożyła rękę do wilgotnego czoła. — To pan posiadał tę wiedzę.

— Ja? — zapytał zaintrygowany Wu. — Co to było?

— Ja… nie całkiem rozumiem — powiedziała Marlena. — Może pan mi to wyjaśni… Spróbuję opisać…

— Co opisać?

— Coś… że grawitacja odpycha rzeczy od siebie zamiast je przyciągać…

— Tak! To odpychanie grawitacyjne! — powiedział Wu. — To część teorii lotów superiuminalnych… — Wu wziął głęboki oddech i wyprostował się. — To moje odkrycie!

— Tak… — powiedziała Marlena. — Jeśli leci się w hiperprzestrzeni obok Nemezis, to ona odpycha… Im szybciej się leci, tym większe odpychanie…

— Tak, każdy statek zostanie odepchnięty.

— A czy Nemezis nie zostanie odepchnięta w przeciwnym kierunku?

— Tak, odwrotnie proporcjonalnie do masy, ale odepchnięcie Nemezis będzie niezwykle małe… niemierzalne.

— Ale gdyby powtarzać to przez setki i tysiące lat?

— Ruch Nemezis w dalszym ciągu nie uległby zmianie.

— Tak… Ale zmieniłaby się droga i z każdym rokiem świetlnym zmiana ta byłaby coraz większa i Nemezis w rezultacie mogłaby ominąć Ziemię wystarczająco daleko…

— No cóż… — powiedział Wu.

— Czy coś takiego jest w ogóle możliwe? — zapytał Leverett.

— Moglibyśmy zastanowić się… Na przykład gdybyśmy wyobrazili sobie asteroid… wchodzący w hiperprzestrzeń na trylionową część sekundy i wychodzący z hiperprzestrzeni z normalną szybkością miliony kilometrów dalej… Asteroidy orbitujące wokół Nemezis… wchodzące w hiperprzestrzeń zawsze po tej samej stronie… — Wu zamyślił się, a potem powiedział, jak gdyby na własną obronę: — Tak… na pewno kiedyś sam bym na to wpadł…

— To wszystko pańska zasługa — powiedział Genarr. — Mariena wysondowała pański umysł.

Wu spojrzał na trzech pozostałych mężczyzn.

— No cóż, panowie, wydaje się, że możemy zapomnieć o wykorzystaniu Erytro jako stacji tranzytowej — chyba, że zajdzie coś absolutnie nieprzewidzianego. Ziemia nie będzie ewakuowana, jeśli nauczy się wykorzystywać odpowiednio odpychanie grawitacyjne. Sądzę, że wiele zawdzięczmy obecności Marleny…

— Wujku Sieverze… — powiedziała.

— Tak, moja droga…

— Jestem śpiąca.

Tessa Wendel spojrzała poważnie na Krile Fishera.

— Ciągle powtarzam sobie: „Jest z powrotem!”. Jakoś nie mogłam uwierzyć, że wrócisz, gdy dowiedziałam się, że spotkaliście Rotorian.

— Mariena była pierwszą osobą… dokładnie pierwszą osobą, jaką znalazłem.

Krile wpatrywał się w pustkę, a Tessa pozwoliła mu milczeć. Miał wiele do przemyślenia. Wszyscy mieli wiele do przemyślenia.

Zabrali ze sobą Rotoriankę, Ranay D’Aubisson, neurofizyka. Dwadzieścia lat temu Ranay pracowała w szpitalu na Ziemi. Z pewnością znajdą się tacy, którzy pamiętają ją z tego okresu i będą mogli rozpoznać. Istniały także dokumenty, które potwierdzą jej tożsamość. A Ranay stanie się żywym dowodem ich własnych dokonań.

Wu zmienił się nie do poznania. Zaczął już planować wykorzystanie odpychania grawitacyjnego do zmiany drogi Sąsiedniej Gwiazdy. (Nazywał ją teraz Nemezis, ale jeśli jego plan powiedzie się, być może wcale nie będzie Nemezis).

Wu był również skromniejszy niż kiedyś. Nie twierdził, że dokonał nowego odkrycia — Tessa nie mogła wprost w to uwierzyć. Utrzymywał, że cały projekt powstał kolegialnie i nic więcej nie chciał powiedzieć.

Co gorsza, Wu był zdecydowany wrócić do Systemu Nemezis i to nie tylko po to, by nadzorować własny projekt. Chciał tam zamieszkać…

— Zrobię to, choćbym miał przejść całą drogę piechotą — mówił. Tessa zdała sobie sprawę, że Fisher przygląda się jej od pewnego czasu.

— Dlaczego uważałaś, że nie wrócę? Postanowiła być szczera.

— Twoja żona jest młodsza ode mnie i z pewnością nie opuściłaby córki, Krile. Byłam tego pewna. I… zrozpaczona, tak jak ty, by mieć córkę. Myślałam…

— Że zostanę z Eugenią, ponieważ będzie to jedyny sposób odzyskania Marleny?

— Coś takiego.

Fisher potrząsnął głową.

— To było niemożliwe bez względu na okoliczności. Najpierw wydawało mi się, że Marlena to Rosanna… moja siostra. Te oczy… i cały jej wygląd, który przypomniał mi Rosannę. Ale Marlena to coś więcej niż Rosanna. Ona była… jest nieludzka, Tesso. Później ci wyjaśnię… Ja… — rozłożył bezradnie ręce.

— Nic nie szkodzi, Krile — powiedziała Tessa. — Wyjaśnisz, kiedy będziesz mógł.

— Nie straciłem wszystkiego… Widziałem ją… Żyje… Ma się

dobrze… Nie chcę nic więcej. A po tym… doświadczeniu… Marlena stała się znów Marlena. Nie chcę już nikogo, Tesso, tylko ciebie.

— Pocieszasz się mną, Krile.

— Jesteś najwspanialszym pocieszycielem, jakiego znam. Rozwiodę się. Weźmiemy ślub. Zostawiam Rotora i Nemezis dla Wu… Zamieszkamy na Ziemi albo na jakimś Osiedlu, jeśli chcesz. Obydwoje dostaniemy emerytury i zostawimy Galaktykę i wszystkie jej problemy innym. Zrobiliśmy wystarczająco dużo, Tesso. I jeśli tylko chcesz…

— Nie mogę się doczekać, Krile.

Godzinę później ciągle trzymali się w ramionach.

— Cieszę się, że mnie tam nie było — powiedziała Eugenia Insygna.

— Ciągle o tym myślę. Biedna Marlena. Tak się bała…

— To prawda. Ale dokonała tego… Ocaliła Ziemię. Teraz nawet Pitt nic nie może zrobić. W pewnym sensie całe jego życie poszło na marne. Nie ma już nowej cywilizacji budowanej w tajemnicy przed innymi… A Pitt musi zabrać się do nadzorowania ocalenia Ziemi. Musi… Rotor nie jest już ukryty przed resztą ludzkości. Mogą dostać się do nas. kiedy tylko chcą… Wszyscy… I zwrócą się przeciwko nam, jeśli odmówimy współpracy. I pomyśleć, że dokonała tego Marlena.

Insygna nie myślała teraz o wielkich sprawach.

— Kiedy się bała… naprawdę bała… zwróciła się do ciebie, a nie do Fishera…

— Tak.

— I to ty trzymałeś ją w ramionach, a nie Krile…

— Tak, Eugenio, ale nie wyciągaj z tego żadnych mistycznych wniosków. Marlena po prostu zna mnie bardzo dobrze, a Krile był dla niej kimś nowym.

— Tak, tak… Wiem, że zaraz wyjaśnisz to bardzo rozsądnie, Sieverze. Tylko ty to potrafisz. Ale cieszę się. że zwróciła się do ciebie. Fisher nie zasługuje na to.

— Tak… chyba masz rację. Nie zasługuje na nią. Ale teraz, Eugenio, zapomnij o wszystkim. Krile odlatuje i nigdy już nie wróci. Widział swoją córkę. Widział, jak pomogła uratować Ziemię. Nie powinniśmy mu mieć niczego za złe… ty przede wszystkim. Pozwolisz więc, że zmienię temat. Wiesz, że Ranay D'Aubisson leci z nimi?

— Tak. Wszyscy o tym mówią. Jakoś nie jest mi przykro z tego powodu. Zawsze uważałam, że była nie w porządku w stosunku do Marleny.

— A czy ty zawsze byłaś w porządku? Dla Ranay to wielka szansa. Jej praca tutaj — odkąd okazało się, czym naprawdę jest tak zwana Plaga Erytro — przestała mieć sens. Natomiast na Ziemi Ranay zajmie się wprowadzaniem nowych metod badania mózgu. Będzie to jej życiowy sukces.

— W porządku. Niech ma.

— Ale Wu powróci. Bardzo błyskotliwy człowiek. To jego umysł umożliwił odkrycie. Wiesz, podejrzewam, że kiedy przyleci tu pracować nad efektem odpychania, zamieszka na Erytro. Erytro… organizm wybrał go, tak jak wybrał Marlenę. A co śmieszniejsze, wybrał także Leveretta.

— Na czym to polega, Sieverze?

— Chodzi ci o to, dlaczego wybrał Wu, a nie na przykład Krile? Leveretta, a nie mnie?

— No cóż, rozumiem, że Wu jest znacznie mądrzejszy niż Krile, ale ty, Sieverze, jesteś o wiele lepszy niż Leverett. Co nie znaczy, że chciałabym cię stracić na rzecz Erytro…

— Dziękuję. Myślę, że ten organizm stosuje jakieś własne kryteria, a czasami nawet wydaje mi się, że wiem, jakie one są.

— Naprawdę?

— Tak. Podczas tego… doświadczenia organizm sondował mój umysł, to znaczy wszedł we mnie poprzez Marlenę. Wydaje mi się, że czułem coś takiego, jak gdybym odnalazł jego… myśli. Tak mi się wydaje. Zupełnie podświadomie… Czułem, jak gdybym wiedział wszystko… Kiedy to się skończyło… Jak gdybym poznał rzeczy, o których przedtem nie miałem pojęcia. Marlena potrafi komunikować się z tym organizmem, może także wykorzystywać mój mózg jako sondę do innych mózgów, ale to jest tylko praktyczna strona tego wszystkiego. Organizm wybrał ją z innych, bardziej niezwykłych powodów.

— Cóż to za powody?

— Wyobraź sobie, że jesteś kawałkiem sznurka, Eugenio. Jak byś się czuła gdybyś nagle i nieoczekiwanie zdała sobie sprawę z istnienia sznurówki? Albo wyobraź sobie, że jesteś okręgiem. Jak byś się czuła gdybyś nagle spotkała kulę? Erytro znała tylko jeden rodzaj umysłu — swój własny. Jest to olbrzymi umysł, lecz jakże przyziemny. Jest tym, czym jest, ponieważ składa się z trylionów trylionów komórek połączonych ze sobą w bardzo luźny sposób. I nagle Erytro spotyka ludzi, ich umysły zbudowane ze stosunkowo niewielkiej liczby komórek, lecz z nieskończoną niemal ilością połączeń, wzajemnych powiązań, które tworzą coś o niepojętej złożoności. Sznurowadło zamiast sznurka. Dla Erytro było to coś niesamowicie pięknego… A umysł Marleny był najpiękniejszy ze wszystkich. Dlatego właśnie Erytro wybrała ją. Czy ty odmówiłabyś przyjęcia Rembrandta albo Van Gogha? I dlatego Erytro broniła jej tak zaciekle. Czy ty nie broniłabyś prawdziwego dzieła sztuki? A jednak zdecydowała się zaryzykować umysłem Marleny dla dobra ludzkości. Było to ciężkie przeżycie dla Marleny, lecz jakże szlachetne ze strony Erytro.

Tak czy inaczej, to jest moja teoria na temat organizmu Erytro.

Uważam, że Erytro jest koneserem sztuki, kolekcjonerem pięknych umysłów.

Insygna roześmiała się.

— W takim razie Wu i Leverett także mają piękne umysły.

— Erytro prawdopodobnie tak uważa. Zobaczysz, co się stanie, gdy przybędą naukowcy z Ziemi. Erytro zbierze tutaj grupę ludzi zupełnie innych od tak zwanej przeciętnej. Grupę Erytro. Pomoże im znaleźć nowy dom w kosmosie. Być może kiedyś w Galaktyce toędą istniały dwa rodzaje światów: świat Ziemian i świat pionierów, prawdziwych ludzi kosmosu. Ciekaw jestem, jak to będzie wyglądało. Przyszłość należy do nich. do ludzi kosmosu… i jakoś mi żal.

— Nie myśl o tym — powiedziała szybko Insygna. — Niech przyszłe pokolenia zajmują się sobą i przyszłością. A teraz… pozostańmy sobą i traktujmy się według własnych standardów.

Genarr uśmiechnął się radośnie, jego twarz rozjaśnił blask.

— Masz rację, Eugenio. Uważam, że twój umysł jest piękny i mam nadzieję, że ty podobnie myślisz o moim.

— Och, Sieverze, zawsze tak myślałam… Zawsze. Uśmiech Genarra przygasł lekko.

— Lecz są inne rodzaje piękna… Wiem…

— Nie dla mnie… Już nie teraz… Ty jesteś moim jedynym pięknem, Sieverze. Straciliśmy poranek, ty i ja, ale popołudnie należy do nas.

— Czegóż mógłbym więcej żądać, Eugenio? Zapomnijmy o poranku i cieszmy się popołudniem. Ich dłonie zetknęły się.

EPILOG

I znów Janus Pitt siedział samotny, odgrodzony od świata.

Czerwony karzeł nie był już gwiazdą zagłady. Był zwykłym czerwonym karłem, którym pomiatała arogancka ludzkość, rosnąca w siłę.

Ale istniała Nemezis, chociaż nie była już gwiazdą.

Przez miliardy lat życie na Ziemi było odgrodzone od reszty Wszechświata. Podejmowało swoje samotne eksperymenty to wznosząc się, to opadając, kwitnąc lub ulegając masowej zagładzie. I gdzieś tam istniały inne światy, na których było życie, każdy odgrodzony od reszty przez miliardy lat.

Wszystkie eksperymenty, wszystkie lub prawie wszystkie, zakończyły się niepowodzeniem. Przetrwał jeden lub dwa, które okazały się więcej warte niż cała reszta.

I działo się tak wtedy, gdy Wszechświat był wystarczająco duży, by izolować od siebie owe eksperymenty. Gdyby Rotor — ich arka — był odizolowany tak jak Ziemia i Układ Słoneczny, być może powiodło by mu się.

Lecz teraz…

Pitt gniewnie zacisnął pięści… Czuł rozpacz. Wiedział, że wkrótce ludzkość będzie skakała z gwiazdy na gwiazdę z taką łatwością, jak kiedyś przenosiła się z kontynentu na kontynent, czy z jednego regionu do drugiego. Zniknie odizolowanie, znikną zwarte eksperymenty. Jego eksperyment został odkryty i skazany na zagładę.

Ta sama anarchia, to samo zdegenerowanie. bezmyślność, krótkowzroczność, te same rozbieżności kulturowe i społeczne zdominują życie w skali pangalaktycznej.

I co się stanie? Powstaną Galaktyczne Imperia? Wszystkie grzechy i słabości przenoszone z jednego świata na drugi! Każda niedola, każde nieszczęście rozdęte do niepojętych granic!

Kto nada sens istnieniu Galaktyki, jeśli nikt nie zdołał nadać sensu istnieniu jednego świata? Kto spojrzy śmiało w przyszłość, odnajdzie porządek w Galaktyce rojącej się od ludzi?

Nemezis rzeczywiście nadeszła.